

RAYMOND E. FEIST

Kronador

the

Betrayal



RAYMOND E. FEIST

**ZDRADA
W KRONDORZE**



RAYMOND E. FEIST

ŻDRADA W KRONDORZE

(KRONDOR: THE BETRAYAL)

Przełożył Andrzej Sawicki

I TOM Z CYKLU: DZIEDZICTWO WOJNY ŚWIATÓW

ZYSK I S-KA
WYDAWNICTWO

Wydawnictwo: Zysk i S-ka 2002

Spis treści

ŻDRADŃ W KROKODRZE

Karta tytułowa

PROLOG OSTRZEŻENIE

ROZDZIAŁ 1 SPOTKANIE

ROZDZIAŁ 2 ŻWODNICZY RUCŃ

ROZDZIAŁ 3 ODKRYCIE

ROZDZIAŁ 4 PRZEJŚCIE

ROZDZIAŁ 5 MISJA

ROZDZIAŁ 6 PODRÓŻ

ROZDZIAŁ 7 ŻABÓJSTWA

ROZDZIAŁ 8 SEKRETY

ROZDZIAŁ 9 PODEJRZENIU

ROZDZIAŁ 10 NOCNE JASTRZĘBIE

ROZDZIAŁ 11 UCIECZKA

ROZDZIAŁ 12 PRZYBOTOWANIE

ROZDZIAŁ 13 ŻDRADŃ

ROZDZIAŁ 14 INSTRUKCJE

ROZDZIAŁ 15 POSZUKIWANIE

ROZDZIAŁ 16 ŻADANIE

ROZDZIAŁ 17 ŻWODNICZE TROPY

ROZDZIAŁ 18 PRZEGRUPOWANIE

ROZDZIAŁ 19 STARCIE

ROZDZIAŁ 20 ODWET

ΕΠΙΛΟΓΗ ΠΡΟΣΩΠΕΙΩΝ

PROLOG

OSTRZEŻENIE

Wiatr zawył okrutnie.

Owinięty grubą opończą Locklear, giermek dworu Księcia Kronodoru, siedział zgarbiony na swym koniu. W Krajach Północnych i na przełęczach Kłów Świata lato trwało bardzo krótko. Na południu jesienne noce były łagodne i ciepłe, tu jednak, na północy, jesień gościła niedługo i wcześniej zjawiała się zima, która lubiła zwlekać z odejściem. Locklear w myślach przeklął swą głupotę, która sprowadziła go do tego zapomnianego przez bogów i ludzi miejsca.

– Robi się nieco chłodno, mości giermku – stwierdził sierżant Bales. Podoficer słyszał plotki o powodach pojawienia się młodego szlachcica w Tyr–Sog. Wiązały one Lockleara z młodą kobietą, poślubioną wpływowemu kupcowi z Kronodoru. Młody panicz nie byłby pierwszym, którego wysłano na pogranicze, usuwając go tym samym z zasięgu wpływów rozjuszonego małżonka. – Przykro mi rzec, ale nie jest tu tak ciepło jak w Kronodorze...

– Doprawdy? – zdziwił się uprzejmie młody szlachcic.

Patrol podążał wąską ścieżką wiodącą wzdłuż łańcucha pagórków, będącego północną rubieżą Królestwa Wysp. Po tygodniu pobytu Lockleara na dworze w Tyr–Sog Baron Moyiet zasugerował, że młody giermek mógłby dobrze wykorzystać czas, towarzysząc lotnemu patrolowi, który wysyłano na wschód od miasta. Pojawiły się pogłoski mówiące o tym, że pod osłoną deszczu i śnieżnych zamieci na południe zaczęły przemykać

grupy renegatów i moredhelów – mrocznych elfów znanych pod nazwą Bractwa Mrocznego Szlaku. Tropiciele nie znaleźli wielu śladów, ale wobec uporczywych nalegań wieśniaków utrzymujących, że widzieli ciągnące na południe grupy odzianych w czerń wojowników, Baron polecił rozesłać patrole.

Locklear wiedział równie dobrze jak jego towarzysze, że wskutek wczesnego nadejścia zimy mieli niewielkie szansę na odkrycie jakiegokolwiek aktywności pośród wąskich przełęczy. Na równinach pojawiły się przymrozki, ale górskie przełęcze musiały już być pokryte grubą warstwą śniegu, który, gdyby nadeszła choć lekka odwilż, szybko mógł się przekształcić w błotnistą bryję.

Z drugiej strony od czasu Wielkiego Buntu – jak w Krondorze przed dziesięcioma laty nazwano najazd na Królestwo armii Murmandamusa, charyzmatycznego przywódcy mrocznych elfów – Król Lyam rozkazał, by dokładnie badano wszelkie ślady ożywienia wśród moredhelów.

– Owszem, musi tu być inaczej niż na dworze książęcym – pokpiwał sierżant. Kiedy Locklear pojawił się w Tyr–Sog, wyglądał jak typowy krondorski dandys – był wysokim, szczupłym, pięknie odzianym, dwudziestokilkuletnim człowiekiem, chełpiącym się wąsikiem i długimi, pozwijanymi w kunsztowne loki włosami. Uważał, że wąsy i piękny strój dadzą mu powagi i wieku – ale osiągnął efekt w najlepszym razie przeciwny do zamierzonego.

Teraz jednak poczuł, że ma dość kąśliwych uwag podoficera.

– Mimo wszystko jest tu cieplej niż po drugiej stronie.

– O jakiej drugiej stronie mówicie, sir? – spytał sierżant.

– O Ziemiach Północnych – odpowiedział Locklear. – Tam noce są chłodne nawet wiosną i latem.

Sierżant obrzucił młodzika nieufnym spojrzeniem.

– Byliście tam, mości giermku? Niewielu ludzi, oprócz renegatów i handlarzy bronią, odwiedziło Kraje Północne i przeżyło, by o tym opowiadać po powrocie do Królestwa.

– Towarzyszyłem Księżciu – odparł Locklear. – Byłem z nim pod Armengarem i Wysokim Zamkiem.

Sierżant umilkł i wbił wzrok w przestrzeń przed nimi. Wojownicy jadący obok Lockleara wymienili porozumiewawcze spojrzenia. Jeden odwrócił się do jadącego za nim i szeptem przekazał mu wiadomość. W Krajach Północnych nie było żołnierza, który nie słyszał o upadku Armengaru pod naporem hord Murmandamusa, potężnego wodza moredhelów, który zniszczywszy Armengar, najdalej na północ wysunięte ludzkie siedlisko, poprowadził armię na Królestwo. Powstrzymano go dopiero pod Sethanonem, przed dziesięcioma laty – co zapobiegło spustoszeniu Królestwa przez mroczne elfy, gobliny, trolle i olbrzymów.

Ci, którzy zdołali wyjść z Armengaru, osiedlili się w Yabonie, niezbyt odległym od Tyr–Sog. Ich opowieści o bojach w mieście, ucieczce przez góry i roli, jaką w tym wszystkim odegrali Arutha i jego towarzysze, zataczały coraz szersze kręgi i przechodząc z ust do ust, zyskiwały nowe szczegóły. Każdy człowiek, który wtedy służył pod rozkazami Księcia Aruthy i Guya du Bas–Tyra, był uważany za bohatera. Sierżant obrzucił młodego szlachcica pokornym wzrokiem i umilkł.

Locklear niedługo cieszył się wrażeniem, jakie jego słowa wywarły na zarozumiałym podoficerze, bo znów zaczął sypać śnieg, z minuty na minutę coraz bardziej gęsty i dokuczliwy. W najbliższych dniach garnizonowi żołnierze może i będą go traktować z większym szacunkiem i poważaniem, ale dwór w Krondorze, wina i piękne dziewczęta były równie odległe jak przedtem. Do odzyskania łask Aruthy przed nadejściem kolejnej zimy

potrzebował cudu i wyglądało na to, że na dobre ugrzęźnie na tym wsiowym dworze wśród tępaków.

– Sir... – odezwał się sierżant po dziesięciu minutach. – Jeszcze dwie mile i możemy wracać.

Locklear zbył tę uwagę milczeniem. Do zameczku wrócić pewnie już po zmroku, kiedy zrobi się jeszcze zimniej niż teraz. Z radością powita ciepło kominka w żołnierskiej izbie, ale prawdopodobnie będzie się musiał zadowolić posiłkiem w towarzystwie kompanów. Uznał za mało prawdopodobne, żeby Baron zaprosił go na kolację domową. Miał on bowiem przedsiębiorczą córeczkę, która zagięła parol na młodego szlachcica od pierwszego wieczoru, kiedy pojawił się w Tyr–Sog, Baron zaś doskonale znał przyczyny, dla których Lockleara zesłano na jego dwór. Podczas następnych dwu okazji, kiedy podejrzliwy gospodarz gościł młodzika u siebie, córka się nie pokazała.

Nieopodal zamku znajdowała się oberża. Locklear wiedział jednak, że gdy wrócić, będzie zbyt zmarznięty i znużony, by choć na krótko ponownie stawić czoło żywiołom – a zresztą usługujące tam dziewczki były tłustawe i głupie. Młody szlachcic westchnął na myśl, że pod koniec zimy obie mogą wydać mu się nader atrakcyjne.

Pomyślał, że byłby wdzięczny losowi, gdyby udało mu się wrócić do Krondoru przed poświęconym Banapisowi Świętem Letniego Przesilenia. Postanowił napisać do swego najlepszego przyjaciela, Jamesa zwanego Rączką, aby użył on wszelkich sposobów w celu skłonienia Aruthy do zmiany decyzji dotyczącej jego wygnania. Pół roku było dostateczną karą.

– Wielmożny panie... – odezwał się Bales, używając formalnego tytułu Lockleara. – Co to może być? – Wyciągnął rękę, wskazując ścieżkę. Uwagę sierżanta przyciągnął jakiś ruch wśród skał.

– Nie mam pojęcia – stwierdził Locklear. – Podjedźmy i zobaczymy...

Bales skinął ręką i patrol skręcił w lewo, podążając wzdłuż szlaku. Po chwili wszyscy zobaczyli samotnego piechura, biegnącego ku nim ścieżką. Za nim słychać było wrzawę wzniecaną przez ścigających.

– Wygląda na to, że któryś z renegatów poróżnił się ze swoimi kompanami z Bractwa Mrocznego Szlaku – stwierdził Bales.

– Renegat czy nie, nie możemy dopuścić do tego, by wpadł w ręce mrocznych elfów – stwierdził Locklear, wyciągając miecz. – Jeżeli nie damy im nauki, to zaczną sobie wyobrażać, że mogą się tu zjawiać i nękać naszych ziomków, kiedy im przyjdzie na to ochota...

– Gotuuuj się! – wrzasnął podoficer i wszyscy żołnierze sięgnęli po broń.

Samotny uciekinier zauważył żołnierzy i po chwili rozterki skierował się ku nim. Locklear zdążył spostrzec, że był to człek wysoki, okryty szarą opończą z kapturem, który skutecznie krył jego rysy. Ścigało go kilku pieszych członków Bractwa Mrocznego Szlaku.

– Weźmy go pomiędzy siebie – polecił spokojnie sierżant.

Choć teoretycznie patrolem dowodził Locklear, młody szlachcic miał dość rozumu, by się nie sprzeciwiać rozkazom doświadczonego weterana.

Jeźdźcy ruszyli wzdłuż przełęczy i minąwszy samotnego zbiega, runęli na moredhelów. Członków Bractwa Mrocznego Szlaku różnie nazywano, nie sposób im jednak było zarzucić tchórzostwa czy nieznajomości wojennego rzemiosła. Rozpoczął się zajadły bój. Królewscy mieli podwójną przewagę: byli na koniach, a pogoda pozbawiła przeciwników możliwości użycia łuków. Moredhele nawet nie próbowali zakładać mokrych cięciw, wiedząc, że nawet jeśli uda im się posłać grot ku nieprzyjacielowi, pocisk nie przebije tłoczonych w skórze pancerzy.

Najwyższy z elfów wskoczył na głaz i wbił wzrok w uciekającego. Locklear spiął konia i wjechał pomiędzy obu adwersarzy... i wtedy stojący

na głazie moredhel spojrzął na młodego szlachcica.

Przez chwilę patrzyli sobie w oczy i Locklear mógł wyczytać otwartą nienawiść we wzroku prześladowcy. Moredhel milczał, jakby chciał sobie utrwalić w pamięci rysy przeciwnika. Potem głośnym okrzykiem wydał jakiś rozkaz i Bracia zaczęli się szybko wycofywać.

Sierżant Bałes doskonale wiedział, że ściganie moredhełów przełęczą, gdzie widoczność nie sięgała kilkunastu kroków, mogłoby zakończyć się dla nich porażką. Pogoda zresztą szybko się pogarszała.

Locklear odwrócił się w siodle i spojrzął na samotnego piechura, który opierał się o głaz kilkanaście kroków za nimi. Podjechał do niego bliżej.

– Jestem Locklear, giermek Księcia Krondoru. Dobrze byłoby, gdybyś miał dla nas jakąś przekonującą historyjkę, zdrajco.

Nieznajomy nie odpowiedział, nadal ukrywając twarz pod kapturem. Odgłosy walki przycichły tymczasem, bo moredhele, oddalwszy się od nieprzyjaciół, czmychały przełęczą, skacząc pomiędzy skały i głazy, w które nie mogli się zapędzać jeźdźcy. Stojący przed Locklearem osobnik patrzył nań przez chwilę, a potem powoli sięgnął do kaptura i odrzucił go. W twarz młodego szlachcica wbiło się spojrzenie dwojga ciemnych oczu. Locklear widywał już takie twarze; wysokie czoła, włosy zaczesane do tyłu, ujęte w jeden gruby kosmyk, silnie wygięte luki brwiowe i duże, odstające, pozbawione dolnych małżowin uszy. Młody zawadiaka był jednak pewien, że nie stoi przed nim elf. Czuł to niemal w kościach. Ze spoglądających nań wyzywająco ciemnych oczu wzywała namacalna niemal niechęć.

– Nie jestem zdrajcą, człowieku – odparł stojący przed Locklearem osobnik. W jego głosie słychać było silny akcent charakterystyczny dla języka Królestwa.

– Tam do kata! – odezwał się podjeżdżający do obu rozmówców Bales.
– Opryszek z Bractwa Mrocznego Szlaku! Popadł chyba w jakiś plemienny

spór ze swoimi, bo ci najwyraźniej chcieli go zabić.

Moredhel wbił wzrok w Lockleara, przyglądając mu się przez chwilę badawczo, a potem stwierdził:

– Jeżeli w istocie należysz do dworu Księcia, to możesz mi pomóc...

– Pomóc? – zdziwił się sierżant. – My cię tu zaraz powiesimy, morderco!

Locklear podniósł dłoń, uciszając wrzawę, która wybuchła po słowach sierżanta.

– A dlaczegoż to miałbym ci pomagać, moredhelu?

– Ponieważ podążam do waszego Księcia z ostrzeżeniem.

– I przed czym to chcesz go ostrzec?

– A, to już nie twoja sprawa. Zabierzesz mnie do niego? Locklear spojrzał na sierżanta, który z powątpiewaniem pokręcił głową: – Powinniśmy go zawieść przed oblicze Barona.

– Nie – sprzeciwił się moredhel. – Będę mówił tylko z Księciem Aruthą.

Będziesz gadał z każdym, kto ci każe otworzyć pysk, ty oprawco! – warknął wrogo Bales. Całe życie walczył z członkami Bractwa Mrocznego Szlaku i niejedną raz był świadkiem popełnianych przez nich okrucieństw.

– Znam jego braci – stwierdził Locklear. – Możesz mu rozpalić pod stopami ogień i spalić go po szyję, ale jeżeli nie zechce mówić, to nie powie słowa.

– To prawda – stwierdził moredhel. Znów spojrzał uważnie na młodego szlachcica. – Stawałeś przeciwko mojemu ludowi?

– Pod Armengarem – odpowiedział Locklear. – A potem pod Highcastle. I na koniec w Sethanonie.

– Z twoim Księciem chcę porozmawiać właśnie o Sethanonie – rzekł cicho moredhel.

– Sierzancie – zwrócił się Locklear do podoficera. – Zechciejcie nas zostawić na chwilę samych...

Bales zawahał się, ale brzmiąca w głosie młodego szlachcica stalowa nutka przekonała go, że powinien posłuchać rozkazu. Odwrócił się i powiódł żołnierzy na stronę.

– Słucham – odezwał się Locklear.

– Jestem Gorath, wódz plemienia Ardanien.

Locklear spojrział uważnie na stojącego przed nim zbiega. Wedle ludzkiej miary moredhel wyglądał młodo, krondorski zawadiaka znał jednak długowieczne plemię na tyle, by wiedzieć, że ich powierzchowność bywała zwodnicza. W brodzie Goratha dostrzegł pasma bieli i siwizny, a wokół jego oczu siateczkę zmarszczek. Zgadywał, że moredhel może mieć dobrze ponad dwie setki lat na karku. Zbieg nosił doskonale wyrobioną zbroję i pięknie tkaną opończę. Młody szlachcic uznał za całkowicie możliwe, że jest tym, za kogo się podaje.

– O czymże chce rozmawiać wódz moredhelów z Księciem Królestwa?

– To, co mam do powiedzenia, wyjawię tylko Arucie.

– Jeśli nie chcesz spędzić reszty życia w lochach Barona Tyr–Sog, to lepiej powiedz coś, co mnie przekona, że powinienem cię zabrać do Krondoru.

Moredhel długo patrzył w oczy szlachcicowi, potem skinieniem dłoni poprosił go, by się pochylił. Młody człowiek na wszelki wypadek położył dłoń na rękojeści sztyletu, nachylając się nad końskim karkiem ku rozmówcy, a ten szepnął mu wprost do ucha:

– Murmandamus żyje!

Locklear cofnął się gwałtownie i na chwilę znieruchomiał. Potem zawrócił konia.

– Sierzancie Bałes!

– Na rozkaz, sir! – odparł z szacunkiem stary weteran.

– Zakuć więźnia w łańcuchy. Natychmiast wracamy do Tyr–Sog. Bez mojego zezwolenia nikomu nie wolno zamienić z więźniem choćby słowa.

– Taaaest, sir! – zagrział Bales, skinieniem dłoni ponaglając dwu swoich ludzi do natychmiastowego wykonania rozkazu.

Locklear jeszcze raz pochylił się nad końskim karkiem.

– Gorath, może i łziesz, by ocalić życie... ale z drugiej strony możesz też wieść jakąś przerażającą wiadomość dla Księcia Aruthy. Nie ma to zresztą znaczenia, bo tak czy owak jutro rano wracam do Kronodoru.

Mroczny elf nie odpowiedział, ze stoickim spokojem znosząc poszturchiwania, jakich nie szczędzili mu zakuwający go żołnierze. Milczał, gdy wokół jego przegubów zamknięto kajdanki połączone krótkim ciężkim łańcuchem. Przez chwilę trzymał dłonie wyciągnięte przed siebie, a potem powoli je opuścił. Spojrzawszy na Lockleara, odwrócił się i ruszył szlakiem ku Tyr–Sog, nie czekając na swoich strażników.

Locklear skinieniem dłoni wezwał sierżanta, by ruszył za nim, i pognął konia, zajmując miejsce obok Goratha. Zapadał wieczór, dął silniejszy wiatr, a śnieg padał coraz gęstszy.

ROZDZIAŁ 1

SPOTKANIE

Strzeliła iskra.

Owyn Belefote siedział samotnie wśród nocy przed płomieniami i rozpamiętywał w duchu własne nieszczęścia. Najmłodszy syn Barona z Timons był daleko od domu... i pragnął być jeszcze dalej. Twarz młodego człowieka mogłaby posłużyć za model rzeźbiarzowi, który chciałby wyrzeźbić uosobienie Opuszczenia i Rozpaczy.

Panował chłód i kończyło mu się jedzenie, brak ów stawał się szczególnie dotkliwy w świetle faktu, że jeszcze niedawno opływał w dostatki w domu swej ciotki w Yabonie. Gościli go krewni nieświadomi tego, że poważnie poróżnił się z ojcem, ludzie, którzy w ciągu minionego tygodnia przypomnieli mu o życiu rodzinnym wszystko, co zdążył już zapomnieć: towarzystwo braci i sióstr, ciepło wieczorów spędzanych przy kominku, rozmowy z matką i nawet spory z ojcem.

– Ojciec – mruknął do siebie Owyn. Niecałe dwa lata temu – sprzeciwiwszy się ojcu – ruszył do Stardock, wyspy magów znajdującej się na południowych rubieżach Królestwa. Ojciec nie chciał się zgodzić, by wedle swej woli studiował magię, żądając, by został kapłanem w jednym z powszechnie akceptowanych zakonów. W końcu, upierał się ojciec, tamci też posługiwali się magią.

Owyn westchnął i owinął się opończę. Swego czasu był pewien, że kiedyś wróci do domu otoczony sławą wielkiego maga, może zaufanego ucznia samego Puga, założyciela Akademii w Stardock. Okazało się jednak,

że nie jest dobrze przygotowany do prowadzenia niezbędnych badań. Nie ma także zamiłowania do królującej tam polityki. Uczniowie Akademii grupowali się wokół jednego lub drugiego nauczyciela, a ci usiłowali obrócić naukę o magii w jeszcze jedno wyznanie. Owyn wiedział, że w najlepszym wypadku jest przeciętnym magiem i mgdymie wespme się na wyżyny, bo niezależnie od tego, jak bardzo chciał się uczyć, brakowało mu zdolności. Uczył się w Stardock nieco dłużej niż rok, a potem opuścił Akademię, przekonując sam siebie, że popełnił błąd. Wiedział, że jeżeli przyzna się do tego w domu rodzinnym, padnie ofiarą drwin i kpinek, dlatego postanowił przedtem odwiedzić dalekich krewnych. Przez cały czas zbierał odwagę, by mszyc na wschód i stanąć przed ojcem Szmer w pobliskich krzakach. Kazał mu zerwać się na nogi i chwycić ciężką trzycwierciową pałkę. Nie posługiwał się biegle bronią, bo jako chłopiec zaniedbał tę część edukacji, potrafił jednak dość zięcznie używać długiej lagi. Kto tam? – zapytał groźnie Hola.

– Spokojnie – odezwał się głos z ciemności – Wychodzimy. Owyn odetchnął z ulgą, wiedząc, że jest mało prawdopodobne, iżby opryszkowie ostrzegali go o swoim nadejściu. Nie bardzo się zresztą nadawał na ofiarę napaści, bo ostatnio nieco się zaniedbał i wyglądał jak żebrak. Z mi oku wyłoniły się dwie sylwetki – jedna wzrostu Owyna, druga o głowę wyższa. Obaj nieznajomi mieli na sobie grube opończe, a niższy wyraźnie utykał. Utykający obejrzał się przez ramię, jakby chciał sprawdzić czy nikt za nimi nie podąża, a potem zapytał – Ktoś ty?

– Ja? – zdumiał się Owyn – A wy dwaj, coście zajezdni?

Niższy z nieznajomych odsunął zakrywający mu twarz kaptur. Jestem Locklear, giermek Księcia Aruthy. Jestem Owyn, sir Syn Barona Belefote. Z Timons owszem, znam waszego ojca – stwierdził!

Locklear Młody szlachcic kucnął przy ogniu i wyciągnął dłonie ku płomieniom, a potem spojrzał z dołu na Owyna. Znaleźliście się daleko od domu nieprawdaż?

– Odwiedzałem ciotkę w Yabonie – odpowiedział jasnowłosy młodzieniec – Teraz wracam w rodzinne strony. Czeka was daleka droga – rozległ się stłumiony głos drugiego z przybyszów. Przedostanę się do Kronodoru, a potem poszukam miejsca przy jakiejś karawanie do Saladoru. A stamtąd już złapię łódź do Timons. Noców z braku lepszego towarzystwa będziemy chyba skazani na swoje aż do LaMut – stwierdził Locklear, siadając ciężko na ziemi. Pizy tym ruchu jego oponcza rozsunęła się i Owyn zauważył, że odzież przybysza zbroczona jest krwią. Krwawicie – stwierdził młodzieniec. Tylko trochę – przyznał Locklear. Jak do tego doszło?

Napadnięto nas kilka mil stąd na północ – odpowiedział zagadnięty Owyn zaczął grzebać w swoich kieszeniach – Mam tu coś na wasze rany – powiedział – Zdejmijcie koszulę. Locklear zdjął oponczkę, kurtę i koszulę, a Owyn wyjął z worka bandaż i jakiś proszek – Ciotka nalegała, abym to zabrał, ot tak, na wszelki wypadek. Sądziłem, że to głupie gadanie starszej pani, ale najwyraźniej się pomyliłem. Locklear bez słowa skłonił głowę. Zniósł obmywanie rany – płytkiego cięcia przez zebra, śladu po mieczu – ale skrzywił się lekko, gdy Owyn posypał ją proszkiem. Potem niedoszły mag mocno owinął bandażami piersi młodego szlachcica – Wasz pizyjaczek jest zbyt rozmowny, prawda?

Nie jestem jego przyjacielem – odezwał się Gorath, wysuwając spod oponczy skute kajdanami dłonie – Jestem więźniem. Cóż on takiego zmalował? – spytał Owyn, usiłując zajrzeć pod kaptur Goratha. Nic poza tym, że urodził się po niewłaściwej stronie gór – odparł Locklear. Gorath zsunął kaptur i obdarzył Owyna cieniem uśmiechu – Na Kły Bogów – zachnął się Owyn – Członek Bractwa Mrocznego Szlaku.

– Moredhel – poprawił Gorath nie bez gorzkiej ironii w głosie. – W waszym języku, człowiecze, znaczy to „mroczny elf. Tak wam to przynajmniej przełożyli nasi kuzyni z EWandaru.

Locklear skrzywił się ponownie, gdy Owyn posmarował mu zębra jakąś maścią.

– Goracie, umówmy się, że kilkusetletnie boje pozwoliły nam wyrobić sobie o was własną opinię.

– Wy, ludzie, rozumiecie tak niewiele... – stwierdził filozoficznie Gorath.

– Ponieważ na razie nigdzie się nie wybieram – odparł z przekąsem Locklear – to może zechciałbyś mnie oświecić...

Gorath spojrział z namysłem na młodego szlachcica, a potem umilkł na długą chwilę.

– Ci, których nazywacie „elfami”, i mój lud to jedna krew i jedna rasa. Żyjemy jednak zupełnie inaczej. Byliśmy pierwszą rasą śmiertelników, po wielkich smokach i Prastarych.

Owyn spojrział z zaciekawieniem na Goratha, a Locklear zgrzytnął zębami.

– Mój drogi... zechciej się pospieszyć...

– Kim są ci... Prastarzy? – spytał Owyn szeptem.

– Władcy mocy, Valheru – odpowiedział Gorath. – Kiedy opuścili ten świat, uczynili nas wolnym ludem.

– Znam tę opowieść – zauważył kwaśno Locklear.

– Nie jest to byle jaka opowieść, człowiecze, ponieważ wynika z niej, że ten świat oddano nam we władanie. Wy wszyscy, ludzie, krasnoludy i inni, pojawiliście się później. Ten świat był nasz... i wydarto nam go siłą.

– Ha! – stwierdził Locklear. – Nie jestem znawcą teologii, a w mojej wiedzy historycznej też są poważne braki, ale wydaje mi się, że niezależnie

od tego, jaka przyczyna – wedle waszej tradycji – nas tu sprowadziła, już tu jesteśmy i nie możemy stąd nigdzie odejść. Jeżeli wasi krewni, elfy, pogodzili się z tym, dlaczego wy nie potraficie?

Gorath przez chwilę patrzył w twarz młodzieńca, ale nie odezwał się. Nagle zerwał się z miejsca i skoczył na Lockleara.

Owyn, zawiązujący właśnie końce bandaża, upadł ciężko na ziemię, gdy Locklear odepchnął go silnie, usiłując wydobyć miecz i stawić czoło nacierającemu nań Gorathowi.

Zamiast jednak rzucić się na młodego szlachcica, moredhel sięgnął wyżej i skuwającym go łańcuchem zamachnął się nad jego głową. Rozległ się zgrzyt stali o stal. Locklear zmrużył oczy, Gorath zaś zagrzmiął:

– Zabójca! – Zaraz potem wymierzył potężnego kopniaka Owynowi. – Zabierz mi go spod nóg!

Owyn nie miał pojęcia, skąd pojawił się napastnik – w jednej chwili wszyscy trzej rozmawiali spokojnie przy ognisku na leśnej polanie, w następnej obserwował Goratha zwartego w śmiertelnej walce z jednym ze swoich pobratymców.

Czarne sylwetki walczących wyraźnie rysowały się na tle ognia. Gorath zdążył wytrącić przeciwnikowi miecz z dłoni, a kiedy ten sięgnął po sztylet, szybko jak cień przemknął za jego plecy i zarzucił mu łańcuch na szyję. Napastnik wybałuszył oczy, a Gorath syknął mu prosto do ucha:

– Nie szarp się tak, Haseth. Przez wzgląd na stare dzieje zrobię to szybko. – Skręciwszy nadgarstki, zmiażdżył krtań przeciwnika, a ten bezwładnie zawisł na jego rękach.

Mroczny elf opuścił trupa na ziemię ze słowami:

– Niechaj Pani Mroków okaże ci litość...

– Myślałem, żeśmy ich zgubili – wyznał Locklear, wstając z ziemi.

– Wiedziałem, że nie – stwierdził Gorath.

– To czemu nic nie powiedziałaś? – spytał gniewnie Locklear, wciągając koszulę na świeży opatrunek.

– I tak kiedyś musielibyśmy zawrócić i stawić im czoło – odpowiedział Gorath, wracając na swoje poprzednie miejsce. – Mogliśmy to zrobić teraz albo za dzień lub dwa... kiedy byłbyś jeszcze słabszy z utraty krwi i głodu. – Moredhel spojrział w mrok, z którego wyłonił się zabójca. – Gdyby nie był sam, do okazania Księciu zostałyby ci tylko mój trup.

Tak łatwo się nie wykręcisz, moredhelu. Nie godzę się na to, byś zdechł... nie po tych wszystkich kłopotach, przez jakie przeszedłem, by cię utrzymać przy życiu – sarknął Locklear. – Czy to już ostatni?

– Raczej nie – odpowiedział Gorath. – Ale ostatni ze swojej drużyny. Na pewno przybędą inni. – Spojrział w drugą stronę. – Niektórzy z nich mogli już nas wyprzedzić.

Locklear sięgnął za pazuchę i wyjął klucz.

– No to myślę, że będzie lepiej, jak zdejmemy ci te łańcuchy – rzekł, otwierając kajdany. Gorath beznamietnie patrzył, jak żelaza opadają na ziemię. – Weź miecz tego zabójcy.

– Może powinniśmy go pogrzebać – zasugerował Owyn.

– Nie. – Potrząsnął głową moredhel. – Mój lud ma inne obyczaje. Ciało jest tylko powłoką. Niech pożywią się nim drapieżniki, niech wróci do ziemi, niech wyrosną na nim rośliny... niech służy odnowie świata. Jego duch już zaczął podróż przez mroki i z łaską Bogini znajdzie drogę do Wysp Błogosławionych. – Moredhel spojrział na północ, jakby szukał czegoś w ciemnościach.

– Był moim krewniakiem, choć godzi się rzec, że nie bardzo go lubiłem. A więzy krwi są ważne dla członków mojego ludu. Ścigał mnie, co oznacza, że zostałem uznany za wyrzutka i zdrajcę całej rasy. – Spojrział na Lockleara. – Mamy więc wspólną sprawę, człowiecze. Bo jeśli mam się

podjąć misji, która uczyni ze mnie przekleństwo mojego ludu, muszę przeżyć. Musimy sobie wzajemnie pomagać. – Gorath podniósł miecz Hasetha. – Nie zakopuj go odezwał się do Owyna – ale odciągnij na bok. Do rana jego towarzystwo zdąży nam się porządnie sprzykrzyć.

Owyn nie miał ochoty na dotykanie trupa, przemógł się jednak i pochylił bez słowa, chwytając martwego moredhela za nadgarstki. Nieboszczyk był zaskakująco ciężki. Gdy niedoszły mag zaczął tyłem ciągnąć Hasetha w krzaki, Gorath rzucił za nim:

– I zobacz, chłopcze, czy przed napaścią na nas nie zostawił gdzieś niedaleko swoich biesagów. Może ma w nich coś nadającego się do zjedzenia.

Owyn kiwnął głową, zastanawiając się nad dziwacznymi kapryсами losu, który każe mu teraz ciągnąć trupa przez krzaki i szukać w mroku jego dobytku.

Ranek zastał całą trójkę w drodze przez las. Trzymali się blisko traktu, woleli jednak nie pojawiać się na otwartej przestrzeni.

– Nie rozumiem, dlaczego nie mielibyśmy wrócić do Yabonu, gdzie można kupić konie – jęknął w pewnej chwili Owyn.

– Po wyruszeniu z Tyr–Sog trzykrotnie padaliśmy ofiarą napaści – odpowiedział Locklear. – Jeżeli inni napastnicy podążają za nami, wolałbym nie wpadać im prosto w łapy, co by niechybnie nas czekało, gdybyśmy zawrócili. A zresztą w drodze do LaMut natrafimy na pewno na jakieś wioski, gdzie będziemy mogli kupić konie.

– A czym za nie zapłacisz? – spytał Owyn. Młodzi ludzie bezwiednie zaczęli sobie mówić po imieniu. – Powiedziałeś, że podczas walki, w której cię raniono, wasze konie uciekły ze wszystkimi bagażami. Przypuszczam, iż oznacza to, że zostaliście bez grosza. Ja z pewnością nie mam tyle, by kupić trzy konie pod wierzch.

– Coś niecoś mi zostało. – Uśmiechnął się Locklear.
– Możemy je po prostu wziąć – podsunął Gorath.
– Owszem, możemy – zgodził się Locklear. – Ale nie jestem w barwach książęcych i nie mam podpisanego przez Księcia patentu... a bez tego trudno będzie przekonać miejscowego konstabla o tym, że posiadam odpowiednie uprawnienia. Nie wyobrażam zaś sobie, by zamknięcie w wiejskim areszcie uchroniło nas przed tymi rzezimieszkami, którzy nas szukają.

Owen umilkł. Szli niezmordowanie od wschodu słońca i miał już wszystkiego dość.

– A może byśmy odpoczęli? – zaproponował wreszcie.
– Lepiej nie – odparł szeptem Gorath. – Słuchajcie! Przez dłuższą chwilę żaden z nich się nie odezwał. Milczenie przerwał Owyn.

– Nic nie słyszę.
– W tym sęk – syknął Gorath. – Ni stąd, ni zowąd ptaki przestały śpiewać.

– Kolejna zasadzka? – spytał Locklear.
– Tak sądzę – stwierdził moredhel, wyciągając miecz, który zabrał zabitemu krewniakowi.

– Boli mnie w boku, ale mogę walczyć – stwierdził Locklear. – A ty? – spytał Owyna.

Zagadnięty podniósł swą ciężką pałkę. Była to solidna, dębowa laga okuta na końcach żelazem.

– W razie potrzeby mogę walczyć, o tym. A mam w zanadrzu kilka zakłęb.

– A potrafisz unicestwić wrogów?
– Nie – odpowiedział Owyn. – Aż taki dobry to nie jestem.
– Szkoda – westchnął Locklear. – No to nie pchaj się niepotrzebnie...

Ruszyli przed siebie ostrożnie i powoli – a gdy zbliżyli się do miejsca wskazanego wcześniej przez Goratha, młody szlachcic dostrzegł ukrytą wśród drzew mroczną sylwetkę nieprzyjaciela. Nieznajomy – Locklear nie umiałby rzec, czy jest człowiekiem, czy moredhelem – poruszył się lekko, co zdradziło jego pozycję. Gdyby stał bez ruchu, młodzik nigdy by go nie zauważył.

Gorath skinieniem dłoni polecił Locklearowi i Owynowi skręcić w prawo i okrążyć stojącego na czatach wroga. Wędrowcy nie wiedzieli, z iloma przeciwnikami przyjdzie im walczyć, i chcieli jak najlepiej wykorzystać przewagę zaskoczenia.

Gorath sunął przez las niczym duch, milczący i po rozstaniu się z dwojgiem towarzyszy prawie niewidoczny. Locklear dał znak Owynowi, by został nieco z tyłu i z prawej – w razie gdyby nagle natknęli się na zacząjonych napastników, wołał wiedzieć, gdzie jest sprzymierzeniec.

W pewnej chwili obaj usłyszeli szepty – Locklear natychmiast uświadomił sobie, że zacząjony w zasadzce elf nie odezwałby się nawet słowem. Pozostało tylko pytanie, czy mieli przed sobą zwykłych opryszków czy agentów próbujących zatrzymać Goratha.

Odgłos przytłumionego stęknięcia oznajmił im, że Gorath zetknął się już z nieprzyjaciółmi. Potem rozległ się głośny wrzask i obaj młodzi ludzie skoczyli przed siebie.

Natknęli się na czterech napastników – z których jeden już konał. Trzej pozostali rozstawili się na krańcach niewielkiej polanki pomiędzy drzewami, zajmując idealną pozycję do niespodziewanego ataku. Locklear poczuł, że coś śmignęło mu obok głowy, jakby ktoś wypuścił strzałę zza jego pleców, niczego jednak nie zauważył.

W tym samym momencie jeden z wrogów wrzasnął przeraźliwie i podniósł dłoń do wytrzeszczonych, wpatrzonych w pustkę oczu.

– Oślepieno mnie! – zaryczał ogarnięty trwogą. Locklear natychmiast domyślił się, że to robota Owyna, i podziękował Pani Ślepego Trafu za to, że chłopak umie choć tyle.

Gorath starł się już z jednym z nieprzyjaciół, wobec czego Locklear rzucił się na drugiego. I nagle dotarło do niego, jak odziani są przeciwnicy. „Piraci z Queg!” – pomyślał.

Napastnicy nosili krótkie kurtki, nogawice i przytrzymywane skrzyżowanymi rzemieniami sandały. Przeciwnik Lockleara miał włosy przewiązane czerwoną przepaską, a z ramienia zwisał mu pendent z pochwą na żeglarski kordelas. Tenże kordelas ciął teraz powietrze, lecąc ze złowrogim świstem ku głowie Lockleara.

Młody szlachcic sparował cios i poczuł płomień bólu przesywający mu zraniony bok. Ignorując go, ciął i pirat musiał się cofnąć. Jednocześnie zduszony jęk powiadomił go o tym, że Gorath uporał się ze swoim przeciwnikiem.

Jak przed chwilą niczym błyskawica minął go magiczny pocisk i jego przeciwnik skrzywił się, osłaniając dłonią oczy. Locklear natychmiast przeszył go klingą.

Gorath tymczasem zabił czwartego z wrogów i nagle na polanie zapadła cisza.

Locklear czuł, że pali go w boku, poza tym jednak nie odniósł dodatkowych obrażeń.

– Do kata! – sarknął, wyciągając miecz z ciała wroga.

– Raniono cię? – spytał Owyn.

– Nie – odpowiedział Locklear.

– No to o co chodzi?

Locklear powiódł wzrokiem po polance.

– O tych ludzi – odpowiedział. – Czekali w zasadzce.” więc wieści o nas znacznie nas wyprzedziły. Jestem tego pewien, Skąd wiesz? – spytał Gorath.

– Ci ludzie to quegańscy piraci – stwierdził Locklear. – Spójrzcie na ich broń.

– Nie poznałbym Quegańczyka, nawet gdybym na niego nadepnął – odpowiedział Owyn. – Nie będę się więc z tobą spierał.

– Popraw mnie, jeżeli się mylę – odezwał się Gorath – ale czy tych... piratów nie spotyka się głównie na morzu?

– Owszem – przyznał Locklear – chyba że ktoś im zapłaci za to, by się zaczęli przy drodze na trzech pieszych wędrowców. – Pochylił się i ukląkł przy człowieku, którego zabił. – Spójrzcie na jego dłonie. To ręce człowieka, który całe życie spędził wśród lin. Te quegańskie kordelasy znane są na wszystkich brzegach Morza Goryczy. – Obmacał trupa, poszukując sakiewki lub trzосу. – Spróbujcie znaleźć coś, w czym można by ukryć pismo.

Jego towarzysze wykonali polecenie. Wysupłali nieco złota, kilka sztyletów oraz cztery kordelasy, ale nic, co przypominałoby list czy notatkę, wskazującą, kto mógł wynająć piratów.

– Nie dotarliśmy na tyle blisko Ylith, by ta szajka mogła przedostać się na północ niepostrzeżenie po tym, jak wyjechaliśmy z Yabonu.

– Kiedy ruszyłem na południe, ktoś musiał powiadomić wszystkich zainteresowanych – stwierdził Gorath.

– Ale jakim sposobem? – zdziwił się Owyn. – Mówiliście mi, że w Tyr-Sog zatrzymaliście się tylko na kilka dni, a potem jechaliście bez przerwy aż tutaj.

– Dziwne to pytanie w ustach kogoś, kto studiował magię – odpowiedział Gorath.

Owyn zaczerwienił się potężnie.

– Och...

– Wasi Tkacze Zaklęć potrafiliby zrobić coś takiego? – spytał Locklear.

– Tkaczy *Zaklęć* mają Eledhele... zwani przez was elfami.

Ale i my mamy swoich... magów. Zresztą i wśród was, ludzi, są tacy, co za odpowiednią sumę sprzedają swoją sztukę.

– Nigdy tego nie widziałem i nie doświadczyłem – stwierdził Owyn – ale słyszałem o zdolnościach zwanych „mową umysłu”, która pozwala jednemu magowi rozmawiać na odległość z drugim. Jest też coś takiego, co zwą „mową snu”. Albo...

– Komuś tam naprawdę zależy na twojej śmierci, prawda? – zwrócił się do Goratha Locklear, przerywając Owynowi.

– Owszem... Delekhan dałby za to wiele – odpowiedział Gorath. – A trzeba ci wiedzieć, że zbiera on u swego boku tych członków mego ludu, którzy wykazują się takimi talentami. Wiem, do czego dąży, nie mam jednak pojęcia, jakimi sposobami chce tego dokonać. Ale jeżeli zamierza posłużyć się magią, to strach pomyśleć o rezultatach.

– Rozumiem – odparł Locklear. – Miewałem już zatargi z ludźmi, którzy posługiwali się magią, choć należałoby im tego zabronić. – Spojrzał na Owyna. – Ta sztuczka z oślepieniem była niezła, chłopcze.

– Pomyślałem, że może się na coś przydać – stwierdził Owyn, nie kryjąc zakłopotania. – Znam kilka zaklęć, ale żadne z nich nie mogłoby unicestwić nieprzyjaciela. Z drugiej strony, każdy orze, jak może...

– Wiem – odpowiedział Locklear, spojrzawszy na niego.

– Ruszajmy do LaMut.

LaMut górowało nad drogą wiodącą na południe. Każdy, kto podążał z Yabonu do Ylith, musiał albo przekroczyć jego bramy, albo okrążając miasto od wschodu, długo wędrować pośród stromych pagórków.

Miejskie przedmieścia rozciągały się na wszystkie strony, a stare miejskie mury były teraz niemal bezużyteczne, bo każdy z napastników bez trudu mógłby się na nie wspiąć po dachach przylegających do nich budynków.

Trzej wędrowcy dotarli do przedmieść przed zmrokiem, głodni, zmęczeni i na obolałych stopach.

– Księciu Kasumi pokażemy sięjutro – zdecydował Locklear.

– A czemu nie dziś? – spytał Owyn. – Nie pogardzę łóżkiem i kolacją w zamku.

– Bo zamek jest tam – powiedział Locklear, wskazując dość odległą fortecę, rozpartą wysoko na wzgórzu nad miastem – będziemy się musieli tam wlec dwie godziny... a w tym kierunku – pokazał bramę – jest dość tania oberża... i możemy w niej być za minutę.

– Czy wasi krajanie nie będą się sprzeciwiać mojej obecności? – spytał Gorath.

– Owszem... jeżeli domyśla się, kim jesteś. Mogą cię jednak wziąć za elfa z Elvandaru... i wtedy będą się tylko gapili. No, chodźcie. Złupiliśmy dość złota, by kupić za nie przynajmniej jeden wygodny nocleg dla wszystkich. Rano pokażemy się Earlowi i zobaczymy, czy będzie mógł zapewnić nam bezpieczny przejazd do Krondoru.

Wkroczyli do miasta obserwowani przez znudzonych strażników. Jeden z nich różnił się od towarzyszy – był niższy i zachowywał się bardziej rzeczowo niż inni. Locklear uśmiechnął się i pozdrowił strażników kiwnięciem głowy, po czym wszyscy trzej szybko przeszli przez bramę. Niedaleko od wartowni zobaczyli oberżę, nad wejściem której wisiał znak – jaskrawoniebieskie koło wozu.

W gospodzie zastali tylko kilku gości i bez trudu przedostali się do stołu w głębi, pod ścianą. Zaraz też podeszła do nich młoda dziewczka służąca,

przyjęła zamówienie, na które składały się piwo i posiłek, a potem znikła w kuchni. I wtedy Locklear zauważył, że od przeciwległego stołu ktoś mu się przygląda.

Dość szybko odkrył, że obserwujący go jegomość nie był człowiekiem, ale krasnoludem. Podchwyciwszy spojrzenie Lockleara, krasnolud wstał i ruszył ku niemu przez izbę. Jego oblicze przecinała wielka blizna, zaczynająca się nad lewym okiem. Zbliżywszy się, krasnolud podparł się pod boki i zagrzmiął tubalnym głosem:

– Poznajesz mnie, Locky?

Zagadnięty natychmiast przypomniał sobie, że kiedy ostatnio widział pytającego, ten nie miał jeszcze blizny na gębie.

– Dubal! A jakże! Przedtem nie miałeś tej krechy...

Krasnolud usiadł na ławie obok Owyna, naprzeciwko Goratha.

– Zarobiłem ją w bitwie przeciwko jego krewniakom – wskazał moredhela – i niech mnie smok kopnie, jeśli będę się z tym krył!

– Po bitwie pod Sethanonem Dubal wykopał mnie z jednej piwnicy – wyjaśnił Locklear.

– O ile mnie pamięć nie myli, byłeś tam z całkiem niebrzydką dziewczką – wtrącił jowialnie Dubal.

– O... ona tam trafiła zupełnie przypadkowo. – Wzruszył ramionami Locklear.

– Ale zechciej mi powiedzieć – ciągnął krasnolud – co też szlachcic z książęcego dworu robi w LaMut z wodzem moredhelów? – Mówiąc te słowa, Dubal zniżył głos, ale Owyn rozejrzał się dookoła, by sprawdzić, czy pytania nie usłyszał ktoś jeszcze.

– Znasz mnie? – spytał Gorath.

– Znam twoją rasę, bo jesteście nieprzyjaciółmi mojego ludu. Poznaje też twoją zbroję. Człek mógłby tego nie spostrzec, ale my z Szarych Wież

walczyliśmy z wami dostatecznie długo. Żaden z nas nie pomyliłby cię z mieszkańcem EWandaru. Gdyby nie twoi towarzysze, już ległbyś z mojej ręki.

Locklear podniósł dłoń w pojednawczym geście.

– Uznam to za osobistą przysługę, a myślę, że Księżę Arutha poprzemnie w tym względzie, jeżeli uznasz osobę siedzącą na lewo ode mnie za elfa.

– Myślę, że da się to załatwić. Ale po wszystkim musisz przybyć do Szarych Wież i opowiedzieć mi całą tę historię...

– Jeżeli tylko będę mógł – odparł Locklear. – Powiedz nam jednak, co ciebie sprowadza do LaMut?

Mieliśmy kłopoty w naszych kopalniach... zawalił się strop. Niektórzy utknęli po tej stronie Szarych Wież, a ja przybyłem do miasta po zapasy. Wynająłem wóz i rankiem wracam w góry. Na razie zaś siedzę tu, piję, i gadam z niektórymi Tsurani mieszkającymi w LaMut. Bijąłem się z nimi podczas wojny, ale okazało się, że twardy to narodek. – Krasnolud wskazał szynkwasa. – Ten wysoki jegomość–Locky stłumił uśmiech, ubawiła go bowiem myśl, że ktoś mógłby nazwać „wysokim” któregokolwiek z Tsurńczyków – to Sumani, właściciel tej oberży. Potrafi bardzo ciekawie opowiadać o czasach, jakie spędził na służbie w Tsurani... i niech mnie byk powącha, jeżeli nie brzmi to prawdziwie.

– Dubał – zaśmiał się Locklear – większość znanych mi Tsurńczyków nie lubi i nie umie łąć.

– Tak mogłoby się wydawać... ale nigdy nic nie wiadomo. Sam biłem się z tymi wielkimi robalami, Choja, ale niektóre z jego opowieści... cóż, niełatwo mi w nie uwierzyć.

Pojawiła się służąca z piwem i zamówionymi potrawami, przybysze zajęli się więc jedzeniem i piciem.

– A teraz – odezwał się Dubal po długiej chwili milczenia – może mi powiecie, co was tu sprowadza?

– Nie – odpowiedział Locklear – ale zapytamy za to, czy nie widziałeś tu kręcących się po okolicy Quegan?

– Jeśli wierzyć plotkom, to dwa dni temu przybyła tu całkiem spora ich grupka. Przyjechałem niedawno i zajęty byłem szukaniem potrzebnych nam materiałów i narzędzi. Czy nie uważacie, że ci Queganie zabłąkali się dość daleko od domu?

– Można by tak rzec – odparł Locklear. – Wpadliśmy na kilku... i ciekawi nas, czy tamci nie mieli przyjaciół.

– No... zgodnie z tym, co mówiono, wszyscy zmierzali gdzieś na północ, więc jeżeli nie wytępiliście wszystkich, to gdzieś tu powinni być ich kompani.

– Tak właśnie myślałem – stwierdził Locklear.

Przez chwilę przybysze w milczeniu pochłaniali zawartość talerzy, a Dubal popijał swoje piwo.

– A czy przypadkiem nie natknęliście się na jednego z tych łowczych potworów z Armengaru?

– O jakich łowczych on mówi? – spytał Owyn.

O Łowczych Bestii – odpowiedział Locklear. – Kiedyś spotkałem jednego z nich. – Uśmiechnął się, wspominając przeszłość. Uciekali z Księciem Aruthą przed bandą moredhelów i natknęli się na Łowczego Bestii z Armengaru z jego Bestią. Była to pułapka, ale dzięki niej umknęli ścigającym ich moredhelom. – Nie, myślę, że tamci pozostali wśród wzgórz w północnym Yabonie. A dlaczego pytasz?

– Och, w kopalni pojawił się Brak Nurr i potrzebujemy kogoś, kto mógłby go wytropić... Potem sami się nim zajmiemy. Moglibyśmy

odbudować kopalnię albo zapolować na stwora, ale jest nas niewielu i obu rzeczy naraz nie zdołamy zrobić.

– Kim lub czym jest Brak Nurr? – spytał O wyn. – Nigdy nie słyszałem o takim stworzeniu.

– O... nie są groźne, choć potrafią dokuczyć i narobić szkód – stwierdził Dubal. – Głupie, co się zowie... ale przeważnie trzymają się najniższych szybów i tuneli pod górami. Z grubsza są człekokształtne, ale najbardziej przypominają ruchome stosy skalnych okruchów. Po części dlatego właśnie potrafią być tak niebezpieczne, chłopcze – wyjaśniał krasnolud. – Nie zobaczysz żadnego, dopóki nań nie nadepniesz... a wtedy zwykle robi się niemilo. Wolne i niezdarne jednym ciosem pięści mogą rozbić człowiekowi czerep. Ten, o którym mówiłem, wyłonił się z obsuwających się skał... ale niezależnie od tego, co go obudziło, dokuczył już kilku chłopakom. Przepędziliśmy go, ale nie mamy czasu, by załatwić sprawę raz na zawsze. Gdybyście chcieli się trochę rozerwać, to mogę was zabrać ze sobą. Jeżeli uporacie się z nim, zadbam o to, żebyście nie odeszli bez sowitej nagrody.

– Nagroda? Zawsze rad słyżę to słowo, ale tym razem nie mamy czasu. Jeżeli kiedyś los nas zawiedzie do waszych kopalni, z chęcią pomożemy, ale teraz zmierzamy na południe.

– Rozumiem. – Dubal wstał i zaczął się żegnać. – Kiedy podeprzemy stropy chodników, rozejrzemy się za bestią. Teraz udam się na spoczynek, bo rano muszę wczesnie wstać. Miło było znów was zobaczyć, mości giermku, nawet w takim jak teraz towarzystwie. – Brodą wskazał Goratha. – Niechaj sprzyja wam szczęście.

– I tobie, Dubalu.

Gdy Locklear uporał się z jedzeniem, wstał i podszedł do oberżysty.

Właściciel gospody miał na sobie skrojone na modłę Królestwa kurtkę i spodnie, których nogawki wetknął w wysokie cholewy butów z koźlej

skóry. Nosił też grubą wełnianą opończę. Jej kaptur odrzucił w tył, choć wedle tsurańskich miar w izbie było dość zimno.

– Panie? – odezwał się do Lockleara, a w jego głosie pobrzmiewał akcent charakterystyczny dla mieszkańców Królestwa.

– Honor waszemu domowi – rzekł młody szlachcic w tsurańskim.

Oberżysta uśmiechnął się i rzekł coś, czego Locklear nie rozumiał, wzruszył więc ramionami.

– Przykro mi, ale to wszystko, co umiem rzec w waszej mowie.

Oberżysta uśmiechnął się jeszcze szerzej.

– To i tak więcej niż prawie wszyscy tutaj. Ale wy nie jesteście tutejsi...
– zauważył.

– Prawda. Nauczyłem się nieco od waszych pod Sethanonem.

– Aaa. – Kiwnął głową Tsuranńczyk. Niewielu z tych, co byli pod Sethanonem, mówiło o bitwie, a to głównie dlatego, że nikt z tych wydarzeń nic nie rozumiał. W decydującym momencie obie armie, obrońcy i najeźdźcy, ni stąd, ni zowąd wpadły w panikę i wszyscy żołnierze rzucili się do ucieczki. Na niebie pojawiła się kolumna zielonej poświaty i jeszcze coś... a potem środek miasta legł w gruzach. Ludzie padali ogłuszeni, a wielu straciło słuch. Nikt nie był pewien, co się naprawdę wydarzyło, wszyscy jednak byli zgodni, że zostali świadkami starcia magicznych mocy. Większość podejrzewała, że miał w tym swój udział Pug, mag i przyjaciel księcia Aruthy, nikt jednak wie wiedział niczego pewnego.

Locklear nie brał udziału w głównej części bitwy, bo ukrywał się w jednej z miejskich piwnic. Słyszał jednak dość od naocznych świadków i wyrobił sobie własny pogląd. Pomiedzy tymi, co przeżyli bitwę, wytworzyła się zresztą szczególna więź, niezależnie od tego, gdzie się urodzili, ponieważ trzeba było wspólnego wysiłku żołnierzy Królestwa,

Tsurańczyków i nawet Keshan, by przepędzić moredhelów i sprzymierzone z nimi gobliny z powrotem na Ziemię Północne.

– Powiedziałem – wyjaśnił oberżysta – „Honor waszemu domowi” i „Witajcie w Oberży Błękitnego Kręgu”.

– Błękitny Krąg? To zdaje się jedna z waszych partii politycznych, prawda?

Oberżysta odsłonił w uśmiechu równe, białe zęby. Jego czarne oczy zaśmiały wesoło w świetle latarni.

– Sporo o nas wiecie! – Wyciągnął dłoń na modłę Królestwa i rzekł: – Jestem Sumani. Jeżeli lub moi słudzy możemy coś dla was zrobić, wystarczy że wyrazicie życzenie...

Locklear potrząsnął dłonią Tsurańczyka.

– Zjemy posiłek, jaki nam podacie, a potem poprosimy o izbę na noc. O świcie trzeba nam pokazać się na zamku.

– Szczęście wam sprzyja, przyjaciele – odpowiedział krępy gospodarz. – Jeszcze wczoraj musiałbym wam odmówić i znieść wstyd, bo nie mogłbym sprostać waszym żądaniom. Wszystkie miejsca były zajęte... ale dziś dość liczna grupa wędrowców zwolniła izby. – Sięgnął pod ladę i wyjął ciężki, kuty w żelazie klucz. – W moim ojczystym świecie wart byłby fortunę... a tu to tylko narzędzie.

Locklear, który wiedział o tym, jaką rzadkością były na Kelewanie wszelkie metale, kiwnął głową i wziął klucz w dłoń.

– Liczna grupa, mówicie?

– Owszem – przytaknął Sumani. – Obcy... z Queg, jak sadzę. Mówili z osobliwym akcentem.

Locklear rozejrzał się dookoła po oberży, w której nie brakowało gości.

– Jak to się stało, że wojownik Tsurani został oberżystą w LaMut?

Po wojnie Earl Kasumi tym z nas, którzyśmy ugrzęźli po tej stronie przetoki, dał możliwość przyjęcia obywatelstwa Królestwa. Kiedy przetokę otwarto ponownie, pozwolił nam wybierać... mogliśmy porzucić służbę tutaj i wrócić do posiadłości Shinzawai na Kelewanie. Większość jednak została, a pozostali wrócili tam, by służyć pod ojcem Kasumiego, Lordem Kamatsu. Niewielka grupka naszych osiadła tu, w LaMut. Ja, na przykład, nie zostawiłem tam rodziny. – Sumani rozejrzał się dookoła. – I godzi się powiedzieć, że żyje mi się tu lepiej niż w domu. – Skinieniem dłoni wskazał drzwi kuchni, za którymi wysoka, krzepka niewiasta przygotowywała kolację. – Ot, pojąłem tu żonę. Mamy dwoje dzieci. Żyje mi się dobrze. Zaciągnąłem się do miejskiej milicji, więc wciąż mogę ćwiczyć szermierkę. Bogowie obu światów są dla mnie łaskawi... i nie narzekam. Odkryłem zresztą, że prowadzenie oberży jest równie interesujące jak wojaczka.

Locklear uśmiechnął się lekko.

– Nigdy nie miałem głowy do interesów, choć prawda, że mi mówiono, iż często nie różni się to za bardzo od prowadzenia wojen. O czym tu się plotkuje?

– A... plotki są rozmaite – odpowiedział weteran. – W ostatnim miesiącu w LaMut gościło wielu przejezdnych. To ciekawe. W zeszłym tygodniu przeszła tędy liczna grupa Wielkich. Mówi się też o tym, że nieopodal miasta widziano grupę bandytów z mojej ojczyzny... Szarych.

– Szarzy? – spytał Locklear. – Bezpańscy wojownicy? A cóżby oni mieli do roboty w LaMut?

Sumani wzruszył ramionami.

– Być może pozbawieni honoru usłyszeli, że tutaj człek może się wybić własną przemyślnością czy dzielnością i nie ciąży mu niskie urodzenie? A

może szukają bogactwa? Któż może wiedzieć, co strzeli do łba Szarym? – I nagle stary Tsuranczyk zmarszczył brwi.

– Co takiego? – spytał Locklear.

– Przyszło mi go głowy, że na Kelewanie przetoka jest kontrolowana przez tych, którzy są na usługach Wielkich, a po tej stronie strzegą jej żołnierze Królestwa. Aby przejść, ci Szarzy musieli mieć odpowiednie dokumenty... albo sprzymierzeńców pośród strażników portalu.

– Łapówki? – spytał Locklear.

– Tutaj... owszem, możliwe. Odkryłem, że pojęcie honoru w Królestwie różni się nieco od tego, jak je rozumiemy u nas. Ale zdrada sługi któregoś z Wielkich? – Stary wojownik potrząsnął głową. – To niepodobieństwo.

– Dzięki za opinię – odpowiedział Locklear, choć wszystko to brzmiało bardzo zagadkowo. – Będę miał oczy i uszy otwarte.

Tsuranczyk parsknął śmiechem.

– Zabawnie to brzmi – zauważył. – Jeżeli będę mógł wam w czymkolwiek pomóc, zechciejcie mi powiedzieć.

Locklear kiwnął głową i wzięwszy od oberżysty latarnię, wrócił do stołu. Gorath i Owyn wstali, a młody arystokrata powiódł kompanów schodami do izby z czterema łózkami. Skinąwszy na Owyna, zajął się z jego pomocą przesuwaniem jednego z łóżek, podpierając nim drzwi na wypadek nagiej napaści. Potem przepchnął drugie pod okno.

– Owynie. – Wskazał łóżko pod oknem. – To twoje miejsce.

– Dlaczego moje? – spytał młody człowiek. – Od okna ciągnie chłodem.

Gorath spojrział nań z nieznacznym grymasem, który przy odrobinie dobrej woli można byłoby uznać za cień uśmiechu, a potem odpowiedział za Lockleara:

– Bo jak ktoś wlezie przez okno, nadeptnie na ciebie i twój wrzask nas obudzi.

Owyn mruknął coś niezbyt przyjaznego, ale owinął się opończą i położył. Locklear wskazał Gorathowi inne łóżko. Mroczny elf legł na nim bez słowa komentarza. Młody szelma usiadł na swoim łóżku i zdmuchnął płomień, pogrążając izbę w ciemnościach. Z dołu dobiegały odgłosy ze wspólnej izby i Locklear zaczął rozmyślać o wszystkim, czego się dowiedział. Niepokoiły go wieści o obecności cudzoziemców, ataku quegańskich piratów, a także plotki o tsurańskich Szarych wojownikach... w końcu jednak zmęczenie wzięło górę i młodzik szybko pogrążył się we śnie.

ROZDZIAŁ 2

ЖИВОДНИЦЗУ РУЦБ

Żołnierz skinął dłonią i rzekł do Lockleara:

– Możecie wejść.

Locklear wprowadził towarzyszy do pałacowej wartowni.

Do zamku dotarli pieszo, po dość długim, trwającym cały ranek podejściu krętą drogą z miasta. Młody człowiek rad był ogromnie temu, że noc spędzili w mieście. Wciąż jeszcze bolały go żebra, ale po nocy spędzonej na w miarę wygodnym łożu i dwu posiłkach czuł się dwakroć lepiej niż wczoraj wieczorem.

– Imć Locklear, prawda? – spojrzał nań bacznie oficer dowodzący zmianą.

– Owszem, kapitanie Belford – odpowiedział Locklear, przyjmując podaną mu dłoń. – Poznaliśmy się kilka miesięcy temu... kiedy jechałem tędy na północ.

– Taaa... przypominam sobie. – Kapitan z trudem ukrył uśmiech. Locklear zrozumiał, że dotarli już do niego wieści o powodach jegobanicjina Północ. – Czym mogę waści służyć?

– Chciałbym zobaczyć się z Earlem... oczywiście jeżeli może mi poświęcić chwilkę czasu.

– Jestem pewien, że chętnie przyjąłby was, niestety, nie masz go w zamku – odpowiedział stary wojak. – Wyjechał z jakąś misją, zabierając swoich przybocznych... samych Tsuranńczyków... i zostawił wszystkie sprawy na mojej głowie.

– A jego małżonka? – spytał Locklear.

– Jest w mieście... załatwia jakieś zakupy, a przy okazji postanowiła odwiedzić rodzinę. – Earl Kasumi raczył poślubić córkę jednego z majątniejszych kupców w LaMut. – Mości giermku, jeżeli to sprawa oficjalna, trzeba ci będzie poczekać na powrót Earla Jub jego małżonki... ale możecie zdać się na mnie. Mogę załatwić każdą sprawę... chyba że zechcecie zbrojnej eskorty.

– A ja właśnie chciałem poprosić o kilku ludzi, którzy mogliby nas odwiedzić do Ylith. – Locklear skrzywił się.

– Mości giermku, rad bym wam usłużył, i gdybyście mieli pisemny rozkaz Księcia, byłbym zebrał dla was kilka szabel, ale przy obecnym stanie spraw, kiedy Earl zabrał swoich i ruszył szkolić rekrutów, ja musiałem rozesłać patrole wedle granic... a ci, co zostali, zajęli się łowieniem tych tsurańskich renegatów.

– O jakich renegatach mówicie? – spytał Owyn. Locklear nie wspomniał swoim towarzyszom o Szarych.

– A, owszem, słyszało się plotki... – mruknął młody szlachcic.

– Kapitan skinieniem dłoni zaprosił całą trójkę, by usiedli, ale dla Owyna zabrakło krzesła. „Chciałbym, żeby się okazało, że to tylko plotki – stwierdził Belford. – Znacie tego tsurańskiego maga, Makalę?

– Tylko ze słyszenia – odparł Locklear. – Pojawił się podobno w Krondorze, kilka tygodni po tym jak musiałem... eee... wyjechać. Mówili o nim inni tsurańscy Wielcy, ale nie słyną oni z rozmowności, więc niemal niczego się nie dowiedziałem. Ma być podobno osobnikiem wielce wpływowym w ich Zgromadzeniu, sprzyja rozwojowi handlu i temu, co Książę nazywa „wymianą kulturalną” pomiędzy Królestwem i Imperium Tsurani. Wiem, że wybierał się do nas z wizytą.

– Urzeczywistnił ten zamiar – stwierdził kapitan. – Przybył kilka dni temu i zażądał audiencji u Earla. Robi to zresztą każdy znaczniejszy Tsurarczyk, ponieważ ojciec naszego Earla jest w ich rodzimym świecie nie lada figurą. To swego rodzaju powinność. – Stary oficer potarł podbródek obleczone w rękawicę dłonią. – Tsurarczycy są narodem wielce obowiązkowym i przykładającym wielką wagę do powinności, czego się dowiedziałem podczas lat spędzonych w służbie u Earla. Tak czy owak bawili tu kilka dni, ten Makala, kilku innych Wielkich, ich straż przyboczna i tragarze... tyle że wydaje mi się, iż niektórzy z tragarzy tak naprawdę nie byli tragarzami, ale jakimiś bezpańskimi wojownikami z Imperium.

– Szarzy wojownicy – stwierdził Locklear. – Słyszałem o nich. – Młody szlachcic pomyślał, że to mogłoby wyjaśnić, w jaki sposób przebrani za tragarzy Szarzy przedostali się przez portal.

– To ich właśnie szukają moi ludzie. Podobno schronili się na wschodzie. Jeżeli przedrą się przez góry i trafią do Mglistej Kniei Dimwood, nigdy ich nie odnajdziemy.

– Ale jaki jest powód waszych utrapień? – spytał Owyn. – Gdyby byli zbiegłymi niewolnikami czy robotnikami kontraktowymi, to jeszcze mógłbym zrozumieć...

– Mości giermku? – zwrócił się kapitan do Lockleara.

– Przedstawiam waści syna Barona Timons – wyjaśnił zapytany.

– Rzecz w tym, paniczu – zaczął kapitan – że ci ludzie są kimś w rodzaju banitów w swoim własnym świecie, co samo w sobie nie byłoby wystarczającym powodem wszczęcia poszukiwań, ale ukradli Makali coś cennego... rzadki rubin, jak się domyślam... a ten robi wokół sprawy tyle hałasu, że można by pomyśleć, iż pożyczył go od jakiegoś boga i wkrótce musi go zwrócić. Tak więc Earl, po części z wrodzonej uprzejmości, a po części dlatego, że sam jest Tsurararczykiem i przywykł do podskakiwania,

gdy jeden z tych Czarnych choćby kłaśnie w dłonie, kazał nam przeszukać wzgórze i wyłapać tych nieprawych synów.

Locklear uśmiechnął się do Owyna, jakby pytał wzrokiem, czy uzna wyjaśnienia za wystarczające. Kapitan zaś spojrział na Goratha, jakby się spodziewał, że moredhel coś powie, ten jednak zachował milczenie. Locklear nie wiedział, czy oficer rozpoznał moredhela, czy uznał go za elfa, ale doszedł do wniosku, że tak czy owak niczego nie warto wyjaśniać.

– A dlaczego uważacie, że przydałaby się wam eskorta, jeżeli wolno zapytać? – odezwał się kapitan.

– Mieliliśmy pewne trudności – odpowiedział Locklear. – Ktoś wynajął ąegariskich rzezimieszków, bo nie chce, byśmy dotarli do Kronodoru.

Kapitan ponownie pogładził brodę i milczał przez długą chwilę, rozważając to, co usłyszał.

– Oto, co mogę dla was zrobić – odezwał się wreszcie. – Muszę wysłać patrol na granicę z Wolnymi Grodami. Mogę go posłać z wami aż do miejsca, w którym żołnierze będą musieli zawrócić na zachód, a więc do połowy drogi pomiędzy LaMut i Zun. Zapewni to choćby częściowe bezpieczeństwo.

– Mam chyba lepszy pomysł – stwierdził Locklear po chwili milczenia.

– Jaki? – spytał Belford.

– Gdybyś waszmość znalazł trzech ludzi, którzy byliby do nas nieco podobni, a ci wyjechałyby ostentacyjnie przez południową miejską bramę, udając oczywiście, że nie życzą sobie czyjegoś zainteresowania, my moglibyśmy tymczasem wymknąć się na wschód i przedostawszy się przez góry, ruszylibyśmy do Kronodoru starym górskim traktem... gdzie nikt się nas nie będzie spodziewał.

– Jednym słowem chcecie zmylić trop prześladowcom?

– Nauczyłem się tego od Księcia – stwierdził giermek. – Wykorzystał ten podstęp podczas Wojen Rozdarcia Światów. Jeżeli zdołacie odwrócić uwagę tych, co nas tropią, na czas dostatecznie długi, byśmy przebrnęli przez góry, będziemy bezpieczni.

– Mogę to zrobić. – Kapitan spojrzał na Owyna i Goratha. – Mam ludzi, których można by wziąć za was... i mam takiego, który ujdzie za waszego przyjaciela, elfa... o ile tylko ukryje głowę pod kapturem. – Oficer wstał zza stołu. – Zaczekajcie, aż wydam rozkazy, by patrol wyjeżdżający pod wieczór zatrzymał się przy waszych kwaterach. Gdzie stanęliście? – Spojrzał na trójkę wędrowców.

– W obozisku Pod Błękitnym Kołem.

Belford uśmiechnął się lekko.

– A, u Sumaniego. Nie dajcie się zwieść jego uśmiechniętej głowie... bywały z niego i bezwzględny jegomość. Jeżeli będziecie mieli czas, poproście go, by wam pokazał kilka ze swoich wybornych sztuczek przydatnych w walce. On nie ma niczego przeciw temu, by nieco zarobić. Szkoda, że nie zechciał zostać w służbie.

Kapitan wyszedł, ale wrócił chwilę później.

– No, wszystko załatwione. Wracajcie do miasta i zachowujcie się tak, by zobaczyli was wszyscy, którzy mogliby was śledzić. Do wieczora siedźcie cicho, a potem zejdźcie do stajen – będą tam na was czekały trzy konie pod wierzch. Oto przepustka. – Stary podał Locklearowi skrawek pergaminu. – Jeżeli w drodze na wschód zatrzyma was któryś z naszych, pokażcie mu ten świstek. Locklear wstał.

– Dziękujemy, kapitanie, ogromnie nam pomogliście. Jeżeli będę mógł coś dla was zrobić, gdy zjedziecie do Krondoru, to wystarczy, że powiecie.

Stary wojak ponownie się uśmiechnął i potarł dłonią podbródek.

– No... moglibyście choćby przedstawić mnie tej młodej żonie kupca, przez którą, jakem słyszał, musieliście opuścić Krondor...

Owyn wyszczerzył wszystkie zęby, Gorath zachował kamienną twarz, a Locklear potężnie się zaczerwienił.

– Zobaczę, co da się zrobić.

Wszyscy trzej wstali i wyszli z wartowni.

– Pójdziemy pieszo? – spytał Owyn.

– Pieszo – odpowiedział Locklear, kiedy zmierzali ku głównej bramie zamku. – Ale teraz będziemy schodzić.

– Co w zasadzie jest jeszcze bardziej męczące – zauważył Gorath.

– To miał być żart – sapnął wściekle Locklear.

– Co ty powiesz? – odpowiedział Gorath. W jego głosie było tyle szczerzego zdziwienia, że Owyn dopiero po chwili zorientował się, iż mroczny elf pokpiwa sobie z Lockleara. Sam zachował kamienną twarz i wszyscy ruszyli ku miastu.

Gdy Locklear wślizgnął się do izby, Gorath podniósł się na łokciu, natomiast Owyn podskoczył jak oparzony.

– Gdzieś był?

– A... rozejrzałem się tu i ówdzie. Może lepiej byłoby nie wychylać nosa, ale tak mnie swędziało...

Gorath spojrzał nań uważnie, ale wciąż się nie odzywał.

– Swędziało? – spytał Owyn.

Myślę, że to wynik wielu lat przebywania w złym towarzystwie. – Uśmiechnął się. – Pogłoski o tych szarych wojownikach i o kradzieży jakiegoś cennego przedmiotu należącego do jednego z Wielkich Tsurani nie dawały mi spokoju. Gdybym miał coś ukraść na innym świecie, jak powinienem się zabrać do zamiany łupu na gotówkę?

– To zależy od tego, co byś ukradł – odpowiedział Owyn.

Gorath kiwnął głową, ale dalej milczał.

– Musiałbym wiedzieć, do kogo zwrócić się tutaj... potrzebny byłby mi ktoś, kto potrafi się pozbyć cennego przedmiotu.

– A ty, oczywiście, doszedłeś do wniosku, że potrafisz znaleźć tego kogoś w nie znanym mieście... a potem podążając jego tropem, dotrzesz do tych złodziejasków? – spytał Gorath.

– Nie. – Locklear machnął dłonią, dając moredhelowi do zrozumienia, że nic sobie nie robi z kąśliwego tonu, jakim ten skwitował jego rewelacje. – Kapitan powiedział, że skradziono cenny klejnot, co mnie nie dziwi, bo tych nie brakuje na Kelewanie. Nie masz tam zresztą wielu przedmiotów cennych i łatwych do ukrycia, za które tu można dostać wysoką cenę. Tak więc pomyślałem sobie, że najlepszy sposób na odnalezienie tego klejnotu, to dowiedzenie się, gdzie może wypłynąć.

– U jakiegoś pasera?

– Nie. Jeżeli ten rubin jest tyle wart, że grupa desperatów może z nim zacząć nowe życie w obcym świecie, nabywca musi mieć jakieś legalne przedsiębiorstwo, w dodatku takie, które pozwoli mu ukryć przewiezienie klejnotu.

– Wygląda na to, że o tego rodzaju sprawach wiesz znacznie więcej, niż przystoi szlachcicowi o twojej pozycji społecznej – zauważył Gorath.

– Mówiłem już, że przebywałem w złym towarzystwie. Wracając do rzeczy... po postawieniu kilku kolejek dowiedziałem się, że jest tu pewien kupiec, o wątpliwej reputacji, który zajmuje się sprzedażą i kupnem klejnotów i innych drogocennych przedmiotów. Niejaki Kiefer Alescook.

– Kto ci o tym powiedział? – spytał Owyn.

Żeby nie zełgać... nasz gospodarz – odpowiedział Locklear, dając gestem znak, że powinni się już wynosić. Zabrali więc swoje tobołki i zeszli po schodach do wspólnej izby, gdzie pożegnali gospodarza i skierowali się ku

drzwiom. Gdy wyszli na zewnątrz, Locklear powiódł ich za róg na dziedziniec przed stajniami, które przylegały do oberży. Kiedy przeszli przez drzwi, stanęli oko w oko ze swoimi trzema sobowtórami.

– Zmieniamy opończe, a żywo! – polecił jeden z sobowtórów.

Każdy z wędrowców miał swojego zmiennika i szybko dokonano zamiany. Jeżeli nawet mężczyzna, któremu przyszło udawać Goratha, żywił jakieś podejrzenia dotyczące jego tożsamości, zatrzymał je dla siebie i po prostu podał moredhelowi obszerną niebieską opończę, biorąc jego szary płaszcz. Pozostali też szybko dokonali zamiany i Locklear ujął wodze jednego z wierzchowców.

Gdy trzech zmiennicy znaleźli się w siodłach, łoskot końskich kopyt o uliczny bruk oznajmił przybycie patrolu, który wieczorem miał wyruszyć do Zun.

– Mości giermku! – zagrzemiał dowodzący grupą sierżant, – Mamy was zabrać na południe!

– Już, już! – zawołał Locklear, podejmując grę podoficera.

– Jesteśmy gotowi. – Kiwnął dłonią i trójka przebierańców wyjechała na zewnątrz, dołączając do szyku. Odczekał jeszcze kilka minut. – Owyn! – odezwał się wreszcie. – Wyjeżdżasz, skręcasz w lewo i ruszasz prosto ku bramie. Przejeżdżasz milę i kryjesz się w lesie. Gorath i ja pojedziemy za tobą, tyle że pojawimy się po kilku minutach.

Gorath kiwnął głową, aprobując plan Lockleara.

– Jeśli nawet ktoś został i obserwuje oberżę, nie zobaczy trzech jeźdźców naraz.

Locklear kiwnął głową, Owyn zaś powiedział:

– Potrzyjmy to, proszę. – Podał Locklearowi swoją pałkę, wspiął się na siodło i usadowiwszy się wygodnie, odebrał dębową lagę. Zręcznym

ruchem przełożył ją sobie przez ramię, zatknął z tyłu za pas i przekręcił tak, by wystając zza pleców, nie przeszkadzała zbyt ani jemu, ani koniowi.

Gorath wspiął się na siodło z równą łatwością, choć widać było, że koń nie jest jego ukochanym zwierzęciem.

– Dawno nie byłeś w siodle? – spytał Locklear, gdy Owyn wyjechał na ulicę.

– W istocie... gdzieś tak ze trzydzieści lat.

– W Krajach Północnych nie masz chyba zbyt wielu koni?

– W Krajach Północnych niczego nie masz w nadmiarze – odparł Gorath bez śladu goryczy w głosie.

– A, owszem... pamiętam – odpowiedział młody szlachcic.

– Pod Armengarem ponieśliśmy ciężkie straty. – Kiwnął głową Gorath.

– Nie dość ciężkie – stwierdził Locklear z przekąsem. – Nie powstrzymały was przed atakiem na Highcastle.

– Jedźmy. – Gorath uniósł lekko brodę, wskazując kierunek. Nie czekając na towarzysza, spiął konia i wyjechał na ulicę.

Locklear nie dał na siebie czekać i po krótkim wahaniu ruszył za moredhelem. Szybko dogonił kompana, którego zresztą zatrzymywał ruch pieszych, spory na drodze o tej porze. Ludzie spieszyli do domów na kolację, a właściciele kramów już je zamykali. Ku oberży zdążali też wracający ze szlaku podróżni, głodni i spragnieni. Na rogach pojawiły się też pierwsze kobiety lekkich obyczajów.

Ignorowani przez strażników Gorath i Locklear wyjechali przez bramę i ruszyli kłusem. Kilka chwil później zauważyli siedzącego na poboczu drogi Owyna.

Kiedy się doń zbliżyli, młodzieniec spojrział na nich i spytał:

– I co teraz?

Locklear wskazał pobliską kępę drzew.

– Rozbijemy tam obóz, nie rozpalając ognia, ale o świcie podjedziemy kilka mil na północ. Jest tam boczna droga, wiodąca ku kopalni na wschód i przez góry. Przedostaniemy się na drugą stronę, a na wschodnich stokach zawrócimy na południe. Przy odrobinie szczęścia uda nam się umknąć przyjaciołom, którzy będą nas wypatrywać po tej stronie gór, i bezpiecznie dotrzemy do Królewskiego Traktu na południe od Quester View.

– To oznacza, że wyjdziemy gdzieś niedaleko Lorieł, prawda? – spytał Owyn.

– Owszem. – Uśmiechnął się Locklear. – A przy okazji będziemy mogli odwiedzić Kiefera Alescooka.

– Ale dlaczego mielibyśmy zajmować się i tą sprawą? – spytał Gorath. – Powinniśmy jak najszybciej dotrzeć do Krondoru.

– Owszem, ale kilkuminutowa rozmowa z mistrzem Alescookiem może nam przynieść spore korzyści. Gdyby nam się udało znaleźć ten klejnot, zyskalibyśmy wdzięczność Księcia Aruthy. Jestem pewien, że chciałby on wszelkimi sposobami pomóc magom z Kelewanu.

– A jeżeli nic z tego nie wyjdzie? – spytał Owyn, gdy wszyscy ruszyli do pobliskiego zagajnika.

– To będę musiał wymyślić jakiś inny rozsądny powód, dla którego opuściłem Tyr–Sog bez jego zezwolenia i wróciłem z mizernym moredhelem i niezbyt przekonującą historyjką.

Owyn westchnął demonstracyjnie.

– To może wymyślisz przy okazji, co mam powiedzieć ojcu, kiedy wrócę do domu, a ja spróbuję znaleźć jakieś wytłumaczenie dla Księcia.

Usłyszawszy to, Gorath roześmiał się.

Locklear i Owyn spojrzeli na siebie ze zdumieniem. Młody giermek potrząsnął głową. Nigdy nie pomyślałby, że mroczne elfy mają poczucie humoru.

Nadciągała zima i w przełęczach, przez które przyszło im przejeżdżać, dął zimny wiatr, na wzniesieniach wśród skał zalegały już płachty śniegu, a koleiny szlaku wypełniał zdradliwy lód, na którym łatwo można było się poślizgnąć.

Jechali powoli. Owyn i Locklear owinęli się ciasno opończami. Gorath zaś zaciągnął kaptur i nie wyglądał na niezadowolonego.

– Długo jeszcze? – spytał Owyn, szcękając zębami.

– Pół godziny mniej od czasu, kiedy ostatni raz pytałeś – stwierdził Locklear.

– Mości giermku – rzekł Owyn. – Raczyłem zmarznąć.

– Doprawdy? – spytał Locklear. – Zdumiewające!

Nagle Gorath podniósł dłoń.

– Sza! – rzekł władczo. Cicho, ale dostatecznie głośno, by rozkaz usłyszeli j ego towarzysze, i nikt poza nimi. Potem pokazał dłonią kierunek.

– Pomiedzy skałami – szepnął.

– Co takiego? – spytał Locklear również szeptem. Gorath ponownie wskazał na skały. A potem podniósł dłoń z odgiętymi czterema palcami.

– Może to zwykłe opryszki – westchnął z nadzieją Locklear.

– Mówią moim językiem – odparł Gorath.

– To znaczy, że pilnują wszystkich dróg – szepnął Locklear.

– I co zrobimy? – spytał Owyn..

Gorath wyciągnął miecz.

– Pozabijamy wszystkich. – Z tymi słowy spiął konia. Locklear wahał się przez ułamek sekundy, a potem ruszył za towarzyszem.

Owyn sięgnął za plecy, wy dobył pałkę i wetknął ją sobie pod ramię niczym lancę, a potem uderzył piętami w końskie boki. Usłyszał okrzyk i jednocześnie mijając zakręt, wypadł na nieco szerszą kotlinkę. Jeden mroczny elf konał już pomiędzy kamieniami, a Gorath pędził dalej.

Pozostali trzej napastnicy nie zamierzali poddać się tak łatwo. Cofali się wyżej między skały, gdzie nie można było pognać koni. Locklear, ku zdumieniu Owyna, bez wahania skoczył z siodła na grzbiet jednego z uciekinierów, zrzucając go ze skały, na którą ten się wspinał.

Owyn zauważył, że z prawej strony jeden z wrogów szybko odwraca się i zdejmując łuk z pleców, sięga do kołczana po strzałę. Ponaglił konia i zamachnął się pałą, uderzając łucznika pod kolano. Ten wywinął kozła i rąbnął w kamień podstawą czaszki.

Wierzchowca Owyna spłoszył nagły ruch i młody mag stwierdził – dość dla siebie niespodziewanie – że spada z jego grzbietu.

– Aaah! – wrzasnął i uderzył plecami w coś bardziej miękkiego od kamieni. Zaraz potem usłyszał stłumione: – Uff! – i jęk, które go poinformowały, że leży na mrocznym elfie.

Usiadł jak oparzony, a potem cofnął się gwałtownie, wierzgając nogami. I nagle dostał kopniaka od własnego konia – zwierzę bowiem odwróciło się i ruszyło szlakiem w dół.

– Hola! – wrzasnął gniewnie, jakby mógł rozkazem zatrzymać spłoszonego wierzchowca.

Przypomniawszy sobie nagle, że walka jeszcze trwa, spojrzał na dwakroć powalonego, ale próbującego się podnieść moredhela. Rozejrzał się dookoła w poszukiwaniu jakiegoś oręża i zauważył leżący tuż obok łuk. Podniósłszy go w górę, z całej siły rąbnął przeciwnika w łeb. Drzewce pękło, a głowa moredhela opadła w tył. No, tym razem zyskał pewność, że wróg już sienie podniesie.

Odwrócił się i przekonał, że Locklear wstaje znad ciała martwego wroga, a Gorath zdążył się już uporać ze swoim rywalem. Moredhel odwrócił się i rozejrzał, jakby szukając kolejnego przeciwnika. Po chwili wsunął miecz do pochwy i stwierdził:

– Byli sami...

– Skąd wiesz? – spytał Locklear.

– To moi ziomkowie – stwierdził beznamiętnie. – To dość niezwykle, by choćby czterech czy pięciu moich współplemieńców zapuściło się tak daleko na południe od naszych ziem.

– A co oni tu robili? – spytał Locklear.

– Może na kogoś czekali...

– Na kogo? – spytał Owyn.

Gorath rozejrzał się dookoła. Poprzez promienie nisko już wiszącego nad horyzontem słońca wpatrywał się w odległe szczyty i skały po obu stronach szlaku.

– Nie wiem. Ale z pewnością na kogoś czekali.

– Gdzie twój koń, Owynie? – spytał Locklear.

– A... gdzieś tam. – Owyn niedbale machnął dłonią, wskazując za siebie.

– Spadłem z siodła...

Gorath uśmiechnął się lekko.

– Widziałem, żeś sobie wybrał osobliwe miejsce upadku. – Podbródkiem wskazał nieruchome zwłoki mrocznego elfa.

– Spróbuj go odszukać – odezwał się rozkazująco Locklear. – Jeżeli wróci do LaMut, będziemy musieli się zmieniać w siodle. Nie zamierzam jechać wolniej niż to konieczne.

– Dlaczego go po prostu nie zostawimy? – spytał Gorath, gdy młody mag pobiegł szukać swego wierzchowca.

Locklear przez chwilę patrzył w twarz moredhela, jakby chciał przeniknąć jego myśli, a w końcu powiedział:

– My tak nie postępujemy.

Gorath parsknął śmiechem.

– Moje skromne doświadczenia i znajomość twojej rasy każą mi sądzić, że jest zupełnie inaczej.

– W każdym razie... ja tak nie postępuję – odpowiedział Locklear z naciskiem na zaimek.

Gorath wzruszył ramionami.

– Z tym akurat mogę się zgodzić. – Powiedziawszy to, zajął się oględzinami trupa moredhela, zabitego przez Lockleara.

– To ciekawe – stwierdził po chwili, podając coś książęcemu giermkowi.

– A cóż to takiego? – spytał Locklear na widok wyszlifowanego w rozetę błękitnawego klejnotu.

– Śnieżny szafir.

– Szafir? – zdumiał się Locklear. – Jest wielkości jaja!

– Te klejnoty nie mają zbyt wielkiej wartości – stwierdził Gorath. – Na północ od Kłów Świata są dość pospolite.

– Więc po co zabierali je ze sobą? Jako oszczędności?

– Możliwe... choć kiedy jakaś drużyna opuszcza granice naszego kraju, moi ziomkowie zwykle zabierają ze sobą tylko broń, racje żywnościowe i zapasowe cięciwy do łuków. Potrafimy się wyżywić tym, co upolujemy lub znajdziemy...

– A może te zuchy nie wyprawiły się na wojnę? – podsunął Locklear. – Może gdzieś tutaj mają swoje siedziby?

Gorath potrząsnął głową.

– Ostatni z mojego ludu, którzy osiedlili się na południe od Kłów Świata, mieszkali w Szarych Wieżach... i z nadejściem Tsuranczyków uciekli na Ziemię Północne. Nikt z moich współplemieńców nie osiadł tak blisko Morza Goryczy, od czasów kiedy te góry zajęli żołnierze Królestwa. Nie... choć nie są członkami mego klanu, przybyli tu z Krajów Północnych.

– Gorath włożył klejnot do swej sakiewki i zajął się dalszym obszukiwaniem trupów.

Po jakimś czasie wrócił Owyn, prowadząc swego wierzchowca.

– Przekleństwo na wszystkie konie świata! – sarknął. – Kazał mi się gonić... aż mu się znudziło.

– No to następnym razem postaraj się utrzymać w siodle. – Uśmiechnął się Locklear.

– A co ty sobie wyobrażasz, że spadłem umyślnie? – zachnął się Owyn.

– Trzeba nam ukryć te trupy – odezwał się Gorath, wskazując dłonią ciała czterech martwych moredhelów. Podniósłszy jedno ze zwłok, przeszedł z nimi ku przepaści i bezceremonialnie cisnął je w mrok.

Wiążący akurat wodze swego konia do gałęzi pobliskiego krzaka Owyn spojrzał na Lockleara. Obaj chwycili jednego z nieboszczyków, jeden za nogi, drugi pod pachy.

Wkrótce wszystkie cztery trupy leżały na dnie rozpadliny, dobrą setkę stóp niżej. Nie znalazłszy odpowiedzi na pytanie, na kogo zaczaili się członkowie Bractwa Mrocznego Szlaku na tym odludziu, wędrowcy ruszyli dalej.

Loriel okazało się dość dużą osadą, którą można byłoby określić również jako niewielkie miasto. Leżało w głębi doliny ciągnącej się ku wschodowi. Sąsiednia dolina otwierała się też na południe.

– Trzeba nam żywności – odezwał się Gorath.

– Nie musisz mi o tym mówić... skargi mojego brzucha słyszeć chyba w Krondorze – odparł Locklear.

– Mości giermku – odezwał się Owyn – nie myślcie sobie, że mi spieszo do spotkania z ojcem... ale mam wrażenie, że nasza wędrówka się przedłuży.

Locklear wskazał dłonią południową dolinę.

– Ciągnie się tam droga, która prowadzi do Hawk's Hollow. Na miejscu będziemy mogli wybierać, czy skierujemy się wąską granią prosto na południe, czy zawrócimy na południowy zachód do Królewskiego Traktu.

– A potem do Krondoru? – spytał Gorath.

A potem do Krondoru – przytaknął Locklear. – Wiesz, jest coś, co mój przyjaciel Jimmy nazywa przecuciem nadciągających tarapatów, i to teraz czuję. Gorath, ten skradziony rubin, tsurańscy magowie... we wszystkim tym jest coś więcej niż zwykły zbieg okoliczności.

– Ale co? – spytał Owyn.

– Gdybym wiedział – odparł książęcy giermek – nie musielibyśmy się zatrzymywać, by odwiedzić imć Alescooka. Może coś wie albo zna kogoś, kto coś wie... im dłużej jednak myślę o tych wszystkich niewiadomych, tym bardziej martwi mnie fakt, że nie mamy pojęcia, co się za tym kryje.

– Ale się dowiemy... albo zginiemy, próbując się dowiedzieć.

Druga z możliwości nie uszczęśliwiła Owyna, ale się nie odezwał. Gorath przyglądał się uważnie miasteczku. Zbliźali się szybko do niewielkiego posterunku tuż obok drogi.

– Stać! – zagrzmiął miejski konstabl w podeszłym wieku i z potężnym brzuszyskiem. Wezwaniu towarzyszyło podniesienie ręki.

Trzej wędrowcy zatrzymali konie.

– O co chodzi? – spytał Locklear.

– Ostatnio w okolicy pojawili się jacyś łotrzykowie, paniczu, zechciejcie mi więc rzec, kim jesteście i dokąd jedziecie.

– Jedziemy na południe, a tutaj zamierzamy uzupełnić zapasy żywności – odpowiedział Locklear.

– I kimże to jesteście, wy, co się zjawiacie od gór?

Locklear wyjął dokument, który dał mu kapitan Belford.

– Mości konstablu... treść tego pisma wyjaśni tyle, ile wam trzeba wiedzieć.

Otyły strażnik wziął podany mu dokument i zmrużył oczy. Locklear natychmiast zorientował się, że konstabl nie umie czytać i tylko udaje, że bada treść glejtu. Przekonała go jednak duża, wisząca na taśmie pieczęć, oddał więc pergamin ze słowami:

– Możecie jechać, sir. Uważajcie tylko po zapadnięciu zmroku...

– A to czemu? – spytał Locklear.

Jak powiedziałem, sir, ostatnio kręci się tu wielu łotrzyków i bandytów, że nie wspomnę już o tych mordercach z Bractwa Mrocznego Szlaku. Z wyglądu przypominają nieco tu waszego elfiego przyjaciela, ale mają długie czarne szpony i czerwone ślepia świecące w ciemnościach.

– Obiecujemy, że będziemy ostrożni – odpowiedział Locklear, z trudem kryjąc rozbawienie.

– Ten człek w życiu nie widział żadnego z moich współplemieńców – stwierdził Gorath, kiedy oddalili się nieco.

– Też mi się tak wydaje – odparł Locklear – choć trzeba się przyjrzeć twoim oczom w ciemności. Może nie zwróciłem uwagi na ten czerwony blask...

Owyn parsknął śmiechem. Tymczasem dotarli do oberży. Była brudna, mroczna i zatłoczona – odpowiadało to Locklearowi, ponieważ zaczęło im brakować grosza. Przez chwilę myślał nawet o tym, żeby poprosić o pożyczkę Belforda, ale doszedł do wniosku, że kapitan każe mu poczekać na powrót Earla Kasumi. Locklear nie widział niczego złego w nadłożeniu drogi, by uniknąć zasadzek, chciał jednak jak najszybciej powiadomić Arutha o tajemniczych wydarzeniach w Krajach Północnych.

W oberży brakowało wolnych komnat, co mocno zdziwiło Lockleara, oberżysta jednak zgodził się na to, by przenocowali na podłodze w jadalni.

Owyn zaczął sarkać, ale Gorath zachował milczenie.

Jak do tej pory nikt nie oponował przeciwko obecności moredhela – być może dlatego, iż nikt nie zorientował się, kim jest, choć równie dobrze mogło być i tak, że w tych górach nikogo nie dziwił widok Mrocznego Brata podróżującego w towarzystwie ludzi zaprzańców. Niezależnie od tego, co było przyczyną, Locklear cieszył się, że nie musi nikomu niczego tłumaczyć.

Zjedli przy zatłoczonym stole, a po kolacji nie bez przyjemności wysłuchali występu wędrownego trubadura. W głębi izby przy kilku stołach grano w kości czy w karty i Lockleara świerzbiły dłonie, by zagrać w pokira czy pashawę, oparł się jednak pokusie, bo nie bardzo mógł sobie pozwolić na przegraną, a ojciec i starsi bracia wbili mu do głowy, że w takiej sytuacji nigdy się nie siada do stolika.

Gdy podróżni zaczęli się rozchodzić do swoich izb, a ci, co mieli spać w izbie ogólnej, jęli zajmować kąty i miejsca pod stołami, Locklear podszedł do barmana, krzepko zbudowanego jegomościa z czarną brodą.

– Waść sobie życzył – spytał szynkarz, gdy Locklear wsunął się pomiędzy dwu innych klientów i spojrzał mu w oczy.

– Powiedz mi, przyjacielu – zaczął Locklear – czy jest w mieście jakiś kupiec zajmujący się klejnotami?

Szynkarz kiwnął głową.

– Trzeci dom wzdłuż ulicy na prawo. Niejaki Alescook.

– Doskonale – ucieszył się Locklear. – Chciałem kupić prezencik dla damy.

– Rozumiem, sir. – Uśmiechnął się szynkarz. – Pozwólcie jednak, że zalecę wam ostrożność.

– A... nie bardzo rozumiem – zdziwił się Locklear.

– Sir, nie twierdzą bynajmniej, że Kiefer Alescook to człek niegodny zaufania. Powiem tak – niełatwo jest dotrzeć do źródła, z którego bierze swój towar.

– Aaaa... – Locklear pokiwał głową, jakby teraz wszystko już rozumiał.
– Będę o tym pamiętał.

– Znalazłem naszego ptaszka – oznajmił towarzyszom, wróciwszy do stołu. – Ma gniazdko niedaleko stąd... i zobaczymy się z nim rano.

– A... to bardzo dobrze – odpowiedział Gorath. – Wasze towarzystwo zaczyna mnie już nużyć.

Locklear parsknął śmiechem.

– Sam też nie jesteś kompanem, którego wybrałbym, aby wypić kufel piwa i pośpiewać.

– A mnie tam wszystko jedno – uciął Owyn. – Jestem zmęczony i skoro mamy spać na podłodze, to wybierzmy jakieś miejsce blisko kominka.

Locklear rozejrzał się dookoła i stwierdził, że niektórzy z gości zaczęli już rozkładać się na noc.

– O, tam będzie w sam raz! – powiedział, wskazując dionią upatrzony kąt.

Przeszli do wybranego miejsca, gdzie rozłożyli posłania.

Locklear jeszcze przez kilka chwil wsłuchiwał się w odgłosy przyciszonych rozmów prowadzonych przez tych nielicznych, co zostali przy stołach, i w skrzyp otwieranych i zamykanych drzwi, ale z końca znużenie zwyciężyło i zasnął.

Kupiec podniósł głowę, gdy trzech przybyszy weszło do izby. Był to człek stary i mizernie wyglądający, ale jego zażawione oczy przyglądały się im czujnie. Przez chwilę wpatrywał się w Goratha, a potem stwierdził:

– Jeżeli przybyliście po złoto, to wysłałem je już na północ kilka dni temu. Wziął je jeden z twoich współplemieńców.

- Nie przyszedłem po złoto – odpowiedział Gorath.
 - Przyszliśmy tu w poszukiwaniu informacji – odezwał się Locklear.
- Kupiec milczał przez chwilę, a potem rzekł:
- Informacja? Ba! Znajdźcie kogoś, kto handluje plotkami. Ja kupuję i sprzedaję klejnoty i ozdoby.
 - Mówiono nam, że nie interesuje was pochodzenie tych przedmiotów.
 - Zarzucacie mi, że skupuję łupy od złodziejów i opryszków? – spytał stary, podnosząc głos.

Locklear pojednawczo uniósł dłoń.

- Niczego nikomu nie zarzucam... szukam pewnego konkretnego klejnotu.
- Jakiegoż to klejnotu?
- Rubinu... o niezwykłej wielkości i szlifie. Chciałbym go zwrócić jego właścicielowi... bez zadawania zbędnych pytań. Gdybyście przypadkiem nań trafili, nikt nie będzie was o nic obwiniał... jeżeli pomożecie nam go odzyskać. W przeciwnym razie może się zdarzyć, że odwiedzą was królewscy sędziowie śledczy... nie mówiąc o paru bardzo rozeźlonych strażnikach z garnizonu w Tyr–Sog.

Na twarzy starego odmalowały się rozterka i wyrachowanie. Na łysym czerepie zalśniły krople potu.

- Nie mam niczego do ukrycia – rzekł z udaną obojętnością. – Ale... może będę mógł wam pomóc.
- Co wiecie o sprawie? – spytał Locklear.
- Ostatnio w interesach pojawił się pewien element... ryzyka i brutalności, ale to akurat nie jest nic nowego, a zajmuję się już tym od pół wieku, mój chłopcze. Od niedawna handluję z ludźmi, z którymi nie spotykam się osobiście... wszystko załatwiamy przez pośredników. Większość transakcji jest nietypowa, ale korzystna... o tak, korzystna. Przez

moje dłonie przechodzą klejnoty wielkiej wartości, często niezwykle rzadkie... o pewnych można by rzec, że są wyjątkowe... unikalne.

– Tsurzańskie? – spytał Locklear.

– Nie inaczej! – odparł stary. – Owszem, podobne do naszych rubinów, szafirów i szmaragdów na tyle, by za takie je uznać, ale nieco od nich inne... ale to mógłby stwierdzić jedynie znawca. Były też klejnoty, jakich na naszym świecie nie znano.

– W czyim imieniu przeprowadzaliście te transakcje? – spytał Locklear.

– W tym sęk, że nie znam moich kontrahentów – odpowiedział Alescook. – Ostatnio zjawiali się u mnie, dość nieregularnie trzeba przyznać, Mroczni Bracia, tacy jak ten tu wasz przyjaciel... i zostawiali mi klejnoty. Później zjawiał się człowiek z południa, który dostarcza mi złoto. Brałem swój procent od transakcji i czekałem na moredhela, który zabierał złoto i znikał.

– Delekhan – stwierdził Gorath, zwracając się do Lockleara. – Za to złoto kupuje oręż dla moich ziomków.

Locklear podniósł dłoń, by uciszyć moredhela.

– Porozmawiamy później. Kto kupował klejnoty? – spytał starego kupca.

– Nie wiem, ale człek, który je odbierał, nazywa się Isaac. Mieszka w Hawk's Hollow.

– Czyście kiedyś widzieli tego Isaaca? – spytał Locklear.

– Wiele razy. To młody człowiek, mniej więcej waszego wzrostu. Ma jasnobrązowe włosy, które przycina tuż nad ramionami.

– Mówi jak człek ze wschodu?

– Owszem... teraz, jakście o tym wspomnieli... tak. A niekiedy odzywa się jak dworak.

– Dziękujemy wam. – Locklear zakończył wypytywać kupca. – Gdyby doszło do śledztwa, wspomnę władzom o tym, że nam pomogliście.

– Władzom pomagam zawsze i z ochotą. Zajmuję się tylko tym, co legalne.

– Ina tym poprzestańmy. – Locklear skinieniem dłoni dał znak Gorathowi i powiedział: – Sprzedaj mu kamień.

Gorath wyjął błękitnawy szafir, który zabrał zabitemu moredhełowi, i położył go przed Alescookiem.

Kupiec wziął klejnot i obejrzał go niespiesznie.

– A... ładny kamyczek. Mam kupca z południa, który je bierze. Dam złotego suwerena.

– Pięć – odpowiedział Locklear.

– Nie są aż tak rzadkie... – stwierdził Alescook, rzucając kamień z powrotem do Goratha, który otworzył sakwę, by włożyć go do niej. – Ale... jak dla was... dwa suwereny.

– Cztery – odparł Locklear.

– Trzy... i na tym poprzestańmy.

Wzięli złoto, którego otrzymali dość, by zaopatrzyć się w żywność na całą drogę, i wyszli na zewnątrz.

– W drodze do Krondoru mieliśmy przejść przez Hawk's Hollow – zwrócił się Locklear do towarzyszy – więc nie ma się co zastanawiać, dokąd ruszać teraz. Trzeba nam znaleźć Isaaca.

– Znasz go? – spytał Gorath, dosiadając konia.

– Owszem – odpowiedział Locklear.–To drugi z największych łotrzyków, jakich kiedykolwiek poznałem. Doskonały kompan i do wypitki, i do bitki. Nie zdziwiłbym się wcale, gdyby go przyłapano po niewłaściwej stronie prawa.

Skierowali się na południe, opuścili rozległą, pofałdowaną dolinę Loriel i wjechali w wąwóz, którym na południe płynęła rzeka. Wprawdzie Locklear kupił w oberży nieco żywności, ale brak gotówki zaczął go nieco

niepokoić. Wiedział, że mogą coś upolować, ale przez cały dzień dręczyło go przecucie narastającego niebezpieczeństwa. Wódz moredhelów zdradzający ziomków, by ostrzec Południe o bliskiej napaści, pieniądze wędrujące na Północ, wykorzystywane do kupowania od handlarzy bronią morderczego oręża, do tego wszystkiego tsurańscy magowie.

Jakkolwiek by na to spojrzeć, sytuacja nie wyglądała za dobrze.

Choć nie mógł odegnać złych myśli, zatrzymał je dla siebie.

Gorath podniósł rękę i wskazał kierunek.

– Tam się coś święci.

– Niczego me widzę – stwierdził Owyn.

– Gdybyś mógł zobaczyć, nie musiałbym cię ostrzegać – odparł moredhel.

– Co widzisz? – spytał Locklear.

– Zasadzkę. Spójrz na tamte drzewa. Niektóre z dolnych gałęzi odrąbano... ale nie siekierą drwala, nie użyto też piły.

– Owynie – zwrócił się Locklear do towarzysza – czy pamiętasz tę sztuczkę z oślepieniem?

– Owszem – odpowiedział zapytany – ale muszę widzieć człeka, którego mam unieszkodliwić.

– Ha! Jak będziemy tu sobie siedzieć jakby nigdy nic i machać rękami, draby kryjące się za tamtymi krzakami lada moment zorientują się, że wiemy, iż tam są... – Inteligentny wywód Lockleara przerwało sześciu Mrocznych Braci, którzy wybiegli spomiędzy krzaków.

– ...moredhele! – wrzasnął książęcy giermek co tchu w piersiach, rzucając się do ataku.

Zakłęcie Owyna z sykiem przemknęło mu obok ucha i ugodziło w nacierającego nań przeciwnika. Ten zachwiał się i uniósł obie dłonie do oczu.

Locklear pochylił się ku końskiej grzywie, gdyż tuż obok niego gniewnie bzyknęła strzała.

– Zajmij się łuczniakiem! – zawołał do Owyna.

Gorath wydał bojowy okrzyk, gdy jego koń stratował jednego z napastników, a następnie potężnym cięciem zwałił z nóg drugiego. Locklear runął na kolejnego z moredhelów, nie przejmującego się wcale, że przyjdzie mu walczyć z konnym. Książęcy giermek wiedział już, jak niebezpiecznymi przeciwnikami potrafią być członkowie Bractwa Mrocznego Szlaku. Choć sami rzadko walczyli konno, setki lat stawiania czoła jeździe nauczyło ich sztuki zwalania ludzi z końskiego grzbietu. Znając ich taktykę, Locklear spiął konia, ostro skręcając w lewo. Wierzchowiec odrzucił w tył napastnika, odsłaniając ukrytego za nim drugiego, szykującego się do skoku na siodło. Locklear ciął go przez krtai tuż nad metalowym napierśnikiem. Potem gwałtownie zawrócił konia i skierował go na pierwszego z napastników.

Znów usłyszał syk czaru osłepiania – mógł tylko mieć nadzieję, że Owyn zajął się łuczniakiem. Uderzony przez konia piersią moredhel zranił go podstępnie w odsłoniętą nogę.

Z najwyższym trudem sparował uderzenie, czując w całym ramieniu jego siłę. W walce przeszkadzała mu nie zagojona rana żeber. Jego spadające ostrze płazem uderzyło w bok konia. Zwierzę zarżało i uskoczyło.

Giermek uderzył konia lewą nogą i cofnął go, odwracając się w siodle, by nie stracić przeciwnika z oczu. Żebra przeszył mu płomień bólu, udało mu się jednak uniknąć kolejnego ciosu. Zdołał go sparować i płazem słabo ugodzić moredhela w twarz, bardziej go rozjuszając, niż kalecząc.

Cios jednak zatrzymał przeciwnika na tyle, że Locklear zdołał obrócić konia tak, by skierować go piersią na wroga. Giermek przypomniał sobie

coś, co ojciec stale powtarzał jemu i braciom – żołnierz, który ma broń i jej nie używa, jest idiotą... i najczęściej życiem płaci za swą głupotę.

Jego orężem był koń – uderzył go więc piętami i silnie szarpnął ręką wodze. Wierzchowiec ruszył przed siebie, kierując się na moredhela. Wyćwiczony elfi wojownik natychmiast uskoczył w bok. Locklear jednak zwrócił konia w lewo, czym zwiódł przeciwnika, który myśląc, że giermek uchyla się od walki, ruszył naprzód.

Locklear nadal ostro kierował konia w lewo – i moredhel zdał sobie sprawę z błędu, jaki popełnił, kiedy giermek zakończył manewr potężnym cięciem w dół. Ten cios nie był byle jakim klepnięciem, ale uderzeniem, które rozszczepiło czerep moredhela na dwoje.

Spojrząwszy w stronę, gdzie walczył Gorath, ujrzał, że ten odpiera atak dwu przeciwników. Stojący sto kroków od niego Owyn opędzał się pałą od szermierza zbrojnego w miecz. Licząc na to, że czar młodego maga nadal wiąże łucznika, ruszył mu na pomoc.

Spiął konia i zmusił go do galopu. Zwierzę rzuciło się przed siebie tak, że gdy moredhel usłyszał zbliżanie się kolejnego przeciwnika, Locklear gnał już ze wszystkich sił. Moredhel nie zdążył się jeszcze odwrócić, a Owyn, zyskawszy ułamek sekundy, wymierzył mu potężny cios, który skruszył napastnikowi szczękę i zwałił go na ziemię.

Locklear osadził konia w miejscu tak gwałtownie, że zwierzę zaryło kopytami w ziemię, niemal przysiadając na zadzie. Zawracając w miejscu, machnął dłonią Owynowi i krzyknął:

– Nie popuszczaj łucznikowi!

I w tejże chwili trafiony strzałą wyfrunął z siodła – jakby Pani Szczęścia odwróciła odeń wzrok. Zwałił się ciężko na ziemię i przewinał przez głowę, by uniknąć złamań. Tkwiąca w jego lewym ramieniu strzała trzasnęła sucho i ból niemal zaparł mu dech w piersi.

Przez chwilę walczył o zachowanie świadomości, a potem zdołał jakoś odzyskać ostrość widzenia i zapanował nad bólem. Usłyszawszy zduszony okrzyk, zdążył się odwrócić w samą porę, by zobaczyć, jak Gorath wbija miecz w plecy moredhela, który uniósł już klingę do ciosu mogącego rozłupać mu czaszkę. W tejże chwili obok niego przebiegł Owyn, wywijając uniesioną lagą. Locklear podniósł wzrok na swego niedoszęłego zabójcę, który opadł na kolana, a potem runął twarzą na ziemię. Zanim zdołał cokolwiek powiedzieć, Gorath odwrócił się i pobiegł za Owynem.

Wstawszy chwiejnie, zobaczył, jak Owyn, rzuca się naprzód i uderza pałką w łeb łucznika, usiłującego daremnie przetrzeć oczy, by odzyskać wzrok. Łucznik padł na kolana i skonał sekundę później z ręki Goratha.

Mroczny elf okręcił się dookoła, wypatrując jeszcze jakichś przeciwników, Locklear jednak widział, że cała szóstka leży już martwa.

– Delekhan! – W niebo wzbił się pełen wściekłości okrzyk Goratha, stojącego z mieczem w dłoni i wygrażającego niebu drugą pięścią.

Potyając się lekko, Locklear ruszył ku swemu towarzyszowi.

– Dlaczego tak ryczysz?

– Wiedzieli, że będziemy tędy przechodzić! – syknął Gorath.

– Czy to znaczy, że znaleźli jakiś sposób, by przesiać wieści na południe? – spytał Owyn.

– Nago! – odparł Gorath, wkładając miecz do pochwy.

– Co to takiego? – spytał Locklear.

– Nie co to takiego, tylko kto to taki... – Nago. Jeden; z czarodziejów Delekhana. Ze swoim bratem, Narabem, służy temu mordercy. Obaj są potężnymi wodzami licznych plemion, ale teraz posłusznie wykonują polecenia Delekhana. Bez ich pomocy Delekhan nigdy nie zyskałby władzy potrzebnej do obalenia wodzów innych plemion. Bez ich pomocy, ci tutaj – wskazał dłonią martwych moredhelów – nie czekaliby na nas. – Ukłąkł

przy jednym z zabitych. – Ten to mój siostrzan... krewniak. – Spojrzał na drugiego trupa. – A ten należał do klanu, którego członkowie byli od pokoleń naszymi zaprzysięgłymi wrogami. Obaj służyli temu samemu potworowi... co powinno dać wam wyobrażenie o jego władzy.

Locklear tymczasem wskazał dłonią na swój bark i padł na kolana. Owyn zbadał ranę.

– Mogę wyjąć grot... ale będzie bolało – ostrzegł.

– Boli i bez tego – stwierdził Locklear.–Bierz się do dzieła.

Młody mag zajął się raną giermka, Gorath zaś stwierdził:

– Narab i Nago potrafią porozumiewać się bez słów z innymi, a osobliwie jeden z drugim. Ci, których zabiliśmy w drodze do tego waszego miasteczka, Loriel, albo inni, którzy nas spostrzegli, musieli powiadomić o tym jednego z braci. On z kolei ostrzegł o naszym nadejściu tych tutaj.

– Istnieje więc możliwość – odezwał się Locklear – że zanim dali się pozabijać, powiadomili Nago o tym, że jesteśmy tutaj.

– Mógłbym dać za to głowę – rzekł Gorath.

Wspaniale – syknął Locklear, zaciskając zęby, bo Owyn zaczął wydłubywać nożem grot strzały z jego ramienia. W oczach księżęcego giermka pojawiły się łzy i na chwilę zakręciło mu się w głowie, ale odetchnął głęboko i udało mu się zachować przytomność.

Owyn tymczasem posypał ranę jakimś utartym zieleń, które wyjął ze swojej sakwy, po czym przyłożył do niej czystą szmatkę.

– Trzymaj tu... i przyciśnij – polecił. Podeszedłszy do najbliższego trupa, odciął sztyletem skrawek jego koszuli, a potem mocno obwiązał nim ramię Lockleara. – Mości giermku, z tą raną na żebrach i przebitym barkiem twoje ramię staje się bezużyteczne.

– Oto, co chciałem usłyszeć – skrzywił się Locklear, usiłując poruszyć lewym ramieniem i przekonując się, że mag ma rację. Choć ramię drgnęło o

cał, targnął nim płomień bólu. – Co z końmi?

– Uciekły – stwierdził Owyn.

– Wspaniale. Mnie strzała zrzuciła z siodła, ale czym wy się wytłumaczycie?

– Niezręcznie jest bić się z końskiego grzbietu – odpowiedział Gorath.

– A ja z siodła nie mogę rzucać zaklęć – stwierdził Owyn. – Bardzo mi przykro.

– No to trzeba nam będzie iść dalej pieszo – rzekł Locklear, wstając z miejsca.

– Jak daleko jest do Hawk's Hollow? – spytał Gorath.

– Za daleko – odpowiedział książęcy giermek. – Jeżeli na nas czekają, to o wiele za daleko.

ROZDZIAŁ 3

ODKRYCIE

Zaskoczony wartownik wytrzeszczył oczy. Przed miejską bramą, gdzie jeszcze przed sekundą nie było nikogo, pojawili się znikąd trzej przybysze.

– Hola! – wrzasnął, podnosząc starą włócznie gestem: mało przypominającym gotowość bojową.

– Spokojnie, przyjacielu – sapnął Locklear. Książęcy giermek opierał się o ramię Owyna i wyglądał, jakby miał lada moment skonać. Po zasadzce, w której stracili konie, natknęli się jeszcze na trzy kolejne. Z dwu jakoś zdołali się wywinąć, obchodząc je szerokim łukiem, ale w obu czyhali na nich ludzie, W ostatniej zaczął się sześciu Braci Mrocznego Szlaku, a ci byli czujni. Stoczyli z nimi krwawą, zaciekłą potyczkę i nie obeszło się bez ran. Gorath oberwał tak paskudnie w ramię, że; Owyn z trudem zatamował upływ krwi. Locklear znów został ranny i umarłby, gdyby nie pomoc młodego maga, który też nie wyszedł z zamieszania bez szwanku.

– Coście za jedni? – spytał zmieszany wartownik. Locklear domyślił się, że stoją przed wieśniakiem lub miejskim wyrobnikiem, dorabiającym sobie służbą w miejskiej milicji.

– Jestem Locklear, giermek Księcia Krondoru... a ci dwaj to moi towarzysze.

– Wyglądacie mi na opryszków – stwierdził wartownik.

– Potrafimy dowieść, że jesteśmy tymi, za których się podajemy... – stwierdził Locklear – ale pierwszej trzeba nam znaleźć kogoś, kto zajmie się naszymi ranami... zanim wykrwawimy się na śmierć.

– W mieście przebywa brat Malcolm ze świątyni Silban. Zatrzymał się w oberży Logana. Odwiedza nas co pół roku... i pewnie zdoła wam pomóc.

– Gdzie znajdziemy oberżę Logana? – spytał Owyn. Locklear zachwiał się i niemal osunął na ziemię.

– Idźcie prosto główną ulicą... nie możecie nie trafić. Poszukajcie szyldu z krasnołudem.

Wkrótce dotarli do poszukiwanej oberży. Poznali ją po szyldzie przedstawiającym śmiesznego krasnoluda, kiedyś namalowanego znacznie żywszymi barwami.

Wewnątrz zastali kilkunastu mieszczuchów siedzących cierpliwie i czekających, aż przyjmie ich mnich w szatach zakonu Silban, który w jednym z rogów izby oglądał chore dziecko.

Wśród oczekujących był rzemieślnik z obwiązaną dłonią i wymizerowany, blady parobek.

Mnich skończył z chłopakiem, który bez ponagleń zeskoczył z kolan matki i pobiegł ku drzwiom. Zakonnik spojrział na Lockleara...

– Konacie?

– Nie... nie jest ze mną aż tak źle – odpowiedział młody szlachcic.

– A, to dobrze, bo ci ludzie byli tu pierwsi, a przyjąłbym was przed nimi jedynie w przypadku zagrożenia waszego życia.

Locklear zebrał resztki swego poczucia humoru.

– Jak mi się zbierze na umieranie, to wam powiem.

W tym momencie wyczerpała się cierpliwość Goratha.

– Przyjmiesz mojego przyjaciela natychmiast – stwierdził, stając przed mnichem. – Inni mogą poczekać.

Postawa i ton głosu moredhela, który nad niewysokim kapłanem górował niczym wieża, stłumiły wszelki opór, jaki mógłby się podnieść przeciwko pogwałceniu kolejności. Mnich ponownie spojrział na Lockleara.

– Niech i tak będzie... skoro uważacie, że to pilne. Połóżcie go na tamtym stole.

Na poły prowadząc, na poły niosąc giermka, umieszczono go na wskazanym miejscu.

– Kto założył te bandaże? – spytał kapłan.

– Ja – przyznał się Owyn.

– Dobrze się spisaliście – stwierdził zakonnik. – Żyje... a to najważniejsze.

Gdy z Lockleara zdjęto koszulę i opatrunki, kapłan tylko westchnął:

– Niech was Silban ma w swej opiece! Raniono was trzykroć, a każdej z tych ran byłoby dość, by powalić dwakroć od was większego chłopca! – Z tymi słowami posypał rany jakimś proszkiem. Locklear syknął boleśnie, a kapłan zamknął oczy i śpiewnym głosem zaczął wzywać pomocy bóstwa.

Owyn natychmiast poczuł obecność potężnych mocy, aż zjeżyły mu się włosy na karku. Nie zdążył dobrze poznać magii kapłanów, ale ta zawsze wydawała mu się obca i dziwna.

Z dłoni kapłana wystrzeliła nikła poświata i spłynęła wolno na rany Lockleara... Gdy brat Malcolm snuł swój śpiew, Owyn widział, jak obrażenia zaczynają się zblizniać. Znikła też otaczająca je czerwona opuchlizna. Kiedy kapłan skończył śpiewać, były już na poły zasklepione. Mnich zbladł z wyczerpania.

– To wszystko, co mogłem dla was zrobić – odezwał się, na koniec. – Reszta to sprawa snu i pożywienia. A wy... jesteście ranni? – spytał, podnosząc wzrok na Goratha i Owyna, Owszem – odpowiedział moredhel. – Ale możemy poczekać, aż się zajmiecie tamtymi dwoma. – Skinieniem dłoni wskazał rzemieślnika i parobka.

– Doskonale. – Malcolm kiwnął głową. – Twoje maniery może i nie są najlepsze, mości moredhelu, ale nie da się zaprzeczyć, że instynkt cię nie

zawiódł – stwierdził, mijając Goratha, – Jeszcze godzina i wykrwawiłby się na śmierć.

Gorath nie drgnął nawet, choć go rozpoznano. Przeszedł do miejsca, gdzie rozsiadł się Owyn, i cierpliwie czekał na swoją kolej. Kiedy mnich opatrzył już terminatora ze zmiażdżonym w kuźni przez młot palcem i parobka z wysoką gorączką, zwrócił się do Owyna i Goratha:

– Który teraz? –”:- Moredhel skinął na Owyna, a ten posłusznie usiadł przed kapłanem. Młodzieniec patrzył, jak kapłan opatruje i leczy jego rany. Nie rozmawiali za wiele, ponieważ Owyn trzymał się już resztką sił.

– Poznałeś, kim jestem – odezwał się Gorath, kiedy przyszła nań pora – ale nie wezwałeś strażników. Mogę wiedzieć, czemu zawdzięczam tę łaskę?

Badający rany moredhela kapłan wzruszył ramionami.

– Podróżujesz z ludźmi, którzy nie wyglądają mi na zaprzańców. Nie zabijasz nikogo i niczego nie palisz... myślę więc, że przybywasz z misją pokoju.

– A dlaczegoż to myślisz, że przybywam z jakąś misją? – spytał Gorath.

A co innego zmusiłoby moredhela do zapuszczenia się pomiędzy ludzi? – spytał Malcolm retorycznie. – Nie słyszałem dotąd o mrocznym elfie, który ruszyłby w podróż dla przyjemności.

Gorath chrząknął tylko, ale ani nie potwierdził opinii Malcolma, ani się nie jej sprzeciwił.

Braciszek uwinął się dość szybko.

– Powinieneś przyjść drugi... twoje rany były o wiele poważniejsze niż obrażenia twego przyjaciela. Ale nie bój się... przeżyjesz. – Umywszy ręce, wytarł je do sucha ręcznikiem. – Moja misja to pomagać i służyć... ale panuje zwyczaj, że ci, którym usłużyłem, składają datki.

– Bracie... – stwierdził Locklear. – Obawiam się, że na razie mogę ci dać jedynie nikłe pojęcie o naszej wdzięczności, ale jeżeli kiedykolwiek

przybędziesz do Krondoru, odwiedź mnie, a dostaniesz dziesięciokrotną zapłatę.

Sięgnął do sakwy i oceniwszy, ile będzie potrzebował na zapłacenie pokoju na noc i pozostałych kosztów, wyjął złotego suwerena i dwa srebrne rojale.

– Teraz nie mogę zapłacić ci więcej.

– Wystarczy – odparł mnich. – A w Krondorze... gdzie was szukać?

– W pałacu. Pracuję dla Księcia, giermek Locklear, do usług.

– A więc, młody panie, kiedy pojawię się w Krondorze, powiadomię was i wtedy się porachujemy. – Spojrzawszy na świeżo opatrzone rany Lockleara, dodał z powagą: – Przez dwa, trzy następne dni uważajcie na siebie. Jutro powinniście się poczuć lepiej. Jeżeli nie dacie się zakłuć, pod koniec tygodnia będziecie jak nowo narodzony. A teraz pozwólcie, że trochę odpocznę. Dzisiaj musiałem uzdrowić tyłu, ilu zwykle w tydzień.

Gdy kapłan się oddalił, giermek wstał i podszedł do oberżysty, który na drugim krańcu izby sprzątał ze stołu.

– Witajcie pod Wyblakłym Krasnoludem, przyjaciele – odezwał się krępy właściciel. – Czym mogę służyć?

– Posiłkiem i noclegiem – odpowiedział Locklear.

Nie musieli długo czekać. Po chwili oberżysta wrócił do nich z dużą tacą, na której leżały płaty zimnej pieczeni, bochen upieczonego rankiem chleba, a także ser i owoce.

– Pod wieczór znajdzie się jakiś gorący posiłek, ale jeszcze za wcześnie... więc mam tylko to.

Owyn i Gorath już zajadali, aż im się uszy trzęsły.

– Dzięki i za to – zdołał jakoś wybełkotać Locklear, również zajęty przeżuwaniami. – Przynieście też jakiś napitek, Już się robi.

Za moment oberżysta wrócił z dzbanem piwa.

– Mój dobry człowieku – zwrócił się doń Owyn – dlaczego ta oberża ma takie zabawne miano?

– Wyblakły Krasnolud?

– Owszem.

– No, prawdę mówiąc, nie kryje się za tym żadna ciekawa historia. Kiedyś właścicielem tego miejsca był niejaki Struble. Nie wiadomo dlaczego nazwał je Oberżą Pod Wesołym Krasnoludem i kazał wymalować niezwykle barwny szyld. Potem nigdy go nie dał do odmalowania i kiedy kupowałem od niego cały budynek i plac, szyld był już mocno spłowiąły. Wszyscy miejscowi nazywali to miejsce Oberżą Pod Wyblakłym Krasnoludem i tak to zostawiłem. Dzięki temu oszczędzam na kosztach malunku.

Opowieść oberżysty Owyn skwitował uśmiechem. Logan ruszył do innych gości.

– Więc tak... – odezwał się Locklear, który zasypiał niemal na siedząco.

– Przed nami dwie drogi. Możemy ruszyć głównym szlakiem prosto do Quester's View albo okrężną drogą przez Eggly i Tannerus, przez co stracimy kilka dni.

– Mogę się tylko domyślać – stwierdził Owyn – ale jeśli wnioskować z tego, co mówił Gorath, to owi Nago i Narab utrzymują łączność ze swoimi agentami za pomocą telepatii. Jak już wspomniałem, nie znam się za bardzo na tym, ale wiadomo mi, że to wyczerpujące. Jedną z najbardziej utalentowanych pod tym względem osób na świecie jest córka Mistrza Puga, która umie przesyłać myśli na wielkie odległości, ale osób takich jak ona jest niewiele. A magowie o mniejszej mocy muszą potem długo odpoczywać.

Gorath milczał, Locklear natomiast westchnął:

– Zechciej przejść do rzeczy, jeśli laska. Niełatwo mi się skupić.

– Chodzi mi o to, że kimkolwiek jest ów mag, kryje się gdzieś w jakimś odosobnionym i prawdopodobnie dobrze strzeżonym miejscu, w każdym zaś ważniejszym rejonie ma jednego lub dwu agentów. I myślę, że drobniejsze i mniej ważne polecenia przekazuje przez posłańców. Dowiedzieli się, gdzie jesteśmy, mogli też się domyślić, dokąd udaliśmy się później i gdzie znaleźć nas teraz, ale nie zdołają odkryć, dokąd i którą ruszymy dalej.

– Piękne rozumowanie – stwierdził Locklear – ale jak się to ma do naszego wyboru drogi?

– Wynika z niego, że mag musi posłać swoich ludzi na dwa szlaki, my zaś powinniśmy wybrać drogę, na której będziemy mieli lepsze możliwości obrony, albo powinniśmy dołączyć do większej grupy... na przykład karawany kupieckiej.

Locklear skinął na oberżystę, który podszedł i dał im klucz od pokoju, wskazując wiodące na górę schody. Gdy znaleźli się na piętrze, giermek zauważył:

– Gdybyśmy wracali z Kesh, to karawana istotnie umożliwiłaby nam uniknięcie podejrzliwości postrzegaczy, ale ponieważ Trakt Królewski jest dość dobrze strzeżony, większość kupców oszczędza na wydatkach. Podróżują tylko z kilkoma najemnikami albo i obchodzą się bez nich. Zresztą wymiana handlowa wzdłuż wybrzeża odbywa się za pośrednictwem statków.

– A czy nie moglibyśmy dostać się do Quester's View i tam wykupić przejazd na statku? – zasugerował Owyn, gdy dotarli do przeznaczonej dla nich izby noclegowej.

– Za co? – spytał Locklear. – Glejt od kapitana Belforda nie jest tym samym, czym oficjalne pismo królewskie. Gdyby stał tam na kotwicy jakiś okręt królewskiej marynarki, zdołałbym przekonać kapitana, by nas zawiózł

do Krondoru, ale nie mam ochoty beczynnie siedzieć na zadku i czekać, aż się jakiś pokaże. Teraz zresztą chcę się tylko wyspać, rano odszukać Isaaca i rozwikłać tę zagadkę z rubinem... dopiero potem zacznę się zastanawiać, jak dotrzeć do Krondoru...

– Nie będę się spierał w kwestii snu – odpowiedział Owyn.

Gorath, swoim zwyczajem, nie odezwał się ani słowem.

Oberżę opuścili mniej więcej godzinę przed świtem. Locklear czuł, że w znacznej mierze odzyskał siły. Miejsca, w których jeszcze wczoraj pulsował nieznośny ból, teraz były tylko lekko odrętwiałe i sztywne.

Na krańcu miasta wskazał drogę ku północy i stwierdził:

– O ile znam Isaaca, zatrzymał się pewnie w domu swego krewniaka, młodego szlachcica, Austina Delacroix.

– Z Bas–Tyra? – spytał Owyn, kiedy ruszyli ulicą. Kramarze otwierali okna wystawowe straganów, a mieszczyki uchylały okiennice, by wpuścić do domów słońce i czyste powietrze.

– Owszem – odpowiedział Locklear. – Drobną szlachta... założycielem rodu był niegdysiejszy bohater jakiejś zapomnianej wojenki, kiedy Bas–Tyra funkcjonowało jako samodzielne państewko. Cała rodzina się tym chlubi.

– Wasze ludzkie pojęcie chluby i znaczenia są... niełatwe do zrozumienia – zauważył Gorath.

– A co? – spytał Owyn. – Wy nie macie wodzów?

– Mamy – odparł moredhel. – Ale to pozycja, jaką się zdobywa czynami, nie urodzeniem. Delekhana wyniosły zdrada i rzezie, ale dawniej służył Murmandamusowi i Muradowi. – Niemal wypluł oba imiona. – Jeżeli jego syn, Moraedul, odziedziczy po ojcu ambicję, to obejmie władzę po trupach wielu takich jak ja. W lepszych czasach jego miecz byłby postrachem nieprzyjaciół naszego ludu... ale nie mamy lepszych czasów.

– Myślę, że to tutaj – stwierdził Locklear, wskazując lekko podniszczony dom. Podobniejak domostwa po drugiej stronie ulicy, był to nieduży, solidny budynek z kamienia i drewna, z mocnymi drzwiami i zamkniętymi teraz okiennicami. Tamte jednak lśniły czystością i świeżymi farbami, ten zaś był zaniedbany.

Locklear zapukał głośno w drzwi. Po chwili zza nich rozległ się zaspany głos, pytając:

– A czego tam?

– Isaac, wylaźże, byku! – zawołał książęcy giermek.

Drzwi stanęły otworem i za nimi ujrzeli głowę młodego człowieka o kasztanowych włosach.

– Locky? – spytał, otwierając drzwi szerzej i zapraszając przybyłych do środka. Miał na sobie pogniecioną koszulę i spodnie, widocznie spał w ubraniu. – Właśnie wstawałem – wyjaśnił.

– I bardzo dobrze – stwierdził wesoło Locklear. W jego głosie słychać było, że cieszy się ze spotkania.

W ciemnym pokoju panowała duchota, a to przez zamknięte okiennice oraz zasunięte zasłony. W powietrzu czuć było odór psującej się żywności i kwaśny zapach rozlanego piwa. Na proste umeblowanie izby składały się – stół z otaczającymi go czterema krzesłami, za stołem jedna półka i pod ścianą mały stolik ze stojącą na nim lampą. Do sypialni na poddaszu wiodły schody z boku. Jedynym godnym uwagi elementem dekoracyjnym w izbie był wypłowiały kilim na ścianie, zdobiący niegdyś otoczenie znacznie lepsze niż to, w jakie trafił ostatnio. Wisiał za Isaakiem, ujmując go jakby w ramy tła tkaniny, na której artysta przedstawił dwu książąt wymieniających dary, czemu przyglądali się z należyty szacunkiem – choć bez entuzjazmu – przedstawiciele szlachty i mieszczaństwa.

– Locklear – gospodarz wymówił to miano, jakby je smakował językiem. – Nigdy nie wiadomo, kiedy cię spotka coś miłego. Nieźle się trzymasz. Podoba mi się twój wąs. Nie wiem, jak to robisz, ale zawsze wyglądasz beztrosko. – Odwrócił się i nieznacznie utykając, ruszył ku stołowi.

– Siadajcie, proszę. Poczęstowałbym was kawą, ale mój krewniak ostatnio ugrzązł u rodziny w Bas–Tyra, a ja przybyłem tu wczoraj w nocy, więc nie zdążyłem jeszcze się zaopatrzyć...

– Nic nie szkodzi – odpowiedział Locklear. – Kiedyż to widzieliśmy się ostatnio? Na ślubie Aruthy, czy nie tak?

Isaac usiadł na małym drewnianym taborecie i skrzyżował nogi tak, by ciężar ciała spoczywał na zdrowej.

– Nie inaczej. Powinieneś słyszeć, jak się rozwrzeszczał Szambelan deLacy, kiedy odkrył, że nie jestem synem Barona Dorgin.

No... nie mogłeś być synem Barona z nie istniejącej Baronii – stwierdził Locklear. – Uniknąłbyś kłopotów, j zajrzał do herbarza.

– A skąd niby miałem wiedzieć, że ziemie za siedzibami krasnoludów to prowincja podległa Diukowi Marchii Południowych?

– Może trzeba było się uczyć – podsunął książęcy giermek.

– Nigdy nie lubiłem ślęczenia nad księgami. – Machnął dłonią Isaac.

– Ha! I tak ci się upiekło, bo deLacy miał na głowie uroczystości ślubne, a wyrzuceniem cię kopniakami z dworu obiecał się zająć dopiero nazajutrz – przypomniał mu Locklear. – Ale nieźle się wtedy zabawiliśmy. Co porabiałeś od tamtej pory?

– Spędziłem trochę czasu u rodziny na wschodzie, ale kilka lat temu wróciłem do Dziedzin Zachodnich. I zająłem się pewnymi... zyskownymi sprawami na granicy. Ale zechciej mi powiedzieć, czemu zawdzięczam

zainteresowanie członka Książęcego Dworu, którego mam zaszczyt oglądać tak daleko od rodzinnych pieleszy... i w tak niezwykle dobranej kompanii?

– Temu, że przypisuje ci się różne sprawy... z których kilka pachnie stryckiem.

– Mnie? – spytał Isaac. – Chyba nie mówisz tego poważnie?

– Isaac... jestem poważny jak królewski śledczy i mistrz tortur, a zapewniam cię, że jeżeli nie odpowiesz na moje pytania prawdziwie i przekonująco, będziesz mógł na własnej skórze sprawdzić trafność tego porównania. I nie myśl, że zdołasz uciec... przypilnuje cię ten tu mój przyjaciel, Gorath – on czterech takich jak ty składa w kopertę przed śniadaniem – a ja pobiegnę po konstabla. Możemy zgodnie i miło porozmawiać tutaj... albo też równie zgodnie, ale już niemiło pogadać w Krondorze.

Locklear nie bardzo miał ochotę wzywać przedstawicieli miejscowych władz i tłumaczyć się im ze swoich uprawnień, tym bardziej że nie mógł okazać żadnych pisemnych glejtoń czy rozkazów. Isaac jednak o tym nie wiedział i książęcy giermek nie miał zamiaru go o tym informować.

– Nie wiem, o czym mówisz – stwierdził Isaac, wstając powoli. – Sięgnij tylko po ten miecz za tobą – odezwał się Gorath ostrzegawczym tonem – a zaczniesz chromać i na drugą nogę... i to zanim palcami dotkniesz rękojeści.

– A... co mi tam – stwierdził Isaac, ponownie opadając na taboret.

– Opowiedz mi o rubinie – zaczął Locklear.

– O jakim rubinie? – Zdziwienie Issaca było tak przekonujące, że niewiele brakło, a sam by w nie uwierzył.

– Tym, który kupiłeś od Kiefera Alescooka. Tym, za który zapłaciłeś złotem wędrującym na północ, gdzie zostanie za nie kupiona broń dla

Delekhana. Tym, który ukradziono ważnemu magowi z Tsurani. Tym, który jest zaledwie ostatnim ogniwem całego łańcucha takich transakcji.

Isaac przetarł dłonią twarz i przeczesał palcami włosy.

– Locky... to takie trudne i skomplikowane...

Na twarzy Lockleara pojawił się wyraz zawziętości, a w jego głosie brzmiały złowrogie nutki, co mocno zdumiało Owyna.

– Równie trudne jak... zdrada stanu, Isaac? Równie skomplikowane jak pętla stryczka?

– Locky, czy ktoś tu mówi o zdradzie stanu? – W głosie Issaca pojawiły się błagalne nutki. – Posłuchaj... byliśmy przyjaciółmi w dzieciństwie... zanim zdarzył mi się ten wypadek. Gdyby zamienić nasze losy, to zrozumiałbyś, jak to jest być najemnikiem z chromą nogą. Niewiele brakło, a umarłbym z głodu... aż pojawiła się ta okazja. A zanim się zorientowałem, dla kogo pracuję, tkwiłem już w tym po uszy.

– Powiedz mi wszystko, co wiesz, a wyjednam ci ułaskawienie – stwierdził Locklear.

– Jak już wspomniałem, zanim pojąłem, z kim prowadzę interesy, zupełnie się pograżyłem – mruknął przybity Isaac. – Alescook to mój stary znajomy. Wiedziałem, że od czasu do czasu „trafiają mu się” rozmaite klejnoty, do których jego prawa własności w najlepszym wypadku można by określić jako „niejasne”.

– Po prostu kradzione – stwierdził Locklear.

Isaac skrzywił się, ale nie zaprotestował.

– Niezależnie od powodów... w Krondorze niełatwo byłoby je sprzedać, więc trafiały na południe do Kesh, za wodę do Queg lub Wolnych Grodów. Ja jestem tylko pośrednikiem... kimś, kto może się podjąć wycieczki do Doliny albo do Krondoru czy Sarth i przekazać przesyłkę na pokład statku. To wszystko, Rubin – przypomniał mu Locklear.

Isaac ponownie zaczął wstawać. Zatrzymał się na moment, kiedy Gorath pochylił się, niedwuznacznie kładąc dłoń na rękojeści miecza, po chwili jednak ruszył schodami na poddasze. Locklear kiwnął głową Owynowi, który wstał i co tchu wybiegi przez małe drzwi w ścianie obok kobierca. Młody mag trafił do małej kuchni, na tyle brudnej, by porzucić wszelkie myśli o zjedzeniu czegokolwiek, co tu przygotowano. Z dwojga złego wolał głód. Przemknąwszy przez tylne drzwi, spojrzął na umieszczone nad nimi okienko i zobaczył znikającą wewnątrz głowę Issaca. Owyn uśmiechem skwitował znajomość sytuacji i ludzkich charakterów, jakimi popisał się Locklear. Chromy przemytnik mógł podjąć próbę ucieczki przez okno pięterka, ale wiedział, że nie jest dość sprawny, by umknąć, jeżeli ktoś będzie na niego czekał na dole.

Chwilę później Locklear odwołał Owyna i młody mag wrócił do głównej izby. Wszedłszy do komnaty, zatrzymał się jak wryty. Poczł, że włosy jeżą mu się na przedramieniu, i poprosił!:

– Pozwólcie mi obejrzeć ten kamień.

Podając mu klejnot, Isaac wyjaśnił:

– W zasadzie nie jest to rzecz aż tak cenna, ale dobrze rai zapłacono.

– Niewiele wiem o klejnotach i ich wartości – odpowiedział Owyn – ale ten kamień jest czymś więcej, niż mogłoby się wydawać. – Przez chwilę uważnie oglądał szlif. – Ten rubin został spreparowany.

– Do czego? – spytał Locklear. – Miał być klejnotem, i tyle.

Nie... To matryca dla swoistej magii. – Odłożył klejnot i ciągnął dalej: – Prawdę rzekłszy, mało wiem o wielu dziedzinach sztuki, dlatego zresztą opuściłem mury Akademii Stardock. Całej znanej mi magii nauczyłem się od pewnego wędrownego czarodzieja, zgryźliwego jegomościa nazwiskiem Patrus. Ojcu to się nie podobało... ostatnie wieści, jakie miałem o Patrusie, głosiły, że udał się on na Północ. – Młody mag potrząsnął głową, jakby

odpędzając od siebie wspomnienia. – To zresztą teraz nieważne... czarodziej ten wytłumaczył mi jednak, że istnieje pewien osobliwy rodzaj magii, który można zogniskować i skupić poprzez klejnoty. Można ją też w nich gromadzić i przechowywać. Utrzymał, że tę magię można zamknąć w klejnocie, oczywiście stworzywszy odpowiednie warunki. Można na przykład nastawić pewne klejnoty tak, iż każdy kto wejdzie pomiędzy nie, zostanie w nich uwięziony.

– A potrafiłbyś nam rzec, do czego użyto tego rubinu?

– Nie. – Owyn potrząsnął głową. – To może być zresztą coś, co zostanie użyte w przyszłości.

– Ale uważasz, że to ważne? – spytał Gorath.

– Owszem. Teraz już wiem, dlaczego ten tsurański mag był tak rozwścieczony tą kradzieżą.

Locklear wziął klejnot i rozmyślając o tym, co usłyszał, kilkakrotnie podrzucił go. Po chwili odłożył rubin i zwrócił się do Isaaca:

– Powiedz nam wszystko, co wiesz o tej sprawie.

– Niech i tak będzie – odpowiedział zupełnie już zrezygnowany Isaac. – Kamienie przybywają przez Portal w dość nieregularnych odstępach czasu. Niekiedy pojawia się cała garść, czasami tylko jeden, jak ten. Pieniądze docierają do mnie, do Krondoru, rozmaitymi sposobami i nigdy dwa razy tą samą drogą. W Krondorze pojawiła się nowa banda, której herszt nazywa siebie Pełzaczem. Gdzie tylko może, szkodzi Szydercom.

– Jakim Szydercom? – zdziwił się Gorath.

– Krondorskim złodziejom – rzucił Locklear niecierpliwie. – Wyjaśnię ci to później. Mów dalej – zwrócił się do Isaaca.

Ktoś w Krondorze płaci za klejnoty. Dostarczają je Tsuranczycy i przekazują moredhelom. Od nich klejnoty trafiają do Alescooka, a potem ja je przewożę do Krondoru. Wszystko jest proste i jasne.

– Ale ktoś tym kieruje. Kto... i gdzie się usadowił?

– Jest taka wioska na południe od Sarth – westchnął Isaac, – Nazywają ją Żółty Muł. Znasz ją?

– Takie wioski nie są oznakowane tablicami, ale jeżeli leży przy Królewskim Trakcie, to przez nią przejeżdżałem.

Nie leży przy Trakcie. Mniej więcej dwadzieścia mil na południe od Sarth szlak się rozwidla. Jeżeli ruszysz w głąb lądu, trafisz na starą drogę wiodącą przez góry. Mniej więcej po pięciu milach znajdziesz Żółtego Muła. Dlatego właśnie korzystają z tego miejsca moredhele. Nikt tamtędy nie jeździ i jego ziomkowie – skinął dłonią, wskazując Goratha – mogą przemknąć do wioski niepostrzeżenie. Osiedlił się w niej stary przemytnik o nazwisku Cedric Rowe. Nie zna on pojęcia lojalności, a wierny jest jedynie złotu. Wynajmuje swoją stodołę Mrocznemu Bratu zwanemu Nago.

– Nago! – zachnął się Gorath. – Gdybyśmy go usunęli, zdołalibyśmy uciec przed jego siepaczami. Bez niego będą ślepi, a my może przedostaniemy się do Kronodoru.

– Niewykluczone – stwierdził Locklear. – Jeżeli go tam zostawimy, im bliżej dotrzemy do Kronodoru, tym więcej jego agentów będziemy mieli na głowie.

– A to czemu? – spytał Owyn.

– Bo on zaciąga pętlę – odparł Isaac. – Im mniejszy obszar, tym łatwiej go przeszukiwać.

– Zaczynam pojmować, dlaczego w tym wszystkim biorą udział chłopcy z Queg – odezwał się Locklear. – Ten Rowe współpracuje prawdopodobnie z nimi, od kiedy zajmuje się przemytem, a teraz po prostu powiadomił kogoś w Sarth. Wieści płyną z pierwszym statkiem do Queg i po miesiącu stary ma tyłu zahartowanych i doświadczonych morskich rzezimieszków, ilu mu trzeba. A jeśli ten Nago sieje złoto hojną ręką, to na wszystkich

drogach do Krondoru znajdziesz więcej Quegańczyków niż wszy na żebraku.

Na domiar wszystkiego ci piraci w razie kłopotów nie pobiegną na skargę do królewskich. Jedyne, co mogą wtedy zrobić, to uciec do najbliższego portu i znaleźć jakiś statek. Niewielkie są szanse na to, że zdradzi cię ktoś, komu grunt pali się pod stopami – dodał Isaac.

– Wiesz coś jeszcze? – spytał Locklear.

– Nie, to już wszystko – odpowiedział jego niegdysiejszy kompan. Wstał i zdjął wiszącą na kołku opończę. – Napiszę tylko notkę do krewniaka i ruszam do Kesh. Jak tylko Nago dowie się o tym, co wam opowiedziałem, wyśle za mną zabójców. Z każdą mijającą chwilą tracę szansę na dotarcie do celu.

– Isaacu – odezwał się Locklear – obiecałem ci łaskę i dotrzymam słowa. Przez pamięć na dawne dzieje pozwolę ci uciec do Kesh, nie bez znaczenia będzie też fakt, czy ty dotrzymasz swojej części umowy... ale tylko wtedy, gdy powiesz nam wszystko, co wiesz o tej sprawie.

– A dlaczego myślisz, że coś ukrywam?

Ruchem szybkim jak błyskawica książęcy giermek dobył miecza i przyłożył ostrze do krtani Isaaca.

– Bo cię znam, mój stary. Zawsze zostawiasz sobie coś w zanadrzu, na wszelki wypadek, by mieć jeszcze jakiegoś asa w rękawie. Żywię na przykład brzydkie podejrzenia, że po części urządziłeś to niewielkie przedstawienie po to, by wydostać się z miasta przed nami, na wypadek gdybyś natknął się na jednego z agentów Nago i aby móc napuścić go na nas, zanim oni się spostrzegą, że ich sprzedałeś. Ot, co mi przyszło do głowy.

– Locky. – Isaac uśmiechnął się. – Dlaczego miałbym... Locklear przycisnął ostrze do jego krtani. Isaac urwał tak nagle, jakby połknął

własny język.

– Chcę wiedzieć wszystko... – syknął złowrogo książęcy giermek.

Isaac bardzo powoli i ostrożnie ujął jego dłoń i odsunął ostrze od swojego gardła.

– Szkatułka...

– Jaka znowu szkatułka? – zdziwił się Locklear.

– Skrzynia, w której zamyka się wartościowe rzeczy – wyjaśnił Gorath.

– Moi ziomkowie używają ich do przewożenia cennych przedmiotów.

– Mów dalej – ponaglił Locklear Isaaca.

– Ta szkatułka, o której mówię, jest za miastem. Przejdźcie pięć mil drogą na Quester's View. Na prawo od traktu zobaczycie drzewo rozszczepione przez piorun, a za nim niewielką kępę krzaków. Zajrzyjcie tam, a znajdziecie szkatułę. Mam tam dziś wieczorem zostawić rubin, a jutro będzie w niej na mnie czekało złoto.

Więc nigdy na własne oczy nie widziałeś człeka, który jest twoim łącznikiem z Krondorem?

– Nie, nigdy. Takie było życzenie Nago.

– A jego samego kiedyś widziałeś? – spytał Locklear.

– I owszem... a nawet się z nim spotkałem. W Żółtym Mule. Jest rosły, jak ten tu twój przyjaciel, i nie tak smukły jak wielu z nich. Miewa paskudne nastroje i łatwo wpada w gniew. I ma dziwny blask w oczach... jeżeli wiesz, co mam na myśli.

– Potrafię to sobie wyobrazić – stwierdził Locklear. – A co możesz nam rzec o jego kompanach?

– Kręci się przy nim tylko paru wojowników. Nigdy nie widziałem więcej niż trzech naraz, bo liczniejsza grupa mogłaby zwrócić czyjąś uwagę. W okolicy znajdziesz zresztą dość piratów z Queg, by w razie potrzeby szybko zebrać większy oddziałek, Ale wiedz i o tym, Locky, że on

posługuje się czarami i jest prawdziwie złowrogim wiedźminem. Jeśli staniesz mu na drodze, jednym spojrzeniem może zrobić z ciebie grzanekę.

Locklear spojrział na Goratha, który lekkim kiwnięciem głowy potwierdził prawdziwość słów Isaaca.

– No dobrze... – orzekł na koniec Locklear. – Oto, co zrobisz... Znajdź coś do pisania. Pisz: „Rubin zabrali książęcy pachołkowie. Cała trójka, której szukasz, podąża drogą do Eggly. Ja jestem tu skończony i muszę uciekać”. I podpisz się swoim imieniem.

Isaac wykonał polecenie z twarzą bladą jak karta pergaminu.

– Locky... kazałeś mi podpisać wyrok śmierci...

Była ci już pisana, kiedyś się zwąchał z nieprzyjaciółmi Królestwa i wziąłeś ich złoto. Zasługujesz na stryczek, na którym w końcu zawieszysz, jeżeli nie porzucisz tych krętych ścieżek, jakimi kroczysz... ale tym razem ci się upiecze.

– Chyba że pierwiej znajdą cię agenci Nago – zakończył Gorath.

Rękojmia Lockleara była wszystkim, czego Isaac odeń oczekiwał.

– Co mam z tym zrobić? – spytał, wskazując pismo.

– Włóż do szkatuły, w której miałeś zostawić rubin... a potem proponuję, byś stąd zniknął. Jeżeli nie zostawisz tam tej wiadomości, aja dotrę do Kronodoru, opłacę zabójców, którzy cię dopadną, choćby im przyszło w pościgu za tobą zajrzeć pod każdy kamień w Kesh. Możesz ściąć włosy, zmienić ich barwę, zapuścić brodę albo odziać się w skóry i futra, jak te draby z Brijani... ale nie ukryjesz tego chromania, Isaac. A teraz zmiataj stąd.

Isaac bez wahania chwycił miecz, opończę i notatkę, a potem szybko pobiegł ku tylnym drzwiom.

– Dlaczego oszczędziłeś tego zdrajcę? – spytał Gorath.

– Bo z trupa nie mielibyśmy żadnego pożytku, a żywy może nam się jeszcze przydać... choćby do tego, by zmylić naszych wrogów. Czy to nie dziwne – spojrzenie, jakie Locklear rzucił przy tych słowach Gorathowi, było czyste niczym wiosenne niebo – że żywisz taką odrazę do zdrady?

Moredhel popatrzył nań tak, że książęcy giermek powinien zaskwierczeć i wyparować.

– Nie jestem zdrajcą! Człowiecze, ja chcę ocalić mój lud od zguby! – Bez dalszych komentarzy odwrócił się i zmienił temat.

– Trzeba nam się stąd wynosić. Temu lisowi nie można ufać... bo nas wyda w zamian za swoje życie.

– I mnie to przyszło do głowy – odpowiedział Locklear.

– Ale mogą się zdarzyć tylko dwie rzeczy: albo umieści notatkę tam, gdzie kazaliśmy mu ją zostawić, albo go złapią i wszystko wygada... Ale zbyt wiele to on o nas nie wie. Tamci zresztą i tak nas chcieli zabić, zanim ten rubin wpadł nam w ręce. Każdy z nas ma tylko jedną głowę... a trup to trup.

– Chyba wiem, jak możemy się z tej sytuacji wywinąć, by nas nie widziano, i przy odrobinie szczęścia dopaść Nago – stwierdził Gorath.

– Ciekawe... – mruknął Locklear z powątpiewaniem w głosie.

– Znam ścieżkę, którą oni docierają do tej wioski... do Żółtego Muła. Jeśli ruszymy drogą wedle szczytów ku miasteczku zwanemu Eggly, wyjeżdżając tak, jak głosi notatka, to w odległości dnia szybkiego marszu na południe stąd znajdziemy dróżkę. Zawiedzie nas ona w wyższe partie gór. Przypuszczam, że to ta sama ścieżka, która kończy się na farmie Rowe'a.

– Skąd wiesz? – spytał Locklear.

W pierwszej chwili Owynowi wydawało się, że cierpliwość Goratha wyczerpała się, mimo to jednak moredhel zdołał odpowiedzieć spokojnym

tonem.

– Żyłem w tych górach jako dziecko... zanim wy, ludzie, zdołaliście nas stąd wyprzeć. Ta ziemia była nasza... zanim zaczęliście się tu pienić jak zaraza. Łowiłem ryby w tych strumieniach i ścigałem jelenie w tych lasach.
– Zniżył głos. – Może rozniecałem ognisko w tym samym miejscu, gdzie zbudowano ten dom. Chodźmy już jednak. Dla moredhela to niedługa podróż, ale wy, ludzie, łatwo się męczycie... ty zresztą jesteś ranny.

– A ty nie? – spytał Owyn.

– Owszem... ale przeze mnie nie będziecie szli wolniej – odpowiedział mroczny elf i skończywszy rozmowę, odwrócił się i ruszył ku drzwiom.

Locklear i Owyn wyszli za nim i stwierdzili, że Gorath cierpliwie na nich czeka.

– Musimy kupić żywność. Mamy dość złota?

– Na jedzenie wystarczy – odpowiedział Locklear. – Na wierzchowce nie.

Ruszyli ku znajdującej się po wschodniej stronie miasteczka gospodzie, gdzie Locklear zajął się kupnem zapasów żywności, nabywając przeważnie produkty suszone lub peklowane, by w przyszłości uniknąć sytuacji, w których przyjdzie im jeść zepsute mięso. Potem poczekali, aż książęcy giermek wypyta miejscowych o warunki panujące na drogach do Eggly, dbając o to, by jego głośne uwagi dotarły do uszu kilku podejrzanie wyglądających osobników, mimo wczesnej pory pozornie bez celu kręcących się po uliczkach. Locklear był pewien, że jeśli ktokolwiek ich spyta, potwierdzą tylko fałszywą informację, jaką zostawili w notatce Isaaca.

Opuściwszy oberżę, skierowali się ku drodze do Eggly. Locklear zerknął, jadąc wzdłuż szlaku, przyglądając się stromemu zboczu nad linią drzew i zastanawiając nad mądrością planu polegającego na wspinaczce na

tę wyniosłość, a potem przedzieraniu się przez góry i zapuszczaniu w gniazdo morderców, którymi dowodził śmiertelnie groźny czarodziej moredhelów. W końcu doszedł do tego samego wniosku co poprzednio: jak do tej pory nie udało mu się wymyślić niczego lepszego.

Przygotowując się na długą wędrówkę i spędzane pośród chłodów noclegi z Owynem u boku, ruszył za Gorathem.

ROZDZIAŁ 4

PRZEJŚCIE

Na przełęczy hulał mroźny wiatr.

– Czego to człek nie robi dla Króla i dla kraju – jęknął Locklear, szcękając zębami.

– Nie przejmuj się chłodem – poradził mu Gorath. – Dopóki możesz poruszać palcami u rąk i nóg, to tylko niewygodna... nic więcej.

– Łatwo ci mówić, bo przywykłeś – sarknął Owyn, wstrząsany dreszczami, nad którymi nie mógł zapanować. – U was tam, na Północy, to zwykła rzecz.

Do chłodu nie sposób przywyknąć, człowieku. Ale my nauczyliśmy się godzić ze sprawami, na które nie mamy żadnego wpływu. – Gorath posłał obu młodzieńcom ostrzegawcze spojrzenie. – Lada moment możemy się natknąć na jakiegoś wartownika.

– To co mamy robić? – spytał Locklear, nieco otępiały, z zimna i głodu.

– Poczekajcie tutaj – polecił moredhel. – Pójdę się rozejrzeć.

Locklear i Owyn skryli się w cieniu dużego głazu. Czas włókł się im niemiłosiernie i przytulili się do siebie w poszukiwaniu odrobiny ciepła.

Gorath powrócił, kiedy już przestali się go spodziewać.

– Nieopodal stodoły widziałem czterech strażników – oznajmił. – Nie wiem, ilu jest wewnątrz, ale sam Nago to bardzo groźny przeciwnik.

Locklear wstał i zaczął uderzać stopą o stopę, by przywrócić w nich krążenie krwi. Potem zajął się palcami u rąk, z trudem zginając je i prostując.

– Co mamy robić? – spytał rad, że tym razem dowodzenie przejął Gorath.

– Owynie – zaczął moredhel – niewiele wiem o twoich umiejętnościach, ale Nago to mag, po którym niejednego można się spodziewać. Swą sztuką może unicestwić przeciwnika, obracając go w popiół, albo wpędzić go w szaleństwo. On i jego brat należą do najgroźniejszych sojuszników Delekhana, służących mu jeszcze gorliwiej od pojawienia się Sześciu.

– Kim są ci, których nazywasz Sześcioma? – spytał Owyn, Locklear machnięciem dłoni dał znak Gorathowi, że w tej chwili odpowiedź na to pytanie nie jest najważniejsza.

– To w jaki sposób uporamy się z Nago?

Gorath spojrział na Owyna.

– Chłopcze, musisz w jakiś sposób zwrócić na siebie jego uwagę. Locklear i ja zajmiemy się pozostałymi czterema Braćmi, a także tymi, na których natkniemy się wewnątrz stodoły. Spraw, by Nago ogłupiał, zawahał się, wywab go na zewnątrz, zrób, cokolwiek zechcesz, ale zajmij go na jakiś czas, bym go dopadł... i nie pozwól mu się uciec do Sztuki. Możesz to zrobić?

Widać było, że Owyn się boi... ale odpowiedział tylko:

– Zrobię, co w mej mocy.

Nikt nie żąda niczego więcej – stwierdził Gorath. – Wykorzystamy element zaskoczenia – zwrócił się do Lockleara – ale pierwszych dwu Braci trzeba nam zabić jak najszybciej. Jeżeli pozwolimy, by wróg wykorzystał swoją przewagę liczebną, a nawet jeżeli tylko odwlecemy nieco atak na Nago, wszystko to źle się dla nas skończy. Jeżeli Owyn nie zdoła zająć maga do chwili, w której będziemy mogli się wziąć do niego z należytą uwagą, Nago zakończy naszą podróż, zanim zdołamy ostrzec twego Księcia.

– To dlaczego to robimy? – spytał Locklear. I zanim Gorath zdążył odpowiedzieć, książęcy giermek podniósł dłoń:

– Wiem, wiem... wokół nas zaciska się pętla i jeżeli teraz jej nie zerwiemy, nie zdołamy dotrzeć do Krondoru.

Gorath kiwnął głową.

– Ruszajmy...

Podążali ścieżką, dopóki nie dostrzegli dachu stodoły górującej nad niewielkim pólkiem, przylegającym do stromego stoku. Locklear pochylił się, by nie dostrzeżono go ze szlaku.

– Gdzie są strażnicy? – spytał Goratha.

– Nie wiem – odpowiedział moredhel. – Jeszcze niedawno byli na zewnątrz.

– Może weszli do stodoły? – podsunął Owyn.

Gorath wskazał miejsce przy trakcie, gdzie deszcze wyżłobiły glebę pomiędzy dwoma sporymi głazami, a następnie zręcznie wsunął się pomiędzy kamienie i przemknął ku skrajowi pola. Tuż za nim sunął Locklear. Szyk zamykał Owyn.

– Musimy się pospieszyć – mruknął Gorath do towarzyszy. – Ojcowie i Matki nam sprzyjają... strażnicy weszli do środka, ale nie wiadomo, jak długo tam zostaną. – Ruszył pędem, nie chcąc, by ktokolwiek go dostrzegł, gdy będzie przebiegał przez otwartą przestrzeń. Locklear zmusił się, by dotrzymać mu kroku, choć bolały go żebra i zeszywniałe stawy. Co prawda jego rany zostały uzdrowione, ale wciąż czuł się słabszy niż zwykle. Nie cieszyła go myśl o kolejnej walce, ale jeżeli to ów Nago stał za dotychczasowymi atakami, chciał skorzystać z możliwości położenia im kresu, choćby to miało kosztować go sporo bólu.

Dotarłszy do stodoły, Gorath przykucnął w cieniu jej ściany i zaczął się pilnie rozglądać na wszystkie strony. Nic nie wskazywało na to, żeby

ktokolwiek dostrzegł ich obecność. Podniósł dłoń, ostrzegając towarzyszy, by zachowali milczenie.

Przez chwilę wszyscy nasłuchiwali. Ze środka dobiegały stłumione głosy, Locklear jednak niczego nie rozumiał, bo mówiono w zupełnie nie znanym mu języku. Gorath miał znacznie lepszy słuch, bo w pewnej chwili szepnął:

– Rozmawiają o możliwych przyczynach, dla których nikt nas nie widział po minięciu Hawk's Hollow. Obawiają się, że przemknęliśmy obok nich na drodze do Tannerus.

– I co teraz? – spytał szeptem Owyn.

– Jak przedtem... musimy ich pozabijać – stwierdził Gorath. – Śmiało! – Ruszył ku drzwiom stodoły, dobywając miecza. Naciągnął kaptur na głowę, okrywając cieniem rysy twarzy, a potem wsunął miecz pod opończę. – Bądźcie gotowi – zwrócił się do Owyna i Lockleara – ale poczekajcie chwilę, zanim wejdziecie.

Gdy pchnął drzwi i stanął na tle rozświetlonego popołudniowym słońcem nieba, znajdujący się wewnątrz mogli dostrzec jedynie jego ciemną sylwetkę. Jakiś głos ostro zażądał wyjaśnień. Gorath ruszył do środka pewnie i spokojnie, jakby miał po temu wszelkie prawo. Na chwilę oszukał ziomków, bo pytanie się powtórzyło... ale zaraz potem ktoś wrzasnął:

– Gorath! Tyyyy...

Locklear nie czekał na dalszy rozwój wypadków, tylko wbiegł w otwarte drzwi. Owyn dał się wyprzedzić tylko o ułamek sekundy.

Wewnątrz stodoły zastali pięciu moredhelów. Pośrodku przejścia ustawiono stół i ławę, z której wstawał właśnie mag Nago, zdumiony nagłym pojawieniem się poszukiwanych przezeń ofiar.

Gorath tymczasem zdążył jednym ciosem ściąć pierwszego z przeciwników i bez chwili zwłoki rzucił się na drugiego, przesywając mu ramię i zmuszając, broczącego krwią, do cofnięcia się. Locklear błyskawicznie wykorzystał sposobność stworzoną przez towarzysza i zabił mrocznego elfa cięciem w kark, gdy ten usiłował odeprzeć atak Goratha. Obaj wędrowcy stanęli naprzeciwko dwu następnych wrogów uzbrojonych w miecze.

Owyn spostrzegł, że Nago wciąż jeszcze nie zdołał otrząsnąć się ze zdumienia, że zaatakowali go osobnicy, za którymi od kilku tygodni uganiał się po bezdrożach. Przechodząc przez drzwi, młodzik poczuł jednak, że wewnątrz stodoły zaczynają się gromadzić moce, gdyż Nago zaczął inkantację. Wiedząc, że nie ma zbyt wiele czasu do namysłu, uwolnił jedyne zaklęcie, które zdążył dobrze opanować podczas tej wędrówki – czar oślepienia.

Trafiony nim mroczny elf wytrzeszczył oczy i zająknął się, przerywając tkanie czaru. Owyn się zawahał, a potem podniósłszy pałkę, runął na niego, wydając z siebie niezbyt udaną imitację wojennego okrzyku. Przebiegając pomiędzy zmagającymi się ze swoimi przeciwnikami Locklearem i Gorathem, wrzasnął cienko i przenikliwie.

Poślizgnął się i upadł na twarz ułamek sekundy wcześniej, zanim dopadł elfa – co mu uratowało życie, bo rozjuszony Nago cisnął weń błyskawicą przetykanej czernią czerwieni. Cios maga moredhelów dotarł do miejsca, w którym przed chwilą znajdowała się pierś Owyna. Zamiast ugodzić z całą mocą, błyskawica nieszkodliwie musnęła go po plecach – choć tam, gdzie trafiła, przeszył go obezwładniający ból. Zakręciło mu się w głowie i poczuł, że traci władzę nad lędźwiami i nogami. Szarpnął się, ale przypominało to usiłowanie wydostania się ze stalowych okowów.

Padając, ujrzał, że mag szykuje się do rzucenia kolejnego czaru i bez namysłu machnął pałką. Tak jak się spodziewał, Nago uchylił się instynktownie i znów przerwał tkanie zaklęcia. Ale po chwili, zamknąwszy oczy, podjął jeszcze jedną próbę. Choć Owyn w sprawach magii był nowicjuszem, wiedział, że przerywanie tkania czaru może się okazać bardzo bolesne i Nago będzie potrzebował kilku chwil na to, by móc się skoncentrować.

Usiłował przypomnieć sobie jakieś zaklęcie, którym mógłby odwrócić uwagę mrocznego elfa, ale przez jego głowę przebiegały i coraz bardziej szalone – i przeciwstawne – pomysły. Jawiły mu się frazy i wizje wcześniej mu nie znane, zakłócające jego koncentrację i nie pozwalające przypomnieć sobie żadnego użytecznego czaru. Zaczął więc gmerać palcami przy pasie, szukając sztyletu – przyszło mu bowiem na myśl, by cisnąć nim we wroga.

Tymczasem Nago otworzył oczy i utkwiał wzrok gdzieś za plecami Owyna – gdzie walka dobiegała końca. Przewinąwszy się I na brzuch, młodzieniec zobaczył, jak Gorath przeszywa swego przeciwnika sztychem miecza, a Locklear szykuje się do zadania; ostatecznego ciosu. Owyn obejrzał się przez ramię, by spojrzeć na Nago, i zauważył, że mag moredhelów rzuca się do ucieczki.

– On próbuje uciec! – Owyn chciał ostrzec towarzyszy okrzykiem, ale z jego krtani wydobył się tylko słaby jęk, i nic sposób było orzec, czyjego słowa do nich dotarły.

Gorath jednak je usłyszał – i w trzech potężnych susach: minął Owyna. Uciekinier odwrócił się i cisnął czymś w moredhela. Tego w jednej chwili spowiły iskry magicznych wyładowań. Jęknął z bólu i runął na ziemię jak drzewo trafione gromem.

Owyn tymczasem zdążył wyciągnąć swój sztylet i rzucił nim w przeciwnika. Zrobił to bez odpowiedniego zamachu – w wyniku czego broń

uderzyła Nago w skroń guzem wieńczącym rękojeść. Wystarczyło to jednak, by uwolnić Goratha od czaru. Towarzysz Lockleara i Owyna zerwał się na nogi i jednym gładkim ciosem miecza ściął magowi głowę.

Do Owyna podbiegł Locklear, próbując pomóc mu wstać.

– Przydałby się choć jeden jeniec – stwierdził z przekąsem.

– Ci przybocznicy nie wiedzieli niczego, co mogłoby nam się przydać – odezwał się Gorath. – Nago zaś nie mogliśmy pozostawić przy życiu. Gdybyśmy go chcieli przesłuchać, zdążyłby powiadomić współników o tym, że jesteśmy tutaj. – Moredhel spojrzał na Owyna, który wciąż jeszcze leżał na ziemi.

– Dobrze się spisałeś, chłopcze. Nic ci nie jest?

– Straciłem władzę w nogach – odpowiedział młody ma« – Myślę, że upłynie trochę czasu, zanim znów zacznę chodzić.

– Mam nadzieję, że weźmiesz się w garść – stwierdził Locklear. – Nie chciałbym cię tu zostawić.

– Nie wiem, czy zechcesz mi uwierzyć – odpowiedział Owyn – ale mnie też się to nie uśmiecha.

Gorath tymczasem rozglądał się dookoła. Podszedłszy do dużej skrzyni z zapasami, wyjął pieczywo i bukłak z wodą. Łyknął potężnie, podał bukłak Locklearowi, a potem rozdzielił bochen chleba na trzy części, podając po jednej towarzyszom.

Locklear pomógł Owynowi usiąść przy stole i spojrzał na leżącą na nim, rozwiniętą mapę. „I cóż my tu mamy?” – spytał w duchu sam siebie, patrząc na rysunek.

Była to mapa południowych rubieży Hawk’s Hollow, z zaznaczonymi inkaustem pozycjami posterunków postrzegaczy i naniesionymi ostatnimi meldunkami. Okazało się, że tylko dzięki niezwykłemu szczęściu wędrowcom udało się dotrzeć od Hawk’s Hollow do Żółtego Muła.

– Owynie... – Locklear zwrócił się z pytaniem do towarzysza. – Czy Nago mógł powiadomić innych o tym, że jesteśmy akurat tutaj?

Młody mag obmacywał sobie właśnie nogi, jakby próbując ustalić, czemu go nie słuchają.

– Wątpię w to. Zajmowałem całą jego uwagę, on zaś próbował nas pozabijać. Mogę sobie wyobrazić, że potrafi robić dwie rzeczy naraz, ale trzy... nie, to prawie niemożliwe. Z drugiej jednak strony, jeżeli regularnie kontaktował się ze swoimi agentami, wkrótce zaczną coś podejrzewać... właśnie dlatego, że się z nimi nie skontaktuje.

– To wcześniej trzeba nam się stąd wynieść – stwierdził Gorath. – Jak daleko jest do Kronloru?

– Gdybyśmy, ot tak sobie, wędrowali po Królewskim Trakcie i nie musieli się przed nikim kryć, to stracilibyśmy jeszcze dwa dni. Jadąc konno, byłibyśmy tam następnego dnia. Przedzieranie się przez lasy zajmie nam jednak ze trzy dni.

– A kiedy będziesz mógł ruszać nogami? – spytał Gorath Owyna.

– Nie wiem... – I nagle stopy młodego maga drgnęły. –

O... myślę, że może... Tak! – odparł, wstając powoli. – To było... interesujące.

– Co mianowicie? – spytał Locklear.

– To zaklęcie. Miało unieruchomić przeciwnika, ale tylko na chwilę.

– Potrafiłbyś dokonać tego samego? – zainteresował się Gorath. – Ta umiejętność w pewnych okolicznościach może się przydać.

– Doprawdy? – zakpił Locklear.

– Nie umiem rzec – odparł Owyn. – Kiedy zostałem ugodzony tym zaklęciem, coś mnie... uderzyło. Jakbym je... rozpoznawał. Pozwólcie, że sobie to przemyślę, a może pojmę, jak on to zrobił.

– No to myśl o tym w drodze... zakładam, oczywiście, że możesz iść – stwierdził Locklear. Nie mówił zbyt wyraźnie, bo jednocześnie żuł chleb. Przeszukawszy boczne skrytki, znaleźli w nich kilka ciemnych, szaroniebieskich, wykańczanych futrami opończy.

– Nam też się przydadzą – zawyrokował Locklear. Walka go rozgrzała, dobrze jednak wiedział, jak zimne mogą być noce na wybrzeżu o tej porze roku. Zebrał też mapy i meldunki, z których wynikało jednoznacznie, że w rozmaitych miejscach zebrały się już oddziały gotowe do ataku na kluczowe pozycje Dziedzin Zachodu. Wszystko to wepchnął do kieszeni, które przerzucił przez ramię.

Wyszedszy ze stodoły, okrążyli ciemną bryłę budynku mieszkalnego. Właściciele albo spali, albo ich – zdradzonych przez swoich gości – pozabijano. Wędrowcy nie mieli ochoty sprawdzać, co naprawdę się wydarzyło. Czekwały ich trzy dni niełatwego przedzierania się przez dzicz do Krondoru i czyhało na nich dość niebezpieczeństw, by nie musieli szukać dodatkowych.

Dwa razy udało im się uniknąć spotkania z bandytami lub zabójcami. Nie wiedzieli, kto się na nich zasadził, i wcale nie mieli ochoty się dowiadywać. Raz zmuszeni zostali do zanurzenia się w błocie na dnie wąwozu obok leśnej ścieżki, podczas gdy obok nich przebiegła banda zbrojnych Quegan. Teraz stali przed ostatnią linią drzew, za którymi rozciągały się orne pola i pastwiska. A dalej widać było pierwsze zabudowania przedmieść Krondoru.

– Jestem pod wrażeniem – odezwał się Gorath.

– Widziałem Armengar – stwierdził Locklear – i dziwi mnie, że Krondor robi na tobie wrażenie.

– Rzecz nie w rozmiarach tego miejsca – wyjaśnił moredhel. – Chodzi mi o te chmary ludzi wewnątrz. – Utkwił wzrok w oddali i zamyślił się na

chwilę. – Wy, stworzenia, które życie tak krótko, nie macie poczucia swóje miejsce w historii tego świata. Mnożycie się niczym... – Obejrząwszy się przez ramię, zobaczył, że twarz Lockleara zachmurzyła się. – To zresztą teraz nieważne. Sęk w tym, że jest was tak wielu w każdym niemal miejscu, a tu jeszcze więcej w miejscu jeszcze mniejszym niż inne... – Potrząsnął głową. – Mojemu ludowi takie zbiegowiska są obce...

– A jednak najechaliście na Sar–Sargoth – zauważył Locklear.

– Owszem – przyznał Gorath. – Ku smutkowi i rozpaczyci wielu matek i żon...

– Czekaście. – Owyn postanowił zmienić temat rozmowy. – I co teraz? Ot tak sobie przejdziemy przez to pole do drogi?

– W żadnym wypadku! – zachnął się Locklear. – Spójrzcie no tam! – Wskazał miejsce, gdzie Królewski Trakt przecinała wąska, wiejska droga. Stało tam kilku ludzi, którzy wyglądali, jakby na coś czekali. – Nie bardzo przypomina mi to miejsce, gdzie ludziska zbierają się po pracy, by sobie pogadać.

– Masz rację – przyznał Owyn. – Cóż więc zrobimy?

– Chodźcie za mną – polecił książęcy giermek i ruszył brzegiem lasu na wschód. Wkrótce dotarli do długiego jaru o stromych brzegach, którym w czasie odwilży w górach na północy i wschodzie z pewnością przepływał rwący potok, ale teraz na jego dnie sączyła się nikła strużka wody. – Ten strumień płynie do przelotu obok miejskiej bramy, na podzamczu.

– Co to jest podzamcze? – zapytał Gorath.

Część miejskich zabudowań poza murami. Istnieją pewne sposoby przeniknięcia do miasta... oczywiście dla tych, co je znają. Kanały podzamcza i te za murami nie powinny się łączyć... aby w razie oblężenia nieprzyjaciel nie mógł się wdrzeć za mury, przechodząc pod nimi.

– Ale dziwnym trafem? – domyślił się Gorath.

– Owszem, w dwu miejscach. Jedno z nich jest niebezpieczne... zamiast się tam pchać, równie dobrze moglibyśmy podejść do tych drabów, którzy pewnie na nas czekają, i spytać ich o drogę do pałacu Księcia. To wejście opanowali członkowie Gildii Złodziejskiej. Ale drugie... no, powiedzmy, że poza moim przyjacielem niewiele osób o nim wie.

– A jak ty się o nim dowiedziałeś? – spytał Gorath.

– Skorzystaliśmy zeń kiedyś z przyjacielem, dawno temu, by podążyć za Aruthą do Lorien.

Gorath kiwnął głową.

– Słyszeliśmy o tym... Murmandamus chciał zwabić w pułapkę władcę Zachodu.

– To to samo przejście – odparł Locklear. – A teraz uprasza się zebranych o zamknięcie gęb.

Wszyscy posłuchali rady książęcego giermka i ruszyli w głąb jaru, aż trafili na wylot kanału, ujętego w wypolerowane latami przez wodę kamienie. Schyliwszy się nisko, przeszli poniżej drogi, skryci w coraz dłuższych, przedwieczornych cieniach. Kanał skręcił pod niewielki kamienny most, pod którym wędrowcy znaleźli schronienie. Przed wzrokiem gapiów i postrzegaczy osłaniały ich też towary poskładane po obu stronach drogi w drewnianych skrzyniach, powoli przenoszone do magazynów przez znużonych tragarzy.

– Poczekamy, aż się bardziej ściemni – stwierdził Locklear. – O właściwej porze wstaniemy i wmieszamy się w tłum przechodniów podążających wzdłuż tego kanału. – Przeszedł pod mostem na drugą stronę i spojrzał w górę, zadzierając głowę.

– Ktoś się tam kręci – syknął, wskazując ręką.

– To co zrobimy? – spytał Gorath, który w przeciwieństwie do Lockleara w mieście nie czuł się tak swobodnie jak w górach.

– Poczekamy – stwierdził filozoficznie książećcy giermek. – O zmierzchu przechodzi tędy patrol ceklarzy. Przepędzają stąd wszystkich zbrojnych. W nocy za murami robi się dość niebezpiecznie... i ceklarze nie lubią, gdy w jednym miejscu zbiera się za wiele oręża.

Usiedli pod mostem pomiędzy kałużami błota. Pogrążywszy się w milczeniu, czekali, aż zapadnie zmierzch. Gorath ignorował coraz bardziej natrętne muchy, ale Owyn i Locklear nieustannie się od nich opędzali.

Ściemniło się... i z góry dobiegł ich łoskot, jaki czyniły podkute buty ceklarzy na kamiennym bruku. Usłyszeli też podniesione głosy.

– Teraz! – syknął Locklear.

Szybko przemknął na brzeg tuż za mostem, dając nura pomiędzy skrzynie dokładnie w tej samej chwili, w której grupka przechodniów odprowadzanych czujnymi spojrzeniami ceklarzy rozchodziła się w różne strony.

– Pójdą tędy... i skierują się do pałacu – stwierdził. – Ruszymy tuż za nimi i nawet jeśli tamci nas zobaczą, nie zaryzykująapaści... nie w obecności kilkunastu ceklarzy, gotowych interweniować na pierwsze oznaki bójki. Ty jednak lepiej naciągnij kaptur – zwrócił się do Goratha. – Większość miejscowych nie odróżni elfa od moredhela, nawet jeżeli powiesz sobie na szyi oznaki klanu... ale lichy nie śpi. Kaprys Ruthii... i pierwszą osobą, na jaką się natkniemy, może być weteran z wojen na północy. Ruthia była Panią Ślepego Trafu.

Gorath zrobił, co mu kazano, a gdy ceklarze przeszli dalej ku pałacowi, pospieszył za Locklearem i Owynem, którzy dotrzymywali kroku żołnierzom.

Przeszli przez całe miasto, od jego północno-zachodnich rubieży do południowej bramy, a kiedy straż dotarła do drzwi pałacu, Locklear odciągnął towarzyszy na bok.

– Dlaczego nie wejdziemy za tamtymi? – spytał Owyn.

Ano popatrzcie – rzekł książęcy giermek. Gdy Owyn i Gorath spojrzeli we wskazane miejsce, zauważyli przed pałacową bramą pracujących robotników. Do obu skrzydeł bramy przymocowano wielokrażki ciągnięte przez konie z dwu zaprzęgów. – Ktoś uszkodził bramę – stwierdził Locklear.

Komendant straży krzyknął coś z góry do dowódcy patrolu, który wyprostował się służbiście i poprowadził ludzi na tyły pałacu.

– Chodźcie, chłopcy! – zwrócił się do żołnierzy. – Przejdziemy przez północną bramę.

Locklear skinął na towarzyszy i powiódł ich aleją na tyły pałacowych zabudowań.

– Tędy! – ponaglił Goratha i Owyna.

Podprowadził ich do drzwi, które wyglądały na tylne wyjście i niewielkiej oberży, i otworzywszy, przeszedł na drugą stronę, a potem zamknął je starannie za nimi. Znaleźli się na niewielkim dziedzińcu jakiejś stajni, gdzie z boku stała niewielka szopa.

Locklear rozejrzał się dookoła, a potem wskazał tylne drzwi oberży.

– Jeżeli ktoś się tu nam napatoczy, to jesteśmy zgubionymi sierotkami, głodnymi i daleko od domu... Dostawszy się do izby ogólnej, ruszajcie ku wyjściu, a gdy ktoś zechce was zatrzymać, to w nogi.

– Gdzie my, u licha, jesteśmy? – zdziwił się Gorath.

– Na tyłach oberży, której właściciele nie byliby zadowoleni, gdyby dowiedzieli się, że książęcy wiedzą o tym miejscu... i nie spodobałoby im się to, co zamierzam zrobić. – Locklear ruszył ku szopie, ale zamiast wejść do środka, podszedł do miejsca, gdzie jej ściana stykała się z murem zewnętrznym. Wsunąwszy rękę za szopę, macał przez chwilę, klnąc cicho i z pasją... aż wreszcie w murze coś metalicznie szczęknęło. I oto wielki głąz

płynnie odsunął się na bok. Dopiero teraz Gorath i Owyn spostrzegli, że była to makieta głazu, zręcznie wykonana z utwardzonego i pomalowanego materiału. Aby precyzyjnie się dalej, Locklear musiał się położyć i część drogi przebyć, czołgając się w ciasnym przejściu, ale przeszedł. Drugi był Owyn, a trzeci Gorath – choć ten niemal utknął w dziurze, wykutej dla osobników mniejszej miary.

– Kto tędy łązi? – spytał szeptem Owyn. – Dzieci?

– Owszem – odpowiedział Locklear. – Wśród Szyderców znajdziesz wiele dzieci, a dziur takich jak ta istnieje przynajmniej kilka w mieście.

– Gdzie więc jesteśmy? – dopytywał się dalej Owyn.

– Człowieku! – syknął Gorath. – Użyj węchu! Czy wasz rodzaj nie poznaje smrodu własnych odchodów?

– Oooh! – Owyn dopiero teraz rozpoznał otaczający go zewsząd zapach.

Locklear sięgnął do góry i zatrzasnął klapę – czym odciął resztki światła, pograżając kanał w kompletnych ciemnościach.

– Członkowie mojej rasy widzą w mroku lepiej niż wy, ludzie – stwierdził Gorath – ale i my musimy mieć odrobinę światła.

– Gdzieś tu niedaleko powinna być latarnia – odpowiedział Locklear. – O ile dobrze pamiętam odległość i kierunek...

– Co takiego? – zdumiał się Gorath. – Nie wiesz, gdzie szukać światła?

– Może ja pomogę – odezwał się Owyn. Sekundę później wokół dłoni młodzieńca zajaśniał nikły nimb, wyraźniejszy z każdą chwilą. W krótkim czasie rozświetlił przejście na kilkanaście kroków w obie strony.

– Jak to zrobiłeś? – zdumiał się Locklear.

Owyn podniósł do góry lewą dłoń. Lśnił na niej pierścień.

– Zdjąłem go z palca Nago. Jest magiczny...

– Dokąd teraz? – spytał Gorath.

– Tędy – odpowiedział książęcy giermek, prowadząc ich w głąb krondorskich ścieków.

– Gdzie jesteście? – spytał szeptem Owyn.

– Myślę, że gdzieś na północ od pałacu – odpowiedział Locklear dość niepewnym tonem.

– Myślisz? – spytał Gorath, prychając z niesmakiem.

– No... niech wam będzie. Trochę się zgubiłem. Znajdę tu tylko...

– Śmierć, w brudzie i smrodzie – zadudnił czyjś głos, dobiegający spoza kręgu światła rzucanego przez pierścień Owyna.

Trzy miecze błyskawicznie wysunęły się z pochew. Locklear] próbował dostrzec coś w mroku.

– Kim jesteście i co was sprowadza na Złodziejskie Szlaki? – zapytał nieznajomy.

Locklear uniósł podbródek. Ocenivszy po głosie, że rozmawia z kimś młodym, odpowiedział zuchwale:

– Jestem Locklear, giermek Księcia Pana, i w książęcych kanałach mogę zrobić, co mi się spodoba. Jeżeli jesteś choć w połowie tak bystry i bywały, jak udajesz, to powinieneś wiedzieć, że lepiej ze mną nie zadzierać.

Z mroków wyłonił się chłopiec, szczupły i odziany w zbyt obszerne dla niego kurtkę i koszulę, przepasany sznurem podtrzymującym przykrótkie portki. Miał na głowie zawadiacko przekrzywiony filcowy kapelusz.

– Jestem Limm – oznajmił, znaczącym gestem kładąc dłoń na rękojeści krótkiego korda – i niewiele trzeba, by mój miecz wyskoczył z pochwy. Niech no tylko któryś z was ruszy palcem bez mojego zezwolenia, a zaraz poleje się krew.

– Chłopcze! – syknął Gorath. – Jedyłą krwią, jaką tu zobaczysz, będzie twoja własna... a ujrzysz ją zaraz, jeśli nie zejdziesz nam z drogi.

Jeżeli słowa moredhela wywarły na chłopcu jakiegokolwiek wrażenie, ukrył je doskonale, odpowiadając:

– Jeszcze w dzieciństwie lepszych od ciebie prałem na kwaśne jabłko. – Potem jednak cofnął się o krok. – A oprócz tego tuż obok na moje wezwanie czeka pięciu łamignatów.

Locklear podniósł dłoń w pojednawczym geście, jednocześnie powstrzymując Goratha.

– Przypominasz mi Jimmy’ego Rączkę – stwierdził książęcy giermek. – Jesteś równie jak on zuchwały... i tak samo lubisz się chełpić. Odejdź... nie chcemy rozlewu krwi. – Kątem ust szepnął do Goratha: – Jeżeli on rzeczywiście ma tu jakichś pomocników, to możemy mieć kłopoty.

– Wspomnieliście coś o Jimmym Rączce? – spytał Limm.

– Ha! Jeżeli jesteście przyjaciółmi wielmożnego Jamesa, pozwolimy wam przejść. Ale kiedy go zobaczycie, przekazcie mu, żeby lepiej się tu pokazywał... albo nici z umowy. – Zanim Locklear zdążył cokolwiek powiedzieć, Limm zniknął w mroku tak cicho, że przybysze niemal nie usłyszeli jego odejścia. – I bacz, gdzie stąpasz, Mości Locklearze, który znasz Jimmy’ego Rączkę. Niedaleko stąd możesz natknąć się na kilku bardzo niemiłych ludzi.

– Zanim jego głos ucichł w mroku, zdążył jeszcze dodać: – I przykro mi rzec, ale zgubiliście się jak nowicjusze... Przy następnym ujęciu skręćcie w prawo i idźcie prosto aż do pałacu.

Locklear nastawił ucha, licząc na to, że usłyszy coś jeszcze. Niestety... po ostatnich słowach Limma zapadła cisza, którą wzmagają odgłos spadających gdzieś ze sklepienia kropel wody i jakieś odległe echa.

– Dziwne to było spotkanie – odezwał się Gorath.

– Owszem – zgodził się Owyn.

– Było dziwniejsze, niż sądzicie – stwierdził Locklear. – Chłopiec czekał na mojego przyjaciela, Jamesa. Szydercy wydali na niego wyrok śmierci... który niechybnie wykonają, gdy tylko pojawi się gdziekolwiek na ich terenie. Taki układ dotyczący życia Jamesa zawarł z Szydercami Książę Arutha kilka lat temu.

– Niekiedy ze zmianą okoliczności zmieniają się układy – zauważył Owyn.

– Bywa, że się je zrywa – dodał Gorath.

– A... to już sprawdzimy później – stwierdził Locklear.

– Teraz trzeba nam znaleźć drogę do pałacu.

– Co on miał na myśli, mówiąc o niemiłych ludziach? – spytał Owyn.

– Nie wiem – odpowiedział książęcy giermek. – Ale mam przeczucie, że jak nie będziemy uważać, to szybko się dowiemy.

Zawrócili we wskazanym przez Limma kierunku i skręcili na skrzyżowaniu kanałów. Chwilę później Gorath stwierdził:

– Ktoś jest przed nami.

Owyn schował pierścień pod ramieniem, tłumiąc jego blask.

– Dwaj ludzie odziani na czarno – szepnął moredhel.

– I dlatego ich nie widzimy – stwierdził Locklear.

– Co to za jedni? – spytał Owyn.

Locklear odwrócił się ku niemu, ale przypomniał sobie, że tamten w mroku i tak nie dostrzeże wyrazu jego twarzy, odezwał się więc:

– Dlaczego po prostu nie podejdziesz i nie spytasz?

– Jeżeli nie są ludźmi Księcia i tymi... Szydercami, to muszą być wrogami – stwierdził Gorath, ruszając naprzód. W dłoni trzymał już miecz gotowy do zadania śmiertelnego ciosu.

Locklear zawahał się na moment. Gdy podjął decyzję, Gorath już stał przy obu nieznanym. Pierwszy obrócił się w samą porę, by zobaczyć

niosącą mu śmierć klingę. Moredhel ciął go przez bark i pierś.

Drugi z odzianych w czerń zdołał wydobyć miecz i podnieść go, mierząc w głowę Goratha. Uderzenie przyjął na swoją klingę Locklear, a moredhel przeszył przeciwnika na wylot. Walka zakończyła się w ciągu sekundy.

Książęcy giermek ukląkł i zbadał oba trupy. Zabici mieli na sobie dokładnie takie same spodnie i kurtki z czarnego materiału, obaj też byli obuci w miękkie, czarne skórzane cizmy. Na ich uzbrojenie składały się krótkie miecze, a obok jednego z nich leżał niewielki łuk. Żaden nie miał sakiewki czy kiesy, obaj jednak nosili na szyjach identyczne łańcuszki z ukrytymi pod koszulami czarnymi medalionami.

– Nocne Jastrzębie! – stwierdził Locklear.

– Zabójcy? – spytał Owyn.

– Ale oni powinni... – Locklear potrząsnął głową. – Jeżeli ci dwaj byli Nocnymi Jastrzębiami, to ja jestem dziadkiem Goratha.

Gorath prychnął pogardliwie, ale powiedział tylko:

– Słyszeliśmy i my o waszych Nocnych Jastrzębiach... Niektórzy z nich pracowali pono dla Murmandamusa.

– Mówiono, że posiadli pewne magiczne umiejętności – stwierdził Owyn.

– Mówiono! – zachnął się Locklear. – Mój przyjaciel James miał nieprzyjemność spotkać się z jednym z nich na miejskich dachach, kiedy był zaledwie czternastoletnim wyrostkiem i wyszedł z tego cało... mógł się tym potem chwalić. –

Wstał. – Byli dobrzy, ale nie lepsi niż inni. Ich budząca grozę reputacja to w dużej części tylko legenda. Ci tutaj jednak – wskazał na dwa trupy – nie byli Nocnymi Jastrzębiami.

Z głębi tunelu ktoś gwizdnął. Gorath obrócił się na pięcie z mieczem w dłoni, gotów do odparcia kolejnego ataku. Locklear jednak wetknął dwa

palce w usta i świsnął jak ulicznik. Chwilę później w kręgu światła pojawił się młody człowiek.

– To ty, Locky? – spytał.

– Jimmy! – zawołał młodzieniec, obejmując starego przyjaciela. – Właśnie o tobie mówiliśmy!

Jimmy – jak Locklear, giermek książęcego dworu – podparł się pod boki, przyglądając się swemu najlepszemu przyjacielowi. Zobaczywszy długie włosy związane w węzeł i sumiaste wąsy, spytał: – Coś ty zrobił ze swoimi włosami?

Nie widzieliśmy się od paru miesięcy i pierwsza rzecz, o jaką pytasz, to moja czupryna? – zdumiał się Locklear.

Jimmy uśmiechnął się szeroko. Wyglądał młodzieńczo, choć nie był już chłopcem. Kędzierzawe, kasztanowe włosy obcinał krótko. Nosił zwykłego kroju kurtkę, spodnie, opończę i buty. Uzbrojony był jedynie w tkwiący za pasem nóż.

– Co cię sprowadza na dwór? O ile dobrze pamiętam, Arutha zesłał cię na północ na cały rok.

– To przez tego moredhela – stwierdził Locklear. – Przedstawiam ci Goratha, który przynosi Arucie ostrzeżenie. – wskazując drugiego ze swoich towarzyszy, dodał: – A oto Owyn, syn Barona z Timons. Także mi bardzo pomógł.

– Wódz moredhelów w Krondorze – rzekł Jimmy. – No... tu też dzieją się dziwne rzeczy. – Spojrzał na dwu zabitych ludzi w czerni. – Ktoś przekupił kilku ciężkich idiotów, by udawali Nocne Jastrzębie... w kanałach i gdzie indziej.

– Ale w jakim celu? – spytał Locklear.

– Nie wiemy – odpowiedział Jimmy. – Właśnie miałem się udać na spotkanie z pewnymi... starymi znajomymi. Chciałem zapytać, czy

zechcieliby nam pomóc w odkryciu, kto stoi za tym wszystkim.

– Mówisz o Szydercach? – zapytał Locklear. – Niedawno natknęliśmy się na jednego z nich... szczeniaka o imieniu Limm.

James kiwnął głową.

– Wkrótce spotkam się z paroma osobami ze starszyny. Lepiej, by nie musieli na mnie czekać. Ale zanim pójdę... może zechcesz mi wyjaśnić, co robicie w tych kanałach?

– Komuś bardzo zależy na tym, by raz na zawsze zamknąć usta Gorathowi. Jestem pochlastany tak jak koń w taniej jatce, i gdy trafi na podpitego rzeźnika. Znaleźliśmy się tutaj, bo chcemy: dostać się do pałacu, a przy wszystkich wejściach kręcą się ludzie i o bardzo nieprzyjaznym wyglądzie. A kiedy próbowaliśmy wejść do miasta, deptając po piętach ceklarzom, okazało się, że ktoś uszkodził bramę.

– Ktoś uszkodził wejście południowe i północne... Jedyna droga do Pałacu wiedzie przez furtę na port... albo kanałami.

Nowiny wcale się Locklearowi nie spodobały.

– Posunięto się aż do zablokowania wrót, by nas nie wpuścić do pałacu?

James kiwnął głową.

– Tylko tak można to wytłumaczyć. No, dość gadania po próżnicy. Idź do Aruthy, a ja dołączę do was później.

– Dobrze idziemy? – upewnił się Locklear.

– Owszem. – James wyjął z kieszeni klucz i podał go przyjacielowi. – Ale sekretne drzwi zostały zamknięte... i długo byście musieli czekać, gdybym przypadkiem tędy nie przechodził, Jakoś poradziłbym sobie – odparł Locklear. – Kilka razy przyglądałem się, jak posługujesz się wytrychami.

– Owszem... i pierwsze drzwi otworzyłbyś... za kilka lat – stwierdził James, poklepując przyjaciela po ramieniu. – Ale cieszę się, że cię widzę

znowu, nawet w tak nie sprzyjających pielęgnowaniu przyjaznych uczuć okolicznościach. – Wskazał korytarz za sobą. – Idźcie tędy, a gdy miniecie wyloty dwu kamiennych kanałów z lewej, natkniecie się na drabinę wiodącą do pałacu. Proponuję jednak, byście przed wizytą u Aruthy wszyscy wzięli kąpiel – rzucił na pożegnanie.

Locklear uśmiechnął się kwaśno, potem jednak parsknął szczerym śmiechem. Po raz pierwszy od miesięcy poczuł się naprawdę bezpiecznie. Stał oto blisko wejścia do pałacu i wiedział, że wkrótce zanurzy się po uszy w balii z gorącą wodą.

– Jak wrócisz, zajdź do mnie, to pogadamy – zwrócił się do Jamesa. – Musisz opowiedzieć mi ostatnie nowinki i ploteczki.

– Nie omieszkam – obiecał James.

Locklear poprowadził Goratha i Owyna do drabiny łączącej pałac z systemem kanałów – faktycznie szeregu żelaznych szczebli, wbitych jeden nad drugim w kamienie. Na szczycie zamykała ją solidna, kuta w żelazie krata, którą giermek otworzył, korzystając klucza darowanego mu przez Jamesa. Kiedy wspólnym wysiłkiem podnieśli kratę i odsunęli ją, znaleźli się w wąskim tunelu, położonym tuż nad kanałami i łączącym się z pałacowymi piwnicami. Locklear gestem nakazał towarzyszom milczenie i poprowadził ich ku drzwiom. Przeszedłszy przez nie, Owyn i Gorath stwierdzili, że trafili do kolejnego korytarza, skąpo oświetlonego blaskiem pochodni. Obejrząwszy się za siebie, Gorath odkrył, że drzwi, przez które tu weszli, wtopiły się w mur, zamaskowane mistrzowsko wykonaną kamienną, nierówną płytą.

Locklear poprowadził ich do swoich komnat. Po drodze minęli posterunek pałacowej straży. Dwu gwardzistów z ciekawością przyglądało się książęcemu giermkowi przechodzącemu w towarzystwie drugiego młodzieńca i kogoś wyglądającego jak rosły elf.

– Mniej więcej za godzinę będzie kolacja – stwierdził Locklear, wyglądając przez górzące nad miastem okno. – Mamy akurat dość czasu na to, by się wykąpać i zmienić bieliznę. Po kolacji porozmawiamy z Księciem.

– Dla moredhela pobyt w tym miejscu to... dość niezwykle doświadczenie – stwierdził Gorath.

Locklear otworzył drzwi wiodące do jego komnat.

– Równie niezwykle jak goszczenie ciebie tutaj. – Odsunął się, by wpuścić towarzyszy do środka. Potem odwrócił się i machnął dłonią na przebiegającego obok pazią. – Hola! Chłopcze!

Biegący zatrzymał się i zwrócił ku przybyszom.

– Słucham, panie? i Zechciej powiadomić Księcia, że wróciłem... i mam bar – I dzo ważne wieści.;

– Oczywiście, panie... – odpowiedział paź, który dobrze; znał reputację Lockleara. – Tak pewne jak wasz nagrobek... jeżeli za takie nie uzna ich Książę.

Locklear dał paziowi żartobliwego kuksańca i odesłał go do Księcia.

– Zawiadam też łaźbowników, że będę potrzebował gorącej wody na trzy balie.

Chłopiec kiwnięciem głowy potwierdził, że usłyszał polecę – i nie.

– Powiadomię ich akuratnie, panie. I Odwróciwszy się, giermek zobaczył, że Owyn rozsiadł się już na łóżku, opierając się o ścianę, a Gorath cierpliwie czeka najego polecenia. Podeszedł więc do szafy i wybrał kilka sztuk odzieży.

– Gdy będziemy zażywali kąpieli, służba przyniesie odpowiednie dla ciebie szaty – zwrócił się do Goratha. Wybrał koszulę, kurtkę, spodnie i podał je Owynowi, razem ze sporym naręczem bielizny. – A teraz do łaźni, przyjaciele.

Na końcu korytarza czterej służący lali gorącą wodę do wielkiej balii, inni zaś czekali na swoją kolej.

– Jazda! – zwrócił się Locklear do Owyna, który szybko rozebrał się i wlaź do wody. Młody mag westchnął z rozkoszy, zamknął oczy i rozsiadł się wygodnie, opierając plecy o wysoką ścianę balii.

– Czy ta trzecia balia jest dla mnie? – spytał Gorath.

– Tak planowałem, ale jeżeli ci się spieszy...

– Należcie do niej zimnej wody.

Służący spojrzeli na siebie zdumieni, Locklear jednak kiwnięciem głowy polecił spełnić niezwykle żądanie gościa. Napełnili więc gorącą wodą drugą balię, a potem wyszli, zawracając po drodze dwu tragarzy dźwigających cebrę wrzątku. Wkrótce tragarze wrócili z zimną wodą i zaczęli ją lać do balii.

– Rozebrawszy się, Gorath wszedł do balii i kazał sobie lać zimną wodę na głowę. Bez najmniejszej skargi zniósł nagły chłód. Kiedy kąpiel dobiegła końca i wszystkim przyniesiono czystą bieliznę, Owyn zapytał: – Dlaczego kazałeś lać zimną wodę?

– My kąpiemy się w górskich strumieniach, w krainie, gdzie na szczytach leżą wieczne śniegi – odpowiedział moredhel. – Ta woda była dla mnie po prostu za ciepła.

– Cóż... człek codziennie dowiaduje się czegoś nowego.– Locklear wzruszył ramionami.

– Owszem – odpowiedział Gorath.

Kiedy się ubrali i wyszli z łaźni, odkryli, że czeka na nich drużyna przybocznej gwardii Księcia Krondoru.

– Mości giermku... – odezwał się dziesiątnik. – Mamy was zaprowadzić do Księcia.

– Nie trzeba – stwierdził sucho Locklear. – Znam drogę. Podoficer, stary wyga i weteran północnych wojen, nie przejął się sprzeciwem młodzika.

– Księżę wydał rozkaz... i my go wykonamy, sir.

Dał znak i dwaj żołnierze ustawili się po bokach Goratha, a dwaj inni stanęli za nim. Wszyscy ruszyli korytarzem, a potem skierowali się do wielkiej sali, gdzie Księżę Arutha, Księżna Anita i ich goście kończyli właśnie kolację.

Arutha, jako władca Zachodnich Dziedzin Królestwa Wysp, siedział na honorowym miejscu przy stole. Lata obeszły się z nim łaskawie i nadal zachował młodzieńczy wygląd. Choć od dziesięciu lat sprawował władzę nad Dziedzinami, na jego twarzy dopiero teraz pokazały się zmarszczki. Twarz golił gładko, wciąż więc przypominał młodzieńca, bohatera z Wojen Rozdarcia Światów. W jego ciemnych włosach pojawiło się zaledwie kilka pasm o barwie stali – poza tym zupełnie nie różnił się wyglądem od księżątka, które Locklear zobaczył, kiedy po raz pierwszy zjawił się w Krondorze, przybywając jako paź z dworu swego ojca w Lands End. Jego ciemne, utkwione teraz w Locklearze oczy, potrafiły kolana niejednego zuchwalca zamienić w rozdygotaną galaretę. Podczas wielu lat służby w Krondorze przybysz z Lands End nauczył się znosić to spojrzenie bez drżenia – ale nigdy nie było to dlań łatwe.

Księżna Anita powitała Lockleara uśmiechem i przyjaznym spojrzeniem zielonych oczu kobiety, która po długiej nieobecności i wita lubianego dworzanina. Jak większość młodych ludzi na dworze uwielbiał Księżnę za jej prawdziwy urok i wrodzony wdzięk.

Przy stole zauważył i innych znanych sobie ludzi, między innymi Gardana, Konetabla Pryncypatu, Diuka Brendana i Lorda Południowych Marchii. Blisko Księżnej rozsiadł się jednak człowiek, którego przybysz z Tyr–Sog nie znał, odziany w czarne szaty; jednego z tsurańskich Wielkich.

Mocno już przerzedzone siwe I włosy maga opadały mu na ramiona. Nieznajomy wbił wzrok w Lockleara, Owyn zaś wyczuł, że stoją przed człowiekiem posiadającym władzę nad mocami, którym niewielu tylko ludzi mogłoby stawić czoła. Locklear natychmiast pojął, że musi to być ów Makala, Tsurńczyk, który niedawno pojawił się na dworze.

– Mój panie... – zaczął Arutha oficjalnym tonem. – Rozkazano ci przez rok wykonywać rozkazy Earla Tyr–Sog. Wedle moich obliczeń wróciłeś o kilka miesięcy za wcześnie. Czy masz jakieś rozsądne usprawiedliwienie?

– Wasza Księżca Mość – odezwał się Locklear, kłaniając się nisko. – Na Północy doszło do wydarzeń wielkiej wagi. To one kazały mi opuścić posterunek i pospiesznie ruszyć do Krondoru. Oto jest Gorath, wódz moredhelów z klanu Ardanien, który przybył tu z ostrzeżeniem.

– O czym chcesz mnie ostrzec, moredhelu? – spytał Arutha podejrzliwie. Jego dotychczasowe doświadczenia z przedstawicielami Bractwa Mrocznego Szlaku oscylowały wokół morderstw i oszustw. I Gorath postąpił krok do przodu. I Ostrzegam, że czekają was wojny i rzezie. W Sar–Sargoth znów biją w wojenne bębny... i klany zbiegają się pod swoje sztandary.

– W jakim celu? – spytał Arutha.

– Klany zwołuje Delekhan, wojenny wódz Darkanienów. Śpiewa o wojnie i zbiera wojowników chętnych do powrotu na Południe.

– Ale po co? – spytał Arutha.

– On przysięga, że Murmandamus żyje i trzymacie go uwięzionego w Sethanonie. I klnie się na krew naszych przodków, że wróci, by uwolnić naszego przywódcę.

Arutha usiadł oszołomiony. Sam zabił Murmandamusa, choć niewielu miał na to świadków. Księżę wiedział też, że Murmandamus był

odmieńcem przygotowanym przez kapłanów Wężowego Ludu, który miał poprowadzić moredhelów w służbie ich mrocznej sprawy.

Wstał.

– Porozmawiamy o tym na prywatnej naradzie. – Skłonił się żonie, a potem skinął na Makalę. – Czy zechcesz się do nas przyłączyć?

Tsurański mag kiwnął głową i wstał z miejsca. Locklear zauważył, że jak na mieszkańca Kelewanu Wielki był niezwykle wysokim osobnikiem. Miał może pięć stóp i dziesięć cali wzrostu. Teraz zwrócił się do sługi i wydał krótki rozkaz. Sługa skłonił się nisko i wybiegł wykonać polecenie.

Locklear skinieniem dłoni wezwał Goratha i Owyna, by poszli za nim przez wielkie drzwi po prawej stronie sali, wiodące do prywatnych komnat rodziny królewskiej.

– Mam nadzieję, że masz dla Aruthy jakieś rewelacje, bo jeżeli nie, to ugrzęźliśmy po uszy w bagnie.

– Mam więcej rewelacji, niżbyś chciał usłyszeć, człowiecze – stwierdził Gorath.

ROZDZIAŁ 5

MISJA

Na szczytach gór huczały bębny.

Oszołomiony Gorath stał jak słup soli. Część jego świadomości mówiła mu, że to wszystko jest wspomnieniem, ale doświadczenie było równie intensywne jak wtedy, gdy przeżywał to w rzeczywistości. Zacisnął dłonie i wbił w nie spojrzenie. Przypominały dłonie dziecka. Spojrzawszy w dół, zobaczył gole stopy... a na bosaka chodził w dzieciństwie.

Uderzający w bębny na szczytach wzgórz wybijali natarczywy rytm pod niebem rozświetlanym blaskiem jasno płonących ognisk. Członkowie od dawna wojujących ze sobą klanów wypatrywali jakichkolwiek oznak wrogości czy zdrady... ale wszyscy przybyli, by wysłuchać Mówcy. Gorath włókł się powoli, nie wiedzieć czemu zmęczony. Choć bardzo się starał, nogi ciążyły mu jak z ołowiu i nie mógł iść szybciej.

Wiedział, że pokój był kruchy i że lud jego ojca został zdradzony. Miał zaledwie dwanaście lat – w innych okolicznościach minęłyby stulecia, zanim wdziałby wodzowski płaszcz ojca... ale los zrządził inaczej.

Z tyłu podeszła doń matka.

– Idź szybciej – powiedziała. – Jeżeli masz przewodzić, pierwszej musisz przeżyć. – Jej głos powtarzało echo... coraz słabsze, a gdy odwrócił się, by na nią spojrzeć, nie zobaczył za sobą nikogo.

Okazało się, że stoi odziany w zbroję i buty... za duże dlań, choć jego własne. Jego ojciec zginął, gdy pokój Mówcy rozplynał się w serii nagłych wybuchów furii i wściekłości. Jak inni przed nim, Mówca zamierzał

podnieść sztandar Murmandamusa, jedynego przywódcy, któremu kiedykolwiek udało się zjednoczyć liczne klany moredhelów. Teraz przed ludźmi z Klanu Jastrzębia stał młodziutki Gorath, niezdolny niemal do uniesienia ojcowego miecza – równie przygnębiony jak ci, co się przy nim zebrali wokół ogniska. Matka klepnęła go z tyłu w ramię.

– Musisz coś powiedzieć – szepnęła.

Powiódłszy wzrokiem po zebranych wojownikach, Gorath poczuł, że nie może wydobyć głosu – a jednak wszyscy, a byli wśród nich Bracia noszący miecze od ponad stu lat, czekali na słowa chłopca. Słowa, które miały im dodać ducha i natchnąć nadzieją na lepsze czasy. Powiódłszy wzrokiem po twarzach, Gorath zdołał wreszcie powiedzieć: – Wytrwamy!

Ogarnęła go fala bólu, runął na kolana i ujrzał nagle, że klęczy przed Bardolem, przysięgając mu sojusz w zamian za ochronę. Bardol nie miał synów i potrzebny mu był odpowiedni kandydat na męża dla córki. Gorath wykazał się jako zdecydowany i władczy wódz. Powiódł swój lud wysoko w góry, gdzie żyjąc w omszałych jaskiniach, polowali na niedźwiedzie i renifery. Po upływie ćwierćwiecza, kiedy jego wojownicy okrzepli i zaleczyli rany, Gorath poprowadził ich na doliny, gdzie odszukali zdrajcę, który wydał wrogom jego ojca. Wkroczywszy do obozu Jodwaha, cisnął mu pogardliwie pod nogi głowę jego brata, Ashantuka. Potem w uczciwym boju pokonał Jodwaha, a wojownicy Lahutów, Orlego Klanu Północnych Jezior, przyłączyli się do Jastrzębiego Klanu Lodowych Szczytów, Gorath zaś został wodzem Ardaniarów – co w starożytnym języku oznaczało lotnych łowców. Wszystkiego tego dokonał jako trzydziestosiedmioletni młodziak, a teraz za jego buńczukiem chodziło ponad stu wojowników.

Dwukroć stawał przed radą zwołaną przez wodzów uzurpujących sobie rze przysługujące im prawa i patrzył, jak ich lud wykrwawia się w bitwach. Był na tyle mądry, że zdołał utrzymać swoich z dala od takich konfliktów i

stał się mężem, którego rady ceniono... jemu samemu obca była żądza władzy. Wielu mu ufało. Wchodził w najlepszy wiek swego życia – miał sto sześć lat i tysiąc mieczów uderzało tam, gdzie zwrócił swoje spojrzenie.

Czas płynął niczym rzeka, on zaś unosił się razem z nim. Poślubił dwie kobiety, a one urodziły mu dzieci. Pierwsza zginęła od strzały puszczonej palcami człowieka, druga go porzuciła. Miał synów i córkę – choć żadne z nich nie dożyło do chwili obecnej. Jednak nawet on, którego rady tak bardzo ceniono – nawet on dał się wciągnąć w szaleństwo rozpętane przez Murmandamusa.

Nazywany Murmandamusem powrócił tak, jak głoszą w prorocत्वach. Miał znamię Smoka i władał wielkimi mocami. Służył mu kapłan z dalekiego ludu, kryjący swe oblicze pod ciężkim kapturem, a pomiędzy tymi, którzy pierwsi stanęli na jego wezwanie, był Murad, wódz Klanu Borsuków z Kłów Świata. Gorath widział raz, jak Murad złamał roślemu wojownikowi grzbiet na kolanie i wiedział, że tylko najpotężniejsi z wodzów mogli rościć sobie prawa do sojuszu z Borsukami. Jako znak potęgi Murmandamusa, Murad wyciął sobie język na dowód, że nigdy nie zdradzi swego pana.

Tylko jeden raz w życiu Gorath dał się wciągnąć w szaleństwo. Jego krew tętniła wtedy w żyłach zgodnie z rytmem wybijanym przez wojenne bębny. Miał poprowadzić swoją armię na: rubieże wielkiego Edder i ruszyć do walki z szaleńcami, barba – i rzyńskimi wojami starego Króla Czerwone Drzewo... a potem utrzymać flankę, kiedy Murmandamus uderzy na zamieszkane przez ludzi miasto Sar–Isbandia, które jego obywatele zwali Armengarem.

Pod Armengarem legły tysiące, ale jego klan nie stracił zbyt wielu wojowników. Kilku zginęło, odpierając ataki leśnych dzikusów i podczas drogi przez przełęcz, nazywaną przez ludzi Highcastle. Tam też stracił

Melosa, syna siostry swej matki. Ale pod Highcastle legła jedna trzecia jego klanu.

A potem przyszedł czas Sethanonu. Walki były ciężkie i krwawe, ale w końcu wtargnęli do miasta. W chwili tryumfu wydarto im jednak zwycięstwo. Murmandamus gdzieś przepadł. Niektórzy wojownicy utrzymywali, że w jednej chwili stał pośrodku sethanońskiego barbakanu, a w następnej chwili znikł bez śladu. Potem przybyli Keshanie, a za nimi mali, ale zajadli wojownicy Tsurani i szczęście bitewne odwróciło się od rnooredhelów. Pierwsze uciekły olbrzymy, zwerbowane w ich górskich wioskach, potem tył poddały gobliny, odważne i zajadłe w zwycięskiej walce, ale szybko wpadające w panikę. Gorath, jedyny pozostały przy życiu wódz z tych, którzy wdarli się do zamku, dał sygnał do odwrotu. Przybył, szukając wodza, ponieważ pomiędzy dwoma od dawna wrogimi sobie klanami wybuchł spór o łupy. Rozstrzygnąć go mógł jedynie Murmandamus. Ludzie uciekli. Nikt nie mógł Murmandamusa odnaleźć i Gorath przeklął wszelkie przepowiednie, proroctwa i wszystkich zwiastunów klęski... a potem wrócił do swoich i poprowadził ich z powrotem na północ.

Choć ocalał większość wojowników, wielu innych wodzów okrzyknęło go zdrajcą... i to samo miano przylgnęło do jego zwolenników. Przez dziewięć lat Ardanienowie żyli w swojej dolinie, pośród północnych gór, i postępowali wedle sądów własnej rady. A potem przyszło wezwanie.

Ponownie wzniesiono w górę sztandary. Klany zwołał Delekhan, zaprzysiężony wróg plemienia, syn zabójcy ojca Goratha, który z kolei legł z jego ręki. Delekhan jadał z Muradem oraz Wężowym Kapłanem i był ostatnim z żyjących członków rady Murmandamusa. Przysięgał on, że Murmandamus nadal żyje jako więzień w Sethanonie... i tylko jego

uwolnienie zjednoczy Narody Północy, a dopiero wtedy moredhele wyprą ludzi z należnych im dziedzin.

Ginał każdy, kto sprzeciwił się Delekhanowi. Sześciu tkalo pajęczynę czarnej magii i przeciwnicy Delekhana jeden po drugim przepadali bez wieści. Gorath wiedział, że przyjdzie kolej i na niego, zrozumiał też, że musi powiadomić wrogów z południa, ponieważ jedynie oni mogą pomóc jego ludowi.

Ciemną nocą umknął przez lody, znosząc głód i chłód. Ścigali go towarzysze, jeszcze niedawno będący dlań jak bracia. Poprowadził ich Haseth, ostatni z jego krewniaków, którego uczył, jak trzyma się miecz. I stało się, że Gorath sam, własnymi rękoma, stał z powierzchni ziemi resztki swojej krwi.

I oto znów słyszał grzmot bębnow. Znowu widział ognie na wzgórzach, ale teraz czuł, że jego umysł wraca do terażniejszości, a wspomnienia z wolna zapadają w niebyt...

Dziewczyna była młoda, niespełna siedemnastoletnia, ale miała białe, złotawo pobłyskujące włosy. Puszczając dłonie Goratha, utkwiała w jego oczach spojrzenie swoich jasnobłękitnych źrenic. Za nią stali Księżę Kronloru, odziany w czarną szatę Tsuranczyk i jeszcze jeden mag, od którego – mimo jego niewielkiego wzrostu – biła aura mocy. W pobliżu znajdowali się jeszcze inni ludzie, tych jednak, z którymi Gorath tu przybył – Lockleara i Owyna – umieszczono w innej komnacie.

– Co zobaczyłaś? – spytał Księżę.

– Wasza Miłość, nie znalazłam w nim żadnego fałszu – odpowiedziała cicho dziewczyna. – Ale nie mogę znaleźć prawdy. Jego umysł jest... obcy... i pogrążony w chaosie.

Arutha zmarszczył brwi i spojrzał baczenie na Goratha.

– Czy to znaczy, że on ukrywa swoje myśli?

– Wasza Miłość – odezwał się brodaty mag. – Gorath jest moredhelem i nawet niezwykle zdolności Gaminy, która jak nikt umie czytać myśli, mogą nie wystarczyć, aby przedrzeć się przez wewnętrzne bariery obronne jego umysłu. Nigdy nie mieliśmy okazji zbadania moredhela. Dowiedziałem się, że podczas studiów u eldarów...

Na wspomnienie odwiecznych strażników starożytnej wiedzy elfów oczy Goratha rozbłysły.

– Ty musisz być Pugiem...

– Otom jest. – Pug kiwnął głową.

– Słyszeliśmy o tobie, który studiowałeś z eldarami – stwierdził Gorath.

– Do rzeczy – przypomniał obu Arutha.

– Myślę, że on mówi prawdę – odparł Pug.

– Ja też tak uważam – wtrącił się Makala. – Zechciej rai wybaczyć, Książę – zwrócił się do Aruthy – ale pozwoliłem sobie na zrobienie użytku ze swej Sztuki, by się przyjrzeć, jak Lady Gamina sonduje moredhela. Jest tak, jak powiedziała: obcy umysł w stanie głębokiego zmieszania, ale nie masz w nim poczucia winy. Pomimo dzielących nas różnic, jest uczciwą osobą... i równej mu szlachetności daleko byście musieli szukać.

– A co kazało ci skorzystać ze swojej Sztuki bez naszego zezwolenia? – spytał Arutha. W jego głosie słychać było więcej ciekawości niż gniewu.

– Wojna tocząca się w Królestwie będzie miała dalekosiężne konsekwencje, Wasza Wysokość. Nie najmniej ważna z nich to ograniczenie handlu pomiędzy naszymi światami. Gdyby do tego doszło, Jego Niebiańska Światłość byłby bardzo niezadowolony... nie mówiąc o ryzyku, że jego współplemieńcy – wskazał Goratha – posiadają sekrety Przetoki.

Arutha kiwnął głową, jakby przytakiwał własnym myślom.

– Książę... – odezwał się Gorath. – Nie bacząc na traktaty handlowe, wojna nikomu nie przyniesie korzyści. Mimo to jednak musicie się do niej przygotować.

Arutha natychmiast przemówił ostro, choć spokojnie:

– Mości renegracie, co zrobię lub czego nie zrobię, to wyłącznie moja sprawa. A decyzje muszę oprzeć na czymś więcej niż tylko nie poparte dowodami słowa wodza klanu osiadłego tam, gdzie czart mówi dobranoc. Gdyby nie zaufanie, jakim darzy cię Locklear, siedziałbyś teraz w lochu i składałbyś zeznania przed mistrzem małodobrym... a nie trzymałbyś dłoni Lady Gaminy.

Gorath niemal spopielił Księcia wzrokiem.

– Człowiecze! Choćbyś mnie kazał zasiec na śmierć batem, choćbyś mnie kazał palić żywym ogniem... choćbyś mnie wreszcie oddał katu, nie powiedziałbym ci niczego innego!

– To powiedz nam, Goracie – odezwał się Pug – dlaczego zdradzasz swoich. Dlaczego przybywasz do Kronodoru z ostrzeżeniem właśnie ty, którego rasa od niepamiętnych czasów usiłowała przepędzić ludzi z tego świata. Czemu zdradzasz Delekhana na rzecz Królestwa Wysp? Czyżbyś chciał się posłużyć naszymi wojskami do tego, czego sam nie możesz osiągnąć... zamierzasz pozbyć się rywala?

Mroczny elf spojrział magowi w twarz. Mimo młodego wyglądu był to człowiek wielkiej mocy, aż do tej chwili wyrażający się o Goracie z szacunkiem. Powstrzymując gniew, powiedział więc cicho:

– Delekhan może być jak zimny przeciąg dla Królestwa, ale dla naszego ludu jest jak trucizna. Wtrąca w niewolę, podbija plemiona i żąda praw do wielkości, ale... – Nabrał tchu w płuca. – Mój lud jest nieliczny – zaczął powoli. – Nigdy nie mogliśmy zebrać tylu mieczy i łuków co wy, ludzie. Na wyprawy wojenne zabieramy tych, co służą nam z dobrej woli...

gobliny, górskie olbrzymy, trolle... i ludzkich renegatów. – W jego głosie zabrzmiała gorycz. – Pochowałem dwu synów i córkę... jedna z moich żon przeniosła się do Ojców i Matek, a druga porzuciła mnie za to, że byłem tym, który pod Sethanonem wezwał do odwrotu. Ostatni z mej krwi legł z mojej dłoni tej nocy, kiedy spotkałem Owyna. – Gorath spojrział prosto w oczy Księżu. – Księżu Krondoru... nigdy nie zdołam wrócić do swoich. Zginę pod obcym niebem wśród ludzi... którzy do moich ziomków czują jedynie pogardę.

– To dlaczego nas ostrzegasz? – spytał Arutha.

– Bo mój lud nie przetrwa kolejnej klęski, podobnej do tej, którą nam zadaliście pod Sethanonem. Pojawił się oto Delekhan, który nosi smoczy hełm Murmandamusa. Miecze wyskakują z pochew i padają słowa przysięg, ale choć nie zbywa nam na odwadze i zapale, jesteśmy nieliczni. Jeżeli wielu z nas znów zginie na próżno, Kraje Północne staną otworem przed ludzkimi zdobywcami. Po nas zostaną jeno echa niesione wiatrem... bo za sto lat nie będzie moredhela, który odpowie na wołanie.

– Ależ my nie mamy ambicji sięgających tamtej strony Kłów Świata... i nie zamierzamy podbijać Północy – zachnął się Arutha.

– Ty, Księżu, może nie... bo wystarczy ci władza nad Krondorem, ale dobrze wiesz, że wśród członków twej rasy są tacy, którzy pójdą wszędzie, by zdobyć władzę i tytuły. Odpowiedz mi, czy jeżeli przed twoim Królem stanie człek i rzeknie mu, że zajął gród Raglam, opanował Harlik i teraz włada nad trzecią częścią Krajów Północnych, Król nie przyzna mu dziedzicznego tytułu i dochodów z tych ziem... byle tylko płacił podatki?

– Przyzna – stwierdził spokojnie Arutha.

– A więc rozumiesz, Księżu, w czym rzecz – odpowiedział Gorath.

Arutha potarł podbródek. Przez długą chwilę siedział w milczeniu, a potem stwierdził;

– Potrafisz przemawiać przekonująco, moredhelu. Przyjmę więc to, co mi rzekli Gamina i Makala, za dobrą monetę, i zgodzę się, że nie zamierzasz nasz oszukać. Teraz jednak musimy rozwikłać kolejny problem... musimy odpowiedzieć sobie na pytanie, czy to, co uważasz za prawdę, jest nią w istocie.

– Co masz na myśli? – zachnął się Gorath.

Księżę chce powiedzieć – wtrącił Pug – że być może stałeś się bezwolnym narzędziem. Czy nie mogło się zdarzyć tak, że ów Delekhan, wiedząc, że jesteś przeciwny jego zamiarom, podsunął ci błędną informację, a celem całej akcji było skłonienie nas do pochopnych działań... tak, by mógł się z nami spotkać w miejscu i o czasie wybranym przez siebie? – Pug wskazał mapę i notatki, jakie Locklear przyniósł ze stodoły w Żółtym Mule. – Jest tu przynajmniej kilka fałszywych wieści, które mieli odkryć agenci Księcia. Wszystkie wskazują na możliwości ataku w dość niezwykłych miejscach... takich jak Tannerus, Eggly, Highcastle i nawet Romney.

– Romney? – Moredhel podniósł głowę. – Słyszałem tę nazwę!

– Co mówisz? – zdziwił się Arutha.

– Tylko to, że słyszałem nazwę Romney... Wymienił ją ktoś pracujący dla Delekhana. On ma w tamtej okolicy swoich agentów.

– Co o nich wiesz?

Gorath potrząsnął głową.

– O tym, kto z ludzi knuje na rzecz Delekhana, wiedzą tylko jego najbliżsi doradcy: Narab, który jest bratem Nago i jego najstarszym doradcą, jego syn, Moraedulf, i Sześciu.

– Co to za jedni, tych Sześciu? – spytał Pug. – Mówiłeś już o nich wcześniej.

– Tego nie wie nikt – odpowiedział przybysz. – Odziewają się w ciemne szaty z kapturami, takie, jakie macie na sobie ty i wasz tsurański przyjaciel.

– Może to Pantathianie? – podsunął Pug.

– Nie, jestem pewien, że to nie Wężowi Kapłani. Mówią jak ty czy ja. Nie masz w ich głosach obcych tonów. Ale służą Delekhanowi i dają mu moc potrzebną do zjednoczenia klanów. Ich magia okazała się dość silna, by upokorzyć Nago i Naraba, gdy ci zechcieli pójść swoją drogą. A byli oni najpotężniejszymi Tkaczami Zaklęć wśród mego ludu.

– Pug... – odezwał się Arutha. – Czy zechciałbyś podać nam tamtą mapę?

Mag zrobił, o co go poproszono, i podał mapę, na której odwzorowano jedną trzecią środkowych prowincji Królestwa.

Położył ją na stole obok tej, którą z Żółtego Muła przyniósł Locklear.

– Co skłoniło Delekhana, by zaczął działania w mieście nad rzeką w samym sercu Królestwa?

– Może właśnie fakt, że jest to serce Królestwa? – odpowiedział pytaniem na pytanie Pug. – Kiedy ruszył na nas Murmandamus, przeszedł przez Highcastle i Wyzyny Wold, a potem skierował się na południowy zachód, by wkroczyć do Mglistej Kniei i uderzyć na Sethanon. A jeżeli ów Delekhan przedrze się przez tę przełęcz tutaj, a potem ruszy na południe barkami rzeką Cheston?

Arutha kiwnął głową.

– W Romney może skręcić ku rzece Silden, a na północ od grodu Silden skierować się ku zachodowi i ruszyć forsownymi marszami na Sethanon. Tym szlakiem dotrze tam najprędzej... i bez trudu, jeżeli Armie Zachodu utkną pod LaMut, Tannerusem i tuzinem innych miejsc stąd do Yabonu. Ominie też od zachodu Armie Królestwa.

Księżę spojrział na Goratha.

– No, zaczyna to wyglądać sensownie...

– Jeżeli udam się do Romney – podsunął Gorath – może zdołam znaleźć jakieś dowody, dzięki którym uwierzycie.

– Goracie... – zwrócił się doń Książę. – Uwierzyć ci to jedno, ale obdarzyć zaufaniem to zupełnie coś innego. Nasze narody zbyt długo wojowały ze sobą, bym mógł tobie jednemu powierzyć taką misję.

No to zechciejcie posłać ze mną swoich żołnierzy – stwierdził Gorath z prostotą. – Delekhana trzeba zatrzymać, nie bacząc na koszty. Jeżeli udam się odeprzeć jego napaść i odesłać go na Północ broczącego krwią, jego zwolennicy odwrócą się odeń i mój lud zostanie ocalony. Twój zresztą też, Arutha przez chwilę zastanawiał się nad tym, co usłyszał, aż wreszcie rzekł:

– Jest tylko jeden człowiek, który mógłby sprostać temu zadaniu. Ale Jimmy zajmuje się akurat czym innym...

– Nocnymi Jastrzębiami? – spytał Gorath.

– Skąd wiesz? – zdziwił się Książę.

Gorath opowiedział o tym, jak w kanałach natknęli się na giermka Jamesa i fałszywych Jastrzębi. Arutha kiwnął głową.

– Komuś bardzo zależy na tym, bym wysłał wojsko do kanałów, a przy okazji oczyścił je z Szyderców. Te dwie sprawy mogą się ze sobą łączyć... ale może być i tak, że nie mają ze sobą nic wspólnego.

– Ja myślę, że jednak coś je łączy – odpowiedział Gorath. – Nie słyszałem, by w otoczeniu Delekhana ktokolwiek wspominał o Nocnych Jastrzębiach, ale szeptano tam o tym, że wódz ma swoich informatorów w całym Królestwie.

– A z tego, co mówił młody Locklear – wtrącił Makala – można by wnosić, że ma swoich ludzi także w Imperium. – Podniósł rubin, który doń wrócił za sprawą książęcego giermka. – Ci złodzieje działają już od

dłuższego czasu. – Spojrzał na Aruthę. – Ja też uważam, że wszystkie te wydarzenia są ze sobą powiązane.

Arutha kiwnął głową i spojrzawszy na Goratha, rzekł:

– Wrócisz do swej komnaty pod strażą. Rankiem poślę po ciebie i obaj zaplanujemy twoją podróż do Romney. Nawet komuś, kto ma najszybsze konie, jazda tam i z powrotem zajmie kilka tygodni, a nam potrzeba jak najświeższych informacji.

Gorath wstał i skłoniwszy się lekko Gaminie i Pugowi, wyszedł z komnaty.

Arutha westchnął z rezygnacją.

– Wiele z tego, co nam rzekł, to tylko pogłoski i plotki... a w najlepszym razie domysły. Wierzę, że mówił szczerze... ale któż może wiedzieć, ile było w tym prawdy?

– Nie ufam mu, Wasza Książęca Mość – odezwał się Konetabl Gardan, który milczał przez cały czas pobytu moredhela w Komnacie Rady. – Zbyt często się z nimi biłem, by teraz któremukolwiek z nich uwierzyć.

Ale mości Konetablu, zechciej rozważyć, proszę, jaki mam wybór? – zwrócił się do niego Arutha. – Jeżeli jego ostrzeżenia są prawdziwe, stoimy w obliczu kolejnego Wielkiego Buntu, a jeśli nie dowiemy się prawdy, może się okazać, że jeszcze raz znajdziemy się w sytuacji, w jakiej już raz się znaleźliśmy... nasze armie popędzą, by się zebrać pod Sethanonem, tyle że moredhel będzie już tam na nas czekał.

– Dlaczego akurat pod Sethanonem? – spytał Makala, patrząc na mapę. – Skąd ta wiara, że właśnie tam więzicie Murmandamusa?

Arutha spojrział na Puga.

– Bo tam, a nie gdzie indziej, widziano go po raz ostatni – odpowiedział Książę tsurańskiemu magowi. – Krążyły o tyra miejscu różne pogłoski, a

Murmandamus dał się oszukać nadziei, że jeżeli zajmie to miasto, przepołowi Królestwo i pokona nas.

Kłamstwo było szyte grubymi nićmi, o czym Pug doskonale wiedział, Makala jednak rzekł tylko:

– Podczas wojny często podejmuje się decyzje na podstawie błędnych przesłanek. Ale czy istnieje jakiś dowód na to, że Murmandamus istotnie nie żyje?

– Masz na to moje słowo – odpowiedział Arutha – bom go zabił własną ręką.

Makala spojrział uważnie na księcia.

– Ale możemy spokojnie założyć, że tamci nie przyjmą go za dobrą monetę, czy nie tak?

Arutha kiwnął głową.

Pug nie wyglądał na zadowolonego.

– Arutho, musimy was opuścić, moja córka i ja... ale wrócimy. Przyznam jednak, że ze wszystkich wieści, jakie przyniósł Gorath, najbardziej niepokoi mnie informacja o tych tajemniczych Sześciu.

– Owszem – przyznał Makala. – Tajemniczy czarodzieje... My, członkowie Zgromadzenia, z chęcią ci pomożemy. Mistrzu Pug. Wystarczy, że nas wezwiesz.

– Przybędziesz do Stardock? – spytał Pug.

– Najpierw trzeba mi wysłać wieści do tych, co zostali na Kelewanie – odpowiedział Makala. – Ale już wkrótce zjawię się u ciebie w Akademii.

Pug kiwnął głową, wyjął spod szaty tsurańską sferę, a potem objąwszy córkę w pasie, aktywował urządzenie i oboje znikli.

– Gdybyż wszyscy nasi ludzie mogli się przenosić z miejsca na miejsce z taką szybkością... – rzeki Arutha.

– To właśnie jeden z powodów – odezwał się Makala – dla którego członkowie mojego bractwa tak pilnie strzegą tych urządzeń, Wasza Wysokość. Wyobraź sobie, że z taką szybkością przenoszą się całe armie... Z naszej strony musimy uważać na te sprawy... Choć biorąc pod uwagę nastawienie naszego Imperatora... – ostatnia uwaga Makali dotyczyła faktu, że Ichindar, Imperator Tsurani, przywiązywał dużą wagę do zacieśniania stosunków z Królestwem – ...możecie się spodziewać szybkiej i skutecznej pomocy, o ile taka będzie wam potrzebna.

Arutha podziękował mu, po czym Makala i Gardan wyszli. Książę Krondoru siedział do późnej nocy i rozmyślał o wszystkich nowinach, jakie usłyszał od wodza moredhelów, ale choć bardzo starał się o nich zapomnieć lub potraktować je jako nierozwiązywalną łamigłówkę dotyczącą rywalizacji pomiędzy dwoma stronnictwami wśród ludów zamieszkujących Północ, nic z tego nie wychodziło. Czuł, że Królestwo stanęło w obliczu nowej wojny.

Chyba że najlepszy z jego agentów, były złodziejaszek, ze zdumiewającą łatwością udający dworaka, wprowadzi w życie przemyślny fortel, który stłumi pożogę wojenną w zarodku.

W końcu Książę podniósł stojący na stole dzwonek. Na jego dźwięk w drzwiach natychmiast pojawił się paź.

– Wasza Książęca Mość?

– Powiadom strażę, by natychmiast dano mi znać o powrocie giermka Jamesa... niezależnie od pory dnia czy nocy.

– Natychmiast, Wasza Książęca Mość – odpowiedział paź, zamknął drzwi i pobiegł, by wykonać rozkaz.

Arutha nie wrócił do swoich komnat, bo choć podjął już decyzję o tym, by posłać Jimmy'ego z Gorathem do Romney, wciąż jeszcze musiał

odpowiedzieć sobie na setki pytań, z których najbardziej nagliło jedno: kim byli członkowie grupy Sześciu?

Gorath obudził się, gdy tylko skrzypnęły drzwi. Poderwał się na nogi i zacisnąwszy dłonie, stanął w pozycji obronnej. Nie był przekonany o tym, że żaden skrytobójca nie zdoła się wedrzeć do pałacu. Pamiętał, że kilka lat temu niewiele brakło, by księżę Arutha dał się zabić jednemu ze sług Murmandamusa.

Odetchnął jednak, gdy ujrzał, iż jego gościem jest jeden z książęcych giermków, James.

– Witam... – zwrócił się doń młodzieniec.

– I ja witam – odpowiedział Gorath. Moredhel usadowił się w krześle obok okna z widokiem na ogród. – Znowu na przesłuchanie?

– Nie – odparł James. – Wybieramy się razem do Romney.

Gorath natychmiast wstał.

– Nie mam żadnych bagaży – stwierdził. – Jestem gotów, No... jakieś tam zapasy nam szykują... choć nie będzie tego za wiele.

– Ale myślałem – przyznał moredhel – że dla bezpieczeństwa będzie nam towarzyszyć przynajmniej kompania konnych.

– Za wiele przy tym hałasu i zachodu. – Uśmiechnął się James. Sięgnąwszy za pazuchę, wyjął dziwnie wyglądające urządzenie, sferę z małymi dźwigniami, które można było przestawiać kciukiem. – Nie pojedziemy też konno.

– No to jak się tam dostaniemy? – rozległ się głos zza pleców Jamesa.

Książęcy giermek odwrócił się, by spojrzeć w oczy stojącemu za nim Owynowi.

– Tylko my tam ruszamy... Gorath i ja. Ty zostaniesz tutaj albo udasz się do Timons, jak wola.

– Nie mogę tu zostać – stwierdził Owyn. – Nie mam co robić, a nie jestem w służbie Księcia. I nie mogę wrócić do Timons. A co, jeżeli zostanę pojmany w drodze i zmuszony do mówienia?

– A co ty właściwie wiesz? – spytał James z uśmiechem, Wiem, że macie się udać do Romney – stwierdził Owyn, A skąd ci to wiadomo?

– Umiem czytać mapy i usłyszałem dość z wymiany zdań pomiędzy Gorathem i Locklearem, by zrozumieć, co się święci.

– Owyn kuł żelazo, póki gorące. – A jak już o tym mowa, jestem ze wschodu i znam tamte krainy. Mam krewnych w Ran, Cavell i Dolth, bywałem też w Silden i Romney. James potrząsnął głową, jakby coś wspominając.

– Nieważne... Wydaje mi się, że ja i Locklear w bardzo podobny sposób spieraliśmy się z kimś, kto nie chciał nas zabrać ze sobą... wiele lat temu. Niech będzie... jedziesz z nami. Lepiej mieć cię na oku, niż wypuścić i pozwolić, by cię zabito.

Zabrawszy obu towarzyszy do pustego pomieszczenia w innej części pałacu, James wskazał leżący na ziemi stos broni. Gorath niczym jastrząb rzucił się na jedną z leżących na ziemi głowni.

– Minoga!

– Pijawka, to fakt – stwierdził James. – Ale dlaczego ją tak nazywasz?

– Nazwa to tylko nazwa... – stwierdził Gorath.–Mój lud nie zawsze żył w górach, człowiecze. Kiedyś brodziliśmy po plażach nad Morzem Goryczy. – Moredhel z zachwytem przyglądał się krzywiźnie głowni, a potem z wyraźną przyjemnością ważył w dłoni rękojeść. Włożywszy ostrze do pochwy, zwrócił się do Jimmy’ego: – Nie będę pytał, jakim sposobem trafiła do was klinga wykuta przez kowala z mojego ludu.

– W zasadzie sam możesz się tego domyślić – odpowiedział James. Wskazał towarzyszom trzy worki podróżne. – Jedzenie i inne zapasy, bo

może przyjdzie nam jednak jakiś czas wędrować. Choć liczę na to, że w Romney uda się załatwić sprawy bez problemów i szybko wrócimy do Krondoru.

– A gdzie jest Locky? – spytał Owyn.

– Z rozkazu Księcia za godzinę rusza w drogę... z kolejną misją. Spotkam się z nim po powrocie. To nie jedyny bochen chleba w piecu, by tak rzec, choć ten może trzeba wyjąć przede wszystkim.

Gdy każdy wziął swoją sakwę, Owyn zapytał:

– I co dalej?

James ponownie wyjął zza pazuchy tsurańską sferę translo – Stańcie przy mnie – polecił. – Goracie, połóż mi dłoń [na ramieniu, a ty, Owynie, na barku naszego kompana. – Zaraz; potem, dotknąwszy lewą ręką ramienia moredhela, James uruchomił trzymaną w prawej dłoni sferę.

W powietrzu zabrzęczało coś osobliwie i cała komnata lekko I zadrżała. I nagle wszyscy znaleźli się w innym pomieszczeniu.

– Gdzie jesteśmy? – spytał Gorath.

– To Krzyż Malaka. – James podszedł do drzwi i uchylił – szyje ostrożnie, wyjrzał na zewnątrz. – Właściciele tego budynku są przyjaciółmi Księcia, a i mnie tu znają, bo inaczej naszemu przyjacielowi rozwalono by łeb, zanim zdążyłby otworzyć gębę, I by się wytłumaczyć.

Owyn przekonał się, że znajdowali się na piętrze. Kiedy schodzili po schodach, zza rogu wyłonił się jakiś mnich w szarym habicie, który na ich widok otworzył ze zdumienia usta.

– Aaaa... – zaczął inteligentnie. – Braciszku... – James podniósł otwartą dłoń. – Zechciej powiadomić Opata Gravesa, że już jesteśmy.

Mnich obrócił się na pięcie i pobiegł wykonać polecenie. James poprowadził towarzyszy do pomieszczenia, które niegdyś najwyraźniej

pełniło funkcję izby głównej w oberży. Chwilę później do sali wszedł rosły człek. W jego krótko przyciętej brodzie skrzyły się już nitki siwizny.

– Jimmy, ty obwiesiu! Co to wszystko znaczy? – zagrział, wskazując dłonią Owyna i Goratha.

– Witaj, Ethanie! Pewna ważna osobistość zapragnęła, byśmy po drodze na wschód zobaczyli się z tobą. Wpadniemy też wracając. Użycie tej tsurańskiej sztuczki okazało się najprostsze.

– Więc przybyliście tu prosto z Kronodoru?

Jimmy kiwnięciem głowy potwierdził trafność domysłu gospodarza.

– Masz jakieś konie, które moglibyśmy sobie pożyczyć?

– Nie, ale pošlę jednego z braci do stajen Yanceya i niedługo przyprowadzą tu trzy rumaki. Zechcesz mi powiedzieć, co się dzieje?

– Nie – odpowiedział James. – Musisz mi zaufać.

– Chłopcze... – odezwał się człowiek nazwany przez Jamesa Ethanem Gravesem. – Nasza znajomość sięga dawnych, mrocznych czasów, kiedy byłem innym człowiekiem. Ale choć wielce szanuję twego pana, pozostanę lojalnym sługą świątyni. Jeżeli ta sprawa w jakikolwiek sposób dotyczy Zakonu Ishap, powinieneś mi powiedzieć...

James wzruszył ramionami.

– Jeśli będę mógł, nie omieszkam tego uczynić, ale na razie sam niczego nie wiem na pewno. Jedyne co mogę ci rzec, to to, iż nadchodzą czasy, w których powinniście na siebie uważać.

– Zawsze na siebie uważamy. – Parsknął śmiechem Graves. – A po cóż kupowalibyśmy tę oberżę i tak szybko czynili z niej siedzibę opactwa?

– Czy wszystko... w porządku?

– Idź i sam zobacz – zaproponował Graves. – Znasz drogę.

– A gdy wrócimy, będziecie mieli dla nas konie?

– I wszystko inne, czego wam będzie trzeba – odpowiedział Graves.

– Potrzebujemy tylko koni. Resztę już mamy – stwierdził James, wskazując sakwy, które przynieśli ze sobą.

Zsunąwszy biesagi z ramion, zwrócił się do towarzyszy: – Chodźcie ze mną. Po konie i resztę wrócimy za godzinę. Owyn obejrzał się przez ramię, gdy wyszli z oberży. Był to skromny, piętrowy budynek z dziedzińcem, parą przybudówek, stodołą i szopą na spizarnię. Wzniesiono go na zachodnich przedmieściach niewielkiego grodu. Ishapiańscy mnisi trudzili się teraz przy budowie drewnianego ogrodzenia zamykającego dziedziniec.

– Co to za miejsce? – spytał Gorath, kiedy znaleźli się na wijącej się wśród lasu ścieżce biegnącej na południe.

– Opustoszały zajazd przejęty przez Zakon Ishap. Mnisi przekształcają go w opactwo.

– Po co? – chciał wiedzieć moredhel.

– Znajduje się tu niedaleko pewne miejsce, na które trzeba mieć baczenie...

– Co tam jest? – spytał tym razem Owyn.

– Coś, o czym żaden z was nie musi wiedzieć.

Przez następne dziesięć minut szli przez las. Kiedy wyszli w końcu na sporą polankę, Gorath stanął jak wryty, zdumiony tym, co zobaczył. Przed nimi stał posąg smoka. Głowa baśniowego stwora spoczywała na ziemi, ale skrzydła miał na poty i rozwinięte, jakby podrywał się do lotu.;

– Cóż to jest? – spytał mroczny elf. Podeszedłszy bliżej, zaczął obchodzić rzeźbę dookoła, jakby chciał się jej dokładnie i przyjrzeć.

– Wyrocznia Aal – odpowiedział James, wskazując na i umieszczoną przed rzeźbą płytę ofiarną.

– Myślałem, że to tylko legenda – powiedział Owyn,; – Jak wiele legend i ta opiera się na prawdzie – stwierdził James. Skinieniem dłoni wskazał płytę. – Rzuć na nią monetę i dotknij smoka.

Owyn wyłowił z trzosa srebrną monetę i cisnął ją na płytę i ofiarną. Na krótko przed dotknięciem jej powierzchni, moneta znikła. Owyn wyciągnął rękę, dotknął palcami smoka...

...i znalazł się w jakiejś nie znanej mu, ogromnej komnacie. Powietrze drżało w niej leniwą statecznością wieków. Przed nim rozpierał się gigantyczny smok, którego spoczywająca na ziemi głowa była większa od największego z wozów, jaki kiedykolwiek zdarzyło mu się widzieć. Tułów stworza zdobiły klejnoty wszelkich odcieni i barw. Przeważały wśród nich diamenty, ale licznie skrzyły się także szafiry, szmaragdy, rubiny i opale. Układały się one w najróżniejsze wzory, sprawiając wrażenie, że Wyrocznia nosi na sobie migotliwą tęczę. Niełatwo było oderwać od niej wzrok.

– Czy ja śnię? – spytał Owyn.

– W pewnym sensie tak. Ale pospiesz się, bo krocysz niebezpieczną ścieżką. O co chciałbyś zapytać Wyrocznię Aal? I Dałem się wciągnąć w wir wydarzeń, których nie rozumiem – i wiem, ale czuję, że nie powinienem opuszczać towarzyszy, Czy I to mądre?

Na końcu wędrówki nie będziesz tym, który ją zaczął, nie wrócisz nawet tą samą drogą. Przed tobą dni pełne przeciwności i trudności, podczas których będziesz myślał, że znaczysz mniej niż w istocie.

– A czy mogę zaufać moredhelowi Gorathowi?

– On jest kimś większym, niż kiedykolwiek ośmielił się mniemać. Ufaj mu, choćby sam sobie przestał ufać. Stanie się obrońcą wielkiej sprawy i będzie walczył nawet za tych, którzy go przeklną i nigdy nie dowiedzą się o jego wielkości.

I nagle Owyn poczuł, że załamują się pod nim kolana. W tej samej jednak chwili pochwyciły go silne dłonie, które nie pozwoliły mu runąć w mrok. W następnym ułamku sekundy mrugał, stojąc na polance przed posągiem smoka.

– Dobrze się czujesz? – spytał Gorath. – Dotknąłeś kamienia i wyglądało na to, że zemdlejesz...

– Trafiłem do innego miejsca – odpowiedział młody adept magii. – Jak długo mnie tu nie było?

– Jak to, jak długo? – zdumiał się moredhel. – Nigdzie stąd nie odchodziłeś. Dotknąłeś kamienia, lekko się zachwiałeś i złapałem cię za ramię.

– Mnie się wydawało, że trwało to znacznie dłużej – odpowiedział Owyn.

– Niekiedy tak właśnie się dzieje – odezwał się James, który też dotknął kamienia. Przez chwilę stał bez ruchu, a potem oderwał dłoń od powierzchni posągu. – O tym, kto będzie rozmawiał z Wyrocznią, decyduje ona sama. Co ci powiedziała?

Owyn spojrzał na Jamesa i Goratha.

– Rzekła mi, że powinienem wam zaufać.

– A czy powiedziała coś... szczególnego? – Zadając pytanie, James chwycił Owyna za ramię.

– Nie, choć przepowiedziała, że najbliższe dni będą bardzo trudne.

Gorath parsknął pogardliwie.

– Mogłem ci rzec to samo za darmo!

– Wróćmy do opactwa i sprawdźmy, czy sprowadzono już dla nas konie – zaproponował James. – Tak czy owak, przed nami szmat drogi...

– A dokąd zmierzamy? – spytał Owyn. – Do Saladoru?

– Nie... pojedziemy traktem na Silden. Choć panuje na nim mniejszy ruch i jest bardziej niebezpieczny, idę o zakład, że ktokolwiek nas szuka, wciąż jeszcze węszy wokół pałacu w Krondorze i czeka, aż wysuniemy zeń nosy. Przy odrobinie szczęścia zanim nasi wrogowie się zorientują, że nie masz nas w Krondorze, my już będziemy w pobliżu Romney.

Owyn kiwnął głową, a gdy wszyscy ruszyli z powrotem do niegdysiejszej gospody będącej siedzibą opactwa Ishap, obejrzał się przez ramię na polankę, gdzie spoczywał posąg smoka. Podczas spotkania z Wyrocznią zdarzyło się coś, o czym nie powiedział towarzyszom: wyczuł, że Wyrocznia się Czegoś boi.

ROZDZIAŁ 6

PODRÓŻ

Opat pomachał dłonią na powitanie. Kiedy zeszli ścieżką od smoczego posągu do przekształconej w klasztor oberży, przekonali się, że opat już na nich czeka.

– Zanim wyjedziesz, Jamesie, zajrzyj do miasta – powiedział.

– A po co? – spytał James, wypatrując w zachowaniu opata jakichś oznak niepokoju.

– Bo mniej więcej pięć minut po tym, jak znikliście na ścieżce, przemknęła tędy kolumna jeźdźców, kierując się do miasteczka.

James zmrużył oczy i spojrzał ku miastu, usiłując dostrzec jeźdźców.

– Musiało być w nich coś, co zwróciło twoją uwagę, bo inaczej nie wspomniałbyś o nich. Co to takiego?

Nosili barwy Króla. I, o ile dobrze pamiętam moją złodziejską przeszłość w Krondorze, na ich czele jechał stary Guy du Bas–Tyra.

– Aaa... w takim razie istotnie musimy się dowiedzieć, w czym rzecz – stwierdził James. Wezwawszy Goratha i Owyna skinieniem dłoni, ruszył ku miasteczku. – Graves, niedługo wrócimy.

Opat machnął dłonią na pożegnanie i odwrócił się ku zabudowaniom opactwa.

Wędrowcy szybko dotarli do miasteczka i minąwszy główną ulicę, weszli na ryneček. Znaleźli się tam w samą porę, by zobaczyć, jak drużyna jeźdźców w pełnej obsadzie zsiada z koni przed oberżą, której godłem był wymalowany na zielonym polu biały szachowy hetman. Żołnierze nosili

barwy przybocznej gwardii królewskiej – mieli więc czarne wysokie buty i także spodnie oraz szare kurtki z godłem domu królewskiego, szkarłatnym lwem stojącym na tylnych łapach, mającym nad głową złotą koronę i trzymającym miecz w prawej łapie. Lew był wyhaftowany na białym polu otoczonym kręgiem czerwieni. Purpura wokół godła i czerwone mankiety kurtek wskazywały na przynależność do pałacowej gwardii. Do jej najważniejszych obowiązków należała ochrona członków domu panującego. Dwaj gwardziści stali już przed drzwiami.

– Przyjacielu, spokojnie... – odezwał się jeden z nich. – Izbę ogólną zajął Diuk Rillanonu i nikt do niej nie wejdzie bez jego zezwolenia... chyba że Diuk wyjedzie.

– Zechciejcie wejść do środka, panie żołnierzu, i powiedzcie Diukowi, że pragnie się z nim widzieć książęcy giermek, James z Kronodoru.

Żołnierz spojrzął badawczo na młodzieńca i jego kompanów, a potem znikł za drzwiami.

Chwilę później na progu stanął rostej budowy człowiek o siwych, podciętych na wysokość ramion włosach, z czarną przepaską na lewym oku. Przyjrząwszy się gościom, skinieniem dłoni zaprosił ich do izby.

Znalazłszy się wewnątrz, przybysze mogli przez chwilę podziwiać gorliwość, z jaką gwardziści przeszukiwali izbę, wypatrując jakichkolwiek zagrożeń.

Tymczasem Guy du Bas-Tyra, Diuk Rillanonu i pierwszy doradca władcy Królestwa Wysp, skinieniem dłoni zaprosił ich do stołu, przy którym sam ciężko usiadł na krześle.

– Dajcie mi jakiś napitek! – zagrzemiał gniewnie i natychmiast żołnierz mający tego dnia służbę przy Diuku podbiegł do przygnębionego oberżysty. Wybiegając zza baru z tacą pełną glinianych kufli, gospodarz dorobił się chyba potężnego siniaka na biodrze. Szybko napełnił naczynia i

postawiwszy pierwszy kufel przed Diukiem, pospieszył z kolejnymi do pozostałych gości.

– Czy Wasza Lordowska Mość życzy sobie coś zjeść? – spytał usłużnie.

– Za chwilę – powstrzymał go Guy, zdejmując grube rękawice do konnej jazdy. – Podaj coś gorącego mnie i moim ludziom. Najlepiej od razu nadziej na rożen połowę wołu, – Oberżysta skłonił się nisko i cofnął, przewracając taboret przy sąsiednim stole. Guy spojrział na Jamesa i kiwnął głową.

James zmarszczył brwi, ale odpowiedział podobnym kiwnięciem.

– Aaa... więc to tak? – zaczął Guy. – Arutha wysyła cię, byś trochę powęszył na wschodzie?

– Owszem, Wasza Miłość – odpowiedział James. – Jakby się uprzeć, to można by to tak nazwać.

– Zechciej mi więc wytłumaczyć – ciągnął Guy, wskazując na Goratha – dlaczego nie miałbym kazać wyciąć mu jego zdradzieckiego serca, a ciebie powiesić za to, żeś łajdak, łotr co się zowie i zdrajca...

Gorath ledwo dostrzegalnym ruchem położył dłoń na rękojeści miecza. Owyn zbladł... i w tejże chwili młody mag zobaczył, że James się uśmiecha.

– Może dlatego, że zirytowałoby to Aruthę.

Guy parsknął śmiechem.

– Długo by mi przyszło czekać na to, byś stracił język w gębie, młodziku... i to ci się chwali!

Prędzej zobaczycie mnie na stryku – odpowiedział Jimmy. – Zbyt wiele przeszliśmy razem, panie, byście mogli wątpić w moją lojalność, doszedłem więc do wniosku, że po prostu chcecie wyładować na mnie swój zły humor... bo nie możecie się odegrać na Arucie. Co was tak rozjuszyło?

Diuk Rillanonu, najpotężniejszy z magnatów Królestwa – zaraz po bliskich członkach rodziny królewskiej – rozparł się wygodnie w swoim krześle i szerokim gestem prawicy wskazał otoczenie.

– To wszystko... utknąłem tutaj, w małej mieścinie, której jedynym tytułem do chwały i powodem istnienia jest jej lokalizacja pomiędzy Krandorem i Saladorem, a trafiłem tu tylko dlatego, że Lyam przejął się pewnymi plotkami docierającymi do dworu, dotyczącymi pewnego moredhela zaprzańca – Guy spojrzął podejrzliwie swoim jedynym okiem na Goratha – i grasujących w tej okolicy typów o wątpliwej reputacji.

– Ale dlaczego tą sprawą zajmuje się sam Pierwszy Doradca?

– Rozmaite są po temu przyczyny – odpowiedział Diuk. Wziął potężny łyk z kufła i westchnął z ukontentowaniem. – Zwykle nie zaczynam tak wcześnie, ale i nie spędzam całej nocy w siodle.

– Czy te typy o wątpliwej reputacji to przypadkiem nie Nocne Jastrzębie? – spytał James.

– Może i tak – odpowiedział Guy. – A co wiadomo Arucie?

– Nic, dopóki nie wrócę i nie złożę raportu – odpowiedział James. – Ale gdy Locky i ci dwaj usiłowali się dostać do miasta, natknęli się w kanałach na dwu przebierańców, którzy udawali, że są członkami Gildii Zabójców.

Przez chwilę Guy wpatrywał się w przestrzeń przed sobą, jakby się zastanawiał, co powiedzieć.

– Gdybyś próbował odnowić działalność Nocnych Jastrzębi – spojrzął na Jamesa – i chciałbyś, by nikt się tego nie domyślił, czy nie byłoby ci wygodnie zebrać gdzieś bandę durniów, których przyłapano by na udawaniu Jastrzębi?

James spojrzął nań ze zdumieniem.

– Genialne! Odwróciłoby to uwagę od moich prawdziwych poczynań, stworzyłbym fałszywe tropy, a na koniec ludzie, którzy mogliby mi

zaszkodzić, nie potraktowałiby mnie z należytą uwagą!

– Jimmy, szukaj uważnie – poradził mu Guy. – Znajdź tego, który naprawdę się kryje za wydarzeniami sprawiającymi nam kłopoty. Jest takie stare powiedzenie: „Jeżeli nic nie wskazuje na to, że jest inaczej, działaj tak, jakby twój wróg był bardzo przebiegły”. Wynika z niego następujący wniosek: „Zachowuj się głupio, a twoi wrogowie wezmą cię za idiotę”.

– Nadal nie wiem, co tu robicie – stwierdził James.

Guy kiwnął głową.

– Król wyraził życzenie, bym osobiście zajął się wydarzeniami, jakie mają tu miejsce. Wygląda na to, że kilku miejscowych panków zaczęło zachowywać się podejrzanie.

– Zdrada?

– Nie, nic aż tak poważnego, choć nie można tego do końca wykluczyć – Guy jednym haustem dopił swoje piwo. – Podejrzewamy ich raczej o nieudolność. Jeden z moich lordów, Earl Romney, zajęty jest wojną, jaka wybuchła pomiędzy gildiami, i wygląda na to, że nie ma pojęcia, jak się z tym uporać. Skierowałem w te strony kompanię Królewskich Kopijników, by mu w razie czego pomogli. Powinni się tu zjawić gdzieś w przyszłym tygodniu.

– O jakiej wojnie mówicie? – spytał James.

– Nie znam szczegółów, ale zaczęło się od tego, że Bractwo Flisaków tak podniosło ceny swoich usług, że kupcom przestało się opłacać wynajmowanie rzecznych barek. Pozostałe gildie zjednoczyły się wtedy przeciwko Flisom. Obie strony wynajęły zbrojnych i – o ile mi wiadomo – Earl Romney ogłosił rządy wedle prawa wojennego. Do kata! Z tego, co mi mówiono, z miasta zostały tylko dymiące zgliszcza, ot co! – Dla podkreślenia wagi słów, trzasnął dłonią w stół, jakby wcale go nie obchodziła zagłada miasta Romney. – Nasza obecność tutaj ma na celu

zarówno przywrócenie porządku, jak i pokazanie, że Król osobiście się w to angażuje. Powiewamy sztandarami przed nosami ludzi, którym trzeba je pokazać. Jego Królewska Mość polecił mi też osobiście, bym dziś wieczorem dał tu wykład.

– Wykład? – James z trudem powstrzymał wybuch śmiechu. – Na jaki temat? I kto ma go wysłuchać?

Guy westchnął jak ktoś, komu kazano samotnie przenieść z miejsca na miejsce łańcuch Kłów Świata.

– Mam opowiedzieć o bitwie pod Armengarem... każdemu, kto zechce się czegoś o tym dowiedzieć. – Stary wojak potrząsnął głową, jakby sam nie mógł uwierzyć we własne słowa. – Znasz tego hultaja, Gravesa, którego Ishapianie przysłali tu, by zbudował nowe opactwo?

James kiwnął głową.

– Poznałem Ethana, zanim poczuł powołanie. Był wtedy nie lada łotrzykiem... jednym z pierwszych zabijaków wśród Szyderców.

– Gotów jestem w to uwierzyć. Tak czy owak postanowił, choć tę decyzję należy raczej przypisać starszyźnie Świątyni Ishap w Rillanonie, że tu, pod Krzyżem Malaka, trzeba założyć szkołę. W sercu Królestwa rozpanoszą się młodzi szlachcice. Będzie się to nazywało „kolegium”. – Ściszył głos. – Podejrzewam, że kapłani nie są za bardzo zadowoleni z tego, co w Stardock robi Pug, i postanowili uzyskać podobną pozycję przez wpływ na wychowanie młodych arystokratów z całego Królestwa. Potrzebna im także silna baza nieopodal... – Guy umilkł, zerknął na Owyna i Goratha i zagryzł wargi.

James domyślił się tego, czego stary nie chciał rzec głośno: „...nieopodal Sethanonu i Kamienia Życia”. Rozejrzawszy się po izbie, powiedział lekko:

– Wasza Miłość... nie widzę tu zbyt wielu młodych szlachciców.

Guy sięgnął ponad stołem, aby żartobliwie klepnąć Jamesa w głowę, przed czym zresztą młodzik zρέcznie się uchylił.

– Jimmy, nigdy ci nie brakło odpowiedzi. – James uśmiechnął się szeroko. – I tak już chyba zostanie, nawet jeżeli spełni się twoje życzenie i któregoś dnia dorobisz się tytułu Diuka Krondoru.

– Nie jest to niemożliwe. – Roześmiał się James. – Wracając do sprawy... gdzie wasi młodzi szlachcice?

Guy westchnął ciężko.

– O, kilku z pewnością się zjawi... ani chybi przybędą z pobliskich majątności. Dlatego właśnie gnałem tu przez całą noc. Przez tę przekłętą pogodę mój statek dotarł do Saladoru dwa dni za późno, jechałem więc jak wariat, by Król nie wyszedł na łgarza. – Znów łyknął piwa. – Dlatego też chcę, byś był obecny przy dzisiejszym wykładzie. Wszystko odbędzie się w domu nieopodal wschodnich rubieży miasta. Nie możesz zabłądzić... rozglądaj się za budynkiem, przed którym będą sterczeli Królewscy Gwardziści. – Guy wstał, co poderwało na nogi i Jamesa, Zaraz potem wstali Owyn i Gorath. – Poprosił mnie o to Lyam, choć tak naprawdę zajmuję się sprawdzeniem obronności granicy z Dziedzinami Zachodu. Ma to być uprzejmość wyświadczona Ishapianom. Jako lojalny Diuk nie mogę odmówić, gdy prosi mnie mój Król. Ty, jako lojalny giermek, nie możesz z kolei odmówić mnie. Będiesz dziś obecny na moim odczycie, mości giermku... i jako mój klakier będziesz wiwatował jak szalony. Teraz pójdę zobaczyć co z moimi ludźmi, a potem trochę odpocznę.

Diuk odszedł od stołu, kierując się do izby na piętrze, przysposobionej na jego kwaterę.

– Kim jest klakier? – spytał Gorath, zwracając się do Jamesa.

Ten parsknął śmiechem.

– Właściciele teatrów wynajmują czasami ludzi, którzy głośno klaszczą i wiwatują podczas przedstawień, by nieświadomych rzeczy widzów skłonić do mniemania, że sztuka jest porywająca. Niekiedy wszystko to wygląda bardzo śmiesznie... Kilku ludzi entuzjastycznie klaszcze, a reszta widowni gwizdże, wyje i rzuca w aktorów zgniłymi warzywami.

Gorath dopił swoje piwo i wznosił oczy ku niebu.

– Ludzie, któż was zrozumie...

– Czy szlachetni panowie zamówią coś jeszcze? – spytał oberżysta, podchodząc do nich ze ściereczką. I nagle znieruchomiał, wbiwszy wzrok w twarz Jamesa. Po chwili, spostrzegłszy, że jego zachowanie może wzbudzić podejrzenia, stwierdził: – Przepraszam, panie. Wziąłem was za kogoś innego. – Odchrząknął. – Czy coś przynieść?

Jeżeli nie zjem czegoś konkretnego, za godzinę będę chrapał – stwierdził Owyn. – Nigdy przedtem tak wcześnie się nie utraibilem.

Gorath chrząknął z dezaprobatą, ale nie odezwał się.

– Podaj, co tam masz, mój pocziwy... eee... – zająknął się James.

– Iwanie, paniczu... jestem Ivan – odpowiedział oberżysta, oddalając się z ukłonem.

W tejże chwili drzwi zewnętrzne otwały się i do izby weszło trzech mężczyzn. James, Owyn i Gorath przyjrzeni się im uważnie. Tę czujność wymusiła na nich ważność ich misji. Przybyli okazali się mieszkańcami miasteczka. Jeden z nich niósł szachownicę. Gdy rozsiedli się przy stole obok, dwaj rozstawili figury i zaczęli partię, której przyglądał się trzeci.

Tymczasem wrócił oberżysta z posiłkiem, na który składały się zimne pieczyście, ser, zapiekanka z warzywami i kandyzowane jabłka. Położywszy tace na stole, Ivan zapytał:

– Przynieść jeszcze piwo?

James kiwnął głową. Nieco dalej kolejna para miejscowych zaczęła partię szachów.

– Skąd tu tylu szachistów? – spytał.

– No przecie gospodzie Pod Białym Hetmanem nie nadano tego miana bez powodu – stwierdził Ivan. – Oberżę wzniosł stary Bargist, który sam był nie lada graczem. Od tamtych czasów i przejezdni, i miejscowi wiedzą, że mogą tu przyjść i zagrać partię, jeżeli ktoś chce sprawdzić swoje umiejętności. A wy, paniczu... gracie?

– Nie za dobrze – odpowiedział szczerze James. – Mój... pracodawca... o, ten gra znakomicie, ale mnie zdołał nauczyć jedynie podstawowych zasad.

– Tu zawsze znajdziecie kogoś, kto z chęcią z wami zagra – stwierdził oberżysta, odchodząc, by sprawdzić, czy nie brakuje czegoś zakwaterowanym w oberży gwardzistom.

Ponownie otworzyły się drzwi i do izby weszła stara kobieta, która starannie zamknęła je za sobą. Przeszedłszy przez całą komnatę, zatrzymała się obok Jamesa.

– Lysle... myślałam, że wyjechałeś do Lyton. I skądżeś wytrzasnął te szatki? – Musnęła dłonią tkaninę na ramieniu Jamesa. – Są takie gładkie, że musiałeś je zwlec z jakiegoś barona. – Zmrużywszy oczy, stara zaczęła pilnie wpatrywać się w Jamesa, jakby coś w jego wyglądzie ją zaniepokoiło.

– Pomyliliście mnie z kimś innym, dobra kobieto. Mam na imię James...

– Aaa... James? – przerwała stara. – Niech będzie... James to James. – Książęcy giermek dostał żartobliwego kuksańca łokciem. – Bawisz się jak wtedy, gdy żuleś mydło i łażyłeś po mieście, tocząc pianę z gęby, co? – Staruszka mrugnęła okiem. – Zbierasz jałmużnę? Jeżeli tak mówisz... Okaż serce i kup starej Petrumh trochę żarcia, co? – W tejże chwili kobieta

spojrzała na Goratha. – Ale cóż to, chłopcze? Po co ci towarzystwo elfów? Nie wiesz, że to przynosi pecha? Tacy jak on zabili mojego starego, Jacka, i sprawiają kłopoty pod Sethanonem. Co ty sobie myślisz?

– O jakich kłopotach pod Sethanonem mówisz? – spytał James.

Stara pochyliła się nad nim i jeszcze raz przyjrzała mu się badawczo.

– Ty nie jesteś Lysle! – zachnęła się nagle. – Co tu robisz z tą twarzą? – Klepnąwszy lekko Jamesa w ramię, cofnęła się przestraszona i podniosła dłoń do ust. – Oj! – zawołała. – Jesteś złym chochlikiem, prawda? Przybrałeś kształty Lysle’a, by ze mnie zadrwić?

– Dobra kobieto! – oburzył się James. – Nie jestem chochlikiem!

– A ja nie jestem elfem! – warknął Gorath przez zęby.

Stara ponownie pochyliła się nad Jamesem.

– No... nie wyglądasz złowrogo, co fakt, to fakt! Ale mógłbyś być bliźniaczym bratem Lysle’a... i to także fakt.

James skinął na oberżystę, a gdy ten podszedł bliżej, podał mu monetę.

– Mój pocziwczu, zadbaj o to, by starą nakarmiono i napojono – polecił. Zwracając się zaś do Petrumh, spytał: – Więc mówisz, że ten Lysle udał się do Lyton?

– Nie inaczej, wyjechał kilka dni temu – przytaknęła stara. – Powiedział, że musi się tam spotkać z pewnym panem. Przykro mi rzec, ale podejrzewam, że pakuje się w jakieś kłopoty. Taki już jest ten Lysle. Kłopoty to jego specjalność. I nie sądzę, by ten jegomość, z którym ma się spotkać, w rzeczy samej był panem.

W tejże chwili pojawił się Ivan, który ujął starą za łokieć i podprowadziwszy ją do sąsiedniego stołu, usadowił przed kilkoma pełnymi i dymiącymi misami. Petrumh natychmiast zajęła się jedzeniem, a James spojrzał na swoich towarzyszy.

– Sobowtór? – spytał Gorath.

– Czy jest możliwe, by ktoś znalazł twojego zamiennika i wysłał go do Romney przed nami? – Zaczął się zastanawiać Owyn.

James wzruszył ramionami.

– Nie jest to niemożliwe. Zdarzało się to już wcześniej. Przed kilkoma laty widziałem w krongorskich kanałach sobowtóra naszego Księcia. Gdyby nie jego zabłocone buty, zdołałby przekonać ludzi, że jest Aruthą... i narobiłby nie lada zamętu. – Myślał przez chwilę, a potem potrząsnął głową. – Ale bardzo w to wątpię. Stara mówiła, że ten Lysle kręcił się tu już wcześniej. To może być przypadek. Nie tak dawno temu kilku ludzi w Tannerus chciało stłuc mnie na kwaśne jabłko za to, co zrobił ktoś inny... na szczęście zdołałem ich przekonać, że nie mnie należy się wdzięczność. Co prawda dwa podobne wypadki w ciągu jednego roku każą mi poważnie się zastanowić nad możliwością istnienia kogoś, kto w rzeczy samej jest do mnie bardzo podobny... i z tego, co mówią ludzie, to podobieństwo nie czyni mi zaszczytu. – Skinieniem dłoni wezwał do siebie oberżystę.

– Widziałeś mnie wcześniej? – spytał.

– Tego bym nie powiedział – odparł Ivan.

– Ale tak myślałeś, gdy tu weszliśmy – naciskał książęcy giermek.

– Nie... pomyślałem tylko, że panicz mi kogoś przypomina.

– Kogo? – nie popuszczał James.

– Lysle'a Riggersa – odpowiedział Ivan. – Prawdę powiedziawszy, nie lada z niego łotrzyk. Maczał palce w wielu... podejrzanych przedsięwzięciach. Z drugiej strony jest właściwym człowiekiem, jeżeli potrzebujecie, by coś zostało zrobione... jeżeli wiecie, co mam na myśli.

– Wiem – zapewnił go James. – Dawno znacie tego chwata?

– Jak się doda jedno do drugiego... będzie z dziesięć lat – odpowiedział Ivan. – Wiecie... on się pojawia, a potem gdzieś przepada. Czasami tkwi tu przez miesiąc, potem znika gdzieś na rok... kiedy indziej siedzi tu przez rok,

a potem przepada na miesiąc. Nigdy nie wiadomo, co zrobi następnego dnia. – Oberżysta spojrzął po twarzach wszystkich trzech kompanów. – Mogę coś jeszcze dla panów zrobić?

– Nie, to już wszystko – stwierdził James.

– I co teraz? – spytał Owyn, potężnie ziewając, co było skutkiem wypicia kufła mocnego piwa na pusty żołądek.

– Ja wracam, by sobie pogawędzić z moim starym druhem Gravesem – stwierdził James. – A wara przydałaby się drzemka. Wieczorem zaś wszyscy wysłuchamy wykładu Diuka Guya, który miejscowym młodzikom będzie opowiadał o bitwie pod Armengarem.

– Ja może zostanę tutaj – zaproponował Gorath. – Wiem, co się działo pod Armengarem. Byłem tam osobiście.

James uśmiechnął się krzywo.

– W tym towarzystwie nie ty jeden. Ale tak czy owak pójdziemy wszyscy. Nie odmawia się prośbom Diuka. Coś takiego wywołuje niespodziewane kłopoty.

Gorath prychnął tylko w odpowiedzi. Zaraz potem wstał i rzekł:

– Więc na razie pójdę i trochę się rozejrzę po okolicy. Z tego co mówiła ta stara, można by wysnuć wniosek, że gdzieś tu kręcą się moi ziomkowie. Zobaczę, czy nie ma jakichś śladów...

– Bardzo dobrze – odpowiedział James, wstając. – Znaczy, że każdy wie, co ma robić.

Gdy James i Gorath wyszli, Owyn podszedł do stojącego za szynk wąsem i wycierającego kufle gospodarza.

– Znajdzie się jakaś izba na noc? – spytał młodzik z Timons.

– W zwykły dzień z radością rzekłbym, że tak – odparł oberżysta. – Ale dziś wszystkie łóżka zajęli Królewscy.

– A jest tu gdzieś niedaleko inna gospoda? – Owyn nie tracił nadziei.

– Owszem... pół dnia drogi na zachód, choć nie poleciłbym jej przyjacielowi. Druga jest o pół dnia drogi na wschód... ale i tę bym wam odradzał.

– A może znajdzie się jakaś wiązka słomy w stodole?

– Chłopcze, Królewscy i na to nie pozwolą. Przykro mi...

Owyn odwrócił się na pięcie i postanowił, że odszuka Jamesa.

Jeżeli nie ma szans na drzemkę, może znajdzie coś ciekawego w ishapiąńskim opactwie...

Ku zaskoczeniu Jamesa okazało się, że na odczyt Diuka o bitwie pod Armengarem przyszło wielu słuchaczy. Owyn siedział nieopodal i bez większego powodzenia próbował stawić czoło senności. Kiedy wrócił do prowizorycznego opactwa, zdołał znaleźć kilka ksiąg, które wydały mu się ciekawe. Czytając jedną z nich, dotyczącą magii, odkrył w niej parę interesujących rozdziałów.

Podczas wykładu James dwakroć musiał mu dać kuksańca, bo inaczej Owyn zasnąłby. Słuchając Guya, młody giermek musiał sam przed sobą przyznać, że stary wódz obrony Armengararu przeszedł sam siebie. Za niezwykle osiągnięcie należało też uznać fakt, że zdołał doprowadzić bezpiecznie do Yabonu znaczną liczbę uciekinierów z miasta, podczas gdy Kły Świata pełne były goblinów i moredhelów żądnych ludzkiej krwi.

Kiedy Guy skończył wyciąganie wniosków, słuchacze nagrodzili go uprzejmymi oklaskami, a kilkunastu młodych szlachciców podeszło doń, by zadać mu jeszcze kilka pytań.

– Poczekaj – zwrócił się James do towarzysza i poszedł się pożegnać z Diukiem.

Kiedy wrócił, rzekł tylko:

– Chodźmy.

– Dokąd? – spytał Owyn. – W tym miasteczku nie ma wolnego pokoju.

– Prześpiemy sięna podłodze wopactwie... a rano będziemy rześcy jak skowronki.

– Doskonale – stwierdził młody mag. – Zgadzam się z całego serca.

– Owyn... – rzekł James z uśmiechem. – Naucz ty się pić piwo...

Szli drogą do opactwa i James wcale się nie zdziwił, kiedy nagle obok nich pojawił się Gorath. Owyn natomiast wykonał wspaniały skok w bok, gdy mroczny elf niczym duch wyłonił się z wieczornego półmroku.

– Znalazłeś coś? – spytał James.

– Ślady – odpowiedział Gorath. – Ostatnio byli tu moi ziomkowie.

– Co jeszcze?

– Spora grupa ludzi przemykała niedawno na północ od miasta... ale w mieście się nie pokazali.

– Możemy zatem założyć, że woleli, by ich nie widziano. Dokąd szli, na wschód czy na zachód?

– I tam, i tam. W obu kierunkach przekradały się liczne grupy.

James potrząsnął głową.

– Do kata! Wcale mi się to nie podoba.

Wszyscy umilkli i w ciszy doszli do opactwa.

– I cóż tam? – spytał Graves, gdy weszli do refektarza, który niedawno jeszcze był karczemną izbą. – Jak się udał odczyt?

– Mógłby wynająć śpiewaka – stwierdził James z powagą w głosie.

– W przyszłym miesiącu przybędzie tu z odczytem Diuk Armand de Sevigny – pochwalił się Graves – a miesiąc później Baldwin de la Troville.

– Postaram się nie stracić tych odczytów – zapewnił go James. – A teraz wróćmy na ziemię. Znajdzie się tu gdzieś dla nas jakieś miejsce do spania?

– Jimmy... możecie skorzystać z miejsc pod stołami w refektarzu. Izby na piętrze zostały zajęte przez braciszków.

– Pod stołami będzie w sam raz – odpowiedział Owyn, rozwijając posłanie wyciągnięte z podróżnego wora. Gorath robił już to samo, nie tracąc czasu na dyskusję.

Usiadłszy wygodnie naprzeciwko złodzieja, który został mnichem, James spytał cicho:

– Ethan... czemu akurat tutaj?.. –..

Opat wzruszył ramionami.:

– Powiem ci po prawdzie, Jimmy, że nie mam pojęcia. Wiesz, że zakon chce się trzymać blisko Sethanonu. Jest tam mizerna wioska kilka mil od starego miasta, ale ani jednego, ani drugiego skupiska ludzi nie nazwiesz prawdziwym grodem. Mimo to leży na dość ruchliwym kupieckim trakcie i niektórym ludziom zaczęły się roić dochody z opłat wnoszonych przez karawany. Wszystko to dla nas było oczywiste jak wołanie na puszczy: „Wznieście tu opactwo”. Na domiar wszystkiego możemy być tu wybredni i zaczynamy od wysłania braciszka, by zbadał, czy w istocie jest to tak idealne miejsce, jak się nam wydało.

– Zauważyłem, że kolejne dwa wykłady mają wygłosić zaufani ludzie pana Bas–Tyra.

Graves kiwnął głową.

– Tu w okolicy za wiele dzieje się dziwów, by mógł to zlekceważyć. Niektórzy z naszych szlachciców... – Stary mnich wzruszył ramionami. – Powiedzmy, że nie są tak godni zaufania, jak mogłoby się to zdawać.

– Nie podejrzewasz chyba nikogo o zdradę?

– Sam już nie wiem, co myśleć – mruknął Graves. – Jestem byłym złodziejem, którego starszyzna świątyni w Rillanonie specjalnie wybrała do tego zadania, ze względu na spodziewane trudności. – Stary mnich spojrział w oczy Jamesowi. – I wiesz, co ci powiem? Nie wiem, czy sprostim zadaniu.

– Ethan, nigdy nie wycofałeś się z żadnego rozpoczętego przedsięwzięcia.

Graves westchnął ponuro.

– Jimmy... zawsze kiedyś musi być ten pierwszy raz. Mam pewne... dawne zobowiązania. Niełatwo się od nich uwolnić, sam wiesz, jak to jest.

James parsknął śmiechem.

– O tak, wiem lepiej niż większość innych ludzi. Szyderycy wydali na mnie wyrok śmierci, który zostanie wykonany, gd; tylko zdołają mnie przyłapać gdzieś na swoim terytorium. Ale często tak się dzieje, że mnie po prostu nie dostrzegają... oczywiście, kiedy im to odpowiada. Myślę, że wiem, co chcesz powiedzieć.

– Mam nadzieję, że nadejdzie pora, kiedy w rzeczy samej będziesz wiedział, co chciałem dziś powiedzieć. – Graves wstał. – Muszę was pożegnać. Mam tu jeszcze dużo do zrobienia. Dobrej nocy, Jimmy.

– Ja też ci życzę dobrej nocy, Ethan.

James rozwinął swoje posłanie i ułożył je obok postanie Owyna, który zdążył już usnąć. Tuż przez zaśnięciem Jame; pomyślał jeszcze, że ciekaw jest, co też miał na myśli Grave, mówiąc o tym, iż „nadejdzie pora”.

Dął przenikliwy północny wiatr. James skulił się pod opończę, choć wszyscy trzej siedzieli wokół ogniska. Droga z Krzyża Malaka do Silden nie cieszyła się taką popularnością jak Królewski Trakt do Saladoru, choć była dobra i prosta. Nieopodal stały spokojnie trzy nabyte przez niego konie. Jadły owies z podwieszonych u pysków worków.

– James, posłuchaj – odezwał się Owyn. – Martwi mnie coś. Chciałem z tobą porozmawiać o tym od wyjazdu z Krzyża Malaka, Cały czas wydawało mi się, że coś cię gryzie – stwierdzi! Gorath.

– O co chodzi? – spytał James.

– Nie wiem dokładnie... rzecz w tym, że od spotkania z Wyrocznią nawiedza mnie jakieś... złe przeczucie?

– Wziąwszy pod uwagę okoliczności – wtrącił Gorath – nie dziwi mnie to.

– Co masz na myśli? – spytał James, wpatrując się pilnie w twarz Owyna.

– Tylko to, że wydało mi się wtedy, iż Wyrocznię... coś gnębi.

– Niepokoiła się o przyszłość? – spytał Gorath.

James milczał przez chwilę, aż wreszcie rzekł:

– Może się mylę, ale Pug rzekł mi kiedyś, że w przyszłości nie masz niczego pewnego, nie wyryto jej jeszcze w kamieniu, ponieważ stwarzają każde działanie w teraźniejszości... w wyniku czego nieustannie się ona zmienia.

– Gdyby Gorath nie ruszył na południe, Delekhan i tak robiłby swoje – zauważył Owyn.

– Rozumiem – stwierdził Gorath. – Ale jeżeli przyszłość jest płynna, niczym toń rzeki, jakże możemy ufać Wyroczni?

James wzruszył ramionami.

– Mówiono mi, że jest bardzo mądra.

– Myślę, że James ma rację – rzekł Owyn, spoglądając na Goratha. – Ale wciąż nie mogę się pozbyć tego przeczucia.

– Może los Wyroczni jest w jakiś sposób związany z tym, co teraz robimy – podsunął Gorath. – Jeżeli to, co powiedział James, jest prawdą, trudno jej wtedy było dostrzec przyszłość. Może to źródło jej strapienia.

James milczał. Należał do niewielu ludzi, którzy wiedzieli o tym, że pod Sethanonem ukryto Kamień Życia. Jedynie kilku uczestników bitwy widziało magiczny relikw z czasów Smoczych Władców. Niewielu też

zdawało sobie sprawę z tego, że Kamienia Życia, spoczywającego w komnacie pod Sethanonem, strzegła Wyrocznia Aal.

Posąg u Krzyża Malaka miał wprowadzić w błąd tych, którzy nie wiedzieli o istnieniu smoczej Wyroczni. Jeżeli pojawiał się tam ktoś szukający Wyroczni, posąg pomagał mu w nawiązaniu kontaktu bez stawania przed nią samą.

– Próbuję jakoś poukładać sobie w głowie pewne fakty – odezwał się wreszcie James. – Mamy kilku tsurańskich Wielkich, którym skradziono kilka cennych klejnotów, te zaś tsurańscy renegaci sprzedają moredhelskim wojownikom, a ci z kolei wymieniają je na oręż. Mamy ludzi udających członków Gildii Zabójców. Być może chodzi w tym wszystkim o stworzenie dymnej zasłony dla kilku prawdziwych Nocnych Jastrzębi, którzy przetrwali pogrom, jaki im urządziliśmy, pałac ich główną krondorską kwaterę. Mamy też na całym Zachodzie mnóstwo fałszywych tropów, wskazujących na możliwość napaści z Północy.

– Mój lud do wszystkiego podchodzi bardzo ostrożnie – odezwał się Gorath. – Zanim się ruszą, zażądają od Delekhana dowodów na to, że Murmandamus żyje i jest więziony w Sethanonie.

– Nie chciałbym się źle wyrazić o rozsądku twego ludu – rzekł James – ale takie dowody łatwo sprokurować.

– Nie będę się spierał – odparł moredhel – bo podejrzewam, że to właśnie jest przyczyną, dla której Delekhan usiłuje pozbyć się tych, co mu się sprzeciwiają.

James położył się i owinął pledem.

– Może znajdziemy odpowiedzi na te wszystkie pytania, a może nie, ale teraz zamierzam trochę pospać.

– A w Lyton poszukasz tego swojego sobowtóra? – spytał Owyn.

– Przecie to po drodze – odpowiedział James. – Nic się nie stanie, jak rozejrzemy się tam i siam, przejeżdżając przez to miasteczko.

Owyn zwinął się w kłębek, targany dwoma przeciwstawnymi pragnieniami – przysunąć się do ognia jak najbliżej i nie poparzyć się. Gorath leżał cicho i bez słowa pograżył się we śnie.

James jednak długo nie mógł zasnąć, bo wciąż rozmyślał o całej sytuacji i ze strzępów informacji usiłował ułożyć sensowną całość. Gdzieś w tym wszystkim musiał być jakiś plan, jakiś wzór, do którego powinny pasować wszystkie kawałki łamigłówek.

Podróż do Lyton przebiegała bez zakłóceń – aż do momentu, kiedy chwilę przez zachodem słońca zobaczyli pierwsze zabudowania miasteczka. Przy drodze stała opuszczona, co mczna było wnioskować z jej wyglądu, zagroda z rozpadającą się stodołą, wokół której czały się odziane w czerń figury.

Gorath zobaczył je pierwszy, co James skwitował jednym zdaniem:

– Niczego bym nie zobaczył, gdybyś mi ich nie pokazał...

Jest ich czterech – odpowiedział mroczny elf – i wygląda na to, że interesuje ich wyłącznie to, co jest wewnątrz tej opuszczonej stodoły.

– Wiecie... mam między łopatkami takie miejsce, które mnie swędzi, gdy się szykują kłopoty – stwierdził James. – A teraz właśnie dałbym wór złota za to, by móc się tam podrapać. Myślę, że znaleźliśmy prawdziwe Nocne Jastrzębie.

– I co zrobimy? – spytał Owyn.

– Musimy ich pozabijać, zanim cokolwiek zauważą – odpowiedział James, wyciągając miecz. – Ale nie wiem, czy będziemy mieli aż tyle szczęścia.

Skierowawszy konia na pobocze drogi, ruszył kłusem. Jechali teraz przez opuszczone pole, porośnięte wysoką trawą sięgającą koniom do

piersi. Na razie roślinność kryła ich, a ponieważ odziani w czerń ludzie całą uwagę skupili na stodołę, dotarli na skraj pola nie zauważeni.

W tym jednak momencie szczęście ich opuściło – gdy James spiął konia, by ruszyć do ataku, jeden z zabójców zauważył ich i okrzykiem ostrzegł pozostałych. Pierwszy z odzianych w czerń ludzi miał miecz i natychmiast rzucił się na Jamesa, podczas gdy drugi uskoczył w bok. Trzeci, stojący przy rogu stodoły, spokojnie nałożył strzałę na cięciwę i płynnie napiął łuk. I nagle w ścianę stodoły uderzyła ciemna plama dziwnej energii. Nie trafiła w zabójcę, ale przstraszyła go na tyle, że upadł, nie oddawszy strzału.

Gorath dotarł tymczasem do drugiego z przeciwników i rzucił się nań z siodła. Owyn zaklął sążnście, zorientował się bowiem, że choć udało mu się rozwikłać tajemnicę zaklęcia, jakie rzucił przeciwko niemu Nabo, tak że teraz potrafił je powtórzyć, nie umiał go kontrolować. Uniósłszy swój posoch nad głowę niczym maczugę, ruszył na łucznika, usiłując go dopaść, zanim tamten puści strzałę.

Moredhel, uderzając płazem, zmiażdżył krtań przeciwnikowi, ale gdy poderwał się z ziemi, zobaczył, że James ma kłopoty. Owyn radził sobie całkiem nieźle, wywijając swoją lagą. Łucznik był zajęty uskakiwaniem i nie mógł napiąć cięciwy – aż w końcu cisnął drzewce na ziemię i chwycił za miecz.

James ujrzawszy, że Gorath stoi niepewny, któremu z towarzyszy przyjść z pomocą, wrzasnął rozpaczliwie:

– Znajdź czwartego!

Moredhelowi nie trzeba było powtarzać – w następnej chwili skręcał już za róg i zmierzał ku otwartym drzwiom stodoły. Wewnątrz panował mrok mogący zmylić ludzkie oko, ale mieszkaniec Północy potrafił z łatwością rozróżniać rozmaite odcienie półmroków, szarości i cieni. Natychmiast też

dostrzegł ruch wysoko pod krokwiami i przy ścianie z lewej. Znieruchomiał więc i poczekał na posunięcie przeciwnika.

Chwilę później kryjący się pod dachem poślizgnął się lekko i strącił z góry trochę siana, a czający się przy ścianie natychmiast puścił w jego kierunku strzałę. I wtedy Gorath rzucił się nań błyskawicznie. Zanim Nocny Jastrząb zdążył ponownie napiąć cięciwę i strzelić, moredhel siedział mu już na karku.

Walka trwała bardzo krótko i Gorath szybko zabił łucznika. Tymczasem na zewnątrz Jimmy uporał się z przeciwnikiem i skoczył na pomoc O wy nowi.

Gdy ostatni z ludzi odzianych na czarno przestał wierzgać nogami, James i Owyn weszli do stodoły:

– A tu jak? – spytał James.

Gorath wskazał belki pod krokwiami.

– Tam na górze ktoś się ukrywa.

– Złaź! – zwrócił się James do ledwo widocznej w półmroku postaci. – Nie zrobimy ci nic złego.

Nieznajomy przez chwilę kołysał się, zwisając na rękach wczepiony w jedną z belek, a potem zeskoczył na klepisko. Wylądowawszy zręcznie na ugiętych nogach, wyprostował się i spojrzał na swoich wybawców.

– Dziękuję waszmościom – powiedział.

Potem ruszył w ich stronę, a gdy znalazł się w odległości kilku kroków, Owyn spojrzał na jego twarz i aż się cofnął.

– Na wszystkich bogów! – stęknął zdumiony.

James spojrzał na nieznajomego, który był doń tak podobny, że można by go wziąć za jego brata bliźniaka.

– Ty musisz być Lysle – stwierdził książęcy giermek.

– Skąd to przypuszczenie? – zapytał nieznajomy.

– Bo ludzie wciąż mnie z tobą myślą – odpowiedział James, podchodząc ku drzwiom i stając w smudze jasności, by ukazać swoją twarz. – Parę miesięcy temu kilku rozjuszonych na ciebie mieszczuchów w Tannerus omal mnie nie wysłało do sal Lims Kragmy.

Nieznajomy parsknął śmiechem.

– Przepraszam... ale czekali na mój powrót z towarami, po które mnie posłali z pieniędzmi... a mnie coś przeszkodziło i trochę się spóźniłem. – Przez chwilę przyglądał się uważnie Jamesowi. – Rzeczywiście, nasze podobieństwo jest uderzające... i mogło niektórych zmylić. Jestem Lysle Riggers.

– A ja James z Krondoru – padła odpowiedź. – To zaś są moi przyjaciele, Gorath i Owyn. Zmierzamy do Romney i gdy trafiliśmy do Krzyża Malaka, pewna stara kobieta wzięła mnie za ciebie.

– Petrumh – stwierdził Lysle. – Jest trochę szalona, od czasu kiedy jej mąż zginął w ogniu. Wielu mieszkańców miasteczka daje jej żywność i pozwala spać po stodołach. Z niewiadomych przyczyn uparła się, by opowiadać wszystkim, że jest moją babką.

– Czy nie zechciałbyś nam powiedzieć, dlaczego kilku Nocnych Jastrzębi chciało cię zabić?

– Nocne Jastrzębie? – odparł Lysle, wzruszając ramionami. – Znaczy, ci zabójcy? Nie mam pojęcia. Może mnie wzięli za ciebie?

Gorath spojrzał znacząco na Jamesa, ale się nie odezwał.

– A może... – zaczął Owyn.

– Nie, Riggers... – odparł stanowczo James. – To ciebie chcieli zabić... i ktoś zadał sobie sporo trudu, byś tu przepadł bez wieści. No, ale teraz ruszajmy do miasteczka. Po drodze zrób rachunek sumienia, może coś ci się przypomni.

Lysle spojrział na przybyszy i przez chwilę przyjaciele mieli wrażenie, że zastanawia się, czy nie rzucić się do ucieczki... albo stanąć do walki. Porzuciwszy jednak te myśli, kiwnął głową.

– Chodźmy więc. Przydrożna to dość przyzwoita oberża, a po tym wszystkim przydałby mi się łyk piwa.

– Obszukajcie trupy – polecił James towarzyszom. Owyn i Gorath wyszli, by spełnić polecenie. – Zabierasz się z nami, ot tak? – spytał James.

– Nie masz tu niczego, co chciałbyś ze sobą zabrać?

– Nie – odparł Lysle. – Miałem miecz, ale gdzieś przepadł, gdy wiałem przez las przed tymi czterema chwatami. Zresztą... i tak nie był najlepszy. Wezmę miecz po którymś z tych, co leżą na zewnątrz.

– To dość uczciwa wymiana – przyznał James, wychodząc ze stodoły.

– Jamesie... żaden z nich nie miał przy sobie niczego godnego uwagi – stwierdził Owyn, ujrawszy wychodzącego przyjaciela. – Żadnych dokumentów, listów, pieniędzy... nic. Tylko broń i te czarne szaty.

– I to – odezwał się Gorath, podając Jamesowi medalion z jastrzębiem.

James wziął medalion, przyjrzał mu się uważnie, a potem cisnął go na ziemię.

– Ci byli prawdziwymi Jastrzębiami, nie tak jak tamci przebierańcy w Krondorze.

– O jakich przebierańcach mówisz? – spytał Lysle.

– Długo by opowiadać.

– I bardzo dobrze! – stwierdził Riggers. – To oznacza drugi kufel piwa. Chodźmy. – Niedoszła ofiara zdradzieckiej napaści ruszyła zwałym krokiem ku odległym miejskim świątełkom. Pozostali poszli ku swoim koniom.

– Jak na kogoś, kto miał zostać zarżnięty niczym prosię, ten człek zachowuje wyjątkowo zimną krew – stwierdził Owyn po chwili, zwracając

się do jadącego obok niego Jamesa.

– A owszem – odpowiedział James.

I tak cała trójka przyjaciół ze swoim nowym znajomym wjechała do miasteczka.

ROZDZIAŁ 7

ZABÓJSTWA

W oberży było tłoczno.

Lysle przywiódł Jamesa, Owyna i Goratha do Przydrożnej. Nazwa oberży okazała się adekwatna do jej położenia, gdyż znajdowała się na rubieżach miasteczka, dość daleko od ulicy głównej i rynku. Musiała być miejscem dość popularnym – w izbie ogólnej tłoczyli się przy szynkwasio robotnicy najemni, zbrojni wojownicy i... kilka innych, dość podejrzanie wyglądających osób.

James i jego towarzysze zostawili konie pod opieką stajennego, poleciwszy je jego pieczy, i w ślad za Lysle'em weszli do środka.

Nowy znajomy powiódł ich do stołu w rogu. Skinieniem dioni poprosił, by usiedli, po czym przywołał szynkarza zza lady. Ten podszedł i przyjął zamówienie. James zażądał piwa i kolacji dla wszystkich. Barman zerknął spod oka na Riggersa, a potem bez słowa ruszył do kuchni.

– Cóż... wygląda na to, że jestem wam winien kilka wyjaśnień – zaczął Riggers.

– Lepiej, by były obszerne – zauważył Gorath.

– Takie też będą, ale pierwej mam jedno pytanie. Co was skłoniło do tego, by tak dziarsko ruszyć mi na ratunek? – Przez chwilę patrzył uważnie w twarz Jamesa. – Jeżeli to przypadek, to trzeba mi rzec, że los miewa osobliwe poczucie humoru.

– Owszem – odpowiedział James. – Przypadek odegrał w tym swoją rolę, choć twoje nazwisko usłyszałem w Krzyżu Malaka. Kilku ludzi wzięło

mnie tam za ciebie. Jeśli chodzi o uratowanie cię z opresji, to faktycznie był to przypadek... choć w drodze zachowywaliśmy czujność, wypatrując takich właśnie kłopotów, w jakie się wpakowałeś.

– Rozpoznałeś napastników – stwierdził Riggers, zniżając głos. – Widać, że wiesz dużo więcej niż zwykły najemnik. –

Wskazał brodą Goratha. – Ostatnio coraz częściej widuje się tu jego ziomków... choć rzadko pokazują się w towarzystwie ludzi. Wszystko to każe mi mniemać, że zanim zacznę opowiadać swoją historię, powinienem dowiedzieć się czegoś więcej o was. James uśmiechnął się szeroko. Riggers odpowiedział uśmiechem – i obu towarzyszy książęcego giermka znów zaskoczyło ich wielkie podobieństwo.

– Jeżeli nie jesteście braćmi – stwierdził Owyn – to bogowie mają dziwaczne poczucie humoru.

– Mają – potwierdził Riggers – choć brak im może innych ludzkich cech...

– Oto, co mogę ci rzec... – zabrał głos James. – Pracuję dla ludzi, którzy obecnie nie mają żadnych powodów, by pragnąć twej śmierci. Postaraj się, by tak zostało. Moi mocodawcy mają jednakże na pieńku z tymi, co wynajęli twoich niedoszłych zabójców.

– A, oczywiście, wróg mojego wroga jest moim przyjacielem – stwierdził Riggers, cytując stare przysłowie.

– Przechodząc do sedna sprawy – uciął James – w chwili obecnej mamy więcej powodów, by pomagać, niż szkodzić.

Riggers milczał, gdyż przyniesiono posiłek. Dało mu to kolejną chwilę na zastanowienie. Zajął się nakładaniem na kromkę chleba grubego płata sera. Gdy na stole pojawiło się piwo, łyknął potężnie i rzekł:

– Jeżeli pozwolisz, iż pominę szczegóły, powiem wam wszystko, co wiem. Reprezentuję pewnych przedsiębiorców z Krondoru, ludzi

wpływowych i ustosunkowanych. Mają oni swoje interesy w całym Królestwie, Kesh i w Natalu, za Morzem Goryczy. Ostatnio zaczął im się dawać we znaki rywal, który pragnie zerwać dawne układy i stworzyć własne imperium handlowe.

James przez chwilę zastanawiał się nad tym, co usłyszał.

– Czy nie zechciałbyś zdradzić mi, kim są twoi pracodawcy i wasz nowy rywal?

Lysle nie przestał się uśmiechać, choć z jego oczu znikła wesołość.

– Na pierwszą część pytania odpowiem przecząco, co się zaś tyczy drugiej... nasz rywal jest dość tajemniczy. Niektórzy nazywają go Pełzaczem.

James pochylił się nad stołem i przemówił ciszej, tak że usłyszeli go tylko ci, którzy siedzieli przy stole.

– Jestem James z dworu Księcia Krondoru i jako taki uważam się za człowieka Króla. W pewnych kręgach znano mnie jednak jako Jimmy'ego Rączkę... i wiem, o kim mówisz. „Jest zabawa w Mateczniku...”

– „...dla wesołych uliczników”. Tyś jest Jimmy Rączka? Nigdy bym nie uwierzył. – Riggers rozsiadł się wygodniej. – Niezbyt często bywałem w Krondorze. Moi pracodawcy woleli, bym przebywał na Wschodzie. Ale daleko i szeroko wędrują opowieści o tym, jak zasłużyłeś się Księżciu, który przyjął cię w szeregi szlachty.

Być może mamy ze sobą więcej wspólnego, niż myślisz – stwierdził James. Opowiedział o napotkanych przezeń w krongorskich ściekach ludziach udających Jastrzębi i o swoich podejrzeniach dotyczących tego, że ktoś usiłuje dość subtelnie skłonić Księcia do najazdu na kryjówki Szyderców w poszukiwaniu tych ludzi.

– To mi wygląda na robotę Pełzacza – stwierdził Lysle. – Z radością napuściłby Koronę na Szyderców, a potem rozsiadłby się i przyglądał rzezi

konkurentów. Nawet jeżeli Szydercy przetrwaliby starcie, wyszliby z niego osłabieni na tyle, że przestaliby stanowić zagrożenie dla jego organizacji, a gdyby zostali zniszczeni, on po prostu zająłby ich miejsce.

– To mało prawdopodobne, przynajmniej dopóki Rrondorem włada Arutha – stwierdził James. – Książę jest zbyt przebiegły, by dać się wciągnąć w coś takiego. Tak naprawdę bardziej powinniśmy się niepokoić o tych Zabójców, którzy próbowali cię dziś zabić.

Nie będę nawet próbował pytać, dlaczego cię to interesuje – rzekł Lysle. – Zakładam, że w jakiś sposób wiąże się to z dobrem Królestwa.

– Przed dziesięciu laty mieli swój spory udział w kilkakrotnie powtarzanych próbach zamordowania Aruthy. Nie jest istotne, czy są niedobitkami tamtej szajki, czy ktoś zamierza posłużyć się ich reputacją dla swoich celów – tak czy owak stanowią zagrożenie. Co nam możesz o nich powiedzieć? Lysle znów rozparł się wygodniej.

– Rankiem ruszam do Tannerus, by zakończyć wreszcie te małą transakcję, przez którą ostatnio cię tam nie zabito, więc powiem wszystko, co wiem. Są dwa miejsca, w których ten Pełzacz zdobył sobie silną pozycję. Słyszałem, że ma swój udział we wszystkim, co się dzieje w dokach Durbinu, a także, iż usunął miejscowych hersztów podziemia z Silden. Poza Krondorem Szydercy nigdzie nie mieli silnych wpływów, zawsze jednak umieli zadbać o swoje interesy po drugiej stronie Morza Goryczy i w Silden. Ostatnie kłopoty w kilku portach za Morzem Goryczy zaszkodziły im, a z Silden znikli ci z miejscowych notabli, którzy im sprzyjali. Prawdziwie piekielny kocioł szykuje się na Północy. Już teraz w Romney panuje duże zamieszanie, a z tego, co wiem, wnoszę, że krzyżują się tam liczne interesy Jastrzębi.

– Słyszeliśmy, że pojawiły się jakieś problemy...

– O Gildii Flisaków? – spytał Riggers.

James kiwnął głową.

– To robota Pełzacza – oznajmił Lysle. – On takzaczyna... w dokach, sprawiając trudności przy ładowaniu i rozładowaniu towarów, gnębiąc i kupców, i miejscowych złodziejasków, Po jakimś czasie ludzie odkrywają, że muszą płacić za ochronę, by ich towary dotarły na miejsce przeznaczenia nietknięte, a jak już dobierze się do ich sakiewek, to nie popuści. Szefem Gildii Flisaków jest Damon Reeves, człek szczery i uczciwy, ale ktoś z jego otoczenia skłania go do bardzo złych posunięć.

– Uważasz, że za tymi niedobitkami Nocnych Jastrzębi, które teraz podnoszą oskubane już raz łby, kryje się ów... Pełzacz?– spytał James.

– Sam już nie wiem, co myśleć – przyznał Riggers. – Może już go znudziło to, że wciąż wokół niego węszyć i wyznaczył cenę za moją głowę. Albo może jest tak, że mojej śmierci chce ktoś inny, z sobie tylko znanych powodów. Swego czasu dorobiłem się kilku wrogów... – Przy tych słowach uśmiechnął się.

– Nie śmiałybym w to wątpić – stwierdził kpiąco Gorath.

– Gdzie powinniśmy zacząć? – spytał James.

– Zaczynajcie od człeka o imieniu Michael Czatownik. Wygląda na to, że tkwi w samym środku tych wydarzeń. Głową opozycji przeciwnej flisakom jest Arie Niezłomny, z Gildii Kowali i Żeleźników. Obie strony godzą się przynajmniej na pośrednictwo Czatownika. Niektórzy gadają, że macza on palce w kilku podejrzanym przedsięwzięciach. Niby nic poważnego, ale wystarczy, by go uznać za niebezpiecznego.

– Możesz nam rzec coś więcej?

– Pozwól, że pewnych sekretów wam nie wyjawię, ale zapewniam was, iż to nie ma nic wspólnego z waszą misją.

– Cóż... – mruknął James. – I tak wiemy więcej niż przed spotkaniem z tobą. Jeżeli jutro ruszysz do Tannerus, będziemy wiedzieli, gdzie cię

szukać.

Lysle uśmiechnął się szeroko i James poczuł się, jakby patrzył w zwierciadło. Choć Riggers wyglądał na starszego o dwa, może trzy lata, podobieństwo między nimi było niesamowite.

– Owszem... właśnie tam się teraz udaję. Ale ktoś może wiedzieć, gdzie będę, jeżeli zaczniecie mnie szukać?

James spojrzał na niego uważnie.

– Przyjacielu, nie trać wiary. Teraz, kiedy zawarliśmy znajomość, będę miał na ciebie oko. Jeszcze się spotkamy, możesz być tego pewny.

Lysle skończył posiłek, grzecznie się pożegnał i odszedł.

– Zobaczę, czy uda mi się zdobyć izbę na noc – odezwał się James. Po krótkich targach z oberżystą: „Gospodarzu, źle mnie zrozumieliście. Nie chcemy kupić tej oberży, chcemy wynająć jedną izbę na jedną noc”, udali się na spoczynek.

Kiedy raniem zeszli do stajni, znaleźli w niej lekko zaskoczonego ich pojawieniem się stajennego.

– Jakie konie, panie? Wczoraj wieczorem wzięliście swojego, a pozostałe dwa sprzedaliście mojemu panu.

James odwrócił się i spojrzał ku drodze, gdzie daleko za horyzontem leżało Tannerus. Zaklął w duchu, przysięgając, że któregoś dnia odszuka Lysle'a Riggersa. Jeżeli miał choć cień wątpliwości co do łączącego ich pokrewieństwa, wyzbył sięgo teraz. I nagle cała sytuacja wydała mu się tak zabawna, że parsknął śmiechem. Trafiła kosa na kamień.

– Ha! Tak czy siak musimy kupić jakieś konie, chłopcze, Które moglibyście nam sprzedać?

Dziwna reakcja Jamesa zdumiała Owyna i Goratha, żaden jednak nie odezwał się słowem, gdy chłopak wezwał starszego stajennego i zaczęły się nieustępliwe targi.

W poprzek drogi wjazdowej do Romney ustawiono barykadę, której strzegli zbrojni. Trzech jeźdźców wezwano do zatrzymania się.

– Ha! A cóż to znaczy! – zachnął się James.

Zza barykady, wzniesionej głównie z worków mąki i skrzyń, wyszedł jeden ze zbrojnych.

– Zabrania się wjazdu do Romney obcym – oznajmił, Jadę w sprawach Króla i mam glejt podróżny podpisany przez Księcia Krondoru – opowiedział się James.

– Przez samego Księcia? – zdziwił się nieznajomy, pocierając podbródek dłonią w skórzanej rękawicy. Wyglądał na tragarza – podwinięte wysoko rękawy koszuli opinały bicepsy, miał też potężną pierś i byczy kark. W dłoniach trzymał gruby łom, jakim otwierano mocno zabite ćwiekami skrzynie. Jego mina sugerowała, że w każdej chwili gotów jest go użyć. – Cóż... Książę znajduje się daleko stąd, a Romney leży poza Zachodnimi Dziedzinami. Nie widzę więc powodu, dla którego mielibyśmy się przejmować jego glejtem.

– Kto tu dowodzi? – uciał James, zeskakując z konia i podając lejce Owynowi.

– No... zwykle Michael Czatownik, który usiłuje powstrzymać Flisaków od przejęcia władzy nad miastem, ale teraz pochłaniają go inne sprawy. Więc rządę tuja!

– A ty jesteś?

– Karl Widger! – odparł tragarz, wypinając pierś. Zanim zdążył zrobić lub rzec cokolwiek więcej, James skoczył ku niemu i z całej siły rąbnął go pięścią w brzuch. Widgeri jęknął tylko „Uff!” i zgiął się wpół... uderzając twarzą w kolano, które książęcy giermek błyskawicznie mu podstawiał. Samozwańczy dowódca samozwańczej warty runął na plecy.

– Czy któryś z was, dobrzy ludzie, nie zechciałby mi wyświadczyć przysługi i pobiec do miasta po Michaela Czatownika? – spytał James, starannie przestępując powalonego przeciwnika. – Powiedzcie mu, że Karl jest... chwilowo niezdolny do pełnienia służby. A może... – ciągnął, obnażając miecz – jest wśród was taki, co zechce twierdzić, że teraz on jest dowódcą straży i nie pozwoli nam wjechać do Romney?

Dwaj stojący za barykadą mężczyźni naradzili się szybko i jeden z nich pobiegł do miasteczka, pokonując niewielki mostek oddzielający drogę do Romney od Królewskiego Traktu. Żaden z pozostałych nie zdradził ochoty na przejście przez barykadę i podjęcie wyzwania Jamesa – z drugiej strony książęcy giermek zdawał sobie sprawę, że nie może ot tak sobie przejechać po kilku uzbrojonych ludziach.

Owyn też zsiadł z konia i oddał wodze Jamesowi.

– To było odważne...

– ... i trochę głupie – stwierdził James nieco przyciszonym głosem. – Prawie złamałem sobie rękę, a to był tylko jego brzuch. Rad jestem, że mi nie strzeliło do głowy dać mu w łeb. Pewnie miałbym teraz połamane wszystkie knykcie. I diabelnie boli mnie kolano.

Michael Czatownik nie kazał na siebie czekać zbyt długo. Był to człek wysoki, jasnowłosy, o twarzy okolonej krótko przyciętą, rudawą bródką.

– Co tu się wyrabia? – zagrzmiał groźnie.

– Mógłbym spytać o to samo – stwierdził wcale nie zbity z tropu James. – Mam glejty podpisane przez Księcia Krondoru i wykonuję wolę Króla. Jak śmiecie zamykać mi drogę?

– Działamy z rozkazu Earla Romney – odpowiedział Czatownik. – Mieliśmy tu ostatnio mnóstwo kłopotów, doszło niemal do wojny pomiędzy cechami.

– Jak to? – zdumiał się James, jakby o wszystkim słyszał po raz pierwszy.

– Przekłęci Flisacy, oby ich przymiot stoczył, gwałcąc wszelkie poprzednie ustalenia, podnieśli ceny, co grozi załamaniem wszelkiej działalności handlowej wzdłuż rzeki. Jestem przedstawicielem pozostałych cechów, takich jak Powroźnicy, Garncarze, Tkacze, Kowale, i innych miejscowych kupców, którzy odmawiają płacenia cen ustalonych przez Flisaków.

– Pozwólcie, że ujmę rzecz krótko – oznajmił James. – Próbowaliście wszelkich rozsądnych argumentów, ale Flisacy nie bacząc na nie, zaczęli ciskać towary do wody i rąbać łodzie?

– Nie tylko – odpowiedział Czatownik. – Trzy tygodnie temu zabili dwu czeladników i podpalili kilka łodzi.

– Cóż, to wasze lokalne sprawy – stwierdził James. – My jedziemy z rozkazu Króla i nie możemy zwlekać.

– Pokażcie mi wasze glejty – poprosił Czatownik. James wahał się przez chwilę. Czatownik nie był szlachcicem ani urzędnikiem korony. Wedle prawa nie mógł żądać żadnych urzędowych pism. Rozsądek jednak nakazywał, by nie sprzeciwiać się człowiekowi, który ma na swe rozkazy kilkunastu zbrojnych. James sięgnął więc za pazuchę i wyciągnął glejt oraz książęce polecenie udzielenia mu wszelkiej pomocy, jakie obowiązywało wszystkich napotkanych przezeń szlachciców. Michael przyjrzał się pismom i rzekł:

– Cóż... nie sposób przesadzić z ostrożnością. Flisacy wynajmują zbrojnych, a miasto przekształca się powoli w wojenny obóz. Nie możemy zbyt wiele wskórać przeciwko tym, którzy są już w mieście, ale możemy zatrzymać tych, co zechcą się tam dostać. – Mówiąc te słowa, oddał Jamesowi glejty.

– A co na to wszystko Earl? – spytał Owyn. – Czy tonie on odpowiada za utrzymanie pokoju?

Synu, nie mamy tu garnizonu. – W głosie mówiącego zabrzmiały nutki, które kazały pomyśleć Jamesowi, że Czatownik chętnie widziałby królewskich w Romney. – Znajdujemy się w samym sercu Królestwa i większość kłopotów, jakiem miewamy, to bójk w porcie albo napady na kupców na drodze. Większość miejskiej straży zaangażowała się już w ten spórpo jednej albo drugiej stronie. Flisacy to najbardziej wpływowi cech w tych stronach, ale pozostałe razem wzięte mają większą siłę. Wszystko to niełatwo rozwikłać i nie masz w Romney nikogo, kto nie opowiedział się po jednej albo drugiej stronie. Earl Richard poprosił mnie, bym przybył tu ze Sloop, wioski, gdzie mieszkam, oddalonej o pół drogi dnia na południe stąd. Moją główną zaletą jest to, że przybyłem z zewnątrz, a po obu stronach mam wielu przyjaciół, którzy niekiedy dają posłuch moim radom. Flisacy jednak posunęli się za daleko. James schował swe glejty pod kurtkę i powiedział:

– Spodziewam się, że z ich punktu widzenia sprawy mają się zgoła inaczej. Ale to nie moja sprawa. Muszę jednak zobaczyć się z Earlem.

Czatownik już miał coś rzec, kiedy wszystkie inne dźwięki stłumił grzmot kopyt uderzających o bruk. Spojrzawszy w bok, książęcy giermek zauważył wyłaniającą się z za zakrętu i jadącą stępa pod rozwiniętym proporcem kompanię Królewskich Kopijników.

Dowódca konnych podjechał, podniósł dłoń w niedbałym pozdrowieniu i rzekł:

– Co tu się wyrabia? Hej wy! Natychmiast sprzątnąć mi z drogi te wory...

James spojrział na twarz oficera i uśmiechnął się szeroko.

– Walter z Gyldenholt? Znaczy, Baldwin wreszcie wysłał was na południe?

– Czy my się znamy? – spytał niedawny kapitan z garnizonu w Highcastle.

– Owszem. – James roześmiał się. – Spotkaliśmy się w Highcastle. Jestem James, giermek książęcego dworu w Krondorze.

– A, tak – odpowiedział stary kapitan. – Teraz was sobie przypominam.

James nie umiał ukryć uśmiechu. Kiedy spotkali się po raz pierwszy, kapitan był jedną z ofiar niełaski, w jaką popadł Guy du Bas-Tyra. Jako jednego z najbardziej oddanych Guyowi oficerów zesłano go do ciężkiej służby na północne granice. James spojrzał na pas Waltera, z trudem dopinający się najego brzuchu.

– Wygląda na to, że pokój waści służy...

– Co cię tu sprowadza, mości giermku? – spytał stary wojak, ignorując przyjacielski docinek.

– Książę raczył wyrazić życzenie, bym załatwił dlań kilka spraw. A was przysłał tu Guy, byście przywrócili porządek?

– Owszem – przyznał Gyldenholt. – Bylibyśmy tu już kilka dni temu, ale po drodze mieliśmy... pewien problem. Banda odzianych w czerń drabów chciała nas zatrzymać. Było trochę uciechy... ale gdy zabiliśmy kilku z nich, reszta rzuciła się do ucieczki.

James spojrzał znacząco na Owyna i Goratha.

– Panie oficerze, o tych sprawach lepiej nie mówić w miejscu, gdzie byle kto może usłyszeć. Muszę porozmawiać z Earlem... i podejrzewam, że waszmość też.

– To prawda – przyznał kapitan, skinieniem dłoni nakazując swoim ludziom ruszać dalej. Samozwańczy strażnicy zdążyli usunąć

prowizoryczną barykadę. – Jedźcie z nami, mości giermku. Ustrzeżecie się dzięki temu wszelkich łotrzyków, – Stary uśmiechnął się do Jamesa.

Ten odpowiedział uśmiechem i wskoczył na siodło, Wraz z towarzyszami dołączył do szyku. W drużynie było pięćdziesięciu kopijników, co zapewniało siłę dostateczną do uniknięcia kłopotów i do tego, by obie strony konfliktu powstrzymały się od napaści. Taką przynajmniej nadzieję żywił James.

– Mości giermku – odezwał się Czatownik – myśmy tylko trzymali tę stronę mostu do czasu przybycia kopijników. Zechciejcie powiedzieć Earlowi, że ja i moi ludzie wracamy do Sloop.

James obiecał przekazać wiadomość i wszyscy ruszyli przez most.

Romney – główny ośrodek handlowy na wschodzie – było dość duże, by wedle miar Zachodu uznać je za wielkie, tu jednak, otoczone innymi wschodnimi grodami, nie robiło swymi rozmiarami na nikim wrażenia. Nie dorównywało połowie Krondoru, Mając do dyspozycji pięćdziesięciu zbrojnych, Earl mógł rozpuścić obecną straż miejską i przywrócić porządek – tym bardziej że żadna ze stron nie zamierzała wdać się w otwarty, krwawy konflikt z przeciwnikami.

Ajednak na ulicach wyczuwało się niemal namacalne napięcie. Na przejeżdżającą drużynę ze wszystkich stron sypały się ciekawskie spojrzenia, a gapie znikali z ulic.

– Czuć tu strach w powietrzu – stwierdził Gorath.

– Ludzie okazują strach, kiedy wybuchają zamieszki – odparł James. – Nawet jeżeli trzymasz się na uboczu, nie unikniesz gwałtów, grabieży i szkód. Wielu zabito, kiedy usiłowali wyjaśnić, że zamieszki między cechami ich nie dotyczą...

Kiedy skręcili za róg, trafili na miejski rynek z wielką fontanną. Jamesa uderzyła jedna rzecz.

– Nie masz tu żadnych gapiów ani ulicznych sprzedawców.

Owyn kiwnął głową.

– Byłem tu już wcześniej, jadąc do wuja do Twierdzy Cavell. Pamiętam, że rynek wypełniały kramy.

– Może się boją, że padną ofiarą tych gwałtów i grabieży, o których mówiłeś – zauważył Gorath.

James kiwnął głową. W północnej części rynku znajdowała się duża oberża. Nad jej drzwiami wisiał szyld, na którym wymalowano czarną owcę i zieloną łąkę.

– Tu się zatrzymamy – oznajmił Walter z Gyldenholt. Kopijnicy zaczęli zeskakiwać z siodła. Niezależnie od tego, jakie było zdanie Jamesa o spokojnym kapitanie z Highcastle, dowodzony przezeń oddział okazał się świetnie wyszkolony. Kapitan skinieniem dłoni wezwał do siebie jednego z przechodniów.

– Mój dobry człowieku, czy wiesz, gdzie możemy znaleźć Earla Romney?

– Zajmuje tamten dom, sir – odpowiedział zagadnięty, wskazując budynek stojący po przeciwległej stronie rynku.

Walter zeskoczył z siodła, podał wodze ordynansowi i rzekł:

– Mości Jamesie, chodźmy złożyć wyrazy uszanowania Jego Lordowskiej Mości.

– Zsiadłszy z konia, James zwrócił się do Owyna:, Znajdźcie jakąś kwaterę, ale w innej gospodzie. Łatwiej nam będzie powęszyć, jeżeli ludzie nie będą nas widywali w towarzystwie królewskich.

Znam odpowiednie miejsce – stwierdził Owyn. – Kiedyś się tam zatrzymałem z ojcem. – Wyciągnął rękę, wskazując kierunek. – Idąc wzdłuż tej ulicy, trafisz na kolejny most nad rzeką Cheam, a zaraz za nim znajdziesz gospodę Pod Zielonym Kotem. Zaczekamy tam na ciebie.

James odwrócił się i ruszył za Walterem, zmierzającym do domu, gdzie rezydował Earl. Stary wojak nie zdążył nawet zapukać, bo oto drzwi otworzyły się przed nim i pojawił się w nich sługa.

– Zechciejcie wejść, panie.

Odźwierny miał na sobie barwy Romney z godłem Earla – rzeką i przeskakującym ponad gwiazdą łososiem. Powiódł gości do niewielkiej sali na tyłach domostwa, Earl Richard był młodym człowiekiem. Mimo miecza przy boku i zbroi wyglądał bardziej na kupca lub rzemieślnika. James wychował się wśród szlachty, której przedstawiciele byli w jednakim stopniu wojownikami i władcami, niełatwo mu więc było przywyknąć do widoku tych wschodnich wielmożów, noszących miecze jedynie dla ozdoby. Głos Earla zabrzmiał jednak zaskakująco głęboko i władczo.

– Witajcie, panowie. Widzę, że Lord Bas–Tyra zechciał się przychylić do moich próśb.

James pozwolił, by inicjatywę przejął Walter.

– Przybyliśmy, jak szybko się dało...

– Ilu ludzi przywiedliście ze sobą?

– Kompanię pięćdziesięciu kopijników.

Na twarzy Earla wciąż malowała się troska.

– Mam nadzieję, że to wystarczy. W rzeczy samej wolałbym rozstrzygnąć te spory bez uciekania się do użycia siły.

Walter zerknął na Jamesa i wzruszył ramionami. Nie uszło to uwagi Earla.

– A wy, kim jesteście?

– James z Krondoru, giermek dworu Księcia Aruthy – odpowiedział zagadnięty, wyjmując zza pazuchy glejty i list polecający. Ten ostatni dokument nakazywał udzielanie pomocy okazicielowi, a Jamesowi wydało się, że jego treść wzmogła irytację Earla. – I jakiejże to pomocy żądacie?

– Milordzie, na razie tylko informacji. Otrzymaliśmy meldunki o tym, że w waszej prowincji pojawili się ostatnio członkowie Bractwa Mrocznego Szlaku i, być może, mordercy z gildii Nocnych Jastrzębi.

– Być może? – spytał Earl, na którego twarzy pojawiły się pierwsze rumieńce gniewu. – Czy tam w stolicy ktoś w ogóle czyta raporty, które wysyłam? Nie „być może”, ale na pewno pojawiły się tu te łotry! Zabili dwu członków cechu Żeleźników i dwu Flisaków... zresztą wszystko im jedno, kogo zabić, byle otrzymali zapłatę. Słyszałem, że Baron Cavell nie wychyla nosa ze swej siedziby, bo zagięli na niego parol! Żyje w niewielkiej rezydencji, a jego przyboczni strzegą każdego pomieszczenia.

Nazwisko Cavell poruszyło jakieś struny w pamięci Jamesa, nie mógł go jednak skojarzyć.

– Milordzie... – oznajmił. – Ja i moi towarzysze zostaniemy tu przez kilka dni i będziemy zadawać rozmaite pytania. Dobrze się stanie, jeżeli nikt się nie dowie o celu naszej wizyty. Jeżeli ktoś zapyta, rzeknijcie mu, że zajechaliśmy po drodze, aby przekazać wam pozdrowienia od Księcia. – Zerknął na Waltera. – Mości kapitanie, aby nie wzbudzić podejrzeń, zatrzymam się w oberży Pod Zielonym Kotem.

Walter wzruszył ramionami, jakby ta sprawa nie miała dlań znaczenia.

– Milordzie – odezwał się do Earla – będziemy na wasze rozkazy. Rano chciałbym rozmówić się z dowódcą miejskiej straży i ustanowić trasy, po których będą chodziły warty i patrole. Gdy tylko tutejsi zobaczą moich chłopców, zaraz zrobi się spokojniej...

James i kapitan pożegnali Earla i wyszli. Znalazłszy się za drzwiami, Walter stwierdził:

– No cóż, mości giermku, wkrótce zapanuje tu porządek...

Jamesa jednak opanowało złe przeczucie.

– Mam nadzieję, że się waszmość nie mylisz. Naprawdę na to liczę...

Chwilę później rozeszli się w różne strony. James odnalazł swego konia, wskoczył na siodło i ruszył przez miasto ku gospodzie, której położenie opisał mu Owyn. Podczas jazdy przyglądał się ulicom i budynkom.

Romney rozpierało się u zbiegu trzech rzek. Rom spływała z Kłów Świata, w pobliżu Northwarden, najstarszej z pogranicznych Baronii. W Romney dawała początek Cheam, która zmierzała ku południowemu wschodowi, sama jednak podążała dalej na południowy zachód, ale nieopodal wybrzeża ponownie skręcała na południowy wschód. James zatrzymał się na chwilę, przystając pośrodku przekraczanego właśnie mostu nad rzeką Cheam. Dręczyło go jakieś wspomnienie, którego nie mógł przywołać bliżej, a wiedział, że sprawa jest ważna. Przez moment usiłował się skupić, patrząc w nurt rzeki, szybko jednak doszedł do wniosku, że niczego nie wskóra i przyjdzie mu poczekać, aż wspomnienie samo wróci.

Przejechawszy przez most, odkrył, że na drugim brzegu atmosfera jest jeszcze cięższa. Mieszkańcy przemykali szybko, zezując niespokojnie na boki, jakby się spodziewali, że zza każdego rogu może wyskoczyć napastnik. Nigdzie też nie było widać zwykłych gapiów.

Po niedługim czasie odnalazł wskazaną mu przez Owyna gospodę i okrążywszy ją, wjechał na dziedziniec stajenny, gdzie czekali nań Owyn i Gorath.

– Dlaczego nie siedzicie wewnątrz i nie napychacie brzuchów? – spytał.

– Sir... – odezwał się wystraszony stajenny. – Mój pan odmówił gościny... waszemu przyjacielowi. – Wskazał podbródkiem Goratha.

– Nie posunąłbym się aż tak daleko, by go nazwać przyjacielem – mruknął James, rzucając wodze stajennemu. Zaraz potem energicznym krokiem ruszył do tylnych drzwi oberży, Owyn i Gorath zawahali się na moment, ale poszli za nim.

Właściciel oberży okazał się człekiem posuniętym już wiatach, ale wciąż krzepkim, o imponujących barach. Obróciwszy się niczym taran ku przybyłym, wymierzył w Goratha paluch gruby niczym kielbasa.

– Hola! Powiedziałem ci, że pod moim dachem nie będę gościł nikogo z twoich!

– A za kogóż to go uważacie, mój dobry człowieku? – spytał James, wychodząc przed Goratha.

Gospodarz spojrział z góry na Jamesa... i zatrzymał się w pół kroku. Choć młodzik był odeń niższy i znacznie szczuplejszy, coś w jego postawie i zachowaniu ostrzegło oberżystę, że ma do czynienia z nie lada ćwikiem.

– On jest mrocznym elfem! Spędziłem piętnaście lat na Pograniczu i natłukłem ich dość, by nie dać się oszukać! Zabili wielu moich przyjaciół i kompanów. A wy kim jesteście, że chcecie kwestionować moją wolę pod moim dachem?

– James z Krondoru, giermek dworu Księcia Aruthy – odpowiedział przybysz, wspierając się pod bok. – Ten zaś osobnik jest moim towarzyszem i działamy z rozkazu Korony.

– A ja jestem Królową Święta Banapisa! – odparł oberżysta.

James uśmiechnął się szeroko i sięgnąwszy za pazuchę, wyciągnął glejty.

– Ha! Najjaśniejsza Pani, Królowo Wdzięku i Urody, zechciejcie przeczytać te pisma, w przeciwnym bowiem razie będę zmuszony poprosić Earla Richarda o wstawiennictwo... a sami wiecie, że bardzo mu się nie spodoba konieczność przedzierania się przez ten cały zamęt na ulicach, by dotrzeć aż tutaj.

Stary potrafił czytać, choć szło mu to niesporo i pomagał sobie, poruszając ustami. James jednak nie zamierzał mu pomagać. Po dłuższej chwili oberżysta oddał mu dokumenty ze słowami:

– Znaczy, niech mnie licho porwie, jesteście czymś w rodzaju książęcego oficera?

– Gdybym służył w armii, byłbym porucznikiem Rycerstwa – odparł James, wzruszając ramionami. – Jesteście weteranem i łatwiej wam to pojąć niż innym. Ale dość o tym. Potrzebna mi izba dla nas trzech, piwo i posiłek.

Oberżysta popatrzył ponuro na Goratha, ale bez sprzeciwu odwrócił się plecami do Jamesa.

– Tędy proszę... szlachetny panie. – Poprowadziwszy ich do szynkwasu, wydobył spod lady duży, żelazny klucz. – Schodarni na górę i do końca w prawo. – Gdy James wziął klucz, w oczach oberżysty pojawił się błysk chciwości. – Sześć złotych suwerenów za nocleg, sir.

– Sześć suwerenów? – wybuchnął James. – Ty złodzieju!

– Dwa za osobę. Jak nie chcecie, to nie. Bez łaski. James wiedział doskonale, że pięćdziesięciu kopijników zajmie wszystkie wolne miejsca w oberżach.

– Niech będzie. Bierzemy.

– Płatne z góry.

James odliczył dwanaście monet i rzekł.

– To za dwie noce. Jeżeli zdecydujemy, że zostaniemy dłużej, zapłacimy pojutrze wieczorem.

Oberżysta zręcznym ruchem zmiótł monety do szuflady.

– Opłata za nocleg nie obejmuje posiłków – zastrzegł.

– Nie wiem czemu, ale wcale mnie to nie dziwi. – James uśmiechnął się krzywo. – Przyniesiemy juki – zwrócił się do towarzyszy – a potem coś zjemy.

Kiedy zdjęli juki z końskich grzbietów i upewnili się, że stajenny zna swoje rzemiosło, ruszyli schodami na górę. Tak jak James się spodziewał,

dostali najgorszą izbę w gospodzie, położoną tuż nad stajniami. Młodzik postanowił, że nie będzie z tego robił problemu.

Kiedy zeszli na dół i zasiedli do stołu, stwierdzili, że obsługują ich wolno i leniwie, choć nie było zbyt wielkiego ruchu. Czekaając na posiłek, James stracił cierpliwość i już wstawał, by skląć starego, kiedy przyniesiono wreszcie jadło. Ku jego zaskoczeniu okazało się, że potrawy są smaczne i świetnie przygotowane.

Podczas posiłku James przekazał towarzyszom wszelkie informacje, jakie posiadał – choć nie było tego za wiele.

– Z tego, co powiedziałaś, nie wynika, czy Nocne Jastrzębie pracują dla Flisaków czy Żeleźników – stwierdził Owyn.

– Podejrzewam, że ani dla jednych, ani dla drugich – odezwał się Gorath. – Chaos i zamieszanie w Królestwie sprzyjają po prostu planom Delekhana.

Sądzę, że Gorath ma rację. Nie mam pojęcia, czy te łajdaki są sprzymierzeńcami Pelzacza, Delekhana czy ich obu. Może zresztą wplątaliśmy się w spór, który nie ma nic wspólnego ani z jednym, ani z drugim, ale tak czy owak korzysta na tym Delekhan. Co oznacza, że musimy z tym skończyć.

– I jakże się do tego zabierzemy? – spytał Owyn.

– Dowiemy się, kto zaczął, i zobaczymy, czy uda się posadzić przedstawicieli obu stron przy jednym stole. Jeżeli Earl zdoła ich jakoś nakłonić do ugody, może zdołamy przywrócić w tym mieście jako taki porządek. Ci kopijnicy potrafią wprawdzie przytrzymać pokrywę nad wrzącym tu kotłem emocji i sprzecznych interesów, ale tego stanu rzeczy nie da się utrzymać na dłuższą metę. Prędzej czy później ktoś kogoś pchnie mieczem, rozbije mu łeb, a wtedy wybuchną zamieszki co się zowie. – James zniżył głos. – A ponieważ straż miejska się podzieli i jedni ceklarze

wezmą stronę Żeleźników, a inni staną przy Flisakach, nawet tych pięćdziesięciu gwardzistów okaże się siłą niewystarczającą do przywrócenia tu spokoju.

– To czym się mamy zająć? – spytał Owyn.

– Chcę, żebyś o brzasku – zwrócił się James do Goratha – zaczął badać okolice miasta. Wiesz, czego szukać. A ty – spytał Owyna – znasz najznacześniejsze rodziny w tym mieście?

– Nie bardzo – przyznał tamten – ale jako syn Barona, znający kilku możliwych panów, na których mogę się w razie czego powołać, potrafię zdobyć zaproszenie na kolację lub herbatę do któregoś z miejscowych.

– Doskonale – stwierdził James. – A ja trochę powęszę.

– Gdzie? – spytał Owyn.

– W tych dzielnicach, do których mądrzy ludzie nie zagląдают. – James uśmiechnął się.

– Coś jeszcze? – spytał Owyn.

– Owszem – rzekł James. – Znasz Barona Cavell, którego włości rozciągają się na północ stąd?

– Corvallis z Cavell? – spytał Owyn, uporawszy się z kęsem mięsa. – Owszem... powinienem go znać. To mój krewniak. Dokładniej rzecz biorąc, wuj mojej matki. Choć co prawda jest tylko kilka lat od niej starszy. A czemu pytasz?

– Richard Romney powiedział, że Nocne Jastrzębie zagięły nań parol.

– To mnie akurat nie dziwi – stwierdził Owyn. – Wuj Corvallis słynie w rodzinie z cholerycznego usposobienia. Ma też spory talent do robienia sobie wrogów. Niełatwo mi jednak sobie wyobrazić, że ktoś się nań zawziął do tego stopnia, iż pragnie jego śmierci.

James wzruszył ramionami.

– Powtórzyłem tylko to, co mówił Earl Richard, a on opiera się pewnie na tym, co mu rzekł baron Cavell.

Jeżeli Jastrzębie wzięłyby go na cel, to byłby już trupem – stwierdził Gorath.

– Zgodnie z tym, co mi rzekł Earl Richard – rzekł James – twój wuj Corvallis kryje się w jednej z izb domu stojącego pośrodku wioski Cavell, a w pozostałych izbach siedzą zbrojni strażnicy.

Owyn kiwnął głową.

– Stara twierdza spłonęła w tajemniczych okolicznościach kilka lat temu. Od tamtej pory rodzina żyje w najlepszym domu pośrodku wioski. Wciąż się mówi o odbudowie twierdzy... ale nadal nikt nie kiwnął w tej sprawie palcem.

– To bardzo dobrze – stwierdził James. – Jeżeli nie znajdziemy Jastrzębi tutaj, może trzeba nam będzie pogadać z twoim wujem.

– Jak do tej pory – odezwał się Gorath – nie mieliśmy żadnych trudności z odnajdywaniem Nocnych Jastrzębi.

– I to prawda – zgodził się James.

Skończywszy posiłek, udali się na spoczynek.

Następnego ranka, gdy tylko James otworzył oczy, natychmiast usłyszał krzyki. Szybko porwał się z posłania i chwycił spodnie oraz buty. Gorath też był już na nogach i sięgał po miecz.

– Co się dzieje? – ziewnął Owyn ze swego miejsca.

– Wygląda na to, że wybuchły zamieszki – stwierdził moredhel.

James przez chwilę przysłuchiwał się odległej wrzawie.

– Nie... – orzekł. – To coś innego.. Pospiesznie się ubrawszy, popędził schodami w dół do izby ogólnej. Podszedł do drzwi i przysłuchiwał się krzykom na zewnątrz. Przy drzwiach oberży stał gospodarz, słuchający tego, co wołali przebiegający ulicą ludzie.

– Co się stało? – spytał James.

– Morderstwo – odpowiedział ponuro gospodarz. – Wołają, że w nocy kogoś podstępnie zabito.

– Zabito? – spytał schodzący po schodach Owyn. – Kogo?

– Nie wiem – odpowiedział oberżysta. – Ale mówią, że morderstwo popełniono w gospodzie Pod Czarną Owcą.

James wypadł za drzwi, zanim przebrzmiały ostatnie słowa gospodarza. Tuż za nim gnali Owyn i Gorath. Książęcy giermek nie zadał sobie trudu osiodłania konia – zamiast tego popędził ulicą za ludźmi, którzy biegli ku mostowi, a potem przez rynek do gospody Pod Zieloną Owcą.

Wpadłszy na rynek, przyjaciele znaleźli tam już spory tłum. Powstrzymywało go kilku ludzi z opaskami na ramieniu, zbrojnych w halabardy. Nie było natomiast nigdzie żadnego z Królewskich Kopijników. James zaczął się przeciskać i szybko dotarł na czoło tłumowi, gdzie zatrzymał go jeden z halabardników.

– W imieniu Króla! – zawołał książęcy giermek, odpychając halabardę na bok.

Okrzyk zaskoczył halabardnika, który zawahał się na chwilę, co szybko wykorzystali James, Owyn i Gorath, przemykając obok niego. Służbista jednak nie stracił głowy i zatrzymał innych gapiów, którzy chcieli skorzystać z okazji. W tejże chwili na placu pojawił się Earl Romney, który szedł wielkimi krokami ku fontannie. Ujrawszy Jamesa, zakrzyknął gromko:

– Hola, mości giermku!

James podbiegł do miejsca, gdzie zatrzymał się Earl.

– Co się stało, sir?.

Romney był tak poruszony, że zdołał tylko rzec:

– Sam zobacz! – i wskazał dłonią drzwi oberży.

James pobiegł do wejścia.

Wpadłszy do wspólnej izby, zobaczył kilkunastu leżących na ziemi i stołach Królewskich, patrzących w pustkę martwym wzrokiem. Nie trzeba było uzdrowiciela czy kapłana, by poznać, że ci ludzie nie żyją. James spojrział na skulonego w kącie stajennego, który znalazł trupy, gdy rankiem przyszedł na wczesne śniadanie.

– Wszyscy nie żyją? – spytał.

Chłopak był tak przestraszony, że z trudem zdołał wydusić z siebie kilka słów.

– Tak, panie – wyszeptał. – Oficer jest w swojej komnatce na piętrze, obok zaś leżą sierżant i kilku innych. Reszta skonała tutaj.

Gorath podszedł do jednego ze stołów i podniósł zeń kufel piwa.

– Trucizna – stwierdził, powąchawszy dno naczynia – albo możecie mnie nazwać goblinem. Jeszcze ją czuć.

James wziął kufel i powąchawszy jego wnętrze, doszedł do wniosku, że moredhel ma lepszy węch od niego, on sam bowiem nie poczuł żadnego zapachu prócz nieco stęchłej woni piwa. Zauważył jednak warstwę ciemnego osadu na dnie. Musnął osad palcem, a potem ostrożnie polizał opuszek... i natychmiast splunął.

– Masz rację – powiedział – być może piwo istotnie zatruto, ale to, co wyczułeś, to grindelia.

– Grindelia? – spytał Owyn, który mimo że widywał już trupy, zbladł jak gieźło.

James kiwnął głową, odstawiając kufel na stół.

– To stara sztuczka, którą stosują w niektórych spelunkach. Grindelia jest leczniczym ziołem. Użyta w niewielkich ilościach wzmacnia pragnienie. Klienci piją zaprawione nią kiepskie piwo, jakby to był najlepszy pędzony przez krasnoludy trunek.

- A może zabić? – spytał Owyn.
 - Nie – odpowiedział James. – Ale nie brak trucizn pozbawionych smaku.
 - Jak ci na imię? – zwrócił się do stajennego.
 - Jason – odparł przestraszony chłopiec. – Co ze mną uczynicie?
 - Nic – odparł James. – A czemu mielibyśmy coś uczynić?
 - Bo to ja usługiwałem tym ludziom, sir. Mój pan zawsze mówił, że do moich obowiązków należy dbanie o potrzeby gości.
 - Może i tak – odpowiedział James – ale przecie nie mogłeś wiedzieć, że piwo jest zatrute, prawda?
 - Owszem, ale wiedziałem, że coś było nie tak, i nic nie rzekłem.
 - A co było nie tak? – spytał James z nagle rozbudzoną czujnością.
 - No... nie spodobali mi się ludzie, którzy dostarczyli to piwo. Zwykle bierzemy piwo z gospody Pod Przewróconym Dzbanem w Sloop. Znam nawet tamtejszych woźniców. Ale tym razem przyjechali inni.
- James obie dłonie położył na ramionach Jasona i spojrzał mu prosto w oczy.
- Chłopcze, czy możesz nam opowiedzieć dokładniej, jak wyglądali tamci ludzie?
- Chłopiec przez chwilę patrzył w pułap, jakby usiłował sobie wszystko dokładnie przypomnieć.
- Mieli smagłą cerę, jak Keshanie, i mówili z dziwnym akcentem. Wyglądali na zaniepokojonych, ale usiłowali się zachowywać, jakby wszystko było w porządku. Jeden z nich miał dziwny medalion, który wysunął mu się spod kurtki, kiedy się pochylił, by podać kompanowi baryłkę.
 - Pamiętasz, jak wyglądał ten medalion? – spytał James.
 - Był na nim jakiś ptak.

James posłał znaczące spojrzenie Owynowi i Gorathowi.

– Możesz nam rzec coś jeszcze? – zwrócił się do chłopca.

– Kazali mi zapomnieć, że ich w ogóle widziałem – odparł Jason. – I dziwnie pachnieli... jak marynarze z Silden, którzy tu się czasem zapuszczają. Ten zapach przypomina blask słońca na dywanie kwiatów.

Gorath i Owyn zajęli się oględzinami izby, a James wyszedł na zewnątrz. Został tam Earla Richarda stojącego w tym samym miejscu, gdzie go zostawił, wchodząc do oberży. Wstrząs, jaki wywołało w Earlu dokonane z zimną krwią morderstwo pięćdziesięciu ludzi, niemal pozbawił go zdolności działania. James widywał taką reakcję już wcześniej u ludzi, którzy nie nawykli do rozlewu krwi. Pospiesznie podszedł do arystokraty:

– Co Wasza Lordowska Mość proponuje?

Richard zamrugał, jakby nie bardzo pojmując słowa książęcego giermka.

– Jak to, co proponuję?

James wskazał zgromadzony tłum.

– Trzeba im coś powiedzieć. Każcie im się rozejść, zanim dojdzie do zamieszek. Potem trzeba się zająć zwłokami.

– A tak... – stwierdził Earl. – Rzeczywiście. – Arystokrata wspiął się na balustradę fontanny i stanął tak, by wszyscy mogli go zobaczyć. – Mieszkańcy Romney – zakrzyknął. W miarejak mówił, James dostrzegał, że Earl dochodzi do siebie. Przemawianie do ziomków było czymś, co Earl robił dość często i dzięki temu szybko odzyskał równowagę ducha. – Wracajcie do domów! – zawołał. – Zachowajcie spokój! Popełniono podłe morderstwo, ale ci, którzy dokonali tego czynu, będą ścigani, zostaną pojmani i odpowiedzą za swoją zbrodnię! – Zeskoczywszy z balustrady, Earl skinieniem dłoni wezwał do siebie jednego z konstablów. – Za kilka minut chcę tu widzieć kogoś z cechu Żeleźników i Flisaków! Przekleństwo! – zwrócił się do Jamesa. – Muszę posłać do Cheam po dodatkowe oddziały.

Czarny Guy nie pogłaszcze mnie po głowie, kiedy się dowie o tym, że w moim mieście wymordowano pięćdziesięciu królewskich gwardzistów.

– Król też nie będzie rad – stwierdził James. Zauważywszy, że wzmianka o Królu okryła twarz Earla nową chmurą, dodał szybko: – Ja i moi towarzysze zrobimy, co się da, by jakoś wam pomóc.

– Mości giermku, najlepiej się sprawicie, jeżeli odkryjecie, kto jest za to odpowiedzialny.

– Już wiemy – odpowiedział James. Opowiedział Richardowi o grindelii i dwu ludziach, którzy wyglądali na przybyszów z Silden.

Nocne Jastrzębie! – szepnął Earl, jakby się bał, że usłyszy go któryś z mieszczuchów opuszczających plac. – Niech to grom spali! Prawie chciałbym, by się okazało, że to sprawka Damona Reevesa albo Arle’a Niezłomnego.

– Dlaczego akurat ich? – spytał James.

– Bo mógłbym sprawiedliwie powiesić jednego albo drugiego i za jednym zamachem skończyć z dwiema sprawami. Reeves rządzi Flisakami. A Arie jest głową cechu Żeleźników. Obaj siedzą w tym sporze po uszy. – Dłonią wezwał do siebie dwu zbliżających się ludzi. Kiedy stanęli przed nim, powiedział: – Przekażcie swoim szanownym towarzyszom, że mam już dość gwałtów w Romney. Czynię starszych obu cechów osobiście odpowiedzialnymi za spokojne zachowanie podczas rozstrzygania sporów. Jeszcze jedna burda i każę obu powiesić, jednego przy drugim, na miejskiej bramie! Zanieście im tę wiadomość!

Pierwszy z posłańców, należący do Żeleźników, mocno się zachnął.

– Ależ Arie jest teraz w Sloop!

– To ruszaj do Sloop! – polecił mu Earl.

– Wasza Lordowska Mość! – odezwał się James. – Może ja to zrobię?

Obaj posłańcy wymienili zaskoczone spojrzenia.

– Przekażcie wieści, że życie Arle’a i Damona niewiele będzie warte, jeżeli w moim mieście zdarzy się jeszcze jakieś nieszczęście – zagrział Earl.

Obaj mężczyźni skłonili się i pospiesznie odeszli.

– Czy możesz spełnić tę groźbę? – spytał James, gdy posłańcy oddalili się poza zasięg słuchu.

– Prawdopodobnie nie, ale może się przestraszą na tyle, że skłonią ludzi do zachowania spokoju, przynajmniej dopóki nie zjawią się nowi żołnierze.

– Earl spojrział na Jamesa. – Dlaczego postanowiłeś udać się do Sloop?

– Bo stamtąd przywieziono zatrute piwo. Poza tym myślę, że i tak muszę się tam udać.

To powiadom Arle’a Niezłomnego i Michaela Czatownika, że czekam tu na nich przez trzy dni. Tak samo na Reevesa i innych miejscowych przywódców cechów. Jeśli się nie pokażą, uznam, że mają swój udział w wytruciu królewskich. Osobiście podpiszę wyrok śmierci. Jeżeli przybędą, zamknę ich w jednej sali i nikomu nie pozwolę z niej wyjść, dopóki się nie dogadają. Nie dbam o to, czy będą musieli szczać na podłogę, czy pozdychają z głodu. Zanim któremukolwiek pozwolę ponownie zobaczyć słońce, doprowadzę rzecz do końca.

Przekonany o tym, że Earl naprawdę postanowił zakończyć spór, James powiedział:

– Milordzie, wyruszam z moimi towarzyszami za godzinę.

Skłoniwszy się, książęcy giermek wyszedł. Wrócił Pod Czarną Owcę, gdzie dwaj ludzie pomagali już Jasonowi ładować ciała na wóz, by je wywieźć za miasto i spalić. Ujrawszy Jamesa, Owyn skinieniem dłoni wezwał go, by podszedł bliżej.

– Znalazłeś coś ciekawego?

– Tylko to – stwierdził młody mag, podając giermkowi dwa przedmioty. Jednym z nich była niewielka srebrna brosza przypominająca wielkiego pająka.

– Co to jest? – spytał James.

– Odwróć ją – polecił Gorath.

James wykonał polecenie i ujrzał pośrodku ozdoby spore zagłębienie wypełnione jakąś gumowatą substancją. Podniósł klejnot i powąchał.

– Srebrny Cierń! – powiedział.

– Skąd wiesz? – spytał Owyn.

– Bądź pewien, że ten zapach rozpoznam wszędzie – odparł James.

– To narzędzie mordu – stwierdził Gorath. – Wystarczy, że przesuniesz tym zagłębieniem po krawędzi sztyletu i nawet jeżeli nie zabijesz od razu, draśnięty ostrzem umrze najpóźniej po kilku godzinach.

– A drugi przedmiot? – spytał James.

– Owyn podał mu spizową tubę z soczewką na każdym końcu, Luneta? – spytał książęcy giermek.

– Zerknij przez nią – podsunął Owyn.

James spojrział w soczewkę i nagle zobaczył wszystko w innej perspektywie. Patrząc przez szkło, widział zmieniające się wzory na ścianach budynku oraz na ubraniach.

– Co to takiego? – spytał, odejmując szkło od oka.

– To magia – odpowiedział Owyn. – Trzeba mi to zbadać, ale myślę, że dzięki temu urządzeniu możesz zobaczyć rzeczy, których inaczej nigdy byś nie ujrzał... na przykład magicznie ukryte przedmioty.

James uważnie przyjrzał się obu zdobyczom. Wolałyby mieć wyraźniejsze ślady, ale od czegoś musiał zacząć...

ROZDZIAŁ 8

SEKRETY

W wieczornym mroku majaczyły niewyraźne czarne kształty.

– Co to za jedni? – spytał Owyn, gdy James wskazał mu je.

– Ja też ich widzę – stwierdził Gorath.

Wyruszyli na południe w połowie dnia i popędzając konie, gnali co tchu, by jak najszybciej dotrzeć do Sloop i przekazać ultimatum Earla Czatownikowi i Niezłomnemu. Wieczorem pokonali wyżynę, docierając do miejsca, skąd widzieli miasteczko. Na jego północnych rubieżach pośród drzew kryli się jacyś zbrojni zmierzający ku domostwom.

Gorath puścił konia galopem i wydobył miecz. Zaraz za nim ruszyli James i Owyn. Gdy uderzyli na wrogów, James głośnym okrzykiem ostrzegł mieszkańców:

– Do broni! Rabusie w mieście!

Wiedział, że jego okrzyk może tu wywołać dwojaką reakcję, zależnie od nastawienia wieśniaków – albo skoczą po broń i uderzą na wroga, albo rzucą się, by zamykać drzwi i okiennice. W Zachodnich Dziedzinach po minucie na ulicach byłoby kilkunastu zbrojnych. Tutaj, na Wschodzie, gdzie od dawien dawna panował względny spokój, nie wiedział, czego się spodziewać.

Kiedy mijali pierwszy z domów, dostrzegł w oknie zaciekawioną gębę.

– Bandyci! – wrzasnął ponownie. – Do broni!

Jego okrzyk został jednak skwitowany hukiem zatrzaskiwanej okiennicy. James oczyma wyobraźni ujrzał, jak gospodarz rzuca się do ryglowania

drzwi.

Gorath tymczasem zdążył już dopaść pierwszego z napastników, zeskakując nań wprost z siodła. James pomyślał, że powinien poświęcić przynajmniej jedno popołudnie na to, by wpoić mrocznemu elfowi podstawowe zasady walki z końskiego grzbietu.

Równocześnie przekonał się, że znakomicie opanował je Owyn, który gnał przed siebie niczym huragan i wywijając swoim posochem, niezwykle skutecznie łamał ramiona i rozbijał czerepy nieprzyjaciół.

Po kilku chwilach napastnicy rzucili się do ucieczki, zawracając ku lasom. James podjechał do miejsca, gdzie Gorath szykował się do pościgu, i zatrzymał go okrzykiem.

– Stój! Wkrótce zapadnie zmierzch – stwierdził książęcy giermek. – Nawet z twoimi umiejętnościami tropiciela lepiej będzie nie gonić po ciemku przez las za kilkunastoma rozjuszonymi Nocnymi Jastrzębiami.

– Masz rację – zgodził się moredhel i ruszył, by odnaleźć swego konia.

James podszedł ku domowi, który był najwyraźniej celem napaści, i zatrzymawszy się przed nim, zeskoczył z siodła. Zastukał w drzwi i zawołał:

– Otwierać w imię Króla!

W szczelinie judasza pojawiła się para oczu, która zmierzyła go podejrzliwie. Zaraz potem drzwi otworzyły się i stanął w nich Michael Czatownik.

– Mości giermku, co to była za wrzawa?

– Wygląda na to, że ktoś podbija stawkę w grze – odpowiedział mu James. – Właśnie przegnaliśmy bandę Nocnych Jastrzębi, którzy koniecznie chcieli się z wami zobaczyć.

Czatownik zbladł jak płótno.

– Nocne Jastrzębie? – Kolana pod nim zadrżały i by utrzymać się na nogach, cechmistrz musiał się chwycić rygla. – W co ja się wpakowałem?

– Właśnie o tym chcieliśmy z wami pogadać – stwierdził James.

Gorath i Owyn przywiązali konie do ganku tuż przy wierzchovcu Jamesa, i podeszli do drzwi w tej samej chwili, gdy Czatownik odsunął się na bok, by wpuścić przybyszów do środka. Choć dom był skromnie urządzone, James od razu zauważył, że jeszcze niedawno bardzo o niego dbano. Bogato zdobione meble wskazywały na to, że Michael Czatownik, jak na zwykłego rzemieślnika z niewielkiego miasteczka, miał się bardzo dobrze. Budynek, choć nieduży, mieścił trzy pokoje i widoczną w głębi sypialnię, w której stało porządne łóżko z baldachimem. Przez inne z otwartych drzwi widać było kuchnię. Wpuściwszy gości do środka, Michael opadł ciężko na krzesło, a James rozsiadł się po drugiej stronie stołu.

– Ktoś pragnie waszej śmierci, panie Michaelu – stwierdził James. – Nie domyślcie się przypadkiem, kto to może być?

Czatownik spojrzał nań wyraźnie przestraszony.

– No to już po mnie!

– Może jeszcze nie – odpowiedział James. – Jestem wysłannikiem Księcia Aruthy... i choć najwidoczniej nadepnięliście na odcisk komuś potężnemu, mój pan jest drugim po Królu najbardziej wpływowym człowiekiem w Zachodnich Dziedzinach. Jeżeli nam pomożecie, może zechce chronić waszą osobę.

Czatownik przez chwilę wpatrywał się w przestrzeń przed sobą, a potem westchnął:

– Wpakowałem się w to po same uszy i zrobię, co każecie, by się z tego wyplątać..–

James pochylił się do przodu:

– Może zechcecie zacząć od tego, żeby wyjaśnić, w cóż to się wpakowaliście?

– Mniej więcej przed rokiem przyszło do mnie kilku ludzi z Silden. Wpadł im do głowy pewien pomysł, a ja przedstawiłem go Arie'owi Niezłomnemu.

– Co to był za pomysł?

– Chodziło o przejęcie wszystkich przedsięwzięć i interesów wzdłuż całej rzeki, od Silden do małych wiosek w górach.

– I jakimże to sposobem chcieli tego dokonać? – zainteresował się James.

– Mówili, że mają pewne wpływy w Cechu Flisaków, a tam obiecano im, iż cech podniesie ceny za przewóz ładunków w górę rzeki.

– Aaa... więc to dlatego Flisacy podnieśli ceny?

– Owszem – odpowiedział Czatownik. – Zwykle czynią to bardzo ostrożnie, bo jeżeli opłaty za przewóz towarów skoczą za wysoko, kupcy zaczną wynajmować wozy i transport pójdzie lądem, po Królewskim Trakcie.

– Ale ponieważ ostatnio na Królewskim Trakcie zrobiło się niespokojnie, kupcy zostali zmuszeni do korzystania z usług Flisaków – domyślił się James.

– Nie inaczej. – Kiwnął głową Czatownik. – Ci ludzie powiedzieli, że załatwią, by Flisacy nie mieli rywali. Potem my... znaczy Arie i ja, mieliśmy zebrać i napuścić przedstawicieli innych cechów na Flisaków. Trzeba było zamieszek i burd, żeby Król ogłosił stan wojenny. W tej sytuacji Flisacy dostaliby po gnatach i straciliby wpływy.

– I oczywiście nie obchodziło was, że kilku waszych znajomych mogło przy okazji stracić życie? – spytał Owyn drwiąco, Nie w tym rzecz –

przerwał mu James. – Mości Czatowniku, ale czemu niby Flisacy mieliby stracić wpływy, gdyby Król ogłosił stan wojenny?

Planowaliśmy, że... Damon Reeves, starszy Flisaków, zostanie zamordowany. – Czatownik zwiesił głowę, jakby mu było wstyd przyznawać się do takiego planu. – Nie chciałem tego, ale kiedy mi o tym powiedziano, było już za późno, bom za głęboko się w to uwikłał. Powiedzieli mi, że wszystko zostanie załatwione tak, jakby go zabili bandyci spod znaku Nocnego Jastrzębia, a na nas nie padnie cień podejrzania. W rzeczy samej obiecali mi, że zrobią to tak, jakby stał za tym ktoś z Gildii Flisaków, by winą obciążono Reevesa... a sama Gildia rozpadłaby się od wewnętrznych sporów. Znałem Damona od lat, byliśmy przyjaciółmi, ale niczego nie mogłem wskórać. James spojrzał znacząco na Goratha i Owyna.

– A czyj to był pomysł, by winę zwalić na Nocne Jastrzębie?

– Podsunęli go ci ze Silden – odpowiedział Michael. – A czemu pytacie?

– Tylko dlatego, że sprawa zaczyna przybierać znajome nam kształty.

Owyn pojął, że James mówił o opryszkach udających zabójców spod znaku Nocnych Jastrzębi, na których natknęli się w krondorskich ściekach, i kiwnął głową.

– Co mam teraz zrobić? – spytał Czatownik.

– Weź Niezłomnego, przedostańcie się do Romney i zasiadłszy do rokowań, zawrzyjcie pokój z Flisakami. Jeżeli tego nie zrobicie, Earl powiesi was obu obok Reevesa i poszuka kogoś, kto was zastąpi.

– Earl nigdy wcześniej nie uciekał się do gróźb. Dlaczego nagle zmienił metody postępowania? – spytał Czatownik Bo ktoś w jego mieście i pod jego nosem otruł mu pięćdziesięciu królewskich gwardzistów – odpowiedział James.

Słowa te wywarły na Czatowniku efekt podobny do uderzenia pięścią – cofnął się, wybałuszył oczy, a jego twarz powlekła się szarością.

– Kto mógł popełnić tak okropny czyn? – wy stękał, z trudem chwytając dłońmi za krawędź stołu.

Wygląda na to, że nie przypadkiem wasze drogi skrzyżowały się ze ścieżkami, po których chadzają Nocne Jastrzębie – stwierdził James. – I wedle wszelkiego prawdopodobieństwa, nie bardzo im się podoba fakt, że chcieliście im przypisać czyny, za które nie są odpowiedzialni. Niezależnie od tego, jak sprytni wydawaliście się sobie samym, trafiliście na lepszych od was graczy... posłużyli się wami agenci kogoś, kto sam siebie nazywa Pełzaczem. Próbuje on wysadzić z siodła krondorskich Szyderców i prawdopodobnie przejąć kontrolę nad dokami w miastach na Wschodzie. Oni wcale wam nie pomagali... ale wrobili was i znaleźliście się w sytuacji, w której ty, Reeves, Niezłomny i każdy, kto by próbował im przeszkodzić, zostałyby w ten czy inny sposób usunięty. Wcale bym się nie zdziwił, gdyby się okazało, że to agenci Pełzacza przekazali Nocnym Jastrzębiom informację o tym, że zamierzaliście zwalić na nich winę za morderstwo Reevesa.

– Nie znaczy to wcale – zauważył Gorath – że obciążeni oskarżeniami o kolejną zbrodnię będą bardziej zaciekle ścigani.

– To prawda – stwierdził James – ale moja... znajomość przestępców każe mi wierzyć, że choć potrafią się chełpić swoimi zbrodniami, nie lubią, gdy łączy się ich z niecnymi sprawkami, za które nie są odpowiedzialni. Wiem, że może się to wydać dziwne, ale tak właśnie jest.

– Mówicie, jakbyście wiele wiedzieli o bandytach – stwierdził Czatownik.

– A owszem... tak mówią. – W uśmiechu Jamesa nie było nawet śladu ciepła.

– I co mam zrobić po tym, jak się zobaczę z Earlem?

– Proponuję, byście poprosili o łaskę – podsunął Owyn.

James kiwnął głową.

– W wyniku waszych poczynań zginęło kilku ludzi, mości Czatowniku, i przyjdzie wam za to odpowiedzieć. Ale jeżeli pomożecie nam w przywracaniu porządku i schwytaniu tych, którzy uknuli ten spisek, zrobię co w mej mocy, by uratować was przed katowskim mieczem.

– Może po prostu powinienem się stąd wynieść? – spytał Michael.

– Nie dotrzecie nawet do Silden – rzekł sucho James. – Będą was ścigać niczym charty zająca... i gdzież się schronicie?

– Mam pewne znajomości w Kesh – zachnął się Czatownik. – Gdyby udało mi się dotrzeć do Cypla Wskazówki, mógłbym się przyłączyć do jakiejś karawany zmierzającej do Szczytów Spokoju.

Cóż... nie podejmujcie pochopnych decyzji – stwierdził James. – Jeżeli mnie i moim przyjaciółom uda się to, co zamierzamy, Nocne Jastrzębie zostaną wyeliminowane z gry. Radzę wam, byście zobaczyli się z Earlem, a potem skryli się gdzieś na uboczu i poczekali na rozwój wydarzeń. Moja w tym głowa, by was powiadomić, kiedy będziecie już mogli wysunąć nos z kryjóWKi.

– Ale co z tymi ludźmi z Silden?

– Nimi też się zajmiemy – odpowiedział James, wstając.

– Ale ja znam tylko ich twarze i imiona, bez nazwisk. Jacob, Linsey i Franklm... a i to nie muszą być ich prawdziwe imiona.

– I pewnie nie są – stwierdził James. Wyjął z sakwy znalezione wśród potrutych kopijników lunetę i srebrnego pająka. – Co możecie rzec o tych przedmiotach?

– Pająka dostałem od kupca o imieniu Abuk – powiedział Czatownik. – Podróżuje on po drogach pomiędzy Romney a Krzyżem Malaka i za

każdym razem zatrzymuje się w Silden. Ostatnio tam go właśnie widziałem, więc teraz może już być gdzieś tu niedaleko. Ma wóz pomalowany na zielono, z jego imieniem... czerwone litery po obu stronach wozu.

Usłyszawszy ten opis, Owyn skrzywił się, jakby go rozboleły zęby.

– Nie da się go nie zauważyć – mruknął.

Ale twarz Jamesa zachmurzyła się.

– Znaleźliśmy tego pająka dziś rano, pomiędzy ciałami potrutych królewskich gwardzistów.

– Z pewnością nie może to być ten sam pająk – stwierdził Czatownik.

– A to czemu? – spytał James.

– Bo ja kupiłem mój od Abuka, ale dałem go tym Jastrzębiom–przebierańcom, którzy mieli zabić Damona Reevesa.

James spojrział na broszę.

– Możliwe, że jest ich więcej... ale aby oczyścić się z podejrzeń, będziesz potrzebował czegoś więcej.

Czatownik obejrzał broszę.

– Patrzcie! – Wskazał zagłębienie z trucizną. – Nie wiem, co to jest, ale mój miał prawdziwy wyciąg z wilczej jagody!

– No... – odezwał się Gorath. – Srebrny Cierń niełatwo znaleźć tak daleko na południu.

– Nie jest to jednak niemożliwe – orzekł James. – Ale skłonny jestem wam uwierzyć. A co możecie rzec o lunecie?

– Nie wiem o niej nic – odpowiedział Czatownik. – Choć mogę stwierdzić, że takimi właśnie przedmiotami handluje Abuk.

James poprowadził towarzyszy ku drzwiom.

– Mości Michaelu, ruszajcie do Earla – polecił. – Jeżeli nie chcecie stracić głowy, powinniście tam być jutro przed wieczorem. My do świtu

zostaniemy w gospodzie, a potem ruszymy na południe.

– Odprowadzę was przynajmniej do domu Arle’a – stwierdził Czatownik. – A rano pojedziemy we dwóch do Earla. A wy na południe... a dokąd?

– Najpierw do Silden, by odszukać Abuka i tych trzech zuchów, o których waść mówiłeś. Przy odrobinie szczęścia wszystko się wyjaśni za kilka dni. – Czatownik milczał i James wiedział dlaczego. Nawet gdyby ludzie Pełzacza i Nocne Jastrzębie przepadli gdzieś w nocy, wciąż pozostawała kwestia popełnionych przezeń przestępstw i poniesienia za nie kary. Ale lepiej spędzić kilka lat w lochu niż resztę życia w grobie. Loch przynajmniej dawał szansę ucieczki.

Ostatnia myśl wywołała na ustach Czatownika nikły uśmiech, i z tym uśmiechem ruszył ulicą ku oberży.

Zbliżając się do Silden, zwolnili tempo jazdy. Zauważyli inną grupę jeźdźców, która jechała ku miastu od zachodu.

– Nie wiemy, czy tamci przypadkiem nas nie szukają – stwierdził James. – Choćby nie wiedzieć ile razy nas atakowano, mój dobry Goracie, wołę zaczekać i sprawdzić, o co im chodzi, Na to Gorath nie miał argumentów, więc milczał. Jeźdźcy tymczasem pokonali most spinający oba brzegi rzeki Rom, po którym można było wjechać do miasta. Zbudowane na stromym brzegu, opadającym wprost ku przystani, Silden nie miało przedmieść. Zamiast nich na przestrzeni całej zatoki porozkładały się niewielkie wioski, a na przeciwległym brzegu, po drugiej stronie mostu, wznosiły się zabudowania sporej osady.

Przyjaciele podjechali do północnej bramy miasta i minęli dwu znudzonych miejskich strażników.

– Masz tu jakichś znajomych lub krewnych? – spytał James Owyna.

– Niczego mi o nich nie wiadomo – odpowiedział Owyn. – A już na pewno nie mam tu krewnych, do których raczyłby się przyznać mój ojciec.

James parsknął śmiechem.

– Łatwo zrozumieć dlaczego. To miasteczko nie wygląda na takie, w którym mieszkają wyłącznie wzorce cnót obywatelskich, prawda?

Silden było ważne jedynie dla dwu grup społecznych: tych, co tu mieszkali, i przemytników. Większa część towarów przewożonych rzeką na północ przechodziła przez znacznie większe miasto handlowe Cheam, które miało obszerne nabrzeża, rozbudowane magazyny i po Bas-Tyra było drugim największym handlowym ośrodkiem nadmorskim. Silden stanowiło jednak znacznie wygodniejszy punkt przeładunkowy dla tych, co chcieli handlować z Północą bez pośrednictwa akcyźników Korony. Ci ostatni czynili wprawdzie starania, by ograniczyć przemyt, ale gęste skupiska osad położonych najdalej w odległości dnia jazdy na wschód i na zachód sprawiały, że wysiłki te były daremne. W rezultacie o kontrolę nad Silden od wielu lat walczyły ze sobą rozmaite bandy i przestępcze związki, poczynając od krondorskich Szyderców, poprzez keshkańskich handlarzy narkotykami i rabusiów z Rillanonu, aż po grupki lokalnych opryszków. Nieustanna rywalizacja sprawiła, że Silden było chyba najbardziej niezależnym miastem we Wschodnich Dziedzinach Królestwa.

Silden, mimo jego względnie dużych dochodów, które wpływając do senioralnego skarbcza w postaci podatków i danin, mogły zapewnić życie na odpowiednim poziomie dużej rodzinie szlacheckiej, było domeną bezpieczną. Ostatni z Earlów Silden poległ podczas Wojny Światów, kiedy to w ostatniej fazie walk król Rodryk IV poprowadził wielkie natarcie na Tsuranczyków. Od tamtej pory król Lyam nikomu nie przyznał tytułu Earla Silden, co bardzo cieszyło Diuka Cheam, ponieważ to on zbierał podatki i daniny z Silden. James uważał, że Silden powinno zostać zamienione w

niewielkie księstwko, a jego obdarzony tytułem Diuka władca lepiej postarałby się o rozwój miasta. Rezydujący tu na stałe magnat, dbający o interesy mieszkańców i pomagający im rozstrzygać miejscowe problemy, byłby wartościowym nabytkiem dla wszystkich obywateli.

Wynikiem aktualnej sytuacji w Silden był absolutny brak czegokolwiek, co choć w przybliżeniu przypominałoby prawo i porządek. Miejscowi konstable mogli ukarać pojedynczego drobnego złodziejaska, ale na tym kończył się ich zasięg władzy. Nawet i te pozory praworządności kończyły się na granicach rynku, tam, gdzie przekształcał się on w nabrzeże, co symbolicznie zaznaczały rzeźby czterech mew w locie. Ulice po jednej stronie zabudowane były bogato zdobionymi domami i sklepami, naprzeciwko zaś ciągnęły się rzędy szynków, gospod i składów towarowych. Pośrodku ulicy wymalowano wyraźną czerwoną linię.

– Co to takiego? – spytał Gorath, kiedy przez nią przejechali.

– To linia śmierci – stwierdził James. – Jeśli rozpoczniesz burdę po tamtej stronie, nikogo to nie obejdzie, ale gdy zadrzesz z kimś tutaj, wlepią ci kilka lat ciężkich robót. – Skinieniem dłoni poprosił, by przekroczyli linię. – Uwielbiam miasta, w których od razu dają ci do zrozumienia, na czym stoisz.

Gorath spojrział na Owyna i wzruszył ramionami. A potem spytał:

– Ale dlaczego ją nazywają „Linia śmierci”?

– W przeszłości – wyjaśnił James – jeżeli po odtrąbieniu wieczornego hejnału królewscy złapali kogoś po niewłaściwej stronie, to go natychmiast wieszali na najbliższej latarni.

Jechali ciemnymi ulicami. Po obu stronach wznosiły się wysokie budynki magazynowe. Potem przejechali przez kolejną rozległą aleję, na której rośli mężczyźni pchali wody załadowane różnymi towarami. Popatrzyli z góry na leżący w dole port, płataninę pomostów i przystani,

drewnianych i kamiennych, które w większości tłoczyły się jedne przy drugich. Tam i z powrotem wszędzie śmigały małe łódeczki. Silden wszakże losy pobłogosławiły jedną zaletą – wysokie, strome ściany skalne sprawiały, że żadne zimowe sztormy nie potrafiły nawet zakołysać masztami stojących na kotwicy statków.

James powiodł ich długą drogą w dół ku przystaniom i wskazał oberżę z szyldem wymalowanym na kształt starej, białej kotwicy okrętowej. Obok oberży widać było przyległy dziedziniec ze skromnymi stajniami, a gdy James wjechał do środka, podbiegł do nich dość prostacko wyglądający chłopiec.

– Wyczyść im kopyta, daj siana oraz wody i wytrzyj je do sucha – polecił książęcy giermek, zsuwając się z siodła. Chłopak kiwnął głową, a James dodał: – I powiedz komu trzeba, że James z Jirondoru byłby bardzo rad, gdyby te zwierzęta były na miejscu, kiedy tu wrócimy rano. – Po tych słowach osobliwie poruszył kciukiem, a chłopak lekko kiwnął głową.

– Co to miało znaczyć? – spytał Owyn.

– Po prostu słowa, które miały trafić we właściwe uszy – odpowiedział James, kiedy przekraczali próg gospody Pod Kotwicą.

– Mam na myśli te sztuczki, które wyczyniałeś palcami...

– Znaki dla chłopca, po których zrozumiał, że należy mnie wysłuchać z uwagą.

W izbie ogólnej było mroczno i duszno. James rozejrzał się dookoła, wodząc wzrokiem po gościach. Byli wśród nich tragarze, czekający na jakiś statek wypływający z portu, poszukiwacze szczęścia, damy o mocno wątpliwej cności i – jak wszędzie – rozmaici złodziej aszkowie i opryszki. James poprowadził towarzyszy ku stołowi na tyłach, gdzie wszyscy usiedli.

– A teraz sobie poczekamy – stwierdził spokojnie.

– Na co? – spytał Gorath.

- Aż się pokaże właściwy człowiek.
- A jak długo przyjdzie nam czekać? – spytał Owyn.
- W tej dziurze? Dzień, najwyżej dwa...

Gorath potrząsnął głową.

- Wy, ludzie, żyjecie niczym... zwierzęta.

Nie jest tu tak źle. Do wszystkiego można się przyzwyczaić, mój dobry Goracie – stwierdził James. – W porównaniu z miejscami, które przywykłem nazywać domem, to niemal pałac.

- Dziwne to wyznanie w ustach kogoś, kto służy Księżu swej rasy.

– Owszem – odpowiedział giermek – ale prawdziwe, mimo swej niezwykłości. Dano mi szansę nadzwyczajnej poprawy swego losu.

– Kolejne mojego losu potoczyły się w przeciwną stronę – odpowiedział Gorath. – Byłem wodzem klanu, ziomkowie cenili sobie moje rady i zaliczano mnie do starszyny ludu. I oto siedzę w zwykłej karczemnej izbie i piję z wrogami własnej rasy.

– Nie jestem niczym wrogiem – zachnął się James. – Chyba że ktoś pierwszy wyrządzi mi krzywdę.

– Mogę w to uwierzyć, choć takie stwierdzenie niełatwo rai przechodzi przez gardło... ale nie da się tego powiedzieć o reszcie waszej rasy.

– A ja nigdy nie rościłem sobie praw do tego, by przemawiać w imieniu reszty ludzkości – stwierdził James. – Zresztą zauważyłeś pewnie, że zbyt wiele czasu i trudu zajmuje nam zabijanie siebie nawzajem, byśmy jeszcze mieli ochotę zajmować się narodami Północy.

I oto nagle Gorath parsknął śmiechem. James i Owyn otworzyli usta ze zdumienia – tak głęboki i dźwięczny był śmiech moredhela.

- Co cię tak rozbawiło? – spytał wreszcie Owyn.

– Pomyślałem sobie – stwierdził Gorath, gdy już przestał się śmiać – że gdybyście byli odrobinę bardziej skuteczni w wyrzynaniu jedni drugich, to

nie musiałbym się przejmować takimi morderczymi łajdakami jak Delekhan.

Usłyszawszy imię niedoszłego zdobywcy, James przypomniał sobie, że ważne jest, by odkryć, czyja dłoń zawiązała nici spisku, który usiłował odkryć. Na razie doszedł do wstępnych wniosków, że ów Pełzacz – kimkolwiek był – bardziej zagrażał głowie Szyderców, Człękowi Wyjętemu Spod Prawa, i jego poddanym. Książę Arutha powinien się nim zająć, i owszem, choć przede wszystkim był to obowiązek lokalnej arystokracji, której dawał się we znaki... a jego rola w planie Delekhana zdawała się raczej wynikiem przypadku niż rozmyślnego wprowadzenia w życie części przebiegłego planu.

Nocne Jastrzębie najwyraźniej pracowały dla Pełzacza albo dla moredhela... a może dla obu. Ale prawdziwą obawę wzbudziła w Jamesie myśl, że wszyscy oni ponownie mogą się okazać pionkami w łapach Wężowych Kapłanów. James pomyślał, że trzeba będzie powiedzieć o Wężach Gorathowi, ale żadną miarą nie należy tego robić w miejscu publicznym.

Podeszła do nich barmanka, krzepka jeszcze niewiasta, która w młodości kupczyła pewnie swoim tyłkiem, teraz jednak, nie mogąc liczyć na nieco już wymięte wdzięki, wzięła się do trochę uczciwszego zajęcia. Rzuciwszy podejrzliwe spojrzenie Gorathowi, spytała, czego sobie życzą. James zamówił piwo, a gdy kobieta odeszła, wrócił do swoich rozmyślań.

W tej rozgrywce brał udział jeszcze jeden gracz, ten, który dyrygował zamieszkami w całym Królestwie... albo Pantathianin, albo ktoś inny – i to właśnie najbardziej trapiło książęcego giermka. Przypomniawszy sobie to, co kilka razy powtarzali Gorath i Arutha, stwierdził głośno:

– Dałbym sobie uciąć rękę, by się dowiedzieć, kim jest owych tajemniczych Sześciu.

– Niewiele o nich wiadomo – odpowiedział Gorath. – Są najbliższymi doradcami Delekhana, a ja nie znam nikogo, kto spotkał choć jednego z nich. Są potężni i dostarczyli mojemu ludowi aż nadto broni, a tej nigdy nie mieliśmy za wiele. Ostatnio jednak zaczęli nagle znikać gdzieś przeciwnicy Delekhana. Wezwano mnie na naradę drogą do Sar–Sagoth i okazało się, że wbrew wszelkim oczekiwaniom wylądowałem w lochu Naraba, głównego doradcy Delekhana.

– Wcześniej nam o tym nie mówiłeś – stwierdził James.

– Bo nie raczyłeś zainteresować się tym, co porabiałem, zanim spotkałem Lockleara – uciął Gorath.

– I jakże stamtąd uciekłeś?

Ktoś mi pomógł – stwierdził moredhel spokojnie. – Nie bardzo wiem, kto to był, ale podejrzewam starego... sojusznika. To kobieta o znacznych wpływach i władzy. Ciekawość Jamesa wzrosła w dwójnasób.

– Musi mieć naprawdę wielkie wpływy, jeśli zdołała cię uwolnić tuż pod nosem Delekhana.

– Wśród jego popleczników jest wielu takich, co – choć otwarcie mu się nie sprzeciwią – będą radzi, jeżeli zostanie obalony. Należą do nich Narab i jego brat, ale jak długo przy Delekhanie stoi Sześciu, nie opuszczą go i oni. Jeśli cokolwiek przeszkodziłoby Delekhanowi, zanim zjednoczy plemiona, sojusze, jakie już zdążył zawiązać, zostałyby zerwane. Nawet jego żona i syn niezbyt mu ufają... i nie bez powodów. Jego żona włada Hamandienami, Śnieżnymi Lampartami, jednym z dwu najpotężniejszych klanów, po klanie Delekhana. Syn Delekhana ma własne ambicje.

– Oto przykład szczęśliwej, kochającej się rodziny – stwierdził Owyn.

Gorath zachichotał, a w jego głosie zabrzmiała ironia.

– Mój lud rzadko ufa tym, którzy nie należą do rodziny, plemienia lub klanu. Poza nimi istnieją jeszcze sojusze polityczne, ale te są niekiedy

ulotne niczym sny. My... nie należymy do ras osobliwie ufnych.

– Tego zdołałem się już domyślić – stwierdził James. – Ale... z drugiej strony i wśród naszych nie masz zbyt wielu łatwowiernych. – Powoli wstał z miejsca. – Zechciejcie mi wybaczyć. Wrócę za chwilę.

Minął oberżystkę, która z obojętną miną niosła do stotu kolejne piwo. Z ciężkim sercem zapłacił za nie Owyn, niechętnie sięgający do wychudłej sakwy. Goratha to wszystko znów rozbawiło.

James tymczasem przeszedł w głąb izby, skąd wyszedł ciemnoskóry jegomość z bródką wskazującą na jego keshkańskie pochodzenie.

– W czym mogę pomóc? – spytał, przyglądając mu się uważnie.

– To wy jesteście właścicielem tej rudery? – spytał James.

– Owszem, ja – odpowiedział ciemnoskóry. – Joftaz, do usług.

– Reprezentuję pewnych ludzi – zaczął James, zniżając głos – których niepokoi znaczna obniżka zysków z przedsiębiorstw w tym mieście. Te trudności wywołali ludzie przybyli z Romney i z Zachodu.

Joftaz dalej przyglądał mu się badawczo.

– Dlaczego mówicie o tym właśnie mnie?

– Bo prowadzicie oberżę, gdzie bywa wielu ludzi. Pomyślałem sobie, że może czasami uda wam się coś zobaczyć lub usłyszeć.

Joftaz zaśmiał się nieszczercze.

– Przyjacielu, moja praca polega między innymi na tym, by niczego nie słyszeć, nie widzieć i jak najrzadziej otwierać gębę.

James przez chwilę patrzył w twarz gospodarza.

– Wartość niektórych wiadomości można przeliczyć na monety.

– Jak wysoka jest ta wartość?

– To zależy od wiadomości.

Joftaz rozejrzał się dookoła.

– Niewłaściwe słowo, które trafi do ucha niewłaściwego człowieka, może kosztować życie.

– Sztylety trafiają w sedno – stwierdził James – i wy też.

– Z drugiej strony – gospodarz niewinnie zamrugnął – przydałaby mi się odrobina pomocy w delikatnej sprawie, a gdybym spotkał jakiegoś bogacza, to dla niego... owszem, mógłbym sobie przypomnieć kilka faktów, o jakich słyszałem, lub twarze, które widziałem.

– Czy tej... delikatnej sprawy – kiwnął głową James – nie dałoby się załatwić za pomocą złotego smaru?

– Młodzieńcze – uśmiechnął się oberżysta – podoba mi się wasze podejście do życia. Jak mogę was nazywać?

– Możecie mnie nazywać James.

W oczach oberżysty na moment pojawił się błysk, który natychmiast przygasł.

– A przybywacie...

– Ze Sloop, a przedtem bawiłem w Romney.

– I spodziewacie się, że ludzie, których widzieliście ostatnio w Romney, załatwiają swoje interesy tutaj?

Coś tu niewątpliwie załatwiają, ale zanim pogadamy o tym, chcę pierwszej poznać cenę.

– Ha, młodzieńcze – odpowiedział Jofnaz – z tym może być problem, ponieważ moje potrzeby pozostają moimi potrzebami, a jak to się mówi „są sprawy miedzi i sprawy złota”.

– Mości Jofnazie... – rzekł James, uśmiechając się lekko – nie doceniacie mnie. Cóż mam zrobić, by zdobyć wasze zaufanie?

– Powiedzcie mi, dlaczego szukacie tamtych ludzi.

– Nie szukam ich samych, bo oni stanowią tylko ogniwa łańcucha. Dzięki nim trafię do innego... Jest odpowiedzialny za zdradę i

morderstwo... oddam go katu albo zabiję własną dłonią, wszystko mi jedno, byłem go dostał.

– Należycie więc do królewskich?

– Nie... ale obaj szanujemy mojego pracodawcę.

Więc złożcie przysięgę na Banath, że mnie nie zdradzicie i umowa stoi.

James uśmiechnął się jeszcze szerzej.

– Po co mieszać w to boga złodziei?

– A jest jakiś lepszy? Dla dwu takich łotrzyków jak my?

– A więc na Banath – stwierdził James. – Czego ci trzeba?

– Kogoś, kto ukradłby dla mnie coś sprzed nosa najbardziej niebezpiecznemu człowiekowi z Silden, mój przyjacielu. Jeżeli zdołasz tego dokonać, pomogę ci znaleźć ludzi, których szukasz. Oczywiście, jeżeli przeżyjesz.

– Ja miałbym coś ukraść? – spytał James z miną niewiniątka. – I dlaczego sądzicie, że mnie się uda, skoro zawiodły wasze zuchy?

– Bo żyję dostatecznie długo, by wiedzieć, z którego koniec: lepiej tłuc jajka, młodzieńcze. – Uśmiechnął się oberżysta. – Jeśli przysięgacie na Banath, znaczy, że już wcześniej zdarzał wam się stawać przeciw prawu.

James westchnął rozbijając.

– Gdybym zaprzeczył, znaczyłoby, że jestem krzywoprzysięcą.

– Dobrze... a teraz do rzeczy. Niedaleko stąd znajduje się dom niejakiego Jacoba Ishandara.

– Keshanin?

– W tym miasteczku żyje wielu dawnych Keshan. – Oberżysta tknął się palcem w pierś. – Ot, choćby ja. Ten jednak współ z kilkoma innymi przybył do Silden stosunkowo niedawno, dwa, trzy lata temu. Wszyscy pracują dla jednego, który niczym pajak siedzi w środku sieci i jak pajak wyczuwa drgnienie każdej nitki.

James kiwnął głową.

– Mówicie o kimś, kto każe się nazywać Pełzaczem?

Joftaz przytaknął.

– Tu nigdy nie było spokojnie, ale panował jako taki porządek. Teraz, gdy zaczęły się rządy owego Pełzacza i jego ludzi, Jacoba i dwóch innych, Franklina i Linseya, zwykłej robocie towarzyszy rozlew krwi i cierpienia, do czego nasi ludzie nie nawykli.

– A co na to miejscowe złodziejaszki, mające powiązania z gildiami w Rillanonie i Krondorze?

– Nie masz tu już żadnego z nich, z wyjątkiem mnie samego. Jedni uciekli, inni... gdzieś przepadli. Każdy złodziejaszek w Silden, jakiego dziś mógłbym poprosić o pomoc, pracuje dla Pełzacza. Ponieważ jestem Keshaninem z urodzenia, zostawili mnie w spokoju. Jest jeszcze w Silden kilku naszych, którym udało się przetrwać, nie imamy się jednak żadnych interesów, chyba że są legalne, takie jak moja oberża. Jeżeli jednak tamtych jakimś cudem porwą demony, znajdzie się tu dość naszych, byśmy odzyskali, co nam wydarto.

James podrapał się po podbródku.

– Zanim wyrażę zgodę, pozwólcie, że coś wam pokażę. – Wyjął zza pazuchy srebrną broszkę w kształcie pająka. – Znacie to?

– Widywałem już takie cacka – odpowiedział oberżysta. – Nie trafiają się często i kiedy coś takiego wpadnie mi... eee... w ręce, dobrze je pamiętam. Wyrabia je pewien kowal z wioski w Górach Spokoju. Te, które pojawiają się w Królestwie, docierają tu przez Przystań Mallow lub Cypel Wskazówki. – Oberżysta wyjął pająka z dłoni Jamesa i przyjrzał mu się uważnie. – Widziałem kiepskie kopie, ale to jest znacznie lepsze. Trzeba mieć smykałkę, żeby urobić srebro tak jak w tej ozdobie.

– Takie przedmioty kupują dziwne ptaszki...

Joftaz uśmiechnął się krzywo.

– Zwykle nocne ptaszyska. Przyjacielu, rozpocząłeś bardzo niebezpieczną grę. Jesteście człkiem, jakiego szukałem.

– No to może zechcecie mi powiedzieć, kto wam sprzedał ten przedmiot?

– Owszem, zechcę... i uczynię coś więcej. – Z twarzy Joftaza znikł przyklejony do niej uśmiech. – Ale nie wcześniej, aż oddacie mi przysługę, o jakiej mówiliśmy.

– To przejdźmy do szczegółów.

– Człek, o którym mówiłem, Jacob Ishandar, kieruje tymi, co ostatnio przybyli z Kesh. Ma pewien worek – Joftaz rozsunął dłonie, wskazując rozmiary przedmiotu odpowiadającego wielkością sporej sakwie lub trzosowi – a zawartości tego worka dość będzie, by opłacić nią jego działalność na najbliższy rok.

– I chcecie, bym mu ukradł ów woreczek?

Joftaz przytaknął.

– Dam głowę, że z takim drobiazgiem moglibyście się sprawić sami – stwierdził James.

– Może... ale niezależnie od tego, czy udałoby mi się, czy nie, muszę żyć w Silden. Jeżeli was złapią, ja jakoś się tu ostanę.

– Rozumiem, Co jest w tym worze?

– Serce Rozkoszy.

James na chwilę zamknął oczy. Rozkosz była siódkiem odurzającym dość powszechnie używanym w większości dzielnic biedaków we wszystkich miastach Kesh, od czasu do czasu pokazywała się też w Krondorze i innych portach Królestwa, Niewielka ilość tego środka rozpuszczona w winie lub w wodzie wywoływała trwający całonoc stan miłej euforii. Nieco większa dawka mogła wprowadzić w stan rozkosznej

błogości trwający kilka dni. Po zażyciu zbyt dużej ilości środka, człowiek tracił przytomność.

Serce Rozkoszy było esencją narkotyku, spreparowaną tak, by zajmować jak najmniej miejsca w transporcie. Na użytek kupującego mieszało się specyfik z nieszkodliwym proszkiem, na przykład zmielonym cukrem lub nawet z mąką – a resztą ze wszystkim, co rozpuszczało się w wodzie. Wedle wagi Serce warte było tysiącrotnie więcej niż sprzedawana na ulicach Rozkosz.

– Worek tych rozmiarów jest wart...

– Dość, by gdy Pełzacz dowie się o stracie, Jacob musiałby ukrywać się do końca życia. Zresztą każdy, kto w jakikolwiek sposób jest z nim związany, powiedzmy Linsey lub Franklin, też będzie musiał uciekać.

James dowiedział się już wszystkiego, czego chciał.

– Oczywiście po ich ucieczce przejdziecie ich dotychczasowe interesy, nieznacznie je tylko przekształcając wedle swoich upodobań. – Książęcy giermek zmrużył oczy i dodał: – Klienci oczywiście nie będą zadawali zbyt wielu pytań w sprawie pochodzenia specyfiku, co przyniesie wam ogromne zyski.

– No, mniej więcej w tym rzecz – stwierdził Jofnaz z uśmiechem.

– Aaa... więc skoro skradnę mu ten worek, pozbędziecie się agentów Pełzacza z Silden, a przy okazji sami zbijecie niezły majątek.

– Jeżeli wszystko dobrze pójdzie...

– Siedzimy w tamtym rogu, ja i moi przyjaciele – uciął James. – Kiedy będziecie gotowi, powiedzcie mi, dokąd mam się udać i czego powinienem przedtem się dowiedzieć.

– Zamykamy o północy. Poczekaście, aż skończę, a potem zajmiemy się waszymi potrzebami.

Gdy James wrócił do stołu, Owyn zapytał:

– No i czegoś się dowiedział?

– Tego, że w życiu nie masz niczego za darmo – stwierdził James, siadając i opierając się o ścianę. Przygotował się na długie czekanie.

Budynek wyglądał na opuszczony, a jego właściciel wyjechał w interesach. Gorath dostał polecenie zatrzymania się w odległości kilku domów dalej i pilnowania, by nie zaskoczył ich nikt nadchodzący od strony portu. Owyn został po drugiej stronie budynku z takim samym zadaniem. Obaj zgodzili się na udział w przedsięwzięciu, choć przedtem głośno wyrazili swoje wątpliwości co do zdrowego rozsądku swego kompana.

James zaś szybko zbadał drzwi, wypatrując jakiegoś urządzenia zabezpieczającego, ale nie znalazł żadnego. Oceniał też, że zamek nie powinien stawiać zbytniego oporu jego wymyślnym wytrychom. Aby się upewnić, przesunął palcem po ryglu. Nieoczekiwanie wyczuł szczelinę, która rozsunała się pod naciskiem jego kciuka. Pchnął mocniej i usłyszał lekki trzask. Nacisnął jeszcze mocniej i przesunął drewno. Dotknął leżącego w ukryciu kawałka metalu.

Był to spiżowy klucz. James niemal się roześmiał. Znał tę bardzo starą sztuczkę, służącą naraz dwu celom – pozwala nie zgubić klucza, nawet jeżeli właściciel musiał opuścić posesję w pośpiechu, wyjmując zaś go z kryjówki, rozbrajało się ukryte wewnątrz pułapki. Gdyby włamywał się za dnia, mógłby szukać przez kilka godzin i niczego nie znaleźć, ale stary złodziej, który kształcił go w fachu, nauczył go polegać na wszystkich zmysłach, nie wyłączając dotyku. Przesuwanie kciukiem po ryglu najczęściej kończyło się boleśnie, ale lekki trzask, jaki teraz usłyszał, sprawił, iż docenił godziny wcześniejszych ćwiczeń i wydłubywanie drzazg igłą z palca.

Nadal klęcząc, pchnął lekko drzwi, gotów do natychmiastowej reakcji w przypadku kolejnej pułapki. Taka postawa dawała mu i tę korzyść, że gdyby

za drzwiami czekała nań napięta kusza, zwolniony poruszeniem drzwi belt śmignąłby mu nad głową.

Drzwi otworzyły się bez przeszkód i żadne sekretne urządzenie nie posłało ku niemu śmiercionośnego narzędzia. Przemknął przez próg i szybko zamknął drzwi za sobą. Nie ruszając się z miejsca, rozejrzał się dookoła. Nie wiedział oczywiście, gdzie właściciel krył wartościowe przedmioty, choć większość ludzi chowała je w tych samych miejscach. Był jednak pewien, że właściciel tego domu potrafił wymyślić coś nietypowego. Doszedł do wniosku, że przede wszystkim powinien poszukać czegoś, co wyraźnie nie znajdowało się na swoim miejscu albo nie pasowało do reszty.

Pomieszczenie wyglądało zwyczajnie i nic nie wskazywało na to, że należy się tu spodziewać czegoś niezwykłego. Pośrodku stał dość duży stół, pod ścianą zaś duża dwudrzwiowa szafa na ubrania oraz łóżko. Zauważył drzwi, za którymi powinien być niewielki dziedziniec, naprzeciwko łóżka kominek z okapem i kamienną półką, gdzie ustawiono kilka roślin w doniczkach, a także drzwi prowadzące do niewielkiej kuchni.

I nagle coś go tknęło. Rośliny w doniczkach? Podszedł, by im się przyjrzeć. Były uschnięte i natychmiast domyślił się dlaczego. Nie mógł sobie dokładnie przypomnieć ich nazwy, pamiętał jednak, że w książęcym ogrodzie w Krondorze usiłowała je hodować Księżna Anita. Twierdziła, że nie rosną w silnie zasolonej glebie i potrzebują dużo światła słonecznego.

James zadał sobie w duchu pytanie: dlaczego szef bandy rzezimieszków w tak zapadłej dziurze jak Silden zadaje sobie trud hodowania pod okapem swego kominka roślin doniczkowych? Ostrożnie zaczął podnosić doniczki, aż znalazł jedną, nieznacznie lżejszą od pozostałych. Chwycił za łodygę – wyszła nadspodziewanie łatwo, nie miała bowiem korzeni. Pod nią znalazł spory woreczek. Włożywszy roślinę do doniczki, otworzył worek. W

żółtawym światłem padającym od strony jedynej w pomieszczeniu okna zobaczył to, czego się spodziewał – lekko żółtawy proszek.

Zawiązawszy starannie woreczek, ruszył ku drzwiom. W progu obejrzał się za siebie, by się upewnić, że wszystko zostawił na swoim miejscu. Przemknął przez próg i starannie zamknął drzwi. Zasuwał rygiel i włożył klucz na miejsce, ponownie zastawiając pułapkę, która czekała po drugiej stronie drzwi na mniej ostrożnego włamywacza.

Skinieniem dłoni wezwał przyjaciół do opuszczenia posterunków i wszyscy ruszyli ku oberży Pod Kotwicą. Kiedy zbliżyli się do tylnych, zostawionych dla nich przez Joftaza nie zaryglowanych drzwi, James poczuł opadającą falę podniecenia. Nieważne, jak wysoko zajdzie w służbie Króla – w głębi ducha zawsze zostanie Jimmym Rączką.

Znalazłszy się wewnątrz, podał worek Joftazowi.

– Jak widzisz, dotrzymałem umowy.

Keshianin przez chwilę ważył worek w dłoniach, a potem skrył go pod ladą.

– Aby znaleźć właściciela tego pająka, trzeba wam odszukać kupca Abuka. W ciągu ostatnich dwu lat sprzedałem mu takie cztery.

– A to? – James wyciągnął zza pazuchy lunetę.

Joftaz przyjrzał się szkłom i podniósł soczewkę do oka.

Wytrzeszczył oczy, a potem odsunął lunetę i powiódł zdumionym wzrokiem po izbie.

– Niebezpieczna to rzecz, przyjacielu.

– A to czemu?

– Ukazuje sekrety... a niektóre z nich warte są tego, by zabić dla utrzymania ich... albo dla odkrycia. – Oddał lunetę Jamesowi. – Słyszałem o podobnych przedmiotach. Choć wyglądają niepozornie, są wiele warte. Ze szkłem takim jak to możesz przeniknąć wzrokiem iluzje, ujrzeć pułapki

lub sekretne schowki. Słyszałem, że podobne szkła wykonano dla wodzów, by mogli przenikać mgły i dymy na polach bitew.

– Czy wiecie, kto mógłby mieć na sprzedaż coś takiego?

– Raz jeszcze powtórzę... Abuk. Gdyby ta luneta trafiła w wasze ręce inną drogą, mógłbym zgadywać, ale skoro znaleźliście ją razem z pajakiem, będę się upierał, że oba przedmioty sprzedał jeden kupiec temu samemu człowiekowi.

– Mój nowy, stary druhu, będzie nam potrzebna izba na noc... a potem ruszymy na poszukiwanie Abuka.

Podali sobie dłonie, a Joftaz powiedział: – Mój nowy, stary druhu, dobrze służyysz swemu królowi, ponieważ nie tylko przelewasz krew Nocnych Jastrzębi, które okryte mrokami nocy dokonują podłych zbrodni, ale wyzwoliłeś Silden z ukrytego jarzma Pełzacza. Kiedy tylko wieść o skutkach twojej nocnej wyprawy dotrze do ich herszta, Jacob i jego kompani będą już na pokładzie statku, płynącego gdzie pieprz rośnie. Pozwól waść, że mu pokażę waszą izbę, a potem muszę zająć się rozpuszczeniem plotek o tym, jak to trzech panowie z Kesh, rezydujący ostatnio w Silden, sprzedali spory wór Serca Rozkoszy przemytnikowi, który wypłynął do wyspiarskiego Królestwa Roldem.

Joftaz zaprowadził ich do izby i pożegnał, życząc dobrej nocy. Na odchodnym poinformował ich, że Abuka powinni znaleźć na szlaku pomiędzy Silden i Lyton, ale za kilka dni i tak wróci do miasteczka. James umościł sobie pośłanie i szybko zasnął. Zasypiał z miłą świadomością, że coś niecoś już wyjaśnił.

ROZDZIAŁ 9

PODEJRZANY

Muły człapały mozolnie.

Wozu, który wyłonił się zza zakrętu drogi odległego o dzień podróży od Silden, nie można było pomylić z innym. Pomalowany był na jaskrawozielone a na burtach miał wielkie czerwone litery tworzące napis „Abuk”. Na koźle siedział rosły człek o byczym karku i imponującej grzywie czerwonych włosów. Całości wizerunku dopełniała płomiennie ruda broda, sięgająca pasa. „Gdyby gdzieś na świecie żyły sześciostopowe krasnoludy, ten byłby jednym z nich” – stwierdził w duchu James, stając przed wozem i zatrzymując go skinieniem dłoni.

– Tyś jest kupiec Abuk? – spytał władcym głosem.

Kupiec szarpnął lejce, zatrzymując muły.

– Na burtach wozu widnieje napis, wielkie czerwone litery. Albo więc nie umiecie czytać, albo nie dostrzegacie rzeczy oczywistych. Ale odpowiem... owszem, jestem Abuk.

Usłyszawszy uwagę o rzeczach oczywistych, James skrzywił się lekko.

– No... mogliście ukraść zaprzęg.

– Owszem... i mogłem obciąć właścicielowi włosy i brodę, a potem przyprawić je sobie. Ale tego nie zrobiłem. – Abuk spojrzał podejrzliwie na trzech zagradzających mu drogę jeźdźców. – Czym mogę służyć?

– Potrzebujemy pewnych informacji.

– Informacja nie jest tym, czym handluję najchętniej. James podjechał do burty wozu i pokazał Abukowi pajęczy medalion.

– Czy moglibyście nam rzec, komu to sprzedaliście?

– Owszem – odpowiedział Abuk. – Za sto złotych suwerenów zrobię to bardzo chętnie.

James uśmiechnął się złowrogo.

– A może, zamiast z nami, wolicie porozmawiać z Królewskim Śledczym? Możemy wam to załatwić. Co prawda Śledczy są ostatnio bardzo zajęci, bo szukają ludzi, którzy mogliby im coś rzec o śmierci pięćdziesięciu królewskich kopijników, ale mamy wśród nich znajomków, więc...

– Co powiadacie? – zachnął się Abuk. – Zamordowano pięćdziesięciu królewskich?

– W Romney – wtrącił Owyn.

Kupiec milczał przez chwilę. O ile James znał się na ludziach, rozważał, czy wobec oczywistych dowodów ma szansę, aby się wywinąć od odpowiedzi. Na koniec rzekł:

– Nie możecie mnie za to winić. Sprzedaję tylko te przedmioty, którymi wolno handlować, nie naruszając prawa. – Oddał pająka Jamesowi. – Ten jest jednym z dwu, które sprzedałem na Północy. Kiepska imitacja trafiła do rąk Michaela Czatownika w wiosce Sloop. To członek starszyzny Cechu Zdunów w Romney. Drugą broszę sprzedałem człowiekowi, którego imienia nie znam, choć wiem, że pochodził z Północy.

James pokazał Abukowi lunetę.

– A to?

Mam pewność, że człek, którego szukacie, jest tym, którego opisałem, ponieważ on kupił także te szkła. Sprzedałem mu obie rzeczy w tawernie Pod Białym Hetmanem w Krzyżu Małaka. Możecie wypytać tamtejszego oberżystę, bo wydało mi się, że zna tego człowieka. Z tego, com słyszał, wywnioskowałem, że jest wyjątkowo dobrym szachistą.

– Jeżeli spotkaliście go w Krzyżu Malaka, czemu sądzicie, że pochodzi z Północy?

– Bo słyszałem, jak oberżysta go pytał, czy udaje się na Północ, a tamten odpowiedział, iż w rzeczy samej wraca do domu.

Usłyszawszy to, James lekko się skrzywił.

– Trzeba nam zatem wrócić do Krzyża Malaka.

– Za niewielką dodatkową opłatą mógłbym wam oszczędzić tej podróży – stwierdził Abuk.

– Jak niewielką?

– Myślę, że wystarczy tuzin suwerenów.

– A ja myślę, że wystarczy pięć... i rozmawiając z Królewskim Śledczym, zapomnimy, jak się nazywacie.

– Umowa stoi – stwierdził Abuk. Gdy James podał mu monety, powiedział: – Właśnie sobie przypomniałem, że tamten wspominał coś o miejscu zwanym Kenting.

James spojrział na Owyna, który kiwnął głową.

– Wiem, gdzie to jest. To osada położona na północ od siedziby wuja Corvallisa w Cavell.

– Baron Corvallis jest waszym wujem? – spytał Abuk, patrząc na Owyna.

– Owszem, ma ten zaszczyt.

– Znam go – stwierdził kupiec. – Choleryk z niego, paniczu... jeżeli wolno mi tak rzec.

– Nie zaprzeczy temu nikt z tych, co go znają. – Uśmiechnął się Owyn.

– Czy to już wszystko? – spytał Abuk Jamesa. Ten kiwnął głową i jaskrawozielony wóz ruszył dalej.

Kiedy Abuk oddalił się na tyle, iż żadną miarą nie mógł usłyszeć, o czym mówią, James zwrócił się z pytaniem do Owyna:

– Co o tym sądzisz? Krzyż Malaka czy Kenting?

Kenting to mała osada. Jest tam może kilka kramów i ze dwie gospody na krzyż – odpowiedział Owyn. – Okolicę zamieszkują wieśniacy i nieliczna szlachta. Nie może być tam zbyt wielu ludzi, których wygląd odpowiada podanemu nam przez Abuka rysopisowi.

– Dobrze się zatem skiada – odezwał się Gorath – bo czas nagli. Opuściłem rodzinne strony ponad miesiąc temu, a podczas, gdy my tu szukamy rozmaitych informacji, Delekhan rośnie w siłę. Nie na wiele nam się zda odkrycie jego planów tylko po to, by zaraz potem polec.

– Masz rację – stwierdził James, zawracając konia. – A więc na północ. – Książęcy giermek spiął konia i ruszył kłusem. Po kilku minutach minęli Abuka, który pozdrowił ich skinieniem dłoni. Trzej jeźdźcy kierowali się na północ.

Po spotkaniu z Abukiem bez przeszkód wrócili do Romney, Zatrzymali się tu na krótko, by zmienić konie i sprawdzić, czy nic ważnego się nie wydarzyło.

Michael Czatownik, Damon Reeves i Arie Niezłomny wzięli sobie do serc ostrzeżenie Earla i pojawili się po kilku dniach od otrzymania odeń wiadomości. Obecnie wszyscy trzej byli zajęci prowadzeniem rozmów z innymi przywódcami cechów i wyglądało na to, że do Romney wrócą wkrótce prawo i porządek.

Następnego ranka James, Owyn i Gorath na świeżych koniach ruszyli na północ. Jechali wśród pofałdowanych pól i łąk graniczących z rzeką Rom. Nadrzeczne osady i miasteczka były tak podobne do siebie, że różniły się jedynie nazwami – minęli Greenland, Hobbs, Tuckney, Prank's Stone i Farview. Po kilku dniach jazdy, podczas której nieustannie zachowywali czujność, dotarli do południowych rubieży Cavell. Po drodze natknęli się na

kilka grup uzbrojonych ludzi, ale ponieważ nikt ich nie zatrzymywał, dotarli bezpiecznie.

Zbliżając się do Cavell, minęli zakręt drogi i ujrzeli przed sobą niewielki most nad szybko płynącym strumieniem. Kiedy przez niego przejeżdżali, James zerknął w dół i stwierdził:

– Głęboko tu...

Głębiej, niż się wydaje – rzekł Owyn. – Niejeden dureń utonął, próbując przepłynąć tę rzeczkę. To dopływ Rom wypływający z tamtych gór. – Skinieniem dłoni wskazał wznoszące się na zachodzie stoki. – Pozwólcie, że coś wam pokażę – dodał, zjeżdżając z traktu.

Ruszyli starym, zakurzonym szlakiem wijącym się wśród coraz bardziej stromych ścian, w kilku miejscach porośniętym trawą i najwyraźniej od dawna nie używanym. W pewnym miejscu Gorath zauważył jednak ślady.

– Ktoś tędy niedawno przejeżdżał.

– Z pewnością masz rację – zgodził się Owyn. – Za tym zakrętem pokażę wam coś ciekawego.

Minąwszy miejsce, gdzie po obu stronach drogi skały wznosiły się wysoko nad ich głowami, zatrzymali konie. Przed sobą ujrzeli malowniczy wodospad – woda z hukiem spadała z progu o ponad stumetrowej wysokości. Oba zbocza wąwozu porastał gęsty las.

– Przesmyk Cavell – wyjaśnił Owyn.

– Co to takiego? – spytał James.

– Nazwa strumienia. Tak samo nazywamy tunele pod starą twierdzą. – Młodzieniec wyciągnął dłoń, wskazując coś nad wodospadem. James wyteńczył wzrok i dostrzegł szare kontury zlewające się niemal w jedność ze skałami.

– Jak je odkryliście?

Owyn zawrócił konia.

– Kiedy byłem chłopcem – zaczął – przychodziłem tu dość często. Bawiłem się tu w rzeczce z moją kuzynką Ugyną. Pod twierdzą są dość rozległe tunele i pieczary. Dawniej używano ich jako spichlerzy, teraz jednak w większości stoją puste. – Kiedy stracili wodospad z oczu, młody mag kiwnął dłonią za siebie. – Za tym wodospadem jest nawet przejście, choć trzeba wiedzieć, gdzie go szukać. Ugyna i ja znaleźliśmy je, podążając z nurtem. Miałem wtedy dziewięć lat, a ona osiem. Pływaliśmy na golasa... i niewiele brakło, a zamarzlibyśmy. Te wody spływają z wiecznych śniegów na szczytach. Ugyna dostała wtedy nieźle w skórę od ojca. Wuj nigdy nie umiał utrzymać nerwów na wodzy. A rękę miał ciężką. Ale nie na wiele się to zdało... i nadal pływaliśmy tam z Ugyną...

– Ile osób wie o tym przejściu? – spytał James.

– Dla większości miejscowych nie jest tajemnicą, że pod starą twierdzą ciągną się lochy. Kilku może domyśla się nawet istnienia przejścia za wodospadem. Ale wątpię, by ktoś dokładnie wiedział, gdzie go szukać, poza członkami najbliższej rodziny, starym dowódcą straży i może dwoma, trzema najwierniejszymi ze sług. Jest bardzo dobrze ukryte.

Do Cavell dotarli po południu. Kiedy zjechali ze szlaku i zatrzymali się w miejscu, skąd rozciągał się widok na osadę, James spojrzał na nią i stwierdził:

– Wygląda na to, że ludziom nieźle się tu powodzi...

– Bo tak jest w istocie – zaśmiał się Owyn. – Cavell było wioską przez kilka setek lat, ale mniej więcej pół wieku temu przekształciło się w ruchliwe miasteczko handlowe. Przed trzema laty w twierdzy wybuchł pożar, który zmusił mojego wuja do przeprowadzki na dół... i od tamtej pory wszystkie sprawy załatwia się właśnie tutaj. Myślę, że razem ze swoim dworem zajmuje trzecią część domów we wiosce.

– Pożar? – spytał James z nagle rozbudzoną ciekawością. – Kto go rozniecił?

Nie wiadomo – odpowiedział Owyn. Właśnie wjeżdżali pomiędzy pierwsze zabudowania osady. – Mówi się, że wuj robił coś w jednej z niżej położonych komnat, kiedy ogień wyrwał się spod kontroli, ogarniając coraz wyższe piętra, aż wreszcie wszyscy musieli uchodzić. Dolne lochy zawaliły się już wcześniej, gdy podjęto próbę wykucia nowych komnat do przechowywania win. Zginął wtedy mój kuzyn Neville, o kilka lat starszy ode mnie i Ugyny. To był dziwny chłopiec... zawsze mi się wydawało, że wuj poświęca mu za mało uwagi. To Ugyna była ulubienicą Corvallis. – Owyn na moment pogrążył się we wspomnieniach, ale szybko wrócił do rzeczywistości. – Tak czy owak, piwnice zapieczętowano, a ciało kuzyna przepadło pod tonami skał i kamieni. Pożar wybuchł niedaleko od tamtego miejsca, a służąca, którą obwiniono o rozniecenie ognia, zginęła w płomieniach, nikt więc nie wiedział, jak doszło do nieszczęścia. Paliło się od spodu, więc gdy ogień strawił stropy i podpory, zawaliły się górne piętra. Wuj ciągle opowiadał, że któregoś dnia zabierze się do odbudowy, ale jak do tej pory niewiele wyszło z tych planów.

Jechali główną ulicą osady, kończącą się na dość dużym placu z fontanną. Odchodziły od niego jeszcze trzy ulice – oprócz tej, którą tu dotarli.

– To tamten dom. – Owyn wskazał budynek położony po przeciwległej stronie, za fontanną. Na ryneczku panował ruch i gwar – każdy zajmował się tu swoimi sprawami i rzadko kto podnosił wzrok na trzech jeźdźców.

Kiedy zatrzymali się przed domem Barona, zza drzwi wybiegł stajenny.

– Panicz Owyn! – zawołał na widok przybysza jadącego na czele. – Dawnośmy tu panicza nie wiedzieli.

– Witaj, Tad. – Uśmiechnął się Owyn. – Zajmujesz się teraz końmi?

Chłopak, który miał nie więcej niż trzynaście, czternaście lat, energicznie pokiwał głową.

– Ajużci, paniczu. Choć teraz, kiedy nie mamy porządných stajen, Baron musi trzymać konie gości w gospodzie. – Skinieniem głowy wskazał budynek położony po drugiej stronie ryneczku, naprzeciwko rezydencji Barona. Nad jego wejściem wisiał szyld z wyrzeźbioną w drewnie głową kaczki. – Pójdę i zamówię pokoje dla waszmościów.

– Chcesz mi rzec, że wuj nie będzie rad, mogąc mi ofiarować gościnę? – Owyn uśmiechnął się lekko.

Chłopiec kiwnął głową..;

– W tych dniach niechętnie widuje kogokolwiek, paniczu Owynie. Gdybyście byli sami, może by was przyjął, ale z waszymi przyjaciółmi... – Uśmiechnął się przepraszająco i umilkł.

Owyn odesłał go z końmi i zaleceniem, by znalazł dla wszystkich jeden wspólny pokój na noc.

Kiedy wspinali się po schodach wielkiego budynku, James rozejrzał się dookoła.

– Ten dom znacznie góruje nad wszystkimi innymi w okolicy.

Owyn uśmiechnął się, spoglądając na piętrowe drewniane budyneczki z niewielkimi ogródkami oraz kryte gontami chatki z chrustu wzmocnionego cienką warstwą tynku. Z rezydencją Barona mogły rywalizować tylko oberże.

– To też kiedyś była gospoda, ale podupadła. Wuj kupił ją od właściciela i zaadaptował. Na tyłach jest stajnia, ale zajmuje ją kompania jego własnych gwardzistów. – Owyn zniżył głos. – Jak wielu pomniejszych szlachciców, wuj ma znaczniejszy tytuł niż majątek. Ze swych skromnych dochodów musi płacić podatki Diukowi Cheam, a nigdy nie był człekiem... eee... przedsiębiorczym.

Zastukali do drzwi. Te uchyliły się nieznacznie i przez szczelinę wyjrzała kobieta w średnim wieku. Ujrawszy stojącego przed nią Goratha w napierśniku, zbladła jak gieźło.

– Hej, Miri! – odezwał się Owyn, występując przed moredhela. – Pozbądź się obaw. Oni są ze mną.

– O! Witajcie paniczu! – odpowiedziała kobieta, otwierając drzwi na całą szerokość.

– Czy możesz powiadomić wuja Corvallisa, że będzie miał zaszczyt nas gościć?

Kobieta kiwnęła głową i pomknęła w głąb domu. Po kilku minutach pojawił się wysoki mężczyzna, odziany w aksamitną kurtkę, koszulę z koronkowym żabotem i mający na palcach stanowczo zbyt wiele pierścieni.

– Mój drogi... – odezwał się chłodnym głosem. – Nie powiadomiono nas o twoim przyjeździe.

– Jesteśmy tu tylko przejazdem – odparł Owyn – i zamówiliśmy już nocleg w gospodzie po drugiej stronie placu. Niechże jednak wolno mi będzie ci przedstawić, wuju, mości Jamesa, giermka Księcia Aruthy, i naszego towarzysza, imć Goratha. Panowie, zechciejcie poznać mojego wuja, Barona Corvallisa z Cavell.

Wzmianka o Księciu Anicie zmiękczyła nieco wyraz twarzy Barona, który kiwnął łaskawie głową Jamesowi.

– Panie... jestem zaszczycony. – Potem spojrzął na Goratha, jakby nie bardzo wiedząc, co powiedzieć. – I was witam... eee... mości elfie. – Zaraz potem wykonał zapraszający gest dłonią. – Jeżeli zechcecie panowie zajrzeć do mojej komnaty, każę posłać po wino. Miri – zwrócił się do służącej – przynieś nam, proszę, butelkę wina i cztery puchary.

Idąc w ślad za gospodarzem, goście przeszli korytarzem do dawnej izby ogólnej, podzielonej teraz na kilka pomniejszych komnatek. W głębi

korytarza widać było schody wiodące do pomieszczeń na piętrze. James zaczął się zastanawiać, czy stary szynkwas pozostał na swoim miejscu. Nie dowiedział się tego, ponieważ dotarli do narożnego pokoju o dwu dużych oknach wychodzących na rynek. Baron skinieniem dłoni wskazał gościom trzy krzesła, a sam rozsiadł się na czwartym.

– Co was sprowadza do Cavell, mości giermku?

– Służba – odpowiedział James. – W Romney doszło do zamieszek. Przybyłem, aby sprawdzić, ile prawdy jest w plotkach o ponownym pojawieniu się w kraju Nocnych Jastrzębi.

Usłyszawszy wzmiankę o Nocnych Jastrzębiach, Baron skoczył na równe nogi.

– Plotki! – wrzasnął. – To wcale nie są plotki! Tu na północy dokonywane są okropne zbrodnie, o czym powiadomiłem już Diuka Cheam. Trzy razy próbowano mnie zabić!

James starał się okazać zrozumienie.

– Właśnie dlatego tu przybyłem. Księżę jest bardzo rozgniewany, a Król – Lyam prawdopodobnie nie miał pojęcia o tym, co się działo, James jednak niejednokrotnie przekonał się, że powołanie się na Króla bywa bardzo skuteczne – ogromnie się burzy na samą myśl o tym, że ktoś próbuje zabijać jego szlachtę.

Wzmianka o Królu istotnie uspokoiła Barona.

– Najwyższy czas!

– Może zechcecie nam o wszystkim opowiedzieć? – zaproponował James.

Twarz Barona poczerwieniała.

– Przed trzema laty – zaczął szybko z widocznym gniewem – w pożarze, który wybuchł w opuszczonej piwnicy, spłonęła jedna ze służących. Myślałem wtedy, że był to nieszczęśliwy wypadek, teraz jednak uznaję to

za pierwszy zamach na moje życie. Rok temu, gdy zabawiałem się na polowaniu, zza niedalekich wzgórz wyłoniła się banda odzianych na czarno jeźdźców. Ruszyli na nas z bronią w rękę. Uratował mnie lis spłoszony przez moje psy, bo zwierzę śmignęło przed napastnikami, a gnające za nim psy rozproszyły ich konie. Tego dnia straciłem najlepszego ogara! – Skinieniem dłoni Baron wezwał Miri, która w tejże chwili pojawiła się w drzwiach, by podać gościom wino. – A miesiąc temu jacyś ludzie z ukrycia strzelali do mnie z łuków. Grot strzały rozciął mi kurtkę, ot, w tym miejscu. – Wskazał dłonią lewe ramię. – Niżej o dziesięć palców i byłbym trupem!

James spojrział na Owyna, a ten skinieniem głowy potwierdził, że Baron wcale nie przesadza.

– I oto boję się wyjść z własnego domostwa... – ciągnął Baron – pomijając krótkie wizyty w przeciwległej oberży, a i wtedy towarzyszą mi uzbrojeni strażnicy. Córka wypowiada mi posłuszeństwo i biega po polach niczym kmieca dziewczka, zadając się z różnymi świszczypałami. Powinna się spotykać z odpowiednimi dla niej kawalerami... a zamiast tego pokazuje się wszędzie z tym... godnym pogardy osobnikiem, który napycha jej uszy słodkimi łgarstwami.

Owyn usiłował zachować powagę, ale nie bardzo mu się udawało.

– Wuju... kto jest tym... odrażającym stworem?

– Pewien... handlarz, ot kto! – zagrzmiał Corvallis. – Ugyna powinna przyjmować hołdy od synów Baronów, Earlów, Diuków nawet, ale nie od pospolitego kupczyka! Kocha ją mój doradca, Myron... i choć jest nisko urodzony, łączą go pewne więzy ze stanem szlacheckim. Gdyby ją poprosił o rękę, ścierpiałbym go jako zięcia, bo dziewczyna usatkwowałaby się, ona jednak miłuje przygody i romanse... trudne do zniesienia u syna, ale zupełnie nie do przyjęcia u córki!

– Wuju, czy to wcielenie chaosu i zniszczenia ma jakieś imię? – spytał Owyn.

Navon du Sandau! – zabrzmiało to jak splunięcie. – Wiem, że to łotr spod ciemnej gwiazdy! Nosi odzież z kosztownych tkanin i dosiada najpiękniejszego karosza, jakiego widziałem, ale rzadko mówi o swoich przedsięwzięciach. Twierdzi, że jest faktorem kilku bogatych szlacheckich rodzin i pracuje dla spółek handlowych z Zachodu i Południa. Nigdy jednak nie widziałem, by załatwiał jakiegokolwiek interesy... włóczy się tylko po okolicy i uwodzi moją córkę. Czasami gdzieś przepada bez wieści, ale zawsze wraca... jak zły szeląg.

– Wuju, gdzie jest teraz Ugyna? – spytał Owyn, łyknąwszy trochę wina.

– Pewnie gdzieś koło drogi... przemierza pola, czekając, aż spadnie śnieg lub pojawi się ten... Navon.

James też łyknął cienkusa.

– No, mości Baronie... obawiam się, że nadwerężyliśmy nieco waszą gościnność – rzekł, wstając z miejsca. – Przeprowadzimy wnikliwe, choć szybkie dochodzenie i zrobimy, co się da, by położyć kres waszym niepokojom.

– Dziękuję, mości giermku – rzekł Baron. – Owynie – zwrócił się do krewniaka – kiedy zobaczysz swoich rodziców, zechciej przekazać ojcu i matce moje pozdrowienia. – Skinieniem głowy pozdrowił mijającego go moredhela. Nie bardzo wiedząc, czy to wystarczy, na wszelki wypadek raz jeszcze kiwnął głową. – Owynie... – dodał, stojąc w drzwiach. – Jeżeli pozostaniesz w naszych włościach do najbliższego Szóstka, bądź tak miły i przyjdź na obiad. Zaproszenie oczywiście dotyczy i twoich przyjaciół.

Gdy drzwi się zamknęły, James parsknął śmiechem.

– Mamy zatem pięć dni na to, by znaleźć ludzi, których szukamy, i wynieść się, zanim Baron rozliczy nas z obietnic.

– Wuj i w najlepszych czasach bywał... irytujący – odezwał się Owyn – teraz jednak widać, że naprawdę się boi.

– Przyznam to nawet ja, który nie znam ani twego wuja, ani waszej rasy – stwierdził Gorath. – Jest w tym wszystkim jednak coś, co mnie niepokoi.

– A co mianowicie? – spytał James.

Między innymi to, że gdyby Nocne Jastrzębie naprawdę chciały go zabić, byłby już trupem. Psy przeszkadzające konnym w ataku... powiedzmy, że w to uwierzę. Ale wydaje mi się wysoce nieprawdopodobne, by celu chybili łucznicy.

– Miałem kilka razy do czynienia z Nocnymi Jastrzębami i muszę się z tym zgodzić – stwierdził James. Gdy to mówił, wędrowcy wkraczali do Gospody Pod Kaczką.

Izba ogólna nie była zatłoczona, choć zbliżał się wieczór.

– To waćpanowie jesteście gośćmi Barona? – spytał oberżysta, wychodząc im naprzeciw.

– Owszem – odpowiedział James.

– Piotr Szary, do usług – przedstawił się gospodarz z lekkim ukłonem. – Mam zaszczyt być tu właścicielem. Pokoje waćpanów będą gotowe lada moment, tymczasem zaś zapraszam do stołu. Mamy wielki wybór win i piw.

– Dla mnie piwo – odezwał się Gorath. – Nie przepadam za winem.

– Jak wspomnę smak wina, jakim poczęstował nas Baron – zaśmiał się James – to cię rozumiem.

Owyn kiwnął głową.

– No to spróbuj sobie wyobrazić, czym poczęstowałyby cię wuj, gdybyś nie był członkiem dworu Księcia Pana.

Brwi Piotra Szarego powędrowały niemal na czubek jego łysiny.

– Wielmożny pan jest członkiem krongorskiego dworu? To może ja sam... podam, co mam najlepszego. Członek dworu... patrzcie państwo!

– Dobry człowieku! – zawołał James, gdy oberżysta kierował się do piwnic. – Każ nam też podać coś do zjedzenia.

– Zechciejcie przyjąć przeprosiny – odezwał się Owyn, gdy usiedli za stołem – za to, żeście musieli słuchać głupot, jakie wygadywał mój wuj. Wziąwszy pod uwagę problemy, z jakimi mamy do czynienia, jego skargi są niemal żalosne.

James intensywnie o czymś rozmyślał.

– Przypuśćmy – odezwał się po chwili – że to wszystko jakoś się ze sobą wiąże. Nie jestem pewien, czy idę dobrym tropem, ale dlaczego Nocne Jastrzębie miałyby nękać twego wuja, nie zamierzając go zabić?

– By żył w ciągłym strachu – podsunął Gorath.

W tejże chwili Piotr Szary postawił przed każdym z gości lekko oszroniony kufel piwa. James skosztował i kiwnął głową z zadowoleniem.

– Wspaniałe piwo.

– Prosto z Szarych Grodów... i przechowywane w chłodzie, wielmożny panie.

– Sprowadzacie tu lód statkami?

– Ależ nie – odpowiedział Szary. – W pobliżu miejsca, gdzie trzymam piwo, są głębokie jaskinie. Trunek rozchodzi się tak szybko, że nie zdąży się ogrzać... i beczułka jest pusta.

James uśmiechnął się lekko.

– Gospodarzu... musicie chyba często widywać Barona, skoro macie oberżę po drugiej stronie rynku i naprzeciwko jego siedziby.

Piotr pokręcił głową.

– Właściwie to wcale go nie widzimy. Rzadko wychodzi z domu i zawsze w towarzystwie zbrojnej straży. – Podniósłszy tacę, dodał: – Zaraz

przyniosę coś do zjedzenia, sir.

– Coś mi chodzi po głowie – stwierdził James – ale muszę sobie to wszystko poukładać.

– Czy to ma jakiś związek z moim wujem?

– Owszem. Gorath wspomniał o jednej rzeczy, która do tego nie pasuje: po co straszyć twego wuja, jeśli nie ma się zamiaru go zabić... – I nagle w oczach Jamesa pojawił się błysk zrozumienia. – Mości gospodarzu! – zawołał.

Oberżysta zjawił się niemal natychmiast.

– Wielmożny panie?

– Coście to mówili o Baronie? Że go nie widzicie?

– No... rzekłem tylko, iż rzadko wychodzi z domu i zawsze w otoczeniu zbrojnej straży.

– A od kiedy?

– Myślę, że odkąd stał się celem Nocnych Jastrzębi.

– Wiecie o Nocnych Jastrzębiach?

– No... ludziska o tym mówią.

– A co właściwie mówią?

– Że Gildia Zabójców chce tu gdzieś założyć jedno ze swoich gniazd i ukarać Barona dla przykładu.

– Dzięki wam, gospodarzu – rzekł James. – Przepraszamy za kłopot.

– Dlaczego wezwałeś go ponownie? – spytał Owyn, gdy Piotr się oddalił.

– By mi pomógł wszystko poukładać – odpowiedział James. – Posłuchajcie... Nocne Jastrzębie wcale nie zamierzają zabić Barona. Oni chcą tylko, by siedział w domu.

– Ale dlaczego? – zdziwił się Gorath.

– Żeby się nie zabrał do odbudowy starej twierdzy.

– I co by im z tego przyszło? – spytał Owyn. – To bardzo stara twierdza i gdyby tu podeszła jakaś armia, to zajęcie zamku nie sprawiłoby im wielkich kłopotów.

– Myślę, że wcale nie chodzi im o zamek – odpowiedział James. – Zależy im na tym, co znajduje się pod nim.

W oczach Owyna pojawił się błysk zrozumienia.

– Pieczary i przesmyk?

– Mówiłeś, że pod zamkiem jest przejście przez góry... i że są tam lochy zamkowej zbrojowni i spiżarnie. Idę o zakład, że można w nich skryć niewielką armię.

.– Albo bandę Nocnych Jastrzębi – podsunął moredhel.

– Ale skąd się o tym dowiedzieli? – spytał Owyn.

– Istnienie przejścia nie jest sekretem rodzinnym, prawda?

– Nie... Kilku ludzi o nim wiedziało, ale odkrycie go z zewnątrz jest niemal niemożliwe.

W tejże chwili w izbie rozległ się dźwięczny, uradowany dziewczęcy głos:

– Owyn!

Odwróciwszy się ku wejściu, towarzysze ujrzeli idącą ku nim szybko wysoką, smukłą, długonogą dziewczynę w prostej sukni, Wpadła na Owyna z takim impetem, że obejmując go serdecznym uściskiem, zbiła go niemal z nóg.

– Ummm... Ugyno! – wystękał młodzieniec, czerwieniąc się i uśmiechając jak przyłapany na amorach żaczek.

Dziewczyna była ładna, zdrowa i opalona. Miała bujne, lekko splecione włosy, a splamiona z tyłu zielenią i upstrzona źdźbłami trawy suknia wskazywała na to, że jej właścicielka lubi siadać prosto na ziemi.

Przerwała uścisk tylko po to, by z zapalem wycisnąć na ustach Owyna serdeczny pocałunek, a potem cofnęła się o krok i nie wypuszczając młodzieńca z ramion, zaczęła mu się przyglądać.

– Wiesz... jak sobie przypomnę tamtego żalostnego wyrostka, jakim byłeś, to muszę stwierdzić, że wyrosłeś na całkiem przystojnego chłopaka – rzekła wreszcie ze śmiechem.

Owyn poczerwieniał jeszcze bardziej i także się roześmiał.

– Jak widzę, wcale się nie zmieniłaś.

Dziewczyna pchnęła go na krzesło i dość bezceremonialnie usiadła mu na kolanach.

– Oczywiście, że się zmieniłam. Wtedy byłam dziewczynką, teraz jestem dojrzałą kobietą.

James uśmiechnął się z przekąsem. Dojrzała kobieta miała nie więcej niż osiemnaście lat i choć poruszała się zaskakująco sprężysto i energicznie, w jej ruchach była pewna rezerwa, jakby chciała zamaskować wewnętrzne rozterki.

– Ugyno – odezwał się Owyn – zechciej poznać moich przyjaciół, Jamesa i Goratha.

Dziewczyna uśmiechnęła się i kiwnęła główką każdemu z towarzyszy Owyna. – Witam waszmościów. Czy widziałeś już tatkę? – spytała krewniaka. – Przypuszczam, że tak. Tad mi powiedział, żeście byli w domu.

– Owszem... i zostaliśmy zaproszeni na obiad w Szóstek... jeżeli zostaniemy do tej pory.

– Och, zostańcie, proszę. Obiady z ojcem są takie nudne...

– Ugyno... – odezwał się James. – Może trzeba nam będzie wyjechać wcześniej. Mamy pilne sprawy...

Ugyna wyduła usteczka.

– Jakież to sprawy? – Spojrzała z wyrzutem na Owyna. – Mój dawno nie widziany i ulubiony krewniak po wielu latach pojawia się w miasteczku i następnego dnia chce wyjechać?

– Nie... – odpowiedział Owyn. – Ale jesteśmy tu w służbie Korony.

– O! – Ugyna uniosła brwi. – W istocie?

– W istocie – rzekł z powagą James.

– No cóż... – odezwała się dziewczyna. – Trzeba mi więc nalegać, by tatko przyjął was wcześniej albo żebyście zostali. Nie opuście miasta bez wizyty u nas!

– A ty sama co porabiasz? – spytał Owyn. – Wuj wydawał się mocno... poirytowany twoimi ostatnimi postępami.

Na wzmiankę o opinii ojca Ugyna uniosła głowę.

– Ojciec by chciał, żebym całymi dniami przesiadywała w mrocznej komnatce, czekając, aż pojawi się jakiś szlachcic, który mnie poprosi o rękę... i boi się, że z kimś ucieknę.

– A jest jakiś kandydat do twojej ręki? – spytał Owyn. Dziewczyna wyciągnęła dłoń, a potem z nieco wyzywającą minką ujęła jego kufel i wypila mały łyczek, robiąc z tego scenkę pod tytułem „Skandaliczne Zachowanie Panny w Tawernie”.

– Myron. Doradca tatki i jego tutejszy rządca. To wdowiec z małą córeczką, którą uwielbiam, ale... on sam jest taki...

– Nudny? – podsunął James.

– Nie... tylko zawsze wiadomo, co zrobi lub powie. Miły człowiek, ale ja mam nieco większe wymagania.

– A ten drugi? – spytał Owyn.

– Jaki drugi? Mówiłam coś o kimś... drugim? – spytała dziewczyna z błyskiem w oku i lekkim uśmiechem na twarzy.

– Nie, nie mówiłaś – zgodził się Owyn. – Twój ojciec mówił.

– Navon du Sandau – domyśliła się Ugyna. – Każda – wzmianka o nim wprawia tatkę w okropny humor.

– A to czemu? – spytał James niewinnym tonem.

– Bo to kupiec, nie szlachcic... a nawet Myron, ojcowski rządca, ma jakieś tam związki ze stanem szlacheckim, gdyż jest ze strony matki siostrzeńcem ostatniego Earla Silden.

– Zakochałaś się w tym Navonie? – spytał Owyn.

Dziewczyna potrząsnęła głową i zmarszczyła nosek.

– Tak naprawdę to nie. Jest interesujący... choć trochę dziwny.

– Dziwny? – spytał Owyn. – Jak się to objawia?

– Czasami, kiedy nie wie, że to widzę, patrzy na mnie w osobliwy sposób.

Owyn parsknął śmiechem i dał kuzynce żartobliwego kuksańca.

– To dlatego, że osobliwie wyglądasz.

Ugyna zaśmiała się i lekko trzepnęła go po dłoni.

– Ale zdaje się bardzo interesujący. Bardzo atrakcyjny i inteligentny... i wszędzie bywał. Jest też bardzo zamożny i dlatego tatko nie może go wyszczyć psami z miasteczka. Jeżeli nie poślubię szlachcica, ojciec jakoś pogodzi się z myślą o bogactwie.

– I co? Zamierzasz wyjść za tego Navona?

– Raczej nie! – odpowiedziała niesforna dziewczyna, zeskakując z kolan krewniaka. – Jest zbyt zuchwały i groźny.

– Groźny? – zdziwił się Gorath, zwracając się do dziewczyny po raz pierwszy. – Nie znam się na waszych obyczajach, panienko, ale czy to właściwe określenie na... starającego się o wasze względy?

Dziewczyna wzruszyła ramionami.

– Nie wiem. Fascynuje mnie, a i nauczył mnie kilku rzeczy.

– Taaak? – spytał Owyn, któremu w tym jednym słówku udało się zawrzeć zaciekawienie i dezaprobatę.:

Ugyna znów lekko trzepnęła go po ramieniu.

– Ależ ty masz kosmate myśli! Jesteś do cna zepsuty. Nauczył mnie trochę o poezji, muzyce... i pokazał mi, jak się gra w szachy.

– Szachy? – zdziwił się Owyn, rzucając jednocześnie znaczące spojrzenia Jamesowi i Gorathowi.

– Owszem – odpowiedziała dziewczyna. – Jest najlepszym graczem w Kenting i pewnie w całej okolicy. Regularnie jeździ do Krzyża Malaka, by w gospodzie Pod Hetmanem grać z najlepszymi szachistami w Królestwie. Grywał też z możnymi panami w Krondorze i Kesh. – W głosie dziewczyny brzmiała duma z osiągnięć jej znajomego.

– Cóż... – odezwał się James. – Może trzeba nam będzie się z nim kiedyś spotkać.

– Przyjdźcie na obiad w Szóstek, to go poznacie – odpowiedziała dziewczyna. – Pod koniec tygodnia ma przyjechać, by się ze mną zobaczyć.

Obróciła się ze śmiechem tak energicznie, że suknia zawirowała wokół jej kolan, i na poły tanecznym krokiem ruszyła do drzwi. Tam obejrzała się jeszcze przez ramię i rzuciwszy Owynowi nieco drwiący uśmiešek, wyszła.

– Wasze kobiety są... bardzo interesujące – stwierdził Gorath.

– Jest młoda. – Roześmiał się James. – Usilnie stara się... zainteresować sobą innych. – Książęcy giermek potrząsnął głową. – Za kilka lat nie będzie musiała tego robić. Jest atrakcyjną osobką.

Owyn westchnął, siadając głębiej na krześle.

– Ugyna to jedyny członek mojej rodziny, na którym mi zależy.

Tymczasem pojawił się Szary Piotr z potrawami. Gdy ustawiał je na stole, Owyn stwierdził, zwracając się do towarzyszy:

– Nie poznałem dobrze kuzyna Neville’a. Zmarł, kiedy byłem dzieckiem. Widziałem go tylko raz i...

– Mówicie, paniczu, o Baronie Neville’u Corvallisie? – spytał Piotr, wpadając mu w słowo. – Wiadomo mi, żeście tu zjechali, by się z zobaczyć ze starym baronem, ale nic nie rzekliście o tym, że jesteście jego krewniakiem.

– Przykro mi – odparł Owyn. – Tak jakoś wyszło. Nie ukrywam tego faktu.

– Wy jesteście panicz Owyn – stwierdził Piotr, wpatrując się w twarz młodzieńca. – Nie pamiętacie mnie, prawda?

– Przykro mi, ale nie – odparł Owyn.

– Byłem jednym z kucharzy na zamku, przed tragiczną śmiercią młodego Neville’a. Wyście mieli wtedy pięć albo sześć lat, a ja widziałem was tylko raz czy dwa, kiedy nas odwiedziliście. Wkrótce potem kupiłem tę oberżę, a wy już potem się tu nie pokazaliście. Stary Baron... no, powiedzmy, że tamta tragedia go zmieniła. Stał się innym człowiekiem... a do tego zmarła mu żona.

– O tym nie pamiętałem – przyznał Owyn. Piotrowi niewiele było trzeba, by się pogrążyć we wspomnieniach.

– Cóż... mówiło się wtedy wiele o pewnych sporach pomiędzy Baronem a majstrem, którego wynajął do przebudowy tunelów i lochów pod zamkiem, bo chciał je wykorzystać na piwnice. Dziwnym trafem tamten majster też się nazywał du Sandau, jak Navon. – Słowa te obudziły czujność Jamesa i Owyna, którzy wymienili porozumiewawcze spojrzenia. Piotr tymczasem ciągnął dalej. – Ten Sandau był najlepszym kamieniarzem w okolicy, ale lubił popijać i przepadał za kobietami. Mówiono też, że zanim przybył tu na północ, romansował z wieloma damami na dworze w Rillanonie. Wykuł kilka nowych korytarzy pod twierdzą i Baron chwalił

jego pracę, ale z niewiadomych powodów, kiedy zaczął roboty przy tej piwnicy pod wino, zaczęli się spierać. A z Barona był kawał raptusa. I przyszedł ten straszny dzień.

– Dzień, w którym zginął Neville? – spytał Owyn.

– Tak... i w tym samym wypadku zginął Sandau. Zawaliło się sklepienie. Nikt nie wie, jak do tego doszło. Wszyscy ludzie w okolicy przez kilka dni usiłowali usunąć gruz i rumowisko, ale na próżno. Neville zginął wraz z kilkoma kamieniarzami, którzy tam pracowali.

– Ale co pod twierdzą robił ten chłopak?

– Nikt nie wie. Bardzo lubił przyglądać się pracy kamieniarzy, a jego ojciec się temu nie sprzeciwiał. – Piotr wzruszył ramionami. – Po tamtej tragedii Baron zmienił się nie do poznania. I przysięgnę, że utrata chłopca zabiła Baronową. Rozpaczała przez kilka miesięcy, potem zachorowała, ale nawet kapłanka uzdrowicielka nie mogła jej pomóc. Umarła mniej więcej rok po śmierci chłopca. Była kobietą o niezwykłej sile charakteru. Ugynajest trochę do niej podobna. Myślę, że to właśnie pomogło jej zachować zdrowe zmysły... nie każdy zniesie śmierć brata i matki w ciągu roku. – Piotr potrząsnął głową, jakby przypominał sobie ból młodej dziewczyny. – Wedle mojej oceny, wyrosła z niej bardzo dorzeczna panna.

James kiwnął głową, a Owyn stwierdził:

– A i owszem, nie da się zaprzeczyć.

Gdy Piotr wyszedł, James zwrócił się do Owyna:

– Twoja rodzina przeżyła wielką tragedię.

– Wiem – odpowiedział Owyn. – Ale wydaje mi się, że przynajmniej Ugyna znalazła trochę szczęścia.

– Co prawda dręczy przy tym ojca – zauważył Gorath, a James parsknął śmiechem.

– No tak – odezwał się po chwili Owyn. – Ale co teraz?

– Myślę, że w Szóstek zjemy obiad z twoim wujem i zobaczymy, czy znajdzie się tu jakiś chętny do rozegrania partii szachów.

Owyn kiwnął głową, rad z tego, że przed wdaniem się w następne awantury, będzie miał kilka dni odpoczynku.

ROZDZIAŁ 10

NOCNE JASTRZĘBIE

Woda z hukiem spadała ze zbocza góry.

James, Gorath i Owyn podjechali konno do wodospadu. Ponieważ do szóstkowego obiadu z Ugyną i jej ojcem zostało im kilka dni, James postanowił rozejrzeć się po okolicy. Upewniwszy się, że gadatliwy Piotr Szary wie o tym, iż zamierzają kontynuować śledztwo, rozgłosili, iż przeszukają okolice miasteczka. Zaraz potem jednak ruszyli do wodospadu Cavell.

Gdy wiatr się zmienił, James poczuł na twarzy smagnięcia zimnych kropeł wody.

– Bawiłeś się tu jako dziecko? – spytał Owyna.

– Nie, tu nie. – Owyn wyciągnął rękę, wskazując zbocze.

– Pływaliśmy tam, w niewielkim stawie nieopodal miejsca, gdzie w zboczu góry jest wylot jaskini.

– My nie pozwalamy dzieciom bawić się bez nadzoru – stwierdził Gorath. I dodał z lekką pogardą w głosie: – Ale wy, ludzie, pienicie się niczym polne myszy. Jeżeli umrze wara dziecko, po prostu robicie nowe.

– To nie takie proste. – James obdarzył moredhela mrocznym spojrzeniem.

– Czego zamierzasz się tu dowiedzieć? – spytał Gorath.

– Gdybyś planował wykorzystanie tych lochów jako bazy dla swojej bandy, czy chciałbyś mieć na karku Barona i jego rodzinę w zamku?

Owyn spojrzał nań z nagłym błyskiem w oku:

– Podejrzewasz, że pożar rozniecili członkowie Bractwa Nocnych Jastrzębi?

– Nie wiem. – James wzruszył ramionami. – Ale wybuchł w samą porę... a nękając Barona, powstrzymują go przed odbudową rodowej siedziby.

Podążając wzdłuż brzegu rzeki, podjechali ku skalom.

– Walczyłem z tymi Jastrzębiami u waszego boku – odezwał się Gorath – i wiem, że już wcześniej miewałeś z nimi do czynienia, ale nadal nie rozumiem, jaką rolę odgrywają w tej historii.

– To akurat dość łatwo wyjaśnić – odpowiedział James. – Nocne Jastrzębie to stowarzyszenie najemnych zabójców, którzy pracują dla każdego, kto im zapłaci. Najemnicy. Pierwszemu z nich stawilem niegdyś czoło na dachach Krondoru... później wiele razy przyszło mi z nimi walczyć. Przez jakiś czas pracowali też dla Murmandamusa i służyli mu na równi z jego Czarnymi Zabójcami.

– Czarni Zabójcy byli łotrami. Żaden uczciwy moredhel nie chciał mieć z nimi nic wspólnego! – Mówiąc te słowa, Gorath splunął na ziemię. – Łajdaki bez czci i wiary. Oddali żywoty i dusze Murmandamusowi za obietnice wiecznej chwały i władzy. Nasi strażnicy tradycji utrzymują, że ci, co podążyli ich drogą, nigdy nie połączą się z Przodkami w Żywocie Który Nastąpi Potem.

James objechał niewielki pagórek.

– Muszę przyznać, Goracie, że niewiele wiem o waszej elfiej rasie, choć biłem się z moredhelami i spędziłem trochę czasu w towarzystwie glamredhelów i eledhelów.

Prawdą jest – stwierdził Gorath – że nie lubimy się nawzajem, więc nie wątpię, iż niewiele dobrego słyszałeś o nas od eledhelów. Glamredhele są szaleni, nie mają swego przeznaczenia i nie posługują się magią. Żyli

odosobnieni w Kniei Edder w Krajach Północnych, aż w końcu ich wyłapano i unicestwiono.

– Co ty gadasz? – zdumiał się James. – Wcale ich nie unicestwiono. Przenieśli się do Elvandaru i tam teraz żyją.

Gorath zatrzymał konia.

– Delekhan!

– Co znowu? – James obrócił się w siodle, by spojrzeć na moredhela.

– Oznajmił, że osobiście zniszczył Earnona i jego plemię w Edder.

Ha! Stary Król Czerwone Drzewo żyje w EWandarze i ma się całkiem dobrze. Ostatnio, jak słyszałem, spierają się tam o przywództwo.

Gorath przechylił głowę, jakby źle usłyszał.

– Spierają się o przywództwo? Nie rozumiem...

– Ja też nie będę udawał, że pojmuję cokolwiek, co się tyczy elfów – stwierdził James, skręcając wedle drogi, którą podążali ku wodospadowi. – Diuk Martin... oto kto regularnie odwiedza EWandar i powiadamia Króla o tym, co się tam dzieje. Wedle tego, co on twierdzi, Czerwone Drzewo i jego lud zastanawiają się, czy mają się przyłączyć do poddanych Aglaranny, czy pozostać oddzielnym plemieniem, korzystającym z gościnności eledhelów. Coś w tym guście.

– Mówisz coraz dziwniejsze rzeczy – przyznał Gorath. – Przypuszczałem, że gdyby poprosili o schronienie, Aglaranna uczyniłaby z nich niewolników.

– James parsknął śmiechem., To cię tak bawi?.

– Miałem okazję poznać starego Earnona i nie bardzo umiem wyobrazić go sobie w roli proszącego o cokolwiek albo godzącego się na niewolę... bez zabicia pierwaj kilkuset wrogów.

Gorath kiwnął głową.

– To prawda... jest wojownikiem o wielkiej odwadze, sile i zręczności.

Znów poczuli niesione wiatrem krople wody na policzkach.

– Owynie, gdzie jest to wejście? – spytał James.

– Trzeba nam zostawić konie i podejść pieszo – odpowiedział młody mag.

Tak uczynili i dotarli do podnóża wodospadu, gdzie unosząca się nad wodą mgła była tak gęsta, że po kilku minutach ich ubrania całkowicie przemokły.

– Ilu ludzi wie o tym wejściu? – spytał James.

– Niewiele... tylko członkowie mojej rodziny i najbardziej zaufani słudzy. Ugyna, ja i Neville często się tu bawiliśmy. Jeśli nas złapano, dostawaliśmy w skórę, ale nie sądzę, żeby Baron kiedykolwiek odkrył całe przejście od lochów aż tutaj. – Wyciągnął dłoń, wskazując skały o kilka stóp nad swoją głową. – Oto powód, dla którego tego przejścia nigdy nie odkrył żaden z wieśniaków. Podsadźcie mnie.

James splótł palce i podsadził Owyna, a młody mag sam podciągnął się na wąską skalną półkę.

– Podajcie mi mój posoch i cofnijcie się nieco – powiedział, wstając.

Towarzysze zrobili, o co prosił, on zaś użył lagi niczym dźwigni i przesunął jakiś kamień. W głębi skał rozległ się głuchy rumor, aż James odskoczył do tyłu. Część skały odsunęła się na bok. Owyn zeskoczył na dół, przysiadając z lekkim stęknieniem, a potem wstał.

– Wyjście z tamtej strony jest bardzo łatwe. Po prostu naciska się dźwignię. Dostanie się do środka sprawia większy kłopot. Nie wejdiesz, jeżeli nie znasz sekretu.

James zajrzał do środka.

– Ktoś jednak odkrył ten sekret. Patrzcie... Spąg całego tunelu pokrywał kurz, pośrodku jednak można było dostrzec wydeptaną ścieżkę, wskazującą, że ostatnio przechodziło tędy wielu ludzi.

– Stąpajmy cicho – poradził Gorath. – Na razie nasze głosy i kroki zagłuszy huk wodospadu, ale jak wejdziemy w głąb, mogą nas usłyszeć.

– Potrzebna nam pochodnia albo przynajmniej żagiew – stwierdził James.

– Obejdziemy się bez nich – odezwał się młody mag. – Mogę wara służyć światłem.

Zamknawszy oczy, wyciągnął przed siebie dłoń. Zaraz potem otoczyła go sfera miękkiej, łagodnej poświaty – mniej intensywnej niż blask pochodni, dostatecznie jednak jasnej, by mogli widzieć otoczenie.

– Przydatna sztuczka – stwierdził James.

Owyn wzruszył ramionami.

– Jak do tej pory przydawała mi się najczęściej do znajdowania drogi do wygodki w środku nocy.

James uśmiechnął się.

– Chodźmy.

Obaj z Gorathem wydobyli miecze i w milczeniu ruszyli w mroczne przejście.

Gorath pierwszy usłyszał cichy szmer podeszwy buta trącej o kamień, ale to było wszystko, czego potrzebował. Podniósł ostrzegawczo dłoń, wyteżył swój lepszy od ludzkiego słuch, by oszacować, ilu obcych mają przed sobą. Po krótkiej chwili podniósł dwa palce.

James kiwnięciem głowy potwierdził odebranie ostrzeżenia i gestem odesłał Owyna z jego światłem na tyły, a sam zaczął się z Gorathem w mroku na nieprzyjaciół. Niedługo potem w głębi korytarza pojawiło się szybko zbliżające się do nich światełko. Usłyszeli też głosy.

– Nie podoba mi się ta robota – powiedział jeden z nich.

– To lepiej niech ci się zacznie podobać. Masz tylko wykonywać rozkazy.

– Przypomnij sobie, że kiedyś było nas tu wiele więcej.

– Owszem, pamiętam, ale im nas mniej do podziału, tym więcej złota...

Dwaj ludzie wyszli zza rogu i Gorath z Jamesem skoczyli na nich. Ponieważ przeciwnicy zupełnie się nie spodziewali napaści, dopadli ich, zanim tamci zdążyli się zorientować, z kim mają do czynienia.

Zaskoczeni byli jednak doświadczonymi rębaczami, którzy stawili zaciekły opór. Owyn podbiegł do jednego z nich i wykorzystując całą długość swego posocha, trzasnął przeciwnika w łeb.

Drugi sam pchnął się nożem, gdy James zdołał go powalić na ziemię.

– A bodajby zdechł! – zaklął James, wstając powoli. – Potrzebny mi był choć jeden jeniec.

– Trafiliśmy na ich gniazdo – odezwał się Gorath. – Czy nie byłoby mądrzej, gdy już wiemy, gdzie się kryją, wycofać się chyłkiem i wrócić tu z żołnierzami?

– Owszem, z pewnością masz rację, jednak, na podstawie moich poprzednich doświadczeń z nimi, wiem, że gdy tu wrócimy, gniazdko będzie już puste. Nie są liczni, a za naszą sprawą kilku ostatnio przedwcześnie, a niesławnie przeniosło się do sal Lims–Kragmy, wątpię więc, czy stąd aż do Kłów Świata znajdziesz może sześciu, siedmiu Jastrzębi. – James wskazał palcem w głąb korytarza, z którego nadeszło dwu członków Bractwa. – Ale jeżeli uda nam się odkryć tożsamość lub schwytać ich przywódcę, to może w końcu załatwimy sprawę ostatecznie. Myślałem, żeśmy się z nimi uporali dziesięć lat temu, ale jak widać, bardzo się myliłem. Przynajmniej jeden albo dwu uciekło wtedy, by od nowa werbować tych morderców. Tylko fanatycy rzucają się na własne noże. Muszę się dowiedzieć, czy ci tutaj to jedynie najemnicy pracujący dla każdego, kto im zapłaci, czy świadomie współpracują z Delekhanem.

– A co to za różnica, na czyje polecenie podrzynają gardła mieszkańcom Królestwa? – spytał Gorath.

– Ludzie, którzy pracują dla złota, to jedno. Ci, co działają na rzecz mrocznych potęg, to sprawa zupełnie inna. Jeśli ci tutaj to najemnicy, możemy ich spokojnie powyrzynać, bo nie wiedzą niczego ponad to, kogo mają zabić i gdzie odebrać zapłatę. Ale jeżeli służą mrocznym mocom... może dowiemy się czegoś więcej, jeżeli – kiwnął dłonią, wskazując głąb korytarza – pójdziemy dalej.

Gorath i Owyn wymienili spojrzenia.

– No cóż... – odezwał się Owyn – jak będziemy tu czekali, aż wrócisz, to nam tyłki poprzyrastają z nudów do spągu.

– Podniósł pierścień będący źródłem poświaty. – Poza tym, ja mam światło.

Gorath chrząknął tak, że przy odrobinie dobrej woli można to było uznać za chichot.

Przez niemal pół godziny szli korytarzem, aż nagle Owyn coś sobie przypomniał.

– Gdzieś tu niedaleko powinna być spiżarnia.

Po chwili znaleźli duże drewniane drzwi okute żelazem, wciąż sprawne i dobrze naoliwione, a za nimi swego rodzaju żołnierską sypialnię. Pod każdą ze ścian stało po dziesięć prycz, a na drugim końcu pomieszczenia stojaki na broń. Większość prycz była nietknięta, ale nieład na czterech z nich wskazywał, że niedawno z nich korzystano.

– Przyjaciele tych dwóch, których zabiliśmy, mogą kręcić się gdzieś tutaj – szepnął Owyn, wskazując prycze.

– A może gdzieś sobie już poszli – odpowiedział James. Kiedy podeszli do stojaków, przekonali się, że broń była naoliwiona i gotowa do użycia. Równo i starannie ułożono tu sporo śmiercionośnych mieczy, rapierów,

sztyletów, noży do ciskania, niewielkich dziurytów i ciasno plecionych garot. Nieco wyżej, na półce, stały rozmaite dzbany i gliniane, szczególnie pozamykane pojemniki.

– Idę o zakład, że to trucizny – stwierdził James. – Jak daleko ciągną się te korytarze? – spytał Owyna.

– Jeżeli wziąć pod uwagę wszystkie poziomy, to jest tu kilka mil tuneli i przejść. Znajdujemy się na najniższym położonym poziomie, a pomiędzy nami i piwnicami zamku są jeszcze trzy lub cztery piętra lochów. Nie sądzę, byśmy mogli tam dotrzeć przez tę zawaaloną piwnicę. – Wskazał drzwi po drugiej stronie pomieszczenia. – Za nimi jest jeszcze jedna taka komnata, a potem schody.

James podszedł w tamtym kierunku i przyłożywszy ucho do drzwi, zaczął nasłuchiwać. Nie usłyszał niczego podejrzanego, otworzył je więc i znalazł kolejną izbę koszarową z dwudziestoma starannie zasłanymi, pustymi pryczami.

– Dość dawno już tu nikogo nie było – stwierdził.

– Niezupełnie – odezwał się Gorath, wskazując coś pod ścianą. – To ślady jednego człowieka. Szedł tam. – Kiwnął dłonią ku przeciwległemu krańcowi pomieszczenia, gdzie wycięte w kamieniu schody wiodły ku dziurze w sklepieniu. Obok schodów, w pewnej odległości od pozostałych, stała samotna, nie zasłana prycza, a przy niej wielka szafa na ubrania, żadną miarą nie pasująca do otoczenia. Ozdobny mebel wykonano z polerowanego, polakierowanego drewna, a gdy James otworzył jego drzwi, zobaczył wewnątrz kilkanaście par drogich trzewików z doskonale wyprawionej skóry i rozmaite sztuki odzieży z kosztownych tkanin.

– Założę się, że tego łóżka używał elegant, który przewodzi tej bandzie rzezimieszków. – Książęcy giermek rozejrzał się po sali. – Przeszukajcie

pomieszczenie... może znajdziecie coś, co pozwoli nam odkryć, kim jest ten strojniś. A ja zajrzę na górę.

Idąc po schodach, przekonał się, że dalszą drogę zamykają mu duże, drewniane drzwi. Osadzono je w solidnych zawiasach i opatrzone zamkiem. Niedysiejszy krondorski złodziejczek rzadko miewał kłopoty z zamkami, ten jednak był dość skomplikowany, on zaś zarzucił pielęgnowany dawniej zwyczaj podróżowania z zestawem wytrychów.

– Owynie... co jest tam na górze?

Zapytany milczał przez chwilę, jakby przywołując w pamięci wizerunek lochów.

– Kolejna spizarnia albo magazyn, mniejszy, ale podobny do tego, a potem długi korytarz wiodący w głąb góry.

James zszedł na dół.

– Nasz ptaszek albo ukrywa tam coś przed swoimi ludźmi, albo się boi, że może tu trafić ktoś z góry.

– Nie sądzę, by chodziło o to drugie – odezwał się Owyn. – Ktoś musiałby zejść do starej twierdzy, i to nie przypadkowy wędrowiec, ale osoba, która wiedziałaby, jak otworzyć drzwi ze zbrojowni do pierwszego podziemnego korytarza... a poza tym większość górnych korytarzy została zawalona razem z lochem na wina.

– To znaczy, że zamknął te drzwi, by ukryć coś przed innymi.

– Może złoto – podsunął Gorath. – Zabójcom trzeba jakoś płacić.

– Słusznie – stwierdził James. – Znaleźliście coś?

– Tylko to – stwierdził Owyn, podając mu książkę.

James wziął podaną mu księgę i otworzywszy ją, przeczytał tytuł:

– *Dziennik Opata*. – Przerzucił kilka stron. – Wygląda na to, że jest to zbiór opowieści dotyczących historii twojej rodziny, – Podał księgę Owynowi. – W jaki sposób tu trafił?

– Nie mam pojęcia – odpowiedział Owyn. – Może zaginął, gdy wuj ewakuował twierdzę po ugaszeniu pożaru. Mógł ją znaleźć ktoś przeszukujący rumowisko.

– Zabierz ją ze sobą – polecił James. – Chętnie sobie dziś poczytam przed snem.

Wyprowadził ich tą samą drogą, którą tu przyszli.

Gdy James zaczął przesuwać prycze, Gorath nie wytrzymał.

– Czy to jakiś wasz zwyczaj, o którym nie wiem?

James uśmiechnął się szeroko.

– Być może nie masz tu żadnych innych Jastrzębi, ale jeżeli jest inaczej, ktoś wkrótce zauważy, że brak dwu ptaszków. Zakładam, że nie mogą ot tak sobie wychodzić bez pozwolenia. Jest więc wielce prawdopodobne, że gdy ktoś odkryje ich nieobecność, zechce tu przyjść, by sprawdzić, czy my trzej nie jesteśmy odpowiedzialni za ich zniknięcie. – Zabarykadowawszy drzwi pryczami, stwierdził: – Jeżeli będą postępowali jak zwykle. Jeden lub dwu wedrze się przez okno, a reszta spróbuje wejść drzwiami. Uderzą szybko i zdecydowanie, przez zewnętrzne drzwi i po schodach, zanim Piotr Szary zdąży się zerwać z łóżka, by zbadać przyczynę hałasu. Gdyby wszystko poszło zgodnie z ich planem, stary znalazłby tu nasze trupy i otwarte okno.

– Jeżeli przyjdą – zauważył Owyn z przekąsem.

Ależ przyjdą, przyjdą na pewno. – Uśmiechnął się James, – Jesteśmy jedynymi obcymi w okolicy, w dodatku wszędzie wtykamy nosy, zadajemy pytania i odwiedzamy Barona. Nie wiem tylko, czy przyjdą jeszcze dziś w nocy czy jutro. – Stłumił blask lampy, zostawiając tyle światła, by mógł czytać. Potem usiadł na podłodze i rozłożył przed sobą przyniesioną przez Owyna księgę. Młody mag wyjął z worka jeszcze jeden wolumin.

– Ja też postaram się wykorzystać ten czas na coś, czego dawno nie robiłem.

- Co to takiego? – spytał Gorath.
- Moja magiczna księga.
- Napisałeś księgę? – zdumiał się mroczny elf.
- Nie. Taką księgę prowadzi każdy adept magii. Zapisuje w niej myśli, spostrzeżenia i odkrycia. – Owyn wyjął z worka gęsie pióro i buteleczkę inkaustu. – Kiedy Nago trafił mnie tym swoim zaklęciem, coś poczułem... wiecie, niełatwo mi to wyjaśnić, ale usiłuję odkryć, jak on to zrobił. Myślę, że już niedługo będę mógł zrobić to samo co on.
- Jak będziesz mógł je wykorzystać? – spytał James, podnosząc wzrok znad księgi.
- Jeżeli mam rację, to powinno ono unieruchomić trafioną nim osobę... a może coś więcej.
- Znaczy... co? – spytał James z ciekawością w głosie.
- Myślę, że można nim zabić.
- Jeżeli za jego pomocą możesz kogoś unieruchomić – odezwał się Gorath – to czego więcej ci trzeba? Wyciągasz sztylet, podchodzisz i spokojnie podrzynasz mu gardło.
- Sądzę, że masz rację – stwierdził Owyn. – Kiedy byłem w Stardock, nasi nauczyciele nie zgłębiali z nami szczegółów dotyczących zastosowania magii do przemocy.
- Co było bardzo mądre – wtrącił James, ziewając. – Wolę nie myśleć, co by się stało, gdyby gromada młodzików zaczęła łązić po wyspie i walić w siebie ognistymi kulami lub miotać błyskawice. Wyobraź sobie efekt zwykłej karczemnej awantury...
- Owyn parsknął śmiechem.
- Może i masz rację. Co prawda niektórzy z uczniów mieli dwa razy tyle lat co ja. Opanowanie magii wymaga wielu lat pilnej pracy.
- Jeżeli w ogóle można ją opanować – rzekł książęcy giermek.

– Słyszałem, że udało się to Pugowi – rzekł Owyn.

James ziewnął po raz drugi.

– Owszem, widziałem, jak dokonywał wielkich rzeczy – przyznał, usiłując stłumić trzecie ziewnięcie. – Darujcie... ale nuży mnie to czekanie.

– No to się prześpij – zaproponował Gorath. – Ja będę czuwał.

– Dobrze znasz Puga? – spytał Owyn Jamesa.

– Owszem, kilka razy działaliśmy wspólnie. A co, nie widywałeś go w Stardock?

– Nie. Parę razy zdarzyło mi się widzieć go z daleka, w towarzystwie rodziny, ale większość czasu spędzał w swojej wieży, z dala od Stardock. Wykładami zajmowali się tam inni. Osobiście spotkałem go dopiero w Krondorze... ale to trwało krótko... wtedy, kiedy jego córka usiłowała wyczytać prawdę z umysłu Goratha.

– Nigdy jej nie spotkałem, choć mówią, że miła z niej dziewczyna – odparł James, kartkując swoją księgę. – Ale znam jej brata, Williama. Porządny z niego chłop. Szkoli się na oficera w gwardii Aruthy.

– Hmm... – odpowiedział Owyn, a James podniósłszy głowę, zobaczył, że młody mag pogrążył się w swoich notatkach.

Przez następne pół godziny książęcy giermek przeglądał leżącą na jego kolanach księgę.

– To najbardziej zwariowany zbiór liczb, dat i... niesłychanych wymysłów, z jakim się zetknąłem.

Owyn podniósł wzrok znad swojej księgi:

– Co masz na myśli?

– To, że wyliczono tu wszystkie urodziny i zgony, jakby ktoś kiedyś usiadł i za jednym zamachem opowiedział opatowi Cafrel historię rodu Cavell... ale potem, ni stąd, ni zowąd zaczynają się legendy o zaginionych skarbach, magicznych mieczach niezwyklej wprost mocy i klątwach...

– Brzmi to bardzo interesująco – stwierdził uprzejmie Gorath.

James parsknął śmiechem.

– Owszem – odpowiedział, odkładając książkę. – Zajmij się czuwaniem, a ja się trochę prześpię. Obudź mnie za dwie godziny.

Zawinął się w koce i zasnął. Owyn zapisywał coś pilnie w swojej księdze, a Gorath czuwał z dłonią na rękojeści miecza.

Mordercy zjawili się jednak dopiero następnej nocy. James czytał historię rodziny Cavell, Owyn zaś medytował na swojej pryczy i z zamkniętymi oczami usiłował przypomnieć sobie zaklęcie, jakim poraził go Nago. Gorath spał na podłodze, ponieważ przypadła mu ostatnia zmiana warty.

James usłyszał ciche skrzypnięcie i w następnym ułamku sekundy był już na nogach, wydobywając miecz z pochwy. Owyn został pchnięty przez dwu ciężkich drabów, próbujących wyłamać drzwi, i jednocześnie do środka izby z trzaskiem wleciały okiennice, pchnięte stopami zabójcy, który rozkołysawszy się na spuszczonej z kalenicy linie, zaatakował z zewnątrz.

Wskakujący przez okno zabójca uderzył Jamesa w pierś i giermek runął na Goratha. Owyn dźwignął się na kolana, a potem pochylił instynktownie, unikając cięcia mieczem. Za jego plecami z uporem pchano drzwi, próbując je otworzyć.

Oszołomiony młody mag usiłował przypomnieć sobie słowa stosownego zaklęcia i oto nagle zapłonęło przed nim wyraźnie, jakby wypisane ogniem. Uniósł rękę i wskazał palcem mordercę ponownie podnoszącego miecz. Z dłoni Owyna wystrzeliła purpurowo-szara sfera przetykana czarnymi błyskawicami, która uderzyła zabójcę w twarz. Ten znieruchomiał, jakby coś go nagle przekształciło w purpurowy kamień, a na jego skórze zatańczyły białe iskierki. Niedoszły morderca zdołał jeszcze tylko cicho jęknąć.

James tymczasem zerwał się na nogi i podbiegłszy do okna, przeszył mieczem drugiego z napastników. Nocny Jastrząb nadziany na ostrze stęknął głucho, puścił linę i runął na dziedziniec. Jego upadek zakończyło niemile dla ucha młaśnięcie.

Gorath zdążył już wstać i rzucił się, aby podeprzeć drzwi.

– Będziemy trzymali te drzwi? – spytał przez zęby.

– Gdy ci powiem, odskocz w tył i odciągnij tę ostatnią pryczę – stęknął James.

Owyn stał i gapił się na porażoną przez siebie ofiarę.

– Działa... działa! – szeptał oszołomiony.

James z całej siły walnął unieruchomionego czarem zabójcę płazem miecza w tył głowy i zwałił go na ziemię. Oplątująca draba pajęczyna błyskawic znikła bez śladu.

– Możesz to zrobić jeszcze raz?

– Nie wiem!

– No to z drogi! Teraz, Goracie!

Gorath wykonał polecenie, pomógł mu zresztą Owyn, ciągnąc pryczę w tę samą stronę. Dwa pozostałe łóżka same zaczęły się odsuwać pod naporem pchających z zewnątrz drzwi drabów.

– O ile znam moje ptaszyny – szepnął James – proponuję, byście padli na ziemię... już!

Towarzysze padli na podłogę tuż obok Jamesa. Drzwi otwały się z hukiem i rozległ się świst dwu puszczonej z kuszy bełtów. Śmignąwszy przez drzwi, nieszkodliwie wyleciały one oknem. James natychmiast skoczył na łóżko, które przed sekundą przesunęli Gorath i Owyn. Odbiwszy się od niego, wpadł na dwu mężczyzn stojących tuż za drzwiami i przewracając obu, posłał ich przez poręcz schodów na podłogę piętro niżej. Sam przewinał się przez tę poręcz, w ostatniej chwili chwytając się

pękniętego wspornika i unikając upadku. Miecz książęcego giermka z trzaskiem wylądował u stóp wychodzącego właśnie ze swej izby Piotra Szarego.

– Hola! Co tu się dzieje?!

James spojrział w górę i ujrzał nad sobą Nocnego Jastrzębia z uniesionym do cięcia mieczem. I nagle morderca wybałuszył oczy, a z piersi wyrósł mu sztych miecza Goratha. Ostatni z Jastrzębi przeleciawszy nad głową Jamesa, z trzaskiem rąbnął o podłogę i znieruchomiał.

– O jerum pajtasz! – jęknął oberżysta. – Co tu się wyrabia?

James wisiał nad parterem, trzymając się jedną ręką złamanego wspornika schodów.

– Mój dobry Goracie... – zaczął. – Czy nie zechciałbyś... Potężna doń Goratha chwyciła go za pas i moredhel jednym ruchem postawił książęcego giermka na balkonie.

– Dziękuję – stęknął James, rozcierając ramię i zbiegając po schodach. – Jestem już za stary na takie rzeczy.

– Co to za łaskoty tam na górze? – dopytywał się oberżysta. James ukląkł obok ciała ostatniego z zabójców i zaczął przeszukiwać jego kieszenie.

– Ci ludzie chcieli nas pozabijać – stwierdził spokojnie.

– Raczyliśmy stawić opór.

– Cóż... – zaczął oberżysta. – Cóż... ja... – Po chwili dokończył niezwykle treściwie: – Eee... tego...

Mości Piotrze... – odezwał się James władcym tonem – każcie komuś tu posprzątać. Nie jest to widok, który pomaga gościom utrzymać zjedzone posiłki na miejscu.

Oberżysta odwrócił się i ruszył, by wykonać jasne i zrozumiałe dlań polecenie.

– Ty – zwrócił się James do Owyna. – Ruszaj do wuja i powiedz mu, żeśmy wytlukli prawie wszystkie ptaszki, które nań czyhały.

– Myślę, że taką wieść przyjmie z entuzjazmem – odpowiedział Owyn – nawet zbudzony w środku nocy.

Gdy Owyn wyszedł, Gorath spytał Jamesa:

– Czemu użyłeś zwrotu: „prawie wszystkie ptaszki”?

James wstał, nie znalazłszy przy ciałach niczego ciekawego.

– Myślę, że został nam jeszcze jeden Nocny Jastrząb. A przynajmniej jeden, który się liczy.

– Herszt bandy?

– Owszem.

– I jak zamierzasz go znaleźć?

– Wcale go nie będę szukał – odpowiedział James, szelmowsko się uśmiechając. – Sam do nas przyjdzie. Myślę, że pod koniec tygodnia, kiedy pewien amator szachów przybędzie, by złożyć wyrazy uszanowania kuzynce Owyna.

Gorath przez chwilę o czymś rozmyślał, a potem kiwnął głową.

– Wszystkie tropy prowadzą do niego, ale jak mu to udowodnisz? Oskarżysz go publicznie?

– Tym się różnimy od waszego ludu – stwierdził James – że u was, jak sądzę, publiczne oskarżenie ma swoją wagę. Ten człek nie ma jednak honoru. To łotr, który czai się w mroku i zabija od tyłu, kryjąc się za drzewami. Po prostu zaprzeczy wszelkim oskarżeniom i tyle.

– No to jak go zmusisz do złożenia zeznań? Weźmiesz go na męki?

James parsknął śmiechem.

– Zawsze uważałem tortury za wątpliwy środek przy dochodzeniu do prawdy. Fanatyk umrze do końca załgany, a niewinny przyzna się, by oszczędzić sobie mąk.

– Ja jednak odkryłem swego czasu, że tortury, zastosowane właściwie i z umiarem, mogą zaowocować ciekawymi wyznaniem, Nie wątpię – odparł James, patrząc na Goratha na poły z rozbawieniem, na poły z obawą.

Tymczasem wrócił Piotr Szary z dwoma stajennymi i jednym sługą. Ujrzawszy trupy, służba natychmiast otrząsnęła się z sennej ślamazarności.

– Zabierzcie ich na tyły i spalcie ciała – polecił oberżysta, Gdy uprzątnięto trupy, Piotr spojrział na wyłamaną poręcz schodów. – Kto zapłaci za naprawę? – spytał ponuro.

– Ja – odpowiedział James, wyjmując złotą monetę z sakiewki. – Jeżeli znajdę człeka, który jest za to wszystko odpowiedzialny, odbiję sobie straty na nim. Nie ma potrzeby obciążania was kosztami nocnych burd.

– Dziękuję waszmości – odpowiedział Szary z ulgą w głosie, Wkrótce wrócił Owyn z wujem – odzianym w bieliznę i owiniętym w obszerną opończę. Baron nie zdążył nawet wdziać butów.

– Pozabijaliście tych obwiesiów? – spytał.

– Jestem pewien – rzekł James – że pozbyliśmy się prawie wszystkich łotrów z okolicy.

W pierwszej chwili Baron Corvallis nie posiadał się ze szczęścia. Ale chwilę potem dobry humor go opuścił.

– Prawie? – spytał.

– Mamy jeszcze jedną rzecz do załatwienia w Szóstek – odpowiedział spokojnie James. – Jak się z tym uporamy, Wasza Lordowska Mość będzie mógł zapomnieć o Nocnych Jastrzębiach.

– Owynie – stwierdził Baron, który usłyszawszy oświadczenie Jaraesa, znów się rozpromienił – trudno mi sobie wyobrazić lepsze i pomyslniejsze przebudzenie. Poślę list do Aruthy – zwrócił się do Jamesa – i opiszę, jak dobrze się tu dzisiaj spisaliście.

– Dziękuję Waszej Lordowskiej Mości, aczkolwiek sam wyślę raport do Księcia – stwierdził James.

– Bez fałszywej skromności, mój chłopcze. – Baron kordialnie położył dłoń na ramieniu książęcego giermka. – Nie uchylaj się od pochwał, gdy na nie w pełni zasłużyłeś. Nie musisz do końca życia być drobnym szlachetką. Kto wie... jeśli zaskarbisz sobie wdzięczność kogoś wpływowego, może któregoś dnia zostaniesz Baronetem... albo i Baronem.

– Kto wie... – przytaknął James z uśmiechem.

– No... tak – stwierdził Baron, ruszając do drzwi. – Zechciej dostarczyć tym panom wszystkiego, czego będą potrzebowali – zwrócił się do Piotra Szarego. – Nie umiem wyrazić, jak bardzo jestem rad – powiedział jeszcze do Owyna. – Z niecierpliwością będę czekał na Szóstek.

– Co teraz? – spytał Owyn, gdy arystokrata opuścił oberżę.

– Myślę – odparł James, rozejrzawszy się po rumowisku – że powinniśmy się trochę przespać.

Podniósł swój miecz z miejsca, gdzie upadł, wytarł go o koszulę ostatniego z martwych drabów, a gdy Szary wrócił do izby ogólnej, powiedział:

– Mistrzu Piotrze... tam na górze jest jeszcze jeden nieboszczyk. Każcie zabrać i jego.

– Niech mnie grom spali! – sapnął oberżysta.

– Jest! – stwierdził Owyn, pospiesznie wchodząc do komnaty. Gorath i James leżeli jeszcze na łóżkach, usiłując odzyskać siły po wyczynach poprzedniej nocy.

– Jesteś pewien, że to on? – spytał James.

– Dandys, pięknie odziany... Ugyna jedzie obok niego z głową na jego ramieniu... głównie dlatego, że to irytuje jej ojca.

– To nasz człowiek – ucieszył się James. – Postarajmy się wyglądać na nieźle wstawionych...

Szybko zbiegli po schodach i zajęli jeden z bocznych stolików, oddzielony od reszty barierką. Wszystko już było przygotowane, tak jak sobie tego życzył James. Na stoliku rozłożono szachownicę, a na niej wedle wskazówek Jamesa ustawiono figury. Nieopodal stało kilka pustych kufli. Książęcy giermek skinieniem dłoni wezwał Piotra, by ten przyniósł trzy następne.

Owyn usiadł naprzeciwko Jamesa.

– Mam nadzieję, że nie każesz mi grać, bo nie mam o tyra pojęcia, Doskonale – odpowiedział James. – Jedyne, co masz robić, to gapić się z głupim wyrazem twarzy.

Owyn zmarszczył brwi.

– Nie uwierzysz, jak łatwo mi to przyjdzie.

Chwilę później otworzyły się drzwi i do obojga niemal tanecznym krokiem weszła Ugyna, podtrzymywana pod ramię przez osobnika, którym mógł być jedynie Navon du Sandau. Wyglądał tak, jak sobie go James wyobrażał. Był wysoki i odziany w czerń, Na szyi nosił czerwoną szarfę. Miał pięknie trefioną bródkę, w uchu kolczyk z diamentem i kilka złotych łańcuchów na piersi. Poruszał się lekko i sprężysto, trzymając lewą dłoń na rękojeści rapiera. James natychmiast spostrzegł, że bogato zdobiona rękojeść była też funkcjonalna, mocna i często używana, głownia zaś z pewnością starannie naoliwiona i naostrzona niczym brzytwa. Du Sandau używał rapiera – i był drugim po Księciu Arucie człowiekiem, który czynił to z własnego wyboru. Rapier, lekki i śmigły, okazywał się śmiertelnie niebezpieczną bronią w dłoniach doświadczonego szermierza, nowicjusza jednak, który zechciałby go użyć, narażał się na duże niebezpieczeństwo.

James nie żywił cienia wątpliwości – miał przed sobą mistrza, – Owynie – odezwała się Ugyna, podchodząc bliżej – chciałabym, żebyś kogoś poznał.

Owyn podniósł na nią udęczone spojrzenie.

– W samą porę! Oszczędzisz mi upokorzenia.

Ugyna przedstawiła Navonowi Jamesa, Owyna i Goratha.

– A to mój przyjaciel, Navon du Sandau – stwierdziła, ujmując młodzieńca pod ramię.

James kiwnął głową, robiąc co w jego mocy, by wyglądać na mocno już podpitego, a potem spojrzął na Owyna. Ten przyjrzał się szachownicy i rzekł:

– Chyba powinienem się poddać.

– Nie rezygnujcie – odezwał się Navon z uśmiechem. – Wasza pozycja jest trudna, ale nie beznadziejna.

Owyn spojrzął na Jamesa, który znów lekko kiwnął głową.

– Może zechcecie skończyć tę partię za mnie? – zwrócił się młody mag do Navona. – Ja już niczego mądrego nie wymyślę.

– Jeżeli imć James nie wyrazi sprzeciwu... – odezwał się Navon.

– A, co mi tam. – Wzruszył ramionami James. – To tylko przyjacielska partia, bez żadnych stawek...

Owyn wstał i ustąpił miejsca Navonowi. Ten przez chwilę przyglądał się figurom.

– Mój ruch? – zapytał w końcu.

– Owszem. – James kiwnął głową. – Czarne zaczynają i... przegrywają.

Navon jeszcze przez chwilę przyglądał się szachownicy, aż wreszcie wykonał ruch, którego zresztą James się spodziewał. Książęcy giermek zdawał sobie sprawę z faktu, iż przybysz jest dużo lepszym od niego graczem, ale ustawił figury dokładnie tak, jak podczas partii, którą rozegrał

z ambasadorem Keshzańskim, Lordem Abdur Rachmanem Memo Hazara–Khanem, tyle że wtedy grał czarnymi, jak teraz Navon. Ambasador bardzo uprzejmie i dokładnie wyjaśnił mu potem błędy, jakie popełnił podczas gry, a on wszystko sobie dokładnie zapamiętał. Navon wykonał teraz dokładnie taki ruch, jaki – wedle słów Hazary–Khana – powinien był wtedy wykonać James.

Tymczasem Ugyna pokazywała Owynowi srebrną broszę z maleńkim szmaragdem.

– Popatrz, co mi Navon przywiózł.

Owyn kiwnął machinalnie głową, pilnie przyglądając się partii. Obaj gracze starannie wazyli w myślach każde posunięcie. Po trzech dalszych ruchach James stwierdził, że jeżeli partia dalej potoczy się tak, jak tego należało oczekiwać, Navon w końcu ją wygra. Gdyby nie jego początkowa przewaga, przybysz w ogóle nie musiałby się zastanawiać nad posunięciami.

Gorath wstał leniwie, jakby wszystko to mocno go już znudziło, i powoli ruszył ku drzwiom.

– Zaraz wracam – rzekł, nie zwracając się do nikogo w szczególności, i znikł za drzwiami.

Był to sygnał dla Owyna.

– Ale, ale... Ugyno, pamiętasz tę starą rodzinną księgę?

– Jaką księgę? – spytała dziewczyna.

– Tę z dziwnymi historiami. Pokazywałaś mi ją, kiedy byliśmy dziećmi. Spisał ją jakiś kapłan...

– Aaaa... – przypomniała sobie Ugyna, otwierając szerzej oczy. – *Dziennik Opata*. Owszem, pamiętam. Zabawne, ale jakiś czas temu pożyczyłam ją Navonowi, by mógł się dowiedzieć czegoś więcej o naszej rodzinie.

– Szkoda... – stwierdził Owyn. – Miałem nadzieję, że przypomnę sobie historie przeczytane w dzieciństwie.

Podczas tej wymiany zdań James uważnie przyglądał się przeciwnikowi. Jeżeli Navon słyszał rozmowę, to miał stalowe nerwy. Nie drgnęła mu nawet powieka i najmniejszym ruchem nie dał po sobie poznać, że wie, o czym mowa. Uporczywie wpatrywał się w rozłożoną przed nim szachownicę.

– Mości Navonie – zwrócił się Owyn do szachisty. – Macie ze sobą tę książkę?

– Co takiego? – spytał Navon z roztargnieniem. – Jaką książkę?

– Dziennik rodzinny – wyjaśniła Ugyna. – Ten, który ci pożyczyłam przed miesiącem.

– A... tę książkę – odpowiedział obojętnie Navon. – Nie, zostawiłem ją w domu. Przywiozę ci ją w przyszłym tygodniu.

James znów lekko kiwnął głową, a Owyn odpowiedział mu lakim samym gestem, po czym sięgnął do swego leżącego na podłodze za Navonem worka i wyjął z niego księgę, o której mówiono. Jakby nigdy nic, położył ją na stole obok szachownicy. Navon poderwał się błyskawicznie z miejsca, przewracając stół i Jamesa. W następnym ułamku sekundy łokciem zadał Owynowi potężny cios w szczękę.

– Navonie! – zachnęła się zdumiona Ugyna. – Co ty wyprawiasz?;

Opryszek chwycił ją za ręce i zręcznie wykręciwszy jej ramię za plecy, zaczął się cofać ku drzwiom, trzymając ją przed sobą. James skoczył na równe nogi, błyskawicznie wyciągnął miecz... i zatrzymał się jak wryty.

– Precz! – zagrzemiał Navon. – Albo ją zabiję!

– Ty zbójcu! – wrzasnęła Ugyna i z całej siły nadepnęła opryszkowi na stopę. Du Sandau cofnął się z jękiem, a ona zręcznie uskokczyła w bok.

To wystarczyło Jamesowi. Błyskawicznym ruchem chwycił dziewczynę za ramię i szarpnąwszy, usunął ją z zasięgu Navona. Ten obejrzał się za siebie.

– Wasz elfi przyjaciel pilnuje drzwi, prawda? – Przesunął się w bok, opierając się plecami o ścianę.

James ruszył nań, trzymając miecz w pogotowiu.

– Odłóż to, bratku, a pogadamy. Mam kilka pytań.

– Jak tylko cię zobaczyłem – stwierdził Navon – wiedziałem, że będą kłopoty. Jesteś bardzo podobny do tego drania Lysle’a Riggersa z Krzyża Malaka.

– Już mi to mówiono. – Uśmiechnął się książęcy giermek.

– Podejrzewam, że to wyście wybili moich ludzi.

– Przykro nam, ale nie mogliśmy pozwolić na to, by dalej robili swoje. Choć to jeszcze nie koniec roboty...

Navon skoczył przed siebie i pchnął. James sparował atak i natychmiast zrozumiał, że ma do czynienia z mistrzem. Jediną pociechą dlań mogło być to, że przez ostatnie dziesięć lat ćwiczył z najlepszymi szermierzami Królestwa. Starcie było krótkie i gwałtowne: pchnięcie, zastawa, kontra, nowe pchnięcie – i obaj przeciwnicy odskoczyli w tył.

– Nieźle – stwierdził Navon z podziwem w głosie. – Przypuszczam, że nie ma co liczyć na to, byś zechciał zejść mi z drogi i pozwolić skoczyć na siodło?

– Zbyt wiele ciąży na tobie, Navonie. A może powinienem rzec... Neville’u?

– Neville’u? – sapnęła Ugyna.

Oczy Navona rozwarły się szerzej i po raz pierwszy na jego twarzy pojawił się wyraz lekkiej niepewności.

– Mów sobie, co chcesz, Jamesie z Krondoru. Wkrótce nie będzie to miało żadnego znaczenia. – I du Sandau natarł gwałtownie, tnąc z góry i z dołu. Kombinacja pchnięć i cięć odrzuciła Jamesa w tył. Niewiele brakło, a księżęcy giermek dalby się zabić, z najwyższym trudem zdołał jednak odeprzeć atak i Navon zmienił kierunek natarcia.

James uniknął pchnięcia i przedostawszy się poza osłonę przeciwnika, prawie go trafił. Po błyskawicznej wymianie cięć obaj odstepili od siebie – spoceni, zdyszani i świadomi tego, że każdego z nich los postawił naprzeciwko nie lada gracza.

Owyn odepchnął Ugynę w stronę kuchni.

– Nie podchodź za blisko.

– Twój przyjaciel nazwa Navona Neville'em. Co to wszystko znaczy?

– Znaczy to, kochana siostrzyczko – odezwał się ze swego miejsca przeciwnik Jamesa – że wprowadzono cię w błąd. Miałaś myśleć, że nie żyję.

– Sostro! – wrzasnęła Ugyna, szarpiąc się z usiłującym ją wepchnąć do kuchni Owynem. – Mój brat nie żyje!

– Wszystko ci wyjaśnię... jak tylko zabiję tego tutaj twego przyjaciela.

Przeciwnicy znów rozpoczęli zajadłą wymianę ciosów. Każde pchnięcie natykało się na zastawę, a każda riposta trafiała na kontrę. Wpadli w ten sam rytm i każdy czekał na błąd przeciwnika. Po dwu minutach James zrozumiał, że ten, kto go popełni pierwszy, niechybnie zginie.

Przesuwali się w tył i w przód, dając popis szermierki, jakiego nikt jeszcze w Cavell nie widział. Owyn usiłował zająć pozycję, z której mógłby wesprzeć Jamesa, stwierdził jednak, iż ruchy obu przeciwników są tak szybkie, płynne i precyzyjne, że próba wtrącenia się w ten śmiertelny taniec mogłaby się dla jego przyjaciela skończyć fatalnie.

James odrzucił w tył mokrą, spoconą czuprynę. Pochylił się i wysunął przed siebie ostrze, gotów do odparcia ataku.

– Jesteś bardzo zręczny – stwierdził człowiek, który kazał nazywać siebie Navonem du Sandau. – Szachy i miecz... rzadka kombinacja.

– Miałem dobrych nauczycieli – odparł James, korzystając z chwili wytchnienia, by złapać oddech. Uważnie przyglądał się każdemu posunięciu przeciwnika, usiłując odgadnąć, jaki ruch wykona za chwilę.

Navon zatrzymał się na sekundę, też chrapliwie chwytając ustami powietrze. Przez ułamek sekundy James chciał zaatakować... i nagle zrozumiał, że przeciwnik właśnie na to czeka. Navon potwierdził to przypuszczenie, lekko opuszczając swój rapier, jakby zmęczenie zaczynało brać nad nim górę. Książęcy giermek postanowił zaryzykować.

– Gry w szachy uczył mnie ambasador Wielkiego Kesh – powiedział.

– Hazara-Khan! – Uśmiechnął się Navon. – Bardzo chciałbym z nim zagrać. Słyszałem, że jest najlepszym szachistą na świecie.

– Odłóż rapier, a załatwię ci kilka partii. Oczywiście, będziecie grali w lochach Krondoru! – Z tymi słowy książęcy giermek rzucił się do celowo źle przeprowadzonego ataku. Tak jak się tego spodziewał, odpowiedź Navona była natychmiastowa i piekielnie niebezpieczna. Jamesa uratowała tylko jego błyskawiczna reakcja.

– Niewiele brakło – uśmiechnął się Navon.

– Ja trafiam lepiej – odparł książęcy giermek, teraz już świadomy możliwości przeciwnika.

– A kto cię uczył szermierki?

James zaczął kolejny sygnalizowany atak, uderzając z góry, z rękojeścią uniesioną nad sztychem, tak że mogło się wydawać, iż zamierza pchnąć w dół. Navon odpowiedział dokładnie tak, jak James tego oczekiwał – i gdyby książęcy giermek odskoczył w tył, co uczyniłaby większość ludzi w jego

sytuacji, du Sandau przeszyłby go na wylot. James jednak niespodzianie przechylił się do przodu i lewą dłonią wsparł się o podłogę, przepuszczając ostrze Navona nad plecami. Rapier herszta opryszków przeciął koszulę na grzbiecie krondorczyka. James tymczasem przekręcił dłoń i pchnął ku górze, trafiając Navona w pierś.

Herszt Nocnych Jastrzębi zamarł na chwilę z wytrzeszczonymi oczami.

– Szermierki uczył mnie Książę Arutha – rzekł James z dumą w głosie.

Gdy książęcy giermek cofnął swe ostrze, du Sandau runął na kolana. Przez chwilę zdumiony wpatrywał się w Jamesa, a potem jego źrenice powlokły się mrokiem i niczym bezwładna kukła upadł na twarz.

James opuścił miecz i ukląkł, by zbadać ciało Navona.

– Trup – stwierdził po chwili, odejmując dłoń od szyi niedawnego przeciwnika.

– Co się stało? – spytała drżącym głosem Ugyna, stojąca teraz za barem obok Piotra Szarego.

– Wyjaśnimy ci wszystko później – odezwał się James wstając. – Teraz muszę z Owynem dotrzeć do twego ojca. Nadal mamy do wyjaśnienia pewną tajemnicę.

Owyn podbiegł do drzwi.

– Ależ uważaj... – zawołał James.

Gdy młody mag otworzył drzwi, wyleciała z za nich pięść Goratha, która uderzając niczym młot, wrzuciła go ponownie do izby, – ...na Goratha! – dokończył książęcy giermek. Podniósłszy się, podszedł do miejsca, gdzie leżał Owyn. Potrząsając głową, zwrócił się do Ugyny: – Panienko... czy mogłabyś sprowadzić tu waszego ojca?

Gdy dziewczyna wybiegła, by spełnić jego prośbę, do Jamesa podszedł Piotr Szary.

– Zechciejcie mi wybaczyć... wielmożny panie. Nie wiem, jak to rzec... ale naprawdę trzeba mi prosić, byście zechcieli wyjechać.

James spojrzał na pechowego oberżystę.

– Rozumiem.

Blady niczym gieźło Baron Corvallis przybył, gdy służba usuwała z oberży trupa człowieka, który używał imienia Navon.

– Milordzie – odezwał się James. – Mamy tu pewną tajemnicę i musimy ją sobie wyjaśnić.

– Co tu się stało? – spytał Baron.

– Ojcie... – odezwała się Ugyna. – On nazwał Navona Neville'em.

Baron zrobił minę, jakby miał lada moment zemdleć.

– Neville'em?

James skinieniem dłoni poprosił arystokratę, by usiadł.

– Panie... popełniono morderstwo, nie teraz, ale wiele lat temu. Zechciejcie nam opowiedzieć o tym du Sandau... i co się stało w piwnicy na wino.

Baron osłonił dłonią oczy i pochylił się, tak że James myślał przez chwilę, iż stary płacze. Kiedy jednak Corvallis odjął dłoń od oczu, ksiązący giermek ujrzał w nich ulgę.

– Ugyno, on był twoim bratem. Dlatego właśnie tak się upierałem, byś się z nim nie widywała. Adorował cię tylko po to, by ranie rozjuszyć.

– Nie rozumiem – stwierdziła dziewczyna.

– Neville był twoim bratem – powiedział James. Spojrzał na Barona. – Ale nie był synem twojego ojca.

Na twarzy Barona pojawił się rumieniec. Corvallis kiwnął głową, jakby nie miał siły przemówić.

– Popytałem trochę tu i tam – ciągnął James. – Ludzie bardzo chętnie dzielą się z innymi swymi domysłami. Wydaje się, że człowiek, którego

wynajął twój ojciec, ten du Sandau, był w równej mierze rzeźbiarzem, co kamieniarzem. Miał też wielkie powodzenie u kobiet. Zgodnie z tym, co mi powiedziała pewna staruszka, był to człek wysoki, przystojny i śmiały... z tych, co to się bardzo podobają kobietom.

Twarz Barona powlekła się czerwienią.

– Moja matka... zdradziła ojca? – spytała Ugyna.

– Bywa tak czasem i w najlepszych rodzinach – stwierdził filozoficznie James.

Dziewczyna spojrzała na ojca jak na obcego człowieka.

– Kazałeś zabić tego du Sandau?

– To miał być wypadek – odpowiedział Baron słabym głosem. – Nie wiem, jak to się stało, ale wszystko wymknęło się spod kontroli. Zginęło przy tym kilku ludzi! I – jak wtedy myślałem – Neville. Nie wiedziałem, że chłopak polazł tam na dół! – stwierdził Baron, jakby nagle rozeźlony. Uderzył dłonią w stół. – Próbowałem... próbowałem traktować go uczciwie! – Spojrzał na Ugynę. – Po tym, jak rzecz się wydała, nigdy już nie mówiłem o tej sprawie z twoją matką. Próbowałem go wychować jak własnego syna!

Dziewczyna wstała.

– Nie znam cię. – Cofnęła się kilka kroków. – I nie chcę cię znać. – Odwróciła się i wybiegła z obozu.

– Mości Baronie – odezwał się James. – Mamy inne pilne sprawy, ale o wszystkim tym wspomnę w raporcie do Księcia. Proponuję, byście odwiedzili waszego seniora w Romney, a może i samego Króla. Obu im jesteście winni przyznanie się do winy... myślę też, że trzeba wam będzie uporządkować swoje sprawy. Wątpię, by Król pozwolił wam zatrzymać tytuł Barona. Może byłoby też dobrze, gdybyście odesłali Ugynę na pewien czas do rodziny Owyna.

– Co się stało? – spytał młody mag, odzyskując świadomość.

– Przepraszam, ale spodziewałem się kogoś innego – rzeki Gorath, pomagając mu wstać. – Przykro mi. – W istocie zabrzmiało to tak, jakby moredhelowi było przykro.

Owyn potarł lekko spuchniętą szczękę.

– Drobiazg, do wesela się zagoi. – Rozejrzał się dookoła, – Co się stało?
– powtórzył pytanie.

– Opowiemy ci w drodze.

– W drodze dokąd?

James pokazał mu klucz, który odnalazł przy ciele Navona.

– W drodze do Wodospadu Cavell.

Kiedy wejście zostało ponownie otwarte, a Owyn zeskoczył z półki na ziemię, James zaczął wyjaśnienia:

– Wiedziałem, iż tylko członek rodziny zdolny byłby otworzyć to przejście z zewnątrz. Jeżeli miejscowe wiejskie dzieciaki nie potrafiły znaleźć przejścia, tym bardziej nie mogłyby go odszukać obcy, jakim był Navon du Sandau z Kenting. Popytałem więc tu i tam. W końcu uzyskałem wszystkie wskazówki, jakie mi były potrzebne – stwierdził, kiedy ponownie wkraczali do mrocznego tunelu. – Mieliśmy okazję poznać Barona. Nie trzeba zbyt wielkiej wyobraźni, by uznać, że Baronowa mogła ulec przystojnemu, przedsiębiorczemu i miłemu człowiekowi, choćby był to zwykły kamieniarz. I tak... na świecie pojawił się Neville. Baron odkrył, że nie on jest ojcem dziecka, postanowili jednak z małżonką, iż nie wyjawią nikomu prawdy... ale za każdym razem, gdy widział chłopaka, piekło go wspomnienie zdrady. Tak więc po dziesięciu latach znoszenia upokorzeń godzących w jego męskość postanowił zwabić uwodziciela do podziemi, zaaranżować wypadek i w ten sposób się zemścić. Na nieszczęście wszystko to nie uszło uwagi chłopca.

– Mnie wtedy nie było w zamku, a Ugyna sama nie umiała otworzyć wejścia z zewnątrz – stwierdził Owyn.

– Może zresztą i sam Baron nie wiedział, gdzie jest kamień, który trzeba przesunąć, by odblokować wyjście. Nie mam pojęcia i w zasadzie wcale mnie to nie interesuje. Zabił co najmniej czterech ludzi i pójdzie za to pod sąd.

Dotarli do podziemnych sypialni i skierowali się ku schodom zakończonym drzwiami z zamkiem.

– Neville zdołał jakoś znaleźć drogę do wyjścia. Podejrzewam, że był okaleczony i przerażony. Nigdy się nie dowiemy, jak tego dokonał, ale udało mu się przebyć podziemia i wyjść na zewnątrz. Ktoś go tam znalazł i chłopak przeżył. Może odnalazł go jakiś Jastrząb, a może zetknął się z nimi później. Mogło być i tak, że młody, przedsiębiorczy chłopak postanowił skorzystać ze sposobności i przejąć władzę nad Jastrzębiami, gdy przed dziesięciu laty Arutha przepędził ich z Krondoru. W tamtym czasie niedobitki tego niezbyt godnego szacunku stowarzyszenia szukały akurat jakiegoś postronnego miejsca, by wylizać rany, jakie im zadali gwardziści Aruthy. Jastrzębie zmieniły twarz młodzieńca na tyle, by ci, co go znali, nie zdołali go rozpoznać, Niektórzy ludzie zresztą sami bardzo się zmieniają pomiędzy jedenastym a dwudziestym drugim rokiem życia. A może użyto tu magii. Jak już powiedziałem, nigdy się tego nie dowiemy. Wiemy jednak, że istniały związki, które odziedziczył Neville – pomiędzy Nocnymi Jastrzębiami, moredhelami i Pantathianami. Usłyszawszy wzmiankę o Wężowych Kapłanach, Gorath prawie splunął:

– Niech będą przeklęte Węże i ich magia z gorących krain. Nigdy ich nie cierpialem.

– Murmandamus jednak uważał, że są użyteczni – stwierdził James, który nie wiedział, iż wódz moredhelów był w istocie Wężem o zmienionej

magicznie powierzchowności, by wyglądał jak jeden z ziomków Goratha.

Książęcy giermek sięgnął do zamka i wetknął weń klucz zabrany Navonowi. Klucz obrócił się lekko, zamek ustąpił i James podniósł klapę w sklepieniu. Odsunawszy ją i wszedłszy po schodach, znalazł się w prywatnych kwaterach herszta Jastrzębi. Wyrzwał przez drzwi po przeciwnej stronie i ujrzał tam opustoszałą i nie używaną od lat wartownię. W niewielkiej bocznej komnatce natknął się na skrzynię pełną złota, klejnotów i rozmaitych dokumentów.

Nie zwracając uwagi na drogocенności, zaczął przeglądać pisma.

– Tam do kata! – sarknął po chwili.

– Co się stało? – spytał Owyn.

– Northwarden! Delekhan zamierza uderzyć przez Northwarden!

– Skąd wiesz? – spytał Gorath.

James milczał przez chwilę, uniesioną dłonią prosząc przyjaciół o chwilę ciszy.

– A wiecie, że to ma ręce i nogi? I wyjaśnia, czemu ktoś chciał, by panował tu chaos, a także skąd te zabójstwa.

Jeżeli Delekhan przekroczy Northwarden, ruszy wzdłuż rzeki Vosny, płynącej obok północnych podnóży gór Calara i przez Przełom Mastak. Stamtąd jest już niedaleko do źródeł rzeki Rom. Delekhan znajdzie się o kilka dni drogi od Romney! – James spojrział na Owyna i Goratha. – Stąd te zamieszki w Romney! Zależy mu na tym, by miasto pogrzyło się w chaosie, bo wtedy nikt nie zorganizuje skutecznego oporu.

– Ale dlaczego Romney? – spytał Owyn.

– Bo z Romney można popłynąć nurtami Rom na południe, a gdy rzeka skręci na południowy wschód, Delekhan wysadzi swe wojska na brzeg i pomaszeruje prosto na Sethanon. Bardzo dogodny teren. Same równiny i niezbyt gęste lasy.

– A spalenie twierdzy Cavell i zajęcie przejścia pod górami... – wpadł mu w słowo Owyn.

– ...to działanie wspomagające. Nie chce zostawić za sobą żadnego umocnionego punktu.

James wstał i ruszył schodami w dół.

– Trzeba nam natychmiast ruszać.

Owyn i Gorath skoczyli za nim.

– Dokąd?

– Ja zmierzam do Northwarden – odparł James. – Muszę ostrzec Barona Gabot o napaści. Wy musicie dostarczyć te dokumenty Arucie. – Książęcy giermek podał Owynowi trzy pergaminowe zwoje.

– Arucie? – Owyn potrząsnął głową. – Jeżeli nie skorzystamy z tej twojej tsurańskiej sfery, to powrót do Krondoru zajmie nam kilka tygodni.

– Aruthy nie masz w Krondorze, więc sfera na nic nam się nie przyda – stwierdził James, gdy wszyscy dotarli do wyjścia przy wodospadzie. – Obozuje z większą częścią swojej armii na północnych rubieżach Mglistej Kniei Dimwood i czeka na wieści o tym, w którym kierunku pójdzie uderzenie nieprzyjaciół, by w razie czego ruszyć z pomocą obrońcom. W tydzień po otrzymaniu wiadomości może być pod Tyr–Sog, Highcastle lub Northwarden.

– A ty chcesz, byśmy go skierowali pod Northwarden?

– Nie inaczej – odpowiedział James, gdy ślizgali się po mokrych skałach ku miejscu, gdzie zostawili konie.

– A jak nam nie uwierzy? – spytał Gorath. – Kiedy ostatnio się z nim widziałem, odniosłem wrażenie, że mi nie ufa.

– Ufa ci w większym stopniu, niż po sobie pokazał – stwierdził James. – Pozwól, że dam ci radę. Nigdy nie graj z nim w karty. Tak czy owak, jeżeli

będzie miał wątpliwości, powiedzcie mu: „Jest zabawa w Mateczniku”. To dla niego sygnał, że wiadomość pochodzi ode mnie.

– Dziwne to, ale zrobimy, jak chcesz – zgodził się Owyn.

– Jamesie – odezwał się Gorath – jeżeli Książę jest w Dimwood, tam też pojawią się czołowe jednostki uderzeniowe armii Delekhana. Jeśli ostatecznym celem ma być Sethanon, wielu moich ziomków przemknie przez wąskie przełęcze i jary w górskich komyszach Kłów Świata, a potem zajmie się przygotowaniem dróg dla armii, która uderzy przyszłą wiosną.

– Jakbym nie wiedział – mruknął James. – Przypominam sobie podobną sytuację sprzed lat, kiedy wyprowadziliśmy załogę z Highcastle i przedzieraliśmy się przez High Wold, a potem wedle Dimwood.

– A jeżeli zostaniemy pojmani albo zabici?

– No cóż... – odpowiedział James, wskakując na siodło. – Mogę wam tylko doradzić jedno.

– Co? – spytał Owyn.

– Nie dajcie się zabić ani pojmać – odpowiedział James zawracając konia i puszczając go galopem.

Owyn też wskoczył na siodło.

– Po drodze zatrzymajmy się, bym mógł wyprawić Uzynę do moich rodziców... i powinniśmy zabrać zapasy żywności.

– Mądre posunięcie – orzekł Gorath.

– Jak dotąd to jedyny mądry element całego planu – stwierdził Owyn.

ROZDZIAŁ 11

UCIECZKA

Ze zbocza góry stoczył się mały kamyk.

Zanim spadł na ścieżkę, w dłoni Goratha pojawił się miecz.

– Owynie! Uważaj! – syknął moredhel.

Młody mag wstał i wbił wzrok w ciemności, choć niewiele mógł zobaczyć, jako że przedtem długo wpatrywał się w płomienie. W mroku rozległa się komenda w języku, którego nie znał i nie rozumiał. Znaczenia przydała rozkazowi strzała, która zaraz potem ze świstem utkwiała w ziemi tuż przed nim.

– Nie stawiaj oporu! – ostrzegł Gorath. – Jesteśmy otoczeni.

W kręgu światła pojawiła się grupka ludzi i moredhelów. Jeden z tych ostatnich podszedł do Goratha, spojrzał mu w oczy i po chwili z całej siły uderzył go w twarz. Owyn był pewien, że gdzieś już go widział, nie potrafił jednak skojarzyć osoby z miejscem.

Zaraz potem moredhel podszedł do Owyna i przemówił w języku Królestwa.

– To ty spiskowałeś z tą chodzącą kupą śmiecia, by zabić mojego brata!
– I nagle twarz młodzieńca niemal rozpadła się w eksplozji bólu.

Oszołomiony padł na ziemię. Zrozumiał też natychmiast, że ma przed sobą brata maga Nago, którego zabili w Żółtym Mule.

– Człowieku! – odezwał się Narab. – Z radością nadziałbym twój łeb na ostrze piki i niósłbym go przed sobą, ciągnąc tego zdrajcę stąd do Sar-Sargoth, ale zostawię tę przyjemność Delekhanowi. Związać ich, napić

narkotykiem i wsadzić na konie! – rzekł, zwracając się do swoich kompanów.

Owyna podniesiono dość bezceremonialnie, po czym wiano mu w usta jakiś gorzki napitek. Próbował go wypluć, ale został uderzony, po czym napojono go ponownie – odciągnięto mu głowę w tył i zatkano nos, po czym, gdy tylko otworzył usta, by zaczerpnąć tchu, ponownie wmuszono weń gorzkie świństwo. Nie miał wyjścia i musiał je przełknąć. Kilka chwil później poczuł, że ramiona i nogi zaczynają mu ciążyć, jakby nalano w nie ółowiu, a w głowie ma okropny zamęt. Zaraz potem skrępowano mu ręce z tyłu, nałożono opaskę na oczy i brutalnie wrzucono na siodło. Kiedy usiadł, związano mu nogi pod końskim brzuchem, a ktoś wziął konia za cugle. Z ciemności wyłonili się inni ludzie i moredhele prowadzący konie. I zaczęła się podróż rodem z koszmaru...

Konie zmieniano wiele razy i Owyn przypominał sobie, że od czasu do czasu odpoczywano – choć nie umiałby powiedzieć, czy trwało to minuty, czy godziny. Zdawał sobie jednak sprawę z upływu czasu. Narkotyk najwyraźniej miał na celu zmącić mu umysł na tyle, by nie mógł używać magii. Kilka razy był świadomy tego, że środek przestaje działać, zaraz jednak aplikowano mu kolejną porcję. Raz zsunął się z siodła, przekręcił i przez dobrą chwilę wisiał prawie do góry nogami – aż musiano się zatrzymać i ponownie wsadzić go na koński grzbiet. Przywiązano go wtedy mocniej.

Czuł też pragnienie i głód, ale nie były one szczególnie dolegliwe. Przez cały czas trwał jakby zawieszony w szarej mgle, wstrząsanej ruchami konia. Potem zdjęto go z końskiego grzbietu i przeciągnawszy po zimnym, mokrym gruncie, wrzucono do jakiejś ciemnicy na szorstkie głązy. Leżał tam dość długo, od czasu do czasu odzyskując przytomność. Potem skończyły się nagłe skoki świadomości i ocknął się ogarnięty bólem.

Poruszywszy się ostrożnie, odkrył, że nogi ma wolne, choć zostawiono mu opaskę na oczach i sznury na związanych z tyłu rękach.

Usiadł i kilkakrotnie poruszył obolałymi, zeszywniałymi nogami. Wewnętrzne strony ud i łydek piekły go okropnie i zrozumiał, że przebył długą drogę, podczas której nie pozwalano mu siadać ani się prostować. Taka jazda byłaby ciężką próbą nawet dla człowieka świadomego tego, co robi – trwała około tygodnia i, o ile sobie przypominał, kilkakrotnie zmieniano pod nim konia. Dla człowieka oszołomionego i związanego stanowiła okropną męczarnię – i mógł się jedynie dziwić, że bogowie zechcieli go zachować przy życiu..

Wkrótce po tym, jak odzyskał świadomość, usłyszał łoskot ciężko podkutych butów, zgrzyt zawiasów i w sklepieniu pokazał się otwór, przez który weszli jego prześladowcy. Szorstkie łapy uniosły go z ziemi. Ruch ten młody mag skwitował jękiem bólu.

Zaraz potem zdjęto mu z oczu opaskę. Nawet przytłumiony blask trzymanej na zewnątrz celi pochodni boleśnie poraził mu oczy. Zmrużył powieki. Ktoś przeciął sztyletem rzemienie krępujące mu z tyłu nadgarstki, a kiedy ruszył ramionami, stawy przeszyły mu płomienie bólu. Niewiele brakło, a upadłby, ale podtrzymali go strażnicy.

– Powinno w nim zostać jeszcze tyle środka, by był nieszkodliwy – orzekł stojący przed nim Narab i odwrócił się. Owyna wyprowadzono z jego celi. Z sąsiedniej wynurzył się Gorath. Młody mag spostrzegł, że jego przyjaciel wcale nie jest w lepszej formie, choć porusza się nieco swobodniej.

Tunel był długi, mroczny i Owyn wyczuł, że znajdują się głęboko pod ziemią. Mimo że jego zdolności magiczne silnie stłumiono, wyczuł, że niegdyś znajdowało się tu siedlisko wielkiej mocy. Miejsce tchnęło

atmosferą odwiecznego zła – i mimo oszołomienia narkotykiem Owynem wstrząsnął dreszcz.

Szli przez długie, mroczne korytarze, aż dotarli do nieco rozleglejszego podestu u podnóża szerokich schodów. Potem powiedziano ich korytarzem w górę, do rozległej komnaty. Pośrodku niej stał masywny pusty tron, a po jego prawej stronie nieco niższy. Na tym ostatnim siedział rosły, potężnie zbudowany moredhel. Stanęli przed samym Delekhanem.

– Panie – odezwał się Narab. – Mam dla ciebie prezent! Strażnicy pchnęli Owyna i Goratha, tak że obaj runęli na twarze u stóp Delekhana.

– A któż to taki? – zagrzemiał moredhel, wstając i zatrzymując się przed Gorathem.

– Gorath z Ardaniarów! Schwytałem go. Przyznaj mi łaskę wycięcia jego serca z piersi, bym mógł pomścić śmierć mojego brata.

Twój brat był głupcem! – zawołał Delekhan. Podniósłszy wzrok, Owyn ujrzał szerokie oblicze o zaskakująco mało wyrazistych – jak na elfa – rysach. Malowała się na nim furia, jakiej młody mag nigdy dotąd nie widział na twarzy żadnego z mrocznych elfów. – A ty nie ustępujesz mi głupotą! Wszystko zepsujesz, psie!

Owyn spojrzał na Naraba, na którego pobladłym nagle obliczu malowała się wściekłość niewiele ustępująca furii Delekhana.

– Ale... przywiódłem ci zdrajcę. Możemy torturami wydobyć od niego imiona innych odszczepieńców...

– Jesteś durniem, który o niczym nie wie! Odprowadzić mi tych dwu do lochów! – zwrócił się Delekhan do strażników. – Przesłucham ich później. Twój żywot wisi na wątlej nitce – zwrócił się do Naraba. – Jeszcze jeden błąd i twój łeb ozdobi ostrze włóczni nad bramą.–Wódz moredheló w odwrócił się, by odejść.–A teraz precz mi z oczu, żalony durniu, i niech ci nie strzeli do łba stawić się przede mną, zanim sam po ciebie poślę.

Owyn nie miał zbyt wielkiego doświadczenia w czytaniu z twarzy moredheló w, ale nie trzeba było mędrca, by zauważyć nienawiść w oczach Naraba patrzącego w ślad za odchodzącym wodzem. Zaraz potem Owyna uniesiono z ziemi i zmuszono do ponownego zanurzenia się w trzewia ziemi pod starą twierdzą Sar–Sargoth.

Choć nie przyniesiono im żywności ani wody, Owyn uznał to za pomniejszy, niegodny sprzeciwów problem, ponieważ wedle wszelkiego prawdopodobieństwa mieli zginąć w ciągu najbliższych kilku godzin. Czas mijał powoli, a Gorath uparcie milczał. Owyn też nie czuł potrzeby rozmowy, ponieważ ogarnęła go fala oziębiającego zmęczenia. Jazda, brak snu i posiłku oraz działanie narkotyku – wszystko to sprawiło, że miał ochotę jedynie leżeć i wpatrywać się w kamienie sklepienia.

Czas mijał powoli. Myśli w jego głowie goniły jedna za drugą, żadnej jednak nie udało mu się zatrzymać dostatecznie długo, by ją zapamiętać. Nie wiedział nawet, czy śni, czy nie.

I nagle usiadł, czując mrowienie skóry. Magia! Ktoś z zewnątrz czarodziej skim sposobem narzucił mu swoją wolę i dodał sił. Młody mag podszedł do krat zamykających jego celę. Rozległo się metaliczne kliknięcie i kraty się rozsunęły.

– Gorath! – wychrypiał z trudem.

Moredhel podniósł wzrok i ze zdumieniem spojrzął na wolnego już Owyna.

– Ktoś używa magii, by nas uwolnić! – stwierdził Owyn, przechodząc przez drzwi i zapominając o zmęczeniu i obrażeniach.

Gorath sprawdził drzwi do swojej celi i stwierdził, że nie są zaryglowane.

– Kto? – spytał.

– Nie mam pojęcia! – odpowiedział Owyn. – Może to ta sama osoba, która pomogła ci w ucieczce z Północy?

– Będziemy się tym martwić później – odpowiedział Gorath. – Teraz trzeba nam się stąd wynieść, zanim tamci się spostrzegą, żeśmy umknęli.

Cicho przekradli się przez korytarze lochów. W wielkiej sali znaleźli martwego, broczącego jeszcze krwią strażnika.

– Ten, kto rzucił ów czar, musiał to zrobić stąd – stwierdził Owyn.

– Tam! – Gorath wskazał stół, na którym leżało wszystko, co zabrano obu więźniom. Moredhel podniósł swój miecz i podał Owynowi jego posoch.

– Złota nam nie zostawili, prawda? – spytał młody mag.

– Raczej nie – odpowiedział Gorath.

Owyn przyklęknął i zbadał martwego strażnika. Po chwili wstał, podnosząc sporą sakiewkę.

– To będzie musiało nam wystarczyć. Wiesz, jak się stąd wydostać? – spytał Goratha, podchodząc do schodów.

– Owszem... znam kilka wyjść – odpowiedział moredhel. – To miasto zbudowano dla dziesiątek tysięcy moich ziomków. Byłbym zaskoczony, gdyby Delekhan miał poza centralną częścią twierdzy więcej niż parę setek wojowników. Godzi się też dodać, że wiele z plemion nie zna się wzajemnie. Jest tu też zresztą sporo ludzi zaprzańców, więc jak tylko wyrwiemy się na zewnątrz, może uda nam się chyłkiem stąd wydostać. – Ruszył ku schodom. – Ale tylko jeżeli nas tu nie będzie, kiedy strażnicy odkryją, żeśmy znikli.

Gorath poprowadził Owyna po stromych schodach, korytarzem i wzdłuż mrocznego przejścia. Nasłuchiwali pilnie, czy ktoś za nimi nie podniesie alarmu – ale panowała cisza.

I nagle znaleźli się nad ziemią, w pustym, pozbawionym oznak życia korytarzu. Gorath skinął dłonią i Owyn ruszył za nim, pchany na przemieszczaniu strachem i nadzieją. Te dwie ostrogi poganiały go dość żwawo, mimo obrażeń i oszołomienia narkotykami.

Gdy spadł śnieg, ukrywali się w kosodrzewinie.

– Czy do tego kraju kiedykolwiek zagląda wiosna? – spytał udręczony Owyn.

– Owszem – odpowiedział po chwili Gorath. – Późno jednak, a cieplejsze dni są rzadkie. Ale tak... znamy wiosnę, A ja myślałem, że Yabon to chłodne miejsce. – Owyn zadzwonił zębami.

– A jaka jest twoja ojczyzna? – spytał Gorath.

– Timons? Jest tam ciepło... prawie cały czas. – Młody mag zapatrzył się w dal. – Często pada deszcz, a czasami znad oceanu nadciągają sztormy, ale lata bywają prawdziwie upalne. Moja matka zajmuje się ogrodem, ojciec zaś hoduje konie. Aż do tej pory nie wiedziałem, jak bardzo mi tego brakuje.

– To dlaczego stamtąd wyjechałeś?

Owyn wzruszył ramionami.

– Szczenięca głupota. Ojciec miał sługę, maga z Północy o imieniu Patrus. Ten mag udzielił mi pierwszych lekcji. Wiesz... po naukach w Stardock zrozumiałem, że on wcale nie znał wielkiej magii. Był jednak bardzo sprytny. Rozumiał wiele spraw. Myślę, że tego właśnie szukam... chcę lepiej rozumieć naturę świata i rządzących nim praw.

Gorath milczał przez chwilę.

– Uważam, że ten świat byłby dużo lepszym miejscem, gdyby żyło na nim więcej osób szukających zrozumienia, a mniej tych, co szukają władzy i mocy. – Spojrzał na gasnące światła dnia. – Chodźmy, już pora.

Czekali, aż zapadnie zmrok, by przemknąć przez przedmieścia twierdzy. Przez kilka godzin obserwowali przechodzących moredheli i ludzi zaprzaińców, pieszych i konnych. Początkowo sądzili, że cały ten zgiełk wszczęto z ich powodu, wkrótce jednak zrozumieli, że chodziło o coś więcej niż poszukiwanie zbiegów. Byli świadkami mobilizacji.

Gorath przeprowadził ich przez wąskie, zasypane śniegiem wąwozy na drugą stronę wzgórza, a potem długim przesmykiem wywiódł na płaskowyż na południe od miasta.

– To równina Sar–Sargoth – stwierdził moredhel. – Według legend tu właśnie spotykali się Valheru na narady. Smoki odpoczywały, siadując w kręgach, podczas gdy ich jeźdźcy decydowali o losach światów.

Owyn ujrzał przed sobą morze namiotów z wielkim pawilonem wzniesionym pośrodku. Do wysokiego masztu przybito sztandar – białego, przyczajonego do skoku lamparta na szkarłatnym polu.

– Jak obejdziemy ten obóz?

– Nie będziemy go obchodzili – odparł Gorath, prowadząc go wprost na obozowisko. – Jeżeli nie znajdziemy tam przyjaciół, to myślę, że przynajmniej nie natkniemy się na wrogów.

Idąc przez obóz, zwrócili na siebie uwagę kilkunastu wojowników. Obu wędrowcom wydało się jednak, że nikt nie zwraca na nich szczególnej uwagi. Kiedy podeszli do wielkiego pawilonu, jego mieszkaniec stanął przy wejściu, by ich powitać.

– Witaj mi, Goracie z Ardaniarów. Nie spodobało ci się wiochach Sar–Sargoth? – Mówcą okazała się niezwyklej urody kobieta. Wysoka, o królewskiej postawie, z płomiennie czerwoną grzywą włosów związanych z tyłu głowy w jeden gruby węzeł. Choć nosiła zbroję taką samą jak inni moredhele, Owyn stwierdził, że wcale nie zmniejszało to jej uroku. Uroda moredhelki była obca i niezwykle, ale jednocześnie osobliwie pociągająca.

Kobieta odstąpiła w bok, zapraszając tym gestem przybyszów do środka. Potem skinieniem dłoni wskazała im miejsca przy niewielkim ognisku. – Jedzcie i odpoczywajcie. Myślałam, że Delekhan każe was natychmiast zabić. Wasza ucieczka bardzo go zirytuje.

– Liallan... wygląda na to, że wcale cię to nie martwi.

– Goracie... małżeństwo wyniosło mnie wysoko – padła odpowiedź – ale nasz związek jest natury czysto politycznej. Był to ślub dwu potężnych plemion, przez który Delekhan spodziewał się wzmocnić władzę nad klanami i powstrzymać je od walk... Chodziło o zapobieżenie rozlewowi krwi... i o nic więcej, Liallan, więc jak mam zrozumieć twoje postępowanie? Podobnie jak ja nie wierzysz w te szalone plany Delekhana, więc czemu go popierasz? Władasz plemieniem równie licznym jak jego, a wpływami w Radzie nie ustępujesz nikomu, prócz może Naraba...

– Goracie, zbyt długo nie było cię wśród nas. W krótkim czasie bardzo wiele się zmieniło. Narab na przykład zbiera obecnie swój klan, by powstać przeciwko Delekhanowi. – Liallan usiadła obok Goratha i wzięła mały kawałek mięsa z parującego nad ogniskiem garnka. Wsunęła go Gorathowi w usta uwodzicielskim gestem, jednak nawet Owyn pojął, że to zwyczaj, a nie zaproszenie do igraszek. – Nasz nowy władca nie jest zadowolony z Naraba. Podejrzewam, że miało to coś wspólnego z waszym pojmaniem.

Gorath przyjął zwyczajowo podane mu jedzenie i przekazał naczynie Owynowi. Młody mag oderwał kęs chleba z półbochenka leżącego na tacy obok i umoczywszy go w sosie, zjadł z apetytem.

– Dlaczego twój małżonek miałby być niezadowolony z tego, że mnie pojmano? – spytał Gorath. – Na pewno nie szczędził wysiłków, by mnie powstrzymać przed ucieczką na południe.

Liallan rozsiadła się wygodniej. Przez chwilę uważnie patrzyła na gościa, aż wreszcie stwierdziła:

– Goracie, jesteś wojownikiem wielkiej odwagi i honoru... nikt nie zaprzeczy, żeś pierwszy w boju, ale niekiedy bywasz naiwny jak dziecko.

Gorath nastroszył się lekko i zmierzył kobietę niezbyt przyjaznym spojrzeniem.

– Można by to uznać za obrazę...

Nie bierz sobie tego tak do serca... w tych czasach uczciwość i szczerść takie jak twoje to bardzo pożądane cechy. – Kobieta sięgnęła do zapinki i rozpięła napierśnik, zdejmując kirys. Owyn zobaczył, że pod zbroją miała na sobie zwykłą kurtkę bez rękawów. Długa szyja i silne ramiona Liallan nie przypominały w niczym słabej kobiecości. Jej ruchy zdradzały szybkość, a mięśnie ramion i barków sugerowały niemałą siłę i zręczność. Była bardzo niebezpieczną kobietą, wedle miar każdej rasy.

– Co to ma znaczyć, Liallan?

– Po prostu wybrano cię do odegrania określonej roli. Byłeś idealnym kandydatem na wodza renegata.

– Pozwolono mi uciec?!

– A jak sądzisz – spytała Lilian – kto przygotował twoją ucieczkę z Sar–Sargoth parę miesięcy temu? Ja – odpowiedziała samej sobie. – To ja skierowałam wojowników Delekhana na śnieżne równiny, podczas gdy ród Obkhara uciekał w góry nieopodal Niebiańskiego Jeziora. Jeżeli udało im się umknąć przed eledhelami i krasnoludami w Kamiennych Górach, może są teraz bezpieczni w Zielonej Głuszy.

– Po co to wszystko? – spytał Gorath.

– By zająć czymś Delekhana – odpowiedziała Lillian. – Ma on swoje rachuby czasowe, a ja mam swoje. Moim celem odpowiada na przykład wstrzymanie na razie jego ataku na Królestwo. Głupota, jaką się popisał, obrażając Naraba, da mi dodatkowy miesiąc czasu. Kiedy łeb Naraba znajdzie się na palu przy bramie Sar–Sargoth, uśmierzenie zbuntowanych

klanowych wodzów zajmie Delekhanowi kolejny miesiąc. Delekhan chce ruszyć wczesną wiosną, ja wolę jeszcze trochę poczekać.

– Czy to wy pomogliście nam w ucieczce? – spytał Owyn.

– Tym razem? – spytała Liallan. – Nie. Nie będę się chełpiła, że to moja sprawka. Wszystko to było waszym dziełem i sami tego dokonaliście.

– Nie – odpowiedział Owyn. – Ktoś nam pomógł, otwierając drzwi celi.

– Zaryzykuję więc twierdzenie, że był to Narab. To zrzącenie losu jest tym, czego bym się po nim spodziewała. Jeżeli Delekhan miota nań groźby za to, że was schwytał, czemu nie miałby was uwolnić?

– Pomożesz mi jeszcze raz? – spytał Gorath.

– Uznam to za inwestycję w przyszłość ziem Północy, mój Goracie. Zabicie was albo wydanie Delekhanowi nie przyniesie mi żadnych korzyści. Zgoda na waszą ucieczkę niewiele mnie kosztuje... a w przyszłości możecie mi się przydać. Mam swoich ludzi na całym północnym pograniczu i kilku z nich przykażę, by pomogli wam przedostać się na południe.

– Jeżeli los zetknie nas jeszcze raz, zrobię co w mej mocy, by ci pomóc – obiecał Gorath.

Liallan uśmiechnęła się, odsłaniając równiutkie, białe zęby.

– Odpocznijcie tymczasem, a ja każę przygotować dla was konie. Kierujcie się na zachód i omijajcie drogi. Najbezpieczniejszy szlak wiedzie przez wąwóz, który ludzie nazywają Inclindel, na południe od Sar–Isbandii. Unikajcie jednak wioski Harlik, bo tam obozuje Moraeulf, a ten zna was bardzo dobrze. – Przeciągnęła się leniwie i Owyn po raz kolejny zachwyił się jej kocim wdziękiem. – Odpocznijcie... bo rano może tu panować niezłe zamieszanie. Klan Naraba odpowie na jego wezwanie, a Delekhan pewnie obróci nań gniew Sześciu. W sumie nie powinno to potrwać długo...

– Kim są ci magowie, których nazywasz Sześcioma? – spytał Gorath.

I nagle Liallan zniżyła głos do półszepotu, jakby się bała, iż ktoś może ją usłyszeć.

– Doradcy... i nie tylko. Odbywają długie nocne narady z Delekhanem. Niewielu ich widuje i nikt na pewno nie wie, kim są. To oni właśnie doradzili, Delekhanowi, by unicestwił twoje plemię.

– Ale dlaczego? – zdumiał się Gorath. – Przecież nigdy nie byliśmy rywalami Delekhana, choć prawda, że nie służyliśmy mu zbyt chętnie.

Bo byliście nieliczni i od dawna obywaliście się bez sprzymierzeńców. Po śmierci twojego ojca zabrałeś plemię w zimne góry na północy. Postąpiłeś mądrze... ale jednocześnie wzbudziłeś podejrzenia. Pomściłeś ojca, jak się tego należało spodziewać, ale wśród tych, którzy zginęli, byli też krewni Delekhana. Nie mógł zignorować twoich postępów, bo uważnie patrzono na to, co pocznie, a jego działania wspierali potężni sprzymierzeńcy. Mówiąc krótko... zyskałeś potężnego wroga, a unicestwienie twego plemienia miało stanowić lekcję dla pozostałych. Podobnie będzie ze śmiercią Naraba.

– Czy tego właśnie żąda Sześciu?

Liallan wzruszyła ramionami.

– Nie wiem... ale nie byłabym zdziwiona, gdyby mój mążonek podczas ostatnich kilku miesięcy rozmyślnie nie zwracał uwagi na znaki podające w wątpliwość oddanie Naraba i Nago. Zabijając Nago, oddaliście mu przysługę. Sam nie miał zamiaru uderzać na jednego z braci, mając drugiego za plecami. We dwu byli najpotężniejszymi tkaczami zakłęć naszej rasy, a ich klanu też nie mógł lekceważyć.

Gorath milczał przez chwilę, a potem spytał;

– Skąd pochodzi tych... Sześciu?

– Tego nie wie nikt. Nie wiadomo nawet, z jakiej są rasy. To tkacze zakłęć o mocy znacznie przewyższającej te, jakie dano snuć moredhelom.

Niektórzy podejrzewają, że to Pantathianie, którzy znów podstępem wkradli się pomiędzy nas.

– Murmandamus – stwierdził cicho Gorath.

– Owszem – odparła Liallan. – Ciż sami, którzy służyli Napiętnowanemu.

– Czy oni przebywają w Sar–Sargoth?

– Wtedy, gdy naradzają się z Delekhaniem. Teraz zaś są z jego synem Moraeulfem w Harlik. Wyłapują tam ostatnich uciekinierów z twego klanu. Tych, co próbują odzyskać wolność, kryjąc się w Zielonej Kniei.

– A więc mam jeszcze jeden naglący powód, by ostrzec Aruthę – stwierdził Gorath. – Jeżeli nie mogę sam dopaść Delekhana, pomogę tym, którzy zdołają go obalić.

– Uważaj na siebie – ostrzegła go Liallan. Owynowi wydało się, że władczyni moredhelów mówi całkiem szczerze. – Może nasze plany wydadzą owoce. Goracie, jeżeli uda mi się podnieść na murach Sar–Sargoth sztandar Śnieżnego Lamparta, ty i twój klan będziecie mogli wrócić w szeregi naszego ludu.

Na twarzy Goratha malowała się rezerwa.

– Liallan, jesteś nie mniej niebezpieczna od Delekhana.

Kobieta uśmiechnęła się lekko.

– Goracie, powinni się mnie bać jedynie ci, którzy chcą zaszkodzić mnie samej albo mojemu klanowi. Jeżeli na Północy kiedykolwiek zapanuje pokój, możesz wrócić w swoje góry. – Wstała ze słowami: – Teraz odpoczywajcie. Rankiem będą na was czekały konie. – Podeszedłszy do wyjścia, zatrzymała się i obejrzała przez ramię. – Kryjcie się, ale jedźcie szybko. Goracie, jeżeli staniesz przede mną po raz wtóry, zanim Delekhan zostanie obalony, będę musiała mu ofiarować twoją głowę jako rękojmię pokoju.

– Rozumiem, Liallan. I tak okazujesz wiele łaski komuś, kto został upokorzony przez los.

Kiedy Liallan wyszła, Gorath zwrócił się do Owyna:

– Ona miała rację. Musimy odpocząć.

Chwilę później Owyn leżał przy ogniu, najedzony i rad z tego, że wreszcie pozbył się z organizmu środków odurzających, jakimi mącono mu zmysły przez wiele dni. Kiedy jednak poczuł na ramieniu dłoń Goratha, mówiącego mu: – Już czas – wydało mu się, że minęło kilka chwil. Wstał. Jakoś udało mu się zmusić zeszywniałe nogi do wysiłku. Gdy usadowił się na końskim grzbiecie, okutał się ciężką, futrzaną opończą, którą mu ofiarowano. Jeżeli nawet przyboczni Liallan byli ciekawi tożsamości nocnych gości, nie zdradzili tego ani słowem. Stojąc niczym posągi, wypuścili dwu jeźdźców z obozu.

Choć budynek wyglądał na mocno już podniszczony, przed jego frontową ścianą stało kilka uwiązanych koni.

– Może dostaniemy tu coś do zjedzenia – stwierdził Gorath.

W sakiewce znalezionej przez Owyna przy strażniku w lochach Sar-Sargoth znaleźli kilka monet bitych w Królestwie, w Queg i nawet parę sztuk srebra z Kesh, a w osobnej kieszonce kilka klejnotów. Kiedy zsiadli z koni, Owyn zapytał Goratha:

– Co to za miejsce?

– Można by je nazwać zajazdem. To jedno z udogodnień, jakie na Północ przywędrowały z ludźmi. Członkom mojego ludu taki pomysł nie przyszedłby do głowy, potrafimy jednak docenić jego dobre strony.

Weszli do mrocznego, niedużego pomieszczenia. Wokół szynkwasu zbudowanego z kilku desek położonych na pustych beczkach pod jedną ze ścian zgromadziły się przynajmniej dwie dziesiątki ludzi i moredhelów.

– Podajcie nam piwo i coś do zjedzenia – zażądał Gorath, odsuwając dwu ludzi na bok.

Stojący za ladą wydobył skądś tacę z gomułką sera i bochenkiem chleba, które okazały się zaskakująco smaczne, zważywszy na niezbyt obiecujący wygląd jadłodajni. Zaczęli się posilać. Owyn zdał się całkowicie na Goratha i jego znajomość otoczenia.

– Gdzie my właściwie jesteśmy? – spytał szeptem.

– Nieopodal miasta Sar–Isbandii. Wy, ludzie, daliście mu miano Armengaru. W okolicy znajdują się rozmaite wioski i osady, Ich mieszkańcy handlują z Południem.

– Większość mieszkańców Królestwa uważa, że Kły Świata są murem, który oddziela nasze nacje.

– Jest to może i gorące pogranicze... ale przedsiębiorczy ludzie zawsze znajdą sposób na to, by prowadzić handel. Przez te góry wiedzie przynajmniej kilka szlaków na południe.

– I wszystkie są bardzo dobrze strzeżone, Goracie – rozległ się czyjś głos z tyłu.

Gorath odwrócił się błyskawicznie, chwytając dłonią rękojęć miecza.

– Jeżeli sięgniesz po broń, zginiesz – stwierdził stojący naprzeciwko moredhel. – Ale możesz też sięgnąć po ser... i wtedy włos ci z głowy nie spadnie.

Choć wódz Ardanienów nie powitał rozmówcy uśmiechem, na jego twarzy odmalowała się ulga.

– Widzę, Irmelynie, że jakoś udało ci się utrzymać ten buntowniczy łeb na ramionach.

Nie, żeby Delekhan się nie starał – odpowiedział moredhel nazwany Irmelynem. Kiwnięciem głowy wskazał niewielki stolik w rogu. Owyn przytomnie złapał ser z tacy, chwycił kufel piwa i ruszył za Gorathem.

Rozsiadając się za stolikiem w zatłoczonej izbie, Irmelyn stwierdził:

– Zanim to wszystko się skończy, za sprawą Delekhana rzeki będą spływały szczynami, a kurczaki posrają się piaskiem. Pij, póki możesz, stary wrogu.

– Co tu robisz, Irmelynie? Słyszałem, że plemię Obkhara uciekło.

– Owszem, większość tak uczyniła, ale kilku z nas zostało, żywiąc nadzieję, że zdołamy uwolnić starego wodza.

– To on żyje? – spytał Gorath, zniżając głos do szeptu.

– Owszem, żyje i to całkiem niedaleko stąd – odpowiedział Irmelyn. – Trzymają go w niewoli, w kopalniach nafty pod zniszczonym miastem.

– Uwięziono go? – zdumiał się Gorath. – Czemu nie zabito?

– Bo Delekhan nie wie o tym, że jego zaciekły wróg jest niewolnikiem w jego kopalni. Mają go za niejakiego Okabuna z plemienia Śnieżnych Lampartów Li Allan.

– Zostaliście więc tutaj, aby go uwolnić? – spytał Gorath.

– Nie inaczej. – Kiwnął głową Irmelyn. – Ale potrzebujemy pomocy. Czy zechciałbyś jej nam udzielić?

– A co dostanę w zamian?

– Przejdzie na południe. Jak powiedziałem, przełęcz są pilnie strzeżone, ale ja wiem, jak je przejść.

– Czego od nas oczekujecie? – spytał Gorath.

– Wyjdźmy na zewnątrz.

Opuścili względnie ciepłe wnętrza gospody.

– Odkryliśmy szyb, którym można wyjść z kopalni – oznajmił Irmelyn, gdy znaleźli się na dworze. – Nie strzeżony.

– Zechciej mi więc powiedzieć, dlaczego Obkhar po prostu nim nie wyjdzie? – spytał Owyn.

– Szczeniaku! – warknął Irmelyn. – Kiedy będę chciał, byś dał głos, to cię pierwszej kopnę!

– Zechciej więc powiedzieć, dlaczego Obkhar po prostu nim nie wyjdzie? – spytał Gorath.

– Z powodu trujących oparów, które zalegają tunele. Kiedy ludzie opuścili miasto, wysadzając je w powietrze, zawaliło się kilka tuneli zaczynających się pod twierdzą. Jeden ocalał, jest jednak ciasny, a wypełniające go opary wybuchną, jeżeli strzeli tam choćby jedna iskra. Opary obezwładnią każdego, kto zechce tamtędy przejść.

– Macie przynajmniej jakiś plan? – spytał Gorath.

– Znaleźliśmy kilka masek, którymi dawno temu posługiwali się ludzie, wykonanych z kości i błony ze smoczego płuca. Przepuszczają one powietrze, ale zatrzymują trujące gazy.

– Trzeba więc, by ktoś dostał się do środka i zaniósł Obkharowi maskę – domyślił się Owyn.

Rosły moredhel niemal spopielił wzrokiem młodego maga, raczył jednak odpowiedzieć:

– Owszem, potrzebny nam ktoś, kto zanieś maskę Obkharowi i pomoże mu uciec.

– Ale dlaczego my? – spytał Gorath. – Dlaczego nie pošlecie kogoś z waszych?

– Bo zostało nas tu niewielu – odpowiedział Irmelyn – i żołdacy Moraaulfa znają nas wszystkich. Ty zaś jesteś bardzo znany, ale tylko z imienia, nie z wyglądu. Plemię Ardanien przez wiele lat żyło w odosobnieniu. Możesz rzec o sobie, że jesteś członkiem jednego z klanów i któż ci zaprzeczy?

– Cóż więc proponujesz? – spytał Gorath.

– Udaj się do handlarza niewolników, człowieka zwanego Venutrier. Utrzymuje, że był niegdyś mieszkańcem Królestwa z miasta Lan, ja jednak wiem, że pochodzi z Queg. Powiedz mu, że chcesz sprzedać chłopca.

– Co takiego? – zachnął się Owyn.,;

Gorath jednak podniósł dłoń.

– Mów dalej.

– Venutrier jest zdradziecki i sprzedajny, jak należało się spodziewać po człowieku. Z pewnością zechce pojmać i ciebie. Nie sprzeciwiaj się.

Dwu z jego strażników będzie o wszystkim uprzedzonych. Pozwolą wam wejść do kopalni z tobołkami i przechowają je. Kiedy zabiorą was na dół, przyniosą wam waszą własność i zostawią bez nadzoru. Obkhar będzie gdzieś na poziomie leżącym na zachód od wielkiego szybu. Na tym kończy się nasza pomoc. Jeżeli zdołacie go wyprowadzić, zadbamy o to, byście bezpiecznie dotarli przez góry na południe.

– Zanim się zgodzę albo nie, powiedz: czy wiesz, co się dzieje z Cullich?

– Owszem – stwierdził Irmelyn. – Możesz ją znaleźć niezbyt daleko stąd. Mieszka w szałasie stojącym w połowie drogi stąd do wioski Karne. Jeżeli zechcesz, możemy ją odwiedzić w drodze na południe.

Gorath milczał przez chwilę, a potem odpowiedział:

– Owszem... zrobimy to.

– Idźcie do bram kopalni. Tam was zatrzymają. Powiedz strażnikowi, że chcesz się widzieć z Venutrierem. Ja zabiorę waszą broń i konie, a spotkamy się w miejscu znanym Obkharowi.

– Czemu nie chcesz nam powiedzieć gdzie? – spytał Owyn.

– Człowieku... jeżeli nie uwolnicie Obkhara, znaczyć to będzie, że nie dotrzyмалиście umowy. Wtedy będziecie musieli sobie radzić bez naszej pomocy.

– Chodźmy, Owynie – zwrócił się Gorath do towarzysza. – Trzeba nam przejść spory kawał drogi pieszo.

Nie obejrzawszy się, wziął człowieka pod ramię i razem ruszyli ku kopalniom.

Venutrier okazał się roslym mężczyzną z wielkim brzuszyskiem opiętym przez szeroki, mocny pas. Spojrzawszy na Owyna, zwrócił się do Goratha:

– Gdzie go złapaliście?

– Nigdzie – odpowiedział Gorath. – To zbiegły z Królestwa kuchcik, któremu przyśniła się kariera najemnika... i oczywiście góry złota, jakie zarobi mieczem. Cóż... przekonał się, że nie umie grać w kości, po czym okazało się, że nie ma pieniędzy na spłatę długu zaciągniętego przy stoliku.

Jest trochę za wątki... – stwierdził handlarz. – Chodźcie zamną. – Nie obejrzawszy się nawet, by sprawdzić, czy Gorath ruszył za nim, podążył do bramy kopalni.

– Kim jesteś, wojowniku? – spytał Venutrier, kiedy weszli do środka.

– Jestem Gorath z klanu... Balakhar, żyjącego w Zielonej Kniei.

– Nie pochodzisz z tych stron? – spytał Venutrier. – To bardzo dobrze. Przyda nam się jeszcze jeden tragarz. – Strażnicy niespodziewanie opuścili włócznie i otoczyli przyjaciół. – Gdybyś pochodził stąd, mój przyjacielu, wiedziałbyś, że nikt nie przychodzi do moich kopalni, nie zapewniwszy sobie poparcia przynajmniej kilkudziesięciu wojowników. Przed rozpoczęciem inwazji na Królestwo Lord Delekhan zamówił ogromne ilości nafty... i potrzebni mi robotnicy. *Zabrać* ich na dół.

Strażnicy pognali Goratha i Owyna i zgodnie z przewidywaniami Irmelyna zaprowadzili ich na drugi poziom lochów. Znaleźli się w rozległej, pustej pieczarze.

Gdy pozostali strażnicy odeszli, jeden z nich został na chwilę i szepnął:

– Nie odchodźcie stąd!

Stali więc przez pewien czas w niemal kompletnych ciemnościach, rozjaśnianych przez zmyślnie skonstruowane latarnie, w których płomień okrywała cienka, przezroczysta błona.

– Nie zobaczymy tu chyba zbyt wielu pochodni – stwierdził Owyn.

– Jeżeli w tunelach są opary nafty, to masz chyba rację. Strażnik wrócił dość szybko, niosąc ich tobołki. Miał też ze sobą trzeci worek.

– Tędy. Tym tunelem. Zaprowadzi was na zachód. Odszukajcie waszego przyjaciela, a potem gdy usłyszycie wodę, ruszaj – cie w dół. Aby wydostać się na zewnątrz, musicie wypłynąć. Strażnik przepadł w mroku, Gorath zaś podniósł trzeci worek. Znaleźli w nim trzy dziwnie wyglądające urządzenia, przeznaczone najwyraźniej do noszenia na nosie i ustach. Podnieśli pozostałe tobołki i ruszyli we wskazanym im kierunku.

Zachodni tunel prowadził coraz niżej i nagle Gorath przystanął.

– Co się stało? – spytał Owyn.

– Musimy już być pod starym miastem Sar–Isbandii.

Młody mag nie bardzo wiedział, co rzec.

Moredhel ruszył dalej. Wkrótce trafili na rozległy szyb. Z jego głębi dobiegały odgłosy robót górniczych. Na wysokiej, rozległej galerii spacerował jeden strażnik, leniwie przyglądający się nieszczęsnym więźniom, dźwigającym wiadra gęstego oleju ziemnego, który bulgocąc, wypływał tu z głębin ziemi.

Owyn poczuł, że pieką go oczy.

– Jeżeli te opary mogą być jeszcze bardziej gryzące, rozumiem, po co im te maski.

– Postaraj się odszukać jednego z moich ziomków – stwierdził Gorath – o włosach związanych w węzeł na czubku głowy i bliźnie ciągnącej się od czoła do brody.

Kiedy strażnik oddalił się w kierunku przeciwnego krańca galerii, przemknęli głównym szybem do bocznego korytarza. Niewolnicy rzucali im tylko przelotne spojrzenia – każdy zajęty był własną robotą.

– Ruszajmy dalej na zachód – odezwał się Gorath, nie dostrzegłszy nigdzie Obkhara.

Przeszli długim korytarzem. Otworzył się on na następną galerię, gdzie mozoliła się kolejna grupka moredhelów.

– Nie widzę tu żadnych strażników – stwierdził Owyn, rozejrzawszy się dookoła.

Gorath otarł łzy z twarzy.

– Myślę, że kręcą się przy krańcach tuneli, gdzie powietrze jest lepsze. Jak sądzisz, dokąd mieliby uciec ci więźniowie?

– Nie da się stąd uciec, Goracie – rozległ się czyjś głos za nimi.

Przyjaciele odwrócili się szybko, by spojrzeć w twarz wysokiego, chudego moredhela, mającego bliznę, o jakiej mówił Gorath.

– Obkhar!

Więzień spojrzał podejrzliwie na Goratha.

– Gdy cię zobaczyłem, pomyślałem, iż opary w końcu odebrały mi rozum, ale widzę, że się mylę. Skąd się tu wzięłeś? Mówiono mi, że twój łeb niedawno zatknięto na palu przed wejściem do Sar-Sargoth. Gorath skrzyżował ramiona na piersi.

– Pogłoski o mojej śmierci okazały się nieco przedwczesne. Na Północy nie wszyscy popierają Delekhana... a ci, co za nim poszli, nie zawsze uczynili to z własnej woli. I nie wszystkich, co się zbuntowali, spotkała śmierć. Ktoś mi pomógł uciec... tak jak ja teraz pomagam tobie. Moją wolność opłaciło śmiercią kilku dzielnych mężów.

– Masz więc spory dług do spłacenia.

– I jeszcze jeden powód do tego, by pragnąć klęski Delekhana, Obkharze! Zapłaci mi krwią za krew!

– Goracie... większość moich wojowników zbiegła do Zielonej Kniei, ale jeżeli podniesiesz przeciwko Delekhanowi bunt, przybędziemy, by wspomóc twoją sprawę.

Na twarzy Goratha pojawił się uśmiech.

– Więc darujesz mi to, że ozdobiłem twoją gębę tą blizną?

– Nigdy! – odpowiedział Obkhar, wybuchając śmiechem. – Któregoś dnia cię za to zabiję... ale do tego czasu pozostaniemy sojusznikami.

Podczas tej rozmowy Owyn wyjął maski z worka.

– Gdzie jest ten tunel z oparami?

– Chodźcie tędy – powiedział Obkhar, prowadząc ich do jednego z bocznych chodników.

Kiedy doszli do miejsca, w którym opary były tak gęste, że zaczęli się dusić, Obkhar powiedział:

– Włóżcie maski. Nie ochronią waszych oczu, ale będziecie mogli oddychać. Musimy przejść spory odcinek, a na końcu będziemy musieli dać nura w lodowatą wodę. Tunel jest na poły zatopiony... i wychodzi na dopływ Isbandii.

Kiedy nałożyli maski, Owyn nie bez zdziwienia odkrył, że poczuł się lepiej. Opary gryzły go w oczy, ale poradził sobie z tym, mrugając. Oświeciłszy siebie i przyjaciół magiczną poświatą, spowodował niemal atak serca u Obkhara.

– Przez moment myślałem, że roznieciłeś ogień i że wszyscy się od niego zajmiemy.

Dotarli do częściowo zalanego tunelu i po kolana weszli do lodowatej wody. Idąc dalej, pogrążali się coraz bardziej. Po krótkim czasie woda sięgała im do piersi. W tym miejscu Obkhar dał znak i zanurzył głowę pod

wodę. Gorath i Owyn zrobili to samo. Poczuli szarpnięcie i nagle porwał ich podwodny prąd.

Owyn zaczął silnie kopać wodę nogami. Kiedy wynurzył się na moment, uderzył głową w kamienny strop jaskini. Walcząc z ogarniającą go falą przestrachu, przepłynął krótki odcinek i wynurzył się z wody.

– Możesz zdjąć maskę – zwrócił się Obkhar do Goratha.

– To dobrze – stwierdził Owyn. – Bo moja spadła pod wodą.

Z ust Goratha wydobyło się coś przypominającego chichot.

– Już tylko mniej niż pół mili do przepłynięcia.

Ruszyli ponownie. Choć Owyn bał się, że zostanie wciągnięty pod wodę przez swój mokry przyodziewek, zebrał wszystkie siły i ruszył dalej, I nagle, w pewnej chwili, ujrzał nad głową gwiazdy. Zorientował się, że są już pod gołym niebem.

Przepląnąwszy jeszcze kawałek korytem rzeki, zobaczyli blask pochodni, a gdy skierowali się ku nim, usłyszeli ciche wołanie:

– To ja, Irmelyn.

Wyłowiono ich z wody jak mokre szczenięta, a potem poprowadzono ku ognisku i otulono ciężkimi, ciepłymi oponczami.

– Wszczęli jakiś alarm? – spytał Obkhar.

– Jak na razie nie – odezwał się nie znany Owynowi moredhel. – Strażników przekupiono, by niczego nie zauważyli, Przez długi czas w ogóle się nie spostrzegą, że cię tam nie ma. Wielu więźniów umiera w kopalniach, a ich ciała pozostają w zagubionych tunelach.

– A teraz... co z Cullich? – spytał Gorath.

– To ona jeszcze żyje? – zdziwił się Obkhar.

– Owszem – odpowiedział Irmelyn – i mieszka w pobliżu, Powiedziano mi, że mogę ją odwiedzić w drodze na południe – stwierdził Gorath.

Obkhar spojrzał na Irmelyna, który kiwnął głową.

– Obietnica to obietnica! – stwierdził wódz. – Trzebami teraz ruszać z tymi, co mają przebyć przełęczę razem ze mną. Ciebie, Goracie, Irmelyn przeprowadzi do Cullich, a potem wskaże ci drogę na południe.

– Unikajcie Harlik – stwierdził Irmelyn. A potem dodał: – Jest tam Moraeulf i Sześciu.

– Z pewnością będziemy ich unikali – odpowiedział Obkhar, gdy przebrał się w suchą odzież. – Goracie, stary wrogu, niech ci się poszczęści. Nie dopuść do tego, by zabił cię ktoś inny niż ja.

– Postaraj się przeżyć – odpowiedział Gorath – bo może to ja któregoś dnia zdejmę ci głowę z karku.

Kiedy moredhele odeszli ze swoim wodzem, Owyn zauważył nie bez zdziwienia:

– Byłbym przysięgł, że obaj bardzo się lubicie.

– Oczywiście – stwierdził Gorath, pogryzając otrzymany od Irmelyna kęs suchego chleba. – Przyjaciele zawsze cię mogą zdradzić... ale stary wróg nigdy cię nie zawiedzie.

– Nigdy nie myślałem o tym w ten sposób – stwierdził Owyn.

– Dziwna z nich rasa, prawda? – rzekł Irmelyn.

– Bardzo dziwna – zgodził się Gorath.

Prymitywną chatkę tworzyły cztery ściany wzniesione z murowanych otoczków i kryty gontami dach. Z kamiennego komina unosiła się cieniutka smuga dymu i był to jedyny znak świadczący o tym, że ktoś w niej mieszka.

– Jest tam? – spytał Gorath.

Irmelyn kiwnął głową.

Gorath zsunął się z siodła, podobnie uczynił też Owyn.

– Delekhan od czasu do czasu przysyła do niej strażników – stwierdził Irmelyn. – Lepiej zostanę na czatach. Jeżeli zawołam, natychmiast

biegnijcie do mnie i uciekamy.

Gorath kiwnął głową i otworzył drzwi. Być może jego nagłe pojawienie się zaskoczyło mieszkankę chatki, ale wcale tego nie okazała.

– Wejdźcie i zamknijcie drzwi – odezwała się ze swego miejsca przy kominku.

– To ma być gorące powitanie, Cullich? Przecież wrócił twój mąż!

Owynowi z wrażenia opadła szczęka.

Kobieta wstała. Jej ruchy zdradzały siłę i zręczność. Choć miała brudne, zmierzwione włosy i nosiła postrzępioną suknię, Owyna uderzyło jej podobieństwo do Liallan. Co prawda włosy Cullich były ciemne jak krucze skrzydło, a Liallan płomiście czerwone. Liallan była też szczupła, giętka i miała nieco zapadnięte policzki, a Cullich – szerokie biodra, bujne piersi i twarz o szerokich, wystających kościach policzkowych. Ale żona Goratha i przywódczyni Śnieżnych Lampartów w jakiś nieuchwytny sposób przypominały jedna drugą.

– Mąż? – spytała drwiąco, nie odrywając wzroku od twarzy Goratha. – A to mi nowina! Wódz klanu? Wedle jakiego prawa? Przywódca drużyny? Już nie. Kiedyś byłeś jednym, drugim i trzecim... wszystkie tytuły należały ci się z prawa, a także ze względu na twą siłę, odwagę i przebiegłość. Plemię Ardanienow zbierało się wokół ciebie niczym wilcza wataha, czekając na twój rozkaz, by powstać i zniszczyć, kogo mu wskażesz. I gdzie jest teraz ta wataha? Rozproszona po całej północy... za Kłami Świata... wojownicy kryją się i liżą rany. Nie nazywaj się więc wodzem klanu i moim mężem, Goracie. Straciłeś do nich prawo; kiedy pod Sethanonem dałeś rozkaz odwrotu, wzgardziłeś moją mądrością.

Mądrością, stara wiedźmo? Doradzałeś mordy, zabójstwa i szaleństwo. Nadal marzysz o wielkości... nadal ufasz przechwałkom Murmandamusa? Czyżby straty, jakich doznał nasz lud pod Armengarem i Sethanonem,

niczego cię nie nauczyły? Miałem dwu synów. Obaj zapłacili życiem za to, że dali się zwieść Wężom. Jednym z nich był nasz syn, Cullich!

– I czego się po mnie spodziewasz, starcze? – spytała kobieta.

– Chcę położyć kres tym szaleństwom. Pomożesz mi?

– Jak mam to zrobić? Dać się zabić i pozwolić, by moja głowa ozdobiła ostrze pała przed Sar–Sargoth?

– Trzeba zatrzymać Delekhana.

Dlaczego? Jaką przyszłość zgotowałbyś naszemu ludowi, Goracie? Raz jeszcze kazałbyś nam iść w lody i śniegi? A może mielibyśmy służyć Królowej Eledhelów, jak niegdyś służyliśmy Valheru? Jesteśmy wolnym ludem! Może czujesz zew Powrotu?

– Nie! – zachnął się Gorath, którego oczy roz błysły gniewem. – Ale wiele się dowiedziałem i wielu rzeczy się nauczyłem. Nie wszyscy ludzie są naszymi wrogami – rzekł, wskazując na Owyna.

– Nie, oczywiście, że nie – odparła Cullich. – Choćby ci, którzy nam służą za złoto.

– Nie o nich mówię. Mam na myśli takich, co mogliby w pokoju mieszkać wśród nas jako sąsiedzi.

– Pokój? – Kobieta roześmiała się drwiąco, jakby mierzyła ją sama myśl o pokoju. – Od kiedy to moredhele mówią o pokoju? Twoje słowa są takie same jak tych, co wrócili do Elvandaru. Tych, co niegdyś byli nieposkromionymi bykami, a teraz są wytrzebionymi wołami, służącymi Królowej... niewiele lepszymi od zwykłych niewolników.

– Mylisz się, żono – sprzeciwił się Gorath. – Glamredhele przyłączyli się do eledhelów z własnej woli i na równych prawach... nie są wcale niewolnikami. Powitano ich jak odnalezionych braci.

– Szaleńcy! – zachnęła się moredhelka. – Jeżeli sądzisz, że to prawda, to idź do nich! Droga wolna... ale ja się wstrzymam. Tu jest mój dom i tu w

końcu znajdę kogoś, kto zechce skorzystać z mojej wiedzy i talentów! Będzie wojownikiem, któremu wskażę drogę na szczyty władzy... i powiem, jak się tam utrzymać. I będę miała innych synów w... takich, którzy przeżyją.

– Obawiałem się – westchnął Gorath – że taka właśnie będzie twoja odpowiedź.

– To po coś tu przyszedł? Nagle zapragnąłeś ponownie rozniecić dawne uczucie?

– Nie... Będę potrzebował twojej pomocy. Na krótko... a potem zniknę z twego życia na zawsze... w ten czy inny sposób.

– Wysłucham cię ze względu na dawną miłość pomiędzy nami, choć nic z niej już nie zostało – odpowiedziała kobieta, najwyraźniej zaskoczona wyznaniem Goratha.

– Gdzie są teraz siły Delekhana?

Cullich spojrzała na zewnątrz przez zaszronione okno.

– Zgromadził je na granicy z Królestwem. Jako rezerwa, nieopodal Raglanu, zebrały się wokół swoich sztandarów klany Krieda, Dargelas i Oeirdu. Słyszałam, że niedługo wyruszą także klany Naraba i Li Allan.

Gorath lekko się uśmiechnął i rzekł:

– Narab buntuje się przeciwko swemu panu... jak królik stawia się wilkowi.

– Nieważne... ale te liczne armie zgrupowane nad granicą sprawią, że niełatwo będzie ci przejść.

– Mamy swoje sposoby.

– Więc do czego jestem ci potrzebna?

Potrafisz wejrzeć w istotę spraw, więdźmo. Co wiesz o Sześciu?

– Kiedyś usiłowałam użyć swej mocy, by ich podpatrzyć. I po tej próbie przez pół dnia leżałam nieprzytomna. Wiem tylko, że posiadli umiejętności,

o których nie mam pojęcia. Ze wszystkich sił, jakie zebrał przy sobie Delekhan, ci mogą być najgroźniejsi. On uważa, że potrafi nad nimi zapanować. Ja na jego miejscu nie byłabym taka pewna.

– Musimy uchodzić! – zagrzemiał pozostający do tej pory w ukryciu Irmelyn.

– Idźcie więc – stwierdziła wiedźma. – Chyba nigdy się już nie zobaczymy, Goracie, ale wcale mnie to nie smuci. Zbyt wiele było między nami bólu i cierpienia. To są ostatnie słowa, jakie mówimy sobie niczym mąż i żona. Kiedy wyjdiesz, nasze małżeństwo zostanie rozwiązane. Wiedz jednak, iż cokolwiek zgotował ci los, życzę ci wszystkiego najlepszego.

– I ja ci życzę wszystkiego dobrego – odpowiedział Gorath. – Niech los ci sprzyja, żono.

– I tobie, mężu.

Gorath odwrócił się i wyszedł. Gdy zamknęły się za nim drzwi, kończąc małżeński rozdział jego żywota, znieruchomiał na moment, ale potem w ślad za Owynem wskoczył na siodło i pognał za przyjacielem.

– Musimy przebyć przełęcz przez zachodem słońca – zawołał ku nim Irmelyn – zanim zmienią się ci, którzy podczas naszego przejazdu będą patrzeć w inną stronę.

Gorath milczał, rozmyślając o czymś, Owyn zaś doszedł do wniosku, że przy odrobinie szczęścia może znów uda mu się zobaczyć Królestwo.

ROZDZIAŁ 12

PRZYBOTOWANIA

Jeźdźców chłostały deszcz i wiatr.

Owyn nie umiałby rzec, czy nie lepsze były śnieżyce, jakie dręczyły go na Północy – choć tu było cieplej, znacznie bardziej dokuczała im wilgoć. Jego ciężka, podbita futrem opończa przemokła do podszewki i ciążyła mu teraz niczym ołów. Pocieszał się jednak myślą, że tym razem nikt nie napoił go narkotykiem i nie przywiązał do konia.

Eskorta, o jaką zadbał Obkhar, dostawiła ich na przełęcz kontrolowaną przez jego ludzi. Kiedy dotarli do pogórza, przechwycili biegacza niosącego wieści o rozłamie, jaki nastąpił pod Sar–Sargoth. Siły Delekhana zostały otoczone przez oddziały wierne Narabowi – tego ostatniego zaś usunięto z Rady Wewnętrznej, gdzie jego miejsce zajął syn Delekhana, Moraeulf. Powszechnie uważano, że Narab musi teraz podjąć zdecydowane działania, by zniszczyć Delekhana, zanim w sprawę wda się Sześciu, w przeciwnym razie zostanie starty z powierzchni ziemi z całym swoim klanem. Rewelacje te Gorath przyjął obojętnie, przyznając się Owynowi, iż jest mu wszystko jedno, kto kogo wymorduje.

Na szczycie niewielkiej przełęczy eskorta zawróciła, tłumacząc się, że dalsza droga jest niezbyt bezpieczna z powodu patrolujących ją sił królewskich. I rzeczywiście – jeszcze tego samego dnia zostali zatrzymani przez drużynę wojsk Królestwa. Dowodzący nią oficer, niejaki porucznik Flynn, wziął ich początkowo za renegatów, Owyn jednak powołał się na Aruthę i wiadomość, jaką mieli dla Księcia od jego giermka, mości Jamesa.

Sprawę rozstrzygnął fakt, iż wiedzieli, że Księżę rozłożył się obozem w Dimwood.

Patrol przekazał obu wędrowców w ręce innego pododdziału i z nim dotarli do Dimwood. Na przestrzeni kilku mil wszędzie widzieli ogniska żołnierskie. Gorath doszedł do wniosku, że w tych lasach musi się kryć znaczna część armii Królestwa.

Aruthę znaleźli za stołem, u boku Konetabla Gardana. Obaj patrzyli na znaki nakreślone na wielkiej mapie północnych gór. Księżę zerknął na wprowadzonych do namiotu Goratha i Owyna, a potem rzekł:

– Wyglądacie, jakbyście obaj mieli za chwilę paść trupem. Siadajcie. – Wskazał stojące nieopodal dwa krzesła. Owynowi nie trzeba było powtarzać zaproszenia dwa razy, Gorath jednak zamiast usiąść, podszedł do mapy.

– Ot, tutaj! – Wskazał palcem miejsce oznaczające Northwarden. – Tu właśnie Delekhan planuje natarcie na nasze siły.

Arutha milczał przez chwilę i przyglądał się moredhelowi.

– A gdzie jest imć James, jeżeli zechcesz mi wybaczyć moje wścibstwo?

– Panie... – odezwał się Gorath. – James wysłał nas tu z ostrzeżeniem, a sam zaniósł wieści do Northwarden, by ostrzec Barona Gabota. Kazał nam też oddać te dokumenty. – Podał pisma żołnierzowi, który przekazał je Konetablowi Gardanowi. Owyn tymczasem opowiedział, w jaki sposób odkryli i zniszczyli gniazdo Nocnych Jastrzębi pod twierdzą Cavell. Nakreślił też teorię Jamesa o tym, że Delekhan planuje podróż wodną od Northwarden do Romney, a potem pieszy marsz ku Sethanonowi.

Arutha milczał przez chwilę i uważnie badał podane mu dokumenty.

– Goracie... wszystko to przypomina sytuację, w jakiej pojawiłeś się w Królestwie po raz pierwszy. Tamte wieści uprzedzały nas o natarciu na Tanneurus i Yabon. Czemuż teraz mielibyśmy ci uwierzyć?

Na twarzy Gardana również malowały się wątpliwości.

– Słyszeliśmy, żeście zostawili Jamesa w twierdzy Cavell, ale przywiózł was patrol, który przechwycił was w drodze na południe przez góry. Wybrałeś dość niezwykłą trasę, by do nas dotrzeć, mości elfie.

– Niewielki mieliśmy wybór, milordzie – wtrącił się Owyn. Wyjaśnił, w jakich okolicznościach zostali pojmani, przy okazji nakreślił obraz dość zagmatwanych stosunków wśród plemion Północy.

– Malujecie mi tu obraz chaosu – odezwał się Arutha, gdy Owyn skończył – ale działania przeciwnika, z jakim stykają się nasze patrole, wskazują na jednolite dowodzenie i doskonałą współpracę rozmaitych plemion.

– Mości Książę – odezwał się Gorath – widzicie tu tylko tych, co są lojalni wobec Delekhana. Klany, które zechciały stawić mu opór, albo uciekły w okryte śniegiem góry na północy, albo poszukują drogi wokół Niebiańskiego Jeziora obok siedzib eledhelów i krasnoludów do Zielonej Kniei.

– Wasza Miłość – odezwał się Gardan – mieliśmy wieści od Diuka Martina o tym, że przez zachodnie rubieże Crydee przekradają się liczniejsze niż przedtem bandy moredhelów. Martin twierdził, że są z nimi kobiety i dzieci, nie wygląda więc to na wyprawę wojenne.

– A jednak wciąż trapią mnie wątpliwości – przyznał Arutha. – Dwa tygodnie temu posłałem Lockleara, by zebrał meldunki z pogranicznych baronii na wschodzie. Jedzie do Highcastle i Northwarden. Powinien wrócić w przeciągu kolejnych dwu tygodni. Jeżeli James jest gdzieś w tamtej okolicy, Locklear wróci z wiadomościami i od niego.

– James powiedział, że Waszą Księżęcą Mość trzeba będzie prawdopodobnie przekonać, iż wiadomość pochodzi od niego. Kazał wtedy rzec, iż... – Spojrzał niepewnie na Owyna.

- „Jest zabawa w Mateczniku...” – dokończył Owyn.
- „...dla wesołych uliczników”. – Arutha kiwnął głową. – To hasło i odzew Szyderców, którymi posługiwaliśmy się z Jamesem, gdy żeśmy się poznali.
- Czy Wasza Książęca Mość już nam wierzy? – spytał Owyn.
- Wierzę, iż James uważał, że to prawda – odpowiedział Arutha. Książę usiadł wygodniej, analizując usłyszane wieści.– Mam nadzieję, że się nie pomylił.
- Jakież zatem będą rozkazy Waszej Książęcej Mości? – spytał Gardan.
- Nie mam wyboru. Albo ufam inteligencji i zdrowemu rozsądkowi Jamesa, albo nie. Chcę, by został tu jeden oddział, w celu pilnowania okolicy i demonstracji siły, ale główne siły armii niech ruszają na Northwarden.
- Gardan przez chwilę spoglądał na mapę.
- Czy nie postąpilibyśmy mądrze, prosząc Króla, by zebrał Armię Wschodu dla wzmocnienia Gabot?
- Owszem... gdyby Armia Wschodu była już pod bronią. Poślę oczywiście wiadomość do Lyama, żeby przygotował się na zwołanie jednostek drugiego rzutu, na wypadek gdyby Delekhan przedarł się przez Northwarden. My jednak możemy zjawić się tam szybciej niż ludzie Lyama, nie należy więc zwlekać. Jutro o świcie zwijamy obóz.
- Gardan oddał honory i wyszedł, by przekazać książęce rozkazy adiutantom.
- Powiedzcie mi coś o tych... Sześciu – polecił Arutha, Owyn spróbował sobie przypomnieć wszystko, czego dowiedział się o tajemniczych poplecznikach Delekhana. Kiedy skończył mówić, odpowiadając przy okazji na kilka przenikliwych pytań Aruthy, Książę stwierdził: – Mam zadanie dla was obu.

– Wasza... Książęca Mość – odezwał się Gorath. – Wolałbym stawić się na murze pod Northwarden, bym mógł zgotować Delekhanowi odpowiednie przyjęcie.

Nie mam co do tego cienia wątpliwości – odpowiedział Arutha. – Ale osobiste rachunki krzywd i dług krwi muszą poczekać. Jeżeli my padniemy, któż przyjdzie na nasze miejsce? Chcę, byście wrócili do Kronloru i odszukali Puga. Jeżeli go tam nie zastaniecie, ale odnajdziecie jego małżonkę, Katalę, ona będzie wiedziała, gdzie go szukać. Jeśli i jej tam nie będzie, posłużcie się talizmanem, jaki dał mi kiedyś Pug na takie właśnie okazje. Książniczka wie, jak go użyć, a gdy zjawi się Pug, powiedzcie mu o Sześciu. Myślę, że w czekającym nas starciu magia odegra wielką rolę... A nasze wojska są źle przygotowane na wypadek, gdybyśmy z czymś takim zetknęli się pod Northwarden.

– Czy chłopiec sam tego nie może zrobić? – spytał Gorath.

– Pug potrafi wyciągnąć z waszej pamięci rzeczy, o których mogliście zapomnieć – stwierdził Arutha. – Ale wątpię, czy zdoła tego dokonać bez waszej obecności.

Gorath milczał przez chwilę.

– Dobrze... ale potem wrócę i będę walczył.

– Rozumiem. – Kiwnął głową Arutha, a zaraz potem umilkł na chwilę. – Nie... nie rozumiem – stwierdził. – Nie znam twojej rasy i nie wiem niczego o kierujących tobą motywach. – Przez chwilę wpatrywał się w rysy moredhela, jakby chciał z nich coś wyczytać. – Ale chętnie się dowiem czegoś nowego. Osobiście rozumiem chęć naprawienia krzywd albo wyrządzonej niesprawiedliwości. Kiedy skończysz swe sprawy u Puga, wróc, a z radością powitam ciebie i twój miecz u mego boku.

– Tyś mnie też zaskoczył, Mości Książę – odpowiedział Gorath. – Jesteś kimś większym i lepszym, niż się spodziewałem. I ja rad jestem z

okoliczności dowiedzenia się czegoś o twoim narodzie. – Moredhel zerknął na Owyna. – Ten młodzik i wielu innych już sprawili, że musiałem zakwestionować niejeden pogląd, jaki miałem na temat waszej rasy.

– To dopiero początek – odezwał się Arutha. – Może któregoś dnia poznamy się lepiej. – Księżę wyszedł zza stołu i podał Gorathowi dłoń. Ten ujął ją i z powagą nią potrząsnął. W tym geście było coś więcej niż zwykła wymiana uścisków dłoni.

– Wasza Księżęca Mość jest niezwykle łaskawy – stwierdził Gorath.

Na razie odpocznijcie. Jutro pošlę patrol do Krzyża Malaka. Będzie szybciej niż lasami do Sethanonu, a potem wokół gór do Darkmoor. Wypiszę dokumenty, dające ci władzę nad eskortą do Krzyża Malaka i potem do Darkmoor. Powinni was dowieźć do Kronodoru. Gdy się tam znajdziecie, Pug już będzie wiedział, co robić.

Owyn i Gorath odeszli, a żołnierze odprowadzili ich do namiotu. Jeden z wojaków odsunął klapę namiotu.

– Chłopcy, którzy tu śpią, do jutra będą na służbie, więc nie wezmą wam za złe, jeżeli tu przenocujecie, pod warunkiem że niczego nie ukradniecie. – Błyskiem zębów odsłoniętych w uśmiechu pokazał, że ostatnia uwaga była żartem. Gorath wbił weń spojrzenie, pod wpływem którego uśmiech wojaka się rozpułynał. – Jakbyście byli głodni, to przy wielkim ognisku, nieopodal księżęcego namiotu, znajdziecie żarcie. – Żołnierz wyszedł tyłem, jakby bał się odwrócić.

– Rzeczywiście, dobrze byłoby coś przekąsić – stwierdził Gorath. Kiedy jednak Moredhel odwrócił się do przyjaciela, zobaczył, że Owyn już chrapie na najbliższym pościeliu.

Przebijając się wzdłuż lodowej grani i wydmuchując białe obłoczki zamrożonego powietrza, James klął niczym potępieniec drobnych, pogranicznych baronów odpowiedzialnych jedynie przed Królem. Mróz

ciał go tysięcznymi igiełkami, palce mu drętwiały, a brzuch przypominał o tym, że od dawna nie jadł.

James pojął się o kilka godzin drogi od fortecy Barona Gabon, potężnej niczym skała twierdzy wznoszącej się nad jedną z trzech głównych przełęczy biegnących przez wschodnią część Kłów Świata. W odróżnieniu od Highcastle, który to zamek sam rozsiadł się pośrodku przełęczy, zastawiając drogę, Northwarden wznosił się na niewielkim szczycie, wokół którego wiła się przełęcz zwana Drzwiami do Krajów Północnych. Wąski szlak oplatał wzgórze na kształt litery S, rozszerzając się w miarę opadania ku dołowi. Podwójny zakręt dawał siłom Barona możliwości atakowania wroga w dowolnym punkcie szerokiego frontu, podczas gdy przeciwnicy do pokonania przesmyku musieli się rozciągnąć.

Leżącą w dole drogę kontynuował Gabot dzięki szeregowi balist i katapult ustawionych na dwu murach, zachodnim i północnym. Zachodnie umocnienia były silniejsze – północne przeznaczono do nękania nieprzyjaciół, którzy usiłowali zejść przełęczą i pokonać zakręt wokół twierdzy. Nad bramą twierdzy ustawiono trzy ciężkie balisty, które wspólnie z magonelami i katapultami mogły zadać ciężkie straty każdej armii usiłującej przedostać się za zakręt, poza zasięg machin. Było pewne, że części żołnierzy to się uda, nie będzie to jednak żadna zorganizowana siła – a na taki wypadek Baron miał niewielki oddział konnicy w koszarach pod pobliskim miasteczkiem Dencamp-na-Kłach.

Baron Gabot był pewien, że każda armia, która zechce się przebić przez Northwarden, zostanie bez trudu zniszczona przez pozostające pod jego komendą oddziały. Była to miła wiadomość dla Jamesa, choć liczył na to, iż Owyn i Gorath dotarli do Aruthy w Dimwood i ku Northwarden ciągnęły już posiłki. Książęcego giermka trapiły jednak niewesołe myśli. Gdyby

przyjaciele dotarli do Księcia, jego oddziały stałyby już pod murami twierdzy.

Zamiast tego wszędzie panował spokój. Ponieważ James na to nalegał, Gabot wysłał kolejnego posłańca do Mglistej Kniei z żądaniami wsparcia. Posłał też wiadomości do Króla, który był jego suzerenem. James pocieszał się myślą, że Gabot nie był tak ośło uparty jak swego czasu Baron Brian z Highcastle, który ignorując ostrzeżenia Aruthy, dał się zabić, kiedy siły Murmandamusa niczym fala przeszły przez jego posiadłości, ciągnąc na Południe. Jeżeli los będzie sprzyjał Krondorowi, Arutha otrzyma wiadomość od Gabota, nawet jeśli Gorath i Owyn zostaną zabici.

Oczywiście James liczył na to, że tamci jakoś dadzą sobie radę – szczerze polubił młodzika z Timons i nie bez zdziwienia odkrył, że podobnie myśli o moredhelu. Nie potrafiłby dokładnie rzec, co tak naprawdę budziło w nim sympatię dla Goratha – może rzadka u innych świadomość własnego miejsca w świecie i pewność słuszności postępowania, co James szczerze podziwiał, a może umiejętność odłożenia na bok osobistej niechęci, jaką mroczny elf darzył ludzi, i poszukania u nich pomocy przeciwko krzywdzie własnego ludu.

Locklear machnął dłonią i wskazał kierunek. Na prośbę Barona Gabota od świtu razem z Jamesem kręcili się po okolicy, sprawdzając, czy na północ od przełęczu pojawiły się czołowe oddziały moredhelów. Przed dwoma dniami w tę stronę wyruszył patrol, wzmocniony obecnością maga, który od niedawna pracował dla Barona. Gabota niepokoił brak wieści o losach wysłanego oddziału. Nikt tego głośno nie mówił, ale dwu giermków mogło przepaść bez szkody dla Barona, strata zaś drużyny patrolowej mogłaby poważnie osłabić obronność twierdzy. James i Locklear nie mogli wymyślić poważnego powodu, aby odmówić... w wyniku czego już drugi

dzień przemierzali mroźne pustkowia. James klął w duchu wszystkich pogranicznych baronów razem i każdego z osobna.

Dobiegający gdzieś z przodu hałas ostrzegł ich o możliwości natknięcia się na nieprzyjaciół. Locklear zatrzymał konia, podczas gdy James wspiął się na jedno ze zboczy przełęczy, by zobaczyć, kogo mają przed sobą. I zobaczył... Wzdłuż szlaku biegł jakiś człowiek, podtrzymujący jedną ręką poły podkasanego habitu w kolorze kości słoniowej, odsłaniając jednocześnie krzywe niczym obręcz beczki i bardzo żylaste nogi. W drugiej dłoni trzymał długą pałkę okutą z obu końców żelazem.

Biegący odwracał się mniej więcej co trzydzieści kroków i gdy w zasięgu wzroku pojawiała się sylwetka osobnika, który go ścigał, ciskał w niego ognistą kulą wielkości dyni – co nie szkodziło wprawdzie goniącemu, ale przynajmniej go zatrzymywało. Potykając się, James ruszył w dół zbocza.

– Co się dzieje? – zawołał Locklear, który niczego na razie nie widział.

James, który ostatnie kilkanaście jardów zsuwał się niemal na plecach, usiadł wreszcie ciężko na drodze.

– Myślę, że znaleźliśmy maga Gabota. – Szybko wyjął kuszę z juków, zakręciwszy korbą, napiął cięciwę i umieścił beit w łożu. Locklear chwycił miecz.

Zza zakrętu wyłonił się starszawy jegomość. Ujrawszy obu giermków, stanął jak wryty.

– Sam tu! – wrzasnął Locklear, dając przybyszowi znaki.

Stary pospieszył ku nim, a gdy zza zakrętu pokazał się ścigający go moredhel, James wycelował i puścił bełt, który trafiwszy z głuchym łupnięciem, rzucił prześladowcę w tył.

– Ćwiczyłeś, co? – spytał Locklear. – Jestem pod wrażeniem.

– Z lukiem kiepsko się sprawiam – przyznał James – ale kusza jest łatwa w użyciu.

– Ale mniej celna..

James kiwnął głową.

– Trzeba tylko znaleźć dobrze wykonaną sztukę i trzymać się jej. Niektóre rzeczywiście sieją pociski wszędzie, tylko nie w cel... ale z tej zwykle trafiam, gdzie chcę.

Stary dotarł do nich lekko zasapany.

– Serdeczne dzięki, chłopaki – odezwał się, wbiwszy posoch w ziemię. Ciężko się na nim wsparł. – Ten drań prawie mnie dopadł... Zaniedbałem ostrożności i przyszło mi za to zapłacić.

– To wy jesteście Mistrz Patrus? – spytał Locklear.

– Wystarczy Patrus – odpowiedział stary. – Owszem, to ja. A co, szukaliście mnie?

– Nie tylko was – odparł James. – Powinna tu być gdzieś drużyna wojaków Barona Gabota.

Stary był chudy, żyłasty, miał kozią bródkę i cienkie, siwe wąsiki. Na głowie nosił kapelusz, który bardziej przypominał szlafmycę niż jakiegokolwiek inne nakrycie głowy, co w połączeniu z barwą habitu sprawiało, że wyglądał, jakby szykował się do snu.

– Mniej więcej pół dnia drogi stąd – machnął dłonią, wskazując szlak za sobą – natknęliśmy się na liczną bandę moredhełów i trolli. Trolli naprawdę było dużo...

– Bijąłem się z nimi – stwierdził James. – Jedynie wyście ocaleli?

– Jednemu czy dwu chłopakom może jeszcze uda się przedrzeć. Niektórzy schronili się w górach. Ja nie mam do tego zdrowia... mogłem tylko, wiać drogą i trochę się odcinać...

– Gdzie was napadli?

– Mniej więcej dwie mile stąd – odpowiedział stary mag.

– Ta wasza laska okazuje się bardzo przydatna – zauważył James.

Cóż... chłopcze, prawda jest taka, że miota niezbyt gorące ogniste kule... ale rzadko kto się nie schyli, gdy widzi, że leci nań żywy ogień. Zrobiłem ją wiele lat temu na południu, by pozbyć się miejskich gapiów, którzy dawali mi się we znaki. Kilka kul ognistych... i zostawiali mnie w spokoju. James parsknął śmiechem.

– Owyn nie uprzedził nas, że takie z was ziółko.

– Owyn Belefote? A gdzieżście to poznali tego łotrzyka?

– Długo by o tym opowiadać. Ale zaczniemy w drodze. Za waszym pozwoleniem, chciałbym obejrzeć to miejsce, gdzie was napadły trolle. Możecie udać się do Northwarden. Nie powinniście się już natknąć na żadne niebezpieczeństwo.

– Chyba zostanę przy was, chłopcy. Coście za jedni?

– Mamy zaszczyt być giermkami Księcia Krondoru. James i Locklear, do usług. – Cała trójka ruszyła w stronę koni, po czym podążyli dalej pieszo. Młodzi ludzie prowadzili wierzchowce za sobą.

– Jesteście ludźmi Aruthy? A nie znacie przypadkiem Puga ze Stardock?

– Owszem, mamy zaszczyt go znać – odpowiedział Locklear.

– Chciałbym się z nim kiedyś spotkać. Słyszałem też co nieco o jego Akademii. Mówiłem Owynowi, że powinien się tam udać... ja już go nauczyłem wszystkiego, czego mógł się ode mnie dowiedzieć.

– Obecny tu Locklear spotkał Owyna, kiedy ten wracał ze Stardock. Odwiedzał ciotkę mieszkającą w Yabonie. W Stardock chyba nie za bardzo mu się powiodło – stwierdził James.

– Ba! – odezwał się stary, krocząc ostrożnie drogą i odsuwając na bok kamienie końcem swej laski. – Chłopak ma niemały talent, o tym mogę was zapewnić, ale on chyba powinien wybrać ścieżkę Wielkiej Magii, ponieważ

nie wychodziła mu większość tych rzeczy, jakich chciałem go nauczyć. Ale to, czego zdołał się nauczyć... o, to robiło wrażenie. – Spojrzał na szlak i stwierdził: – Będziemy mieli towarzystwo.

Locklear sięgnął po miecz, James wyjął i zaczął sposobić kuszę, ale zamiast moredhelów czy trollów na drodze pojawiło się dwu zakurzonych członków zaginionej drużyny Barona. Jeden był ranny, drugi wyglądał na ogromnie utrudzonego.

– Patrus! – powitał ich ranny. – Myśleliśmy, że cię dostali.

– Niewiele brakło – uśmiechnął się stary. – Pomogły mi te dwa zuchy.

– Giermek James – przedstawił się krondorczyk. – Na coście się natknęli?

Starszy z wojaków złożył raport, z którego wynikało, że ich patrol wpadł w zasadzkę dwudziestu moredhelów i tyluż trollów. Zostaliby wybici do nogi, gdyby pomiędzy nieprzyjaciółmi nie wybuchła kłótnia.

– A to ciekawe – orzekł Locklear.

– Owszem – potwierdził James. – Jeżeli biją się pomiędzy sobą, z pewnością chodzi o zapłatę.

Patrus kiwnął głową.

– Trolle nie lubią czekać na żołąd. Jeżeli go nie dostają w porę i regularnie, wracają do swoich siedzib... ale przedtem wydrą wam z gardeł to, co im się należy.

– Nie wiem, o co im poszło – odezwał się ranny. – Rozbito nas i każdy wiał w swoją stronę... i wtedy jeden z Bractwa Mrocznego Szlaku zawołał coś do któregoś z trollów, a ten, zamiast gonić za nami, odwrócił się i rzucił na niego. Zaraz potem zaczęli się ciąć pomiędzy sobą... i to dość ostro.

– Polała się krew – stwierdził drugi wojak. – Wiecie... na mój rozum, to te trolle z równą ochotą rznąły moredhelów co nas.

– Znakomicie – stwierdził James. – Rozłam w obozie wroga. Dobra nasza... ale czy zdołacie sami wrócić do zamku?

– Jeżeli nikt nas nie zaczepi po drodze – odezwał się ranny – to powinniśmy tam dotrzeć.

– To dobrze. Wracajcie do Barona i powtórzcie mu to, coście nam mówili... a potem dodajcie, że pokręcimy się tu jeszcze i postaramy zdobyć trochę wieści.

– Wedle rozkazu, mości giermku – odpowiedział ten, który nie był ranny, salutując.

Żołnierze ruszyli ku Northwarden.

– Co ty znów wymyśliłeś? – spytał Locklear, zwracając się do Jamesa.

– Jeżeli ci ludzie zostali zaatakowani przez trolle, znaczy to, że gdzieś tu jest ich obozowisko.

– Owszem – wtrącił się Patrus. – Znajduje się przed nami takie miasteczko... Raglam. To jakby... miasto otwarte. Nie należy właściwie do Królestwa, ale żyje w nim dość ludzi, by nie dało się go uznać za część Krajów Północnych. Przemycnicy broni... handlarze niewolników i inni tacy... z tych, co lepiej nie zgadywać, z czego żyją...

– Wygląda na to, że czułbym się tam jak ryba w wodzie – odpowiedział James, uśmiechając się przebiegle.

– Wciągniesz nas kiedyś w jakąś awanturę, w której nas zabiją.

– Nigdy w życiu. – James uśmiechnął się jeszcze szerzej. – Locklearze, mój stary druhu... któregoś dnia zostaniesz zabity przez jakąś kobietę... a nie dlatego, że poszło źle coś, co zaplanowałem.

– No... byle tylko była dostatecznie urodziwa... – odpowiedział Locklear, również się uśmiechając.

Obaj się roześmiali.

– Chłopcy... – odezwał się Patrus – a może byście zechcieli powiedzieć staremu, co zamierzacie?

– Pomyślałem sobie, że moglibyśmy zajrzeć do Raglamu i trochę się tam rozejrzeć.

Patrus potrząsnął głową.

– Szaleństwo... czyste szaleństwo. Mówicie tak, jakby to była świetna zabawa.

Stary mag ruszył ku przełęczy, przyspieszając, by zrównać krok z młodymi. James i Locklear wymienili spojrzenia – i znów wybuchnęli śmiechem.

Dowódca patrolu dał znak swoim podwładnym, by się zatrzymali, a potem zwrócił się do Owyna i Goratha:

– Krzyż Malaka.

Zatrzymali się przed oberżą Pod Hetmanem, gdzie najwyraźniej panował tłok.

– Dlaczego by nie zajrzeć do opactwa? – spytał Owyn. Gorath kiwnięciem głowy wyraził zgodę. Pożegnawszy się z eskortą, ruszyli do gmachu mieszczącego nową siedzibę zakonu.

– Wiesz... – odezwał się Gorath – gotów byłbym się założyć, że od towarzystwa Ishapian wolisz piwo i wesołą kompanię.

– I miałbyś rację – stwierdził młody mag – tyle że nie stać nas nawet na łyk piwa. No... chyba że gdzieś po drodze zgarnąłeś jakiś łup, o którym nie raczyłeś mnie powiadomić. Dokładności strażników Delekhana, oby im wargi popękały, zawdzięczam to, że me mam przy sobie nawet miedziaka. Książkę zaś raczył... zaniedbać finansową stronę naszej wyprawy do Northwarden, a ja zapomniałem mu przypomnieć o rzeczy tak przyziemnej jak pieniądze.

– To co? Mamy zebrać? – spytał Gorath.

– Fe, cóż za brzydkie słowo. Poprosimy o gościnę. Podejrzewam, że do jej udzielenia skłonniejszy będzie opat Graves niż zajęty gośćmi oberżysta.

– A wiesz, możesz mieć rację – stwierdził moredhel.

– Przy odrobinie szczęścia może uda nam się skłonić opata do drobnej pożyczki, która wystarczyłaby na dwa, trzy posiłki w drodze stąd do Krondoru.

– Powinniśmy o tym pomyśleć przed pożegnaniem się z Aruthą.

– Nie przyszło mi to do głowy – odparł Owyn. – Tobie zresztą też. Dajmy więc pokój wszelkim „powinniśmy to...” i „powinniśmy tamto...”, dobrze?

Gorath mruknął coś niezrozumiale i to zakończyło dyskusję. Kiedy dotarli do opactwa, przekonali się, że brama jest zamknięta.

– Hola tam, w opactwie! – zawołał Owyn.

– Kto zacz i czego chce? – rozległ się głos zza bramy.

– Owyn Belefote. Chciałbym się zobaczyć z opatem.

– Zaczekajcie – padła sucha odpowiedź. Więc czekali. Minęła mniej więcej czwarta część godziny, gdy brama otwarła się ze zgrzytem. Ujrzeni bardzo zmartwionego czymś człeka. Gdy tylko przejechali przez bramę opactwa, wrota z powrotem zatrzaśnięto z hukiem.

– O co chodzi? – spytał Owyn, zeskakując z siodła.

– Opat czeka na waszmościów – odpowiedział mnich i wzięwszy wodze, odprowadził konie do stajen.

– Kiedy weszli do refektarza, ujrzeni opata Gravesa, pod którego przewodnictwem dwaj inni mnisi pakowali rozmaite przedmioty, Wyjeżdżacie? – spytał Gorath.

– Gdzie jest James? – odpowiedział Graves pytaniem na pytanie, ujrzawszy swoich gości.

– Gdy się rozstawaliśmy, wyruszał do Northwarden – odparł Owyn. – A czemu pytacie?

– Do licha! – zaklął opat. – Liczyłem na to, że będę go mógł poprosić o przysługę.

– Wyjeżdżacie? – powtórzył Owyn pytanie zadane przed chwilą przez Goratha.

– Zostałem zmuszony – odpowiedział Graves. – Podczas ostatnich dwu tygodni Jastrzębie dwakroć usiłowały mnie zabić.

Owyn i Gorath wymienili zaskoczone i zdumione spojrzenia.

– Ależ wielebny opacie... – odezwał się Owyn. – James własną ręką zabił przywódcę Jastrzębi!

– Navon nie żyje? – zdumiał się opat.

Zanim ktokolwiek zdążył zareagować, miecz Goratha wyskoczył z pochwy i musnął sztychem krtań opata. Dwaj mnisi porwali się na nogi – jeden odskoczył w najbardziej odległy kąt refektarza, drugi natomiast przybrał postawę bojową, jakby zamierzał bronić przełożonego.

– Stać! – zawołał Owyn, unosząc w górę dłonie.

– Skąd wiesz, bratku, że hersztem Jastrzębi był du Sandau? – zagrzmiął Gorath. – Brak tej wiedzy mogliśmy przypłacić życiem... i niewiele brakło, aby tak się stało!

– On mnie trzymał w szachu! – odpowiedział Graves, unosząc dłonie na znak, że nie zamierza się bić.

Owyn położył rękę na głowni pałasza Goratha i powoli odchylił sztych.

– Porozmawiajmy – zaproponował spokojnie.

Graves skinieniem dłoni powstrzymał młodego mnicha, który gotów był zaatakować przybyszy. Skłoniwszy się, nowicjusz wyszedł, zabierając ze sobą drugiego mnicha.

– Wyjaśnij, co to znaczy, że cię trzymał w szachu – syknął Gorath – albo cię zabiję.

– Sandau zmuszał Gravesa do robienia czegoś wbrew jego woli, grożąc, że zrobi coś, co z pewnością mu się nie spodoba. Mam rację? – wtrącił się Owyn.

– Owszem – odpowiedział Graves. – Dowiedział się czegoś o mojej przeszłości i dlatego musiałem mu pomagać w jego spiskach...

Owyn usiadł na stole, przy którym niedawno jeszcze pracowali mnisi.

– Jak ktoś może zmusić do czegoś kapłana Ishap? Macie do dyspozycji magię i potężny zakon, który dodaje wam sił i w razie czego murem stanie za każdym z was. Co on ci takiego zrobił?

– Jak już mówiłem Jimmy’emu... znaczy Jamesowi – westchnął Graves – z poprzednim życiem łączyły mnie więzy, których nie mogłem zerwać. – Graves usiadł i Gorath odłożył swój miecz. – Byłem niegdyś w Krondorze złodziejem... hersztem bandy trudniącej się... ochroną handlu, oczywiście za opłatą. Należałem do szacownego i szanowanego Stowarzyszenia Szyderców. Opiekowaliśmy się też dziewczętami, tak by nikt nie pozwalał sobie na złe ich traktowanie. I oczywiście zwalczaliśmy konkurencję. – Opat wbił wzrok w ziemię. – Kiedy poczułem powołanie Ishap, naturalnie zerwałem z tamtym życiem. Kościół przed dwa lata poddawał mnie próbom, aż w końcu przyjąłem śluby. Ale... było to fałszywe ślubowanie.

– Jak można złożyć fałszywe śluby w Świątyni? – zdumiał się Owyn. – To po prostu niemożliwe!

– Możliwe, jeżeli kłamiesz nieświadomie – odpowiedział Graves. – Szczerze i uczciwie chciałem zerwać z przeszłością... ale okłamywałem samego siebie.

– To znaczy? – spytał Gorath.

– Myślałem, że zrywam wszelkie więzy, a jednak coś z nich zostało. Kiedy zostałem mnichem, skierowano mnie do pracy przy świątyni w Krondorze. I zaczęły mnie ścigać stare grzechy...

Mnich umilkł, jakby stracił ochotę na dalsze wyznania.

– Co się stało? – ponaglił go Owyn.

– Kobieta. Kiedy byłem hersztem bandy, poznałem pewną... dziewczynę, twardą jak podeszwa buta i nieustępliwą niczym dzika kocica. Tak ją zresztą nazywali... Kotka. Na imię miała Katherine.

– Była dziwką? – spytał Gorath.

– Nie... złodziejką – odpowiedział Graves. – Potrafiła zręcznie sięgać do cudzej kieszeni i była dostatecznie twarda, by zająć się rozbojem, ale naprawdę doskonale wychodziły jej włamania do cudzych domów. Potrafiłaby ci ukraść nocną koszulę z grzbietu podczas snu... a ty byś się tylko obudził i podrapał w łeb, rozmyślając tępo, co się stało z twoją bielizną i czemu jesteś goły... – Opat westchnął. – Kiedy ją poznałem, była drobniutką, szczupłą dziewczyną. Lubiłem się z nią drażnić i patrzeć, jak się na mnie wścieka. Potem, kiedy trochę podrosła... zaczęła mi się odgryzać... A potem ją pokochałem.

– Ale ją porzuciłeś, kiedy wstąpiłeś w szeregi Ishapian? – spytał Owyn.

– Była miłym stworzeniem... i mogła trafić na lepszego ode mnie. Wielu młodszych chłopaków chętnie by się nią zajęło. Myślałem, że ona znajdzie sobie kogoś innego... a mnie będzie łatwo o niej zapomnieć. Nie było... Widy wałem ją na ulicach... tu i tam... potem o wszystkim dowiedział się człek o imieniu Pełzac... i oto pewnej nocy przyszedł do mnie ten Navon du Sandau, cały w przyjaznych uśmiechach, i powiedział: „Wiemy o twoim Kotku w Krondorze. Jeżeli nie zechcesz robić tego, co ci każemy, to tak, jakbyś jej poderznął gardziołko”. Powiedział jeszcze, że to samo się stanie, jeżeli poproszę o pomoc Braci ze Świątyni.

– I co? Uwierzyłeś... uwierzyliście mu? – spytał Owyn.

– Musiałem. Wiedział, jak się zabrać do sprawy... myślę, że ten Pełzacz od dawna szperał w przeszłości rozmaitych ludzi, bo wiedział o mnie bardzo wiele. Zabiliby ją, zanim zdążyłbym cokolwiek zrobić.

– Więc dlatego szykujecie się do podróży? – spytał Owyn.

Miesiąc temu powinienem był otrzymać wiadomość od du Sandau. Zamiast tego jeden z Jastrzębi próbował wspiąć się nocą po ścianie opactwa. Przyłapał go brat odpowiedzialny za obronę murów... niewiele brakło, ale morderca zginął. Minęły dwa tygodnie. Wracalem z miasta, kiedy pocisk z kuszy, przeznaczony dla mnie, uderzył brata idącego obok.

– I dokąd się udajecie? – spytał Owyn.

– Pewien człowiek, mieszkający w wiosce nieopodal Sloop, jest mi winien przysługę – odpowiedział Graves. – Posłałem mu wiadomość z zapytaniem, czy mógłby mi pomóc opuścić Królestwo. Dziś przyszedł odeń list. Pomoże mi.

– Michael Czatownik? – spytał Owyn.

– Owszem – odpowiedział Graves. – A skąd wiecie?

– Bo istnieje związek pomiędzy wami, Nocnymi Jastrzębiami, Czatownikiem i tym Pełzaczem. Nie jestem pewien, czy moje domysły są trafne, ale sądzę, że James by to wszystko rozplatał.

– Nie mogę czekać – zachnął się Graves. – Nawet jeżeli du Sandau nie żyje, zostali inni jego kompani. Ten, który do mnie strzelał, wciąż gdzieś się tam czai.

– To prawda – odezwał się Gorath. – Ale czy wasz Zakon nie zechce was chronić?

Graves nie bez żalu i skruchy potrząsnął głową.

– Gdybym od razu zwrócił się do nich po pomoc, może by się tym zajęli. Ja jednak tego nie uczyniłem... i złamałem śluby. Mogę mieć tylko

nadzieję, że zanim znajdą mnie Jastrzębie, zdołam dotrzeć do Kat i oboje uciekniemy do Kesh.

– Udajemy się do Kronloru – stwierdził Owyn. – Może powinniśmy podróżować razem?

– Wasza magia i miecz waszego przyjaciela moredhela byłyby mi wielką pomocą, ale czy wy sami nie narażacie się przez to na większe niebezpieczeństwo?

Owyn parsknął śmiechem.

– Od dnia, w którym spotkałem Goratha, niczego innego nie robię, tylko pcham łeb z jednej niebezpiecznej awantury w drugą.

Życie to ogólnie rzecz biorąc sprawa bardzo niebezpieczna i przeważnie kończy się śmiercią – stwierdził filozoficznie Gorath. – Nie bardzo mogę pojąć, jak to się stało, że miłość do dziewczyny przeszkodziła wam w spełnianiu obowiązków względem kraju, ale nie jest to jedyna rzecz, jaka dziwi mnie u ludzi. Jeżeli Owyn uważa, że można wybaczyć wasz udział w spisku Jastrzębi, zdam się na jego osąd. – I nagle moredhel pochylił się, opierając but o ławę, na której siedział Opat. – Ale jeżeli zdradzicie nas ponownie, wytnę wam serce i zjem na śniadanie.

Graves odpowiedział uśmiechem, w którym przez ułamek sekundy Owyn i Gorath ujrzeli błysk dawnej zuchwałości herszta kronlorskiej bandy.

– Mości elfie... możemy się z tym sprawić, kiedy tylko zechcecie.

Gorath tylko prychnął.

– Ponieważ brak nam grosza – wtrącił się Owyn – trzeba nam będzie zdać się na wasze fundusze przy zdobywaniu prowiantu.

Graves wstał i skinieniem dłoni wezwał do siebie mnichów, którzy wrócili do pakowania bagaży Opata.

– Jeżeli dostawicie mnie żywego do Krondoru, zarobicie na swoje posiłki... i dostaniecie trochę złota.

– Jeżeli ten Jastrząb baczy na opactwo, to powinien wiedzieć, że tu jesteśmy – stwierdził Owyn.

– Dziś i tak wyjeżdżamy – odpowiedział Graves.

Owyn skrzywił się, jakby łyknął octu.

– Dziś przynajmniej chciałem się przespać w łóżku – jęknął.

– No to się pospiesz – odparł Graves, wskazując mu swoją własną pryczę w kącie pokoju. – Obudzę cię, kiedy trzeba będzie wyruszać.

– No... jeżeli trzeba – stęknął Owyn.

– Trzeba – stwierdził Graves.

Gdy Owyn położył się na dobrze wypchanym sienniku, Graves zwrócił się do Goratha:

– A wy... nie prześpicie się?

– Owszem – odpowiedział moredhel, zostając jednak na miejscu i nie spuszczać z opata bacznego spojrzenia. – Ale dopiero w drodze do Krondoru...

Graves kiwnął głową na znak, że go rozumie, a potem ponownie zajął się nadzorowaniem przygotowań do wyprowadzki.

ROZDZIAŁ 13

ŹDRADA

Trolle podniosły wzrok na wędrowców.

– Idźcie powoli – odezwał się James – jakbyśmy doskonale wiedzieli, co robimy.

– A wiemy, co robimy? – spytał szeptem Patrus.:

– Nie pytaj! – odparł Locklear.

Trolle chwyciły za broń i stawały przyczajone jak do walki. James ściągnął wodze konia i powiedział:

– Nie zatrzymujcie się, ale bądźcie gotowi.

Trolle przypominały nieco ludzi, z tym że miały bardzo krótkie szyje. Ich głowy wyrastały wprost z ramion – co sprawiało, że wyglądały, jakby w coś nieustannie wąpiły, wyrażając zwątpienie wzruszaniem ramion, lub jakby się garbiły. James wiedział jednak, że niewiele było na świecie rzeczy i zjawisk tak zwodniczych jak zabawny wygląd trolli. Żyjące na nizinach trolle niewiele się różniły od zwierząt, nie znały bowiem mowy iniepotrafiły się posługiwać narzędziami ani bronią. Ich górskim krewniakom nie sposób było jednak odmówić inteligencji, mimo że ludzie uważali je za głupie. Doskonale wiedziały, jak się posługiwać orężem, i choć ich mowa przypominała zbiór chrząknięć i charkotów, potrafiły tworzyć prymitywne społeczności i umiały bić się w szyku.

Kiedy trolle podeszły bliżej, James podniósł dłoń w geście pozdrowienia.

– Gdzie możemy znaleźć Naraba? – spytał spokojnie.

Trolle zatrzymały się, a potem zaczęły gapić jeden na drugiego. Miały niskie czoła i potężne, choć pozbawione podbródków szczęki, z których ku górze wystawały dwa wielkie, żółtawe kły. Jeden z nich przechylił łeb, jakby nasłuchiwał, po czym wycharczał:

– Żaden Narab tu nie być. Wy kto?

– Najemnicy. Przysłano nas tutaj, byśmy odszukali Naraba i dowiedzieli się, dlaczego wy, dzielne górskie trolle, nie dostaliście swoich pieniędzy.

Wzmianka o zapłacie wywołała wśród trollów ożywioną dyskusję. Po kilku minutach, ten, który pierwszy odezwał się – James uznał go za przywódcę grupy – stwierdził:

– Bez pieniądze my się nie bić.

– W tym właśnie sęk – odpowiedział James. Przechyliwszy się przez koński kark, odezwał się przyjaźnie: – Posłuchajcie, doskonale was rozumiem. Gdybym był na waszym miejscu i nie dostałbym należnych mi pieniędzy, też nie chciałbym się bić. Gdyby Delekhan traktował mnie tak jak was, wróciłbym do domów.

– Ty płacić? – spytał przywódca trollów, niespodziewanie podnosząc swoją maczugę.

James szybko się cofnął, gotów w każdej chwili spiąć konia i szarpnąć go w tył, gdyby tylko zobaczył, że pała trolla zostaje skierowana w jego stronę.

– Tak sędzę – odpowiedział. – Ile masz przy sobie złota? – spytał Lockleara przez zęby.

– To na koszty podróży! – syknął Locklear. – Mam nieco ponad sto złotych suwerenów.

– Daj je trollom.

– Co?!

– Nie dyskutuj, tylko dawaj! – ponaglił go James. Locklear odwiązał sakiewkę od pasa i rzucił ją trollowi, który z zaskakującą zręcznością złapał trzos w locie.

– Co to być?

– Sto sztuk złota – odpowiedział James.

– Złoto jak złoto – ucieszył się troll. – Teraz my pracować dla was.

– Doskonale. – Książęcy giermek uśmiechnął się szeroko.

– Zostańcie tu aż do naszego powrotu. Jeżeli ktoś będzie jechał za nami, to go zatrzymajcie.

Troll kiwnął głową i machnięciem łapy dał znak kompanom, by przepuścili jeźdźców. Kiedy nieco się oddalili, Locklear zapytał zgryźliwie:

– Czy nie byłoby prościej zapłacić wszystkim, żeby się od nas odczepili?

– Prawdę rzekłszy, na dłuższą metę rzeczywiście wyszłoby to taniej – stwierdził James. – Ale moredhelom trzeba byłoby zapłacić znacznie więcej i nie sądzę, by Królewski Skarbiec to wytrzymał.

– Wiecie, chłopaki – odezwał się Patrus jest tylko jedna cecha, która u tych gniotów przewyższa ich głupotę.

– Jaka? – spytał Locklear.

– Chciwość. Myślicie, że gdy będziemy wracali, te draby nas ot tak po prostu przepuszczą i nie zażądają więcej?

– Wcale tak nie myślimy – odpalił James. – Po to właśnie mam tu drugą sakiewkę.

– To dlaczego zażądałeś mojego złota? – spytał Locklear.

– Aby mieć czym zapłacić, gdy będziemy wracać?

– Skądże znowu! – zachnął się James. – Jeżeli uda nam się wrócić bez dodatkowych ceregieli, to oczywiście tak zrobimy. Dałem im twoje złoto po prostu dlatego, że wolałem zatrzymać swoje.

Locklear sapnął z oburzenia, a Patrus parsknął śmiechem. Ruszyli dalej i wkrótce na horyzoncie ujrzeli grupę jeźdźców, poruszających się w luźnym szyku.

– To chyba już blisko – stwierdził James.

– Owszem, Raglam jest po tamtej stronie tego grzbietu – odpowiedział Patrus.

Ruszyli dalej w głąb zajętego przez nieprzyjaciół terytorium, usiłując zachować beztroski wygląd najemników, którym do szczęścia potrzeba jeszcze tylko hożej dziewczki i pełnego dzbana. Podczas swego niezbyt długiego życia James wielokrotnie włąził tam, gdzie nikt go nie prosił, wykorzystując przy tym niewinną minę, która w nikim nie wzbudzała podejrzeń i powodowała, że nikt nie zastanawiał się, iż ten młodzik jednak nie jest na swoim miejscu. Książęcy giermek liczył na to, że sposób dobry na ludzi poskutkuje i w wypadku moredhelów.

Kiedy wyjechali z zakrętu i znaleźli się na szczycie wzgórza, James zatrzymał konia, a z jego ust wydarł się okrzyk zdumienia:

– Bogowie miłosierni!

W dole całe rzesze rzemieślników trudziły się z zapalem przy budowie wież oblężniczych, które miały zrównać z ziemią mury Northwarden.

– Ha! – stwierdził Locklear. – Jak Baron je zobaczy pod swoimi murami, chyba nie będziemy musieli się nawet za bardzo starać, by go przekonać o tym, że ciągnie tędy nieprzyjacielska armia, prawda?

Patrus przesunął się do przodu.

– Zobaczmy, co tam jeszcze wymyślili.

Minęli grupę uznojonych i wyglądających na znudzonych swoją robotą ludzi, siedzących obok wielkiej katapulty. Zaraz też podszedł do nich jakiś moredhel:

– A wy dokąd? – zapytał.

James zrobił głupawą minę, którą niejednokrotnie zwodził innych.

– Gdzie znajdziemy Shupika?

– Kogo? – spytał moredhel.

– Shupika, naszego kapitana. Mamy się u niego zameldować, ale nie możemy znaleźć miejsca, gdzie rozłożył się z obozem.

– Nigdy nie słyszałem o żadnym Shupiku... – odezwał się moredhel, mrużąc podejrzliwie oczy.

Zanim James zdążył cokolwiek odpowiedzieć, inicjatywę przejął Patrus:

– Nikt nie ma o to do ciebie pretensji, ty głupi, ostrouchy pożeraczu lilii! Ale teraz nam nie przeszkadzaj i zabieraj stąd swój kosmaty tyłek, inaczej będziesz musiał tłumaczyć się swojemu wodzowi, dlaczego nie dotarły doń w porę wieści, które mu przynosimy!

Patrus ruszył przed siebie żwawo, a James i Locklear zacięli konie i podążyli za nim. Mijając moredhela, James zdołał pojednawczo wzruszyć ramionami. Gdy się nieco oddalili, Locklear mruknął pod nosem: – A ja myślałem, że to ty zanadto kochasz brawurę! James z trudem stłumił śmiech. Kiedy minęli kilkanaście budowanych właśnie wież, stwierdził:

– Ktoś tu porządnie ruszył głową. Ciężko je będzie przetransportować pod mury, ale jeżeli tam staną, wojownicy szybko poprzeskakują z nich na blanki.

Locklear przytaknął.

– Wcale nie przypominają tych wielkich, niezdarnych okropieństw spod Armengaru.

James przypomniał sobie wielkie wojenne maszyny, ciągnięte ku murom Armengaru przez równiny Sar–Isbandii. Jedynie geniuszowi Guya du Bas–Tyra zawdzięczali fakt, że nie docierały one do murów jedna po drugiej. James miał poważne wątpliwości, czy Baron Gabot okaże się w obronie różną przebiegłością.

– Płytkie, zamaskowane rowy w poprzek drogi w odległości pół mili od murów mogłyby jednak sprawić im pewne trudności – zauważył Locklear, kiedy przejeżdżali obok tych machin.

– Poważne trudności... – uśmiechnął się James. – Jeżeli zaczniemy staczać po szlaku rozmaite przeszkody.

– Jak na przykład spore głazy? – Roześmiał się złośliwie Patrus.

– Może być niezłe zamieszanie... – odezwał się Locklear tęsknym głosem.

– Powiedz nam, mości Patrusie – spytał James nieco później – jak się w to wszystko wpakowałeś?

Stary mag wzruszył ramionami.

– Ten piernik Earl Belefote przepędził mnie z Timons za to, że, jak się wyraził, „zaraziłem mu syna niecną miłością do magii”. Tak jakby chłopak nie mógł odkryć swoich zdolności i beze mnie! Tak czy owak włóczyłem się po świecie... i trafiłem aż do Saladoru, gdzie Diuk Laurie dość gościnnie przyjmował magów. Ale ja nie mogłem usiedzieć na tyłku bez jakiegoś zajęcia i kiedy Laurie powiedział mi, że Gabotowi potrzebny jest ktoś, kto zna się trochę na magii, żeby przeciwstawić się umiejętnościom Tkaczy Zakłéc z Bractwa Mrocznego Szlaku, ruszyłem z ochotą i przez ostatni rok pracowałem dla Jego Baronowskiej Mości.

– I coś nam już wiadomo o tych Tkaczach?

– Posiałem kilka notatek do Northwarden. Zebrałem sporo wiadomości, ale to przeważnie drobiazgi. O ile znam się na magii, niewiele z tego da się wywnioskować. Chciałbym wiedzieć coś więcej o zachodnich elfach, wtedy mógłbym lepiej pojąć niektóre rzeczy, jakich się dowiedziałem. Kiedy wrócimy do zamku, wszystko wam pokażę. Teraz jednak – spojrzal przed siebie – trzeba nam zająć się czymś innym. – Zmienił nagle temat, wskazując drogę przed nimi. – Myślę, że mamy problem.

James zwolnił, zbliżali się bowiem do dwu grup jeźdźców – jednej, w skład której wchodziłi ludzie, i drugiej, składającej się z moredheli i ludzi. Członkowie obu grup kłócili się zawzięcie i gdy nasi bohaterowie zbliżyli się doń, zaczęli już sięgać po oręż.

– Nie dbam o to, co on powiada! – grzmiał jeden, najwyraźniej wypowiadający się w imieniu grupy składającej się wyłącznie z ludzi. – Kroldech nie potrafiłby nawet pokierować atakiem pcheł na psa!

– Zwiążaliście się przysięgą! Wziąłeś złoto, człowiecze! – odparł wódz grupy moredhelów. – Pójdziecie, gdzie wam kazano, albo zostaniecie okrzyknięci zdrajcami.

– Zaciągałem się w szeregi Moraaulfa! Od niego wziąłem złoto! I gdzie on jest?

– Służę swojemu ojcu, Delekhanowi, jak my wszyscy. Jest na Zachodzie, ponieważ taka była wola jego ojca. Jeżeli Delekhan wyznaczył Kroldecha na naszego wodza, to pójdziemy za nim!

James rozglądał się niby to obojętnie, ale łowił uchem każde słowo.

– Rozłam w szeregach – zauważył Locklear, kiedy oddalili się od miejsca sporu.

– Jaka szkoda – rzekł kpiąco książęcy giermek.

I nagle zatrzymał konia.

– Co się stało? – spytał Locklear.;

– Spójrz na tę katapultę.

Ten spojrział posłusznie na machinę.

– A co w niej takiego osobliwego?

– Czy w związku z nią nie nasuwa ci się żaden pomysł?

– Nie... machina, jak machina.

Patrus parsknął śmiechem.

– Chłopcze, nigdy nie zostaniesz wodzem. Gdybyś miał ją gdzieś przesunąć, co bybyś zrobił przede wszystkim?

– No... zacząłbym od tego, że kazałbym ją rozładować i... – Nagle oczy młodzieńca zrobiły się okrągłe. – Jest gotowa do strzału!

– Owszem, na to właśnie chciał zwrócić twoją uwagę nasz bystrooki przyjaciel – stwierdził Patrus. – Nie tylko, że jest załadowana i gotowa do strzału, ale też zwrócona w niewłaściwym kierunku.

– A o ile znam się rta katapultach, w koszu jest spory głaz, a ramię wymierzono prosto w tamtą gospodę. – James spiął konia i ruszył ku wspomnianemu budynkowi.

– Czy to dobry pomysł? – spytał Locklear.

– Najpewniej nie – odpowiedział James.

Kiedy zbliżyli się do gospody, zostali zatrzymani przez dwu moredhelów.

– Dokąd leżecie, ludzie?

– Czy to kwatera główna? – spytał James.

– Owszem, to tymczasowa siedziba Kroldecha.

– A jest z nim Shupik?

– Wewnątrz nie masz nikogo o imieniu Shupik – oznajmił wartownik.

– Chyba się jeszcze nie zjawił – odparł James, zawracając konia ku miasteczku.

Kiedy odjechali kawałek, książęcy giermek rzekł z namysłem w głosie:

– Komuś tu naprawdę nie podoba się pomysł, żeby komenda została przy Kroldechu.

– Co znowu wymyśliłeś? – spytał Locklear.

– Locky, o mój najlepszy przyjacielu, spróbujmy się przekonać, czy we trzech z Patrusem zdołamy zwiększyć panujący tu zamęt.

Kiedy zbliżyli się do gospody, stary mag roześmiał się złowróźnie. Locklear i James zsiadli z koni, uwiązali wierzchowce do belki przed oberżą i cała trójka weszła do środka.

Znużony Pug siedział przy stole w niewielkim apartamencie, jaki Arutha wydzielił dla niego i jego żony Katali na czas pobytu w Stardock. Kolejny raport któregoś z rozesłanych przez Księcia oddziałków rozmywał mu się już przed oczyma. Donosił on o kolejnej utarczce z moredhelami nieopodal Yabonu.

Spędził nad meldunkami wiele godzin, przeglądając też raporty szpiegów i przypadkowe obserwacje dotyczące Sześciu – tajemniczych doradców Delekhana. Czas, jaki spędził z Owynem Belefote, omawiając jego spotkanie z Narabem, i to, co teraz przeglądał, zasiały w nim dręczące podejrzenie. Wstał i przeszedłszy przez komnatę, zatrzymał się przy oknie, przez które mógł się przyjrzeć portowi i leżącemu dalej ujściu na Morze Goryczy. Od północy dał silny wiatr, który odrywał grzywaczom ich białe czupryny. Mag widział też statki, które spieszyły, by schronić się przed nadciągającym sztormem za portowym falochronem.

W takich jak ta chwilach pragnął odwrócić przeszłość, by móc poświęcić nieco więcej czasu na studiowanie tego, co wśród magów znane było jako Niższa Ścieżka. Jednym z nieodłącznych elementów tego kanonu sztuki była magia pogody. Jego umysł borykał się z koncepcją, którą usiłował sformułować od lat, od kiedy wrócił na Midkemię jako Adept Wyższej Ścieżki, jak swoją sztukę nazywali Tsuranczy. Niekiedy przypominało mu to obieranie cebuli... jedna warstwa leżała pod drugą, a im więcej ich zdejmował, tym bardziej piekły go oczy. I nagle zrozumiał! To zawsze było jak cebula!

– Nie masz żadnej magii! – roześmiał się nagle. – Są tylko cebule!

Wiedział, że jest zbyt zmęczony, by dalej prowadzić badania, a jednak wrócił do stołu. Doszedł jednak do jednej, dość przerażającej konkluzji – z którą nie chciał się pogodzić, choć stanowiła jedyną logiczną odpowiedź. Gdzieś tam podczas tych minionych wydarzeń moredhel zyskał sojusznika.

W komnacie rozległ się cichy głos gongu i Pug podniósł wzrok. Taki dźwięk zwiastował, że jeden z tsurańskich Wielkich zamierzał nawiedzić domowe pielesze drugiego, Pug jednak nie słyszał go od opuszczenia Kelewanu przed dziewięciu laty. Nie było tu jego znaku ani sieci, pozostawało więc tajemnicą, jak gość go odnalazł.

Powietrze przed magiem zadrżało i nagle stanął przed nim Makala.

– Witaj mi, Milamberze – pozdrowił Tsurańczyk gospodarza. – Zechciej wybaczyć, że zjawiam się bez zapowiedzi, ale nadszedł chyba czas, byśmy sobie wyjaśnili kilka spraw.

– Jak ci się udało pojawić tu bez pośrednictwa sieci? – spytał Pug.

– Nie jesteś jedynym członkiem Zgromadzenia...

– Byłem członkiem – sprostował Pug. Mimo iż po Wojnach Rozdarcia Światów przywrócono mu rangę i władzę, nigdy nie podjął żadnej próby odzyskania dawnej pozycji, jaką miał wśród innych członków Zgromadzenia Wielkich na kelewańskiej Wyspie Magów.

– Jak wolisz, były członku Zgromadzenia. Nie jesteś jedynym, który potrafi przekraczać granice, jakie wielu uważa za kresy możliwości naszej Sztuki. Odkryłem, że można docierać do osób i miejsc bez ograniczeń, jakie nakłada na nas sieć.

– Wielce przydatna umiejętność – stwierdził Pug. – Mógłbyś mi kiedyś pokazać, jak się to fobi.

– Któregoś dnia być może sam to odkryjesz – rzekł Makala. – Ale sprowadza mnie tu co innego.

Pug wskazał gościowi krzesło, ale Makala odmówił.

– Nie zabawię tu długo – wyjaśnił. – Przybyłem, by cię ostrzec.

Pug zachował milczenie. Ponieważ nie odezwał się, Tsuranńczyk musiał podjąć wątek.

– Ja i kilku innych członków naszego bractwa zaangażowaliśmy się tu w pewne przedsięwzięcie... i dopuścimy, byś w nim wziął udział, Milamberze.

– Na tym świecie używam imienia Pug.

– Dla mnie na zawsze pozostaniesz Milamberem... barbarzyńcą, który przybył do nas, by stać się Wielkim, i zasiał wśród nas ziarno zniszczenia.

Pug westchnął ciężko. Tego rodzaju dysputy wiódł dziesięć lat temu... i nie spodziewał się, że będzie musiał przytaczać stare argumenty.

– Makalo, nie przybyłeś chyba do mnie, by kontynuować spory. Co tu robicie i przed czym usiłujesz mnie powstrzymać?

– Nie twoją jest rzeczą to, co tu robimy – odezwał się wyniośle Makala. A moje ostrzeżenie jest bardzo proste: nie próbuj się w nic wtrącać.

Pug znów milczał przez długą chwilę, w końcu jednak powiedział:

– Wiem, że byłeś jednym z tych, którzy najbardziej zaciekle sprzeciwiali się temu, by Zgromadzenie mnie zaakceptowało... przez te wszystkie lata, po tym jak Fumita zabrał mnie z majątku Shinzawai.

– Sprzeciwiałem się? – Na wąskich wargach Makali pojawił się nieprzyjemny uśmieszek. – Byłem pośród tych, co głosowali za twoją śmiercią, zanim poddano cię szkoleniu. Uważałem cię wtedy za poważne zagrożenie dla całego Imperium... i sam przyznasz, że późniejsze wydarzenia potwierdziły moje przeczucia.

– Cokolwiek uczyniłem, koniec końców okazało się dobre dla Imperium.

– Być może, ale historia nas uczy, że takie oceny często wymagają perspektywy. To zresztą nieważne. To, co robimy teraz, czynimy dla dobra Imperium... i jak nasze mandaty nie podlega to dyskusji.

– Aha... Byłem więc o krok od odkrycia tego, co potwierdziło twoje pojawienie się u mnie.

– I cóż takiego miałbyś odkryć?

– To, że ci magowie popierający Delekhana, tych osławionych Sześciu, to tsurańscy Wielcy.

– Winszuję dojścia do wniosku, który wcale nie był tak oczywisty w świetle posiadanych przez ciebie przesłanek. Ta dedukcja przynosi ci zaszczyt, Milamberze. Potwierdza to tylko opinię Hochopepy... masz niezwykle bystry umysł. Wszystko byłoby dość proste, gdyby tylko ktoś zadał sobie trud prześledzenia zachowań i reakcji wszystkich uczestników aktualnych wydarzeń. Na przykład ten moredhel. Oni żywią głęboką i trwałą nienawiść do członków innych ras, wszystkich obcych uważając za wrogów. Często wysługują się trollami i goblinami. Ale rozglądając się za jakimiś regularnościami, ujrzałem klejnoty z Imperium, które trafiają do Midkemii, gdzie są wymieniane na złoto. Gdyby to złoto wracało do Tsurani, niczemu bym się nie dziwił, bo tam jest stokrotnie więcej warte niż tutaj. Ale złoto nie pojawiło się na Kelewanie. Zamiast tego wymieniano je na broń, a ta trafiała w ręce moredhelów. Zaangażowani w to Tsuranie niczego na tym wszystkim nie zyskiwali... przynajmniej na pozór. Potem doszły do mnie raporty o magii, jaką posługiwał się Delekhan. Też nie bardzo wiedziałem, co z tym począć. Niektóre z rzeczy, jakich miano dlań dokonywać, mogły być tylko dziełem tsurańskich Wielkich. Pozostało więc tylko jedno pytanie: w jakim celu?

– Tego wiedzieć nie musisz... i nie dane ci będzie się dowiedzieć. Rozważa się propozycję ponownego poddania cię sądowi, Milamberze. Podczas celebracji Imperatora ujawniłeś, że nie jesteś jednym z nas, i zmusiłeś wojennego wodza, by w hańbie odebrał sobie życie. Teraz wróciłeś tutaj, do swego świata ojczystego, i wzięłeś sobie za żonę kobietę

z plemienia Thuril. Masz też córkę, która posiada moc... a tyś pozwolił jej żyć!

Pug zmrużył oczy, po raz pierwszy okazując gniew.

– Mów ciszej, Makalo! Nie jesteśmy w Imperium i twoje słowo nie jest tu prawem!

– Mieliśmy problemy po obu stronach Przetoki – stwierdził tsurański Wielki. – Kilku z naszych braci musi się uporać z konsekwencjami zniszczenia Domu Minwanabich przez Acomów. Zagrożony jest porządek rzeczy w Imperium. A tutaj, w twojej ojczyźnie, stworzyłeś tę... Akademię w Stardock, w której zgodzili się was szkolić nawet niektórzy z naszych. –

W głosie Makali zabrzmiała wściekłość. – Szkolimy naszych niedawnych wrogów!

– Nie jesteśmy waszymi wrogami – stwierdził Pug, nagle czując, że zawodzą go siły i zmęczenie bierze nad nim górę. – Ichindar jest tego świadom!

– Światłość Niebios nie będzie żył wiecznie. Po jego śmierci Zgromadzenie przywróci porządek, który zapewniał rozkwit Imperium przez dwa tysiące lat! Ale żeby zyskać pewność, że ty, który możesz przeszkodzić naszym planom, nie będziesz się wtrącał, zabraliśmy twoją córkę w miejsce, gdzie pozostanie, dopóki się nie przekonamy, że nie stanowisz dla nas zagrożenia.

Niewiele brakło, a Puga zwiódłoby opanowanie.

– Gamina! Coście z nią zrobili! – zapytał przez zaciśnięte zęby.

– Nie skrzywdziliśmy jej. Żadne niebezpieczeństwo jej nie zagrozi, dopóki nie podejmiesz wysiłków, by stanąć na przeszkodzie naszym planom.

– Jeżeli sprzymierzyliście się z tym moredhelem, godzicie się na rzezie, Makalo! Czy potrafisz sobie wyobrazić, że będę się trzymał na uboczu i

pozwolę wam zniszczyć mój kraj, nawet jeżeli będziecie nastawać na życie mojej córki? – Pug wstał z miejsca i zatrzymał się przed Tsuranńczykiem. – A może myślisz, że dorównujesz mi mocą?

– Nie, Milamberze. Nie dorówna ci nikt z naszej braci. Dlatego właśnie musimy cię unieszkodliwić. Jeżeli nawet mnie unicestwisz, inni zadbają o to, by się dokonało to, co się ma dokonać. Nie będziemy ci się przeciwstawiać, jeżeli wyruszysz na poszukiwania swej córki. – Odsunął się w bok. – W rzeczy samej damy ci nawet środki, za pomocą których będziesz mógł do niej dotrzeć. Ostrzegam cię jednak, że może się okazać, iż popełniasz błąd i nawet twoje zdumiewające umiejętności nie wystarczą, byś tu wrócił.

– Pozwól, że za nią pójde – odpowiedział Pug, czując, że zmęczenie ustępuje przed chęcią ratowania córki. – Napiszę tylko kilka słów do mojej żony.

Nie – sprzeciwił się Makala. Z rękawa habitu wyjął sferę podobną do tsurańskiego urządzenia teleportacyjnego, choć nieco różniącą się od pierwowzoru. Położył ją na stole. – Milamberze... ta sfera jest nastawiona na jedno konkretne miejsce. Zabierze cię do twej córki, ale tylko wtedy, gdy z niej skorzystasz nie później niż minutę po tym, jak ją aktywuję. – Z cichym kliknięciem uruchomił urządzenie i położył je na stosie map. – Ta minuta już się zaczęła. – Odwróciwszy się, odszedł kilka kroków. Z drugiego rękawa wyjął podobnie urządzenie i aktywując je, stwierdził: – Milamberze... działałam dla dobra Imperium. Osobiście nigdy nie żywiłam do ciebie urazy. Jestem ponad to. Niechże mi wolno jeszcze będzie życzyć... szczęścia tobie i twojej rodzinie. Jeżeli jednak zechcesz mi się sprzeciwić, zniszczę cię dla dobra Imperium. – I znikł.

Pug szybko podniósł pióro, wetknął je w kałamarz i zrzucił ze stołu wszystkie dokumenty prócz jednej mapy. Na jej odwrocie nakreślił sześć

słów. Potem cisnął pióro, chwycił kawałek grafitu, dwa skrawki pergaminu, zacisnął palce na zostawionej mu przez Makalę sferze i z towarzyszeniem coraz wyższego brzęku znikł. Przez otwarte okno do komnaty wdarły się pierwsze porywy wiatru zwiastujące burzę nad Krondorem.

Oberża była brudna i zatłoczona. Na domiar złego panowała w niej taka atmosfera, jaką ceklarze w raportach określali mianem wybuchowej. Stanąwszy przy barze, James uśmiechnął się szeroko, niczym wracający na łono rodziny syn marnotrawny.

– Z czego się tak cieszysz? – syknął Locklear.

– Z powrotu do domu, Locky. Brakowało mi tej niepowtarzalnej atmosfery.

– Chłopcze, jesteś stuknięty! – zgorszył się Patrus. – Szukasz śmierci w młodym wieku?

– Pewnego dnia opowiem wam o niektórych z miejsc, w jakich upływało moje dzieciństwo. Teraz po prostu raduje mnie myśl, że cała ta banda za parę tygodni wyruszy na Południe... a my ich tam powitamy.

– Coś mi się tu nie zgadza – szepnął Locklear. – To nie jest armia... to luźna zbieranina.

– Locky... chodźmy zaczerpnąć świeżego powietrza.

James wyprowadził towarzyszy z gospody. Zapadał wieczór, chłodny, wilgotny, a na domiar złego zaczynało mżyć. Kiedy wszyscy oddalili się od gospody tak, że nikt nie mógł ich podsłuchać, James zajął się oceną sytuacji.

– Posłuchajcie... ci ludzie tutaj to drabiniarze i tarcze strzeleckie, z wyjątkiem kilku klanów moredhelów, które – idę o zakład – nie są dla Delekhana zbyt cenne.

– Drabiniarze. – Zachichotał Patrus. – Wiecie... podoba mi się to określenie.

– Wcale by ci się nie podobało, gdybyś miał atakować mury w pierwszym rzędzie z drabiną na grzbiecie – odparł Locklear, który swego czasu obserwował na murach Armengaru straszne żniwo, jakie wśród tych, co pierwsi szturmowali wały, zbierała śmierć.

– Gdzie jest armia? – spytał retorycznie James.

– Idzie na nas, nawet teraz, gdy o tym mówimy – odparł kpiąco Locklear.

– Może przyszedłby nam jakiś pomysł do głowy, gdybyśmy wiedzieli, co zamierza Kroldech?

– No to dlaczego go nie zapytamy? – podsunął Patrus.

A może – zastanawiał się James – mógłbym się tam zakraść i przyrzuć tym pismom, które wyglądają jak plany i rozkazy?

– A umiesz czytać te bazgroły moredhelów? – spytał mag. Z twarzy Jamesa natychmiast znikł beztroski uśmiezek, Nie... nie przyszło mi to do głowy. – Rozkazy Delekhana do jego podkomendnych musiały być formułowane w mowie moredhelów. Niepodobieństwem byłoby założenie, że Bracia Mrocznego Szlaku pisali do siebie w języku Królestwa.

– Aleja to potrafię! – Uśmiechnął się szeroko Patrus.

– Jak to? – zdumiał się James. – Kto cię tego nauczył?

– Nikt mnie nie uczył – zachnął się dotknięty do żywego Patrus.

– Aaa... – James nagle wszystko pojął. – Magia!

Patrus spojrział w górę, jakby chciał bogów wziąć na świadków okropnych poniżeń intelektualnych, na jakie naraża go towarzystwo dwu idiotów..

– A cóżby innego? – stwierdził, klepnawszy młodzieńca w kark.

– Tak czy owak – orzekł James – nadal uważam, że to problem.

– Jaki problem? – zdziwił się Patrus. – Zakradasz się do środka, chwytasz papiery, przynosisz je mnie, ja je czytam, zakradasz się do środka

powtórnie, odkładasz papiery i już nas tu nie ma.

– W tym właśnie sęk – stwierdził James. – Pewnie uda mi się tam zakraść raz, ale dwa? A jeśli ktoś tam się spostrzeże, że plany znikły, choć na krótko, to je po prostu zmieniają.

– Ile mają dróg, by zejść z przełęczy i ruszyć pod mury twierdzy? – spytał Locklear.

– Kilka – odparł James. – Nawet jeśli się okopimy na jednej, przyjdą drugą... a ci tutaj, choć to zbieranina szubieniczników, mogą nam zadać spore straty. – Potrząsnął gniewnie głową. – Bodaj ich zaraza wytraciła!

Nie przystawali ani na moment, nie chcąc ściągać na siebie czyjejkolwiek uwagi. Choć większość wojaków zebranych w miasteczku i wokół niego spała albo przepijała żołąd w którejś z kilku tawern, wokół kręciło się dostatecznie wielu żołnierzy mogących sprawić im kłopot.

– Słuchajcie – odezwał się nagle Locklear – a gdybyśmy mieli okazję zajrzeć do tej oberży i przejrzeć papiery...

– Co ci strzeliło do łba?

– Ot, przyszedł mi do głowy pewien pomysł. – Uśmiechnął się niewinnie Locklear.

– Kiedy tak mówisz – stwierdził James – to na karku czuję chłód ostrza katowskiego topora...

– Oj, dajże spokój – nadał się młody szlachcic. – Pomysł jest naprawdę świetny.

– Dopiero teraz zaczynam się naprawdę bać – stwierdził James.

Locklear przeszedł na drugą stronę największej uliczki na południowych rubieżach miasteczka i skierował się na otwarte pole, gdzie ustawiono wymierzoną w miasto katapultę. Wokół katapulty rozłożyło się na noc kilku mechaników, którzy teraz głośno chrapali. Na wszelki wypadek Locklear dał jednak towarzyszom znak, by zachowali ciszę. Podkradłszy się

bezszelestnie do potężnej maszyny, uważnie ją sobie obejrzał. Potem rozejrzał się po okolicy, aż dostrzegł kamień wielkości pięści.

– Jak sądzisz – spytał szeptem Jamesa – czy potrafiłbyś tym kamieniem trafić stąd w dźwignię spustową?

– Nie – odpowiedział James – ale mogę ją trafić stamtąd. – Wskazał miejsce położone w tej samej odległości, ale takie, z którego dźwignię było widać pod innym kątem. – Chciałeś chyba zapytać, czy mogę ją trafić i zwolnić zaczep?

– Owszem... to właśnie chciałem wiedzieć – stwierdził z irytacją Locklear.

– Stań tam, a kiedy dam ci znak, policz do stu. Potem rzuć tym kamulcem i zwolnij zaczep.

– A co z zabezpieczeniem?

– Tym zajmę się osobiście. Patrusie, pozwól za mną. Ujawszy starego maga pod ramię, wyjaśnił mu, na czym polega jego zadanie.

– Stań tam – wskazał mu miejsce położone po drugiej stronie obozowiska chrapiących mechaników – i zaczekaj na mnie.

Patrus udał się na wskazane mu miejsce, a kiedy Locklear zobaczył, że James nie rusza się z miejsca, ponaglił go machnięciem dłoni. James potrząsnął głową, jakby wątpił w zdrowy rozsądek przyjaciela, ale w końcu ruszył we wskazanym kierunku.

Locklear tymczasem podkradł się do katapulty i przyjrzał grubej linie zabezpieczającej napięte ramię. Gdyby nie ta lina, ramię trzymałby jedynie pazur sprzęgła. Locklear ujął sztylet i zachowując się ciszej niż mysz dobierająca się do żołnierskiego chlebaka, przeciął linę. Tnąc napięte sznury, oglądał się kilka razy, by sprawdzić, czy nie obudził nikogo z załogi.

Po wykonaniu zadania szybko odczołgał się i okrążył obóz, Podszedłszy do Patrusa, ujął starego maga za ramię i odprowadził na bok. Potem, na sekundę przed zniknięciem w mroku, odwrócił się i dał znak Jamesowi.

James, nadal nie bardzo świadom tego, co sobie obmyślił Locklear, zaczął odliczanie. Kiedy doliczył do siedemdziesięciu, usłyszał z dala jakąś wrzawę. Przy dziewięćdziesięciu usłyszał tupot wielu stóp gnających w jego stronę. Nie czekając do stu, cisnął kamień przy dziewięćdziesięciu dwóch. Celne oko i mocne mięśnie zrobiły swoje. Dźwignia zwolniła ramię, które śmignęło w górę i z głuchym łoskotem uderzyło w belkę poprzeczną. Kamień frunął ku niewiadomemu celowi, a zbudzeni trzaskiem mechanicy porwali się na nogi.

– Co jest! Co się stało? Czyja to sprawka?

I właśnie wtedy na czele grupy rozjuszonych moredhelów pojawili się Patrus i Locklear.

– Ot, macie! – wrzeszczał Locklear. – To oni! Usiłowali zabić Kroldecha!

Moredhele rzucili się na mechaników, których zuchwałość zarzutów pozbawiła zdolności mowy. Nie na długo jednak, bo zaraz potem zaczęli z oburzeniem odrzucać oskarżenia. Rozpoczęła się zażarta kłótnia.

Locklear wziął Patrusa pod ramię i obaj pospieszyli do Jamesa. Z drugiej strony miasteczka też słychać było jakąś wrzawę.

– Locky, na zabójczy uśmiech Księżnej Anity, coś ty im powiedział?

– Tylko to, że ten oto biedny staruszek szukający swego nieszczęsnego kotka trafił przypadkiem na gniazdo zdradzieckich łotrów, którzy mierzyli tym kamulcem w dom dowódcy. Nie wiedział, do kogo się z tym zwrócić, ale w końcu ja pomogłem mu znaleźć tę grupę lojalnych wojaków.

– A skąd wiesz, że są lojalni? – spytał James ze śmiechem. Locklear odpowiedział mu podobnym uśmiechem i stojący pomiędzy nimi Patrus

przez ułamek sekundy miał wrażenie, że patrzy na braci.

– A bo ja wiem? Początkowo może i nie byli zbyt gorącymi zwolennikami Kroldecha, ale jak te łotry podjęły próbę zabicia go wraz z całym sztabem, zaraz porwali się, by im przetrzepać skórę.

– Wiesz – odezwał się James z podziwem w głosie – niekiedy wyłazi z ciebie prawdziwa świnia.

– Zważywszy na to, kto to mówi, mogę te słowa uznać jedynie za komplement.

Kiedy dotarli do dzielnicy, gdzie mieściła się kwatery Kroldecha, James podrapał się po brodzie i rzeki:

– Wiem, co robić.

– Z drogi! – zagrział, ruszając prosto w dziki tłum gapiów i żołnierzy.

– Przepuście nas!

Dotarłszy do miejsca, z którego mógł ocenić uszkodzenia, zatrzymał się mocno zaskoczony ogromem zniszczeń. Kamień trafił w sam środek dachu, rozniósł w drzazgi górne piętro, przebił się przez drewniane sklepienie i zatrzymał na parterze, wysadzając z zawiasów główne drzwi.

– Niech mnie licho, ci chłopcy naprawdę znali się na rzeczy – szepnął sam do siebie, podziwiając zręczność mechaników katapulty.

I nagle, uświadamiając sobie, że stoi w bezruchu, zagrział jeszcze bardziej władczo niż przed chwilą:

– Musimy się zobaczyć z dowódcą!

Skinieniem dłoni wezwał kilku stojących w pobliżu wojowników:

– Pomóżcie nam znaleźć wodza!

Kiedy ruszyli za nim, poprowadził ich ku ruinom oberży. Na podłodze leżało tu kilkunastu ogłuszonych wojów. James musiał kilkakrotnie przykucać pod zawałonymi belkami sklepienia.

– Gdzie dowódca? – spytał jednego z przytomniejszych.

– Był tam, na tyłach izby ogólnej – odparł moredhel z silnie krwawiącą twarzą.

James odwrócił się do wojowników, których przyprowadził ze sobą.

– Zaprowadźcie tych wojaków do jakiegoś uzdrowiciela.

– Wskazując zaś Patrusa i Lockleara, jakby byli jednymi z wielu, dodał:

– Ty i ty chuderlawy, chodźcie... pomóc mi odszukać dowódcę.

Aby dostać się na tyły, musieli się przecisnąć pod opadłą z sufitu belką. Po kilku chwilach przedzierania się w mroku pomiędzy trzeszczącym niebezpiecznie drewnem, dotarli do komnaty dowódcy. Drzwi wyleciały z zawiasów i musieli przechodzić przez leżące na ziemi rumowisko, ale jakoś udało im się wejść.

Na podłodze nieopodal drzwi leżał moredhel, zabity dwiema szczapami, niewiele mniejszymi od strzał. Drugi z moredhelów, na pierwszy rzut oka zupełnie nietknięty, kulił się za resztkami stołu i mamrotał coś do siebie bez ładu i składu. Miał wokół szyi złoty tork, pierścienie na dłoniach i James domyślił się, że to dowódca. Leżał zwinięty w kłębek i nie dało się zeń wydobyć żadnego sensownego zdania.

– Nie tak ludzie wyobrażają sobie wodzów Bractwa Mrocznego Szlaku – zauważył z przekąsem Locklear.

– Weź go stąd na zewnątrz, Locky, ale nie spiesz się... a ty, Patrusie, zobacz, czy nie da się uratować dokumentów przed ogniem.

– Przed jakim ogniem? – spytał Locklear.

James wziął jakiś papier i podał go Patrusowi.

– Czy to coś ważnego?

Mag zamknął na chwilę oczy, potem je otworzył, spojrzął na podane mu dokumenty i odpowiedział:

– Nie. ...

James wziął rozbitą latarnię i umoczył papier w oleju.

– Potrzyj to – zwrócił się do Patrusa, podając mu dokument. Wydobywszy krzesiwo zza pazuchy, skrzesał je tak, by iskry sypnęły się na zmoczony olejem dokument. Papier natychmiast zajął się ogniem. James wziął go z dłoni maga i wskazał nań drugą ręką: – Tym ogniem!

– Aaa! – Locklear uśmiechnął się szeroko. Zaraz też szarpnął Kroldecha za ramię. – Wodzu! Musimy uciekać. Pożar! Pali się!

Magiczna fraza ożywiła moredhela. Przy pomocy Lockleara dźwignął się jakoś na nogi, mamrocząc coś w swoim języku.

– Za mną, wodzu! – powtórzył Locklear i wyprowadził Kroldecha na zewnątrz.

Tymczasem Patrus i James szybko przeglądali dokumenty. Książęcy giermek ciskał w rozprzestrzeniający się ogień każdy papier, który Patrus uznał za mało ważny.

– Nareszcie – stwierdził mag w pewnej chwili. – Plan ataku.

– Przeczytaj go na głos – zażądał James. – I pospiesz się. Patrus zrobił, o co go poproszono, a James starał się zapamiętać każde słowo.

– Mam! – rzekł na koniec. – A teraz złap jakieś dokumenty i ruszaj za mną.

Pożar rozgorzał już na dobre. Gdy dotarli do miejsca, gdzie musieli się przeczołgać pod belkami, zrobiło się bardzo gorąco. Wypadli na zewnątrz w chwili, kiedy płomienie ogarniały dach. Niemal przewrócili Lockleara, który podtrzymywał wciąż jeszcze chwiejącego się na nogach dowódcę.

– Panie! – wrzasnął James na ich widok. – Udało nam się ocalić te dokumenty! – Podał Kroldechowi pęk przypadkowo wybranych zwojów.

Wódz moredhelów w końcu doszedł do siebie i zrozumiał, co się stało.

– Zabójcy! – ryknął. – Próbowano mnie zabić!

– Są pod strażą – stwierdził moredhel, którego ostrzegł Locklear. – Najemnicy uratowali ci życie, panie.

Kroldech wyrwał papiery z dłoni Jamesa i szybko zaczął je przeglądać. Po chwili znalazł plany bitwy.

– Doskonale! – Uśmiechnął się do Jamesa i entuzjastycznie uderzył go w ramię. Dostatecznie mocno, by zabolalo. – Jesteście bohaterami! Wiecie, co to jest? – Z tymi słowami podsunął Jamesowi pod nos plan bitwy.

Młodzieniec udał, że nie ma pojęcia, o czym mowa.

– A skądże, panie. Łapaliśmy, co się dało.

– Gdyby to przypało, musiałbym wszystko kreślić od nowa. Oszczędziliście mi kilku dni pracy. – Spojrzawszy zaś na płomienie, dodał: – I uratowaliście mi życie. Jestem waszym dłużnikiem.

– Nie ma o czym mówić – zachnął się James.

– Bzdury! – zaperzył się Kroldech. – Przyjdźcie do mnie jutro, to was sowicie wynagrodzę.

– Dziękujemy, panie – odpowiedział James. – Przyjdziemy z pewnością.

Gdy wódz moredhelów, który ciągle jeszcze nie mógł pozbierać myśli, pozwolił podwładnym odprowadzić się do nowej kwatery, James odwrócił się do Lockleara:

– Gdzie jest Patrus?

– Był z tobą. Może czeka przy koniach?

Dotarłszy do miejsca, gdzie zostawili konie, istotnie znaleźli tam Patrusa siodłającego właśnie trzeciego rumaka.

– Kroldech ogłosił nas bohaterami – oznajmił mu Locklear. – Chce, żebyśmy się doń zgłosili jutro po nagrodę.

– Jimmy, zamierzasz zostać, by odebrać tę nagrodę? – spytał z niedowierzaniem w głosie stary mag.

– Nigdy w życiu. Jutro o świcie będziemy w połowie drogi do Northwarden.

Ponieważ wszyscy gapili się na płonąca oberżę, trzech zwiadowcy bez trudu wymknęli się z miasteczka. Nikt ich też nie zatrzymał przy rogatek. Cała odprawa ograniczyła się do pytania, jakie zadał im znudzony najemnik, dotyczącego tak późnego ich wyjazdu.

– Tam na Południu elfy nie mogą się dogadać z trollami, wysłano więc nas, byśmy załagodźli sprawy.

– O, tam rzeczywiście wzięli się za łby – stwierdził wartownik. – Powodzenia.

– Patrusie! – syknął Locklear, gdy oddalili się tak, że wojak nie mógł ich usłyszeć. – Komuś ty skradł tego konia?

– Ja go sobie tylko pożyczyłem! – Zachichotał stary. – Kroldech zauważy jego brak dopiero jutro.

Locklear nie bez satysfakcji obserwował, jak James oddaje swoje złoto trollom, by ich przepuściły – ale dzięki temu uznały ich za swoich przyjaciół. Droga na południe dojadła wszystkim, bo zrobiło się zimno i deszczowo. Konie były zmęczone i od czasu do czasu wszyscy musieli zsiadać i prowadzić je, idąc pieszo.

W końcu dotarli do drogi wiodącej ku twierdzy i James spytał:

– Gdzie się podziali nasi żołnierze?

Gotów byłbym pomyśleć, że niektórzy chłopcy z wysuniętych posterunków pochowali się przed deszczem, ale faktycznie coś tu jest nie tak – przyznał Locklear. – Powinniśmy widzieć już innych.

James z całej siły uderzył w końskie boki piętami, zmuszając wierzchowca do przejścia z kłusa w galop, co rzadko ostatnio się udawało. Znużone rumaki z najwyższym trudem utrzymywały tempo, gnając stromą drogą do twierdzy. Kiedy podjechali bliżej, zobaczyli, że most zwodzony został podniesiony w górę, krata opuszczona, a na murach płoną pochodnie.

– Wczołgali się do środka i pozamykali! – sarknął Locklear.

- Hola tam, w zamku! – zawołał James, podjeżdżając do krawędzi fosy.
- Coście za jedni? – zagrzemiał wartownik z góry.
- Książęcy giermkowie, James i Locklear, oraz mag Patrus. Wpuśćcie nas do środka.

Po dość ożywionej dyskusji opuszczono most i podciągnięto kratę wejściową na tyle, by James i jego towarzysze mogli wjechać w głąb barbakanu.

Wewnątrz zastali sporą grupę żołnierzy.

- Co się stało? – zapytał James, zeskakując z siodła.
- Zabójcy – odparł jeden z żołnierzy. – W zamku są Nocne Jastrzębie.
- Skąd to wiadomo? – spytał Locklear.
- Zabito Barona Gabota, dwóch kapitanów i naszego sierżanta.
- Wielcy Bogowie! – jęknął Locklear.
- No to kto tu dowodzi? – zapytał się James.

Żołnierze przez chwilę przyglądali się sobie nawzajem, a potem jeden z nich stwierdził:

- Wy, mości giermku.

ROZDZIAŁ 14

INSTRUKCJE

Jeźdźcy gnali traktem.

Owyn, Gorath i Ethan Graves spieszyli do Krondoru. Jedną noc spędzili w Darkmoor, gdzie znaleźli dość przyzwoitą oberżę. Zanim udali się na spoczynek na dobrze wypchanych materacach, podano im nawet gorący posiłek i butelkę wina – wedle niechętnie wyrażonej przez Goratha opinii, znacznie lepszego niż to, którym poczęstował ich Baron Cavell. Przez resztę drogi trafiały im się znacznie mniej wygodne noclegi – sypiali pod gwiazdami na poboczu szlaku, owinięci we własne opończe – i tylko dwa razy zmoczył ich deszcz.

Nie zmęczony koni, pokonali drogę od Krzyża Malaka do Krondoru przez mniej niż dwa tygodnie. Teraz ze szczytu wzgórza widzieli już Krondor.

– Muszę zdać się na łaskę Świątyni Ishop i wyznać moje winy – rzekł ponuro Ethan, gdy ściągali koniom wodze, by nieco zwolnić.

– I co ci zrobią? – zaciekał się Owyn.

– Wydadzą na mnie wyrok śmierci albo wygnają. Nie wiem, co wolałbym – westchnął były opat. – Nie dbam zresztą o to. Chcę tylko odnaleźć Kat i wysłać ją za miasto.

– A dokąd chcesz ją wysłać?

– Do Kesh. Mam tam...znajomych. Partnerzy handlowi w Durbinie.

– Z tego, co wiem o tym mieście, nie wysłałbym tam nawet teściowej – stwierdził Owyn.

– Tak samo jest w Krondorze, jeżeli trzeba żyć na ulicach. Owyn wciąż usiłował powiązać jakoś wszystkie nitki łączące go z towarzyszami, od czasu kiedy na swej drodze natknął się na Lockleara. Bardzo chciał, by wśród nich znajdował się teraz giermek James. –.–.–

– A czy nie mógłbyś się odwołać do sprawiedliwości Księcia? – spytał.

– Jeżeli Ishapianie zechcą mnie wydać Arucie, ten pewnie każe mnie powiesić – odpowiedział Graves, wzruszając ramionami.

Takie postawienie sprawy nieco Owyna zaniepokoiło. Podczas dwu tygodni spędzonych w towarzystwie Gravesa zdążył polubić mrukliwego starucha. Były opat nie zamierzał tłumaczyć się nikomu z burzliwej przeszłości, przyznając po prostu, że parał się wymuszeniami, przemytem, a jako członek krondorskiego Stowarzyszenia Szyderców zabił kilku ludzi. Nie rozwodził się też nad przeszłością, stwierdzając tylko, że stał się innym człowiekiem, gdy poczuł powołanie.

Owyn mu uwierzył, doszedł jednak do wniosku, że gdyby przyszło do jakiegokolwiek bitki, wolałby mieć Gravesa po swojej stronie. Mimo siwych włosów i pooranej zmarszczkami twarzy stary miał potężną posturę i wyglądało na to, że niewiele – jeżeli w ogóle – stracił z dawnej krzepy.

Przy miejskiej bramie natknęli się na grupę zbrojnych, z których jeden podniósł rękę.

– Stać! – zagrzmiął.

– O co chodzi, mości strażniku? – spytał Owyn.

– Co to za jeden? – strażnik wskazał paluchem Goratha.

Możesz o to zapytać mnie samego – wtrącił się Gorath, – Znam wasz język.

– Ha! Odpowiedz mi więc, coś ty za jeden? – nalegał strażnik. – I czego szukasz w Krondorze?

– Mam wiadomość – odpowiedział Gorath – od księcia Aruthy do maga zwanego Pugiem.

Dwa imiona wymienione przez moredhela sprawiły, że strażnik zaniemówił z wrażenia. Zaraz jednak wziął się w garść.

– Zjedźcie więc na bok, a my damy wam eskortę do pałacu.

– Ton, w jakim wypowiedział to zdanie, świadczył, iż nie była to propozycja. Drugi z wojaków pobiegł w głąb uliczki wiodącej do miasta i po kilku chwilach wrócił w towarzystwie dziesięciu krzepkich ludzi odzianych w barwy straży miejskiej. Na ich czele szedł wysoki mężczyzna z naszywkami podoficera na rękawie kurtki. Przez chwilę naradzał się z dowodzącym załogą bramy sierżantem, a potem stanął przed Gorathem:

– Powiadasz, że masz wiadomość od księcia Aruthy do Mistrza Puga?

– Nie będę się spierał – odpowiedział Gorath. – Dokładnie to powiedziałem.

– Jestem szeryfem Krondoru – stwierdził wysoki mąż. – Czy w pałacu znajdziemy kogoś, kto będzie mógł za ciebie zaręczyć?

Gorath spojrział na Owyna.

– Znamy wielu ludzi – odezwał się młody Belefote – ale przeważnie są w polu z Aruthą. Jeżeli jednak w pałacu jest Mistrz Pug, on za nas zaręczy.

Szeryf przez chwilę przyglądał się im uważnie, ale w końcu rzekł:

– Proszę za mną.

Gdy ruszyli ku Pałacowi, Graves zaproponował:

– Ja muszę się udać do Świątyni Ishap.

– Możesz waść odwiedzić świątynię po wizycie w pałacu – rzucił szeryf przez ramię. – Mamy rozkazy dotyczące podejrzanych osobników, którzy przybywają albo usiłują wymknąć się z miasta. A trudno zaprzeczyć, że wyglądacie podejrzanie. Jeżeli kapitan Książęcej Przybocznej Straży zechce was puścić wolno, to już jego sprawa.

– Jako członek Zakonu Ishap podlegam wyłącznie zakonnej jurysdykcji
– zaperzył się Graves.

– Jeżeli kapitanowi nie spodoba się twoja historia, braciszku przyjdą i cię zabiorą – odpowiedział rzeczowo szeryf.:

Do Pałacu dotarli w milczeniu, a przy bramie przekazano ich członkowi Gwardii Przybocznej.

– Wyglądacie mi znajomo – usprawiedliwił się podoficer – ale muszę posłać kogoś po rozkazy, co mam z waszmościami zrobić.

Po krótkim oczekiwaniu z głębi pałacu przyszły wieści, żeby traktować gości jak swoich. Sierżant zakręcił się energicznie, wydając stajennym rozkazy, by rozsiedłali konie przybyszów, a pałacowa służba odebrała juki i tobołki. Potem podoficer osobiście zaprowadził ich do rezydencji Konetabla Krondoru.

Konetabl Krondoru siedział samotnie, pogrążony w rozmyślaniach, ale na widok trójki przybyszów podniósł wzrok. Owyn nie mógł sobie przypomnieć jego imienia, ale pamiętał, że człek ten obecny był przy ich ostatniej rozmowie z Księciem i z pewnością potwierdzi, że są tymi, za których się podają.

– Mości O wynie – powitał go gospodarz. – Macie podobno jakieś wieści dla Mistrza Puga?

– Owszem – odpowiedział Owyn. – Od Księcia Aruthy. Życzy on sobie, by Mistrz Pug przybył doń jak najprędzej, ponieważ obawia się, że podczas tej inwazji przyjdzie nam stanąć w obliczu stosowanej przez wrogów magii.

Konetabl, doświadczony weteran wielu kampanii, zrobił mocno poirytowaną minę.

– Nic by mnie nie ucieszyło bardziej od możliwości spełnienia woli mego suwerena, ale niestety... nie masz w Krondorze Mistrza Puga.

– Wrócił do Stardock? – spytał Owyn.

Kapitan potrząsnął głową.

– Nikt nie wie, gdzie przepadł. Kilka dni temu przyszła do nas jego małżonka z wiadomością, że znikł gdzieś w nocy, zostawiając tylko tajemniczą notatkę. Nikt nie wie niczego ponad to, co wam powiedziałem.

– Może go uprowadzono? – spytał Gorath.

Konetabl potrząsnął głową.

– Niewiele wiem o magii, ale moja znajomość umiejętności Diuka Puga każe mi wierzyć, że gdyby ktoś chciał to zrobić wbrew jego woli, z pałacu zostałyby dymiące ruiny.

– A możemy zobaczyć to, co napisał? – spytał Owyn.

– Będziecie musieli poprosić o to Lady Katalę. Poślę jej wiadomość i spytam, czy zechce się z wami zobaczyć.

Posłany do Lady Katali paź wrócił z wiadomością, że owszem, małżonka Puga chętnie się z nimi zobaczy. Ruszyli za nim do prywatnych apartamentów, przeznaczonych dla Puga i jego rodziny. Katala już na nich czekała.

Mimo niewysokiego wzrostu, smagłej cery i pasm siwizny w ciemnych włosach, roztaczała wokół siebie aurę siły i władczości. Bliska wybuchu, trzymała nerwy na wodzy.

Jej akcent wydał się dziwny nawet Owynowi – mówiła podobnie jak Sumani i inni Tsuranczy, których poznał w Yabonie.

– Rozumiem, że chcecie odnaleźć mojego męża.

– Tak, pani – stwierdził Gorath. – Mamy wieści od księcia Aruthy. Pug jest mu potrzebny.

– Gdzie on przebywa? – spytał Owyn.

– Nie wiem. – Katala przez chwilę milczała, jakby nad czymś intensywnie myślała. – Pamiętacie oczywiście naszącórkę?

Gorath kiwnął głową.

– Kilka dni temu gdzieś przepadła. Posłałam więc męża, by ją odszukał w tej wieży. On też przepadł.

– Może udali się gdzieś razem – podsunął Graves.

Katala spojrzała na nie znanego jej człowieka i spytała: – Czy myśmy się już spotkali?

Owyn szybko sobie przedstawił ich, po czym Katala stwierdziła:

– Opacie, mój mąż nie zostawiłby tej wiadomości, gdyby niebyła ważna.

Podala przybyszom pergamin, na którym Pug pospiesznie nakreślił słowa: „Do Tomasa! »Księga Macrosa«!”

– Co to znaczy? – spytał Owyn.

– Totnas jest przyjacielem Puga jeszcze z dzieciństwa – wyjaśniła Katala. – Teraz żyje w Elvandarze.

– To ten, który nosi zbroję ze złota i bieli?

– Owszem, to jego kolory – potwierdziła Katala.

– Pośród mojego ludu krążą opowieści – zaczął Gorath – że jeśli jadący od Niebiańskiego Jeziora do Zielonej Kniei zapuszczą się zbyt blisko granic eledhelów, niekiedy objawia im się ktoś odziany jak Valheru. Włada ogromnymi mocami.

– To nie są tylko opowieści – stwierdziła Katala. – Tomas żyje naprawdę i być może on jeden na całej Midkemii jest na tyle potężny, by odszukać moją córkę i męża.

– A czy posłano do niego kogoś z wiadomościami? – spytał Owyn.

– Jeszcze nie. Książę zabrał ze sobą prawie całą armię. Ci, którym zostawił tu rządy, tacy jak Konetabl lub Szeryf Kronloru, niechętnie wykraczają poza swoje kompetencje. Robią tylko to, co do nich należy. Prawie cała szlachta jest z Księciem albo wykonuje jakieś zadania tu, na Zachodzie. – Katala wyglądała na zdesperowaną. – Właściwie to nie mam kogo posłać... i nie jestem nawet pewna, czy to wiadomość dla Tomasa.

– Może Pug chciałby, żeby ktoś zawiózł Tomasowi tę „Księgę Macrosa”? – spytał Gorath.

– Pomagałam mężowi spisać całą kolekcję, jaką Macros zostawił na Wyspie Czarnoksiężnika – stwierdziła Katala. – Przejrzeliśmy te, które zostały na Wyspie, a także te, które posłano do Stardock. Nie pamiętam, by wśród nich znajdowało się dzieło zatytułowane „Księga Macrosa”.

– Może powinniśmy zawieźć ten pergamin do EWandaru? – spytał Owyn, spoglądając na Gravesa i Goratha.

– Wiele jestem wam winien – odezwał się Graves – ale moje życie wisi na włosku. Muszę udać się do Świątyni Ishap i stawić czoła moim sędziom. – Rozejrzał się dookoła, jakby w obawie, że ktoś ich podsłucha. – Gdyby ci, co będą decydować o moim losie, wiedzieli choć o dziesiątej części moich grzechów, jestem pewien, że wtrąciliby mnie do lochu.

– Może my moglibyśmy jakoś pomóc? – spytała nieco zmieszana Katala.

– Pani... – Owyn podniósł dłoń. – Ten człowiek mówi prawdę. Kierowała nim miłość i troska o inną osobę, ale zdradził swój naród i swój Kościół.

– Muszę się udać do świątyni i wyznać tam swoje winy. Jeżeli mi wybaczycie, to chciałbym teraz odejść. – Ujął Owyna pod ramię i odprowadził na bok. – W drodze na północ zatrzymajcie się w Opactwie Sarth. Jeżeli ktokolwiek oprócz Puga wie coś o „Księdze Macrosa”, to tylko oni. Poza tym, powinni się dowiedzieć o tym, cośmy widzieli.

– Miałem nadzieję, że tę podróż odbędziemy statkiem – stwierdził Owyn. – Oczywiście – dodał, patrząc na Katalę – ...jeżeli małżonka mistrza mogłaby nam w tym jakoś pomóc.

– Na pokład statku wejdźcie dopiero w Sarth – stwierdził Graves.

Owyn zrobił taką minę, jakby go opuściły wszystkie lepsze pomysły.

– No... a co będzie z tobą?

Graves wzruszył ramionami.

– Pewnie mnie wygnają. Może otrzymam szansę oczyszczenia swego imienia poprzez lata pokuty... ale pewniejsze, że otworzą mi bramę na ulicę i każą iść precz. Albo przyznają mi jakiś okres ochronny, albo od razu powiadomią Koronę, że na ulicach pojawi się taki to a taki, winien licznych zbrodni... i Królewscy będą na mnie czekali, gdy wyjdę ze świątyni. – Siuchającym wydało się, że własny los jest Gravesowi całkowicie obojętny, ale wszystko to się zmieniło, gdy stwierdził: – Przedtem jednak muszę jakoś wydostać Kat z miasta. Robiłem to dla jej dobra... jeżeli więc i w tym zawiodę, całe moje życie pójdzie na marne.

– A jak zamierzasz ją wydostać?

Graves uśmiechnął się z dumą.

– Moja Kat jest kobietą bystrą i pomysłową. Z pewnością już wybrała sposób ucieczki z miasta. Jeżeli pošlę jej wiadomość, rano już jej tu nie będzie.

– Zdołasz ją jakoś zawiadomić?:.....

– Bez dwu zdań, jeżeli tylko znajdę kogoś z Szyderców.

– No to niech ci szczęście sprzyja, opacie.

– I tobie niech szczęście sprzyja, Owynie. – Graves spojrzął na Goratha.

– Uważaj na siebie. – Na koniec zwrócił się do Katali. – Żegnaj mi, pani.

Z tymi słowy odszedł.

– Pani – odezwał się Owyn do Katali – jeżeli potrafisz nam zorganizować jakieś środki, dostarczymy to pismo do Elvandararu.

– Czego wam trzeba? – spytała.

Obawiam się, że przede wszystkim pieniędzy, ponieważ większą ich część wydaliśmy na północy. Wypoczęte konie, byśmy szybko mogli dotrzeć do Sarth. Potem na pokładzie statku do Ylith i znów konno do

Elvandar. Obawiam się, że proszę o zbyt wiele, bo ty, pani, niczego prawie o nas nie wiesz.

– Wiem, że moja córka wniknęła w umysł Goratha... i nie wyczuła nienawiści skierowanej przeciwko nam. – Katala spojrzała na mrocznego elfa. – Trudno mi sobie to wyobrazić, ponieważ zawsze słyszałam, że członkowie twojej rasy nienawidzą nas od urodzenia.

Pani – odezwał się Gorath z ukłonem. – Dwa lata temu sam powiedziałbym, iż jest to rzecz niezwykła. Niech mnie tłumaczy to, że całe moje życie zmieniło się diametralnie. Rzeczy i sprawy nie są już takie, jakie były przedtem. – Wyjrzał przez okno, które górowało nad miastem. – Świat jest znacznie bardziej rozległy, niż sądziłem, a moje w nim miejsce znacznie mniejsze, niż uważałem. – Wzruszył ramionami, jakby mówił o sprawach, które teraz nie mają dlań znaczenia. – Jakkolwiek jest, wszystko wydaje się bardziej złożone, niż to wyglądało z mojego małego lodowego państewka na północy. – Podeszedłszy do okna, zacisnął dłoń na okiennicy. Mówił teraz ciszej, – Pomogę, bo kiedyś sam miałem dzieci. Nie powiem o nich ani słowa, bo ból po ich stracie wciąż mnie pali... ta rana nigdy się nie zagoi. – Spojrzał na Katalę. – Pomogę w poszukiwaniach twego męża i przywiode twoją córkę do domu.

Katala, córka rasy dumnych wojowników, spojrzała na moredhela oczami rozjaśnionymi nadzieją. Nie uroniła jednej Izy, ale Owyn i bez tego wiedział, że słowa Goratha trafiły wprost do jej serca.

– Zobaczą, co mogę dla was zrobić – powiedziała cicho, – Zechciejcie tu zaczekać.

Kiedy wyszła, przyjaciele usiedli. Młody Belefote zwrócił się do Goratha z zapytaniem:

– Czy uważasz, że możesz bezpiecznie wjechać do Elvandar?

– Najlepszy sposób, by się o tym przekonać, to sprawdzić to osobiście – odpowiedział Gorath, uśmiechając się.

Następnego dnia do pałacu dotarła notatka od Gravesa: „Uciekamy do Durbinu. Powiadomcie Jimmy’ego. Przykro mi. Graves”.

Dołączono do niej pospiesznie nakreśloną mapkę i instrukcje, jak otworzyć sekretne wejście do opactwa z opuszczonej krasnoludzkiej kopalni, leżącej pod nim. Na dole kartki był dopisek, sporządzony najwyraźniej w pośpiechu: „To na wypadek, gdybyście mieli kłopoty przy wejściu”.

Katala zdobyła dla nich konie i dość złota, by mogli opłacić przewóz statkiem z Sarth, a potem kupić nowe konie w Ylith. Kapitan zorganizował wszystko tak, że do Opactwa Sarth miał im towarzyszyć patrol. Następnego dnia wszyscy ruszyli w drogę.

Owyn nauczył się na pamięć mapki, którą przesłał im Graves, i wymógł na Katali obietnicę, że gdy tylko wróci James, mapka trafi w jego ręce.

Podróż na północ przebiegała bez zakłóceń – albo dlatego, że Gorath przestał być ważny dla Delekhana i jego agentów, albo stracili go z oczu. Gdy dotarli do góry, na której zbudowano opactwo, pożegnali się z Królewskimi podążającymi wyżej.

– Kiedyś musiała to być forteca co się zowie – stwierdził Gorath, ujrzawszy gmachy opactwa.

– Owszem, osiedlił się tu jakiś baron rozbójnik czy ktoś taki. Po przyozdobieniu blanków jego flakami Książęta Kronodoru oddali fortecę Ishapianom.

Kiedy pokonali zakręt wąskiej drogi, objeżdżając skalną kolumnę, Gorath zauważył:

– Szturmowanie takiej pozycji musiało pochłonąć bardzo wiele ofiar. – Wskazał opactwo, ledwo w tej chwili widoczne na szczycie góry. Po obu

stronach drogi strome ściany wznosiły się do zawrotnych wysokości. Owyn musiał przyznać w duchu, że żadnymi pieniędzmi nie dałby się skusić do wzięcia udziału w ataku na tę twierdzę.

– Hola, tam, w opactwie! – zawołał Owyn, kiedy dotarli do bramy.

Na murach na prawo od nich pokazała się jakaś postać.

– Witajcie, podróżni! Czego szukacie w Opactwie Ishap w Sarth?

– Mam wiadomość od opata Gravesa, niegdyś przeora w Krzyżu Malaka.

Postać znikła z murów, a po chwili wielkie drzwi ze zgrzytem stanęły otworem. Kiedy podjechali bliżej, drzwi zamknęły się za nimi, a oni ujrzeli starego mnicha z wielkim młotem bojowym, – Na Brodę Tith! Członek Bractwa Mrocznego Szlaku wjeżdża do opactwa jak gdyby nigdy nic!

Drugi mnich uspokajająco położył mu dłoń na ramieniu.

– Bracie Michaelu, ci ludzie przywieźli wieści od opata Gravesa z Krzyża Malaka. – Odwrócił się do przybyszów zsuwających się z siodeł. – Brat Michael jest naszym Strażnikiem Wrót. Kiedyś był wojownikiem i od czasu do czasu przypomina sobie chwile ze swej burzliwej młodości.

Gorath przez chwilę przyglądał się siwowłosemu mnichowi, wciąż krzepkiemu i sprawnemu. Lekkim skinieniem wyraził szacunek dla starego.

– Jeżeli jego zadanie polega na tym, by być czujnym, to sprawuje się doskonale.

– Jestem brat Dominik, przeor opactwa pod nieobecność opata. W czym mogę wam pomóc?

Owyn przedstawił siebie i Goratha, a potem odpowiedział:

– Podróżowaliśmy w towarzystwie giermka Jamesa z Kronloru, a kilka miesięcy temu mieliśmy okazję poznać opata Gravesa z Romney. Ostatnio też mieliśmy powód, aby go odwiedzić. Przyjechał z nami do Kronloru, by zdać się na łaskę sądu Braci.

– Wejdźcie, proszę – zaprosił ich Dominik. Skinieniem dłoni nakazał jednemu z mnichów, by zajął się końmi. – Zechciejcie udać się za mną.

Dominik był mężem w średnim wieku. Poruszał się szybko i sprężysto. Choć jego ciemne włosy przeplatały już stalowe pasma, spoglądał bystro i ciekawie.

– Zechciejcie usiąść – powiedział, wprowadziwszy ich do środka. – Raczycie się czegoś napić?

– Dla mnie woda – odezwał się Gorath.

Dominik poprosił mnicha o przyniesienie dzbanka wody, a potem stwierdził:

– Pamiętam Jamesa, który odwiedził nas kilka lat temu. Nie lada z niego ptaszek.

– Nic się nie zmienił – stwierdził Gorath.

Owyn uśmiechnął się przy tych słowach i rzekł:

– Opat Graves poprosił mnie, bym wam opowiedział, co się stało. – Szybko opisał przebieg ostatnich wydarzeń, a potem zaczął odpowiadać na pytania Dominika, który chciał poznać szczegóły.

– Cóż... – zauważył w końcu Dominik – to sprawa macierzystej świątyni w Krondorze, obawiam się jednak, że opat zostanie surowo ukarany.

– Za co? – spytał Gorath.

Dominik spojrzał na moredhela, jakby nie rozumiał pytania.

– Jak to: za co? Za to, że nas zdradził, a za cóż by innego.

– A czy za złą robotę winicie narzędzie czy robotnika, który je źle wybrał?

– Nie rozumiem, ku czemu zmierzasz? – zdziwił się stary mnich.

– Tego człeka wybrał wasz zakon. Kazaliście mu złożyć wszystkie przysięgi i poddaliście go obrzędom, jakie uznajecie za stosowne. Pozwoliliście, by w wasze szeregi wstąpił człowiek ze skazą na duchu.

– Nie zgłaszamy pretensji do doskonałości – westchnął Dominik. – Zdarza się, że popełniamy omyłki. Pomyłką było przyjęcie Ethana Gravesa w nasze szeregi, choćby nie wiedzieć jak silne odczuwał powołanie.

– Wrócił przynajmniej, by spłacić swój dług – stwierdził Owyn.

Dominik usiadł wygodniej.

– Zastanawiam się, czy... – Rozmyślał przez chwilę, a potem wstał. – Tak czy owak, nie mogę wam pomóc w sprawie „Księgi Macrosa”, o której wspomnieliście. Pug pozwolił nam skopiować część wolumenów ze swojej biblioteki, w zamian za wysłanie mu kopii kilku naszych ksiąg.

– A czy nie może być tak, że ta „Księga Macrosa” jest gdzieś tutaj, a wy o tym nie wiecie? – spytał Gorath.

Dominik skinął dłonią, prosząc, by udali się za nim.

– To niemożliwe. Każdy tom, który otrzymaliśmy, został spisany, skatalogowany i z łatwością może go odnaleźć nasz Mistrz Bibliotekarz. – Poprowadziwszy gości ku głównemu budynkowi opactwa, powiedział: – Odpocznijcie, a potem zjedzcie z nami posiłek. Poślę jednego z braci, by się dowiedział, kiedy odplywa następny statek do Ylith. Jeżeli zostawicie u nas swe konie, możecie je odebrać, wracając.

– Dziękujemy – stwierdził Owyn. Zaprowadzono ich do komnatki z dwiema wąskimi pryczami. Gorath szybko ułożył się do snu i zaraz usnął. Owyn też się położył, ale nie mógł zasnąć, gdyż dręczyły go pytania, na które nie znał odpowiedzi: co się stanie z Gravesem i jego Kat? Gdzie byli James i Locklear? I najważniejsze ze wszystkich: czym była „Księga Macrosa” i gdzie mogli ją znaleźć?

James popatrzył na mapy i potrząsnął głową:

– Nie mamy dość ludzi...

Wokół stołu zebrali się żołnierze, z których naprędce zorganizował swój sztab. Po kilku krótkich rozmowach z obsadą miejscowej twierdzy

mianował kilku oficerów i podoficerów, a potem zajął się organizacją patrolów i rozkładem służb. Dzięki ciężkiej pracy podczas ostatniego tygodnia wszystko zaczęło jakoś funkcjonować, ale teraz dotarły doń meldunki o ruchach nieprzyjaciół na północy.

– Jakiegokolwiek kłopoty sprawiliśmy tam naszymi wyczynami, wygląda na to, że dali sobie z nimi radę – odezwał się James do stojącego obok Lockleara. – To jasne, że ruszyli na południe. Kolejny miesiąc i będą tutaj.

– Czy nie powinniśmy skierować na południe kolejnego posłańca?

– Earl Dolth ma małą forteczkę na północnej rubieży Czarnej Kniei. To chyba jedyne miejsce, dokąd nie posłaliśmy gońca. – James rozejrzał się dookoła. – Nie! Tkwimy tu samotnie i o ile nie maszerują tu posiłki, jesteśmy zdani na własne siły. Sprawdź posterunki i postaraj się wyglądać dziarsko. Naszym ludziom potrzebne będzie... eee... wsparcie duchowe.

– A może powinienem tam pojechać i nieco się rozejrzeć? – spytał Locklear.

– Nie, przyjdą i tak – odpowiedział James. – Ten meldunek donosi, że ciągną tu katapulty i wieże oblężnicze.

– To co zrobimy?

– Będziemy czekali. Roześlij patrole na południe i na zachód, aby się upewnić, że nas nie zaskoczą, a potem wyślij wiadomości do okolicznych wiosek.

James ściągnął konnych z Dencamp–na–Kłach i wykorzystywał ich do patrolowania okolicy. Przy okazji trafił na doświadczonego sierżanta.

– Chcę, by zdolnych do walki i zbrojnych zebrano tutaj, a tych, co nie mogą się bić, odesłano na południe. – Wskazał palcem mapę. – Rano zacznijcie tu kopać jamy i pułapki. Kiedy tu dotrą, chcę, by ich saperzy mieli pełne ręce roboty z zasypywaniem tych dziur.

Locklear kiwnął głową i spytał:

– Czy mam rozkazać, by zaczęto gromadzić głazy?

Owszem. Jest tu grań – James wskazał miejsce na mapie – która wygina się łukiem nad drogą. Jeżeli zdołamy zbudować tu drewnianą zaporę, a potem wypełnimy ją kamieniami, możemy w razie potrzeby zerwać podpory i spuścić na nich kamienny deszcz. – Przez chwilę zastanawiał się nad całą sytuacją. – Jeżeli nie sprowadzą przeciwko nam magów, może uda nam się odeprzeć te wieże i nie dopuścić ich do naszych murów.

– Ba! – rozległ się głos zza rogu i odwróciwszy się, Locklear ujrzał stojącego nieopodal Patrusa. – Jeśli przywiodą ze sobą swoich magów, to może pokażę im sztuczkę lub dwie.

James uśmiechnął się szeroko.

– Doskonale. W tym względzie zdajemy się na ciebie. – Spojrzał na swego dawnego przyjaciela. – Udało wam się znaleźć zabójców?

Locklear smutno potrząsnął głową.

– Nie... i to mnie martwi. Może to być ktoś z załogi, sztabu albo ktoś, kto się zakrada i wymyka na zewnątrz. Nie wiem.

W polu zabito dwu oficerów, którzy spali w swoich namiotach. Barona otruto przy kolacji, podczas gdy wszystkich innych męczyła potem najwyżej zgaga.

– Może więc wśród nas jest jeszcze kilku Nocnych Jastrzębi?

– Tak myślę – odpowiedział Locklear. – I bardzo chciałbym zmusić ich do ujawnienia się.

– Pozwól, że zawiesimy kilku nad ogniem. – Patrus złowrogo zachichotał. – Zwykle bardzo szybko rozwiązuje to języki pozostałym.

Jamesa na moment zatkało, a Locklear zdołał jakoś wyjąkać:

– Wy chyba nie mówicie tego poważnie, co?

– Nie – odpowiedział James, potrząsając z irytacją głową, A potem nagle się uśmiechnął... i to bardzo paskudnie. – Ale wiecie co... mam pewien

pomysł. Potrafisz zachować tajemnicę? – zwrócił się do Patrusa.

– Oczywiście, że nie – odpowiedział stary, śmiejąc się z własnego żartu.

– A to doskonale, bo mam pewien pomysł, który pragnę zachować w tajemnicy przynajmniej przez parę chwil.

– W czym rzecz? – spytał stary mag z rozkosznie złowrogim uśmiechem na twarzy.

James zaczął kreślić zarysy swego planu i stary mag znów zaczął chichotać. Obaj książęcy giermkowie stali na balkonie nad salą jadalną i spoglądali w dół. Przygnębieni żołnierze jedli posiłek i rozmawiali przyciszonymi głosami.

– Rozprzestrzenia się coraz bardziej – stwierdził James.

– Jak zaraza – odpowiedział Locklear. – Jak sądzisz, kiedy przystąpią do działania?

– Jak znam te nocne Ptaszyska, gdy tylko zaczną coś podejrzewać, zaraz zabiorą się do odlotu.

– Myślisz, że uwierzą Patrusowi?

A czemuż by nie? – spytał James. – Większość z tych wojaków nie wie o magii kompletnie nic. Wszystko to twardzi, zajadli, nieustępliwi, ale niezbyt bystry ludzie. W przeciwnym wypadku nie wylądowaliby tutaj, na granicy.

– Z tym się spierał nie będę – odparł Locklear, który na granicy spędził więcej czasu niż James. – Trzeba być idiotą, by dać się wysłać do służby w którymś z pogranicznych zameczków.

– A jeżeli zgłaszasz się na ochotnika, to jeszcze większy z ciebie kiep – dodał James.

– Czy jacyś pachołkowie zdradzają oznaki zdenerwowania? – spytał Locklear.

– Ci trzej tam, w kącie.

Locklear spojrział uważnie na trzech wojaków. Siedzieli razem i pochyliwszy ku sobie głowy, dokładali wysiłków, by nikt nie usłyszał, o czym mówią. Jeden starał się przekonać o czymś dwu pozostałych, o czymkolwiek jednak mówili, starali się zatrzymać to dla siebie.

W końcu udało im się przekonać oponenta i wstali, rozglądając się dookoła. Jeden patrzył spode łba, dwaj inni udawali obojętność.

– Czy bramy są pozamykane? – spytał James.

– Oczywiście, jak kazałeś.

– Znaczą, została boczna furta.

– A przejścia na wycieczki?

– Za blisko bramy głównej. Nie... będą usiłovali wymknąć się chyłkiem, tyłem. Poza tym... – James uśmiechnął się szeroko – celowo zostawiłem ją bez nadzoru. Przeoczenie niedoświadczonego dowódcy.

– Podstępny z ciebie łotrzyk, Jimmy Rączko.

– Dziękuję Waszej Wysokości! – Wyprężył się James. Zeszli z balkonu i przeszli pół piętra niżej, gdzie na podeście schodów czekali dwaj ludzie, którym postanowili zaufać.

– Sir! – zameldował stary sierżant. – Przez chwilę widziałem, jak szło tędy trzech ludzi.

– Dobrze ich znacie?

– Nie! Dwaj przybyli latem z posiłkami z Romney, a trzeci zjawiał się tu jako ochotnik kilka tygodni temu.

To nasze ptaszki. – James kiwnął głową. – Pójdę o każdy zakład, że jeżeli wypytamy innych ludzi z załogi, okaże się, iż jeden z nich pełnił służbę w kuchni tej nocy, kiedy otruto Barona, a dwaj pozostali towarzyszyli zabitym oficerom.

– Gdzie są pozostali? – spytał Locklear.

– Mam dziesięciu ludzi. Mogę im zaufać – odpowiedział sierżant. – Większość pełni tu służbę od lat, a jeden z nich to mój bratanek. Czekają przy stajniach.

– Dobra nasza! – ucieszył się James. – Idziemy!

Czterech wojaków pobiegło tunelem na tyły twierdzy, wychodząc przez drzwi otwierające się na dziedziniec stajen. Jak przewidział James, trzech ludzie podejrzani o przynależność do Nocnego Bractwa spieszyli ku stajniom.

Stary sierżant wetknął palec w usta i świsnął przeraźliwie. Ze stajen wypadło dziesięciu żołnierzy, którzy natychmiast osaczyli trzech Jastrzębi.

Jeden z Nocnych zdążył się odwrócić i zauważyć, że są okrążeni. Stwierdziwszy, że wpadli w zasadzkę, nie próbowali się nawet bronić. James dopadł ich akurat wtedy, gdy wszyscy przykładali dłonie do ust.

– Zatrzymać ich! – zagrział młody dowódca twierdzy, – Połykają truczkę!

Żołnierze rzucili się na swe ofiary. Było już jednak za późno. Wszyscy trzech Nocni Bracia padli na ziemię, błyskając białkami oczu. Ich ciałami jeszcze przez chwilę wstrząsały drgawki, potem znieruchomieli.

– Przekłęci fanatycy! – sarknął James.

– Co to za jedni, sir? – spytał stary sierżant.

– Prawdziwe Nocne Jastrzębie. Może kilku zostało jeszcze od czasu Wielkiego Buntu albo później zwerbowali ich inni. Przykro mi to rzec, ale zawsze znajdą się chętni do popełniania zbrodni i siania śmierci w imię mrocznych mocy.

Spojrzał na Lockleara, który kiwnął głową i rzekł:

– Przeszukajcie ich. Sprawdźcie, czy mają jakieś dokumenty, a potem spalcie ciała.

– Bez kapłana? – spytał sierżant. – Jest tu niedaleko, w Putney, niewielka kapliczka Lims–Kragmy.

– Nie. – Głosem Jamesa można by ciąć lód. – Spalcie ich najpóźniej za godzinę. Chcę mieć pewność, że są martwi i tacy pozostaną.

– Jak to... „tacy pozostaną”?

James nie odpowiedział. Nie widział powodu, by niepokoić swoich ludzi, ale miał w pamięci bardzo wyraźny obraz tamtych Nocnych Jastrzębi, którzy kilka minut po śmierci wstawali z martwych w pewnej piwniczce niewinnie wyglądającego burdelu w Krondorze. Miał nadzieję, że już nigdy w życiu czegoś takiego nie zobaczy.

– I co teraz? – spytał Locklear, rozwiewając wspomnienia przyjaciela.

– Jak to co? Ostrzemy miecze, nacieramy oliwą podkłady pancerzy i czekamy na Aruthę.

Owyn nigdy nie lubił morskich podróży, dla Goratha zaś było to nowe doświadczenie. Szybko pokonali drogę z Sarth do Ylith. Przy sprzyjających wiatrach i braku przeszkód ze strony zawsze szukających zaczepki galer ąuegańskich dotarcie na miejsce zajęło im cztery dni.

W Ylith za złoto, jakie otrzymali od Lady Katali, nabyli konie i po naradzie z dowódcą miejscowej załogi odkryli, że na Zachodzie panuje spokój. Wprawdzie Delekhan podjął wysiłki, by przekonać władców Królestwa, że będzie atakował i Zachód, działania tu prowadzone nie były jednak zbyt uciążliwe. Owyn wyciągnął z tego wniosek, że nieprzyjaciół obecnie skupia swoją uwagę i wysiłki gdzie indziej.

– Po drugiej stronie tych gór leży Zielona Knieja – odezwał się Gorath, wskazując dłonią kierunek. – Tam ukryli się ci członkowie mojego ludu, którzy sprzeciwiają się władzy i zamiarom Delekhana. Jeżeli ich znajdziemy, na pewno nam pomogą.

– Zgodnie z tym, co mówił ów kapitan w Ylith – odpowiedział Owyn – powinniśmy trafić do krainy krasnoludów, nieopodal miejsca zwanego Calderą. Krasnoludy chętnie przewiozą nas do Elvandaru.

Na twarzy Goratha malował się wyraz niedowierzania. Północny elf nie wierzył, że coś takiego może się zdarzyć.

Jechali, kierując się na Zun, skąd mieli odbić w góry, aktualnie wolne od śniegu, jak to wczesną wiosną. Dowódca miejscowej załogi ostrzegł ich, że najkrótsza droga do Elvandarujest jednocześnie najbardziej niebezpieczna. Jeżeli chcieli z tej podróży wyjść cało, powinni ruszyć na północ, do Yabonu, a potem na zachód, wzdłuż biegu rzeki Crydee do Jeziora Niebiańskiego – co jednak wymagało miesiąca dodatkowej mordęgi na szlaku. Owyn z Gorathem czuli jednak w kościach, że muszą się spieszyć.

Wkrótce mogło się rozpocząć natarcie. Potężna armia, zgromadzona do uderzenia na Sethanon, gotowa była ruszyć w każdej chwili. Niezależnie od tego, jaki szlak wybrałby Delekhan dla swych wojsk, do przejścia miał setki mil – czekały go też duże kłopoty z dostawami żywności. Łupienie wszystkiego i wszystkich po drodze przychodziło najłatwiej latem i jesienią.

Owyn wiedział, że nawet teraz, gdy oni szukali Puga, potężna armia moredhelów mogła już ciągnąć na Królestwo.

– Gdzie oni są? – dopytywał się James. Stał na blankach Northwarden i wyteżał wzrok, jakby chciał nim sięgnąć poza horyzont, by zobaczyć, co się dzieje na Północy. Już od tygodnia spodziewał się ataku, ale nieprzyjaciel się nie pokazywał.

– Może powinienem ku nim podjechać i rozejrzeć się jeszcze raz? – spytał Locklear.

– Nie. Wszystko tam wygląda prawdopodobnie tak jak poprzednio. Wojownicy siedzą, piją, czekają i czyszczą broń.–James usiłował nie

okazywać zdenerwowania, ale to nie było łatwe. – Przyjdą, kiedy przyjdą, a my nic nie możemy na to poradzić.

– Przynajmniej Arutha zdąży tu dotrzeć na czas – stwierdził Locklear.

– Owszem... – odparł James. – Jeżeli Gorath i Owyn zdołają się przedrzeć. – Potem spojrział ku drodze, na której powinien pokazać się nieprzyjaciel. – Ale gdyby tak się stało, to Arutha byłby już tutaj. Coś musiało im przeszkodzić.

– Spodziewasz się, że nie otrzymamy posiłków? – spytał Locklear.

James potrząsnął głową.

– Na wschodzie nie mamy znacznych sił, które mogłyby nam przyjść z pomocą. Poza niewielkimi załogami pogranicznych baronii wszystkie nasze jednostki skupione są na południu, nieopodal granicy z Kesh, albo na wschodzie, gotowe do rozprawy z tamtejszymi władcami.

Locklear westchnął. Potem spojrział na Jamesa i uśmiechnął się szeroko.

– Cóż... nie po raz pierwszy wpakowaliśmy się w beznadziejną sytuację, prawda?

– Nie... – odpowiedział James – ale po raz pierwszy w beznadziejnej sytuacji przypadło nam dowodzenie.

Uśmiech Lockleara zgasł.

ROZDZIAŁ 15

POSZUKIWANIE

Na przełęczy dął wiatr.

Gorath i Owyn owinęli się opończami. W doliny zawitała już wiosna, w górach jednak wciąż królowała zima.

– Jesteśmy obserwowani – stwierdził Gorath.

– Przez kogo?

– Nie wiem... Ale podczas ostatniej godziny widziałem jakiś ruch na grani nad nami. Gdyby to byli wrogowie, dawno by już nas zaatakowali.

Kilka minut później na skale ponad drogą pojawiła się owinięta w ciężką, grubą opończę postać. Czekala, aż podejda bliżej.

Dość szybko okazało się, że mają przed sobą krasnoluda.

Nieznajomy podniósł dłoń w geście powitania. Gorath ściągnął wodze swojego rumaka i zwrócił się do Owyna:

– Ty z nim pomów.

Młody mag kiwnął głową i wysunął się przed moredhela, zostawiając go kilka kroków z tyłu. Kiedy podeszli bliżej do krasnoluda, odrzucił kaptur opończy i powiedział:

– Witajcie.

Krasnolud też zdjął kaptur, ukazując czarną, imponująco gęstą brodę i czuprynę nie dającą się ułożyć w jakikolwiek rozsądny sposób. Pod potężnym nosem jeżyły się przypominające szczotkę wąsiska. Krzaczaste, gęste brwi kryły małe oczka, które czujnie obserwowały obu wędrowców.

– Witajcie i wy – odpowiedział krasnolud spokojnie. – Co sprowadza tak różnych wędrowców w mroźne przełęcz Szarych Wież?

– Niesiemy wiadomość od Lady Katali, żony Mistrza Puga, do Tomasa, wojennego wodza Elvandaru.

Krasnolud podrapał się po brodzie.

– A to dobre! Nigdy wcześniej nie słyszałem niczego podobnego. Wiecie... skłonny byłbym wam uwierzyć.

– A dlaczego mielibyśmy kłamać? – zdziwił się Owyn.

Krasnolud wskazał paluchem Goratha.

– Od roku, albo i dłużej, jego krewniacy przybywają tu z Północy. Prawie zapomnieliśmy, jakimi potrafią być przykrymi sąsiadami.

Gorath odrzucił swój kaptur.

– Mości krasnoludzie, wątpię, czy poczuli do was sympatię, ale spory pomiędzy moim i twoim ludem to sprawa na inne czasy. Teraz zaś” musimy się bez przeszkód dostać do Elvandaru.

– Do Elvandaru, powiadacie? – Krasnolud przykucnął na szczycie skały.

– No... jeżeli tak... Rozumiem, że wasi kuzyni zgotują wam jeszcze chłodniejsze przyjęcie niż moje chłopaki. – Spojrzał na Owyn. – Oczywiście macie jakieś dokumenty od kogoś, kto jest przy władzy, co?

Niewiele brakowało, a Gorath byłby splunął.

– Co daje ci prawo pytania o takie rzeczy, krasnoludzie?

– Po pierwsze, fakt, że stoicie na mojej ziemi. Rzecz sama w sobie niewiele znacząca, ale podczas naszej rozmowy otoczyło was dwunastu moich krewniaków. – Świsnął przeraźliwie i pozornie znikąd pojawiło się kilkunastu krasnoludów.

Owyn zauważył, że wszyscy byli uzbrojeni, i stwierdził:

– Oto mi dobrze umotywowany wniosek. – Sięgnąwszy za pazuchę, wy dobył list od Katali opieczętowany znakiem Diuka i podpisany przez

Konetabla Krondoru.

Krasnolud rzucił okiem na dokument i uśmiechając się szeroko, oddał go młodzieńcowi.

– Uwierzyłbym wam i bez tego. O moredhelach rozmaicie gadają, ale o żadnym nie można powiedzieć, że jest głupi. A głupotą byłby tak otwarty wjazd, gdybyście planowali jakiś podstęp. Chodźcie, zapewnimy wam eskortę do wioski.

– Do wioski? – spytał Owyn. – Jesteśmy tak blisko Caldary?

– Pół godziny jazdy. Tam wyjaśnicie, czemu wam tak spieszo do Elvandaru.

– Komu mamy wyjaśniać? – spytał Gorath.

– Królowi Dolganowi – odpowiedział krasnolud. – Akomuż by innemu?

Ruszyli w milczeniu drogą. Za przełęczą zjechali w niewielką dolinę, w której leżała miło wyglądająca wioska. Wszystkie domki zbudowano z białego kamienia, miały kryte gontami dachy. W centrum wioski zauważyli długi budynek z ciężkimi drewnianymi kalenicami. Ruszyli właśnie w tamtą stronę. Prowadzący ich krasnolud powiedział:

– Moi chłopcy zatroszczą się o wasze konie. Król czeka w tej sali.

Znaleźli się w węższym krańcu długiego pomieszczenia. Wstąpili na kamienne stopnie. Kiedy stanęli przed drzwiami, krasnolud zatrzymał się.

– Przedstawcie się Królowi. Ja zobaczę się z wami później.

– Wy nie wchodźcie? – spytał Owyn.

– Nie, mam inne sprawy. Znajdźcie drogę. Idźcie korytarzem do końca, a spotkacie Króla.

– Mości krasnoludzie, okazałeś nam uprzejmość – odezwał się Gorath. – Chciałbym poznać twoje imię.

– Udell. – Krasnolud uśmiechnął się. – Jestem młodszym synem Króla.

Po otwarciu drzwi Owyn zobaczył przed sobą długi korytarz z drzwiami po obu stronach. Prowadził on do dużej sali. Pośrodku niej ustawiono w kwadrat cztery duże stoły. W głębi siedziało pięciu krasnoludów.

– Jestem Dolgan – oznajmił jeden z nich, wstając.

Owyn skłonił się dość niezgrabnie.

– Wasza Królewska Mość...

Krasnolud machnął dłonią.

– Wystarczy Dolgan. – Starannie nabawiwszy fajkę, gospodarz zapalił ją długim, płonącym fidybusem. – Cóż sprowadza was do Caldary?

– Lady Katala – odezwał się Owyn – małżonka Mistrza Puga, prosiła nas o dostarczenie pewnej wiadomości wojennemu wodzowi elfów, Tomasowi z Elvandar.

Dolgan uniósł brew.

– Tomas jest naszym starym przyjacielem. Chłopak z niego nie byle jaki – dodał z uśmiechem. – Ale ty – spojrzal na Goratha – też dobierasz sobie niezwykłych druhów.

– Gorath przywiózł Księżciu Arucie ostrzeżenie o knowaniach wodza moredhelów, niejakiego Delekhana – oznajmił Owyn. Młody mag zaczął wyjaśniać wszystko królowi krasnoludów. Ten wysłuchał go uważnie.

Kiedy Owyn skończył, stary krasnolud milczał przez chwilę, zastanawiając się nad wszystkim, co usłyszał. Potem spojrzal na Goratha.

– Cóż... mój stary wrogu... zechciej mi odpowiedzieć, czemu ostrzegasz swoich nieprzyjaciół. Pomożesz przecie skuteczniej wymordować wielu z twego ludu.

Gorath też milczał przez chwilę, a potem odpowiedział:

– Nie robię tego po to, by pomóc w wytraceniu mojego ludu. Chciałbym natomiast zobaczyć klęskę Delekhana. Zaszedł zbyt wysoko i niewielu z nas ośmiela się mu przeciwstawić. Jeżeli jednak Królestwo rzuci go na

kolana, straci wpływy wśród naszych plemion. Wielu wtedy powstanie przeciwko niemu i jego miejsce zajmie kto inny.

– I któż to będzie? – spytał Dolgan. – Kolejny wódz, który poprowadzi moredhelów na Południe? Może ty sam?.

Gorath przez chwilę patrzył w twarz starego Króla.

– Myślę, że nie pisany mi jest powrót na Północ. Miałem dwie żony, dwu synów i córkę... i wszystkich straciłem. Nie masz tam nic, co mógłbym nazwać swoją własnością. Oddano pod topór każdego, kto miał w żyłach choć kroplę mojej krwi. Nie mam pojęcia, co przyniesie przyszłość... wiem jedynie, że muszę powstrzymać Delekhana.

Dolgan kiwnął głową ze współczuciem.

– Dobrze powiedziane. Pomożemy wam. Podczas Wojen Rozdarcia Światów mój lud stawiał się w Elvandarze, by każdego roku walczyć u boku Tomasa i elfów. Znamy bezpieczny szlak. Zawiedzie was on w pobliże ich granic, stamtąd zaś bez trudu traficie na dwór Królowej. Poślę z wami kilku chłopców, by mieć pewność, że nie będą was nękali ani wasi krewniacy, ani ci z goblinów, którzy ostatnio dają nam się nieco we znaki. – Król wstał. – Teraz odpocznijcie, zjedzcie coś, a rano wyprawimy was w drogę.

– Dzięki ci... Dolganie – powiedział Gorath.

Jeden z krasnoludów – młoda kobieta, o ile Owyn potrafił dobrze oceniać ich powierzchowność – odprowadził ich do koronki z boku korytarza. Gorath zawahał się, przestępując próg.

– Jest tu coś.

– Co takiego? – spytał Owyn.

– Uczucie... nazwij je pamięcią. To miejsce gościło kiedyś wielką moc.

– W tej komnacie sypia zawsze Lord Tomas, ile razy zechce nas odwiedzić w Caldarze – odezwała się młoda krasnoludka. – Ja też niekiedy

to czuję. Jeżeli czegoś wam będzie trzeba, wytknijcie głowy na zewnątrz i zawołajcie. Mam na imię Belthany.

– Z góry ci dziękujemy – odpowiedział Owyn.

Młody mag umościł sobie posłanie, Gorath jednak zajrzał do sąsiedniego pokoju.

– To, co oni mówią o Tomasie, musi być prawdą, ponieważ wyczuwam potęgę Valheru nawet w wiele lat po tym, kiedy spał tu po raz ostatni.

– Wszystko jest możliwe – stwierdził Owyn. Przeciągnął się tak leniwie, że zawstydziłby Siedmiu Rycerzy Spod Góry, – Ale akurat teraz chce mi się spać.

Gorath przez chwilę patrzył na śpiącego, sam jednak nie odczuwał potrzeby snu. Po chwili wyszedł z komnatki, przeszedł przez kolejne drzwi i znalazł się na otwartej przestrzeni. Zastał tam stojącego na niewielkim balkoniku Dolgana. Król patrzył na niewielkie miasteczko. Składało się na nie kilkanaście budynków o różnej wielkości – kilka mieszkalnych, pozostałe przeznaczono na kramy, kuźnie, piekarnie i warsztaty cieślów i stolarzy.

– Ładnie tu, nieprawdaż? – spytał Dolgan.

W istocie, choć nigdzie jeszcze nie kwitło wiosenne kwiecie, miejsce było urocze, otoczone jodłami i sosnami. Zamieszkiwali je przedsiębiorczy ludzie i wszystko tu świadczyło o ich zamożności. Wysoko na zboczu wzgórza, po przeciwnej stronie leśnego pasma, pasło się bydło. Miejskie uliczki wypełniały kury i kaczki, wokół których uwijały się strzegące ich psy.

– To dobre miejsce – zgodził się Gorath.

– Widziałem tylko kilka wiosek moredhelów, pustych po tym, jak Tsuranczycy wypędzili wasz lud z wysokogórskich pastwisk. Pamiętam, że nie różniły się za bardzo od tej tutaj.

– Budowaliśmy nieco inaczej – stwierdził Gorath. – Ale dom to dom, a pieczemy chleb i pracujemy w kuźniach zupełnie tak samo jak wy i ludzie.

– W najbliższe Święto Letniego Przesilenia skończę pięćset dwadzieścia osiem lat... i większość tego czasu spędziłem w bojach, walcząc za mój lud.
– Dolgan spojrział na wysokiego moredhela. – Wiesz, że jesteś pierwszym z twoich, z którym spokojnie rozmawiam?

Gorath przysiadł na schodach.

– Ja też nie miałem zbyt wielu okazji do rozmów z krasnoludami. I z ludźmi, jeśli już o tym mowa. Wszystko zaczęło się kilka miesięcy temu. – Oparł się plecami o belkę podtrzymującą zadaszenie. – Okazuje się, że świat wygląda zupełnie inaczej, niż mi to przedstawiono, kiedy byłem chłopcem. Miałem dwanaście lat, kiedy musiałem zaopiekować się członkami całego klanu, a w wieku trzydziestu siedmiu lat pomściłem zdradziecką śmierć ojca i zostałem wodzem klanu. Przez ponad sto lat Ardaniowie żyli w lodowych jaskiniach na dalekiej Północy, gdzie w zimie słońce nie wychyla się zza horyzontu, a w lecie nigdy nie zachodzi. Polowaliśmy na morsy i wieloryby, handlowaliśmy ich kłami i skórą z plemionami mieszkającymi na południe od nas... i prawie cały czas żyliśmy w odosobnieniu. Potem wróciliśmy i stanąłem do walki, by przywrócić mojemu klanowi należne mu miejsce wśród innych. Zdobyliśmy szacunek, poważanie, a kiedy w imieniu klanu przemawiałem w Radzie, zdania Ardaniów nikt nie ośmielał się lekceważyć.

– I co się stało?

– Murmandamus.

– Który, pierwszy czy drugi?

Gorath uśmiechnął się gorzko.

– Można by rzec, że obaj. Pierwszy był nie lada jakim mężem. Przemawiał wyzywająco, natarczywie... i mój lud dał mu posłuch.

Słyszałem te historie od tych, co go znali. Powstaliśmy, uderzyliśmy na Południe i zostaliśmy przez ludzi odparci pod Yabonem. Murmandamus zginął, ale jego legenda przetrwała. Gdy pojawił się drugi, gotowi byliśmy pójść za nim bez żadnych pytań.

– Ślepy posłuch to rzecz niebezpieczna.

Gorath kiwnął głową.

– Przed pojawieniem się drugiego Murmandamusa niektórzy z członków mojej rasy zostali przepędzeni z Ziemi Północy przez potężniejsze klany i ruszyli na południe przez Kły Świata. Inni, jak moi współplemieńcy, osiedlili się w lodowych jaskiniach na dalekiej Północy. Przez mniej więcej sto lat panowały tam zamęt i zamieszanie.

– Pamiętam – mruknął Dolgan. – Niektórzy z waszych chłopaków rozzuchwalili się do tego stopnia, że przybłąkali się aż tutaj.

– Ja nigdy nie zapuszczałem się tak daleko na południe. Ani też w stronę Morza Goryczy. Kiedy byłem chłopcem, łowiłem ryby nieopodal miejsca, które ludzie zowią teraz Sarth. – Gorath usiadł wygodniej i zamknął oczy. – Nigdy nie sądziłem, że dożyję chwili, w której będę mógł popatrzeć na Szare Wieże. – Spojrzał na Dolgana. – Moi krewniacy, zwłaszcza ci, którzy poszli za Obkharem, może zechcą przejść tędy do Zielonej Kniei.

– Jak długo pozostaną wśród drzew, nie będziemy im sprawiali żadnych trudności. Moredhele z Zielonej Kniei nie byli nigdy złymi sąsiadami... to wasi górscy krewniacy dawali nam się niekiedy we znaki.

Gorath przez chwilę spoglądał na krasnoluda, a potem się roześmiał.

– Mówisz jak twój syn. Jak i jemu powiedziałem, wątpię, czy oni też poczuli do was sympatię...

– A, to prawda. – Zachichotał Dolgan. – Ale od dawna zastanawia mnie, dlaczego tak jest. My, krasnoludy, mimo że potrafimy się bić, zostawieni samym sobie jesteśmy ludem miłującym pokój. Nie zaczepiamy nikogo, kto

nas nie rusza. Kochamy swoje dzieci, zajmujemy się swoimi stadami, a zimy spędzamy w naszej wielkiej sali, śpiewając pieśni przy piwie. To dobre życie. Ty jednak jesteś pierwszym ze swojej rasy, z którym mogę spokojnie porozmawiać, muszę więc zadać ci pytanie: za co wy, moredhele, tak bardzo nienawidzicie nas i ludzi?

Gorath przez chwilę zastanawiał się nad odpowiedzią.

– Gdybyś mnie o to zapytał, kiedy uciekłem na południe, ścigany przez własnego krewniaka, który czynił wszystko, by mnie dopaść i zabić, odpowiedziałbym ci tak: „Kiedy odeszli Valheru, uczynili nas wolnym ludem i dali nam ten świat, w którym wy i ludzie jesteście najeźdźcami. Odebraliście nam to, co było nasze”. Teraz jednak bym ci tak nie odpowiedział.

– Cóż się zmieniło? – spytał szczerze zaciekawiony Dolgan.

Wiele rzeczy – odpowiedział Gorath. – Mój własny lud stał się... – Westchnął, jakby uwalniając się od długo dźwiganego brzemienia. – Dawno temu byliśmy jednym ludem... tym, który później podzielił się na moredhelów, eldarów, eledhelów i glamredhelów. Większość nazw nadali nam nieprzyjaciele. Eledhel to słowo wykute przez mój lud jako wyraz pogardy, w ludzkim języku znaczy to „elfy światła”. Drwiąca nazwa, ciskana w ślad za tymi, którzy uważali się za lepszych od reszty. Oni zaś nazwali nas „mrocznymi elfami”. Innych obdarzyliśmy nazwą „glamredhelów”, szalonych. My, którzyśmy byli jedną rasą, jesteśmy teraz tak różni... i myślę, że zatraciliśmy poczucie dawnej jedności.

Dolgan kiwnął głową, ale nie odezwał się słowem. Słuchał bardzo uważnie.

– Czy wiesz, że moredhel nie może spłodzić dziecka z kobietą eledhelów czy kobietą glamredhelów?

Dolgan potrząsnął głową.

– Nasi uzdrowiciele sądzą, że potrzeba do tego czegoś, co mają jedynie mężczyźni i kobiety naszej rasy... zmieniliśmy się zatem tak bardzo, że jesteśmy sobie równie obcy jak krasnoludom czy ludziom.

– To najdziwniejsza zmiana, o jakiej słyszałem – stwierdził Dolgan.

– Jak na moredhela jestem stary – stwierdził Gorath. – Następne Letnie Przesilenie będzie dla mnie dwusetnym sześćdziesiątym. A przecie wedle miar mojej rasy powinienem żyć trzykrotnie dłużej. Tylko jednak nasi kuzynowie w EWandarze dożywają tego wieku, Dolganie, i tylko dlatego, że odkryli to, czego nam nigdy nie było dane zaznać: pokój.

– Pokój to wspaniała rzecz... – westchnął Dolgan – dla każdego ludu i narodu. – Spojrzał Gorathowi prosto w oczy. – Równie dobrze jest odkryć go we własnym sercu.

Gorath spojrzał na pełne spokoju rozciągające się przed nim miasteczko i powiedział:

– My żyjemy za palisadami. Nasze wioski to fortece. Nawet kobiety wyprowadzające owce czy krowy nie ruszają się bez miecza u boku i łuku na plecach. Pierwsze zabawki naszych dzieci to miniaturki broni. – Moredhel zwiesił głowę, spoglądając w ziemię. – Pozwalamy, by się raniły nawzajem, pragnąc nauczyć je hartu. Dolganie... żal mi mojego ludu.

Krasnolud milczał przez chwilę, aż wreszcie powiedział:

– Myślę, że trzeba ci się udać do Elvandaru. I to z dużo ważniejszego powodu niż przekazanie wieści Tomasowi. – Wstał. – Teraz jednak sądzę, że przydałby ci się solidny łyk piwa. I chyba wiem, gdzie je znaleźć.

Gorath uśmiechnął się lekko.

– Dolganie, traktujesz wroga niczym gościa.

– Nie jesteś moim wrogiem, Goracie z Ardaniarów – odpowiedział Dolgan, potrząsając głową. – Widzę to równie jasno jak koniec mojej brody.

I król krasnoludów poprowadził Goratha do wewnętrznej sali.

Owyna obudziły śmiechy. Ruszył do sali ogólnej, gdzie zastał Goratha, Dolgana i kilku innych krasnoludów, popijających piwo i opowiadających sobie ucieszne historyjki. Jeden z krasnoludów, nie znany Owynowi z imienia, zakończył swoją słowami:

– Tak właśnie postępują gobliny. Jeżeli zdołacie ich przekonać, że to dobry pomysł.

– Owyn zerknął w stronę okna i przekonał się, że na zewnątrz wstał już dzień..... Piliście całą noc?

– Witaj, przyjacielu! – Dolgan zdjął nogi ze stołu i też spojrzął w okno. – Owszem, na to wygląda. Zechcesz wypić z nami kufelek?

– Dla mnie to trochę za wcześnie... a poza tym trzeba nam ruszać do Elvandaru.

– To prawda – stwierdził Dolgan. – A zatem zjedzcie coś, by się wzmocnić, i ruszajcie w drogę. – Stary krasnolud kilka razy walnął kuflem o stół. – Jeść!

Pozostałe krasnoludy natychmiast podjęły rytm i też zaczęły walić glinianymi kuflami w stół.

– Jeść! Jeść! Jeść!

Z kuchni wyszła kucharka o siwych włosach, okrytych białym lnianym czepkiem, trzymająca w dłoni wielką drewnianą chochlę.

– Szykujcie broń, leniwe draby! – zawołała, wywijając chochlą jak orężem.

Zaraz za nią z kuchni wypadło paru kuchcików, każdy niosący pełną tacę. Piętrzyły się na nich kiełbasy, pieczone i kromki parującego jeszcze chleba. I oczywiście kolejne dzbany piwa.

– Zdumiewa mnie – rzekł Owyn, siadając za stołem – jak wiele piwa może wyłopać krasnolud bez widocznego efektu.

Wytrzymałość na trudy to wrodzona cecha krasnoludów – stwierdził Dolgan.

– Owszem, to prawda – odezwał się Gorath. – Niekiedy zdarzało mi się gonić któregoś z was przez trzy albo cztery dni.

– Na moment w sali zrobiło się cicho... a potem wszystkie krasnoludy wybuchnęły gromkim śmiechem. Kiedy się nieco uspokoiły, Gorath dodał z kpiącym uśmiechem: – Co prawda w pościgu bywali równie zajadli...

Na sali ponownie rozległ się śmiech, a potem wszyscy zabrali się do jedzenia.

Po posiłku przyprowadzono im konie. Owyn odkrył, że gospodarze uzupełnili zapasy w jukach. Żywności otrzymali przynajmniej na tydzień. Zwierzęta były wypoczęte, ich sierść lśniła czystością, naprawiono też wszelkie uszkodzenia uprzęży.

– Dolganie, stokrotne dzięki – rzekł Owyn, zobaczywszy to wszystko.

– Nie ma za co dziękować, chłopcze – odpowiedział król krasnoludów.

Potem wskazał na Goratha.

– Dałeś mi okazję poznania kogoś nowego... a to rzadka przyjemność.

Moredhel wyciągnął dłoń, którą Dolgan mocno uściskał.

– Krasnoludzie, nic nie dorówna twojej gościnności.

– Goracie z Ardaniarów, zawsze będziesz mile widziany w Caldarze.

– Dziękuję – odparł moredhel i wskoczył na siodło.

Do wędrowców zbliżyła się grupa młodych krasnoludów, uzbrojonych jak na wojnę stulecia.

– Poślę tych chłopców z wami do rzeki Crydee. Zapewnią wam bezpieczne przejście.

– Dzięki po raz kolejny – rzekł Owyn. Ruszyli wolno, ze względu na pieszy orszak krasnoludów. – Możesz jechać? – zwrócił się z pytaniem do Goratha.

– Nie za bardzo – zaśmiał się moredhel – ale nie zaszkodzi spróbować.
– Goracie... jesteście w podejrzenie dobrym nastroju.
– Owszem – odpowiedział mroczny elf. – Dawno już nie miałem okazji posiedzieć w towarzystwie prawdziwych wojowników, napić się piwa i posłuchać opowieści o bohaterskich czynach. – I nagle uśmiech znikł z jego twarzy. – Stanowczo zbyt dawno.

Wyjeżdżali z wioski krasnoludów w milczeniu.

Podróż przez lasy Zielonej Kniei i wschodnie rubieże Puszczy Crydee przebiegła bez żadnych niespodzianek. Tydzień po opuszczeniu Caldary dotarli nad brzegi Crydee.

– Tu się rozstaniemy – zwrócił się do obu wędrowców przywódca grupy krasnoludów, wojownik o imieniu Othcal. Wyciągnął dłoń i wskazał rzekę.
– To Crydee. Na jej drugim brzegu jest Elvandar.

– Czuję to już wczoraj – odezwał się cicho Gorath.

Othcal wskazał ręką brzeg rzeki.

– Nieco ponad milę w tę stronę jest bród. Jedźcie tam i zaczekajcie.

Pożegnawszy się z krasnoludami, ruszyli dalej.

– Na co mamy czekać? – spytał Owyn.

– Zobaczysz – stwierdził Gorath.

Kiedy dotarli do brodu, zobaczyli szeroką, piaszczystą łacę, wyłożoną po obu stronach kamieniami. Nurt był tu szybszy, ale konie mogły sobie poradzić bez trudu. Zatrzymali się i postanowili czekać.

– Nie zamierzam nikogo popędzać – odezwał się Owyn – ale na co czekamy?

– Na to, by nas zaproszono. Nikt nie może wejść do Elfiej Kniei bez wiedzy jej mieszkańców.

– A co się przytrafia tym, którzy próbują mimo?

– Poważne nieprzyjemności.

- Więc nawet nie będę próbował. Ale jak im damy znać, że tu jesteśmy?
- Nijak. Już wiedzą.

Po kilku minutach z drugiego brzegu rzeki odezwał się głos w języku, którego Owyn nie zrozumiał. Gorath odpowiedział w mowie Królestwa:

– Dwaj, którzy chcą wejść do Elvandaru. Mamy wiadomość od Lady Katali, małżonki Mistrza Puga, do wojennego wodza elfów, Tomasa.

Po chwili milczenia na drugim brzegu rzeki pojawiła się smukła sylwetka.

– Chciałbym znać wasze imiona i rody.

– Jestem Gorath z Ardaniarów, wódz mojego klanu – odezwał się moredhel. Spojrzał na Owyna.

– Jestem Owyn, syn Barona z Timons.

– Wejdźcie – padło zaproszenie z drugiej strony rzeki. Przebyli bród konno, a na drugiej stronie rzeki zatrzymali się, gdy pomiędzy drzew wyłoniło się kilku elfów.

– Jesteśmy o dzień jazdy od elfich polan, a do dworu Królowej jest jeszcze jeden dzień – stwierdził przywódca elfów, po czym odwrócił się i pobiegł truchtem. Dwaj inni elfowie natychmiast ruszyli za nim, podczas gdy inni zostali na miejscu.

Jadąc wolno obok elfów, Owyn przyglądał się im uważnie i stwierdził, że z wyglądu niczym się nie różnią od Goratha i jego ziomków. Różnili się jednak zachowaniem i sposobem bycia.

Gorath był rosły, miał szerokie bary i potężne ramiona. Owyn jednak wiedział, że moredhel potrafi poruszać się niewiele wolniej od błyskawicy. Towarzyszące im teraz elfy były smuklejsze – choć nie ustępowały Gorathowi wzrostem. Największą jednak różnicę dostrzegął w sposobie poruszania się. Elfy szły tak, jakby stanowiły jedność z otaczającą je knieją – Owyn mógł to nazwać jedynie wdziękiem. Eledhele były pełne wdzięku.

Biegły tak przez godzinę, najwidoczniej zupełnie nie odczuwając znużenia, a potem zatrzymały się na kilka minut. Gorath przez cały czas w milczeniu obserwował swoich dalekich krewniaków.

Porozumiewając się pomiędzy sobą jedynie za pomocą skąpych gestów i poruszeń głów, elfy stały i patrzyły, jak Gorath i Owyn ponownie dosiadają koni. Wędrowali tak aż do zmierzchu, kiedy to elf, który udzielił przybyszom pozwolenia na wejście do Elvandaru, oznajmił:

– Rozłożymy się tu obozem.

Zanim Owyn zdążył rozkulbaczyć konia i wytrzeć mu sierść, na polanie zapłonęło już ognisko. Z biesagów powyjmowano porcje żywności, pojawił się też bukłak pełen wody. Elfy siadały na ziemi lub kładły się na boku, podpierając się łokciami i milczały.

Pożywiwszy się solidnie, Owyn zwrócił się do przywódcy:

– Czy możemy poznać twoje imię, mości elfie?

– Caladain – przedstawił się zagadnięty. – A to Hilar i Travin. – Wywołani przezeń towarzysze pozdrowili Owyna i Goratha kiwnięciem głowy.

Owyn nagle zdał sobie sprawę z faktu, że nie bardzo wie, jak zacząć rozmowę. W końcu pomógł mu Gorath:

– Eledhele nie lubią tracić słów po próżnicy, jak wy, ludzie.

Elfy skwitowały tę uwagę lekkimi uśmiechami, jakby niezupełnie było tak, jak mówił Gorath, Owyn jednak stwierdził, że ta uwaga je rozbawiła.

– Rozumiem – wybąkał, czerwieniąc się jak burak.

W końcu wypakował swoje posłanie, rozłożył je i legł na nim, nie rzekłszy już ani słowa. Chwilę później spał już głęboko pod konarami elfiej kniei.

Podczas dalszej podróży prawie nie rozmawiano. Pod koniec drugiego dnia Owyn spostrzegł, że lasy na lewo od szlaku pogrążone są w półmroku.

- Czy jest tam coś, co je różni od kniei, którą wędrujemy teraz?
- Czy posiadasz jakieś magiczne zdolności? – spytał Caladain.
- Owszem, a czemu pytacie?

Bo dla większości ludzi różnica nie byłaby dostrzegalna. Owszem, to jedna z polan osnutych Czarem Snu. Nieproszonym gościom potrafimy przeciwstawić nie tylko oręż. Naszym sprzymierzeńcem jest sama knieja i rosące w niej drzewa. Wśród tamtych drzew zapragnąłbyś snu i zapadłbyś w tak głęboką drzemkę, że bez użycia magii nie dałoby się ciebie obudzić. Owyn spojrzał na Goratha.

- To te nieprzyjemności, o których mi mówiłeś?

Gorath kiwnął głową.

– Nasze legendy ostrzegają przed wieloma niebezpieczeństwami, jakie czyhają w ojczyźnie... – zerknął na trzech elfów – kuzynów.

Owyn nie dałby głowy, odniósł jednak wrażenie, że ta uwaga nie spodobała się elfom, nieskorym do potwierdzenia pokrewieństwa.

Przebyli niewielki strumyk, potem pokonali wzniesienie, i wkroczyli na rozległą polanę. Owyn i Gorath ściągnęli wodze.

Od wielkiego, rozłożonego wokół potężnych pni drzew miasta oddzielała ich duża, otwarta przestrzeń. Drzewa, przy których karłały najstarsze dęby, wznosiły się do niewiarygodnych wysokości. Łączyły je wdzięczne łuki gałęzi, płaskich od góry, tworzących mosty. Większość drzew okrywało zielone listowie, gdzieś jednak widać było pnie ze złotymi, srebrnymi lub białymi liśćmi, emanującymi nikłe światło. Cała okolica skąpana była w łagodnym blasku, w niewytłumaczalny sposób wprawiając Owyna w dobry nastrój.

Po gałęziach przechadzały się elfy. W miejscach, gdzie niektóre z konarów łączyły się z pniami, płonęły ogniska, a przy nich pracowali kucharze i kowale. W innych miejscach poustawiano rozmaite warsztaty.

Było to najpiękniejsze miejsce, jakie Owyn kiedykolwiek widział. Z trudem oderwał odeń wzrok, gdy Caladain powiedział:

– Oto Elvandar.

Zerknąwszy na towarzysza, ujrzał, że Goratha również poraziła uroda miejsca. Moredhel stał z szeroko otwartymi oczami, a w ich kącikach zaczęła mu się zbierać wilgoć. Powiedział coś cicho, jakby do siebie, w nieznanym Owynowi języku. Młody mag spojrzął na Caladaina.

– On powiedział: „Dlaczego nikt nam o tym nie mówił?”

– Co masz na myśli, Goracie? – zwrócił się Owyn do towarzysza, Legendę – odpowiedział moredhel, zsiadając z konia. – Barmalindar... złoty dom i ojczyzna naszej rasy.

– Zajmiemy się waszymi końmi – rzekł Caladain. – Podejdźcie do tamtego drzewa z białymi liśćmi. Tam czekają na was inni, którzy zawiodą was do naszej Królowej.

Gdy Owyn i Gorath podeszli do drzew, ujrzeli wśród nich bawiące się dzieci. Ich matki siedziały w kręgach, przędąc wełnę, a w innych miejscach pracowali wyginacze łuków. Nieopodal lotkarze opatrywali strzały piórami.

Przybyszów przywitało trzech elfów.

– Witajcie – powiedział pierwszy z nich. – Jestem Calin, syn Królowej Aglaranny.

– Wasza Wysokość, jestem Owyn Belefote, syn Barona z Timons – przedstawił się Owyn.

– Gorath z Ardaniarów.

– Co was sprowadza do naszego domu?

– Mam wiadomość od Lady Katali, małżonki Puga, dla Tomasa – odpowiedział Owyn.

– W takim razie proszę za mną – polecił Książę. Idąc obok Goratha i Owyna, posiał jednego ze swoich towarzyszy przodem. – Jesteś pierwszym

ze swego ludu, który od wielu lat pojawił się wśród nas.

Kotłowanina pomiędzy drzewami zwróciła ich uwagę na grupkę młodziutkich elfów. Chłopcy zawzięcie ścigali jednego, uciekającego z drewnianą, krótką laską w dłoni. Miał on jasne, niemal białe włosy i oglądał się właśnie przez ramię, kiedy wpadł na Calina.

Ten chwycił go z uśmiechem, choć by zatrzymać biegnącego, musiał wykonać niemal pełen obrót.

– Uważaj, braciszku.

Chłopak przystanął i spojrzał na Owyna i Goratha.

– Teraz wiem, dlaczego mówisz w języku Królestwa. Przepraszam cię – zwrócił się do Calina.

– Nie ma za co – stwierdził Calin, uśmiechając się przyjaźnie.

– Bawiliśmy się w psy i zająca, a wy stanęliście nam na drodze.

– Niewiele brakło, a złapałoby cię.

Chłopak potrząsnął głową.

– Nie. Pozwalam im tak myśleć i nie uciekam zbyt szybko, by się nie zniechęcili.

– To Owyn, syn Barona z Timons, a to Gorath z Ardaniarów – przedstawił gości Calin. Potem przedstawił młodzika. – To jest mój młodszy brat, Calis.

Chłopiec kiwnął głową i rzekł:

– Witaj, Owynie z Timons. – Do Goratha przemówił w innym języku i przez chwilę jakby czekał na odpowiedź. Gorath postąpił krok do przodu i obaj wymienili uścisk dłoni. Potem spojrzał przez ramię na przyjaciół stojących nieopodal i z ciekawością, choć w milczeniu, przyglądających się Gorathowi. – Gońcie! – zawołał i pomknął dalej.

Sekundę później ruszył pościg.;

– Co on ci powiedział? – spytał Owyn Goratha.

Moredhel po raz pierwszy wyglądał na speszzonego.

– Powiedział: „Jeżeli będzie trzeba, stanę z tobą do walki, ale wolałbym, żebyśmy zostali przyjaciółmi”. Nie lada młodzik z tego Całisa – zwrócił się do księcia.

– Więcej w nim niezwykłego, niżby ci się mogło zdawać. – Przytaknął Calin. – No, ruszajmy już, czeka nas krótka przechadzka. – Poprowadził ich stopniami wyciętymi w pniu ogromnego drzewa. – Owynie, jeżeli boisz się wysokości, nie patrz w dół – ostrzegł młodego maga.

Szli dalej, a im bliżej podchodzili do dworu Królowej, tym piękniejsza stawała się okolica. Wkrótce dotarli do rozległej platformy, na której ustawiono półokrąg ław, a w centralnym miejscu łuku dwa trony.

– Matko – odezwał się Całin – niechże mi wolno będzie przedstawić dwu gości: Owyna, syna Barona z Timons i Goratha, wodza klanu Ardanien. – Odwróciwszy się ku przybyszom, poprowadził ich do tronu. Siedziała na nim kobieta o niespotykanej urodzie. – Przyjaciele – ciągnął Calin. – Oto moja matka, Królowa Aglaranna.

Twarz kobiety promieniowała spokojem i pewnością siebie. Spod dwu łuków gęstych brwi spoglądały na przybyszów jasno-błękitne oczy, a włosy lśniły złościście czerwono. Przyglądała się im przyjaźnie.

– Witajcie – odezwała się melodyjnym głosem. – Zawsze chętnie widzimy w Elvandarze ludzi, którzy są przyjaciółmi elfów – zwróciła się do Owyna. A potem spojrzała na Goratha. – Radośnie witamy i naszych krewniaków, przybywających do nas w pokoju. – Skinąwszy dłonią, ciągnęła dalej: – Goracie, powinieneś zasiadać w naszej Radzie. – Moredhel spojrział we wskazaną stronę i wśród doradców ujrzał wysokiego elfa, którego twarz wydała mu się znajoma. – Earanorn!

Przywódca glamredhelów kiwnął głową. Na jego twarzy malował się wyraz chłodnej rezerwy.

– Witaj, Goracie.

A ja jestem Aciala z Eldarów – odezwał się inny elf, równie wiekowy jak Earanorn. – Rad jestem, że cię tu widzę, Gorath milczał przez długą chwilę, choć Owyn był przekonany, że elfy mówią coś do siebie, mimo że odbywa się to bez słów. Potem nagle i dość osobliwym gestem wy dobył miecz z pochwy. Ruszył na Królową i Owyn poczuł tchnienie niepokoju, choć przyglądające się wszystkiemu elfy nie okazały żadnej obawy.

Gorath zaś położył swój miecz u stóp Aglaranny i klęknął przed nią.

– Pani... wróciłem – powiedział, podnosząc wzrok ku jej twarzy.

ROZDZIAŁ 16

ŻADANIA

Królowa podniosła się z miejsca.

Zatrzymawszy się przed Gorathem, pochyliła się i położyła dłonie na jego ramionach.

– Wstań – powiedziała łagodnie.

Gorath podniósł się, a ona zaczęła się przyglądać jego twarzy.

– Kiedy wracają do nas zagubieni krewniacy, zachodzi w nich dość łatwo rozpoznawalna zmiana. – Uśmiechnęła się, jakby chciała dodać Gorathowi ducha i złagodzić następne słowa. – W tobie jest jednak coś innego. Twoja podróż powrotna nie dobiegła jeszcze końca. – Spojrzała na wodza glamredhelów. – Nie ty jeden nie dokończyłeś podróży, nie jesteś więc wyjątkiem. Kiedy wrócisz całkowicie, otrzymasz nowe imię, do tej pory jednak pozostaniesz dla nas Gorathem. Od tej chwili jednak będziesz Gorathem z Elwandaru. Zyskałeś ojczyznę!

Przytuliła go, jak matka przytula zbłąkanego syna, a potem wróciła na swój tron. Owyn patrzył, jak Gorath podnosi swój miecz i ponownie wkłada go do pochwy.

– Za pozwoleniem Waszej Królewskiej Wysokości, czy mogę zadać pytanie? – zwrócił się do Aglaranny.

– Możesz – odpowiedziała Królowa, usadowiwszy się na tronie.

– Przyniosłem wiadomość od Lady Katali do małżonka Waszej Królewskiej Wysokości i...

– Synu – zwróciła się Aglaranna do Calina. – Zaprowadź gości do mojego apartamentu.

Calin skinieniem dłoni wezwał obu przybyszów, by poszli za nim. Przed odejściem skłonili się nisko Królowej, która pożegnała ich słowami:

– Kiedy skończycie rozmowę z Tomaszem, wróćcie tutaj, a wyprawimy na waszą cześć ucztę.

– Nie jestem pewien, czy rozumiem to, co widziałem – odezwał się Owyn do Goratha, gdy szli po giętkich gałęziach.

– Wyjaśnię ci to później – oznajmił moredhel.

– Mąż mojej matki został ranny w potyczce nad granicą. Grupa moredhelów wdarła się na nasze ziemie, podążając na południe – stwierdził Calin.

– To nie byli najeźdźcy – zachnął się Gorath. – Zmierzali do Zielonej Kniei... klan Obkhara uciekający spod jarzma Delekhana.

Calin kiwnięciem głowy potwierdził przyjęcie do wiadomości tej poprawki.

– Tak czy owak, Tomasz został trafiony zatrutą strzałą... i teraz odpoczywa.

Odsunąwszy bogato zdobioną zasłonę, wprowadził ich na osobny taras, z którego rozciągał się przepiękny widok na Elvandar. W alkowie, oddzielonej od reszty tarasu kolejną zasłoną, leżał na łożu rosły człowiek.

– Pozwólcie, że sprawdzę, czy się obudził – rzekł Calin.

– Obudziłem się – rozległ się słaby głos z alkowy.

– Tomasz – przedstawił gości Calin – to jest Owyn z Timons, a to Gorath, jeden z naszych powracających braci, Przynieśli wiadomość od żony Puga.

Gdy Owyn i Gorath podeszli bliżej, zobaczyli rosłego i młodo wyglądającego męża, mającego ponad sześć i pół stopy wzrostu, leżącego

pod pledem ze stosem poduszek pod głową. Gdy znaleźli się w odległości kilku stóp od łoża, Gorath zatrzymał się jak wryty.

– Słyszałem plotki... – odezwał się cicho – ...niewielu z nas uważało je za prawdziwe. A jednak to wszystko prawda, On jest Yalheru.

– Niezupełnie – odezwał się Calin. – Za co bogom niech będą dzięki.

– Wstałbym, żeby was powitać – odezwał się Tomas – ale w tej chwili nie bardzo czuję się na siłach.

– Trucizna? – spytał Gorath. – Jaka?

– Rzadka zielonkawa substancja nie znana naszym zielarzom.

– Coltari – stwierdził Gorath. – Powiadają, że dotarła do nas ze świata Tsurani, a nazwę wzięła od prowincji, w której ją wytwarzają. Trafiała do nas mniej więcej wtedy, gdy Delekhan zaczął podporządkowywać sobie klany.

– Jest na nią jakaś odtrutka? – spytał Calin.

– Mogę obejrzyć ranę?

Tomas skinieniem dłoni zaprosił Goratha bliżej. Odwrócił się na bok, odsłaniając rozpaloną, czerwoną bliznę na szyi, tuż nad barkiem.

– Niepodobieństwo, że żyjecie! – zdumiał się Gorath. – Powinniście być trupem!

Tomas uśmiechnął się lekko i Owyna znów uderzył młodzieńczy wygląd Księcia. Miał przed sobą uderzająco urodziwego człowieka, o pięknie rzeźbionej twarzy i uszach niemal tak ostro zakończonych jak u elfa.

– Wiecie... odkryłem, że niełatwo mnie zabić. Z pewnością jednak można mnie osłabić tak, bym musiał leć w łożu. W tej chwili mógłby mnie pokonać wczoraj urodzony wilczek.

– Jeżeli przeżył, to wyjdzie z tego – odezwał się Gorath do Calina – ale nie umiem rzec, ile to zajmie czasu. Ci, którzy dostali choćby niewielką

dawkę Coltari, leżeli kilka tygodni, zanim powoli zaczęli odzyskiwać siły.

– Dojdę do siebie za kilka dni – zapewnił ich Tomas.

– Mąż mojej matki zawsze był optymistą. Myślę, że poleży jeszcze kilka tygodni. Nasi najlepsi Uzdrowiciele zrobili dlań wszystko, co mogli.

– Jaką wiadomość przynieśliście od Katali? – spytał Tomas.

– Kazała nam powiedzieć, że Pug i Gamina zniknęli z Krondoru. Pug zostawił tylko tajemniczą notatkę: „Do Tomasa! »Księga Macrosa«!”

– Byliśmy w Sarth, ale oni nie mają pojęcia o istnieniu takiej księgi. Czy jest u was, panie? – spytał Owyn.

– Owszem – odpowiedział Tomas. – Ale to nie jest księga. Calinie, czy zechciałbyś podać mi tę szkatułę leżącą obok mojej skrzyni ze zbroją?

Elf podał mu niewielką szkatułkę, a Tomas otworzył ją i wyjął zwój pergaminu.

– „Księga Macrosa” to hasło, ustalone przeze mnie i Puga, na wypadek gdyby potrzebował pomocy. Pug zaklął w ten pergamin taki czar, że ktokolwiek go przeczyta, zostanie przeniesiony do miejsca, w którym on przebywa. – Tomas usiadł. – Calinie, zechciej mi pomóc wdziać zbroję.

– Nie, Tomasie – sprzeciwił się Książę. – Jesteś zbyt słaby. Nie pomożesz druhowi, bo nie masz na to dość sił.

– Ale Pug wysłałby taką wiadomość tylko wtedy, gdyby naprawdę był w potrzebie.

– To ja pójdę – stwierdził Calin.

– Nie – odezwał się Gorath. – To nasze zadanie.

– Książę Arutha polecił nam znaleźć Puga, a jeżeli nie da się doń dotrzeć inaczej jak tylko dzięki temu pergaminowi... to trudno – dołączył się Owyn.

– Bez urazy, Mości Książę – odezwał się ponownie Gorath, patrząc na Calina – ale zdziwiłbym się, gdyby się okazało, że jesteś bardziej

doświadczonym ode mnie wojownikiem. Poza tym masz pewne zobowiązania wobec swego ludu... Gdy Tomas będzie wracał do zdrowia, ty musisz stanąć na czele swoich wojowników.

– A ja – wtrącił się Owyn – znam się na magii, Mości Księżę, co może się okazać ważne.

– Chyba... – odezwał się Tomas – zaczekam kilka dni.

– Czas ucieka – stwierdził Gorath. – Podróżujemy już kilka tygodni, a Delekhan wkrótce ruszy na Królestwo. Arutha obawia się jego magów i dlatego potrzebna mu pomoc Puga. Ruszajmy... Może i nie jesteśmy najlepszymi z możliwych kandydatów do tej misji, ale znaleźliśmy się tutaj... i chcemy pomóc.

Owyn wziął pergamin w dłoń i rzekł:

– Czy można?

Tomas kiwnął przyzwalająco głową, a Gorath powiedział:

– Rzeknijcie ode mnie Królowej, że w uczcie wezmę udział po powrocie.

Owyn rozwinął pergamin i spojrzał nań uważnie.

– Goracie – zwrócił się do przyjaciela – stań za mną i połóż swoje dłonie na moich ramionach.

Pergamin zapisano nie znanym mu pismem, a jednak litery zmusiły jego oczy do podążania z jednej na drugą, a w miarę jak to czynił, w myślach jawiły mu się symbole płonące jak ogniste znaki. Kiedy dotarł do ostatniego wiersza, ziemia wokół obu wędrowców zamigotała, rozplynęła się w nicość i wessała ich szklista powierzchnia wisząca w pustce.

Pędzili jakimś świetlistym tunelem, odbierając wrażenia mijanych dźwięków i woni, które rozplywały się w nicość, zanim zdążyli je rozpoznać. I nagle obaj runęli ku kolejnej płycie świetlistego srebra, przelecieli przez nią i wylądowali na jakimś gruncie.

Stali na pylistej, czerwonawej ziemi, z dwiema rdzawymi skałami wznoszącymi się po obu jej krańcach. Nad nimi rozpięto się bardziej fioletowe niż błękitne niebo, a w powietrzu czuli obce im wonie.

– Gdzieśmy trafili? – spytał Gorath.

– Nie jesteśmy już w naszym świecie – stwierdził Owyn. – Trafiliśmy gdzie indziej.

– Gdzie?

– Nie mam pojęcia. – Na wschodzie zauważyli niewielkie, białe, jaskrawe słońce, które znikając za górami, pogrążyło okolicę w czerni i fioletach. – Ale wygląda na to, że zapada noc i trzeba nam jakiegoś schronienia.

Podjąwszy próbę utkania czaru, który dałby im światło, pojął nagle straszną prawdę.

– Goracie! Magia tu nie działa!

James uważnie przyglądał się mapie..;

– Jesteś pewien? – spytał żołnierza.

– Tak, mości giermku. Widziałem przynajmniej trzy patrole podążające wedle tej perci i za granią.

Locklear spojrzął na mapę i zapytał.

– Co oni tam wymyślili? Nie da się tamtędy przeprowadzić liczniejszej grupy żołnierzy, muszą to więc być zwiadowcy. Ale czego oni tam wypatrują?

– Może chcą sprawdzić, czy przybyły do nas posiłki? – podsunął żołnierz.

– Ha! Jeżeli widzieli jakieś posiłki, to mam nadzieję, że starczy im grzeczności, by nas o nich zawiadomić – stwierdził Locklear z przekąsem.

– Znaczy tak... jeżeli ich nie dostrzegli, powinniśmy się lada moment spodziewać ataku – stwierdził James, który nie widział niczego zabawnego

w ich sytuacji.

– Niech jakiś szybki jeździec ruszy do Dimwood i z powrotem – zwrócił się do żołnierza. – Ma się zapuścić na odległość jednego dnia w tamtą stronę, a potem niech wraca. Chcę wiedzieć, czy jakiegokolwiek oddziały Księcia idą nam na pomoc. Jeżeli nie... to możemy się spodziewać ataku.

Żołnierz wybiegł wykonać rozkaz i James zwrócił się do Lockleara:

– Myślę, że możemy założyć, iż Gorathowi i Owynowi się nie powiodło.

– Znaczący... że musimy utrzymać tę pozycję, dopóki...

– Dopóki nas nie zluzują nasi... albo dopóki tamci po nas nie przejdą...

Locklear milczał przez chwilę, a potem spytał:

– Czy jeżeli się okaże, iż nie dajemy im rady, będziemy organizowali odwrót, jak wtedy pod Highcastle?

James milczał, długo rozmyślając, aż w końcu odpowiedział:

– Nie. Utrzymamy tę pozycję albo zginiemy.

– Myślę, że to dlatego ponadawano nam te tytuły i dobra... – westchnął teatralnie Locklear.

– Arutha powiedziała by teraz: „Czas zarobić na swoje utrzymanie”.

Locklear zebrał resztki wisielczego humoru i rzekł:

– Doskonale. Zróbmy to tak, byśmy nie musieli się wstydzić przed wnukami.

Wyszli z komnat nieboszczyka Barona i ruszyli do czekających ich zadań. Zajęli się przygotowaniem do walki.

Na obcym świecie wstało słońce. Ubiegłego wieczoru udało im się znaleźć płytką jaskinię, choć musieli się spieszyć, by zdążyć przed szybko zapadającymi ciemnościami. Było to kiepskie schronienie, więc noc spędzili o głodzie i chłodzie.

Kiedy niebo się rozjaśniło, Gorath obudził Owyna. Po odkryciu, że na tym świecie nie da się utkać żadnego czaru, młody mag niemal wpadł w

panikę. Powodem drugiego z szoków, który prawie pozbawił go zdolności logicznego rozumowania, było to, że trafili do obcego świata.

Co do tego nie mogli żywić żadnych wątpliwości. Gorath znał niebo północnej Midkemii jak każdy, kto spędził większość nocy na otwartej przestrzeni, ale nawet Owyn wiedział, że Midkemia ma trzy księżyce, niejeden, dwakroć większy niż każdy z tych, jakie zostawili w domu.

– Gdzie jest Pug? – spytał Gorath.

– Jeżeli to zakłęcie miało sprowadzić do niego Tomasa – odpowiedział Owyn – to niedaleko.

Gdy się nieco rozjaśniło, Gorath spojrział na ziemię i powiedział:

– Popatrz, ślady.

Owyn zauważył zaschnięte ślady.

– Może tu właśnie przyniosło Puga, a zakłęcie, które miało sprowadzić doń Tomasa, przerzuciło nas w to miejsce... – Zamrugął. – O czym ja gadam? Nie mam pojęcia, co nam się przytrafiło, a także co przedtem spotkało Puga.

Gorath przykucnął i przez chwilę badał ślady.

– Jedne z nich zaczynają się tam. – Wskazał miejsce, gdzie oni trafili do tego świata, a potem powiódł dłonią w powietrzu. – Ktokolwiek je zostawił, poszedł tam...

Wstał i ruszył tym tropem, podczas gdy Owyn zaczął się rozglądać po okolicy. Nie podobało mu się światło i niemal czyste niebo, na którym widać było tylko kilka przejrzystych pasm chmur. Zimny, przenikliwy wiatr kołysał łodygami rzadko rosnących roślin. Wszystko razem przypominało Owynowi skaliste pogórze, przez które wędrował z Gorathem na Północy.

– Do pierwszych dołączają tu inne ślady – stwierdził Gorath, wskazując na grunt. W ziemi widniało kilka dodatkowych odcisków. – Jeżeli te pierwsze należały do Puga, spotkały go przy naj mniej cztery osoby... albo

cztery osoby później za nim poszły. Wszyscy zaś udali się w tamtą stronę. – Wskazał widoczny w oddali łańcuch niewysokich wzgórz. – Myślę więc, że i my powinniśmy tam pójść.

W miarę jak słońce wzbijało się coraz wyżej na nieboskłonie, robiło się coraz cieplej.

– To jest pustynia – stwierdził w pewnej chwili Owyn. – Słyszałem opowieści tych, co wędrowali po Jal–Pur. Zwiódł mnie nocny chłód. – Zatrzymał się i sięgnął do swoich kieszeni. Wyciągnąwszy zapasową koszulę, zarzucił ją sobie na głowę jak kaptur.

– Zanim zrobimy cokolwiek innego, trzeba nam znaleźć wodę. Gorath rozglądał się przez chwilę dookoła, a w końcu rzeki:

– Masz rację. Nigdzie tu nie widzę wody. – Raz jeszcze powiódł wzrokiem po okolicy. – Niewiele wiem o pustyniach, ale wydaje mi się, że jeżeli gdziekolwiek znajdziemy wodę, to tylko wśród tamtych wzgórz. Nie ma więc powodu do zmiany kierunku, Owyn nie zaprotestował z braku lepszej propozycji. Z trudem pokonywali teren pełen skał, stromych zboczy i kamienistych płaszczyzn.

– Jeżeli kwitło tu kiedy cokolwiek, dawno już uschło – zauważył Gorath. Po chwili zaś zapytał: – Masz może jakieś pomysły dotyczące przyczyn niemożności utkania tu żadnego czaru?

– Nie – odpowiedział zrezygnowany Owyn. – Próbowałem wszystkiego: medytacji, ćwiczeń, czarów i zaklęć, jakie tylko zdołałem sobie przypomnieć. Wygląda na to, że działają, jak trzeba... tyle że nic z tego nie wychodzi. – Potrząsnął głową.

– Jakby mana tu nie istniała...

– Jaka mana? – spytał Gorath.

– To jeden z terminów – stwierdził Owyn. – Takiego przynajmniej używał Patrus. Nie wiem, jak nazywają to inni magowie. To energia, która

wszystko wiąże, ale można nią manipulować, by tworzyć magię. Większość ludzi nie pojmuje działania magii. Ja nie mam żadnej wewnętrznej mocy. Wszystko, co umiem, to ciągi słów, gestów i obrazów, dzięki którym mogę zbierać moc lub manę z otaczającego mnie świata. A tu... many jakby w ogóle nie było. Chciałbym się szkolić w Niższej Ścieżce.

– Co to znaczy? – spytał Gorath, który doszedł do wniosku, że lepiej pozwolić Owynowi na udzielenie sobie nauk, niż uparcie iść obok bez słowa.

– Są różne drogi szkolenia w magii. Patrus jest przedstawicielem Niższej Ścieżki i polecił mi udać się do Stardock, kiedy dla nas obu stało się jasne, że uczy mnie „niewłaściwej” magii. Zanim Pug trafił do świata Tsurani, nikt nie wiedział o tym, że są rozmaite rodzaje magii, a już z pewnością nie wiedział o tym nikt na Midkemii. Niższa Ścieżka to, z braku lepszego określenia, tylko część magii. Mag łączy się z samą istotą gleby, na której stoją jego stopy, otaczającej go wody albo z samym wiatrem. Większość materiałów w przyrodzie ma skłonności do palenia się, a ta zdolność rozpala naturę magów o zamiłowaniu do ognia. Myślę, że mag Niższej Ścieżki zdołałby wydusić odrobinę magii z tego miejsca... ja jednak jestem tu bezsilny.

– A co z Pugiem?

– Nie mam pojęcia – stwierdził Owyn. – Mówią o nim, że jest ponad Obiema Ścieżkami. – Rozejrzył się dookoła. – Może jednak być i tak, że jego moce zostały tu zredukowane do tego stopnia, iż dał się pokonać. Ale jedno wiem z całą pewnością.

– Co mianowicie?

– Bez Puga nie mamy szans, by wrócić na Midkemię.

Po tym stwierdzeniu szli w milczeniu przez ponad godzinę.

Kopułę zauważyli w południe następnego dnia. Skwar sprawił, że brnęli przed siebie z najwyższym trudem – nigdzie zresztą nie dostrzegli nawet odrobiny wody. Opróżnili już swoje bukłaki i Owyn zaczął odczuwać pierwsze oznaki odwodnienia. W milczeniu ruszyli ku kopule. Kiedy podeszli bliżej, przekonali się, że została wykonana ze skór rozciągniętych na zmyślnie splecionych gałęziach.

– Wygląda mi to na jurtę – stwierdził Gorath.

– A cóż to takiego? – wychrypiał Owyn.

– Wynalazek nomadów ze Stepów Uśpionego Grzmotu. Potrafią postawić lub rozłożyć coś takiego w ciągu kilku minut.

Wyjąwszy miecz, okrążył budowlę, aż znalazł wejście zakryte pojedynczą skórą. Odsunął ją na bok ostrzem miecza, a gdy nic się nie stało, wetknął głowę do środka.

– Chodź tu i zobacz sam – odezwał się po chwili do Owyna.

Gdy młody mag wszedł do środka i rozejrzał się dookoła. Zobaczył, że jurta jest pusta. Pośrodku leżał spłowiały kawał tkaniny, niegdyś chyba dywanu, na którym teraz rozsiadł się Gorath. W dłoni trzymał kawał pergaminu. Ktoś wypisał na nim węglem następującą wiadomość:

Tomasie, jako że Katala niewątpliwie przesłała ci wiadomość, zakładam, iż słyszałeś o zniknięciu Gaminy. Została porwana przez tsurańskich magów, którzy służą Makali, i przeniesiona tutaj. Kiedy się spotkamy, opowiem ci o wszystkim dokładniej, teraz jednak ogranicza mnie powierzchnia dwu kawałków pergaminu, Nie zdawaj się tu na magię. Nie działa. Podejrzewam, dlaczego tak jest, ale podzielę się tym z tobą gdy się spotkamy. Jej brak może być spowodowany tym, że tę planetę nawiedzili kiedyś Valheru, ale twoje odziedziczone po nich zmysły pewnie cię już o tym powiadomiły. Żyje tu niebezpieczna rasa. Musiałem uciekać przed czwórka tutaj. Są chy ba krewniakami Pantathian, dość podobnymi, bym

osądził, że zostali tu osadzeni przez Alma–Lodakę, kiedy Smocza Sfora Valheru galopowała przez niebiosa. Uważaj na nich, ponieważ podejrzewam, że w jakiś sposób służą naszym nieprzyjaciołom.

Wciąż nie mogę znaleźć Gaminy, choć przeszukałem prawie całą wyspę. Rano zamierzam zwiedzić północny kraniec wyspy. Z pobliskiego pagórka zauważyłem tam coś na kształt budowli. Może znajdę tam odpowiedź. Tam też mnie szukaj.

Pug – No to właśnie tam musimy się udać – stwierdził Gorath.

– Dobrze byłoby, gdyby napomknął coś o wodzie – odpowiedział Owyn.

– Skoro ktoś żyje na tej wyspie, to musi tu gdzieś być woda. Owyn kiwnął głową, ale pomyślał, że mogą nie zdążyć z jej znalezieniem na czas.

– Wiemy przynajmniej, że to wyspa – stwierdził Gorath.

– To dobrze.

– A to czemu?

Bo to oznacza, że nie będziemy się tu błąkać bez końca. Owyn stwierdził, że dowcip elfa jest zbyt wisielczy jak na jego upodobania, ale znów tego nie skomentował. Szli mozolnie przed siebie, a gdy wspięli się na szczyt wydmy, ujrzeli w oddali budowle czy konstrukcje, o których wspominał Pug. Co więcej, zobaczyli za nimi rozległą, błękitną taflę wody.

– Jeżeli uda mi się dotrzeć do tej wody – wychrypiał Owyn – to myślę, że zdołam ją jakoś odsolić.

– Może ta wyspa leży na rozległym jeziorze – stwierdził Gorath z nadzieją w głosie.

– Dobrze by było.

Kiedy zeszli ze zbocza i dotarli na dno rozpadliny, Gorath krzyknął:

– Woda! – Pochylił się i spróbował. – Słodka i czysta! Dawaj bukłak!

Owyn wykonał polecenie przyjaciela i po minucie trzymał w dłoniach bukłak napełniony wprawdzie tylko do połowy, ale za to nie musiał dłużej

czekać. Zaczął chciwie pić i usłyszał ostrzeżenie moredhela:

– Powoli... bo się zachłyśniesz i zemdlejesz.

Młody mag niemal wbrew swemu pragnieniu zatrzymał płyn w ustach. Woda była ciepła i miała metaliczny posmak, ale nigdy w życiu nie pił smaczniejszej. Z niemałą satysfakcją patrzył, jak Gorath napełnia własny skórzany bukłak, a potem robi to samo z pojemnikiem. Napełniwszy oba, moredhel stwierdził:

– Zaznaczę to miejsce, żebyśmy mogli je znaleźć, gdyby trzeba było tu wrócić.

Owyn kiwnął głową i powiedział:

– Jesteśmy niedaleko tych ruin.

– Powinniśmy dotrzeć tam przed zachodem słońca – stwierdził Gorath.

Ugasiwszy pragnienie, ruszyli dalej.

Kolejną jurtę, niemal zasypaną piaskiem, znaleźli w odległości kilkuset kroków od miejsca, ku któremu zmierzali. Z daleka uznali je za ruiny, podszedłszy jednak bliżej, zobaczyli, że są to potężne kolumny z kamienia. Gorath ponownie odsunął mieczem skórę zamykającą wejście do jurty i Owyn zajrzał do środka.

Wewnątrz znaleźli drugie pismo: *Tomasie!, choć na razie nie znalazłem Gaminy w tych ruinach, dowiedziałem się co nieco o magii tej planety. Została ona przekształcona – to, co niektórzy magowie nazywają maną, zredukowano tu do formy osobliwych kryształów. Do takiej transformacji nie byłby zdolny żaden miejscowy fenomen, mogą więc tylko przypuszczać, że jest to dziełem miejscowych bogów, ponieważ nawet Valheru nie udałoby się dokonać czegoś takiego – spowodowałoby to straszliwy kataklizm. Może ten właśnie fakt podsunął Draken–Korinowi ideę Kamienia Życia.*

Wiele się dowiedziałem, dotykając kolumn na północnym krańcu wyspy. Unikaj środkowej – dotknąłem jej i byłem przez kilka dni chory. Osłabiło

mnie to tak, że dałem się niemal pokonać dwu stworom, o których wspominałem wcześniej. Uratowałem się jedynie dzięki temu, że w dzieciństwie nauczyłem się posługiwać rzemienną procą. Zostawiłem ci pewien przedmiot – nie umiem rzec, czy będzie służył tobie, który jesteś tworem magii Valheru, ale myślę, że nic złego się nie stanie, jeśli ci go zostawię. Gdy znajdę Ganinę, może będziemy mieli możliwość razem zbadać cuda tego świata.

Pug Rozejrzawszy się dookoła, Owyn zobaczył długie zawiniątko, oparte o ścianę okrągłego namiotu. Rozwinął spłowiały kobierzec, niemal identyczny z tym, jaki znaleźli w pierwszej chatce, i ujrzał coś, co wyglądało jak laska ukształtowana z dziwnego, błękitnego kryształu. Dotknął przedmiotu i natychmiast cofnął dłoń.

– Co to takiego? – spytał Gorath.

Nie jestem pewien – odpowiedział Owyn. Powoli i ostrożnie ponownie dotknął kryształowego posocha. – Zdumiewające! – stwierdził. Dotykając lewą dłonią laski, wyciągnął przed siebie prawą rękę i sekundę później z koniuszków jego palców trysnęło światło. – Nie umiem tego wyjaśnić, ale ta laska przywraca mi moc. Tak jakby zrobiono ją z owej... jak to określił Pug... krystalicznej many.

– Weź tę laskę ze sobą – poradził mu Gorath. – Przed zmrokiem musimy dotrzeć do tych ruin.

Stali w najwyższym położonym punkcie wyspy... która okazała się płaskowyżem otoczonym przez morze. Wznosiło się tu siedem kolumn, a każda z nich miała wysokość siedmiu ludzi.

– Zacznę od tej – stwierdził Owyn, podchodząc do znajdującej się najbardziej na lewo.

Dotknął kamienia.

Choć wyglądał na chropowaty, jego powierzchnia była gładka. Zmrużywszy oczy, dostrzegł, że przesuwa palce po jakiejś energetycznej powłoce przylegającej do kolumny.

Przyglądał się jej jeszcze dokładniej i ujrzał, że składa się z niezliczonych drobnych, płaskich powierzchni, w których odbijają się obrazy morza, pustyni, nieba i chmur, ale także innych miejsc – jakby kolumna chciała mu ukazać różne ziemie, oceany i porozpinane nad nimi nieba.

Twoje uwagi są bardzo ciekawe. Jesteś savani, prawda?

Zaskoczony wtargnięciem obcych myśli do jego umysłu, Owyn potrząsnął głową. Nie wiedząc, czy oczekuje się odeń odpowiedzi w formie myśli czy słów, postanowił użyć mowy, bo ta pozwalała mu się skupić.

– Nie znam terminu *savani*, nie wiem więc, czy nim jestem, czy nie. Z kim mam zaszczyt rozmawiać?

Gorath spojrział na Owyna ze zdumieniem na twarzy. Zanim ten zdążył mu cokolwiek wyjaśnić, znów usłyszał głos: *Jestem Sutakami, Matka Tysięcy Tajemnic, niegdyś bogini Timiriany. Obudziłeś mnie. Czego żądasz?*

– Nie jestem pewien, czy dobrze cię zrozumiałem – stwierdził Owyn. – Umiesz przepowiadać przyszłość?

Nie. Mogą ci opowiedzieć jedynie o tym, co zostało już poznane i co się dokonało, choć niejasno potrafią wyczuć kształt przyszłych wydarzeń. Domyślam się, że w tym świecie jesteś kimś nowym. Może chciałbyś wiedzieć, kto go zamieszkiwał?

Zanim Owyn zdołał cokolwiek odpowiedzieć, oczyma duszy ujrzał, jak wyglądali gospodarze tego świata. Była to dumna rasa o wyglądzie wspaniałych ptaków, z rękoma zamiast skrzydeł, Mieli niewielkie dzioby, wyglądające tak, jakby mogła się z nich wydobywać mowa.

To Timirianie. Byli poetami, uczonymi i wojownikami. Zaczynali podbój gwiazd, kiedy przyszli Valheru i zniszczyli ich.

Zaraz potem zobaczył inną postać, mglistą, ale groźną, której sam wygląd zmusił go do zmrużenia powiek. Choć nieznany Stwór miał wielkie, orle skrzydła, uwagę Owyna przykuły jego zimne, okrutne oczy.

A oto starodawni słudzy Rlynn Skrr, ostatniego Arcykapłana Dhatsavana, naszego Ojca Bogów. Jako stwory magiczne wolne są teraz od więzów, uciekaj więc, jeżeli natkniesz się na któregoś z nich, ponieważ można je zabić tylko przez odprowadzenie ich magii w ziemię. Błąkają się wśród starodawnych ruin świątyni Dhatsavana. – Głos oddalał się i brzmiał coraz ciszej. – Muszę odpocząć... Jestem potrzebna gdzie indziej...

– Zaczekaj! – Owyn opuścił głowę, jakby opanowało go znużenie. – Muszę dowiedzieć się więcej!

– Z kim rozmawiasz? – zdumiał się Gorath.

– Te kolumny... są starożytnymi bogami tego świata. Rozmawiałem z tą tutaj... boginią zwaną Sutakami.

– Może spróbuj dotknąć innej? – podsunął mu Gorath. Owyn kiwnął głową. Podszedłszy do drugiej kolumny, wyciągnął dłoń ku jej powierzchni.

– Ciekaw jestem, czym to miejsce było przedtem? – zapytał.

Jesteś w ruinach Świątyni Karzeen–Maak, niegdysiejszej najważniejszej świątyni siedmiorga bóstw Timiriany. Te kolumny były kiedyś symbolami bóstw, stworzonymi rękoma artystów savani, będących sługami Dhatsavana. Teraz to tylko miejsca, w których my, bogowie, się schroniliśmy.

– Co może przestraszyć boga tak, że szuka schronienia? – zdumiał się Owyn.

Valheru – padła natychmiastowa odpowiedź. – Na tym świecie zabili niemal wszystko, co żyje, zostawiając po sobie pustkę i zniszczenie. Dopiero kiedy Dhatsavan ukazał nam daremność naszych walk, domyśliliśmy się, jak pozbawić mocy Valheru i wyprzeć ich z naszego świata. Uciekli, bo w przeciwnym razie zostaliby tu na wieczność. Pozostawili tylko kilkoro ze swoich sług.

– Jak tego dokonaliście?

Z Siedmiorga, Którzy Władali, przetrwało tylko sześcioro. Dwoje oddaliło się z tego świata tak, że nie mogą już dawać głosu swoim myślom... są teraz niczym więcej jak świadomymi siłami natury. Został tylko Dhatsavan, który czeka na czas Przebudzenia. On nas wezwie, kiedy zajdzie potrzeba... nie będziemy już mówić... savani.

Owyn spojrzał na Goratha.

– To zniszczenie jest dziełem Valheru.

– Nieliczni tylko mogli im sprostać – odpowiedział Gorath, – Nasze legendy mówią, że trzepali gwiazdami o grzbiety swoich smoków. Więksi od nich byli tylko bogowie.

Owyn rozejrzał się dookoła. Słońce chyliło się ku zachodowi.

– Można chyba zaryzykować stwierdzenie, że nie wszyscy bogowie. Te kolumny to wszystko, co zostało z siedmiorga najpotężniejszych bóstw tego świata. Jedno z nich nie żyje. Dwoje straciło mowę... a z dwojgiem już rozmawiałem.

– Pug powiedział, by nie tykać środkowej kolumny.

– To zostaje jeszcze tylko jedna, z którą mogę porozmawiać. Może się dowiem, co spotkało Puga.

Owyn dotknął kolejnej kolumny, nie odebrał jednak żadnej konkretnej myśli, poczuł tylko nikłe mrowienie w palcach.

– To musi być jedno z tych, co utraciło rozum.

Pomny na ostrzeżenie Puga minął łukiem środkową kolumnę i przeszedł do następnej.

Martwy, pozbawiony śladów życia dotyk. Nie został nawet ślad jakiegokolwiek emanacji. Przeszedł do kolejnej kolumny.

Dotykając nagrzanego słońcem powierzchni, pomyślał, że dobrze byłoby wiedzieć, kogo Valheru zostawili na straży swoich interesów.

Panath–Tiandn. To stwory z innego świata, wy szkolone w magicznym rzemiośle. Niezbyt inteligentne, choć przebiegłe i niebezpieczne. Tworzyli dla Valheru rozmaite artefakty.

– Pojmały Puga?

Nie, choć się starały... ja temu przeszkodziłem.

– Kim jesteście?

Byliśmy Siedmiorgiem Bóstw tego świata, a ja, savani, byłem Dhatsavanem, Panem Wrót. Kiedy Valheru przynieśli tu chaos i zniszczenie,

wybraliśmy te kształty zamiast ostatecznej śmierci.

– Nie wiem, czy w pełni zrozumiałem znaczenie tego, co usłyszałem – stwierdził Owyn. – W moim ojczystym świecie istnieją legendy o Valheru...

To, co wiesz, jest nieważne – odezwał się głos w umyśle Owyna. – Rozpłynęliśmy się w nicość, ale ty możesz uratować swój lud przed naszym losem.

– Mój lud? – zachnął się Owyn. – W moim świecie Valheru dawno już odeszli w niebyt. Nie mogą nam w niczym zagrozić!

Poczuł tchnienie zniecierpliwienia, jakby to, co mówił, było dla istoty zupełnie bez znaczenia.

Ten, kogo znasz jako Puga ze Stardock, powie ci więcej, kiedy przyjdzie czas wyboru dla ciebie i twojego towarzysza. A teraz musicie tu przynieść Puchar Rlynn Skrr. Jeżeli to uczynicie, uwolnicie Puga z jego więzienia.

– Dlaczego bogowie potrzebują, by cokolwiek im przynosili śmiertelni? – spytał Owyn.

W głosie istoty zadźwięczała nutka rozbawienia.

Mądre stawiasz pytania, młody savani, ale nie tobie to wiedzieć. Szukajcie pucharu w jaskiniach na południowo-wschodnim krańcu wyspy. Będziecie musieli zabić Panath-Tiandn, który zabrał puchar. Przynieście go do mnie albo zginiecie marnie na pustkowiach Timiriany. Wybór należy do was. Ostrzegam... nie próbujcie wykorzystać pucharu. Użycie jego mocy bez mojego przewodnictwa okazało się surową lekcją nawet dla Puga. Idźcie.

– Polecono nam przynieść magiczny przedmiot znajdujący się po drugiej stronie wyspy – stwierdził Owyn. – I wydaje mi się, że aby tego dokonać, będziemy musieli pierwiej pokonać strzegące go stwory Valheru.

– To był długi dzień – odparł Gorath. – Wróćmy do tamtego namiotu i odpocznijmy. Odrobina snu i posiłek wyjdą nam tylko na dobre.

Idąc za Gorathem, Owyn miał nadzieję, że okaże się to prawdą.

Dotarcie do krańca wyspy, gdzie wedle słów uwięzionego w kolumnie boga mieli znaleźć puchar, zajęło im połowę dnia. Teraz stali na szczycie niewysokiego wzgórza i patrzyli na coś, co z grubsza przypominało wioskę albo zbiorowisko jurt ustawionych w półokrąg przed wylotem sporej jaskini.

Po półgodzinnej obserwacji nie dostrzegli żadnego ruchu.

– Cóż... – wyraził swoje zdanie Owyn – może są puste?

– Nie – sprzeciwił się Gorath, wskazując na stos drewna na opał. Potem pokazał kilka zakrytych pojemników. – Tam chyba trzymają wodę. – Na koniec wskazał Owynowi resztki pożywienia leżące w rowie nieopodal krańca wioski. – Może nie zostało już ich wiele na tym świecie, ale gdzieś tu się czają.

– No to może się wyniosły?

– Albo przesypiają dzienne upały w chatkach i wychodzą w nocy. – Moredhel wstał. – Niczego się nie dowiemy, jeżeli będziemy tkwić na tym grzbiecie. Zejdźmy tam i zobaczmy, jak jest w istocie.

Owyn podążył za towarzyszem, a gdy Gorath dotarł do pierwszej jurty, młody mag powiedział nagle:

– Puchar jest w tej jaskini.

Gorath postąpił jeszcze krok, kiedy skórzana osłona wejścia odchyliła się i z jurty wysunął się jej obecny mieszkaniec.

Sam wygląd stwora sprawił, że Owynowi ciarki przebiegły po grzbiecie. Ujrzał jaszczura stojącego na dwu nogach, odzianego w czarną szatę. Mrugał, usiłując zobaczyć cokolwiek pod słońce. Nie zdążył podnieść alarmu, bo Gorath błyskawicznie przeszył go mieczem.

– Jeszcze troje – stwierdził moredhel.

– Jakie troje? – zdziwił się Owyn.

– Jeżeli to jeden z tych stworów, które szły za Pugiem, to zostało jeszcze troje.

– Może zostało ich jeszcze kilkunastu, jeśli to inna grupa – szepnął Owyn. – Pospieszmy się!

Podbiegli do pieczary, a gdy Owyn zaczął odsuwać ciężką zasłonę zakrywającą wejście, ta niespodziewanie drgnęła. Młody mag błyskawicznie odskoczył w tył, z zewnątrz zaś wypadł kolejny węzolud i rzucił się na przybyszów. Gorath zręcznie uchylił się przed ciosem pałki.

Owyn odwrócił się w samą porę, by zobaczyć jeszcze jednego węzowego stwora, który skoczył nań z tyłu. Młody mag przeturlał się po ziemi, z trudem utrzymując w dłoniach kryształową laskę. Pysk stwora pokrywały żółtawe symbole i Owyn zrozumiał, że przyszło mu się zmierzyć z Panath–Tiandnańskim szamanem. Ujrawszy szpony nad swoją twarzą, spojrział w oczy przeciwnika.

I nagle w jego umyśle zapłonęły wyraźnie ogniste symbole. Zadał napastnikowi psychiczny cios, który odrzucił go do tyłu, i błyskawicznie poderwał się. Stwór chwiał się na nogach, usiłując dojść do siebie. Młody mag wymierzył mu kopniaka w łeb, po czym ten drgnął konwulsyjnie i znieruchomiał.

Kiedy Gorath zabił swojego przeciwnika, z głębi jaskini wyskoczyło jeszcze dwu węzoludów. Owyn sięgnął do swej pamięci po kolejny czar i poczuł, że posoch rozgrzewa się w jego dłoni. I nagle z palców jego drugiej

ręki wystrzeliła sfera energii. Uderzywszy w jednego z przeciwników, zmieniła go w gorejącą pochodnię. Drugiego tylko musnęła, ale i tego wystarczyło, by jego szata zajęła się ogniem.

Pierwszy zginął w ciągu paru sekund, drugi jednak padł na ziemię i zaczął się turlać, skrzecząc przeraźliwie, dopóki nie podbiegł doń Gorath, który jednym ciosem skrócił jego męki.

Owyn rozejrzał się uważnie, czekając na kolejnych przeciwników, wokół jednak panował spokój.

Gorath schował miecz.

– Poszukajmy tego przeklętego pucharu.

Młody mag wszedł do jaskini, oświetlonej jedynie nikłym światłem małej pochodni – i poczuł, że skóra świerzbi go z odrazy. To miejsce było ośrodkiem czarnej magii i choć nie umiał odczytać wymalowanych na ścianach symboli i ich kształt był mu obcy, emanowały złem. Rozejrzawszy się, zauważył niewielki ołtarzyk, a na nim puchar wyrzeźbiony z niezanego mu kamienia.

Kiedy go dotknął, poczuł mrowienie w ramieniu – niewątpliwie miał do czynienia z jakąś formą energii.

– To niechybnie ten puchar – powiedział, kiedy znaleźli się na zewnątrz.

– Jaką ma moc?

– Nie wiem, ale skoro Pug przez niego srodze cierpiał, nie zamierzam się nim bawić.

– To wracajmy do tych... jakże ich tam zwać... bogów i przekonamy się, czy dotrzymają umowy. – Gorath rozejrzał się dookoła. – Wątpię, czy te Węże były jedynymi na tej wyspie, a kiedy zobaczą, jak tu narozrabialiśmy, niechybnie puszczą się za nami.

– A czy zdążymy dotrzeć do tych kolumn przed zmierzchem?

– Zdążymy, jeżeli ruszymy teraz i nie będziemy się zatrzymywać – odpowiedział Gorath. Odwrócił się i pobiegł przed siebie, nie patrząc nawet, czy podąża za nim Owyn.

Młody mag wahał się tylko przez sekundę... i ruszył w ślad za przyjacielem.

ROZDZIAŁ 17

ZWODNICZE TROPY

Po blankach hulał zimny wiatr.

– James dał znak łucznikom, by byli gotowi osłonić ucieczkę zbliżających się konnych. Dwaj gońcy gnali po pochyłości, okładając spienione konie wodzami, by zdążyć, zanim zwodzony most uniesie się w górę. James pomodlił się do wszystkich znanych mu bogów, by nie zawiodło go wycucie czasu – nie chciał zostawić gońców na lasce nieprzyjaciela. Gdyby się spóźnił z wydaniem rozkazu podniesienia mostu, do barbakanu mogłaby się dostać podążająca za gońcami konnica wroga, a nie miał tylu zbrojnych, by ich stamtąd wyprzeć bez poważnych strat.

Kopyta rumaka pierwszego z jeźdźców zabębniły na moście, gdy ten zaczął unosić się w górę, drugi wojak musiał więc spiąć konia, obaj jednak zdążyli, a sekundę później ku ścigającym sypnęły się strzały.

Napastnicy cofnęli się szybko, choć trzech spadło z siodeł. Z wyjątkiem dwóch konnych moredhelów byli to wyłącznie renegaci. Wycofali się tuż poza zasięg łuków i nie odstępowali, dopóki James nie dał znaku załodze katapulty. Na wrogów poleciał deszcz gładów i kilkunastu rannych lub zabitych runęło na ziemię.

Dopiero wtedy konni cofnęli się bardziej.

– Coście widzieli? – spytał James, który zbiegł z murów, zanim jeszcze obrońcy przestali wiwatować.

Młody kapral, dowodzący patrolem, stwierdził:

– Na południu nie widać ani śladu posiłków, za to na północy olbrzymie siły wroga... i ciągną one na nas.

– A dokładniej?

Młody kapral osądził, że Jamesowi, mimo młodego wieku, można zaufać, odpowiedział bowiem spokojnie, choć przed chwilą ledwo uniknął śmierci.

– Mości giermku, natrafiliśmy tam na lekką jazdę, osłaniającą nadejście sił głównych, i bardzo im się nie spodobało to, żeśmy ich spostrzegli. Z daleka widziałem kupę kurzu, a z rozmiarów oblężniczych maszyn mogłem ocenić odległość. Wygląda na to, że pod wieczór będą u podstawy rampy.

– Dobrze się spisaliście – stwierdził James. – Idźcie coś zjeść, a potem odpocznijcie. Rano będziemy mieli trochę roboty...

Potem poszedł odszukać Lockleara, któremu polecił przejrzeć zapasy żywności i broni. Znalazł go w jednej z piwnic, oglądającego z niesmakiem to, co wyjął z jakiejś beczułki.

– Czemu się tak krzywisz, Locky?

– W tym mieście jest pełno robaków. Myślę, że po wymordowaniu oficerów Nocne Jastrzębie zeszyły tu i w jakiś sposób zepsuły zapasy żywności. Postarały się, by ludzie tak czy owak nie chcieli tu zostać.

– W jakim stanie są zapasy?

– Wszystko jest zepsute. W mące znajdziesz pełno robactwa. Możemy ją oczywiście przesiać, ale nie radzę jeść chleba... no, chyba że nam głód zajrzy w oczy. Suchary są w dobrym stanie... i jadalna jest większa część suszonych owoców. Na razie damy sobie radę.

– Tym bym się nie martwił...

Locklear spojrzał na Jamesa.

– Nadciągają?

– Będą tu jutro.

– No to się przygotujmy.

James kiwnął głową. Wiedział, że ma dobrą załogę – wszyscy byli weteranami pogranicza, żaden z nich jednak do tej pory nie brał udziału w odpieraniu oblężenia. Sam znał nieźle teorię, gdyż studiował pod kierunkiem Księcia Aruthy. Praktykę przeszedł podczas oblężenia Armengaru i Highcastle. Wiedział, że aby myśleć o powodzeniu, oblegający powinni mieć dziesięciokrotną przewagę. Dręczyła go jednak myśl, co się stanie, jeżeli Delekhan ściągnie tu jeszcze więcej wojska...

Zatrzymawszy się przed kolumną, Owyn podniósł puchar i przytknął go do kamienia.

Wróciłeś z Pucharem – zabrzmiał mu w głowie głos Dhatsavana. – To dobrze – Do czego był ci potrzebny? – spytał młody mag.

Do niczego. Nie chciałem tylko, by go przejęty Panath–Tiandn.

– Dlaczego?

Można go użyć na wiele sposobów, między innymi jako Klucza. Dzięki niemu można się przenosić do innych światów. Porzucone dzieci Alma–Lodaki na jakiś czas zostaną na tym świecie. Same sprawiają drobne kłopoty. Ale pokierowane przez swoich krewniaków – Pantathian – okazują się bardzo niebezpieczne, W przyszłości ktoś może zabierze je z tej spustoszonej planety, ale na razie nie będą zagrażać reszcie światów. Zabierzcie puchar ze sobą i dobrze go strzeżcie.

– Martwimy się o Puga. Przynieśliśmy ci ten puchar z drugiego krańca wyspy. Gdzie jest Pug?

Bezpieczny w miejscu, które jest dziełem Panath–Tiandn. Bariery go w nim zamykające zostaną zdjęte, gdy go odnajdziecie. Nie docenił mocy pucharu. Obudził ją, by śledzić myśli swej zaginionej córki. Puchar go jednak przemógł i sprowadził do poziomu bezsilnego dziecka.

– Uwięziłeś go po to, by go chronić?

W głosie uwięzionego boga wyczuł rozbawienie, choć nie był pewien, czy ludzkie pojęcia przystają do tego, co odczuł.

Jako jednostka nie bardzo nas ciekawił, ale wykorzystaliśmy go na swój sposób do tego, by pucharu nie przejęły Panath–Tiandn. Od dawna zajmowały się jego tajemnicą i były już bliskie jej rozwikłania. Pug przerwał ten proces i cofnął go o wiele lat. Tym jednym czynem zasłużył sobie na naszą wdzięczność. Teraz, dzięki waszej obecności możemy pozbyć się pucharu z naszego świata, a w nagrodę uwolnimy waszego przyjaciela.

Pug odzyskał już niemal całą pamięć, ale jego zdolnościom i możliwościom przez kilka dni nie będzie jeszcze można zaufać. Zajrzyjcie do jurty na zachód od jaskini, w której znaleźliście puchar.

– A jak wrócimy do domu? – spytał Owyn. *Otworzyliśmy drogę do pewnego miejsca w górach. Przejdźcie przez jaskinie do pieczary, w której żyli Valheru. Zabierzcie Puga z jurty. Na północy znajdziecie wąwóz wiodący w góry. Traficie tam na artefakty, które pomogą wam wrócić do domu. Wykorzystaj puchar do przekazania Pugowi swojej wiedzy. i zachowaj naczynie.*

Nagle umysł Owyna wypełniła wiedza, jak posługiwać się pucharem.

Potem odszukajcie jego córkę... jest niedaleko w górach. Strzegącej Panath–Tiandn, uważając jej przybycie za znak, jaki im zesłała Alma–Lodaka. Uwolnijcie ją i wróćcie do swego świata. Nie zwlekajcie, bo wkrótce zabraknie mi sił, by utrzymać otwartą Bramę do waszego świata. Nie mam już takiej mocy jak niegdyś. Idźcie już.

– Dziękujemy – powiedział Owyn i skinieniem dłoni wezwał Goratha, by poszedł za nim.

– Dokąd teraz? – spytał moredhel.

Młody mag wskazał drogę, którą przyszli.

– Z miejsca, gdzie znaleźliśmy puchar, musimy pójść na zachód. Kiedy go uwolnimy, wspólnie poszukamy drogi do domu.

– Pospieszmy się – odpowiedział Gorath. – Mam już dość tego spustoszonego i wrogiego nam kraju.

Owyn tylko kiwnął głową.

Gdy zawyły rogi, James pobiegł po stopniach na mury. Za wałami huczały bębny i zanim dopadł blanków, usłyszał jęki zwalnianych cięciw kusz i łuków.

– Uderzają od północy! – wrzasnął Locklear.

James kiwnął głową i spojrzawszy ku wschodowi, zobaczył potężne oblężnicze wieże, podciągame ku murom. Pospieszył ku północnemu murowi i zauważył wspinające się na zbocze gobliny, z których każdy taszczył zwój liny i kotwiczkę. James pomyślał, że będąc mniejszymi od ludzi, wyglądały na komiczne stwory – dopóki się człek nie przekonał o ich morderczych zamiarach. Nad ich nisko osadzonymi łukami brwiowymi jeżyły się gęste czupryny. Miały niebieskawą skórę i żółte oczy o czarnych źrenicach. Uzbrojone były w niewielkie tarcze z ostrymi buklami i krótkie miecze.

Obrońcy podnieśli wrzask, bo gobliny zbliżały się podstępnie. Każdy z nich podpełzał kilka kroków, kryjąc się za tarczą, na chwilę zamierał w bezruchu, a gdy w jego tarczę uderzała strzała, znów wykonywał krótki skok.

– Dawać tu kamienie! – zawołał James.

Żołnierze natychmiast podciągnęli płytkie platformy na drewnianych kołach wypełnione kamieniami o różnej wielkości – od niedużych niczym pięść po równe dorodnej dyni. Pod platformy podsadzono belki, a ich końce dźwignięto w górę, przytrzymując jednocześnie wozy linami, by nie zsunęły się za mury.

Kamienie poleciały w dół i obsypując gobliny śmiertelnym deszczem, oczyściły z nich całe zbocze. Dobiegające z dołu jęki i przekleństwa świadczyły o skuteczności obrony.

– To atak pozorowany – oświadczył James. – Locky, sprawdź pozostałe dwa mury, a ja zajrzę do barbakanu przy bramie głównej.

Locklear pobiegł wzdłuż murów, a James podążył wzdłuż blanków do barbakanu. Wiedział, że zapowiada się ciężki i długi bój z krótkimi chwilami wytchnienia. I nie wiadomo jeszcze, czy w ogóle uda nam się odeprzeć ich choć na moment – pomyślał, kierując się ku wartowni.

Gorath ostrożnie zbliżył się do jurty. Po drodze napadły na nich jeszcze trzy węzowe stwory. Owyn przekonał się o niewielkiej skuteczności kryształowej laski i odparł atak, waląc nią po prostu przeciwnika po łbie, podczas gdy Gorath rozprawił się z pozostałymi dwoma, a potem dokończył dzieło, które zaczął Owyn, przeszywając mieczem ostatniego.

Moredhel cofnął miecz, krzywiąc się z bólu.

– Co się stało?

– Przy wejściu jest jakaś bariera energetyczna. Musnąłem ją tylko sztychem i poraziło mi całe ramię.

Owyn pomyślał chwilę, a potem wyjął z sakwy puchar Rlynn Skrr i delikatnie przytknął go do skóry zakrywającej wejście, Poczuł, jak puchar wzbiera mocą, zobaczył krótki błysk i wszystko się uspokoiło. Odsunąwszy skórę na bok, wszedł do jurty.

Pośrodku niej stał nieco ogłupiały Pug. Mag ze Stardock zmrużył oczy, bo nagły strumień światła sprawił mu niemal fizyczny ból.

– Tomas? – Spróbował się wyprostować, wsparłszy dłoń na kryształowym posochu, bliźniaczo podobnym do laski Owyna, ale po chwili bezowocnych wysiłków usiadł na ziemi.

– Nie – odpowiedział Owyn, wchodząc. Zaraz za nim pojawił się Gorath. – Tomas został ranny podczas odpierania napaści na El vandar. Wraca do zdrowia po tym, jak ugodzono go zatrutą strzałą. Myśmy przyszli zamiast niego.

– Kim jesteście? – spytał Pug. Nagle w jego oczach pojawił się dziwny błysk. – Czekaj... już sobie przypominam. To ty przed kilkoma miesiącami przybyłeś do Krondoru z giermkim Jamesem.

– Owszem... a pamiętacie Goratha?

– Moredhel, którego usiłowała odczytać moja córka. – Mag kiwnął głową i nagle puknął się w czoło. – Gamina! Muszę ją znaleźć!

– Wiemy, gdzie jej szukać – stwierdził Owyn. Po chwili dodał tonem mniej pewnym siebie: – No... przynajmniej w ogólnych zarysach.

Pug wyglądał na zdeorientowanego.

– Jestem osłabiony, ale zaczynam dochodzić do siebie. – Spojrzał na prawą dłoń z widoczną paskudną blizną. – Straciłem moc i nie pamiętam prawie żadnych zaklęć. – Podniósł wzrok na Owyna i Goratha. – Twierdzicie, żeście przyszli zamiast Tomasa, ale skąd mam wiedzieć, że nie działacie w zмовie z naszymi wrogami?

– Jak to? – zachnął się moredhel. – Oskarżacie nas o kłamstwo? Sądzicie, że jesteśmy agentami nieprzyjaciół?

– Wiem, że staliście się pierwszymi z narzędzi, jakimi posłużył się Makala.

– Makala? – zdumiał się Owyn. – Ten tsurański mag?

– Onże sam – odpowiedział Pug. – Ten cały plan to jego dzieło. Nie będę się upierał, że Gorath znał rolę, jaką mu wyznaczono, że odegrał ją świadomie i z chęcią... ale podobnie jak Delekhan jest tylko marionetką w dłoniach Makali.

– Delekhan, jest narzędziem Makali? – Teraz w głosie Goratha słycać było zdumienie.

Tak uważam. Zaniepokoiłem się wtedy, kiedy po raz pierwszy przybyliście z wieściami o tym, że ten... królik, Delekhan, podnosi w Sar-Sargoth sztandary Murmandamusa. Sam oglądałem ciało Murmandamusa i wiem, że jest martwy... tak martwy, jak tylko można by sobie życzyć. Ale przyszło mi do głowy, że za całe zamieszanie mogą być odpowiedzialne Węże, które dzięki pogłoskom o tym, że Murmandamus przeżył, mogą raz jeszcze podjąć próbę opanowania Sethanonu. Wykorzystałem swoje zdolności do odkrycia prawdy, zresztą robili to także inni agenci Księcia, ale w trakcie poszukiwań uświadomiłem sobie, że nie istniał żaden związek pomiędzy Pantathianami a Delekhanem. Wtedy doszedłem do wniosku, że Delekhan to tylko kolejny wojowniczy królik, który szuka władzy pod pretekstem uwolnienia Murmandamusa.

Pug nie wyglądał najlepiej. Owyn przyjrzał mu się i powiedział:

– Mamy wodę i trochę jedzenia. – Podał magowi bukłak. Pug napił się chciwie, ale jedzenie odsunął na bok.

– Później. Tknęło mnie coś, co Gorath powiedział o mojej córce. Teraz zrozumiałem, że dowód miałem cały czas przed oczami, tyle że go nie dostrzegałem.

– Co to takiego? – spytał Gorath.

– Powiedziałaś, że Delekhan pokazał hełm Murmandamusa jako dowód, iż moredhel wciąż żyje.

– Owszem... smoczy hełm, czarny z opuszczonymi skrzydłami osłaniającymi twarz po obu stronach głowy...

– Ale ostatni raz widziałem ten hełm w piwnicy głęboko pod Sethanonem, w kamiennej sali starożytnych – stwierdził Pug. – To niemożliwe, by Delekhan wtargnął do miejsca, gdzie leży ten hełm. Ktoś

inny musiał dotrzeć do artefaktu i zabrać go dla Delekhana. Znam tylko cztery osoby, które były zdolne do odkrycia tej komnaty, a potem do odszukania drogi wewnątrz niej. Są nimi Macros Czarny, ja sam, Elgohar ze Zgromadzenia Wielkich i... Makala. Macros przepadł po zakończeniu Wojen Światów: Elgohar jest moim przyjacielem i wiem, że ma dość zajęć z uczniami w Stardock... został więc tylko jeden.

– Makala – odpowiedział Owyn. – Ale dlaczego on to robił? Znaczący... chciałem powiedzieć, że część tej zagadki frapowała giermka Jamesa... ta dotycząca się tego, co z tym wspólnego miał ten Tsuranńczyk.

– To mnie właśnie zaniepokoiło – odpowiedział Pug. W końcu udało mu się wstać, choć lekko się trząsł. – Kiedy jakiegokolwiek działanie nie przynosi żadnej widocznej korzyści, trzeba założyć, że chodzi o coś innego.

– O informację – stwierdził Owyn.

– I wzajemną wymianę przysług. Teraz jestem pewien, że Sześciu, o których wspominaliście, to Tsuranńscy Wielcy, kierowani przez Makalę. Sam zresztą to przyznał.

– Ale po cóż by Makala popychał Delekhana do wojny z Królestwem? – spytał Owyn. – Czy to zemsta za Wojny Rozdarcia Światów?

Pug milczał przez chwilę, zastanawiając się nad odpowiedzią.

– To, co wam powiem, to jedna z najbardziej strzeżonych tajemnic Midkemii, nie tylko Królestwa. W rozstrzygającym momencie bitwy pod Stehanonem na pomoc Królestwu przybyli wojownicy Tsurani i dwaj magowie ze Zgromadzenia Wielkich, Hochopepa i Shimone. Jest dość oczywiste, że mimo słynnej tsurańskiej małomówności, plotki o pewnych wydarzeniach, które zakończyły bitwę, dotarły przynajmniej do kilku uszu na Kelewanie. – Pug nabrał tchu, jakby ta opowieść kosztowała go wiele sił. – Głęboko pod Sethanonem leży starożytna komnata. – Zawinał jedną dłoń wokół drugiej, demonstrując układ pomieszczeń. – W rzeczy samej są

to dwie komnaty zajmujące to samo miejsce, ale nieco przesunięte względem siebie w czasie.

– Przesunięte w czasie? – Owyn wytrzeszczył oczy. – Jedyne najpotężniejsi magowie potrafią dokonywać takich rzeczy.

Pug kiwnął głową.

– Pierwsza, istniejąca w naszym czasie, to komnata, w której zginął Murmandamus, i tam właśnie Makala znalazł hełm, jakim teraz pyszni się Delekhan. Druga wyprzedza pierwszą zaledwie o sekundę. Znajduje się w niej artefakt tak potężny, przedmiot tak niebezpieczny, że w niewłaściwych rękach może unicestwić każdą, nawet najmniejszą iskierkę życia na Midkemii. Śmiertelnik może do końca wieczności próbować zdobyć obiekty przesunięte w czasie, ponieważ zawsze będzie o kilka sekund za późno albo za wcześnie, by choćby je zobaczyć. I oto jest powód całej wojny – chodzi o odwrócenie uwagi wszystkich, by Makala zdążył utkać czar, który pozwoli mu na dotarcie do tej drugiej komnaty.

– Ale do czego mu to potrzebne? – zdumiał się Gorath. – Po cóż posyłać tysiące ludzi na nikomu niepotrzebną śmierć, by dostać się do tej drugiej komnaty, skoro jest w tym samym miejscu co pierwsza? Jeżeli z niego taki potężny mag, dlaczego nie skorzysta ze swoich umiejętności i nie przemknie do tej drugiej komnaty niepostrzeżenie?

– Badam ten przedmiot niemal od dziesięciu lat i zaczynam dopiero z grubsza pojmować jego naturę i cel. W dłoniach złego człowieka może on spowodować niewyobrażalne zniszczenia. Ponieważ niezwykle ważne jest, by ten cudowny artefakt nie dostał się w niepowołane ręce, ustawiłem wokół niego dodatkowe osłony. Jak zresztą powiedziałem, został on przesunięty w czasie, czego dokonali Valheru i tego nie próbowałem zmieniać. Na koniec – ciągnął mag – w tej rozległej pieczarze żyje ukryty starożytny smok... pełniący jednocześnie rolę strażnika i wyroczni. Nawet

ja miałbym poważne trudności, gdybym chciał się przeciwstawić temu wspaniałemu stworzeniu. Gdyby ktokolwiek mu zagroził, strażnik natychmiast powiadomiłby Króla, który na taki wypadek ma przygotowany garnizon nieopodal Sethanonu, w Mglistej Kniei Dimwood. Jestem pewien, że wywiadowcy Makali odkryli istnienie tej jednostki. Postawię swą całą reputację przeciwko garści pustych orzechów na to, że Makala zamierza rzucić siły Delekhana do walki z tą załogą, by sam mógł wejść do podziemi bez królewskich żołnierzy na karku. Co prawda nawet gdyby udało im się także unicestwić smoka, Makala i jego poplecznicy będą mieli jeszcze kłopot z usunięciem bariery czasu. I nie da się zaprzeczyć, że z pewnością im się to nie uda, jeżeli nękać ich będą królewscy. Nawet po unicestwieniu smoka będą potrzebowali wielu godzin na przygotowanie odpowiedniego czaru.

– Smok! – zdumiał się Owyn. – To z nią rozmawiałem nieopodal Krzyża Malaka!

– Owszem – odpowiedział Pug. – Stary posąg używany jest do kontaktu z wyrocznią, by zwiéść każdego, kto zechce jej szukać. Jeżeli z nią mówiéś, twój umysł trafił do Sethanonu.

Owyn spojrzał na Goratha.

– To może tłumaczyć, dlaczego powiedziała, że odegrasz w tym wszystkim kluczową rolę. – A spojrzawszy na Puga, dodał: – Tłumaczy to też plan Delekhana. Książę Arutha posłał nas tutaj, ponieważ obawia się, że Delekhan przy ataku na Northwarden posłuży się magią. James zaś uważa, że kiedy moredhele przedrą się przez Northwarden, wsiądą na łodzie, by spłynąć rzeką do Romney, a potem lądem ruszą na Sethanon. Dasz radę ich zatrzymać?

– W moim obecnym stanie... nie – odpowiedział mag ze Stardock. – Co prawda nawet teraz czuję, że wraca mi pamięć i siła fizyczna, ale obawiam

się, że minie jeszcze trochę czasu, zanim w pełni wróci moja moc. Spiesząc na pomoc mojej córce, niebacznie użyłem magicznego artefaktu, który miał nasycić mnie wiedzą. Lepiej jednak byłoby, gdybym go nie tykał.

Owyn kiwnął głową. Sięgnął za pazuchę i wyjął puchar Rlynn Skrr. Wyciągnął go w stronę Puga.

– Istota zwąca się Dhatsavanem powiedziała mi, że to, co cię pozbawiło mocy, może ci ją przywrócić, ale nie bez mojej pomocy.

Pug wyciągnął dłoń i ostrożnie dotknął trzymanego przez Owyna pucharu. Młody mag poczuł mrowienie w palcach. Nagle runęły nań zewsząd wizerunki, niezwykle wspomnienia i poczucie mocy.

– To ryzykowne, Owynie – odezwał się Pug łagodnie. – W najbliższych dniach możesz uznać, że wzięłeś na siebie brzemię, jakiego się nie spodziewałeś. Ale w tej chwili wielce mi pomagasz...

I obaj osunęli się w ciemność.

Razem ocknęli się z głębokiego transu i odkryli, że Gorath wciąż siedzi obok nich.

– Zacząłem się już bać, że się nigdy nie obudzicie – stwierdził moredhel, pomagając usiąść każdemu z nich.

– Jak długo byliśmy nieprzytomni? – spytał Owyn.

– Leżeliście niczym kłody przez dwa dni – odpowiedział Gorath. – Pogrążyliście się w transie... kiedy wam przytykałem do warg napoje albo jedzenie, piliście i jedliście, ale poza tym siedzieliście tylko bez ruchu i trzymaliście puchar.

Owyn zamrugał, czując, że wewnątrz głowy krążą mu obrazy, myśli i idee, zalewając go niczym powódź. Jeżeli skupił się na jakimś przedmiocie wewnątrz jurty lub na czymkolwiek, natarcie słabło, a wizje się rozmywały. Gdy tylko rozluźniał uwagę, znów ogarniał go zamęt obcych myśli.

Pug wstał i wziął w dłonie kryształową laskę. Spojrzał na swoją rękę – i nagle z jego dłoni strzelił ogień.

– Ciekawe... nigdy wcześniej mi się to nie udawało.

– To sztuczka, jakiej nauczył mnie mag zwany Patrusem – wyjaśnił Owyn.

– Dla mnie to coś nowego – stwierdził mag ze Stardock – ale nie mogę utkać innych czarów. Tych, które powinienem znać jak własną dłoń.

– W mojej głowie też pojawiły się obce wizje, których w pełni nie pojmuję.

– Z czasem ujawni ci się wiele spraw i jeżeli będziesz potrzebował pomocy, aby je zrozumieć, nie krępuj się i przychodź do mnie – oznajmił Pug.

Owyn spojrzał na laskę Puga.

– Wydaje mi się, że utraciła swe zdolności – stwierdził.

– Musimy znaleźć dla ciebie jeszcze kilka tych kryształów, które stanowią tu esencję magii. Albo wedle określeń innych, mana.

– Myślałem, że sam kryształ to mana.

– Nie... chodź ze mną, to ci pokażę. – Pug wyprowadził obu przyjaciół na zewnątrz i powiódł wzrokiem po obcym pejzażu. Otaczające ich rośliny były sprężyste, twarde w dotyku i miały krystaliczne wyrostki. – O... na przykład tamta. – Pomiedzy innymi, purpurowymi i błękitnymi, zauważyli roślinę o złotej barwie. – Tak naprawdę to nie jest roślina. Dotknij jej posochem.

Owyn wykonał polecenie. Roślina znikła, czemu towarzyszył niewielki rozbłysk. Młody mag poczuł, że jego laska napełnia się mocą.

– Gdy będziemy szli, szukaj złotych roślin – pouczył go Pug. – Na razie jednak zajmijmy się szukaniem mojej córki i powrotem do domu.

– O ile nie jest już za późno – zauważył Gorath.

– Dhatsavan z pewnością wiedział, ile nam to zajmie czasu – sprzeciwił się Owyn. – Gdybyśmy musieli się stąd wynosić przed tym wzajemnym przekazaniem sobie umiejętności, na pewno by nas ostrzegł.

Gorath kiwnął głową.

– Miejmy nadzieję, że to prawda.

– Jeżeli ruszymy prosto na północ, znajdziemy rejon, który wykorzystywali kiedyś Valheru... – zastanawiał się głośno Owyn. – Waszą córkę znajdziemy chyba gdzieś niedaleko. On powiedział, że Panath-Tiandn widzą w niej świętość i nie zrobią jej krzywdy.

– Lepiej, żeby to było prawdą – oznajmił Pug z widoczną ulgą. – Chodźmy.

Pospiechali na północ, bo dzień miał się już ku końcowi. Tylko raz zatrzymali się na posiłek. Owyn natknął się na kilka złotych roślin, za pomocą których ładował swój posoch energią.

Pod wieczór usłyszeli zrazu cichy, a potem coraz głośniejszy, dziwny niski dźwięk dochodzący z północy. W miarę jak podchodzili coraz bliżej, dźwięk stawał się głośniejszy.

Kiedy dotarli do szczytu łańcucha niskich wzgórz, zobaczyli w dole tłum węzóludów. Kilkunastu z nich stało w półokręgu, reszta zaś ustawiła się za nimi. Wszystkie pochylały się w pokłonie przed niewielką jurta, na ścianach której wymalowano tajemnicze symbole.

– Sprawa nie będzie prosta – odezwał się Gorath. – Zważcie, że ci dwaj na końcach mają posochy takie jak wy.

– Pewien moredhel, zwany Nago, próbował unieruchomić mnie zaklęciem – stwierdził Owyn. – I wiecie co? Udało mi się go nauczyć!

Pug zamknął oczy.

– A... wiem, o jakim myślisz. Zaklęcie z tych, które mogą narobić szkód... ale, chyba dam sobie z nim radę.

– Jeżeli zdołamy unieruchomić tych dwu, a potem cisnąć w pozostałych kulami ognia – odezwał się Owyn – to może uda nam się rozpętać takie zamieszanie, by przemknąć do środka i uwolnić waszą córkę.

Opracowali plan działania i na znak dany przez Goratha obaj magowie wstali i ściskając swoje posochy, uwolnili czary, które śmignąwszy przez otwartą przestrzeń, ugodziły w obu węzowych magów. Trafieni natychmiast znieruchomieli i tylko ich wytrzeszczone ślepia świadczyły o bólu, jaki sprawiły im oplatające ich ciała niebieskawe błyskawice.

Atak kompletnie zaskoczył pozostałych Panath–Tiandn. Zdębieli oni na dostatecznie długo, by Owyn i Pug cisnęli w ich tłum kule ognia. Kilkunastu węzóludów z wrzaskiem rzuciło się do ucieczki, sypiąc wkoło iskry ze swych płonących szat. Kilku jednak doszło do siebie i zwrócili się przeciwko napastnikom. Tymi jednak zajął się Gorath. Owyn zatrzymał jednego zakłębieniem bezruchu, podczas gdy Pug cisnął w drugiego purpurową błyskawicą, która rozniosła węża w strzępy.

Gorath ściał pierwszego mieczem i odwrócił się do drugiego, wywijającego krzywą szablą. Moredhel zablokował cios i odskoczył w tył, szykując się do drugiego starcia.

Dwu węży rzuciło się do ucieczki – obu porazili swoimi posochami Owyn i Gorath. Kryształowa broń świetnie spisała się jako pałka. Można nią było walić z całej siły bez obawy, że pęknie. Walka trwała krótko. Część przeciwników leżała martwa, a reszta uciekała w popłochu.

Pug skoczył ku jurcie i odsunął na bok osobliwie tkaną zasłonę wejściową. Pośrodku jurty stał posag. Przedstawiał kobietę, był jednak już bardzo zniszczony przez czas i nie sposób było odgadnąć, kim ona jest.

– A gdzie jest Gamina? – zapytał Pug.

– Może w starożytnej twierdzy Valheru? – podsunął Owyn, zajrzawszy do środka.

– W tym miejscu i tak wisi w powietrzu odór ich obecności – stwierdził Gorath.

Pug rozejrzył się dookoła, szukając czegokolwiek, co mogłoby mu wskazać drogę do córki.

Gorath podszedł do jednego z kątów pomieszczenia i podniósł jakiś tobolek, najwyraźniej od bardzo dawna nie ruszany. Rozwinąwszy go, znalazł wewnątrz zbroję, białą o złotych i purpurowych brzegach. Wypuścił napierśnik z dłoni, jakby go poraził piorun.

– Valheru! – sapnął ze zgrozą.

Pug ujął zbroję w ręce.

– Owszem... Jest bardzo podobny do zbroi, jaką nosi Tomas.

– Czy to niebezpieczne? – spytał Owyn.

Pug przez chwilę wodził dłońmi po powierzchni zbroi.

– Nie... nie masz w niej ducha Valheru. Myślę, że tamta cecha dotyczyła jedynie zbroi Tomasa. Ale – zwrócił się do Goratha – jest zaskakująco giętka i niemal niczym nie da się jej przebić. Dlaczego nie chcesz jej wziąć?

Gorath energicznie potrząsnął głową.

– Nie! Nie pragnę żadnego reliktu po poprzednich panach mojego ludu. Pożądanie tych przedmiotów pchnęło wielu moich braci na Ścieżkę Mroku. Tej właśnie żądzy mój lud zawdzięcza to, że nadal tkwi w okowach dzikości, podczas gdy eledhele, wyzbywszy się tych pragnień, osiągnęły wyżyny, o jakich my nie mamy nawet pojęcia.

Owyn nigdy wcześniej nie słyszał, by Gorath przemawiał z taką pasją.

Pug tymczasem znalazł zwój starego pergaminu.

– Owynie, zechciej na to spojrzeć.

Młody mag stanął za Pugiem i zajrzał mu przez ramię.

– Co to takiego?

– Nie jestem pewien, ale to chyba ten czar, o którym wspominał Dhatsavan... ten, który wysączył moc z tych Rlynn Skrr.

Owyn nie przerwał czytania, a po chwili stwierdził:

– Czuję się... osobliwie.

– Zmruż oczy i spójrz w bok – poradził mu Pug. Młody mag postąpił wedle rady starszego i pozorny letarg minął bez śladu.

– Co to było?

– Niektóre czary mogą uwięzić wzrok czytelnika, zmuszając go do odczytywania zaklęcia, aż się utrwali w jego umyśle. Pozwól, że to zbadam, a ty spróbuj go zapamiętać.

– Może lepiej poszukajmy innego miejsca – zaproponował Gorath. – Te węże mogą tu wrócić.

Pug zwinął pergamin i rozejrzał się dookoła. W jurcie leżały i inne przedmioty. Nie zdążył się im przyjrzeć, bo Gorath krzyknął:

– Za późno! Już tu są! – Podbiegłszy w głąb jurty, rozciął mieczem jedną ze ścian. – Za mną!

Wszyscy trzej przedarli się przez tylną ścianę jurty i pobiegli ścieżką wiodącą pomiędzy wzgórzami.

Gnali co tchu, aż znaleźli wejście do jaskini.

– Na dół! – zawołał Owyn i wyczarował światło ze swojej dłoni. Przeprowadził ich za zakręt, gdzie przypadli do ścian i zaczęli nasłuchiwać, czy gnają za nimi prześladowcy.

Dłuższa chwila ciszy przekonała ich, że węzoludy zgubiły trop. Rozsiedli się na spągu jaskini.

– Wiesz... – odezwał się Pug do Owyna. – Skoro już tu siedzimy, to przytrzymaj ten pergamin, żebym mógł go obejrzeć.

Owyn zrobił, o co go poproszono, Pug zaś dość długo badał zwój. Po kilkunastu minutach Goratha znudziła bezczynność i przekradł się do

wyjścia z pieczary, a potem przemknął dalej szlakiem, sprawdzając, czy w pobliżu nie ma nieprzyjaciół. Wróciwszy do jaskini, przekonał się, że teraz pergamin czytają obaj magowie.

Gorath zrozumiał, że jedyne, co może zrobić, to uzbroić się w cierpliwość. Ruszył więc, by zbadać dalszą część drogi. Przedostał się aż do niewielkiej przełęczy, gdzie za wzniesieniem ujrzał, że szlak się zmienia. Tworzące go kamienie były tu gładzsze, jakby kiedyś stanowiły powierzchnię bitej drogi.

Jako moredhel miał wzrok lepszy niż człowiek i bez trudu poruszał się w mroku rozświetlonym jedynie blaskiem obcych gwiazd. Szedł szybko i lekko, czując, że zbliża się do miejsca przesyconego prastarą magią.

Pokonawszy kolejną grań, stanął zdumiony, przyglądając się zgóry wylotowi gigantycznej jaskini. Po obu jej stronach w zboczu góry wyrzeźbiono kamienne smoki. Gorath zatrzymał się, szarpany sprzecznymi pragnieniami. Z jednej strony chciał wrócić do swoich towarzyszy i powiadomić ich o odkryciu, z drugiej zaś obejrzeć to z bliska. Po krótkiej chwili wahania ruszył biegiem przed siebie.

James dyszał ciężko, spoglądając na swe ramiona i pierś zbryzgane krwią. Gobliny i moredhele sześciokrotnie wdzierały się na wały i księżęcy giermek trzy razy osobiście poprowadził kontratak. Obok niego usiadł Locklear, niemal konający ze znużenia.

– Te draby nie zamierzają popuścić nawet w nocy! Nieustannie nacierają!

– Jak sytuacja na innych odcinkach?

Ta pierwsza wieża, którą rozbiliśmy pociskami z balist, została już zepchnięta na bok i teraz ciągną tu dwie kolejne.

Z sześciu zbudowanych na północy wież oblężniczych trzy rozbili pociskami z mangoneli na północnym wale. Niestety, do tego zadania

zużyli wszystkie większe kamienie, a zaraz potem napastnicy zepchnęli wraki na bok i zaczęli podciągać trzy następne maszyny ku zachodniej bramie. Pierwszą z nich obrońcy zniszczyli za pomocą dwóch dużych balist znad barbakanu.

– A co z balistami?

– Nadal nie możemy ich naprawić. Jedną trzeba by całkowicie rozmontować, a na to mamy za mało czasu. Myślałem o tym, żeby pozwolić im się zbliżyć, a potem ostrzelać ognistymi strzałami... zanim dotrą do murów. ;,-

James nie był zachwycony tym pomysłem.

– Nie możemy zakładać, że im również taki pomysł nie przyszedł do głowy.

– Hej! – zawołał Patrus, pojawiając się niczym przysłowiowy demon z pudełka. – Ale zamieszanie, co?

James potrząsnął głową, by odzyskać jasność myśli.

– Jakie zamieszanie?

– A co? Nie widzicie tych cholernych wież, które na nas toczą? James stracił już resztki swego szeroko ongi znanego i cenionego poczucia humoru i wysunął przed siebie krwawiącą dłoń.

– Byłem zajęty czym innym.

– Oooo... – popisał się bystrością stary mag. – Więc te cholerne dwie potężne wieże toczą się prosto na nas.

– Właśnie się zastanawialiśmy, jakby je podpalić – stwierdził Locklear.

Mówiłem, że wodzowie Delekhana z pewnością zadbali o to, by były ognioodporne.

– A... tego z góry założyć nie można – zaperzył się stary. – Najlepiej od razu sprawdźmy.

Minąwszy obu młodzieńców, pochylił swój posoch, w tej samej chwili, kiedy do murów przystawiono drabinę. Dwaj znużeni wojacy odepchnęli ją rozwidlonymi drągami i przez chwilę z satysfakcją wsłuchiwali się we wrzask lecącego w dół goblina, Patrus zupełnie nie przejął się deszczem kamieni, którym jego pojawienie się na murach powitali nieprzyjacielscy procarze.

– Powinniśmy się cieszyć z tego, że tamci nie są tak dobrze wyszkoleni – rzekł Locklear. – Gdyby puścili rzemienie kilka sekund wcześniej, nasi chłopcy nie odepchnęliby tej drabiny.

– Mała rzecz, a cieszy – stwierdził z przekąsem James. Patrus tymczasem wymierzył posoch w bliższą z wież, a potem wypowiedział krótkie zaklęcie. Z laski strzeliła smuga ognia.

– To ta sama ognista sztuczka, którą się popisywaliście, gdyśmy was spotkali – stwierdził Locklear.

James odwrócił się w samą porę, by zobaczyć, jak trzecia i czwarta z ognistych kul uderzają w wieżę. Usłyszał dziki wrzask zamkniętych wewnątrz goblinów i moredheli. Dwa z czterech trafień zapoczątkowały pożar.

Patrus odwrócił się i zaczął celować w drugą wieżę. Chybił za pierwszym razem. Skupił się bardziej i trafił trzy razy pod rząd. Potem jeszcze po kilka razy strzelił w każdą z wież i wkrótce obie stały w ogniu. Wyczerpani obrońcy na murach nagrodzili wyczyn maga radosnymi okrzykami i wiwatami... a w głębi obozu nieprzyjaciół rozległ się dźwięk trąbki.

– Trąbią na odwrót – stwierdził resztką sił James, opierając się ciężko o wyłom w krenelażu. – Zatrzymaliśmy ich.

Locklear usiadł na kamieniach i przez chwilę sycił uszy odgłosami odwrotu nieprzyjaciół i tryumfalnymi rykami obrońców.

– Co za dzień! – wycharczał z trudem.

Patrus przykucnął obok nich.

– No, wymieniliśmy kilka klapsów – stwierdził zgryźliwie. – Ale nie entuzjazmujcie się. Nim nastanie ranek, czeka nas jeszcze mnóstwo roboty.

– A niby co? – spytał James, którego ciężka walka oszotomiła i pozbawiła lotności umysłu.

– No jakże, przyjdą znowu – odpowiedział Patrus tonem tak pełnym entuzjazmu, że księżący giermek przez sekundę miał wielką ochotę chwycić go za krtań, zacisnąć na niej ręce i trzymać... trzymać...

Wiedział jednak, że stary ma rację. Bez słowa wstał więc i podał dłoń Locklearowi. Ten podniósł się z jękiem, jakiego nie powstydziliby się stuletni starzec.

Ruszyli w głąb twierdzy, by zająć się organizacją obrony. Drogę po schodach z dół oświetlały im dwie jasno płonące nieprzyjacielskie wieże.

Wracając do rzeczywistości, Owyn i Pug jednocześnie zmrużyli oczy.

– Co się stało? – spytał Owyn.

– Gapiliście się w ten pergamin niemal całą noc – stwierdził Gorath.

– To obcy czar – odpowiedział Pug. – Potężny, trzeba dodać, ale teraz siedzi w mej pamięci jak wypalony.

– W mojej też – dodał Owyn. Wstał, wyprostował się i pochylił nad Pugiem. – To zaklęcie, które wysysa energię z tych stworów, o których mówił Dhatsavan, żywiołaków Rlynn Skrr.

– Ile mamy czasu? – spytał Pug.:

– Już prawie świta. – Gorath wyciągnął dłoń ku jaskini. – Zbadałem z grubsza okolicę.

– I co znalazłeś? – spytał Pug.

– Siedzibę Valheru, o której mówiliście. Myślę, że tam właśnie znajdziemy waszą córkę. Przypomina świątynię...

– Gdzie to jest? – Pug, nie czekając na towarzyszy, pobiegł we wskazanym kierunku.

Gorath podążył za nim, a potem wyprzedził go, wskazując mu drogę do jaskini z rzeźbionymi smokami.

– Zaraz za wylotem zaczynają się schody wiodące w dół. Słyszałem głosy jak zawodzenie wiatru i poczułem strach, pradawny strach przed czymś, czego nie umiem nazwać. Pomyślałem, że lepiej będzie poczekać na was.

– Mądrze zrobiłeś – stwierdził Pug. – Bardzo mądrze. We trójkę ruszyli w dół po wspomnianych schodach. Znaleźli się w rozległej komnacie. Niegdyś mieściła rzesze wyznawców, teraz jednak wyglądała na opuszczoną. Na przeciwległym krańcu dostrzegli parę kamiennych drzwi. Jak powiedział Gorath, cała komnata tchnęła zapachem odrażającej zgnilizny.

Moredhel podszedł do ogromnych drzwi i delikatnie pchnął jedną połowę. Mimo swoich rozmiarów okazały się doskonale zrównoważone. Popchnięte otworzyły się łatwo, choć powoli.

Gdy szczelina była już dostatecznie szeroka, Gorath puścił drzwi i zręcznie przemknął na drugą stronę. Tuż za nim do komnaty weszli Pug i Owyn. Pośrodku kamiennej posadzki wznosiło się podwyższenie, na którym tkwił rozsiewający blaski błękitny kryształ, oświetlony smugą światła padającego z góry. Pośrodku kryształu unosiła się zawieszona w próżni młoda dziewczyna. Jej jasne włosy falowały wokół niej, tworząc nimb.

– Gamina! – zawołał Pug.

Z mroku po przeciwległych stronach klejnotu wysunęły się dwie szarawe postacie o lodowatych oczach, każda wysoka na dziesięć stóp.

Nieustannie zmieniały swój kształt, przypominały jednak potężne, skrzydlate stwory.

Gorath zatrzymał się, nie wiedząc, jak z nimi walczyć, Pug jednak bez wahania zawołał:

– Owynie! Tkaj czar!

Magowie zamknęli na chwilę oczy, Gorath natomiast uderzył mieczem stwora nacierającego na Puga... Ostrze przeszło niemal bez oporu, jakby moredhel ciął powietrze. Głownia lekko zwolniła, ale jedynym efektem ciosu był przejmujący chłód, który poraził jego ramię. Zaraz potem potężny stwór cisnął moredhela w drugi koniec komnaty.

I nagle z dłoni Puga i Owyna trysnęły tęczowe, migotliwe strumienie światła, uderzając w oba stwory. Te zamarły w bezruchu, jakby ugrzęzły w bryle szkła. Migotliwy blask przeświecił je i nagle rozprysły się tysiącne iskierki, opadające ognistym deszczem na posadzkę. Gasnąc, każda z iskerek zabierała z sobą cząstkę jednego ze stworów. Oba żywiołaki znikły, zostawiając po sobie tylko cichnące echa wiatru.

Gorath tymczasem dochodził do siebie po starciu z okropnymi stworami.

– Gamina! – zawołał ponownie Pug. Podbiegłszy do kryształu, przekonał się, że z jego córki uczyniono żywy wizerunek bogini Panath-Tiandn. Dotknął kryształu i poczuł mrowienie w czubkach palców.

Zamknął oczy i prześledził myślą wzory i sploty energii. Na koniec zwrócił się do moredhela:

– Uderz tutaj! – Wskazał powierzchnię pod stopami dziewczyny.

Gorath bez wahania uniósł miecz i z całej siły ciął w miejsce wskazane przez Puga. Kryształ pękł, rozpryskując się w miliony odprysków, które obsypały wszystkich trzech przybyszów, jakby ktoś opróżnił na nich pełne naczynie. Pug nie zwrócił na to uwagi i wysunąwszy się do przodu, chwycił padającą na ziemię córkę. Wyglądała na pogrążoną w transie, ale żywą.

– Bogom niech będą dzięki! – rzekł mag. Przytulił Gaminę do piersi, a w jego oczach pokazały się łzy. Obejmował ją jak małą dziewczynkę, która przed wieloma laty pojawiła się w Stardock, by zostać członkiem jego rodziny. Nieme dziecko, nie mogące mówić, ale potrafiące użyć umysłu niczym broni, stało się mu drogie jak jego własne. W głębi serca kochał ją jak swego syna Williama.

Delikatnie ujął dziewczynę za podbródek i cicho wymówił jej imię.

Rzęsy Gaminy zatrzepotały lekko i mag usłyszał w myślach: *Tatku?*

Gorath wytrzeszczył oczy ze zdumienia i spojrzał na Owyna, który kiwnął głową.

– Ja też to słyszałem.

Dziewczyna otworzyła oczy, a potem zarzuciła ojcu ramiona na szyję.

– Tatku! – Objęła go mocno, on zaś trzymał ją tak, jakby nigdy nie zamierzał jej puścić. – Kłamał, Tatku. Makala cały czas kłamał. Użył podstępny, dał mi jakiś środek nasenny, a potem ocknęłam się tutaj. Powiedział, że nie chce mnie skrzywdzić, ale musi cię utrzymać z dala od Krondoru.

– Wiem, kochanie – odpowiedział łagodnie Pug. – Teraz już wszystko jest w porządku. Wracamy do domu?

– Jak? – spytał Gorath.

– Zgodnie z tym, co powiedział Dhatsavan, powinniśmy znaleźć tu jakąś bramę. Podejrzewam jednak, że chodzi o portal. – Pug rozejrzał się dookoła. – Niczego tu nie widzę. – Potem odwrócił się do córki. – Jak się czujesz?

– Bardzo dobrze – zapewniła go. – Nic mi nie jest.

Owyn spojrzał na dziewczynę, zaledwie kilkunastoletnią, i uderzyła go jej niezwykła uroda. Gamina podchwyciła jego spojrzenie, uśmiechnęła się i uciekła wzrokiem, mocno się czerwieniąc.

Teraz uśmiechnął się także Pug.

– Pamiętasz chyba Owyna i Goratha? Poznałaś ich w Krondorze.

– Owszem – odpowiedziała dziewczyna, uśmiechając się nieśmiało. –
Dziękuję wacpanom za to, żeście pomogli mojemu ojcu mnie odnaleźć.

– To był dla nas zaszczyt. – Gorath wyprostował się.

Owyn tylko kiwnął głową i uśmiechnął się.

Przeszedłszy na drugi koniec komnaty, odkryli kolejny korytarz. Zamykały go jeszcze jedne olbrzymie drzwi, które Gorath otworzył równie łatwo jak poprzednie. W komnacie za nimi znaleźli wielkie drewniane urządzenie.

Pug spojrział tylko raz.

– To machina otwierająca portal!

– Skąd wiesz? – spytał Owyn.

– Na Kelewanie badałem portale i przetoki. Poświęciłem temu więcej czasu niż którykolwiek z Wielkich – stwierdził Pug. – Ale i bez tego rozpoznałbym je. To wytwór magów Tsurani.

– Możemy go użyć? – spytał Owyn.

Pug podszedł bliżej, przez chwilę badał urządzenie, a potem stwierdził:

– Wyłączono je.

– Jak to wyłączono? – zdumiał się Owyn..

– Nie działa – skrzywił się Pug.

– Czy to znaczy, żeśmy tu utknęli? – spytał Gorath.

Pug usiadł na ziemi.

– Owszem... chyba że znajdę jakiś sposób, by je ponownie uruchomić. Jeżeli nie... zostaniemy na tym spustoszonej świecie.

Gamina objęła ojca ramionami, a Gorath i Owyn, nie mając nic lepszego do roboty, usiedli na posadzce.

ROZDZIAŁ 18

PRZEGRUPOWANIE

Dym gryzł w oczy obrońców.

Jamesowi udało się przespać godzinę, Locklearowi dwie, żołnierze zaś zgodnie z rozkazem przez całą noc czuwali na murach, śpiąc na zmianę.

Choć płonące szczątki dwu oblężniczych wież napełniały powietrze gryzącą oczy mgiełką, James usiłował dostrzec coś ze swej kwatery w wartowni nad bramą. Dym dokuczał obrońcom nawet mimo porannego wiatru, ponieważ ten akurat dął ku murom. Za plecami obrońców wzeszło słońce i niebo zaczynało się rozjaśniać. Wkrótce ognista kula miała zawisnąć nad szczytami gór. James wiedział, że zanim to nastąpi, nieprzyjaciół zaatakuje ponownie.

Spojrząwszy w dół, zobaczył, że fosę wypełniają trupy napastników i obrońców. Były tak liczne, że uniemożliwiały przejście na drugą stronę.

Meldunki, jakie dotarły doń z różnych punktów twierdzy, przyniosły bolesne przecucie klęski – książęcy giermek zrozumiał, że nie przetrwają następnego dnia. Jeżeli napastnicy nie wykażą się wyjątkową głupotą albo nie wydarzy się jakiś cud, Northwarden jeszcze przed wieczorem wpadnie w ręce nieprzyjaciół.

Przemyślawszy kilka sposobów dotyczących tego, jak zdobyłby zamek, gdyby dowodził atakującymi, spróbował też sobie wyobrazić, co można by im przeciwstawić. Za każdym razem dochodził do wniosku, że jeżeli wrogowie spróbują czegokolwiek poza zwykłym parciem na mury, jemu po prostu zabraknie ludzi. Wystarczyłoby tylko, żeby wódz moredhelów

nakazał szturm do bramy głównej, posyłając jednocześnie gobliny, by wspięły się jeszcze raz na północne zbocze. James nie miał dostatecznej liczby ludzi, by odeprzeć natarcie na dwu frontach.

– I co zrobimy? – spytał podchodzący doń właśnie Locklear.

James wzruszył ramionami.

– Zastanawiam się właśnie, czy opuścić mur zewnętrzny i z resztką żołnierzy zamknąć się w zamku.

Locklear z rezygnacją potrząsnął głową.

– Nie umiem wymyślić niczego lepszego. Jeżeli będą próbowali wykurzyć nas stamtąd, poniosą jeszcze większe straty... i zajmie im to znacznie więcej czasu.

– Ale się nie utrzymamy.

– A naprawdę myślisz, że to się uda?

– No... tą złośliwie bezpodstawną uwagą, za którą właściwie powinieneś zadyndać na murach, przerwałeś mi akurat wymyślanie genialnego planu przedostania się na tyły Delekhana.

Do obu rozmówców podszedł sierżant, pokryty jeszcze zaschniętą warstwą krwi z dnia poprzedniego.

– Meldujcie – zwrócił się doń James.

– Mości giermku, w nocy zmarło jeszcze trzech wojaków. Mamy na murach półtorej setki zdolnych do walki ludzi i siedemdziesięciu rannych, którzy jednak mogą i chcą się bić. Kilkunastu poważniej rannych pomaga w Wielkiej Sali.

Wielka Sala była jeszcze niedawno salą biesiadną, teraz jednak przekształcono ją w lazaret, gdzie w wyniku braku uzdrowiciela ponad stu ludzi czekało na śmierć.

James potrząsnął głową.

– Niech ludzie odpoczywają... dopóki tamci nie zaatakują ponownie. Przekażcie na mury tyle wody i jedzenia, ile tylko zdołacie. Jedynym sposobem otrzymania następnego gorącego posiłku jest odparcie nieprzyjaciół.

– Taaaest, mości giermku! – huknął sierżant i pospieszył przekazać rozkazy.

Po schodach wiodących z dziedzińca ku blankom na murach wdrapywał się Patrus. Stary mag wyglądał na bardzo zmęczonego.

– Pomogłem rannym... zrobiłem dla nich, co się dało. A jak jest tutaj?

– Znajdź jakiś sposób, by utrzymać nieprzyjaciół z dala od północnego muru albo wschodniej bramy – odpowiedział James. – Wszystko jedno, co wybierzesz, byle okazało się skuteczne.

– Za długie mury i za mało żołnierzy do ich obsadzenia? – domyślił się stary.

– Mniej więcej... – odpowiedział Locklear.

Mag zastanawiał się przez chwilę.

– Jeżeli nie oczyszczą zbocza z tych trupów przed atakiem, to może uda mi się wam pomóc. Im więcej metalu leży na ziemi, tym lepiej. Każcie chłopcom przejść na północny mur.

– Co wymyśliłeś? – spytał James.

Stary mag uśmiechnął się złośliwie.

– Chcecie sobie zepsuć niespodziankę? Nie, synkowie... okażcie trochę cierpliwości, a kiedy przyjdzie pora, zobaczycie niemałe dziwy.

– Dziwy mnie nie interesują – odpowiedział niecierpliwie James. – Ile czasu zyskamy?

– Kilka lub kilkanaście godzin... zależnie od tego, jak szybko te grzybojady dojdą do siebie po tym, jak ich trochę przetrzepię.

– Dajcie mi godzinę na obronę północnego muru, zanim będziemy musieli zająć się wschodnią bramą... a może zdołamy utrzymać się przez kolejny dzień.

– No to popatrzycie sobie na mnie – odpowiedział złośliwiec. – A teraz muszę pójść do mojej komnatki i przynieść stamtąd kilka przedmiotów. – Szybko zbiegł z murów.

Choć wyczerpany do cna, Locklear odwrócił się do towarzysza:

– Czy to nie najbardziej złośliwy staruch, jakiego kiedykolwiek spotkałeś?

– Nie – odpowiedział James. Pomyślawszy chwilę, uśmiechnął się i dodał: – Ale niewątpliwie zajmuje drugie miejsce. – W oddali zagrzmiały bębny. – Nadchodzą – stwierdził zupełnie niepotrzebnie. Wrzaski od północnej ściany poinformowały go o tym, że gobliny znów zaczęły wspinaczkę po zboczu ku murom.

Obrońcy wyczerpali już zapasy kamieni przeznaczonych do miotania z murów. W ślad za kamieniami poleciały kawałki mebli, kuchenne garnki i wszelkie niepotrzebne przedmioty. Większość wody, która nie była potrzebna do picia, popłynęła teraz za mury w postaci wrzątku. Potem obrońcy musieli zdać się na łuki i bardzo starannie wybierać cele – co oczywiście wystawiało ich na ostrzał z dołu.

Tymczasem wrócił Patrus.

– Zróbcie mi miejsce. – Usiadł na kamieniach, krzyżując nogi, i ustawił przed sobą niewielką czarę. – Przygotowywałem to wszystko przez cały tydzień. Teraz siedźcie cicho i nie przeszkadzajcie... no, chyba że cały świat zacznie trzeszczeć w szwach.

Wrzuciwszy do czary zawartość sakwy, to jest proszek i coś, co wyglądało na mieszaninę małych kamyków lub odłamków skał, zamknął oczy, wypowiedział śpiewne zaklęcie, otworzył oczy i wysunął przed siebie

palec wskazujący. Trysnął z niego niewielki płomyk, który podpalił zawartość czary. Ta natychmiast zajęła się ogniem i buchnęła gęstym, zielonobłękitnym dymem. Dym zaczął się unosić i zbierać pod kamiennym sklepieniem wartowni. Jamesowi i Locklearowi, którzy to wszystko obserwowali z niemałym zdumieniem, wydało się, że jego kłęby odbijają się od kamieni. Patrus podniósł otwartą dłoń nad głowę i zaczął nią machać ku wschodniej drodze, jakby chciał to kłębowisko skierować w tamtą stronę.

Patrus zapanował nad dymem i skierował go na zewnątrz przez okna wartowni. Dym się rozrzedzał i coraz bardziej przypominał chmury wiszące nad drogą. James wyjrzał przez okno i zobaczył, że na bramę maszeruje zwarta formacja podobnych do małych trollów. Miały one łby okryte skórzanymi tarczami, a na potężnych barach bez wysiłku dźwigały obłęznicze drabiny. Na ramieniu każdego tkwiła solidna tarcza, z dłoni zaś na rzemieniach zwisały młoty bojowe albo topory.

– Uderzeniowe oddziały trollów? – spytał Locklear.

– Na to wygląda – odpowiedział James. – Nie wiedziałem, że takie mają, ale jeżeli zabiorą się do wspinaczki, to nie wiem, czy im podołamy. – Trolle nie były lepszymi wojownikami od moredhelów czy goblinów, sęk jednak w tym, że znacznie trudniej było je zabić. Ktokolwiek kierował natarciem, domyślił się, że obrońcy walczą już resztką sił.

W dymie pochodni i płonących szczątków obu wież wyczarowane przez Patrusa opary stały się niemal niewidoczne. Obserwując jednak uważnie przedpole, obaj młodzieńcy spostrzegli, że gęstnieją coraz bardziej.

Kiedy napastnicy zbliżyli się na odległość rażenia, ruszyli łucznicy. Jamesa nieprzyjemnie zaskoczył fakt, że ku trollom poleciało niewiele strzał. Poczł przedsmak klęski.

I nagle pod zamkiem zaczął wzbierać niski, głuchy grzmot. Książęcy giermek dotknął dłonią muru i poczuł strumień napierającej nań energii.

Napastnicy nie zwracali na to uwagi, dopóki drgania nie przybrały na sile tak, że z trudem utrzymywali równowagę. Niosący drabiny porzucili je – i natarcie straciło rozmach.

Wtedy Patrus zachichotał brzydko i syknął:

– Trzymajcie się, chłopaki!

Zamek zachwiał się w posadach.

Wstrząsy zbiły z nóg kilkunastu obrońców. Wszelkie odgłosy bitwy przytłumił grzmot dygoczącej ziemi.

A potem eksplodowały niebiosy.

Grom z nieba uderzył w zbroję jednego z napastników, powalając kilkunastu stojących obok. Ułamek sekundy później rozległ się przeraźliwy huk. Powietrze przepełniła ostra woń ozonu i smród przypalonych ciał. Wszędzie w dole widać było wijące się w agonii trolle, gobliny i moredhele. Niektóre z nich miały popękaną od żaru skórę.

Kolejna błyskawica zbiła z nóg kilkunastu innych napastników, uderzając nieco dalej. Potem grom skosił moredhela, który niebacznie uniósł miecz w górę – mroczny elf stał przez moment skąpany w oślepiającej bieli, ale zaraz eksplodował niczym ognista kula, zabijając niemal wszystkich w pobliżu. James schował się za murem i szarpnięciem za kurtkę pociągnął za sobą Lockłeara.

– Kryć się za murami! – ryknął ku ludziom w barbakanie. Ci natychmiast przekazali rozkaz dalej. Z tajemniczej chmury Patrusa raz po raz biły gromy, a każdej błyskawicy towarzyszył przerażający grzmot. Ludzie na murach pozatykali sobie uszy dłońmi, by nie ogłuchnąć.

James zapragnął wczłogać się do najgłębszej zamkowej piwnicy, ale potem zwątpił, czy to wystarczyłoby. Z przerażeniem pomyślał, jak to musi

wyglądać za murami.

Gromy waliły, jakby zbliżał się koniec świata... i nagle wszystko ucichło, a ziemia przestała drżeć.

James podniósł się i wyjrzał za mur w samą porę, by zobaczyć, jak atakujący, którzy jeszcze przed chwilą karnie parli ku murom, uciekają w popłochu. Na drodze wiodącej ku zamkowi leżało najmniej tysiąc napastników, a wielu z nich stratowali ogarnięci paniką towarzysze.

Książęcy giermek pochylił się nad Patruszem, który przecierał oczy.

– Jak wyszło? – spytał stary.

– Znakomicie. Wieją, jakby ich demon gonił.

Ponad ramieniem przyjaciela przechylił się Locklear.

– Co to było?

– Nie bardzo wiem, jak to nazwać. Nauczył mnie tego pewien człek z Saladoru, którego z kolei wyszkolił kapłan Kilian, ale ten musiał zmienić nazwę. Na swój prywatny użytek nazywam to „Furią Killian”. – Mag wstał.

– Zawsze chciałem to wypróbować, ale nigdy nie byłem na nikogo dostatecznie wkurzony, by się zdecydować. – Podeszedłszy do murów, spojrział pomiędzy dwa merlony. Obejrawszy spustoszenia, stwierdził tylko: – Wyszło lepiej, niż myślałem.

– Jak tam na północnym murze? – zawołał James.

– Poodpadali, gdy zaczął się trząść – odpowiedział mu czyjś okrzyk.

James położył dłoń na ramieniu Patrusa.

– Dzięki wam zyskaliśmy trochę czasu.

Locklear usiadł na ziemi obok miejsca, gdzie stali, i oparł się o mur.

– Nie mogę się ruszyć. James pociągnął go za kurtę i poderwał na nogi.

– Musisz wstać! Oni wrócą, i to już wkrótce! Chyba że Patrus może powtórzyć tę sztuczkę.

Stary mag potrząsnął głową.

– Nie. Gdybym miał wszystkie składniki... ale i wtedy na złożenie ich razem trzeba czasu. Poza tym musiałbym się dostać do lasu i trochę się tam rozejrzeć.

– Niepokoi mnie jedna rzecz – stwierdził Locklear.

– Jaka? – spytał James.

– Gdzie są ich magowie?

Żrenice Jamesa rozszerzyły się ze zdumienia.

– Na wszystkich bogów, masz rację! Jeżeli się tu nie zbiegli, by obejrzeć naszą małą demonstrację siły, to znaczy, że ich tu niema!

– A co to znaczy? – pytał dalej Locklear.

– Żeśmy dali się nabrać!

– Nic nie rozumiem – stwierdził Locklear, siadając na kamieniach.

– Jeżeli nie masz ich tutaj, znaczy, że są gdzie indziej! – stwierdził Patrus. – Wiem, że jesteś zmęczony, ale to nie tłumaczy głupoty!

– Zostawcie mnie w spokoju! – odparł Locklear z udawaną urazą. – Pozwólcie, że się nacieszę złudzeniem. Właśnie w tej chwili wyobrażam sobie, że słyszę w oddali trąbkę sygnałową Królewskich Kopijników.

James zamarł w pół kroku i nadstawił ucha.

– To wcale nie złudzenie. Ja też ją słyszę. – Wspiął się na mur. W młodości wyćwiczył umiejętność zachowywania równowagi i stalowych nerwów, potrzebnych teraz, by stanąć na blankach i patrząc w dal, wyteńczyć wzrok. Dym wciąż jeszcze zasnuwał przedpole, ale po chwili niemal całym zamkiem wstrząsnął tryumfalny ryk książęcego giermka: – Widzę proporzec Aruthy! – Zeskoczywszy, dodał: – Opuścić most!

W nagłym przypiływie energii pobiegł ku bramie, nieznacznie tylko zostawiając w tyle Lockleara i Patrusa. Gdy dotarli na dziedziniec, kratę podniesiono już dostatecznie wysoko, by James mógł się schylić i

przemknąć pod nią. Potem przebiegł po obniżającym się moście i zeskoczył na przyczółek po drugiej stronie.

W prawej dłoni trzymał obnażony miecz, na wypadek gdyby któryś z zalegających przedpole trupów okazał się mniej martwy, niżby się to mogło wydawać, ale kiedy dotarł na koniec rampy, byli tam już Arutha i jego przybocznicy. Niedysiejszy krontorski złodziejaszek zatrzymał się przed władcą Dziedzin Zachodu.

– Myślałem już, że chcecie zrezygnować z całej zabawy!

– Nie chciałbym, żebyś pomyślał, iż jestem gburem, który zamierza ci odebrać należną część chwały – odparł Arutha. – Jak ludzie?

– Spisali się nadspodziewanie dobrze. Baron Gabot i jego oficerowie zostali zamordowani. Większość obrońców jestranna albo skrajnie wyczerpana. Ciężko byłoby znaleźć wśród nich takiego, co trzyma się na nogach. Jeszcze jeden dzień i znaleźlibyście tu same trupy. Nie, żebym się skarżył... ale co was zatrzymało?

Ruszyliśmy, jak tylko dostaliśmy wiadomość. Na waszych posłańców czyhano po drodze i przedostanie się do mnie zajęło im trochę czasu. Wszyscy dotarli niemal jednocześnie – gdzieś tak ze trzy tygodnie temu. A co ze wsparciem z południa?

– Żadnego, sir. A posłaliśmy gońców do Romney, Dolth i nawet do Rillanonu.

– Mogą być w drodze albo zostali przechwyceni. Owyn mi powiedział, że zabiłeś herszta Nocnych Jastrzębi, obawiam się jednak, że przy życiu pozostali agenci, których rozesłał wcześniej.

– Myślę – stwierdził James – że nigdy nie zdołamy wygnieść tego robactwa do końca. Kilku zawsze ucieknie... są jak ten legendarny wąż z keshkańskich bajek, obcinasz mu łeb, ale ten za każdym razem odrasta. Wracając jednak do spraw pilniejszych... całe to zamieszanie tutaj może

okazać się zwodniczym ruchem. – Arutha powiódł wzrokiem po leżących wokół trupach.

– No... ten zwodniczy ruch drogo ich kosztował.

– Jestem pewien, że mam rację. Kiedy Patrus, stary mag, któregośmy tu spotkali, użył swojej magii, nikt na nią nie odpowiedział i nikt się jej nie przeciwstawił.

– A co z tymi, których nazwaliście Sześcioma?

– Kiedy ostatni raz o nich słyszeliśmy, byli na zachodzie.

– Na zachodzie! – zaklął Arutha. – Straszny to musi być spisek, w którym ktoś poświęca życie tysiąca żołnierzy, by nas wyciągnąć z Dimwood.

– Ruszyliście wszystko, co się dało?

– Nie! Został garnizon pod Sethanonem, resztę wojsk przywiodłem jednak tu. Poślę patrole ku przełęczom, by sprawdzić, ilu nieprzyjaciół posłano przeciwko nam.

Arutha wyglądał na strapionego. James widział ten wyraz twarzy Księcia już wiele razy.

– Mości Książę, chodźmy na zamek, zmieńmy załogę i spróbujmy się w tym wszystkim jakoś rozeznać.

Książę odwrócił się i przekazał rozkazy młodszemu oficerowi, a potem rzekł: – Zostawiłem Gardana w pobliżu Highcastle i kapitana Philipa na czele garnizonu pod Sethanonem. Myślę, że ci dwaj potrafią dać Delekhanowi dostateczną ilość dowodów na to, że realizacja jego planu nie pójdzie tak łatwo. – Ponownie spojrzął na Jamesa. – Ale jak się najesz, wyśpisz i odpoczniesz, chcę, byś z Locklearem na czele szybkiego patrolu ruszył do Sethanonu. James skrzywił się okropnie.

– Wprost przepadam za długimi, konnymi przejazdami...

– Jest z nami kapłan uzdrowiciel... zajmie się tobą, jeżeli będzie trzeba.

Młodzieniec zerknął na Aruthę, by się przekonać, czy Księżę nie żartuje. Niestety... nie żartował.

– Wedle rozkazu Waszej Księżęcej Mości. – Na twarzy Aruthy nadal malowało się przygnębienie. – Czy Wasza Księżęca Mość zechce powiedzieć, o co chodzi? Znam was już zbyt długo, by nie rozpoznać tego spojrzenia...

– Po prostu martwię się tym, co mogło się przytrafić Owynowi i Gorathowi. Posłałem ich za Pugiem, ponieważ byli jedynymi, którzy wiedzieli coś o Sześciu. Ale jeżeli napadnięto ich gdzieś w drodze pomiędzy Krzyżem Malaka a Krondorem albo jeżeli Pug opuścił Krondor dla jednej z tych swoich tajemniczych i nagłych misji, a Katala nie może go odnaleźć... hm... powodów może być wiele, a wszystkie oznaczają dla nas poważne kłopoty. Kiedy na scenie pojawi się ta niecna Szóstka, to myślę, że będziemy potrzebować jakiegoś maga.

– Mamy jednego! – Uśmiechnął się szeroko James.

– Kogoś, kto na naszą cześć urządził tę małą demonstrację siły gromów i błyskawic, widoczną, gdyśmy się zbliżali? – spytał Arutha.

– Owszem – odpowiedział młodzieniec, odwracając się i ruszając ku zamkowi. – Niezwykły to jegomość i chyba go polubisz... choć niedługo to potrwa.

Arutha uśmiechnął się szelmowsko i James poczuł się od razu lepiej.

Gorath spojrział na sidła i zastygł. Zwierzę wyglądało albo jak opancerzony królik, albo żółw z długimi nogami. Tak czy owak było jedyne nadające się do zjedzenia – poza robactwem. Wcześniej schwytali dwa inne stwory dające się przegryźć i przełknąć. Na tym świecie było mnóstwo owadów – od maleńkich, podobnych do komarów muszek, które dręczyły Goratha, ilekroć usiadł, po podobne do karaluchów stwory wielkie jak jego przedramię.

Moredhel odnalazł też kilka jadalnych bulw i kolczasty owoc o wodnistym miąższu, smakujący jak kwaśny melon.

Nieopodal starej świątyni natknęli się na studnię, z której udało im się wysączyć bukłak wody do skórzanego pojemnika znalezionego w świątyni.

Goracie!

Chwileczkę! – spróbował odpowiedzieć myślą. Gaminie wciąż było trudniej porozumieć się z nim niż z ludźmi, ale więź pomiędzy nimi stale się zacieśniała. Moredhel spróbował skupić myśli. Wyobraził sobie, że krzyczy do niej.

Właśnie łapią coś na kolację! – pomyślał.

W odpowiedzi napłynęła doń prośba o cierpliwość.

Opancerzony królik ruszył do przodu i zaciągnął sidła, więząc w nich tylną nogę. Gorath dopadł go jednym susem i nauczony doświadczeniem błyskawicznie odwrócił, zmuszając do wysunięcia szyi. Złamał ją szybko i wydłubał ofiarę ze skorupy. Poprzednie niepowodzenia nauczyły go – kosztem ciężkich dolegliwości żołądkowych, jakich doświadczyła cała grupa – że jeżeli w ciągu kilku chwil po zabiciu nie wyłuska zwierzaka ze skorupy, jego mięso szybko się zepsuje. Zapasy włożył do swojej sakwy.

Potem odwrócił się i pobiegł ku Gaminie.

Co się stało? – spytał, wiedząc, że dziewczyna usłyszy pytanie, zanim on zdąży je wypowiedzieć.

Owyn z ojcem znaleźli kolejne złożę mana.

Czy jest wystarczające?

Może – odpowiedziała, gdy go zobaczyła, po czym odwróciła się i pobiegła ścieżką ku opuszczonej świątyni. Nie wiadomo czemu – czy z powodu religijnego tabu, strachu przed Valheru, obawą przed Gorathem, Owynem i Pugiem – Wężoludy nie próbowały do niej wejść.

Zaatakowały po raz drugi, kiedy Pug i Owyn udali się na poszukiwanie dodatkowych źródeł mana. Uczynili to, gdyż Pug wymyślił sposób, jak aktywować porzuconą maszynę portalu. Gamina próbowała wczytać się w myśli węzóludów, co skończyło się osobliwą konfuzją, ponieważ umysły Panath–Tiandn, którzy sami siebie nazywali Shangri, stanowiły dziwną mieszankę prostoduszności i przebiegłości. Na co dzień stwory były prymitywne, przesadne i ich myśli niewiele się różniły od zwierzęcych. Potrafiły jednak doskonale posługiwać się magią. Pug doszedł do wniosku, że ironia losu osadziła je na planecie – zwanej przez nich Timiri – gdzie magia nie działała.

Pug nazwał je magicznymi samoukami i uznał, że zniszczyły urządzenie na rozkaz Almy–Lodaki. Na podstawie swoich wcześniejszych doświadczeń z Pantathianami, którzy niewątpliwie byli krewniakami Panath–Tiandn, zasugerował, że starożytna Valheru celowo ograniczyła inteligencję swoich sług, skupiając ją na tym, co było jej przydatne.

Podczas dwu dni wędrówki w poszukiwaniu Gaminy, Gorathowi i ludziom udało się też wyjaśnić, jak te stwory zdołały przetrwać na tym pustkowiu. Przez następny tydzień przemierzali pustynie i wzgórza, by zebrać dostateczną liczbę kryształów potrzebnych do wykorzystania ich w planie Puga. Gorath nie bardzo wiedział, na co się zdadzą te „zamrożone” kawałki magii, z chęcią więc zostawił to zadanie ludziom. Postanowił skupić swoje wysiłki na poszukiwaniu żywności. Jak wiele miejsc pozornie jałowych i ta pustynia tętniła życiem – o ile tylko ktoś wiedział, gdzie go szukać.

Odkrywszy maszynę, zbadali wyspę, pomijając tylko szczyty nad świątynią. Okazała się ona na tyle duża, że jej przejście od cypla najbardziej wysuniętego ku północy – gdzie wzniesiono siedem boskich kolumn – do cypla południowego zajęło Gorathowi trzy dni. Żeby ją

przebyć ze wschodu na zachód, potrzebował połowę tego czasu, choć nie dało się jej przejść w linii prostej, a to przez góry wznoszące się w jej centrum.

Zaczęli podejrzewać, że na zachodzie znajduje się jakiś większy ląd. Pug uznał tę hipotezę za wielce prawdopodobną, poczyniwszy obserwacje w pewną noc kilka dni później. Zauważył światła nad wodami, gęstsze i częściej zbierające się tam chmury oraz inne czynniki natury czysto abstrakcyjnej – za takie przynajmniej uznał je Gorath. Zresztą nawet gdyby planowali przedostać się na tamten ląd, trzeba im było czegoś więcej niż teorii. Kiedy Gorath dotarł do jaskini, Gamina zdążyła już rozniecić ogień. Moredhel podał jej zdobycz.

– Czy dziś w nocy spróbujemy zrealizować plan twego ojca?

– Nie mam pojęcia – odpowiedziała.

Gorath spojrział na nią uważnie i stwierdził, że nawet wedle standardów jego ludu jest bardzo piękna. Niewiele wiedział o dzieciach ludzkiej rasy. Słyszał, że dziewczyna nie miała szczęśliwego dzieciństwa, a jednak była spokojna, skupiona – i mimo wszystko zachowała sporo radości ducha.

Była również piękna i na ludzki sposób, o ile Gorath mógł to ocenić. Z pewnością wodził za nią wzrokiem Owyn, choć moredhel nie umiałby rzec, czy z podziwu dla zawodowych umiejętności jej ojca, czy wyłącznie jej urody. Gubił się w tych ludzkich subtelnościach.

Owyn i Pug przynieśli spore zawiniątko, które okazało się tkaniną ściągniętą z wejścia dojednej z jurt. Stary mag zauważył, że choć zbudowano tu wiele jurt, większość z nich stała pusta. Zastanawiał się, czy podobnie wygląda reszta planety, nie miał jednak zamiaru skorzystać ze swej mocy, by to odkryć, ponieważ był pewien, że przyda mu się później.

– Myślę, że to powinno wystarczyć – stwierdził Pug, kładąc zawiniątko na ziemi.

– Doskonale – odpowiedział Gorath. – Mam już dość tych stworów, a to jedyna zdobycz, jaką da się zjeść. Powiem, Owynie, że z radością wgrzyzłbym się nawet w te zeschnięte suchary, jakimi karmiliśmy się w górach.

– Ja też – odpowiedział młody mag.

– Co zrobimy, jeżeli wasz plan nie wypali? – spytał Gorath.

– Zbadamy resztę wyspy i jeśli nie uda nam się znaleźć żadnego innego portalu, zbudujemy łódź, a następnie przedostaniemy się na zachód, ku lądowi – stwierdził Pug.

Owyn zamknął oczy i przystawił dwa palce do nasady nosa.

– Znow ten ból głowy? – spytała Gamina.

– Owszem, ale już mi przechodzi – odparł młody mag. Od doświadczenia, w którym dzielili z Pugiem wiedzę o pucharze Rlynn Skrr, odczuwał rzadkie, ale silne bóle głowy. – Zresztą boli mniej niż poprzednio.

– Mój młodszy kolego... – odezwał się Pug – po powrocie na Midkemię spodziewaj się znaleźć w sobie kilka umiejętności, o jakie nigdy byś siebie nie podejrzewał.

– Jeżeli wrócimy – stwierdził Owyn z westchnieniem.

– Wrócimy niechybnie! – Stary mag obrzucił go spojrzeniem, w którym nie było cienia wątpliwości.

– Doskonale. Czego jeszcze nam trzeba?

– Niczego, prócz wiedzy – stwierdził Pug. Spojrzał na Goratha. – Czy w tym kompleksie zbadaliśmy każdą komnatę?

– Owszem. Tak jak wara mówiłem.

– To znaczy, że powinniśmy podjąć próbę powrotu jutro.

– Czemu nie dziś?

– Zanim zaczniemy, Owyn i ja musimy wypocząć – odpowiedział Pug. – Wiele wiem o portalach i ich naturze, ale tę maszynę skonstruowali obcy i

może działać inaczej niż te maszyny Tsurani, które znam. Wolałbym nie popełnić pomyłki tylko dlatego, że będę zmęczony. Tak więc dopiero rano, gdy już się wyśpimy, wypróbujemy portal.

Gorath kiwnął głową.

Owyn leżał, zmęczony długim noszeniem kryształów mana.

– Goracie, czy mogę ci zadać pytanie?

– Owszem, Owynie – odpowiedział moredhel.

– Kiedy się kłaniałeś Królowej, zakładam, że była to część jakiegoś rytuału... niezrozumiałego dla mnie.

Gorath przysiadł i przez chwilę myślał o czymś intensywnie.

– Dobrze odgadłeś, Owynie. Kiedy pierwszy raz dotarłem do Elvandaru, nazwałem go Barmalindarem. To legendarny świat, który wszystkie elfy uważają za złotą ojczyznę swoich przodków.

To fascynujące – wtrącił się Pug. – Rozmawiałem z Księciem Calinem, Tomasem i innymi elfami, ale tę legendę słyszę po raz pierwszy. Myślę, że to wy byliście pierwszymi mieszkańcami Midkemii.

– Owszem, jak smoki i Valheru, ale duchowe źródło naszej rasy znajduje się poza Midkemią – stwierdził Gorath. – Po śmierci udajemy się na Wyspę Błogosławioną, gdzie łączymy się z Matkami i Ojcami, którzy odeszli wcześniej. Wszyscy jednak jesteśmy dziećmi Barmalindaru. – Spojrzał na Owyna. – Niekiedy członek mojego ludu odczuwa zew, potrzebę... zmuszającą go do podróży do Elvandaru. Jego współplemieńcy ścigają go wtedy niczym zdrajcę i, oczywiście, o ile zdołają go dopaść, zabijają, zanim dotrze do celu. – Gorath zamknął oczy. – W przeszłości i ja tak robiłem. Kilku jednak tam dotarło i to właśnie eledhele nazwali „Powrotem”. Przybrali nawet nowe imiona, jakby przez całe poprzednie życia byli eledhelami.

– Dlaczego Królowa powiedziała, że ty nie skończyłeś jeszcze swego Powrotu. Co to znaczy?

– Wciąż istnieją więzy łączące mnie z przeszłością i obowiązki, które nie pozwalają mi dołączyć do moich krewniaków w Elvandarze.

– Jakież to obowiązki? Myślałem, że twoje dzieci nie żyją, a żona cię porzuciła.

– Gorath wbił w Owyna płonące spojrzenie. – Muszę zabić Delekhana.

– Aa... – odparł inteligentnie Owyn i oparł się plecami o ścianę jaskini. Nie rozmawiali przez resztę dnia, podczas którego Pug i Gamina przygotowywali machinę do uruchomienia.

James już wcześniej był świadkiem tortur, nigdy jednak nie sprawiało mu to przyjemności. Arutha jednak za wszelką cenę postanowił dowiedzieć się, co planuje Delekhan.

Więzień był wodzem jakiegoś klanu lub wyższym oficerem i z pewnością wiedział dużo więcej niż zwykle trolle czy gobliny z jego oddziału. Złapani wspólnie z nimi renegaci – kilku bardzo unижonych teraz ludzi – bez ogródek stwierdzili, że tylko on wie coś o planach dowództwa.

Arutha domyślał się, że dzieje się coś bardzo złego.

Wysłał zwiadowców wzdłuż przełęczy, a ci nie znaleźli żadnego ugrupowania nieprzyjaciół mogącego wesprzeć pierwszy atak. Siły, które rzucono na Northwarden, były jedynymi jednostkami Delekhana w okolicy. Tysiące wojowników, trolle, gobliny i magów zwanych Sześcioma skierowano gdzie indziej.

Moredhel wydał jęk, kiedy liny naciągnięto mocniej. Jego stopy przywiązano do dwu żelaznych pierścieni w podłodze, a dwie liny – przerzucone przez belkę w sklepieniu – ujmowały jego nadgarstki, tworząc całkiem skuteczne, choć prowizoryczne narzędzie tortur.

– Moredhelu, jeżeli chcesz zobaczyć, jak twoje dzieci dorastają, to mówże wreszcie! – powiedział Arutha z tłumionym gniewem. – Masz na to moje słowo. Puszczę cię wolno, gdy tylko powiesz mi to, co chcę wiedzieć. Gdzie jest Delekhan?

Moredhel podniósł głowę, ale zamiast strachu czy nienawiści James ujrzał odmalowane na niej rozbawienie.

– A jakież to ma znaczenie, o księżę Zachodu? Nawet jeżeli ci powiem, nie zdołasz powstrzymać mego pana od osiągnięcia celu. Puść mnie, a zdradzę ci, gdzie możesz go znaleźć.

Arutha kiwnął głową i liny zwolniono. Moredhel opadł na kamienną posadzkę. Zaraz jednak podniósł głowę i wbił w Księcia płonący nienawiścią wzrok.

– Delekhan odpoczywa w Sar–Sargoth i gromadzi tam armię.

– Kłamliwy psie! – zawołał jeden z kapitanów gwardii, wykonując gest, jakby chciał go uderzyć pięścią. Arutha jednak powstrzymał żołnierza.

– Dlaczego twój pan rozsiada się na tronie przodków i pozwala tobie i twoim ludziom wykrwawiać się tu, pod Northwarden?

– Ponieważ ty tu jesteś, Księżę! – odpowiedział moredhel.

– Ale mam też jedną armię w Highcastle, a drugą na przełęczy Inclindel.

– To nie ma znaczenia, Aruto. W Dimwood został tylko niewielki garnizon, a za kilka dni mój pan zmiecie go z powierzchni ziemi i dotrzemy do celu!

– Arutha zmrużył oczy.

– Dni... – Wstał nagle. – Bogowie! Oni zamierzają użyć portalu.

– Jak to możliwe? – zdumiał się James.

– Odprowadzić go do bramy i puścić wolno – zwrócił się Arutha do swojego kapitana. – Nie będę żądał odeń żadnych przysięg. Nie dajcie mu

jednak żadnej broni, jedzenia ni wody. Jeżeli chce przeżyć, niech złupi swoich martwych kompanów.

Żołnierze dość bezceremonialnie podnieśli moredheła, nie bacząc na jego obrażenia, i pociągnęli go do drzwi.

– Wasza Książęca Mość... Skąd oni będą wiedzieć, jak uruchomić portal? – spytał James.

– Wiedzą Tsuranczy, wie i Pug. Dlatego podejrzewamy też, że potrafią to Pantathianie. Nieważne, kto to robi, ale że Delekhan może z niego skorzystać. Z Sar-Sargoth do Dimwood jest tylko jeden krok... a myśmy utknęli tutaj.

– Cóż więc zrobimy? – spytał James. Wciąż odczuwał zmęczenie, choć po wypiciu specjalnego wywaru herbacianego przygotowanego przez uzdrowiciela Aruthy przespał całą poprzednią noc.

– Mam kompanię konnych. Ci żołnierze, gnając bez ustanku, mogą eskortować ciebie, Lockleara i tego waszego maga do Mglistej Kniei Dimwood – odpowiedział Arutha. – W razie czego zajeźdźcie konie, ale nie przystawajcie ani na moment. Poproszę ojca Barnera, by przyrzadził i dla was napoje, byście jakoś wytrzymali tę jazdę. Przede wszystkim gońcie do Highcastle. Każcie Baronowi Baldwinowi zredukować załogę do niezbędnego minimum i posłać wszystkich pod Sethanon. Potem weźcie kompanię Gardana i pędźcie do Dimwood. Ja ruszę za wami tak szybko, jak tylko zdołam. Ty jednak i dwaj twoi towarzysze musicie się dostać do Dimwood, choćbyście mieli wszystkich zostawić za sobą. Znajdźcie Kapitana Philipa i każcie mu szukać tego portalu. Jeżeli zdołamy go zniszczyć, zanim Delekhan przeprowadzi przezeń większość swoich oddziałów, to może uda się go jakoś zatrzymać.

– On już tam może być – zauważył James.

– Co oznacza, że nie macie ani chwili do stracenia – odparł Arutha. – Na
koń i w drogę! Zostało wam pół dnia!

James skłonił się nisko i wybiegł, by powiadomić Lockleara i Patrusa o
nowym zadaniu. Wiedział, że wcale im się to nie spodoba. Prawdę mówiąc,
jemu też się to nie podobało.

ROZDZIAŁ 19

STARCIE

Pug skinął dłonią, prosząc pozostałych, by się odsunęli. Ułożył kryształową mana w stos, potem wziął w dłoń posochy.

– Ten portal przestał działać, kiedy po obu stronach zerwano połączenie, ponieważ tu było pierwotne nagromadzenie mocy.

– Ale co znajdziemy po drugiej stronie? – spytał Owyn.

– Wyjście znajduje się gdzieś w krondorskim pałacu albo nieopodal niego. Gaminę mogli pozbawić przytomności gdziekolwiek i zabrać ją nieprzytomną do tego świata, ale jednym z warunków sztuczki, jaką przygotował Makala, tworząc ten krótkotrwały portal w mojej pracowni, jest to, by oryginalny portal był gdzieś niedaleko.

– A to dlaczego? – spytał Owyn.

– Pozwól, że wyjaśnię ci to później... teraz uwierz mi po prostu, że urządzenie dane mi przez Makalę nie miało dostatecznej mocy, by przenieść mnie ze świata do świata. Ono mnie tylko przerzuciło do prawdziwego portalu, który był gdzieś niedaleko.

Wyglądało na to, że Owyn zaczął pojmować, w czym rzecz.

– Czy udało ci się zrozumieć, dlaczego Dhatsavan i inni bogowie tego świata zamrozili magię w takich kryształach?

Pug potrząsnął głową, wstał i cofnął się o krok.

– Myślę, że to był bardzo desperacki krok. Jeżeli uczynili to w ogniu bitwy, Yalheru mogli uznać ten świat za spustoszony i ruszyć gdzie indziej... Może wyczuli znikanie magii i przestraszyli się, że zostaną tu

uwięzieni? Nigdy się chyba nie dowiemy, jak było naprawdę. A ja nie mam ochoty na powrót do tamtych kolumn i wypytywanie ich o przyczyny.

– Jak znajdziemy tę rzecz, nie posiadając źródła energii? – spytał Owyn.

Pug uniósł w górę puchar Rlynn Skrr.

– Oto czego użyjemy do przeniesienia mocy. Przecież Dhatsavan już ci powiedział, że to klucz do innych światów!

– Oczywiście! – stwierdził Owyn.

Pug wskazał swoją głowę.

– O, tu kryje się wiedza. Ale będę do tego potrzebował twojej pomocy.

Owyn zamrugał.

– Jak mam ci pomóc?

– Muszę ostrzec was wszystkich... – stwierdził Pug. – Może nam się nie udać... możemy nawet zginąć. – Ostatnią wypowiedź skierował do Goratha i swej córki. – Chciałbym wam tego oszczędzić, ale to, co wiem o portalach, mówi mi, że będziemy mieli tylko kilka sekund na przejście przez tę bramę.

– Ojciec – odpowiedziała Gamina. – Powiedz nam tylko, co robić.

– Po tym, jak udzielę wskazówek Owynowi, zacznę głośne odliczanie. Kiedy usłyszycie, że mówię „trzy”, spróbujemy aktywować ten portal. Jeżeli się uda, pomiędzy tymi dwiema laskami powinno się pokazać migotliwe światło, które zmieni barwę na ołowiowoszarą. Gdy tylko zobaczycie, że robi się szare, skaczcie w portal. Może dobrze będzie, jeżeli weźmiecie się z Gorathem za rękę. Owyn i ja pojawimy się zaraz za wami. – Pokazał im, gdzie mają stanąć. Potem zwrócił się do Owyna: – Być może będzie to najtrudniejsza rzecz, o jaką cię kiedykolwiek poproszono. Dysponujesz odpowiednią do tego mocą i wiedzą, choć ta ostatnia została ci dana bardzo niedawno.

– Nie rozumiem – odpowiedział Owyn.

Pug kiwnął głową.

Moja moc, z powodu niewłaściwego użycia pucharu, wciąż jest osłabiona. Choć wróciła mi pamięć, może minąć kilka dni, albo i tygodni, zanim odzyskam dawną moc. Ty jednak masz moc, tę, z którą tu przybyłeś... i wiedzę, jaką się z tobą podzieliłem, kiedyśmy wspólnie pili z pucharu.

– Ale ja nie wiem niczego o portalach i przetokach! – zachnął się Owyn.

– Zamknij oczy i przestań myśleć o tym, co masz zrobić. Odpręż się i pozwól działać swemu umysłowi.

Owyn nie wyglądał na przekonanego, ale zamknął oczy. Pug odczekał kilka minut, po czym rzekł:

– Wciąż próbujesz... Pomyśl o czymś innym.

– O czym?

– O czymś bardzo nudnym... na przykład o księdze, którą czytałeś dawno temu, a która cię nie zaciekała... albo o jednym z wykładów Elgohara w Stardock.

Owyn parsknął śmiechem... i nagle coś wdarło się do jego umysłu.

– Ja... czekajże... coś...–Otworzył oczy. – Roześmiałem się i nagle, w jednej chwili, pojąłem, że wiem coś o przetokach.

– Zamknij oczy i pomyśl o czymś jeszcze – poradził mu Pug.

Owyn odetchnął i znów zamknął oczy, pozwalając umysłowi błąkać się swobodnie po manowcach pamięci... i poczuł, że wspomnienia wracają doń gwałtowną falą. Oto starsi bracia, drwiący z jego upodobań do czytania tych kilku ksiąg, jakie były w bibliotece jego ojca... przypomniał sobie o dziewczynie z miasteczka, która mu się podobała, ale nigdy nie zdobył się na odwagę, by z nią pomówić, choć prawdopodobnie zainteresowanie ze strony syna Barona pochlebiłoby jej. Potem przypomniał sobie spotkanie z Patrusiem i nieufność, jaką stary grzyb żywił wobec jego ojca. Pod szorstką

powierzchnością wiejskiego filozofa kryła się głęboka mądrość. Widział go teraz przed sobą jak żywego... i nawet słyszał to, co stary mówił o zaklęciach, jakich mógł nauczyć chłopca.

– Chłopcze – tłumaczył mu wtedy – sztuczka z ogniem tryskającym z koniuszków twoich palców jest bardzo prosta.

Musisz tylko zapragnąć, by powietrze wokół palca stało się gorące, a gdy zapragniesz dostatecznie silnie, pojawi się ogień.

Owyn pamiętał, że ćwiczył całymi godzinami, zanim ta sztuczka się udała.

I oto stary mag znów przemówił w pamięci Owyna:

– Strukturę przetoki najłatwiej zrozumieć, jeżeli zapomnisz o zwykłych odniesieniach do jakichkolwiek miejsc w trójwymiarowej przestrzeni. Idea bycia „tutaj” albo „tam” jest raczej przeszkodą niż pomocą. Jeżeli pomyślisz o przetoce jako o „bramie” pomiędzy dwoma miejscami, które przez moment są tuż obok siebie... – Głos Patrusa dźwięczał w umyśle młodego maga i w miarę jak stary mówił, rzecz stawała się coraz bardziej oczywista.

I nagle Owyn otworzył oczy.

– Już wiem, co robić!

– Doskonale – stwierdził Pug. – Kiedyś pozwoliłem, by pokierował mną Macros, podczas gdy ja użyłem swej mocy, żeby zniszczyć przetokę. Teraz ja pokieruję tobą. Gamino?

– Tak, ojczy?

– Zechciej, proszę, połączyć umysł Owyna z moim, a potem przygotujcie się z Gorathem do skoku.

Dziewczyna wzięła dłoń moredhela w swoją rękę.

– Jesteśmy gotowi.

Pug kiwnął głową... i nagle Owyn poczuł, że Gamina połączyła ich umysły. Pug trzymał w jednej dłoni puchar Rlynn Skrr, w drugiej zaś dzierżył swój kryształowy posoch. Wbiwszy posoch mocno w ziemię, zapytał:

– Gotów?

Owyn umieścił swoją laskę w stosie mana.

– Gotów!

– Raz, dwa, trzy!

Owyn przejął energię przekazaną mu przez trzymany w dłoni posoch i pozwolił jej spłynąć wzdłuż laski do stosu kryształów leżącego u dołu maszyny. Wysiłkiem woli nakazał energii przepłynąć ponownie do laski przez siebie samego i do trzymającego puchar Puga. Z pucharu wystrzelił olśniewający nimb energii, który wypełnił przestrzeń pomiędzy dwiema laskami.

Później, kiedy o tym wszystkim rozmyślał, Owyn doszedł do wniosku, że przypominało to odsunięcie kurtyny. Wiedział nawet, gdzie ma się uformować przetoka. Otworzywszy oczy, zobaczył, że ściana migotliwego srebra zmienia barwę w momencie, kiedy przeskakują przez nią Gorath i Gamina.

– Teraz my! – zawołał Pug i skoczył, ciągnąc za sobą młodzieńca.

Owyn poczuł, że przelatuje przez szarą pustkę – na ułamek sekundy stracił poczucie wrażeń i rzeczywistości – i nagle wylądował na kamiennej posadzce tuż obok Gaminy i Goratha.

Komnatę rozjaśniał tylko nikły strumień światła padający z okna.

– Gdzie jesteśmy? – spytał jak zawsze podejrzliwy Gorath.

– W mojej krongorskiej pracowni. – Roześmiał się Pug. Gamina poderwała się i z radości klasnęła w dłonie. Zanim zdołała cokolwiek

powiedzieć, drzwi otworzyły się i do komnaty wpadła odziana w nocne szaty Katala. Najpierw porwała w objęcia córkę, potem objęła męża.

– Wiedziałam, że ją znajdziesz! – stwierdziła.

Przez chwilę Pug cieszył się towarzystwem żony i córki, potem jednak spoważniał.

– Makala musi odpowiedzieć za to wszystko!

– Ten Tsuranczyk? – zdumiała się Katala. – To jego sprawka?

– Długo by o tym opowiadać, najdroższa. O wszystkim dowiesz się od Gaminy, kiedy obie bezpiecznie schronicie się w Stardock.

– A ty gdzie będziesz, mój mężu?

Pug spojrział na Goratha i Owyna.

– Musimy udać się do Sethanonu.

James spojrział na Patrusa, który zawołał:

– Martw się o siebie, chłopie! Ja dam sobie radę.

Z tym ostatnim zdaniem James byłby skłonny się zgodzić. Uzdrowiciel Aruthy sporządził lekarstwo, dzięki któremu odzyskiwali siły. Niezależnie od tego, jak zmordowani kładli się spać, po kilku łykach magicznego napoju wstawali rano pełni energii.

Gnali jak szaleńcy, zajeżdżając konie na śmierć, zmieniając je w miarę możliwości trzy, cztery razy dziennie i cały czas domagając się nowych. Po ostrzeżeniu Barona Highcastle pozwolili sobie na dzień odpoczynku – przespali się w łóżach, a rano podążyli dalej, z nowymi oddziałami na wypoczętych koniach. Wyczerpani żołnierze, którym nie podano środka przywracającego siły, mieli podążyć z garnizonem Highcastle do Dimwood.

Przekraczając wzniesienie drogi, w oddali zauważyli namioty i bariery. Skierowali się ku północnej granicy Dimwood. Zwolnili, dopiero kiedy zobaczyli wartowników Królestwa. Zatrzymali się przed krondorskim sierżantem, który rozpoznał obu giermków.

- Gdzie Konetabl? – spytał James.
- W namiocie dowództwa, sir, z Diukiem.
- Z jakim Diukiem?
- Diukiem Crydee.

– Martin jest tutaj? – spytał James. – To bardzo dobrze. – Skinieniem dłoni polecił pozostałym, by podążyli za nim. Skierował się ku największemu w obozowisku namiotowi.

Dotarłszy do niego, zeskoczył z siodła i podał wodze stajennemu. Jego towarzysze przybyli tuż za nim, choć Patrus wyglądał już na mocno zmęczonego.

– Zechciejcie powiadomić Diuka i Konetabla, że przybyli książęcy giermkowie, James i Locklear.

Stojący na straży gwardzista wszedł do namiotu. Po chwili wyszedł z niego i skinieniem dłoni zaprosił wszystkich do środka. Wewnątrz James i jego towarzysze zastali Konetabla Gardana, pilnie przyglądającego się rozłożonej przed nim na stole mapie. Podniósłszy wzrok na przybyszów, stary wojak uśmiechnął się lekko, choć w jego oczach nie było wesołości.

– Mam nadzieję, że wasze przybycie oznacza, iż Arutha z resztą wojsk jest tuż tuż...

– Owszem – odpowiedział James. – Podąża... na razie dotarł do Highcastle, a tu będzie za tydzień.

– Za tydzień! – zgrzytnął zębami stary.

– Aby się tu dostać w porę, zostawiliśmy na szlaku kilka najlepszych koni zajeżdżonych na śmierć – odpowiedział Locklear.

– Macie natychmiast ruszać na Sethanon – stwierdził James. Rozejrzał się dookoła. – Powiedziano mi, że znajdę tu Martina.

– A był tu, był – stwierdził Gardan z przekąsem. – Ale on i jego tropiciele pognali już w lasy.

– Co go tu ściągnęło? – spytał Locklear.

– Tomas wysłał wieści do Crydee, sugerując, że byłoby dobrze, aby tym kniejom przyjrzeni się jego przyjaciele posiadający pewne szczególne umiejętności. – Wskazał na południe. – Martin, jego tropiciele i kompania elfów podążyli gdzieś tam, szukając Braci Mrocznego Szlaku.

– A więc Delekhan ruszył w pole? – spytał James.

– Owszem. I jest tutaj. – Kościstym palcem wskazał na mapie punkt u zbiegu dwu rzek przepływających przez Mglistą Knieję. – Zauważyliśmy go tu za nami jakieś dwa dni temu. Nie wiem, jak to zrobił, ale zamiast przed nami, pojawił się za naszymi liniami.

– Myślę, że użył maszyny tworzącej portal – stwierdził James.

– Tam do kata! – zaklął Gardan. – Wojny Rozdarcia Światów nauczyły nas jednego... jeżeli jeden z tych portali jest otwarty, mogąprzezeń przerwucić żołnierzy tak szybko, jak tylko ich uszykują do marszu.

– No... ale nie za wielu – sprzeciwił się Patrus.

– A to kto? – spytał Gardan.

– Patrus, do usług – odpowiedział stary mag. – Gdyby portal był wielki, Delekhan już by na nas szedł. – Wskazał miejsce na południowy wschód od punktu, który wcześniej zaznaczył Gardan. – Jest tu jakiś most albo bród?

– Próbuujemy to właśnie sprawdzić – odpowiedział Konetabl.

– Chodźmy, chłopcy! – zaproponował Patrus.

– Czeka! – zachnął się James. – Co zamierzasz zrobić?

Jeśli ten ostrouchy czart jest gdzieś w tamtym rejonie, to właśnie przygotowuje się do przejścia. Jeżeli jeszcze tam nie dotarł, a nam uda się przedostać w pobliże tej diabelskiej maszyny, zanim on przez nią przejdzie, jego chłopcy ruszą na północ, jakby im ktoś podłożył ogień pod ogony, oczywiście gdyby mieli ogony.

Gardan wbił wzrok w Jamesa.

– Co to za ptaszek?

– To długa historia. Opowiem ci ją, jak już będzie po wszystkim. Ale to jedyny mag, którego mamy. Dopóki nie zjawi się Pug, musimy wykorzystać to, co los nam dał.

– A co los nam dał? – nadał się Patrus. – Powinienem wrócić do domu i przekonać się, jak sobie sami poradzicie!

– Przepraszam – zaczął usprawiedliwiać się James. – Jestem zmęczony, ot, gadam, co mi ślina na język przyniesie...

– No, niech będzie, Jimmy, nie obraziłem się. Zaprowadźcie mnie do miejsca, gdzie znajduje się ich machina, aja ją wyłączę.

James sceptycznie wyduł wargi.

– Powiedziano mi, że te portale to dość... osobliwy rodzaj magii.

– A... jak ktoś chce go wytworzyć, to tak, ani słowa – stwierdził Patrus.
– Zresztą słyszałem o nich same złe rzeczy... pojawiają się przeważnie wtedy, kiedy jakiemuś magowi coś się popie... eee... – Mrugnął znacząco powieką. – Ale zakłócenie tego procesu to bardzo prosta sprawa.

– Mam taką nadzieję – odezwał się James – ponieważ jeżeli zdołamy odciąć większą część armii Delekhana po tamtej stronie, może uda nam się docisnąć pokrywę na tym kotle, zanim dotrze tu Arutha z resztą armii.

Gardan wykonał obiema dłońmi płynne ruchy.

– Mamy niestałą linię frontu – oznajmił. – Okopali się tu, tu i tu. – Wskazał trzy miejsca wzdłuż rzeki. – Lord Martin poszedł tam. – Pokazał przełęcz pomiędzy dwoma najbliższymi punktami. – Pomyślał, że zdoła się przemknąć pomiędzy moredhelami.

James z powątpiewaniem pokręcił głową.

– Jeżeli jakikolwiek człowiek zdoła przemknąć lasem opanowanym przez mroczne elfy, to w istocie jest nim lord Martin... ale i to niełatwo mi sobie wyobrazić.

Gardan uśmiechnął się chytrze.

– Wymyśliliśmy kilka sposobów na odwrócenie od niego uwagi.

– Jeżeli będą głośne i widoczne... może uda nam się podążyć za nim. –

Na twarzy Jamesa też zagościł uśmiech.

– A kiedy odpoczniemy? – spytał Locklear.

Patrus spojrział na młodzieńca z lekką pogardą.

– Chłopcze, daj się zabić, a będziesz miał aż nadto odpoczynku. Ta... a teraz ruszajmy za tym Martinem.

Zrezygowany Locklear kiwnął głową.

– Lepiej będzie, jeżeli ruszymy bez bagaży. Macie jeszcze w tym obozie jakiegoś tropiciela? – spytał James.

– Nie, wszyscy poszli z Martinem i elfami ku rzekom. Przy odrobinie szczęścia traficie na nich, zanim natkniecie się na moredhelów Delekhana.

– Gardan potrząsnął głową.

– Cóż... – odezwał się James. – Zostało nam jeszcze dobre pół dnia, więc lepiej będzie, jeżeli wyruszymy.

– Jak stoicie z zapasami? – spytał Konetabl.

– Jedzenia wystarczy nam na tydzień – stwierdził Locklear. – Uzupełniliśmy zapasy w jukach przed ostatnią zmianą koni.

– To pozwólcie, że przekażę wam ostatnie hasło. Brzmi ono: „Orzeł Kron doru”. Kręci się tu też trochę renegatów z Queg.

– Kiedy odstawiłem Goratha do Kron doru – odezwał się Locklear – liczyłem na to, żeśmy już skończyli z tymi, psiakrew, quegańskimi obdartusami.

– Mości giermku – odezwał się poważnie Gardan. – Masz moje pozwolenie na zabicie tylu Quegańczyków, ilu tylko ci się spodoba... a teraz ruszajcie.

James parsknął śmiechem i wyprowadził rozmówców z namiotu.

– Są tu gdzieś blisko jakieś wypoczęte konie? – spytał wartownika.

– Tam, mości giermku – odezwał się podoficer. – Końmi i wszystkim, co z nimi związane, zajmuje się kapitan Philip. On na pewno jakieś znajdzie.

Wziąwszy konie za wodze, poprowadzili je do dowództwa jazdy.

– Radość mnie wprost rozpiera – sarknął Patrus. – Kolejny konik na następną przejażdżkę!

– A co, wolałbyś gonić pieszo? – spytał Locklear.

– W tej chwili, mój chłopcze, naprawdę wolałbym – odparł stary, chichocząc złośliwie.

James potrząsnął głową. Robił, co mógł, by polubić starego tetryka. Im dłużej jednak przebywali razem, tym mniej znajdował powodów do tego.

Młody giermek skinieniem dłoni wezwał pozostałych i cała grupa podjechała do miejsca ostatniej potyczki. Na polance leżały trupy trzech renegatów i jednego moredhela. Ich ciała były tak nadziane strzałami, że nie potrzebowali doświadczonego tropiciela, by odgadnąć, że ofiary zaskoczono – co z kolei mogło być dziełem elfów. James z radością pomyślał o tym, że gdzieś tu są Diuk Martin i jego zuchy.

– Jak sądzisz? Podczas ostatniej wizyty w Elvandarze elfy zapamiętały nasz wygląd? Mogą nas wziąć za tych renegatów i wziąć na cel – mruknął Locklear.

Zanim James zdążył cokolwiek powiedzieć, zza drzewa z prawej rozległ się głos:

– Czemu ich sam nie spytasz?

Locklear i James zatrzymali konie, gdy zza drzewa wyszedł wysoki mąż odziany w brązy i zielenie.

– Martin! – zawołał James. – Rad jestem, że widzę Waszą Miłość w dobrym zdrowiu.

Martin, Diuk Crydee, znany kiedyś szeroko jako Długi Łuk, stał pod drzewem, trzymając w dłoni broń, od której wziął przydomek.

– Witaj mi, Jamesie, i ty, Locklearze. Kim jest wasz przyjaciel?

Patrus patrzył wokół zdziwiony, gdyż zza drzew zaczęła się materializować całkiem liczna kompania elfich łuczników.

– Jestem Patrus!

– To mag. Przywiedliśmy go tu z sobą, bo ma nam pomóc w zamknięciu maszyny otwierającej portal Delekhana – odpowiedział Locklear.

– A to Martin, Diuk Crydee.

Patrus kiwnął głową.

– Jak dla mnie to dość osobliwie wygląda ten Diuk – stwierdził z przekąsem.

Martin uśmiechnął się lekko i przez chwilę Jamesowi i Locklearowi wydało się, że patrzą na Aruthę.

– Odkryłem, że dworskie szaty nie są zbyt przydatne, gdy trzeba się przedzierać przez leśne ostępy...

– Ha! – stwierdził stary, drapiąc się po karku. – Coś w tym jest. Szukamy maszyny portalu. Macie pojęcie, gdzie może być?

– Nie tylko pojęcie... wiemy dokładnie, gdzie jej szukać – stwierdził Martin. – Dziś rano ku południowi ruszyła duża kompania moredhelów. Przemknęliśmy niepostrzeżenie obok i pognaliśmy wzdłuż rzeki. Samej maszyny nie widziałem, ale nagromadzili tam tylu strażników, że to nie może być nic innego. Oprócz tego w powietrzu czuć było osobliwy odór, ten, który mi przypomniał o tsurańskiej maszynie w Szarych Wieżach podczas Wojen o Przetokę. Posłałem już wieści do Gardana, by ściągnął tu Aruthę.

– Za późno – stwierdził James. – Patrus uważa...

– Patrus nie potrzebuje, by ktokolwiek mówił za niego, mój chłopcze – odezwał się stary. – Mości Diuku – zwrócił się do Martina. – Te ostrouche łapserdaki zdołały przepchnąć przez portal tylko kilka kompanii, bo inaczej już by nas stąd wyparli. Delekhan pędzi do Sethanonu. Ci chłopcy mówią, że tam właśnie ma się pojawić, prawdopodobnie więc staniecie tylko przed kilkoma moredhelami z tylnej straży. Ale... jeżeli ta machina pozostanie otwarta, zanim dotrze tu Książę, nie sposób odgadnąć, ile trolli, goblinów i innych matkojebców tu się pojawi.. „a trzeba będzie ich usunąć z drogi, zanim ruszymy na Sethanon.

Martin uznał, że to, co mówi stary mag, jest zbyt ważne, by zważać na formalności protokolarne.

– Co waść proponujesz?

– Podprowadźcie nas bliżej do tej przeklętej maszyny, a potem odwróćcie ich uwagę i odciągnijcie tak daleko, jak się tylko da. Powiedzmy, natrzecie z wielką siłą, a potem pozwolicie się odeprzeć, powoli i zajadle odcinając... a ja tymczasem unieruchomię maszynę.

Martin zerknął na Jamesa, który wzruszył ramionami.

– Bardzo powoli – odpowiedział Martin – możecie iść za nami. Ale pieszo.

Wszyscy trzej zeskoczyli z koni i jeden z elfów odprowadził zwierzęta na bok.

– Odstawcie je do Konetabla i powtórzcie, o czym tu mówiliśmy. Powiedz mu też, że spodziewam się znaleźć trzy rumaki na zmianę na zachód od tego kamiennego, starego mostu.

Elf kiwnął głową, wziął konie i znikł. Martin spojrzał na widoczne między gałęziami niebo.

– Doskonale... o świcie będziemy przy moście. My odwrócimy ich uwagę, a wy, po ciemku, jakoś przemkniecie na drugą stronę.

– Jak to przemkniemy na drugą stronę? – zachnął się Patrus. – Znacząco, przepłyniemy?

– Owszem – odpowiedział Martin z uśmiechem. – Jest tam taki bród, dość płytki, pół mili w górę rzeki. Założę się, że gobliny o nim nie wiedzą. Trzeba wam będzie go przejść.

– Jakie gobliny? – zdziwił się Locklear.

– Najwięcej widzieliśmy tu goblinów i quegańskich najemników. Podejrzewam, że większość moredhelów poszła na południe z Delekhanem lub kimś, kto dowodził tym oddziałem.

James milczał przez chwilę.

– Locklearze, jak z twoim quegańskim?

– Całkiem dobrze – odpowiedział jego towarzysz. – A jak u ciebie?

– Nieco gorzej – przyznał James. – Nie wychowywałem się w portowym mieście jak ty.

– Ha! To mi nowina! Krondor miastem lądowym!

– Chodzi mi o to, że Quegańczycy, jakich spotykało się w kanałach, nie byli zbyt rozmowni i przeważnie unosili się na powierzchni plecami do góry.

– No tak... – przyznał Locklear. – A dlaczego pytasz?

– Nie sądzę, byśmy pod Northwarden mieli spotkać zbyt wielu goblinów lub moredhelów, którzy mówią po quegańsku, ale założę się o dobrą kolację, że gdzieś tu natrafimy na tych psubratów.

– Nie zamierzasz chyba ponownie próbować tej sztuczki z „moją quegańską najemnika”, co? – odparł Locklear z widoczną troską na twarzy. – Łatwo mogliśmy oszukać trolle... ale gdybyśmy mieli natknąć się gdzieś na prawdziwych Quegańczyków... Nie znam ich języka na tyle dobrze, by podać się za jednego z nich.

– Będziemy się tym martwić, kiedy do tego dojdzie – pocieszył go James.

Locklear spojrział w niebo.

– Lepiej być nie może.

– Martinie... mam pomysł – zwrócił się James do Diuka Crydee. – Zamiast próbować zwieść nieprzyjaciół pozorowanym atakiem, czy nie lepiej po prostu wpędzić nas w ich ramiona?

Martin uniósł brew.

– Jesteś pewien, że tego właśnie chcesz?

– Nie... ale tak czy owak warto spróbować – odpowiedział James z uśmiechem.

O zachodzie słońca najemnicy przy moście usłyszeli wrzawę i wrzaski o pomoc. Pomocy wzywali w języku Queg trzech mężczyzn, dwaj młodzi i jeden stary, którzy gnali ku mosiowi co tchu, a w pewnej odległości za nimi, w półmroku, widać było sylwetki ścigających.

Pierwszy na most wpadł James. Brakło mu tchu i wyglądał na skrajnie przerażonego.

– Atakują! – wrzasnął po quegańsku, wskazując prześladowców.

Drugi z młodzików wychrypiął z najwyższym trudem:

– Brońcie mostu. My sprowadzimy pomoc.

Dowódca najemników, zamierzając o coś zapytać, odwrócił się do trolla dowodzącego kompanią, ale w tejże chwili tuż nad jego głową śmignęła długa, elfia strzała. Najemnik zaklął i skoczył pod boczną, kamienną barierę mostu. Trzej zbiegowie ruszyli dalej.

Nie zwalniając, James obejrzał się przez ramię. Martin i elfy robiły, co mogły, by przekonać obrońców mostu, że szykuje się silne natarcie na bronioną przez nich pozycję.

W pewnym momencie książęcy giermek zatrzymał się i skinieniem dłoni dał znać przyjacielom, że mogą sobie pozwolić na odpoczynek. Stary najwyraźniej był wyczerpany.

– Dasz sobie radę? – spytał James.

Patrus kiwnął głową.

– No... bywało lepiej. Dajcie mi chwilę, a potem możemy wszystko zacząć od nowa. – Uśmiechnął się złośliwie. Po chwili dał głową znak, że może biec... i ruszyli dalej.

Kierowali się do miejsca, gdzie – jak sądzili – ukryto machinę portalu. Była to niewielka kotlina pomiędzy dwoma osłaniającymi ją z boków pagórkami. Na ich widok ruszyła ku nim grupa moredhelow, których Locklear przywitał quegańskim okrzykiem:

– Atakują most!

Przywódcą moredhelow był wysoki mąż nie ustępujący szerokością barów Gorathowi. Miał na sobie podbitą futrem kurtę.

– Nie mówię waszym psim językiem, Quegańczyku!

James zatrzymał się i zaczerpnął tchu.

– Ja znam i język Królestwa – odpowiedział, wyraźnie akcentując słowa.
– Zaatakowano most. Trolle przysłały nas, byśmy sprowadzili posiłki.

– Atak na most? – Wódz odwrócił się do jednego ze swoich podwładnych i posłał go ku mostowi. – Jako Moraedulf, syn Delekhana, jestem zastępcą ojca. Przy mnie jest władza, podczas gdy Delekhan podróżuje do Sethanonu. A wy komu służycie?

Locklear spojrzał na Jamesa, który zaczął:

– Służymy...

– Powiedz mu o elfach! – wrzasnął Locklear, przerywając przesłuchanie Jamesa.

– O elfach? – zdumiał się Moraedulf. – O jakich elfach?

– I o tym wysokim człowieku z długim łukiem, co może przedziąć na wylot z tysiąca kroków! On jest z nimi!

– Martin! – krzyknął Moraedulf. – To może być tylko Długi Łuk. Jego śmierć okryje mnie sławą!

– A jak nazywali tego drugiego? – spytał James.

– Chyba Calin – odpowiedział Locklear.

Wieści te podziały na Moraedulf a jak haust krasnoludzkiej gorzały.

– Księżę Elvandar, tutaj! – zawołał, chwytając Jamesa za koszulę i bez trudu podnosząc go z ziemi.

– Tak go wołali – odpowiedział James, usiłując nie okazać wrażenia, jakie zrobiła na nim siła moredhela. – Księżę Calin... tak mówili.

– Wezwać moją straż! Musimy zabić księcia eledhelów i tego jego przyjaciela, człowieka. Pożrę ich serca! – grzmiał Moraedulf, opuszczając Jamesa na ziemię. – Gdzie oni są?!

– Przy zachodnim moście – odpowiedział James, siadając w błocku.

Sześciu moredhelów natychmiast pobiegło we wskazanym kierunku.

– Poślę za wami resztę! – zawołał James, patrząc na grzbiety oddalających się mrocznych elfów.

– Nie mogę uwierzyć, że się udało! – szepnął Locklear, pomagając przyjacielowi dźwignąć się na nogi.

– Mniej więcej za pół godziny przejdzie im zapal, zmęczy ich bieganie po chaszczach i wrócą tutaj – stwierdził rzeczowo James. – Bierzmy się do roboty.

Zaraz też ruszył przez las. Ujrzawszy kolejną grupę moredhelów, nie zwolnił, tylko zawołał: – Moraedulf powiedział, żebyście ruszyli na zachodni most! Komendant posterunku, wyglądający na weterana niejednej wojny, lekko się zachnął:

– Mamy strzec maszyny portalu. – Wskazał ręką i James nagle pojął, że jest u celu. Gdyby nie strażnicy, w wieczornym mroku mógłby minąć maszynę, w ogóle jej nie zauważywszy.

– Moraedulf kazał nam przejść straż – stwierdził bezczelnie Locklear.

Moredhel spojrzał na niego podejrzliwie. Wtedy wtrącił się James:

– Powiedział, że mamy wam przekazać, iż my, ąuegańskie psy, nadajemy się tylko do pilnowania maszyny. Wy musicie ścigać eledhelów. Zachodni most został zaatakowany przez Księcia Calina i Martina Długi Łuk.

Efekt był natychmiastowy. Moredhele z zapalem pobiegły na zachód.

– Zastanawiam się – spytał retorycznie James, stając obok maszyny – czy Calin wie, jak wysoko moredhele cenią sobie jego skórę?

– Myślę, że kręcił się tu dostatecznie długo, by się tego domyślać – odparł Locklear. – Możesz to unieruchomić? – spytał, zwracając się do Patrusa.

W tejże samej chwili zza portalu wyłoniła się grupa sześciu moredhelów, schodzących po pochyłości w dół. James natychmiast nadął pierś:

– Atakują nas od zachodu! Ruszajcie w sukurs Moraedulfowi!

Kiedy moredhele pognały we wskazanym im przez Jamesa kierunku, Locklear spojrzał na przyjaciela z wyraźną naganą.

– Pewnego dnia natrafisz wreszcie na jakiegoś moredhela, który ci nie uwierzy!

– Dajcie mi na to popatrzeć – odezwał się Patrus. Podszedł do maszyny, która wyglądała jak zwykła platforma o sześciu stopach głębokości i dziesięciu długości. Mogło nią wygodnie przejść obok siebie dwu ludzi, ale nie więcej. – Widzę – rzekł stary mag – że musieli to wszystko sami tu przynieść. Dlatego jest taka mała.

Tsurańczycy podczas Wojen o Przetokę używali przynajmniej ośmiokrotnie większej, o ile dobrze pamiętam to, co mówił mi Arutha – odezwał się James. – Przez tamtą mogły przejeżdżać wozy.

– Przez tą też... choć tylko niewielkie powozy – odpowiedział stary. – No... zobaczmy, co mogę zrobić, by ją zamknąć.

W drewnianej kolumnie niedaleko od siebie znalazł kilka wyciętych z drewna urządzeń. Wszystkie były inkrustowane kamieniami. Przesunął dłoń z góry na dół. Kiedy dotknął palcami drugiego kamienia od dołu, strzeliła zeń iskra. Patrus padł jak rażony gromem. James pomógł staremu dźwignąć się na nogi.

– No... – wycharczał mag. – Czegóż się przecież dowiedziałem.

– Czego? – spytał James.

– Żeby nie dotykać tego przeklętego kłejnotu...

Znów podszedł do maszyny. Gdy się odwrócił w stronę, gdzie stał James, pokazało się kolejnych sześciu moredhełów. James znów skierował ich za Moraeuulfem, oni zaś posłusznie się oddalili.

– Dasz radę? – spytał Locklear. – Może powinniśmy ją podpalić?

– Może... – odpowiedział stary mag. – Ale osobiście bardzo w to wątpię – stwierdził, zniżając głos. – Magiczne urządzenia niełatwo padają ofiarą ognia. Dajcie mi kilka minut, chłopcy... pozwólcie mi się jej przyjrzeć.

James i Locklear spojrzeli na siebie. W oczach obu młodzieńców można było odczytać tę samą myśl: „Mogą nie mieć nawet tych paru minut”.

Pug zaczerpnął tchu.

– Owynie... musisz mi pomóc jeszcze raz. Choć moja moc wraca, wiem, że nie zdołam nas przenieść do Sethanonu. Ty będziesz musiał to zrobić.

– Ja? – zdumiał się Owyn. – Ale ja nie wiem jak!

Owszem, wiesz – odpowiedział Pug. – Wiesz większość z tego co ja, tylko na razie nie zdajesz sobie z tego sprawy. A teraz odpręż się i pozwól,

że cię poprowadzę. – Od chwili, kiedy Gamina połączyła ich umysły, Pug potrafił przenikać do umysłu Owyna i pomagał mu skupiać się na magii. – Musisz sięgnąć poza siebie – podpowiedział spokojnie. – Sethanon jest gdzieś... tam... – dodał, podczas gdy Gorath wszystko bacznie obserwował. – Musisz sięgnąć... – szeptał Pug – i... – Nagle źrenice oczu maga rozszerzyły się ze zdumienia. – Przetoka! Czuję ją!

– Gdzie! – poderwał się Gorath.

– Gdzieś niedaleko Sethanonu. To tam właśnie musi mieć swą siedzibę Makala.

– Ruszajmy tam natychmiast! – zapalił się Gorath. – Jeżeli jest tam Delekhan i inni, tam właśnie powinniśmy się udać!

Pug kiwnął głową i chwycił Owyna za ramiona.

– Zamknij oczy i pozwól, że tobą pokieruję. To po prostu jak... przejście przez drzwi.

Owyn zrobił, o co go poproszono, i oczami duszy ujrzał przed sobą drzwi. Poczuł, jak Pug ujmuje dłoń Goratha, przestąpił próg...

...i wpadł w pustkę.

Chwilę później zaś dość niezgrabnie wylądował na trawie.

Podniósłszy wzrok, zobaczył nad sobą Jamesa, który zwrócił się do Patrusa z zapytaniem:

– Jak to zrobiłeś?

James podał dłonie Owynowi i Pugowi, Locklear zaś dźwignął Goratha.

– Jeżeli ktoś gdzieś kiedyś zjawił się bardziej w porę, ja o tym nie słyszałem. Witajcie!

– Dziękuję, Jamesie! – zawołał Pug. – A któż to taki? – spytał, patrząc na Patrusa.

Patrus, do usług – odpowiedział stary, mijając maga i podchodząc do maszyny. – Działa tylko w jedną stronę.

– To Mistrz Pug! – Jamesa oburzył brak szacunku, jaki stary okazał największemu magowi Midkemii.

– Wiem! – Machnął dłonią Patrus. – Widziałem go kiedyś... z daleka. Przybył do Timons, szukając kandydatów do swojej Akademii. Witaj, Owynie.

– Witaj Patrusie. Jak tu trafiłeś? .-”.

– Długo by o tym gadać.

Z maszyny wyłoniła się kolejna grupka moredhelów.

– Elfy atakują Moraeulfa na zachodnim moście. Ruszajcie mu na pomoc!

Przybyli wyglądali na lekko zagubionych i jeden przeniósł wzrok z Jamesa na Goratha.

– Słyszeliście! Biegiem...aaarsz! – zagrział Gorath w najlepszej koszarowej tradycji.

Moredhele pobiegły ku zachodowi.

– Pojawiają się co pięć minut – stwierdził James. – W grupkach sześćoosobowych.

– No, to mimo wszystko siedemdziesięciu na godzinę – stwierdził Locklear – a wojska Aruthy są o dzień drogi. Martin i elfy nie dają odetchnąć moredhelom na zachodzie, Gardan nadciąga od północy, ale jeżeli nie uda nam się zamknąć tego portalu, do rana będziemy tu mieli ponad tysiąc szabel!

– Gdzie jest Delekhan? – spytał Gorath.

– Zgodnie z tym, co mówił jego syn, on i jego gwardia są już w drodze do Sethanonu – stwierdził James.

– Musimy tam natychmiast ruszać! – zaperzył się Gorath.

– Powinniśmy pierwiej zatrzymać tę maszynę – stwierdził James.

– Mogę pomóc – stwierdził Pug – ale mnie samemu nie wystarczy mocy, by to uczynić.

– Więc co mam zrobić? – spytał Owyn.

I wtedy Patrus jednym susem wskoczył na platformę.

– Ty, chłopcze, masz zostać tam, gdziejesteś, i trzymać się z daleka.

– Co ty wyprawiasz? – zdumiał się Pug.

– Magu... dobrze wiesz, co trzeba zrobić. Nie da się jednak tego dokonać gładko i bez ryzyka. – Stary uśmiechnął się do Owyna. – Słuchaj go, chłopcze. Wiele się od niego możesz jeszcze nauczyć... – I wskoczył w środek portalu.

– Nie, nie tak! – zawołał Pug.

Zamiast jednak odbić się od powierzchni portalu – czego spodziewał się Pug – Patrus powoli wniknął w przestrzeń pomiędzy jego belkami. Posoch Patrusa zapłonął jaskrawym blaskiem, a on spojrzał płonącym wzrokiem na Owyna.

– Chłopcze, ty wiesz! Musi to zrobić jeden z nas... a ja jestem stary i zbliżam się do końca drogi. Zrób to!

Pug chwycił Owyna mocno za ramię.

– Daj mu swoją moc!

– Co takiego? – zachnął się młodzieniec.

– Tę przetokę da się zamknąć tylko od środka! Daj mu swoją moc! Szybko!

Owyn zamknął oczy i raz jeszcze pozwolił, by pokierował nim Pug. Podniósłszy dłoń, poczuł przepływający przez nią strumień energii. Z jego palców strzeliły błyskawice. Uderzyły one w starego maga, który na poły zawisł w portalu. Patrus wydał dziki okrzyk i zastanawiający się później nad tym wszystkim Owyn nie umiałby orzec, czy był to krzyk bólu, czy

tryumfu. Portal zamigotał nagle, a potem eksplodował, powalając wszystkich na ziemię.

James pierwszy zerwał się i rozejrzył dookoła.

– Gdzie go zanosło?

Pug potrząsnął głową:

– Odszedł.

– Jak to, odszedł? – spytał Owyn.

– Wiedział, na co się waży – odparł Pug. – Kiedyś zamykałem przetołę od środka. Pomagał mi Macros Czarny... i niewiele brakło, a zginąłbym.

– Umarł śmiercią walecznych – stwierdził Gorath.

Owyn na chwilę poddał się ogarniającej go fali smutku.

Patrus był jego pierwszym nauczycielem i choć niewiele posiadał cech, za które można by go lubić, młody człowiek podziwiał go i szanował. Długo milczał, w końcu westchnął i wstał z ziemi.

– Nie mam pojęcia, kiedy Moraelfowi i innym znudzi się gonitwa po krzakach, ale ten wybuch musiał kogoś zaalarmować – zauważył James.

– Tak czy siak trzeba nam się stąd wynosić – stwierdził Pug.

– Którędy i dokąd? – zapytał James. – Nie zamierzam ponownie przedzierać się przez hordy moredhelów. Zabrakło mi już zwodów i sposobików.

Musimy dostać się do Sethanonu – stwierdził Pug. Spojrzał na Jamesa i Lockieara. – Wy dwaj wiecie dlaczego, a pozostali dowiedzą się już niedługo.

– Jeżeli Delekhan jest w Sethanonie – stwierdził po prostu Gorath – to i mnie tam wypadnie droga.

– Sformujmy krąg! – polecił Pug. Wszyscy ujęli się za ręce. – Owynie... odpręż się i daj sobą pokierować.

Owyn wykonał polecenie i Pug przejął prowadzenie. Tym razem młodemu magowi przyszło to łatwiej niż poprzednio i wszystko odbyło się szybciej.

I nagle znaleźli się gdzie indziej. Poczuli ruch... przemieszczenie...

– Jesteśmy już prawie...

Uderzyli w barierę bólu i nawet Gorath zawył, gdy coś odepchnęło ich od miejsca, ku któremu zmierzali. Potężnie zbudowany moredhel był ostatnim, który stracił przytomność. Tuż przedtem zobaczył, jak jego towarzysze zwijali się w drgawkach bólu. Zaraz potem padł bez przytomności.

ROZDZIAŁ 20

ODDĘT

Ziemia była wilgotna.

Pug przetoczył się na łokieć i zobaczył, że James i Locklear wciąż leżą nieprzytomni. Gorath, owszem, był świadom tego, co się z nim dzieje, nie miał jednak pojęcia, gdzie jest. Owyn usiadł, wspierając się na rękach.

– Co to było? – jęknął.

– Uderzyliśmy w jakąś barierę. – Pug zamknął oczy, czując, że ból w głowie niknie i gdzieś się rozpływa.

James też powoli odzyskiwał przytomność. Usiadł, zamrugał i w końcu doszedł do siebie.

– Gdzie jesteśmy? – spytał.

Pug wstał i rozejrzał się dookoła.

– To stary dziedziniec w Zamku Sethanon. – Wskazał dłonią wypaloną wartownię nad bramą. – Nasz cel znajduje się gdzieś pod nami.

– Jak się tam dostaniemy? – spytał Gorath.

– Będziemy badali granice bariery, aż znajdziemy miejsce, w którym zdołamy wejść do tunelów pod Starą Twierdzą. Nie mogli wznieść i utrzymać bariery nad tym całym labiryntem.

– A to dlaczego? – spytał Owyn.

– Bo nawet sześciu Tsurzańskich Wielkich nie zdoła utrzymać takiej bariery nietkniętej przez cały czas. Makala nie wie, że udało mi się uciec z Timiriany. Bariery tę ustawił w zasadzie po to, aby nikt mu nie przeszkadzał. Co oznacza, że jego sześciu sprzymierzeńców zmienia się,

pilnując jej. Nie jest to sprawa najważniejsza, więc nie poświęcają jej zbyt wielkiej uwagi.

– Wydaje mi się, że twemu rozumowaniu nie sposób zarzucić błędu – stwierdził Locklear.

– Jeżeli istnieje miejsce, z którego można przeniknąć do Starych Lochów, to musimy go poszukać na najniższym poziomie opuszczonej twierdzy. Tam powinniśmy zacząć.

– Znajdę jakąś pochodnię – zaproponował Gorath.

– Jak się czujesz? – spytał Pug Owyna, gdy czekali na powrót moredhela.

– Jestem poobijany, zmęczony i wściekły. Ale poza tym czuję się wybornie. A ty?

Pug złożył dłonie razem i rozsunął palce o kilka cali. Pomiedzy nimi zatańczyły błękitne iskry.

– Moja moc wraca, choć powoli. Może ta zwłoka okaże się użyteczna. Nie chcę, by wiedzieli o tym inni – dodał, zniżając głos – ale jeżeli staniemy przeciwko tsurańskim Wielkim, to nawet gdybym był w najlepszej formie, nie sprostamy takim przeciwnikom. Musimy się uciec do podstępów i wykorzystać element zaskoczenia. Jeżeli zdołamy podejść jakiegoś maga, zaatakujcie go, by nie zdążył utkać żadnego czararu. Myśl o tym, że można zostać zaatakowanym fizycznie jest Tsurańskim Wielkim absolutnie obca, gdyż uważają się oni za prawie równych bogom. W ich świecie każdy jest im bezwarunkowo posłuszny, więc jeżeli zamiast rzucać zaklęcie, wydadzą nam jakiś rozkaz, a my go nie posłuchamy... zyskamy przewagę.

– Staję do tej konfrontacji niechętnie – przyznał Owyn. – W moim umyśle zaczyna się pojawiać część naszej wiedzy i myślę, że mógłbym

zrobić kilka rzeczy, do których wczoraj jeszcze nie byłem gotów... ale i tak wolałbym to odłożyć.

– Pozwól tylko, że tobą pokieruję.

Wrócił Gorath z pochodniami.

– Znalazłem je w opuszczonej komórce, ot tam. – Moredhel przyniósł też ze sobą wykonaną na sposób wyspiarski kuszę i worek pełen bełtów. Rzucił kuszę Locklearowi, który zaczął ją starannie badać.

– Jest brudna i nikt jej od lat nie oliwił – stwierdził po chwili. – Ale łuki nie zardzewiały. – Przystawił wylot łoża kuszy do ziemi i wsunął stopę w strzemię. W przeciwieństwie do ciężkich kusz obłęźniczych tę można było napiąć palcami. – I nie bardzo ufam tej cięciwie. – Cięciwa jednak wskoczyła na miejsce z głośnym metalicznym trzaskiem i Locklear wsunął bełt w prowadnicę. – Odsuńcie się – ostrzegł towarzyszy. – Jeżeli cięciwa trzaśnie, ktoś może zostać ranny.

Wymierzył w pobliskie drzwi i zwolnił zaczep. Pocisk utkwiał w drzwiach, które odpowiedziały głośnym łupnięciem. Locklear spojrzał na broń nie bez podziwu.

– Nasi rzemieślnicy jak już coś robią, to robią.

– Nie zechcesz spróbować raz jeszcze? – spytał James.

– Nie – odpowiedział Locklear. – Nie chcę przeciągać struny. Jeżeli choć jednego położę z zaskoczenia, to i tak będzie dobrze:.....:–.

James kiwnął tylko głową.

Pug spojrzał na niezbyt liczną grupkę swoich towarzyszy.

– No to chodźmy.

Mag zatrzymał się i podniósł dłoń.

– Zaczekajcie.

Przeciskali się przez głęboki tunel, tak wąski, że niewiele brakło, a musieliby poruszać się bokiem. Najgorzej szło Gorathowi – zdążył już

sobie podrapać ramiona o ściany. Przejście znaleźli za schodami, na końcu starego, wykutego w kamieniu tunelu pod zamkiem.

– Co tam? – spytał James.

– Tutaj. – Mag tknął palcem w nagi mur. – O ile dobrze pamiętam, tu powinniśmy znaleźć drzwi wiodące do niżej położonych komnat.

James wyjął z pochwy sztylet. Podobnie uczynił Gorath, pozostali zaś cofnęli się i zaczęli się przyglądać, jak towarzysze próbują się przebić żelazem przez gliniany mur. Wkrótce człowiek i moredhel byli oblani potem. Stojący z boku pomagali im odsuwać kawałki rumowiska. Nagle sztylet Jamesa uderzył w cegłę.

Książęcy giermek oczyścił wykute miejsce, przyjrzał mu się, a potem stwierdził:

– Widzę tu jakąś murarkę.

– Odsuń się – poprosił Owyn, przysuwając bliżej pochodnię. Ujrzał stare cegły.

Ignorując żar pochodni, pochylił się.

– To wygląda tak, jakby ten mur zapadał się w głąb. – Napał na cegłę, która zaprotestowała głośnym zgrzytem. – Cofnijcie się. – Kiedy towarzysze wykonali polecenie, przyłożył do ściany obie dłonie, wygiął grzbiet i pchnął z całej siły. Najpierw ustąpiła jedna cegła, potem druga... i nagle fragment ściany zapadł się z głuchym rumorem.

Gorath zdołał się utrzymać na nogach, cofnął się bowiem w porę. Tunel wypełniły kłębu drobnego pyłu. James i Locklear zaczęli przeraźliwie kichać.

Gorath tymczasem wziął pochodnię od O wy na i przeszedł przez dziurę. Zaraz za nim ruszył Pug, a następnie pozostali. Znaleźli się w dużej, pustej, pokrytej kurzem komnacie. Od setek lat nikt tu nie zostawił

najdrobniejszego śladu. Pug uniósł dłoń i z jego palców strzeliło światło, ukazując wnętrze sali.

Nie była to naturalna jaskinia. Pomiedzy łukami sklepienia widniały rzeźby smoków i dosiadających ich grzbietów osobników w barwnych zbrojach.

– Valheru... – szepnął Gorath ogarnięty zgrozą, a jednocześnie podziwem. – To miejsce kiedyś należało do nich.

– Zanim pójdziemy dalej – odezwał się Pug – muszę was przygotować na to, czemu mamy stawić czoło. Nie chodzi tylko o Sześciu, ale o coś jeszcze... Nieopodal znajduje się artefakt zwany Kamieniem Życia. Jest on dziełem Valheru. Miał być bronią, której chcieli użyć przeciwko bogom podczas Wojen Chaosu. To przedmiot tak niezwykły, że znacznie przewyższa moją zdolność rozumienia... a badałem go przez niemal dziewięć lat. Wiedziecie jednak, że miał się stać narzędziem zniszczenia. To właśnie on był celem, ku któremu zmierzał fałszywy Murmandamus dziesięć lat temu.

– Fałszywy Murmandamus? – zdumiał się Gorath, najwyraźniej zaczynający się w tym wszystkim gubić.

– On nie był prawdziwym moredhelem – wyjaśnił mu Pug – ale pantathiańskim Wężowym Kapłanem, któremu za pomocą czarnej magii zmieniono powierzchowność tak, by podążył za nim wasz lud, w przeciwnym bowiem razie czemuż mielibyście tracić życie w jego sprawie? Chwytał i wykorzystywał energię uchodzącego życia, by użyć jej jako klucza do aktywacji Kamienia. Boję się, że gdyby mu się udało, w rezultacie unicestwiłby wszelkie życie na Midkemii. Spustoszona Timiriana wydałaby się wam ogrodem w porównaniu z jałową skałą, w jaką zmieniałaby się Midkemia.

W oczach Goratha zabłysła żądza krwi:

– Tyle śmierci... tylko po to, by zaspokoić ambicje Pantathian?

Owyn też wyglądał na lekko zmieszanego.

– Czegoś tu nie rozumiem. W jaki sposób kapłan lub choćby mag o największych zdolnościach mógłby aktywować coś, co zostało pomyślane jako broń przeciwko bogom? Jeżeli Valheru odeszli w niebyt, sekret Kamienia Życia powinien zostać pogrzebany razem z nimi.

– Nie – odpowiedział Pug. – W kamieniu uwięziono dusze Yalheru i możliwe, że igranie z Kamieniem je uwolni.

Nawet jeżeli brak im ciał, energia ich zespolonych umysłów może wystarczyć do uruchomienia Kamienia Życia. Nie wiemy, czy to możliwe... ale nie wolno nam ryzykować.

– Więc ten Makala chce nas zniszczyć? – spytał Locklear.

– Aż tak szalony chyba nie jest – odpowiedział Pug. – Jest jednak ślepo oddany Imperium i podejrzewa, że w Królestwie mamy jakąś niszczycielską broń, której pewnego dnia użyjemy przeciwko jego narodowi. Desperacko pragnie odkryć jej sekret, by w razie potrzeby się przed nią zabezpieczyć... albo zbudować w Imperium Tsurani coś podobnego i pertraktować z Królestwem jak z równym.

– Dureń! – sarknął Gorath. – Bezmózgi idiota!

– Nie! – zaoponował Pug. – Nie lada z niego mag. Nie jest jego winą, że widzi sprawy jednostronnie. Gdybym był u szczytu swej potęgi, nie potrafiłby stawić mi czoła... ale teraz, kiedy straciłem część mocy. Kto wie? Dlatego pierwaj musimy obezwładnić jego sześciu kompanów, a potem Owyn i ja zajmiemy się ich mistrzem. – Spojrzał na Goratha i Owyna. – Pokładam w was ogromne zaufanie. W tobie, zbuntowany wodzu moredhelów z Ziem Północy, i w tobie, najmłodszy synu szlachetki ze Wschodu. Sekret Kamienia Życia znają tylko członkowie rodziny

królewskiej i ci nieliczni, którzy byli tu podczas bitwy pod Sethanonem... tacy jak Locklear i James.

– Pierwej zginę, niż komukolwiek o tym powiem – stwierdził Gorath.

Owyn tylko kiwnął głową.

– A teraz chodźcie za mną.

Pug poprowadził ich długim korytarzem, który kiedyś był najwyraźniej wejściem do podziemnego miasta.

– Grody północne, Sar–Sargoth i Sar–Isbandia, zostały zbudowane przez glamredhelów na wzór tego. Nazywano je kiedyś Miastem Draken–Korina.

– To imię przetrwało i w naszej tradycji – stwierdził Gorath. – Nawet wśród Valheru uważany był za szalonego.

– A jednak to on przekonał ich, by zamknęli swe osobowości w Kamieniu Życia.

Tunel był bardzo rozległy.

– Dlaczego ten korytarz jest tak wielki? – spytał Owyn.

– A widziałeś kiedyś małego smoka? – Roześmiał się Pug.

– Nie.

– To przejście dla smoka... a Valheru dosiadali sporych bestii.

Zbliżyli się do ogromnych drzwi. Wycięto je w drewnie, teraz skamieniałym tak, że twardością nie ustępowało żelazu. Zawiasy wielkości rosłego męża zastygły przed setkami lat. Szczelina pomiędzy drzwiami okazała się jednak dość szeroka, by mogli się przez nią precyzyjnie do wielkiej sali.

Nagle Gorath skoczył przed siebie, jego miecz wyfrunął z pochwy i zanim Pug czy Owyn zdążyli choćby pomyśleć o jakimś zaklęciu, na posadzkę runęły trupy dwu goblinów.

– Znaczy, jesteśmy blisko – stwierdził Pug.

– Delekhan też – odpowiedział moredhel.

– Makala może go wykorzystywać – rzekł mag ze Stardock – ale nie sądzę, by zechciał się z nim podzielić sekretem Kamienia Życia. Żaden z waszych szamanów nie mógłby go tu przenieść. Aby tu dotrzeć, musiał znaleźć drogę z powierzchni.

– Wątpię, by tak rozległy kompleks miał tylko jedno wejście – stwierdził Gorath.

– To prawda – odparł Pug. – Makala mógł się tu przenieść dzięki magii, ale za pierwszym razem ktoś musiał go tu wprowadzić.

– Nago – stwierdził moredhel. – Był na południu niemal rok, zanim zaczęło się to całe szaleństwo. Gdybyśmy mogli wydusić prawdę z tego... Makali, to pewnie by się okazało, że to Nago pokazał mu wejście do tych lochów.

Nad tym będziemy się zastanawiać później – stwierdził Pug. – Kiedykolwiek i gdziekolwiek się spotkali, doszli do wniosku, że mają na tyle zbieżne cele, iż mogą wspólnie zrealizować to przedsięwzięcie. – Popatrzył w mrok, jakby usiłował przejrzeć ciemności. – Ja jednak uważam, iż to Makala wykorzystuje Delekhana, jak fałszywy Murmandamus wykorzystał twój lud, Goracie. Wysyła twoich ziomków, by umierali, walcząc z moimi... a wszystko po to, by utrzymać armię Księcia z daleka od tego miejsca.

Ruszyli dalej i nagle Pug się zatrzymał.

– Stójcie! – Ruszył do przodu i wyciągnąwszy przed siebie dłoń, zaczął ostrożnie macać pozorną pustkę. – Owynie, zechciej tu podejść. Dotknij tego.

Owyn podszedł do Puga i wysunął dłoń. Poczł pod palcami napór energii. Mrowienie w palcach było tym silniejsze, im mocniej napierał na niewidzialną zaporę.

– To ta bariera?

– Owszem – odpowiedział Pug. – To właśnie na nią się natknęliśmy, kiedy usiłowaliśmy się tu przenieść z góry.

Mag ze Stardock pchnął lekko prawą, a potem lewą ręką. Chwila badań wystarczyła.

– To sfera. Musimy po prostu iść po jej obrzeżu, aż trafimy na źródło.

Ruszyli w lewo i dotarli aż do ściany, a potem cofnęli się w prawo. W głębi sali Gorath dostrzegł drzwi.:

– Spróbujmy tędy – zaproponował.

Podążyli nowym tunelem, wiodącym w głąb podziemi.

Pomieszczenie było tak silnie przesycone magią, że wyczuli to nawet Locklear i James, którzy – nie wiadomo dlaczego – dostali gęziej skórki.

– Co to za miejsce? – spytał James.

– Komora skarbcza – odpowiedział Pug. – Jedna z wielu. Nie dotykajcie tu niczego. Niektóre z tych urządzeń i przedmiotów są magiczne i nie umiem przewidzieć, czym skończyłaby się ich aktywacja.

– A cóż to takiego? – Owyn wskazał wielki łowiecki róg, z wrytym nań osobliwym runicznym napisem.

– Ta inskrypcja jest mi znana. Swoje własne pismo kształtowaliśmy wedle tego wzoru – odezwał się Gorath. – To pismo Valheru.

– I co oznacza? – chciał wiedzieć Owyn.

– To znak Władcy Orlich Perci.

Pug usiłował sobie przypomnieć, któremu z Valheru nadano to miano. Wiedział, że gdyby był tu z nim Tomas, natychmiast podałby mu odpowiedź.

– To tylko sterty łupów – stwierdził Gorath. – Przynoszono tu zdobycze i trofea. – Z lekką pogardą spojrzął na stosy pokrytych kurzem bogactw. Leżało tu złoto, klejnoty i wiele innych znanych mu i nie znanych przedmiotów.

Owyn uniósł dłoń nad myśliwskim rogiem.

– Pug, zechciej, proszę, to zbadać...

Stary mag ostrożnie dotknął rogu i podniósł go nieco.

– Emanuje zeń magia – powiedział cicho. I nagle sobie przypomniał... a może róg miał własną pamięć, którą mógł przekazywać innym. Mag ze Stardock puścił go, jakby ten nagle go oparzył. – Algon–Kokoon! Zabity przez Ashen–Shugara! – Po chwili dodał ciszej. – Tomas rzeczywiście wiedziałby to. To róg myśliwski, który... – Nagle przyszła mu do głowy pewna myśl. Ujął róg za złoty sznur, na którym go zawieszono, i przełożył przez ramię Owyna. – Jeżeli nadal działa, może nam się przydać. – Potem rozejrzał się dookoła. – W Sethanonie jest tak wiele tajemnic... a ja nigdy nie miałem czasu nawet pobieżnie ich zbadać. Wiem tak niewiele, że... – Bezsilnie potrząsnął głową.

– Wiemy jedno – odezwał się Owyn – gdzieś tam przez sobą mamy Makalę... i musimy go powstrzymać.

Pug kiwnął głową i odwrócił się ku wyjściu z pradawnego skarbcza. Ruszyli w głąb kolejnego korytarza.

Z widocznej w oddali niewielkiej komnaty biło światło, więc Gorath zgasił swoją pochodnię. Aby zaoszczędzić energię, Pug też przestał korzystać z magicznej poświaty. Czuł, że w pełni wróciła do niego dawna wiedza, a możliwości Owyna przerosły znacznie to, co potrafił młodzieniec, którego Locklear przed kilkoma miesiącami spotkał na Północy. Teraz jednak mieli przeciwko sobie siedmiu Wielkich z Kelewanu – Makalę i jego sześciu kompanów.

Przekradłszy się korytarzem, dotarli do kolejnej sali. Gorath wysunął ostrożnie głowę za róg i natychmiast ją cofnął. Podniósłszy w górę dłoń z wyprostowanymi trzema palcami, spojrzął na Puga i Owyna, którzy kiwnięciami głów potwierdzili zrozumienie wiadomości. W komnacie

znajdowało się dwu magów, którym towarzyszył sługa lub strażnik. Pug z prawdziwym bólem pomyślał o konfrontacji ze swoimi braćmi. Był pewien, że Makala nie powiedział im wszystkiego, a nawet jeżeli to uczynił, przekazał im tylko własną, pokrętną wersję całej historii.

Tak czy owak doszedł do wniosku, że swoimi talentami wspomogli sprawę, która doprowadziła do śmierci tysiące istot: ludzi, moredhelów, trollów i goblinów – a tego darować im nie mógł. Kiwnął głową, wskazał siebie i skinieniem dłoni dał do zrozumienia, że zajmie się lewą stroną komnaty. Owynowi zostawił prawą. Potem wskazał palcem kuszę Lockleara, nakazując mu uciszyć trzecią osobę.

Odczekał jeszcze chwilę, by się upewnić, że wszyscy zrozumieli, co mają robić, a gdy potwierdzili to kiwnięciami głów, machnął dłonią i wpadł do komnaty.

Owyn i Pug tkali już swoje czary, kiedy trzech przeciwnicy podnieśli głowy. Dwaj z nich mieli na sobie czarne szaty Wielkich, trzeci był wojownikiem moredhelów.

Locklear podniósł kuszę, wstrzymał oddech, wymierzył, jak go uczono, i zwolnił zaczep.

Bełt trafił moredhela w pierś i uniósłszy go w powietrze, rzucił nim o ścianę. Ofiara uderzyła w nią z głuchym plaśnięciem, a potem osunęła się, zostawiając na niej krwawy ślad.

Dwaj Tsuranczycy nie ruszyli się nawet – nikt nigdy nie rzucał im wyzwania i zamarli z zaskoczenia. W następnym ułamku sekundy zostali ugodzeni zaklęciem bezruchu, co skwitowali jękami bólu. Gorath, trzymający już miecz w dłoni, natychmiast rzucił się, by zabić magów.

Zajęło mu to sekundę.

Pug rozejrzał się dookoła, podniósł dłoń i nadstawił ucha, oczekując jakichkolwiek oznak alarmu.

Nasłuchiwali wszyscy... trwało to minutę.

– Zostało jeszcze czterech oraz Makala – stwierdził Pug.

– Wiecie... – odezwał się James. – To wygląda jak sypialnia. – Wskazał dwie leżące na ziemi prycze. – Oni tu chyba odpoczywali, podczas gdy ich braciszkanie utrzymują tarczę wokół Kamienia Życia.

Pug zamknął oczy i wyteżył wszystkie zmysły. W oddali wyczuł znajomą obecność. Sięgnął ku niej, ale nie udało mu się nawiązać kontaktu.

– Jeszcze nie... – szepnął.

– Jeszcze nie co? – spytał James. Na jego twarzy zaczynały już być widoczne ślady mordęg i trudów minionych miesięcy.

Pug spojrzał na niego, a potem na Lockleara.

– Czy wy dwaj dbaliście jakoś o siebie od opuszczenia Northwarden?

– No... uzdrowiciel Aruthy dał nam napój, który wypiliśmy na noc, a rano obudziliśmy się w pełni sił...

– Te napoje działają dosyć krótko. Kiedy będzie po wszystkim, powinniście odpocząć kilka dni. Uważajcie. Wasze zmysły są już przytępione... i nie reagujecie tak szybko, jak myślicie.

Locklear spojrzał na Jamesa.

– Jeżeli on chce nam powiedzieć, że jesteśmy zmęczeni, to przekaż mu, że najlepiej o tym wiemy...

James uśmiechnął się lekko i poklepał – wcale nie lekko! – przyjaciela po policzku.

– On nam chce tylko powiedzieć, żebyśmy nie zachowywali się jak zarozumialcy.

– Jimmy Rączka zarozumiała? Bogowie zachowajcie! – odparł Locklear.

– Ruszajmy – wezwał towarzyszy Pug. – Zakłęcie takie jak ta bariera, to nie przelewki. Jest podobne do tego, które wznosił wokół mnie ten timiriański bóg.

Przeszedłszy przez kolejny korytarz, trafili do następnej rozległej komnaty. W głębi sali dostrzegli poruszające się sylwetki. Pug skinieniem dłoni wezwał przyjaciół, by się rozproszyli.

I nagle wokół rozbłysło światło.

Z pomieszczenia wyłoniły się dwie postacie w długich szatach.

– Powiedziano nam, że to ty, Milamberze... – odezwał się jeden z nadchodzących.

– Zatapeku, nie stawaj przeciwko mnie. Makala was okłamał... i jesteście odpowiedzialni za śmierć wielu niewinnych istot. Odstąpcie, zanim utoniecie w potoku wytoczony przez was krwi.

– Milamberze... Makala nie jest jedynym członkiem Zgromadzenia, który mniema, że zwodzisz nas, kierując się bardziej dobrem swej rodzinnej nacji niż dobrem Imperium. Gdyby było inaczej, dlaczego ukrywałbyś przed nami istnienie tej potężnej broni?

Mag stojący za Zatapekiem odsunął się, jednocześnie mierząc w Puga swoim posochem, jakby ten był bronią, z której można wystrzelić. W tej samej chwili obok Puga rozległ się jęk ciężkiej kuszy i nieznajomy obrócił się na pięcie z rozszarpanym ramieniem. Z rany trysnęła krew, a on jęknął przeraźliwie.

Zatapek uniósł nad głowę obie dłonie, wymierzywszy palce w Puga. Wystrzeliła z nich fala błękitnej energii. Pug poczuł, że każdy mięsień jego ciała chwyta nagły skurcz i upadł na kamienną posadzkę sztywny jak kłoda.

Owyn odpowiedział ognistą kulą. Frunęła ona z jego dłoni prosto na Zatapeka. Tsurkański mag nie dał się jednak zaskoczyć i jednym ruchem stworzył tarczę, na której kula rozpląszczyła się i spłynęła na posadzkę, rozsypując się w deszcz iskier.

Jedynym sukcesem było to, że odpowiadając na atak Owyna, Tsurkańczyk musiał uwolnić z uchwytu Puga. Energia, którą raził maga ze

Stardock, rozplynęła się po kamieniach, zostawiając go roztrzęsionego i obolałego... ale żywego.

Owyn nie bardzo wiedział, co powinien zrobić dalej, zamknął więc oczy i zdał się na podświadomość. Wysunął przed siebie dłoń i jednym słowem wysłał przeciwko Tsurńczykowi falę sprężonego powietrza. Zatapek nie spostrzegł tego w porę... przygotowywał zresztą kolejne zaklęcie energetyczne. Kiedy zorientował się, w czym rzecz, było już za późno. Huragan niczym uderzenie młota cisnął nim na kilkanaście stóp.

Gorath skoczył za nim błyskawicznie i ostatnim obrazem, jaki Wielki zabrał ze sobą w zaświaty, był wizerunek potężnego moredhela z uniesionym mieczem. Wódz Ardanielow ściął jego głowę równie gładko, jak ogrodnik ścina dojrzały melon.

Owyn podbiegł do Puga i przekonał się, że mag ze Stardock wciąż jeszcze odczuwa skutki porażenia energią. Drżał, miał zaciśnięte zęby, a na jego wargach malował się dziwny grymas.

– Możemy coś zrobić? – spytał Locklear.

– Nie mam pojęcia – stwierdził uczciwie Owyn. Dotknął dłonią Puga i natychmiast poczuł eksplozję bólu przeszywającego mu palce. Zamiast jednak cofnąć rękę, skupił umysł na nim. Kanalizując strumień energii, skierował go w posadzkę... i nagle ból minął.

Pug jakby zapadł siew sobie. A potem nagle nabrał powietrza i wypuścił je, wydając niemal jęk...

– Mistrzu! – zawołał James. – Tomy!

Pug kiwnął słabo głową, dając znak, że wszystko rozumie.

– Pomóżcie mi wstać – wyszeptał niewyraźnie, bo wciąż bolały go mięśnie twarzy. James ujął go w pól i pomógł mu dźwignąć się na nogi, które mimo pomocy przyjaciela wciąż lekko drżały. – Wkrótce się rozruszam... – wystękał.

– Cieszy mnie to – wyznał szczerze Owyn. – W tej minucie zużyłem więcej magii niż przedtem w całym życiu.

– Doskonale się spisałeś. Zaufałeś swoim instynktom. Jeżeli nadal będziesz tak postępował, obaj w przyszłości na tym zyskamy. – Pug odsunął się od Jamesa i wyglądało na to, że z każdym ruchem przybywa mu sił. – To już czterech. Z tych, co zostali, przynajmniej jeden będzie podtrzymywał barierę. Może zresztą być ich nawet dwu. Jeżeli ich znajdziemy i zdołamy unieszkodliwić, zniknie zaklęcie okrywające Kamień Życia i dotrzemy do Makali.

Rozejrzał się dookoła. Mag, którego postrzelił Locklear, skonał z upływu krwi.

– Za tymi drzwiami znajduje się kolejny skarbiec. Jego jedna ściana jest uszkodzona. Kamienie porozbijano w potężnym boju setki lat temu. Za tą szczeliną w murze znajdziemy komnatę Kamienia Życia.

– To trzeba nam założyć, że za tymi drzwiami czają się ostatni dwaj Tsuranczycy i Makala.

– Chodźmy – powiedział Pug. Ruszył powoli ku drzwiom. Po drodze spojrzął na Zatapeka, młodego Wielkiego, którego nie znał. „Musiał przejść szkolenie, kiedy byłem na Kelewanie, pomyślał. Szkoda”. Martwy mag wpatrywał się pustym spojrzeniem nieruchomych oczu w kamienne sklepienie na obcym świecie. „Cóż za strata” – dodał w myślach, odchodząc.

Znalazłszy się przy drzwiach, skinieniem dłoni nakazał pozostałym, by się zatrzymali. Za drzwiami mignęły mu dwie sylwetki – nie sądził, by tamci go spostrzegli. Musieli przecież dzielić uwagę: wiedzieli o nadejściu Puga i jego towarzyszy, ale też podtrzymywali barierę. Mag ze Stardock spodziewał się również, że trwająca już jakiś czas służba zaowocuje

zmęczeniem i dekoncentracją... zdawał sobie jednak sprawę i z tego, jak niewiele czasu im pozostało.

Delekhan i jego Tkacze Zakłęb musieli być gdzieś niedaleko, także bowiem usiłowali odznaleźć tę komnatę – albo po to, by uwolnić Murmandamusa – jeżeli faktycznie wierzyli w tę brednię – albo, by ogłosić się spadkobiercami jego potęgi. Tak czy owak przybycie Delekhana albo sukces Makali, usiłującego aktywować Kamień, położyłby kres ich mizernym wysiłkom.

Pug cofnął się o krok i zamknął oczy.

Wzywałam was, ale nie mogłam do was dotrzeć – usłyszał nagle znajomy głos. Spojrzał na Owyna.

– Wyrocznia.

Młodzieniec kiwnął głową.

Musimy unicestwić barierę i uwolnić cię – Pug posłał myślowy sygnał.

Pewnej nocy zakradli się tu ci Wielcy i napełnili jaskinią mgłą. Uspiała ona moje sługi, a mnie samą wielce osłabiła. Potem nałożyli na mnie zaklęcia Wiązów, których nawet ja nie mogłam przełamać. Wszystko dlatego, że nie umiem przewidzieć własnej przyszłości. Jeżeli będą miała dość czasu, to się uwolnię, ale nastąpi to w przyszłości tak odległej, że stanę się jedynie echem tego, czym byłam.

Pug przypomniał sobie, jakimi mocami władała Wyrocznia Aal, i zdumiały go rozmiary przygotowań, jakie poczynił Makala. Przyznał sam przed sobą, że nie docenił determinacji i zdolności Tsuranńczyka.

Makala jest zuchwały, ograniczony, ale – przynajmniej wedle pojęć jego ludu – nie okrutny. Gdyby życzył ci śmierci, już byłbyś martwy. Najbardziej cieszyłby się, gdybyś przez pewien czas nie mógł podjąć żadnych działań. Nie sądzę, byś naprawdę odniósł poważną szkodę.

– Musimy szybko unieszkodliwić tych dwu – odezwał się Pug do Owyna.

– A jesteś gotów? – spytał Owyn.

– Muszę! – Pug odwrócił się do Jamesa, Goratha i Lockleara. – Jeżeli przygotowali się na magię, może nie przewidzieli możliwości fizycznego ataku. Jak tylko tam wpadniemy, ruszajcie za nami, ale trzymajcie się na dystans, na wypadek gdyby nas porażono. To, co zobaczysz za barierą, może cię zdumieć i oszołomić – zwrócił się do Goratha – nie lękaj się jednak. To wielki smok, ale nie taki, jakie żyły onegdaj na Midkemii. Ona jest Wyrocznią Aal i za wszelką cenę trzeba ją ochronić przed zakusami Delekhana i innych... dopóki nie odzyska sił. Jeżeli nie uda mi się pokonać Tsuranńczyka, zostanie naszą jedyną nadzieją.

– Rozumiem. – Kiwnął głową Gorath. Spojrzał na Lockleara i Jamesa. – To godni towarzysze. Współ obronimy smoczą damę, podczas gdy wy unicestwicie magów.

Owyn już miał otworzyć drzwi, kiedy Pug go zatrzymał.

– Jest takie zaklęcie, które może nam dać czas potrzebny do konfrontacji z Makalą. Kiedy zapora zniknie, on pojmie, że jego towarzysze zawiedli.

– Co masz na myśli?

– Jeżeli, tak jak podejrzewam, są już osłabieni przez dotychczas wykonaną pracę, specyficzne łagodnie działające zaklęcie pozbawi ich przytomności. – Pug pokazał, o co mu chodzi. – Jeżeli okaże się skuteczne, przez kilka chwil będą jeszcze podtrzymywali barierę. Dostatecznie długo, byśmy przeszli przez tę komnatę do tego wyłomu w ścianie, oddzielającej ją od sąsiedniej. Będzie nam potrzebny ten czas, bo żeby spotkać się z Makalą, musimy przemieścić się w czasie.

Owyn kiwnął głową, zamknął na chwilę oczy, a potem powiedział:

– Znam zaklęcie, o którym mówisz! – Otworzył oczy szerzej. – Wydaje się dość proste!

– Jeżeli uda nam się przeżyć – odezwał się Pug z przekąsem – przypomnij mi, jak długo uczyłem się tego czaru. – Kiwnął głową i obaj przestąpili próg. Znajdujący się wewnątrz tsurańscy Wielcy byli najwyraźniej przygotowani na ich atak, ponieważ podtrzymywali barierę, dzieląc energię i wysiłek między siebie. Jeden z nich ruszył na Puga, a drugi szykował się do uderzenia ognistą kulą, która miała ostatecznie unicestwić maga ze Stardock.

– Uważaj! – zawołał Owyn, odsuwając się na bok. Tsuranczycy byli przygotowani, aby stawić czoło Pugowi, nie spodziewali się jednak, że przyjdzie im potykać się z dwoma magami. Królewscy magowie wykorzystali element zskoczenia i przygotowali, a potem rzucili czary, które ugodziły obu znużonych już Tsuranczyków. Wielkich ogłuszyło, jakby zostali trafieni młotami.

Pug ruszył biegiem. Owyn pognał tuż za nim, mijając unieruchomionych Wielkich, którzy przez chwilę jeszcze stali bez ruchu, a potem runęli na posadzkę.

Wraz ze zniknięciem bariery pojawiła się dalsza część komnaty. Choć Owyn wiedział, że zobaczy smoka, widok, jaki ukazał się jego oczom, mocno go zaskoczył. Stwór był ogromny – z pewnością największy, jakiego kiedykolwiek udało mu się zobaczyć. Jego spoczywający na płytach posadzki łeb miał wielkość dużego wozu. Skórę smoka pokrywały klejnoty. Całe cielsko zdobiły diamenty... tysiące diamentów od koniuszka ogona po czubek nozdrzy, nie wyłączając skrzydeł. Diamenty poprzetykane były gdzieniegdzie szmaragdami, rubinami oraz szafirami i smoczyca skrzyła się tęczą kolorów. Jej oczy kryły się za głęboko osadzonymi powiekami, a z

paszczy wystawały białe kły – każdy długości sporego miecza – odsłonięte teraz w wilczym uśmiechu.

Dziękuję wam, magowie...

Pug obejrzał tsurańskie urządzenie generujące barierę. Jego integralną część stanowiły maleńkie kryształki. Przyjrząwszy się całości, mag stwierdził:

– Wiemy teraz, dlaczego Makala tak rozpaczliwie potrzebował tego rubinu. – Wskazał machinę. – To klejnoty o niezwykłych właściwościach, o których mówiłeś, Owynie. Dostarczały energii temu urządzeniu, a Sześciu odpowiadało za utrzymywanie go w ruchu. Wiedziałem, że Wyroczeni nie dałoby się obezwładnić zwyczajną magią. Gorath i pozostali zostaną tu, by cię strzec – zwrócił się do smoczycy – a ja i Owyn zajmujemy się Makalą.

Musicie się pospieszyć. On nie przebiera w środkach...

Pug i Owyn ruszyli ku szczelinie w murze, która powstała, kiedy smoczyca stanęła do walki z najbardziej przerażającym stworem, Władcą Upiorów, podczas rozstrzygającej bitwy pod Sethanonem, kończącej Bunt Murmandamusa.

W tym momencie Pug oniemiał ze zdumienia. Spodziewał się zastać pustą salę, w której planował przesunąć w czasie siebie i Owyna, by znaleźć się w tym samym strumieniu czasu co Kamień Życia. Na widok tego, co zobaczył, jęknął tylko:

– O bogowie! Makala przemieścił Kamień do naszego czasu!

Tsurański Wielki stał przed wielkim szmaragdowym klejnotem, którego szczyt znajdował się na wysokości jego pasa. W Klejnocie tkwił złoty miecz o rękojeści wyrzeźbionej z kości słoniowej. Wokół rękojeści wił się wtopiony w nią złoty smok.

– Milamberze, jestem pod wrażeniem – stwierdził Tsurańczyk, odwracając się ku wchodzącym. – Nie sądziłem, że uda ci się przebić przez

moje linie obronne. Mam nadzieję, że Zatapek i inni nie cierpieli niepotrzebnie, gdy usiłowali cię zatrzymać?

Pug z trudem hamował swój gniew.

– Zginęli jak lojalni Tsuranczycy, okazując posłuszeństwo i z honorem, zupełnie nieświadomi tego, że podle ich zwiodłeś, ty dwulicowy łotrze i morderco!

Milamberze, nie mów mi o dwulicowości! Przysięgałeś wierność Imperium, a jednak ukryłeś przed nami istnienie tego wszystkiego! – Makala postąpił krok ku Pugowi i Owynowi. – Dziesięć lat temu wmieszałeś się w walkę, która miała zagrozić drogę Nieprzyjacielowi do naszego Świata, takie przynajmniej złożyłeś świadectwo przed Zgromadzeniem. Hochopepa i Shimone potwierdzili to kłamstwo! – Makala podniósł głos. – W imię tej wielkiej sprawy, na tym obcym świecie ginęli synowie najlepszych tsurańskich domów! A jednak nie raczyłeś nam powiedzieć, dlaczego to miasto jest tak ważne... i po co tę obcą glebę miała rościć tsurańska krew! Kiedy przybyłem do tego świata, unikałeś odpowiedzi na moje pytania. – Tsuranski mag mówił teraz spokojniej. – Sam więc postanowiłem znaleźć na nie odpowiedź i odkryłem to miejsce, do którego dostępu broniły pułapki, magia i ten potwór w sąsiedniej sali. Wszystko po to, by nie dopuścić mnie czy kogokolwiek innego, kto nie był na służbie tego! – Oskarżającym gestem wskazał Kamień Życia. – Nie zaparłeś tego świata przed Nieprzyjacielem! Zamknąłeś go w tym klejnocie... i trzymasz, być może po to, by któregoś dnia wypuścić go na tych, których uznasz za wrogów... na przykład na Imperium Tsurani!

– Chyba nie wierzysz w to, co mówisz – stwierdził Pug.

– Nie tylko w to wierzę, ale jestem o tym przekonany i zrobię wszystko, by ten dzień nigdy nie nadszedł. Niemal udało mi się otworzyć tę rzecz, a

gdy w pełni zrozumieję jej naturę, zabiorę ją do Świętego Miasta, gdzie poczeka na chwilę, kiedy zrobimy z niej użytek na rzecz Imperium!

– Pug, on chyba zwariował – odezwał się Owyn.

– Chłopczyku, nie wtrącaj się – odezwał się Makala, wykonując dłonią gest, jakim pan odsyła sługę. Owyn odskoczył w tył, jak uderzony młotem. W ostatniej chwili rozpoznał czar jako odmianę tego, którego użył przeciwko Zatapekowi, i osłonił się, chroniąc przed połamaniem kości. Mimo to uderzył w ścianę i na dość długą chwilę stracił oddech.

– Makalo – odezwał się Pug, stając twarzą w twarz z wrogiem. – Jesteś podstępny draniem i mordercą. Przyjąłem cię w moim domu, ty zaś zawiodłeś moje zaufanie. Potraktowałeś moją córkę niczym pionka w grze i naraziłeś jej życie na straszne niebezpieczeństwo. Gdyby nie inne twoje zbrodnie, już za tę jedną w moich oczach zasłużyłeś na śmierć. Ale by dotrzeć aż tutaj, oddałeś w ramiona śmierci tysiące istnień.

– Tym ważniejsze jest, by mi się powiodło, mój Milamberze. W przeciwnym wypadku okaże się, że zginęli... niepotrzebnie. Kiedy ten artefakt znajdzie się w Cesarskim Pałacu, powiemy, że oddali życie dla chwały Imperium.

Pug skoncentrował się, wiedząc, że staje naprzeciwko jednego z najbardziej utalentowanych członków Zgromadzenia.

– Nie będę z tobą walczył – stwierdził nagle Makala, cofając się o krok. – Widziałem, jak sam jeden zniszczyłeś wielką arenę w Kentosani. Nie żywię złudzeń i wiem, że ci nie sprostam... mimo że jesteś osłabiony. – Odwrócił się i dał dłonią znak komuś, kto krył się w mroku.

Z cienia wyłoniły się dwie wielkie, szare, skrzydlate i złowrogie figury.

– Ze świata Timiriany przyniosłem jedną, użyteczną rzecz... posoch należący do starego kapłana o imieniu Rlynn Skrr. Daje mi on władzę na tymi stworami. Zabijcie ich! – zwrócił się do dwu żywiołaków.

– Mogę stawić czoło jednemu, ty zajmiesz się drugim... – stwierdził Pug.
– Ale nie możemy walczyć z nimi i z Makalą. Zadmij w róg!

Niewiele myśląc, Owyn podniósł myśliwski róg do ust i zadął. Długa, płaczliwa nuta zawisła w powietrzu... Dźwięk bardziej przypominał wycie psa niż chrapliwy zwykle głos rogu.

Przez komnatę przeleciał niesamowity podmuch... jak echo starej, złowroziej magii. I nagle tuż obok Owyna zjawiała się para potężnych ogarów, o pyskach ociekających śliną i kłach niczym sztylety. Miały czerwone ślepia, a na szyjach kolczaste obroże. Oba zamarły w postawie „Waruj!”

– Wskaż im cel!!! – zawołał Pug.

– Kogo?

Pug spojrział na Owyna i w jego oczach młody mag zobaczył nagle gniew i nienawiść.

– Makalę!

Owyn spojrział na niespodzianie zbitego z tropu tsurańskiego maga.

– Brać go! – rozkazał psom.

Ogary runęły na swoją ofiarę. Pug odwrócił się natychmiast, kiedy ruszył na niego pierwszy z powietrznych ży wiołaków. Mag zastosował zaklęcie z Timiriany. Jak przedtem, stworza ogarnęły iskry tęczowej energii. Żywiołak znieruchomiał i wydał z siebie rozpaczliwy okrzyk.

Owyn rzucił ten sam czar na drugiego z przeciwników, wywołując ten sam efekt.

Obaj magowie zwrócili się teraz przeciwko Makali. Tsurańczyk wzniósł przeciwko atakującym go bestiom tarczę ochronną, ogary jednak nieustannie napierały i próbowały znaleźć drogę do niego. Tsurańczyk musiał się cofnąć. Atak piekielnych psów uniemożliwił mu także użycie magii przeciwko Pugowi i Owynowi.

Pug okrążył Kamień Życia i rzucił nań kątem oka, by sprawdzić, czy jest bezpieczny. Ujrawszy, że nikt nie zdołał fizycznie dotknąć Klejnotu, mag ze Stardock podziękował bogom.

Potem odwrócił się do Makali, wciąż odpierającego natarcie ogarów. Psy nie mogły go dostać, ale ich niezmożona energia zaczynała budzić w Tsurńczyku strach.

Pug stanął obok jednego z psów.

– Makalo! – zawołał. – Zdradziłeś mnie, moją rodzinę i twoje własne bractwo dla ślepej wiary w tsurańską zasadę funkcjonowania Imperium! Nie raczyłeś nawet zastanowić się nad tym, co to takiego owo „dobro Cesarstwa”. Gdybyś zechciał pomyśleć, zrozumiałbyś, że twój pomysł to największe zagrożenie dla Imperium od czasów, kiedy Nieprzyjaciół zmusił narody do ucieczki przez Złoty Most. Z powodu twojej arogancji i próżności zgasło tysiące istnień. Za to wszystko zapłacisz własnym życiem.

Skinieniem dłoni utkał czar, który rozdarł ochronną tarczę, jaką wznosił wokół siebie tsurański mag. Stary intrygant w jednej chwili pojął istotę czaru Puga.

– Neeeeee! – zawył okropnie... A potem dopadły go ogary i rozdarły na strzępy.

Skonał w jednej chwili. Psy jednak nadal rozdzierały jego ciało, a potem rozwłóczyły je po całej komnacie.

– Zasłużył na wszystko, co go spotkało – stwierdził Owyn, podchodząc bliżej, gdy dwa żywiołaki rozplynęły się w nicość.

– Odwołaj psy! – polecił Pug.

– Wara! – zawołał Owyn i psy znieruchomiały. – Co mam z nimi zrobić? – spytał, zwracając się do Puga.

Mag ze Stardock potrząsnął głową.

– Myślę, że po prostu musisz im powiedzieć, by wróciły tam, skąd przyszły.

Owyn odwrócił się ku ogarom, rzucił im rozkaz i psy znikły. Młody mag opuścił róg.

– To straszliwa władza i moc.

Pug położył dłoń na jego ramieniu.

– Każda niewłaściwie użyta moc jest straszna. – Spojrzał na poszarpanego przez psy trupa tsurańskiego maga.

– Był to kiedyś człek wielkiej mocy i znacznej pozycji. Stracił jedno i drugie. Nigdy o tym nie zapomnij.

– Nie zapomnę – obiecał Owyn. – Wiesz... nie uważam, bym się nadawał na wielkiego maga.

Pug uśmiechnął się lekko.

– Nadajesz się czy nie, nie sędzę, byś mógł uniknąć swego losu. Jesteś młodzieńcem o wielkiej mocy, Owynie.

– Ja? Ja jestem tylko młodzikiem, który nauczył się kilku sztuczek od ciebie i Patrusa.

– Nie, jest w tobie coś więcej. – Pug ponownie położył dłoń na ramieniu młodego maga. – Kiedy połączyliśmy swe umysły, otrzymałeś dużą część mojej wiedzy. Wiele z tego pozostanie uśpione w ciągu najbliższych lat, inne sprawy odkryjesz zupełnie niespodzianie już wkrótce. Po powrocie na dwór swego ojca możesz zrobić ze swoim życiem, co zechcesz, ale pamiętaj, że jesteś jednym z najbardziej utalentowanych magów na świecie.

– Będę musiał jakoś do tego przywyknąć – stwierdził Owyn. – Ja...

Dalszą ich rozmowę przerwał szcęk mieczy i wrzaski, jakie rozległy się z sąsiedniej komnaty.

Nie mogą ich powstrzymać. Wciąż jestem zbyt słaba – usłyszeli myśli Wyroczeni.

Pug odwrócił się ku szczelinie w ścianie i zobaczył, że ktoś się przez nią przeciska. Przez ułamek sekundy myślał, że to Gorath, potem jednak poznał wroga.

Moredhel skierował w stronę Puga i Owyna koniec swego posocha. Przez komnatę przemknęła błyskawica. Pug poleciał ku ścianie i uderzył w nią na tyle mocno, że ujrzał niemal wszystkie gwiazdy, a Owyn po raz kolejny stracił dech.

Mag ze Stardock zobaczył, że moredhelskiego Tkacza Zakłęt pchnięto z tyłu i do komnaty wcisnął się Lockiear, który z najwyższym trudem zdążył się odwrócić, by odbić cios kolejnego moredhela, wojownika, daremnie usiłującego powstrzymać niezmożonego księżęcego giermka od ataku na Tkacza.

I nagle okazało się, że w komnacie wre zacięty bój. Lockiear odpierał ataki wojownika, a James usiłował ciąć kolejnego zaklinacza, posługującego się posochem podobnym do tego, jakim porażeni zostali Pug i Owyn.

Owyn usiłował jakoś pomóc przyjaciołom, nie potrafił jednak zebrać myśli. Mógł się zdobyć jedynie na to, by podejść do miejsca, gdzie leżał Pug, i pomóc mu wstać.

– Bardzo mnie to już wyczerpało. Na plecach mam chyba siniaki na siniakach.

Pug potrząsnął głową.

– Co takiego?

Gorath tymczasem ściał się z Delekhanem. Samozwańczy wódz moredhelów nosił smoliście czarną zbroję, zdobioną na piersiach klejnotami, a na głowie hełm, który opisywał Pug.

Wódz Ardanienów zachwiał się i potknął, kiedy Delekhan uderzył go wolną ręką na odlew w twarz. Potem legł jak długi na kamiennych płytach

posadzki.

Ujrawszy zmasakrowanego trupa Makali, Delekhan wykrzywił wargi w uśmiechu pełnym mściwej satysfakcji. A potem jego wzrok padł na Kamień Życia.

Pug zrozumiał, że samozwańczy wódz moredhelów dotrze doń prędzej niż on. Makala był groźny z powodu swej wiedzy, Delekhan przedstawiał sobą jeszcze większe niebezpieczeństwo z powodu swej niewiedzy. Zobaczył złoty miecz i w jego oczach rozbłysła nieopanowana chciwość.

– Valheru! – wrzasnął przeraźliwie. – To miecz dla króla! Sięgnął ku rękojeści. W tej samej chwili Gorath skoczył mu na plecy i chwycił go od tyłu. Zwykłemu wojownikowi w kilka sekund skręciłby kark albo by go udusił.

Dłoń Delekhana zdążyła się jednak zamknąć na rękojeści miecza... i nagle całą jaskinię wypełnił przeciągły, brzęczący dźwięk. Delekhan wybałuszył oczy, ale wcale nie dlatego, że chwyt Goratha zrobił na nim jakiegokolwiek wrażenie. Wyglądało to tak, jakby z jestestwa wodza moredhelów usiłowała wyrwać się na wolność jakaś wielka moc.

Miecz zaczął się wysuwać z kamienia. Gorath widząc, co się dzieje, zrezygnował z próby skręcenia karku znenawidzonemu wrogowi, ale zamknąwszy dłonie na rękach Delekhana, zajął się wpychaniem miecza na powrót w Klejnot.

Pug potrząsnął głową, zebrał się w sobie i zobaczył, że Locklear i James wciąż jeszcze walczą ze swoimi przeciwnikami.

– Co robimy? – spytał Owyn.

– Goracie! Odsuń się! – zagrzemiał Pug.

– Nie mogę! – odpowiedział Gorath przez zaciśnięte zęby. – Jeżeli to zrobię, on wyciągnie Miecz z Kamienia!

Obaj moredhele walczyli zaciekle i obu nabrzmiały mięśnie ramion. Delekhan wytrzeszczył oczy, jakby wewnętrzne ciśnienie miało mu je wypchnąć z oczodołów. Poczzerwieniał też na twarzy, a jego skóra lśniła od potu. Jego rysy zmieniły się nieco... jakby przebijała przez nie inna osobowość.

– On się przekształca! – zawołał Pug.

– Musimy go zatrzymać! – dodał Owyn.

– Nie dotykaj go! – Pugowi z coraz większym trudem przychodziło przekrzykiwanie hałasu.

– Musimy mu pomóc!

– Nie możemy! – stwierdził Pug. – Musisz mi pomóc. Trzeba nam unicestwić ich obu.

– Nie... nie mogę! – jęknął Owyn.

– Musisz! – zagrzemiał Gorath. – Stare moce sięgają po moje życie. Owynie, ratuj mój lud! I ratuj mnie samego!

Młody mag kiwnął głową. Mimo iż oczy miał pełne łez, szybko uniósł dłonie nad głowę, poruszając nimi w zawiłym rytuale. Pug powtarzał jego ruchy i obaj wymierzili prawice ku dwu moredhelom zwartym w zacieklej walce nad Kamieniem Życia.

Z dłoni magów strzeliły błyskawice, które ugodziły w obu przeciwników. Przez chwilę stali oni skąpani w blasku tak jasnym, że raził w oczy. Przeciwnik Jamesa na ułamek sekundy odwrócił głowę, co dało młodzikowi czas na szybki doskok, zakończony pchnięciem sztyletu w pierś. Potem James też spojrział w stronę źródła blasku, ale również musiał odwrócić wzrok. Osłaniając oczy dłonią, doskoczył do wojownika, z którym walczył Locklear, i trzasnął go w kark, a Locklear dokończył dzieło szybkim pchnięciem.

Od strony skąpanych w blasku sylwetek dobiegł cichy jęk... a potem obaj przeciwnicy znikli. Chwilę później rozplynęło się w nicość i porażające wzrok patrzących światło.

Pośrodku pozostał nietknięty Klejnot i wbity weń miecz.

W komnacie zapadła cisza. Czterej przyjaciele znieruchomieli, wyczerpani do cna.

Owyn płakał, nie kryjąc łez.

– Rozumiem twój ból – odezwał się Pug.

– Co się stało? – jęknął Locklear. – Nic nie widzę!

James rozejrzał się dookoła.

– Gdzie jest Gorath?

– Oddał za nas życie – odpowiedział mu Pug.

James kiwnął głową z żalem na twarzy.

– Wiecie... – odezwał się po chwili. – Nigdy się nie spodziewałem, że będę czuł smutek po śmierci moredhela.

Locklear usiadł na ziemi.

– Niekiedy potrafił dać się we znaki, ale był moim... przyjacielem.

Pug był zbyt znużony, by się ruszyć.

– Myślę, że na początek prześpię się z tydzień...

– Zechciejcie wziąć się w garść, Mości Diuku Stardock – odezwał się James. – Przed nami jeszcze sporo pracy.

– Jakiej pracy? – spytał Pug.

– A ten Klejnot, który trzeba ponownie przesunąć w czasie? – spytał książęcy giermek ze złośliwym uśmiechem. – A armia moredhelów w Mglistej Kniei Dimwood? A strażę Delekhana, które nas otaczają?

– Zrobię, co się da – odpowiedział Pug.

– Jak się tu pokażą – jęknął Owyn – to już po mnie. Nie mam siły ruszyć choćby palcem.

– No... – odezwał się Locklear. – Choć nie godzi się oddać życia dlatego, że jest się zbyt zmęczonym, by się bronić. Czy wy, magowie, nie możecie czegoś wymyślić?

– Ja owszem, mogę – stwierdził Pug. – Pomóżcie mi wstać.

James pomógł magowi dźwignąć się na nogi, a potem spytał:

– A co takiego zamierzasz zrobić?

– Przyjaciele... – odparł Pug. – Choć niewiele sił już nam zostało, musimy przygotować pokaz.

Locklear podniósł dłoń i przetarł nią czoło.

– Wiecie... chyba zaczynam mieć omamy. Przed chwilą usłyszałem, że mówicie o tym, iż mamy przygotować jakiś pokaz...

– Dokładnie to powiedziałem – stwierdził Pug. – Chodźcie za mną.

Zmordowani i zdumieni ludzie wymienili spojrzenia, a potem ruszyli za niewysokim dziwakiem w czarnej szacie.

Moraaulfa rozpierała wściekłość. Od dwu dni uganiał się po Kniei za Księciem Calinem i Martinem Długi Łuk, ale nie mógł dopaść żadnego z nich. W górach moredhele mieliby przewagę, tu jednak, w tych gęstych lasach, eledhel i ten jego diabli człowieczy przyjaciel byli górą.

W tym wszystkim cieszyło go jedynie to, że pościg za nieprzyjacielem przywiódł ich w pobliże Sethanonu. Czekał na rozkazy ojca, kiedy doszły doń wieści, że ktoś uszkodził machinę portalu. Za takie niedopatrzenie miały polecieć głowy, Moraaulf zaś był gotów na wszystko, byle tylko jego własna została na karku.

– Panie... przybyli gońcy.

Moraaulf oczekiwał swoich ludzi, którzy tropili eledhelów, zamiast tego podeszli doń dwaj brudni, zmęczeni i bliscy paniki przybocznicy jego ojca.

– Co się stało? – spytał grzmiącym głosem.

– Klęska! Na murach Sethanonu!

– Mówcie! – ryknął Moraedulf.

– Przed trzema dniami dotarliśmy pod mury miasta i nasz pan opuścił nas nieopodal miejskiej bramy. Przepadł na dłuższą część dnia. I nagle coś strasznie zagrzmiało pod ziemią, a potem zobaczyliśmy coś okropnego na murach zamku...

Moraedulf porwał jednego z przybocznych za koszulę na piersiach i bez wysiłku podniósł w górę.

– Mówcie!

– Na murach – wystękał przerażony gwardzista – zobaczyliśmy wodza, a obok niego Murmandamusa. Wiemy, że to był on, bo stał bez koszuli, a na piersiach miał znak smoka. Był blady, wynędzniały, jakby głodował i trzymano go pod ziemią, ale to był on, niechybnie on. Wezwał nas, my zaś usłyszeliśmy jego wołanie, przeniesione ku nam magicznie, jak przed dziesięciu laty... panie, słyszeliśmy jego głos!

– To był Murmandamus – odezwał się drugi strażnik. – A pomiędzy nim a wodzem stał w więzach Arutha, ten Książę. Murmandamus powiedział, że wreszcie dopełni proroctwa i położy kres życiu Władcy Zachodu, ale kiedy podniósł miecz...

– Mów, co się stało? – ryknął Moraedulf, uderzając wojownika i powalając go na ziemię. – Mów, bo odpowiecie głowami!

– Panie... z tyłu pojawił się wielki smok... stwór, jakiego nie widziało oko żadnego moredhela. Otaczał go nimb światła, niczym tęcza, a na jego grzbiecie siedział mag w czarnej szacie. Zawołał, że Murmandamus to fałszywy prorok... i proroctwo też było fałszem... a potem smok zionął ogniem tak gorącym, że poczuliśmy jego tchnienie na ziemi. Panie... wasz ojciec i Murmandamus spłonęli na naszych oczach... a ich popioły rozwiął wiatr. A Władca Zachodu, Książę Arutha, został nietknięty.

Aaaa! – zawył Moraedulf, uderzając gońca. – Przekleństwo na wszystkich magów i proroków! – Obok niego, oprócz dwu przybocznych ojca, stało kilku jego ludzi. – Przekażcie wszystkim! – rozkazał. – Wracamy na Północ!

Ośmiu wojowników rozbiegło się na wszystkie strony, by przekazać polecenie.

Moraedulf ruszył ku północy, by dotrzeć do swego obozu. Zdążył przejść kilka kroków, kiedy na ścieżkę z mroku wystąpiła jakaś postać.

– Panie... – odezwał się nieznajomy.

– Ktoś ty? – spytał Moraedulf. Zbyt późno zdał sobie sprawę z faktu, że wyłaniający się z mroku osobnik jest mu doskonale znany... Rozpoznanie przyszło z bólem w piersi, kiedy Narab wbił sztylet w serce syna swego wroga.

Moraedulf opadł na kolana, otworzył z niedowierzaniem usta... i runął na plecy.

– Zrobiliśmy, co do nas należało – odezwał się jakiś głos z otaczających ścieżkę chaszczu.

– A ja zrobiłem to, co należało do mnie. – Narab odwrócił się w stronę, z której dobiegał głos.

Z mroku wyłonił się Martin Długi Łuk i towarzyszące mu elfy.

– Mój ród został pomszczony – odezwał się Narab. – Poprowadzę nasz lud do domu.

– Dopóki będziecie szli na północ, nie przeszkodzimy wam – obiecał Diuk Crydee. – Nigdy już nie ruszajcie na południe.

– Teraz północą będą władać Śnieżne Lamparty Li Allan i mój klan – stwierdził Narab. – Jak długo zostaniemy przy władzy, obiecuję, że będziemy się trzymali swojej strony gór. – Potem wymierzył palec w Martina i otaczające go elfy. – A wy zostańcie po swojej stronie.

Odwrócił się i znikł w mroku.

– Chodźmy do Sethanonu – zwrócił się Martin do otaczających go elfów.
– Trzeba nam dowiedzieć się czegoś na temat owego cudu, o jakim słyszeliśmy... Chciałbym *znaleźć* Puga i zapytać go, jak to się stało, że Murmandamus wstał z grobu, w którym leżał od dziesięciu lat. W sumie tylko po to, by zginąć tak widowiskową śmiercią.

Elf, do którego się zwrócił, kiwnął głową. Na jego twarzy też malowała się ciekawość.

Ruszyli na południe.

– Wiecie... jest z tego przecie jakiś zysk. Kiedy mój brat w końcu tu dotrze, znajdzie swe Królestwo nietknięte. Myślę, że to będzie dlań miła niespodzianka.

Martin Długi Łuk, brat książąt i królów, zarzucił na ramię broń, po której wziął imię, i zaczął pogwizdywać jakąś melodię bez słów. Choć nie znał wszystkich szczegółów, wiedział, że zwyciężyli. Na jakiś czas zabezpieczył przyszłość swej żony i córki. To wystarczyło, by zacząć nucić radosną melodię...

EPILOG

POŚWIĘCENIE

– Za Goratha! – powiedział Arutha, podnosząc puchar.

Obecni w namiocie sztabowym też podnieśli puchary.

Za Goratha! – huknęli i wypili za pamięć moredhela. Pug opowiedział o ostatnich godzinach bitwy i o tym, jak wspólnie z Owynem stworzyli iluzję, która ostatecznie przekonała moredhelów, że Murmandamus nie żyje. Przy kolacji wspominał o roli, jaką odegrał w tym wszystkim Gorath, o jego poświęceniu, a także szlachetności.

Arutha zastanawiał się przez chwilę nad tym, co usłyszał, a potem rzekł:

– Dziwna to i niezwykła dla mnie rzecz usłyszeć o tym, że któryś z Braci Mrocznego Szlaku wykazał się szlachetnością, ale jego czynu inaczej opisać nie sposób. Wątpliwości dręczyły mnie nawet wtedy, kiedy wysyłałem go z Jamesem i Locklearem. Nie umiałem się pozbyć myśli, że to część przewrotnego planu Pantathian. Szczerze powiem, że się pomyliłem.

– Ależ ty powinieneś być podejrzliwy – stwierdził Martin Długi Łuk. – To część twoich powinności wobec Królestwa.

Arutha łyknął nieco wina i kiwnięciem głowy skwitował uwagę brata.

– Może i tak... ale jestem pewien, że już nigdy nie będę miał do Braci Mrocznego Szlaku takiego nastawienia jak wcześniej.

– Za pozwoleniem Waszej Książęcej Mości... – odezwał się Owyn.

Arutha dał mu znak, że może mówić.

– Przez kilka tygodni podróżowałem z Gorathem po jego kraju... i okazało się, że jest zupełnie inny niż nasze o nim wyobrażenia. – Opowiedział o całych osiedlach ludzi żyjących tuż obok moredhelów i choć ludzie tych w Królestwie okrzyknięto by renegatami, wyglądało na to, że współżyją pokojowo. – Wydało mi się, że mają dzikie i surowe obyczaje, ale z drugiej strony nie aż tak obce, byśmy nie mogli ich zaakceptować. Spotkałem małżonki Delekhana i Goratha. Żona Delekhana jest przywódczynią z urodzenia i ze zdolności, piękna i gwałtowna, ale dziwna. Jediną jej ambicją jest uratowanie swego ludu przed zagładą... i dlatego chyba nam pomogła. – Owyn westchnął. – Kiedy po raz pierwszy spotkałem Goratha, rzekł mi, iż nigdy nie zrozumie jego ludu ani praw, jakimi się rządzą. Może i miał rację... potrafię je jednak zaakceptować.

– Gdybyżoni wszyscy byli do niego podobni... – odezwał się Arutha z żalem w głosie. – Życie w północnych prowincjach Królestwa byłoby znacznie spokojniejsze. Ci z nas, którzy przeżyli kolejny atak mrocznych sił usiłujących nas zniszczyć, muszą zdwoić wysiłki, by chronić nasze państwo. W przeciwnym razie okaże się, iż ci, co zginęli, stracili życie na próżno. Po Goracie zostanie pamięć i będzie on pamiętany niejako zdrajca i zaprzaniec, ale jako bohater dwu narodów – moredhelów i naszego. Podjął się swej misji, by uratować swoich. Zginął za nas wszystkich.

– Ja bym tylko chciał – odezwał się Owyn – żeby resztę życia mógł spędzić w Elvandarze.

– Tego można by życzyć każdemu – odezwał się Martin.

– Dobre to miejsce, by zakończyć tam żywot. Aglaranna jednak miała rację: on nie był w pełni gotowy, a jego nienawiść do Delekhana nie pozwoliłaby na to, by stał się jednością z innymi eledhelami.

– Chciałbym zobaczyć to krótkie przedstawienie, jakie z Owynem przygotowaliście na użytek moredhelów – zwrócił się Arutha do Puga.

– Owyn miał w tym swój udział, taki sam, jeżeli nie większy, niż ja – odpowiedział mag ze Stardock. – Nigdy nie byłem zręczny w tworzeniu iluzji, on jednak czegoś się nauczył w tej Akademii. Opierając się na moim opisie, stworzył iluzję Murmandamusa, Aruthę i Delekhana zaś widział na własne oczy. Najlepsza była Wyrocznia, którą ożywił na tyle, by wzniosła mnie na swym karku i zionęła przerażającym ogniem. Mogliśmy tylko mieć nadzieję, że przedstawienie... odniesie oczekiwany skutek.

– Nie da się zaprzeczyć, że odniosło – odezwał się Martin Długi Łuk. – Stałem w mroku kilkanaście stóp od miejsca, w którym dwaj przybocznicy Delekhana opowiadali Moraeułfowi o śmierci ojca i końcu, jaki spotkał Murmandamusa. Wierzyli w to, co widzieli... tak że potrafili przekonać innych. Nawet Narab chyba uwierzył w ich opowieść..Zresztą... jeżeli nie uwierzył, to i tak wygodniej mu będzie przekonać innych, że to prawda... bo posłuży to jego celom. Myślę, że raz na zawsze uporaliśmy się z problemem moredhełów atakujących Sethanon.

– Martin odstawił puchar z winem. – Muszę was pożegnać. Przede mną długa podróż do Elvandaru, a potem do Crydee. Ponieważ zamierzam ruszyć jutro o świcie, bo tego sobie życzą moi elfi przyjaciele, muszę się już położyć.

– Zbyt rzadko cię widzujemy – odpowiedział Arutha, wstając, by uściskać brata.

– Przyjedźcie do Crydee. Przyjedź z Anitą. Zabierzcie ze sobą Borrica, Erlanda i Elienę. I zostańcie przynajmniej z miesiąc.

– Może przyjedziemy na dwa tygodnie. Ale nie wcześniej niż dziecko przyjdzie na świat...

– Jeszcze jedno? – zdumiał się Martin, szczerząc zęby w uśmiechu. – Czemu mi nic nie powiedziałaś?

– Po powrocie do Crydee zastaniesz pismo z królewską pieczęcią – odparł z uśmiechem Arutha. – Już byś je zresztą przeczytał, gdybyś się zachowywał, jak na Diuka przystało, zamiast gonić po lasach ze swoimi elfimi przyjaciółmi.

– Gdybym tego nie zrobił, to te dwa zuchy – Martin wskazał Lockleara i Jamesa, którzy rozwalili się bezceremonialnie na najbardziej miękkich poduchach pod ścianami namiotu Aruthy, chrapali w najlepsze – nie zdołałyby uporać się z machiną Delekhana i w tych lasach pod każdym drzewem siedziałyby teraz dwu moredhelów. – Zniżył głos. – A ja nie zdołałbym znaleźć Naraba w porę, by mu pomóc odnaleźć Moraaulfa. – Martin wrócił do weselszych spraw. – Wybraliście już imię?

Arutha kiwnął głową.

– Jeżeli to będzie dziewczynka, nazwiemy ją Alicja. Chłopcu damy na imię Nicholas, po pradziadku.

– Będę czekał na wieści o urodzinach – stwierdził Martin.

– Wiem. – Arutha raz jeszcze uścisnął brata. – Bądź zdrow i kłaniaj się ode mnie Brianie.

Gdy Martin odszedł, Arutha spojrzał na śpiących giermków.

– Myślę, że to graniczy z obrazą majestatu i zdradą stanu. Co o tym sądzi mistrz Pug?

– Ot, po prostu skończyło się działanie ziół, którymi ich napoił uzdrowiciel zielarz. Nie obudzi ich nawet groźba natychmiastowej egzekucji.

– Miło mi to słyszeć – stwierdził Arutha. – Spłynie na nich nasza książęca łaska i ułaskawienie. A co mamy zrobić z tobą? – spytał Książę, spoglądając na Owyna.

– Wasza Książęca Mość – rzekł Owyn – czekają na mnie w domu. Będę musiał stawić czoło gniewowi mojego ojca. Nie żebym uważał, że

mógłbym go rozjuszyć jeszcze bardziej... ale im dłużej będę zwlekał, tym bardziej sroga będzie kara za nieposłuszeństwo.

Arutha potarł brodę.

– Nie słyszałem jeszcze o wypadku, by komuś w drodze nie przydały się szybki koń i dobrze wypchana sakiewka. Myślę też o wysłaniu osobistego pisma do twego ojca, w którym Korona przyzna ci wielkie zasługi, sam zaś uznam się za jego dłużnika. Dodam też, że jeśli twój ojciec nie znajdzie dla ciebie miejsca na swoim dworze, może wysłać cię do Rillanonu, gdzie przydasz się Koronie. Oczywiście o wszystkim też powiadomię mojego królewskiego brata. Jeżeli naprawdę tego zapragniesz, z pewnością znajdzie jakąś pracę dla kogoś tak bystrego jak ty.

Owyn uśmiechnął się z satysfakcją. Jakkolwiek wielki byłby gniew jego ojca, wywołany jego nieposłuszeństwem i ucieczką ze Stardock, na pewno rozplynie się w zadowoleniu z osobistego listu od Księcia Kronodoru, nie mówiąc o królewskiej rekomendacji. Powrót do domu zaczął mu się rysować w coraz jaśniejszych barwach.

– Dziękuję Waszej Księżęcej Mości.

– Arutho, trzeba nam będzie omówić sprawy dotyczące Sethanonu – odezwał się Pug. – Musimy podjąć wszelkie środki, by nic podobnego nie zdarzyło się w przyszłości. – Mag z trudem ukrył ziewnięcie. – Ale akurat teraz i my musimy się wyspać.

Księżę kiwnięciem głowy wyraził zgodę.

– Jesteście wolni, przyjaciele, resztę spraw omówimy rano. Życzę wam dobrej nocy.

Magowie pożegnali Księcia i wyszli z jego pawilonu. Pug przeszedł z Owynem do namiotu, który postawiono dla nich na uboczu.

– Co zrobisz po powrocie do domu? – spytał mag ze Stardock.

– Nie wiem jeszcze – odpowiedział Owyn. – Myślę, że chciałbym się dowiedzieć czegoś więcej o tych moich nowych umiejętnościach i mocach, ale uważam, że jeżeli chodzi o moją przyszłość, to powinienem poznać zdanie ojca.

– Takie jest brzemię szlachectwa – odpowiedział Pug. – Ale będziesz miał czas na podjęcie decyzji, jako że teraz masz w istocie o czym myśleć.

Nie da się zaprzeczyć – stwierdził Owyn, gdy obaj weszli do namiotu. – Prawdę rzekłszy, jednym z powodów, dla jakich porzuciłem Stardock, była polityka. Twoi dwaj Keshkańscy studenci, Korsh i Watoom, zbierają zwolenników... i podejrzewam, że czekają nas naprawdę ciężkie chwile, jeżeli się tym nie zajmiesz...

– Jestem tego pewien... ale nie bardzo wiem, co robić – przyznał Pug.

Mag ze Stardock usiadł na rozłożonym dlań materacu, Owyn zaś zajął się zaciąganiem zasłon wejściowych. Na chwilę przerwał i powiódł wzrokiem po pograżonych w ciszy lasach otaczających obóz. Niedaleko ich namiotu wokół swoich ognisk krzątali się królewscy wojacy, a nad drzewami jasno lśniły gwiazdy.

Przez chwilę zastanawiał się, gdzie też może być teraz Gorath – z Ojcami i Matkami czy na Błogosławionych Wyspach.

Gdziekolwiek jesteś, pomyślał, zawiązując sznury zasłon wejściowych, nigdy cię nie zapomnę. A po chwili dodał:...przyjacielu.

Podszedłszy do swego posłania, położył się i... mimo że dręczyły go pytania dotyczące otwierających się przed nim możliwości, bardzo szybko zasnął.

Pug spojrział na młodzieńca i przypomniał sobie, jak to było, gdy sam, jako równie młody człowiek, szamotał się z mocami, które Owyn teraz posiadał, a których istnienia nawet nie podejrzewał. Ciekaw był, jakiego wyboru dokona młody mag.

Jakiegokolwiek miały to być wybory, Owyn w końcu na coś się zdecyduje. Pug legł na swoim posłaniu, czując ogromną ulgę na myśl o tym, że jego dom i rodzina są już bezpieczne. Przez chwilę sycił się myślą, że Gamina jest wolna i już niedługo zobaczy ją w Stardock. Myślał o tym... i coraz głębiej osuwał się w sen. To był długi i przywracający siły wypoczynek.